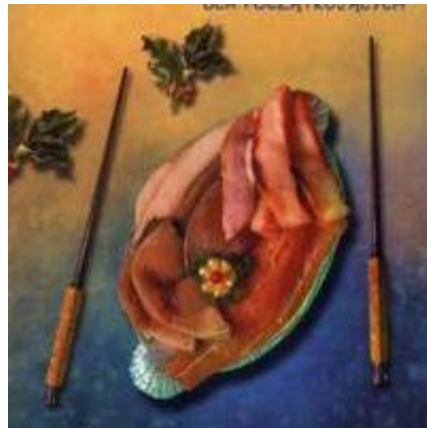




Marian Keyes



*Sushi dla
początkujących*

Tytuł oryginalny: Sushi for Beginners

TLLR

Dla Nialla Caitriony,

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej fantastycznej redaktorce, Louise Moore i wszystkim osobom z Michael Joseph i Penguin za ich intensywną pracę i entuzjazm.

Dziękuję wszystkim pracownikom Poolbeg. Dziękuję Jonathanowi Lloydowi i wszystkim osobom z Curtis Brown.

Dziękuję Caitronie Keyes, Mammy Keyes, Ricie–Anne Keyes i Louise Voss, które czytały tę książkę w trakcie jej kończenia i ciągle żądały więcej.

Dziękuję Eileen Prendergast, szczególnie za podsuniecie tytułu dla tej książki!

Dziękuję Siobhan Coogan za informacje o macierzyństwie.

Dziękuję społeczności Simon za hojne poświęcanie mi czasu i informacje o bezdomności.

Dziękuję Morag Prunty i wszystkim z „Irish Tatler” za ujawnienie mi szczegółów o świecie czasopism.

Dziękuję wszystkim znanym mi komikom z barów, choć tworząc swoje postaci, nie wzorowałam się na żadnym z nich!

Dziękuję hotelowi Clarence.

A także następującym osobom, które pomogły mi bardzo swoimi radami i zaraziły entuzjazmem (jeśli o kimś zapomniałam, proszę mi wybaczyć): Suzanne Benson, Jenny Boland, Susie Burgin, Ailish Connelly, Gaiowi Griffinowi, Suzanne Power i Annemarie Scanlan.

Na koniec, jak zawsze, dziękuję mojemu ukochanemu Tony'emu – za wszystko.

PROLOG

Cholera, pomyślała. Załamalam się nerwowo.

Popatrzyła na łóżko. Jej stanowczo domagające się prysznicia ciało leżało na stanowczo domagającej się prania pościeli. Chusteczki, wilgotne i pogniecione, zaśmiecały kołdrę. W szufladach leżał nietknięty arsenał czekoladek i łapał kurz. Na podłodze walały się czasopisma, których nie była w stanie przeczytać. Telewizor w kącie nieubłaganie przekazywał poranny program wprost do jej łóżka. Tak, był to typowy obraz załamania nerwowego.

Jednak coś się nie zgadzało. Co?

– Zawsze myślałam... – bąknęła. – No, zawsze sądziłam... I nagle już wiedziała.

– Zawsze myślałam, że będzie fajniej...

1

W magazynie „Femme” coś się święciło. Od tygodni mieli wrażenie, że balansują nad przepaścią. Bomba pękła, kiedy potwierdziły się pogłoski, że Calvin Carter, dyrektor zarządzający ze Stanów, był widziany na ostatnim piętrze, gdzie szukał męskiej ubikacji. Najwyraźniej przyleciał do Londynu z centrali w Nowym Jorku.

To się dzieje naprawdę. Lisa z przejęciem zacisnęła pięść. To się dzieje naprawdę, psiakrew.

Po południu zadzwonił telefon. Czy Lisa mogłaby przyjść na górę na spotkanie z Calvinem Carterem i brytyjskim dyrektorem zarządzającym, Barrym Hollingsworthem?

Po rozmowie Lisa rzuciła słuchawkę.

– Jasne, że mogę! – wrzasnęła.

Jej koledzy ledwie raczyli unieść wzrok. Ciskający słuchawkami i wrzeszczący ludzie nie byli w redakcji rzadkością. Poza tym wszyscy tkwili w piekle ostatecznych terminów – gdyby nie zdążyli złożyć wydania z tego miesiąca, przegapiliby rezerwację maszyn w drukarni i raz jeszcze zostaliby pokonani przez swoich najgroźniejszych rywali, „Marie Claire”. A co mnie to obchodzi?, pomyślała Lisa, kuśtykając do windy. Właściwie już tu nie pracuję. Wkrótce znajdę się w znacznie przyjemniejszym miejscu.

Trzymali ją pod salą konferencyjną równiutko przez dwadzieścia pięć minut. W końcu Barry i Calvin byli ludźmi na bardzo wysokich stanowiskach.

– Wpuścimy ją? – spytał Barry Calvina, kiedy uznał, że minęło wystarczająco dużo czasu.

– Przecież dzwoniliśmy po nią zaledwie dwadzieścia minut temu – zauważył Calvin obrażonym tonem. Najwyraźniej Barry Hollingsworth nie zdawał sobie sprawy, z jak ważną personą obcuje.

– Przepraszam, myślałem, że jest później. Może pokaż mi jeszcze raz, jak poprawić zamach.

– Jasne. Głowa w dół, stój nieruchomo. Nieruchomo! Nogi razem, lewa ręka wyprostowana i zamach!

Kiedy Lisie w końcu pozwolono wejść, Barry i Calvin siedzieli za długim na mniej więcej kilometr stołem z orzecha. Wyglądali zastraszająco wpływowo.

– Usiądź, Liso. – Calvin Carter z gracją skinął srebrną głową.

Lisa usiadła. Przyglądała karmelowe włosy, demonstrując darmowe pasemka. Darmowe, bo zareklamowała salon fryzjerski w dziale „Warto odwiedzić”.

Usadowiwszy się na krześle, skrzyżowała obute w patricki coksy stopy. Buty było o rozmiar za małe – niezależnie od tego, ile razy prosiła biuro prasowe Patricka Coksa o szóstkę, zawsze przysyłali jej piątkę. Jednak darmowe szpilki od Patricka Coksa to w końcu darmowe szpilki od Patricka Coksa, a taki detal jak przeraźliwy ból stóp nie ma najmniejszego znaczenia.

– Dziękujemy, że się zjawiaś. – Calvin uśmiechnął się do niej. Lisa doszła do wniosku, że zrewanżuje się tym samym. Uśmiech był towarem, jak wszystko inne – rozdawanym w ramach zapłaty, oszacowała jednak, że akurat w tym wypadku warto się wysilić. W końcu nie codziennie dostaje się awans do Nowego Jorku na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego pisma „Manhattan”. Wobec tego rozciągnęła wargi w uśmiechu, odsłaniając perłowe zęby (perłowe dzięki rocznym zapasom pasty Rembrandt, którą producent

dostarczył na konkurs dla czytelniczek, ale która, zdaniem Lisy, lepiej się prezentowała w jej własnej łazience).

– Pracujesz w „Femme” od... – Calvin zerknął na spięte kartki przed sobą – czterech lat?

– Za miesiąc miną cztery lata – odparła Lisa, z fachową mieszanką pokory i pewności siebie na twarzy.

– A redaktorką jesteś od prawie dwóch lat?

– Dwóch cudownych lat – potwierdziła, tłumiąc impuls, by wsadzić sobie dwa palce do gardła i puścić pawia.

– A masz zaledwie dwadzieścia dziewięć – zdumiał się Calvin. – Jak wiesz, w Randolph Media chętnie nagradzamy ciężką pracę.

Lisa rozpromieniła się w odpowiedzi na to bezczelne kłamstwo.

Jak w większości zachodnich firm, w Randolph Media nagradzano ciężką pracę kiepską płacą, nadmiarem obowiązków, przeniesieniem na gorsze stanowisko i zwolnieniami grupowymi z sekundowym wypowiedzeniem umowy o pracę.

Lisa jednak zapracowała sobie na sukces w „Femme”. Nawet nie sądziła, że jest zdolna do takich poświęceń: zazwyczaj zaczynała pracę o wpół do ósmej rano, harowała po dwanaście, trzynaście, czasem czternaście godzin dziennie, a po wyłączeniu komputera chodziła na wieczorne imprezy dla prasy. Często wpadała do pracy w soboty, niedziele, nawet w święta państwowe. Recepcjoniści jej nienawidzili, bo taka gorliwość oznaczała, że jeśli Lisa zechce przyjść do redakcji, jeden z nich będzie musiał jej otworzyć i zapomnieć o sobotnim meczu albo o świątecznej rodzinnej wyprawie do Brent Cross.

– W Randolph Media mamy wolny etat – powiedział uroczyście Calvin.
– To byłoby niezwykle wyzwanie, Liso.
Wiem, pomyślała z irytacją. Do rzeczy.
– Ale to wiąże się z wyjazdem do innego kraju, co czasem stanowi problem dla partnera.

– Jestem sama. – Lisa nie owijała w bawełnę.

Barry ze zdumieniem zmarszczył czoło i pomyślał o dziesięciu funtach, które przed kilkoma laty musiał wybulić na weselny prezent dla jednej z pracownic. Przysięgłby, że chodziło o Lisę, ale niewykluczone, że się mylił, może nie był już tak czujny jak kiedyś.

– Szukamy naczelniej do nowego magazynu – ciągnął Calvin.

Nowego magazynu? Lisa poczuła się nieco mniej pewnie. Przecież „Manhattan” istniał od siedemdziesięciu lat. Kiedy wciąż się zastanawiała, o co chodzi, Calvin wyciągnął asa z rękawa: – Będziesz musiała przenieść się do Dublina.

Szok sprawił, że usłyszała brzęczenie w głowie i odniosła wrażenie, że lada chwila eksplodują jej uszy. Drętwe, mętne poczucie alienacji. Jedynym łącznikiem z rzeczywistością stał się nagły ból ściśniętych w butach palców.

– Dublin? – usłyszała swój niewyraźny głos.

Może... Może... Może chodziło im o Dublin w stanie Nowy York?

– Dublin w Irlandii – sprecyzował natychmiast Calvin Carter, gasząc ostatni promyk nadziei.

Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę, pomyślała. – W Irlandii?

– To taki mały, mokry kraj po drugiej stronie Morza Irlandzkiego – podpowiedział usłużnie Barry.

– Gdzie mnóstwo piją – dodała omdlewającym głosem.

– I wiecznie gładzą. Tak, to właśnie tam. Kwitnąca gospodarka, ogromna populacja młodych ludzi. Badania rynkowe wykazują, że jest tam zapotrzebowanie na nowe, przebojowe czasopismo dla kobiet. Chcemy, żebyś to właśnie ty się tym zajęła, Liso.

Patrzyli na nią wyczekująco. Wiedziała, że zgodnie z powszechnie obowiązującym zwyczajem powinna w tej chwili zacząć wydawać z siebie urywane, płaczliwe i drżące dźwięki, świadczące o tym, jak bardzo docenia zaufanie położonych i jak ogromnie pragnie potwierdzić, że ich wiara w nią jest najzupełniej uzasadniona.

– Hm... dobrze... Dzięki.

– Mamy imponujące wyniki w Irlandii – pochwalił się Calvin. – „Irlandzka Panna Młoda”, „Celtyckie Zdrowie”, „Gaelickie Wnętrze”, „Irlandzki Ogród”, „Rozważny Katolik”...

– „Rozważny Katolik” się zwija – przerwał Barry. – Sprzedaż znacznie spadła.

– „Gaelickie Robótki”... – Calvin nie był zainteresowany złymi informacjami. – „Celtyckie Auto”, „Pyry” – to nasze nowe czasopismo kulinarne – „Irlandzka Złota Rączka” i „Hiper Hiber”.

– „Hiper Hiper”? – powtórzyła Lisa. Kontynuowanie rozmowy było wskazane w takiej sytuacji.

– „Hiper Hiber” – poprawił ją Barry. – Skrót od „Hiper Hibernijczyk”. Magazyn dla młodych mężczyzn. Krzyżówka „Loaded” i „Areny”. Ty będziesz odpowiedzialna za wersję dla pań.

– Nazwa?

– Myśleliśmy o „Irlandce”. Młoda, przebojowa, wystrzałowa, seksowna. Przede wszystkim seksowna, Liso. Nic zbyt inteligentnego. Żadnych

przygnębiających artykułów o usuniętych łechtaczkach ani o uciśnionych kobietach w Afganistanie. To nie nasza grupa docelowa.

– Chcecie czasopisma dla kretynek.

– Tak jest. – Calvin się rozpromienił.

– Ale nigdy nie byłam w Irlandii. Nic nie wiem o tym kraju.

– Otóż to! – przytaknął Calvin. – Właśnie tego nam trzeba. Żadnych uprzedzeń, świeże, uczciwe podejście. Ta sama pensja, hojny pakiet wyjazdowy, zaczynasz w poniedziałek za dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie? Nie wystarczy mi czasu....

– Słyszałem, że jesteś wyjątkowo dobrze zorganizowana – przerwał Calvin z błyskiem w oku. – Zrób na mnie wrażenie. Masz jakieś pytania?

Nie mogła się powstrzymać. Zazwyczaj potrafiła się uśmiechać z nożem w plecach, ale działało się tak dlatego, że widziała przed sobą perspektywy. Teraz jednak była w szoku.

– A co ze stanowiskiem zastępcy naczelnego w „Manhattanie”?

Barry i Calvin wymienili spojrzenia. – Tia Silvano z „New Yorkera” pokonała innych kandydatów – przyznał Calvin obrażonym tonem.

Lisa pokiwała głową. Miała wrażenie, że nastąpił koniec świata. Z trudem podniosła się, żeby wyjść.

– Kiedy muszę dać odpowiedź?

Barry i Calvin ponownie wymienili spojrzenia. Tym razem głos zabrał Calvin.

– Twoje dotychczasowe stanowisko przydzieliliśmy twojej następczyni.

Wszystko zaczęło rozgrywać się w zwolnionym tempie, gdy Lisa uświadomiła sobie, że została postawiona pod ścianą. Nie pozostawili jej

żadnego wyboru. Odrętwiała, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie pozostaje jej nic innego, jak (kuśtykając) opuścić pokój.

– Masz ochotę na rundkę golfa? – spytał Barry Calvina, gdy Lisa zniknęła.

– Z rozkoszą, ale nie mogę. Muszę jechać do Dublina i przeprowadzić rozmowy o pracę.

– Kto jest irlandzkim dyrektorem zarządzającym? – zainteresował się Barry.

Calvin zmarszczył brwi. Barry powinien to wiedzieć.

– Taki jeden. Jack Devine.

– A, ten. Indywidualista.

– Nie sędzę. – Calvin wyjątkowo nie lubił buntowników; – A przynajmniej będzie dla niego lepiej, jeśli to nieprawda.

Lisa usiłowała dojrzeć jaśniejsze strony sytuacji. Nigdy nie przyznałaby przed sobą, że jest rozczarowana. Zwłaszcza po tym wszystkim, co poświęciła.

Z próżnego jednak i Salomon nie należy. Dublin nie był Nowym Jorkiem, jakkolwiek by na to patrzeć. A „hojny pakiet wyjazdowy” nadawał się wyłącznie do zaskarżenia w Państwowej Inspekcji Pracy. Najgorsze, że musiała oddać swoją komórkę! Komórkę! Czowała się tak, jakby amputowano jej rękę.

Żaden z kolegów Lisy nie był zdruzgotany jej odejściem. Nigdy nie pozwalała, by ktoś inny brał buty od Patricka Coksa, nawet dziewczęta, które nosiły piątkę. A przez często wygłaszane, złośliwe komentarze zyskała sobie przydomek Perfidiuszek. Mimo wszystko był to jednak ostatni dzień Lisy, więc personel „Femme” zebrał się i przymusowo pognał na zwyczajowe pożegnanie do sali konferencyjnej, gdzie rozstawiono plastikowe kubki z ciepłym, białym

winem, które równie dobrze mogłoby posłużyć za zmywacz do farby, oraz tacki chipsów. Krążyła plotka – nie potwierdzona – że lada moment pojawia się paróweczki.

Kiedy wszyscy włąli w gardła po trzy kubki wina, w związku z czym mogli wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu, poproszono o ciszę i Barry Hollingsworth zaczął podręcznikową przemowę, dziękując Lisie za wszystko i życząc jej jak najlepiej. Zebrani zgodnie doszli do wniosku, że świetnie mu poszło, zwłaszcza że nie pomylił jej imienia. Ostatnim razem, gdy odchodziła jedna z pracownic, Barry we łzawej przemowie przez dwadzieścia minut wychwalał pod niebiosa niezwykle talenty i zaangażowanie niejakiej Heather, podczas gdy Fionę, osobę, która odchodziła, aż skręcało z zażenowania.

Następnie nastąpiło wręczenie Lisie wartych dwadzieścia funtów kuponów do Marksa&Spencera oraz wielkiej kartki z hipopotamkiem i napisem: „Szkoda, że odchodzisz”. Ally Benn, zastępczyni Lisy, bardzo starannie wybrała pożegnalny prezent dla szefowej. Długo łamała sobie głowę nad tym, co najmniej przypadnie Lisie do gustu, i ostatecznie doszła do wniosku, że kupony do M&S niesłychanie ją przygnębią (Ally Benn nosiła buty rozmiar pięć).

– Za Lisę! – zakończył Barry.

Wszyscy byli zarumienieni i mieli w czubie, więc unieśli plastikowe kubki, rozlewając wino z kawałkami korka na ubrania, chichotali i wymierzali sobie kuksańce z okrzykiem:

– Za Lisę!

Lisa została dopóty, dopóki było konieczne. Od dawna marzyła o tym pożegnaniu, ale zawsze myślała, że odpłynie stąd na fali chwały do Nowego

Jorku. Tymczasem miała trafić na czasopismową Syberię. Wszystko to było jakimś koszmarnym snem.

– Muszę iść – powiedziała do mniej więcej tuzina swoich byłych podwładnych. – Powinam się spakować.

– Jasne, jasne – zgodzili się podwładni, po alkoholu życzliwi całemu światu. – Powodzenia, baw się dobrze w Irlandii, dbaj o siebie, nie przepracowuj się.

Gdy Lisa dotarła do drzwi, Ally wychrypiała:

– Będzie nam ciebie brakowało...

Lisa ostrożnie skinęła głową i zamknęła drzwi.

– ..jak rany postrzałowej – dokończyła Ally. – Zostało jeszcze jakieś wino?

Wszyscy siedzieli w sali, aż ostatnia kropelka alkoholu została wypita, ostatni okruszek chipsa wytarty z tacy poślinionym palcem. Potem popatrzyli na siebie i zapytali, niepokojąco zadowolonym tonem:

– I co teraz?

Wylądowali w barach w Soho, w piątkowym tłumie pijanych pracowników biurowych. Małeńka Sharif Mumtaz (zastępca redaktorki rubryk stałych) oddzieliła się od reszty i wróciła do domu w towarzystwie miłego pana, za którego wyszła dziewięć miesięcy później. Jeanie Geoffrey (asystentka redaktorki mody) dostała butelkę szampana od mężczyzny, który oświadczył jej, że jest „boginią”. Gabi Henderson (zdrowie i uroda) straciła torebkę. Ally Benn (świeżo upieczona naczelna) wdrapała się na stół w jednym z bardziej hałaśliwych pubów na Wardour Street i tańczyła jak wariatka, aż zleciała ze stołu, doznając skomplikowanego złamania prawej stopy.

Innym słowy, wieczór się udał.

2

– Ted, ale masz wycucie! – Ashling otworzyła szeroko drzwi, choć raz nie mówiąc swego ulubionego zdania, które brzmiało: O w mordę, to ty, Ted".

– Naprawdę? – Ted wszedł ostrożnie do mieszkania Ashling. Zazwyczaj nie witała go z takim entuzjazmem.

– Musisz mi powiedzieć, w którym zakiecie lepiej wyglądam.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Szczupła, ponura twarz Teda wydawała się jeszcze bardziej przejęta niż zwykle. – Ale jestem mężczyzną.

Niezupełnie, z żalem pomyślała Ashling. Jaka szkoda, że osoba, która pół roku temu wprowadziła się do mieszkania na górze i natychmiast uznała Ashling za swoją najlepszą przyjaciółkę, nie była miłym, potężnym, przyprawiającym kobietę o pośpieszne bicie serca mężczyzną. Okazała się zwyczajnym Tedem Mullinsem, ubogim urzędnikiem administracji państwowej, marzącym o karierze jednoosobowego kabaretu, małym, kędzierzawym właścicielem roweru.

– Najpierw czarny. – Ashling narzuciła zakiet na białą „spotkaniową” bluzkę z jedwabiu i magicznie wyszczuplające o trzy kilo czarne spodnie.

– Cóż to za okazja? – Ted rozwalił się na krześle. Cały składał się z ostrych kątów i łokci, kościstych ramion i wystających kolan. Przypominał pośpiesznie wykonany szkic samego siebie.

– Spotkanie w sprawie pracy. O wpół do dziesiątej.

– Znowu! Co tym razem?

W ostatnich dwóch tygodniach Ashling ubiegała się o kilka posad, od pracy na ranczo w stylu dzikiego zachodu w Mullingar po odbieranie telefonów w biurze informacyjnym.

– Zastępca naczelnej w „Irlandce”, nowym czasopiśmie dla kobiet.

– Co takiego? Prawdziwa praca? – Posepna twarz Teda się rozjaśniła. – Nie rozumiem, po co ubiegałaś się o te inne, masz zbyt wysokie kwalifikacje.

– Niskie poczucie własnej wartości – przypomniała mu Ashling z szerokim uśmiechem.

– Ja mam niższe. – Ted nie chciał okazać się gorszy. – Czasopismo dla kobiet, coś podobnego. – Zadumał się. – Gdyby ci się udało, mogłabyś kazać się wypchać tym małym z „Babskiego Kącika”. Zemsta najlepiej smakuje na zimno! – Odrzucił głowę i zaprezentował serię rechetów a la Vincent Price. – Yggghyyyggghyyggghy!

– Przypominam, że zemsty się nie je – przerwała mu Ashling. – To emocja. Czy coś tam. W ogóle nie warto o tym gadać.

– Ale po tym, jak cię potraktowały – powiedział Ted zdumionym tonem. – Przecież to nie twoja wina, że zniszczyła się kanapa tamtej kobiety.

Przez wiele lat – Ashling wołała nie pamiętać ile – pracowała w „Babskim Kąciku”, mało efektownym tygodniku dla kobiet. Była redaktorką działu prozy, mody, zdrowia i urody, robótek ręcznych, kulinariów, porad, adiuśtatorką i duchową doradczynią w jednym. Nie było to aż tak uciążliwe, jak by się mogło wydawać, gdyż „Babski Kącik” przygotowywano według sprawdzonej formuły.

W każdym numerze zamieszczano wykrój – niemal zawsze czegoś w rodzaju worka na kartofle. Nie brakowało też strony kulinarnej, na której radzono, jak kupić najtańsze ochłapy mięsa i przyrządzać je tak, by udawały coś zupełnie innego. W każdym numerze zamieszczano też opowiadanie o małym chłopcu i babci, którzy początkowo byli zaprzysięgłymi wrogami, a na końcu stawali się przyjaciółmi na śmierć i życie. Potem szła strona z

problemami – zawsze z listem pełnym utyskiwań na bezczelną synową. Na stronach drugiej i trzeciej zamieszczano „zabawne” historyjki dotyczące wnuków czytelniczek i nieziemsko śmiesznych rzeczy, które dzieci mówiły lub robiły. Wewnętrzną okładkę wypełniał banalny list, najczęściej od członka duchowieństwa, zawsze napisany przez Ashling na piętnaście minut przed ostatecznym terminem oddania do druku. Potem zamieszczano porady czytelniczek. I to właśnie one przyczyniły się do upadku Ashling.

Porady czytelniczek miały służyć innym czytelniczkom. Zawsze dotyczyły pomnażania funduszy i zrobienia czegoś z niczego. Generalne założenie było takie, że nie musisz niczego kupować, bo możesz to sobie przyrządzić z komponentów, które masz w domu. Królował sok z cytryny.

Na przykład – po co kupować drogie szampony, skoro można przygotować własny szampon z soku cytrynowego i płynu do zmywania naczyń! Chcesz zrobić pasemka? Wystarczy, że wyciśniesz sok z dwóch cytryn na włosy i posiedzisz w słońcu. Przez rok. A jak usunąć sok żurawinowy z beżowej kanapy? Mieszanka soku cytrynowego i octu załatwi sprawę.

Nie załatwiła. Nie na kanapie pani Anny O'Sullivan z Co. Waterford. Poszło fatalnie – plama utrwaliła się na tyle, że nie poradził sobie z nią nawet odplamiacz Stain Devil. I chociaż nadużywano odświeżacza powietrza, w całym pokoju śmierdziało octem. Jako dobra katoliczka, pani O'Sullivan wierzyła w biblijną zasadę oko za oko, ząb za ząb. Zaczęła straszyć pismo pozwem.

Kiedy Sally Healy, naczelna „Babskiego Zakątka”, przeprowadziła śledztwo, Ashling przyznała, że sama wymyśliła tę poradę. Akurat w tamtym tygodniu było ich niewiele.

– Nie sądziłam, że ktokolwiek w nie wierzy – wyszeptała Ashling.

– Zdumiewasz mnie – powiedziała Sally. – Zawsze twierdziłaś, że brak ci wyobraźni. List od ojca Bennetta się nie liczy, wiem, że zżynasz z „Rozważnego Katolika”, który zresztą – tylko na razie nic nie powtarzaj – upada.

– Przykro mi, Sally, to się więcej nie powtórzy.

– To mnie jest przykro, Ashling. Muszę cię zwolnić.

– Za taką małą wpadkę? Nie wierzę!

Miała prawo nie wierzyć. Prawdziwy powód był taki, że zarząd „Babskiego Kącika” przejmował się spadającym nakładem i uznał, że pismu grozi upadek, więc należy wymienić część personelu. Wpadka Ashling nadarzyła się w najlepszym momencie. Teraz mogli ją po prostu wywalić, zamiast płacić jej odprawę.

Sally Healy to przygnębiło. Nie mogła sobie wyobrazić bardziej odpowiedzialnej i pracowitej dziewczyny. Ashling miała wszystko pod kontrolą, kiedy Sally przychodziła późno, wychodziła wcześniej i znikwała we wtorkowe i czwartkowe popołudnia, żeby odebrać córkę z lekcji baletu i syna z zajęć rugby. Jednak zarząd jasno dał jej do zrozumienia, że albo Ashling, albo ona.

Za długie lata ciężkiej pracy Ashling pozwolono łaskawie zostać w redakcji, dopóki nie znajdzie nowego zajęcia – wszyscy mieli nadzieję, że stanie się to już niedługo.

– No i? — Ashling obciągnęła żakiet i odwróciła się do Teda. –Dobrze – Ramiona Teda uniosły się i opadły.

– A może ten jest lepszy? – Ashling włożyła żakiet, który Tedowi wydał się identyczny jak poprzedni.

– Dobrze – powtórzył.

– Który?

– Wszystko jedno.

– W którym wyglądam tak, jakbym miała coś w rodzaju talii? – Nie zaczynaj. – Ted aż się zwinął. – Masz obsesję na punkcie Swojej talii.

– Brak mi talii, więc nie mam mieć obsesji na jej punkcie.

– Nie możesz narzekać na za duży tyłek, jak większość kobiet?

Ashling właściwie nie dysponowała talią. I jak to zawsze bywa ze złymi wieściami, odkryła to ostatnia. Miała piętnaście lat, kiedy jej najlepsza przyjaciółka Clodagh westchnęła i powiedziała:

– Szczęściara z ciebie, nie masz talii. Ja mam taką wąską, że przez nią mój tyłek wygląda na wielki.

Dopiero wtedy Ashling dokonała tego szokującego odkrycia.

Podczas gdy wszystkie inne dziewczyny z jej otoczenia spędzały nastoletnie lata przed lustrem, jęcząc, że jedna pierś jest większa od drugiej, Ashling skoncentrowała się na czymś innym. W końcu sprawiła sobie hula-hoop i z zapalem ćwiczyła w ogródku z tyłu domu. Przez dwa miesiące z wywieszonym językiem wirowała i kręciła biodrami, dniem i nocą. Wszystkie mamy z sąsiedztwa wyglądały ze skrzyżowanymi rękoma ze swoich ogródków, kiwając głowami z zadumą.

– Whulahooopi się tym do grobu – mamrotały.

To nieustanne, obsesyjne kręcenie niczego nie zmieniło. Nawet teraz, szesnaście lat później, sylwetkę Ashling cechowało podobieństwo do prostokąta.

– Brak talii to nie najgorsze, co może spotkać człowieka – odezwał się Ted krzepiąco.

– Rzeczywiście – zgodziła się niepokojąco radośnie Ashling. – Można jeszcze mieć okropne nogi. I tak się składa, że ja mam właśnie takie.

– Nieprawda.

— Mam. Po mamie. Na razie to wszystko, co po niej odziedziczyłam. No to chyba nie jest najgorzej – zauważyła.

– Wczoraj byłem w łóżku z moją dziewczyną... – Ted postanowił zmienić temat. – Powiedziałem jej, że ziemia jest płaska.

– Jaką dziewczyną? O co chodzi z tą ziemią?

– Nie, źle – mruknął do siebie Ted. – Leżałem wczoraj w łóżku z moją dziewczyną... Powiedziałem jej, że ziemia jest płaska. Bum, bum!

– Ha, ha, bardzo śmieszne – powiedziała omdlewającym głosem Ashling–Bycie ulubienicą Teda oznaczało też odgrywanie roli świnki morskiej, na której testował swoje nowe dowcipy. – Mogę coś zasugerować? Może: leżałem wczoraj w łóżku z moją dziewczyną. Powiedziałem jej, że zawsze będę ją kochał i nigdy jej nie zostawię. Bum, bum – dodała ponuro.

– Spóźnię się – oświadczył Ted. – Podrzucić cię?

Często zawoził ją do pracy na swoim rowerze, a potem jechał do Ministerstwa Rolnictwa.

– Nie, dzięki, ja w przeciwnym kierunku.

– Powodzenia. Wpadnę do ciebie wieczorem.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłam – mruknęła pod nosem.

– Ej, jak tam twoja infekcja ucha?

– Lepiej. Mogę już myć włosy.

3

Ashling postanowiła włożyć zakiet numer jeden. Mogłaby przysiąc, że widzi niewielkie wcięcie mniej więcej w połowie odległości między piersiami a biodrami. Uznała, że to musi wystarczyć.

Wydziwiała nad makijażem i w końcu postawiła na stonowany, żeby nie wyjść na trzpiotkę. Jednak nie chciała również wydawać się zbyt sztywna, więc wzięła ukochaną czarno-białą torebkę z końskiej skóry. Następnie potarła swojego Buddę na szczęście, puknęła w szczęśliwy kamyk w kieszeni i popatrzyła z żalem na szczęśliwą czerwoną czapkę. Jednak czy czerwona czapka z pomponem rzeczywiście przyniosłaby jej szczęście na spotkaniu o pracę? Tak czy owak, nie była jej potrzebna – z horoskopu wynikało, że dziś ma dobry dzień. Z anielskiej wyroczni tak samo.

Zanim wyszła na ulicę, musiała ominąć faceta, który głęboko spał w wejściu do budynku. Następnie ruszyła w kierunku dublińskiej filii Randolph Media i, wędrując zwawo wzdłuż sznurów stojących w korkach samochodów w centrum Dublina, raz za razem powtarzała w myślach, za radą Louise L. Hay: Dostanę tę robotę, dostanę tę robotę, dostanę tę robotę...

A jak nie dostanę? Nie mogła nie zadać sobie tego pytania.

To się nie przejmę, to się nie przejmę, to się nie przejmę.

Choć Ashling usiłowała robić dobrą minę do złej gry, załamała ją afera z kanapą pani O'Sullivan. Załamała do tego stopnia, że dotknęła ją infekcja ucha, która zawsze atakowała Ashling w chwilach wielkiego stresu.

Utrata pracy była żenująco dziecinnym doświadczeniem, które nie pasowało do trzydziestojednolatki z długiem hipotecznym. Pracę mogli sobie tracić jedynie dwudziestoparolatki.

Żeby zebrać życie do kupy, z pasją szukała nowego zajęcia, polując na niemal każde stanowisko. Nie, nie potrafiła łąpać na łąasso zbiegłych rumaków, przyznała na rozmowie o pracę na ranczo w stylu dzikiego zachodu w Mullingar (tak naprawdę myślała, że szukają kogoś do administracji), ale była gotowa się nauczyć.

Na każdej rozmowie powtarzała, że chętnie się nauczy. Jednakże ze wszystkiego, o co się ubiegała, najbardziej zależało jej na stanowisku w „Irlandce”. Uwielbiała redakcyjną pracę, a w Irlandii brakowało czasopism dla kobiet. Poza tym Ashling właściwie nie była dziennikarką, tylko dobrą organizatorką z okiem do szczegółów.

Filia pisma znajdowała się na trzecim piętrze biurowca na nabrzeżu. Ashling odkryła, że Randolph Media jest również właścicielem niewielkiej, lecz rozrastającej się stacji telewizyjnej, Kanału 9, i bardzo komercyjnej stacji radiowej, ale akurat te instytucje najwyraźniej mieściły się gdzie indziej.

Ashling wysiadła z windy i ruszyła korytarzem do recepcji. To miejsce zdawało się tętnić życiem, ludzie z kartkami papieru biegali we wszystkie strony. Ashling zadrżała z przejęcia, które szybko przeszło w mdłości. Tuż przed biurkiem recepcjonistki stał wysoki, potargany mężczyzna i rozmawiał z drobną, młodą Azjatką. Mówili cicho, ale na widok ich min Ashling zrozumiała, że mają ochotę wrzeszczeć. Ruszyła przed siebie; nie cierpiała kłótni, nawet cudzych.

Kiedy zerknęła na recepcjonistkę, zrozumiała, jak bardzo się pomyliła w kwestii makijażu. Trix – takie imię napisano na plakietce – miała lśniący, atrakcyjny i wilgotny wygląd entuzjastki zasady: „Im więcej, tym lepiej”. Brwi wyskubała do tego stopnia, że właściwie nie istniały, konturówka była tak gruba i ciemna, że wyglądała jak wąsiki, a całą blond głowę dziewczyny

pokrywały dziesiątki drobnych, symetrycznie rozmieszczonych, błyszczących spinek w kształcie motylków. Musiała wstać trzy godziny wcześniej, żeby to zrobić, pomyślała Ashling. Była pod wrażeniem.

– Witam – mruknęła Trix głosem brzmiącym tak, jakby paliła czterdzieści papierosów dziennie. I faktycznie tyle właśnie wypalała.

– Mam spotkanie o dziewiątej trzy... – Ashling przerwała, słysząc za sobą głośny wrzask. Zerknęła przez ramię i ujrzała, że potargany mężczyzna trzyma się za palec wskazujący.

– Ugryzłaś mnie! – wrzeszczał. – Mai, krew mi leci!

– Mam nadzieję, że dostaniesz tęcza – pogardliwie zaśmiała się Azjatka.

Trix cmoknęła, wzniosła oczy do nieba i wymamrotała:

– Para dupków, bez przerwy to robią. Proszę siadać – powiedziała do Ashling. – Powiem Calvinowi, że pani przyszła.

Zniknęła za podwójnymi drzwiami, a Ashling przycupnęła na sofie, obok stolika do kawy, na którym leżały najnowsze numery rozmaitych pism. Na ich widok znowu zamieniła się w kłębek nerwów, tak bardzo chciała dostać tę pracę. Serce waliło jej jak młotem, w żołądku coś się przelewało. Z roztargnieniem obracała między kciukiem a palcem wskazującym szczęśliwy kamyk. Mimo zdenerwowania zdążyła zauważyć, że pogryziony facet wbiegł do ubikacji dla panów. Mała Azjatka ruszyła do windy, a jej długie, czarne włosy kołysały się energicznie.

– Pan Carter zaprasza. – Trix wróciła. Z trudem ukrywała zdumienie. Przez ostatnie dwa dni prześladowali ją zdenerwowani potencjalni pracownicy, którzy zmuszeni byli szwendać się przy jej biurku czasem nawet przez pół godziny. A Trix nie mogła wydzwaniać do przyjaciółek i facetów, tylko musiała znosić namolne pytania interesantów o szanse na pracę tutaj. Co

gorsza, doskonale wiedziała, że Calvin Carter i Jack Devine rzną w sali konferencyjnej w remika.

Jednakże teraz Jack Devine opuścił Calvina Cartera, który siedział i strasznie się nudził. Równie dobrze mógł przeprowadzić rozmowę o pracę.

– Proszę! – huknął, kiedy Ashling nieśmiało zapukała. Zerknął przelotnie na ciemnowłosą kobietę w czarnym kostiumie i natychmiast skreślił ją w myślach. Była zbyt mało efektowna jak na „Irlandkę”. Niewiele wiedział o dziewczęcych fryzurach, ale miał wrażenie, że powinny być bardziej wyszukane niż uczesanie tej kobiety. Czy włosy nie mają wyglądać, jakby się coś z nimi robiło? Bo chyba nie powinny tak sobie zwisać na ramiona i być brązowe? A rumiane oblicze bardzo pasuje do dójek, ale nie do zastępczyni naczelnej pisma dla seksownych pań...

– Proszę siadać. – Uznał, że najlepiej będzie z tym skończyć w ciągu pięciu minut.

Brakowało jej tchu, tak bardzo chciała dobrze wypaść. Usiadła na wolno stojącym krześle na środku pomieszczenia i popatrzyła na mężczyznę za długim stołem.

– Jack Devine, irlandzki dyrektor zarządzający, zaraz tu będzie – wyjaśnił Calvin. – Nie wiem, co go zatrzymało. Na początek... – popatrzył na jej życiorys – proszę mi powiedzieć, jak się wymawia pani imię.

– Aszlink. A jak a, sz jak szewc i link jak linka.

– Ashling. Ashling. OK, dam sobie radę. No dobrze, Ashling, od ośmiu lat pracuje pani w czasopiśmie.

– Właściwie w czasopiśmie. – Ashling usłyszała nerwowy chichot i z przerażeniem zorientowała się, że wydobył się z jej gardła. – W jednym.

– Dlaczego odchodzi pani z „Babskiego Kącika”?

– Szukam nowych wyzwań – wyjaśniła nerwowo. Sally Healy kazała jej tak mówić.

Drzwi się otworzyły i wszedł pogryziony facet.

– O Jack. – Calvin Carter zmarszczył brwi. – To Ashling Kennedy. A jak a, sz jak szewc i link jak linka.

– Miło mi. – Jack miał inne sprawy na głowie. Był w paskudnym humorze. Przez pół nocy negocjował z technikami telewizyjnymi i niemal symultanicznie prowadził negocjacje z amerykańską stacją, którą usiłował przekonać, by nie sprzedawała swego obsypanego nagrodami serialu RTE, tylko Kanałowi 9. I jakby tego było mu mało, obarczyli go jeszcze tworzeniem tego głupiego pisma. Ostatnią rzeczą potrzebną światu jest kolejne pismo dla kobiet! Jeśli jednak miał być szczery, najbardziej martwiła go Mai. Doprowadzała go do szaleństwa. Nienawidził jej. Naprawdę nienawidził. Jak mógł kiedykolwiek myśleć, że za nią szaleje? W życiu nie odbierze jej telefonu. To był ostami raz, ostatni, ostatni...

Kołysał się za stołem, usiłując się skoncentrować na rozmowie – stary Calvin przeprowadzał je niemal bez przerwy. Za chwilę będzie musiał zadać jakieś w miarę powiązane z tematem pytanie, ale myślał jedynie o tym, że wykrwawi się na śmierć. Albo umrze na wściekliznę. Zastanawiał się, kiedy zacznie toczyć pianę z pyska.

Kołysząc się na tylnych nogach krzesła, trzymał przed sobą krwawiący palec i patrzył na niego. Nie mógł uwierzyć, że go ugryzła. Znowu. Przecież obiecywała... Ścisnął mocniej papier toaletowy, który momentalnie poczerwieniał od krwi.

– Proszę opowiedzieć o swoich atutach i słabościach.

– Uczciwie przyznam, że najslabiej radzę sobie z pisaniem. Chociaż potrafię wymyślać slogany, nagłówki i krótkie artykuły, nie mam wielkiego doświadczenia w pisaniu długich artykułów.

Gdyby faktycznie była uczciwa, przyznałaby, że nie ma żadnego doświadczenia w pisaniu jakichkolwiek artykułów.

– Moje atuty: jestem skrupulatna, zorganizowana i pracowita. Dobrze sobie radzę na wicekierowniczych stanowiskach. – powiedziała Ashling gorliwie. Cytowała słowa Sally Healy. Po chwili umilkła i dodała: – Przepraszam, chce pan plaster na ten palec?

Zdumiony Jack Devine popatrzył na nią.

– Kto? Ja?

– Poza panem nikt tu nie krwawi. – Ashling usiłowała się uśmiechnąć.

– Nie... – Jack energicznie pokręcił głową. – Dziękuję – dodał z niechęcią.

– Dlaczego nie? – zainteresował się Calvin Carter.

– Nic mi nie jest. – Jack machnął zdrową ręką.

– Weź ten plaster – warknął Calvin. – To chyba niezły pomysł.

Ashling postawiła sobie torebkę na kolanach i wyciągnęła z niej pudełko z plastrami. Uniosła wieczko, przejrzała plastry, wyjęła jeden z nich i wręczyła Jackowi.

– Proszę przymierzyć.

Jack patrzył na plaster, jakby nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Calvin Carter nie przyszedł mu z pomocą.

Ashling stłumiła westchnienie. Wstała z krzesła, wyjęła plaster z dłoni Jacka i oderwała papierek zabezpieczający.

– Proszę wystawić palec.

– Tak jest, siostró – mruknął.

Szybko i sprawnie owinęła krwawiący palec plastrem. Ku swojemu zdumieniu, pod pozorem sprawdzenia, czy plaster dobrze trzyma, ścisnęła lekko palec i poczuła karygodną satysfakcję na widok pełnego bólu grymasu Jacka.

– Co jeszcze tam pani ma? – spytał Calvin Carter z ciekawością. – Aspirynę?

Ostrożnie kiwnęła głową.

– Chce pan?

– Nie, dzięki. Długopis i notesik.

Ponownie skinęła głową.

– A może – wystawiam panią na ciężką próbę, przyznaję – zestaw przyborów do szycia?

Ashling milczała wstydliwie, a potem wyprostowała się i wyraźnie rozpromieniła.

– Tak się składa, że mam. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Jest pani znakomicie zorganizowana – wymamrotał Jack Devine. W jego ustach zabrzmiało to jak obelga.

– Ktoś musi być. – Calvin Carter zrewidował swoją opinię o Ashling. Była urocza i choć miała szminkę na zębach, przynajmniej użyła szminki. – Dziękujemy pani, będziemy w kontakcie.

Ashling ucisnęła ręce obu mężczyzn, a przy okazji raz jeszcze skorzystała z okazji, żeby sprawić ból Jackowi.

– Podobała mi się. – Calvin Carter uśmiechnął się szeroko.

– Mnie nie – oświadczył Jack Devine kapryśnym tonem.

– Powiedziałem, że mnie się spodobała – powtórzył Calvin Carter. Nie lubił, kiedy mu nie potakiwano. – Jest odpowiedzialna i zaradna. Daj jej tę robotę.

4

Clodagh obudziła się bardzo wcześnie. Nic nowego. Clodagh zawsze budziła się wcześnie. Tak to już jest, kiedy ma się dzieci. Jeśli nie żądają jedzenia, wpychają się do łóżka między ciebie a męża, a jeśli i tego nie robią, siedzą w kuchni o wpół do siódmej rano w sobotę i złowieszczo grzechoczą garnkami.

Tego ranka złowieszczo grzechotały garnkami. Wkrótce miała odkryć, że pięciolatek Craig demonstrował dwuipółletniej Molly, jak się robi jajecznicę. Z mąki, wody, oliwy, keczupu, sosu do mięsa, octu, kakao, urodzinowych świeczek, no i jajek, naturalnie. Dziewięciu jajek, ze skorupkami. Clodagh domyślała się, że na dole dzieją się potworne rzeczy, ale była zbyt zmęczona czy zbyt coś tam, żeby wstać i interweniować.

Wpatrzona w przestrzeń, leżała słuchając, jak krzesła szorują po nowej podłodze wyłożonej kafelkami z kamienia wapiennego, jak otwierają się nowiutkie kredensy SieMatic, i jak garnki Le Creuset są objmane do granic możliwości.

Obok niej, pogrążony w głębokim śnie, Dylan drgnął, a następnie objął Clodagh. Przytuliła się do niego, szukając ukojenia. Nagle zamarła, jak zawsze, i odsunęła się niechętnie, czując na brzuchu jego erekcję.

Żadnego seksu. Nie mogła tego znieść. Pragnęła uczucia, ale kiedy się przytulała do Dylana w poszukiwaniu pociechy, podniecał się. Zwłaszcza

rankami. Czuła się winna za każdym razem, gdy się od niego odsuwała, ale nie na tyle winna, żeby tego nie robić.

Wieczorami miał większe szanse, zwłaszcza kiedy była po paru głębszych. Pozwalała mu się dotknąć przynajmniej raz w miesiącu, gdyż bała się konsekwencji zbyt częstej odmowy. Kiedy więc zbliżał się ostateczny termin, zawsze podpijała sobie solidnie i dawała z siebie wszystko, a jej entuzjazm i inwencja były wprost proporcjonalne do ilości wypitego przez nią ginu.

Dylan znów wyciągnął rękę, na co Clodagh odsunęła się na drugi koniec łóżka ze zwinnością nabytą po wielu miesiącach praktyki.

Nagle z dołu dobiegło ich wyjątkowo histeryczne grzmocenie garnkami.

– Małe sukinkoty – wymamrotał sennie Dylan. – Zwałą nam ten dom na głowę.

– Pójdę na nich nawrzeszczyć. – Bezpieczniej było wstać.

Kiedy przyszła Ashling, jajecznicą Craiga była już tylko wspomnieniem, zastąpiły ją potworności rodzinnego śniadania.

Clodagh otworzyła drzwi, uwikłana w jakieś skomplikowane negocjacje z anielsko śliczną, płowowłosą Molly. Dotyczyły one włożenia sweterka. Molly stanowczo upierała się przy pomarańczowym.

– Cześć, Ashling – powiedziała Clodagh z roztargnieniem, po czym opuściła głowę, patrząc na córkę, i ciągnęła zmęczonym tonem: – Jesteś już za duża, Molly. Nie nosiłaś go od dawna. Może włożysz ten śliczny różowy?

– Niiieee! – Molly próbowała się jej wyrwać.

– Zmarzniesz. – Clodagh mocno trzymała ją za ramię. – Niieeeeee!

– Chodź do kuchni, Ashling. – Clodagh ciągnęła Molly po przedpokoju.

– Craig! Złaż z karuzeli!

Anielsko śliczny, płowowłosy Craig wspiął się na narożny kredens w kuchni i kołysał się na drucianej półce, pełnej torebek ryżu i makaronu.

Ashling podeszła do czajnika i go nastawiła. Ashling i Clodagh dorastały w sąsiedztwie i przyjaźniły się od czasów, gdy Ashling znacznie bezpieczniej czuła się w domu Clodagh niż w swoim.

To właśnie Clodagh doniosła Ashling o jej braku talii, a także oświeciła ją w sprawie innych aspektów jej osoby, mówiąc: „Szczęściara z ciebie, bo masz osobowość. Mnie musi wystarczyć uroda”.

Ashling nie czuła się urażona. Clodagh nie była złośliwa, jedynie bezpośrednia, no i do tego niezaprzeczalnie niezwykle piękna – niewysoka, zgrabna, o skandynawskim typie urody i długich, lśniących blond włosach. Na jej widok kierowcy naciskali na hamulec – chociaż z drugiej strony, nie mieli ku temu zbyt wielu okazji, gdyż w Dublinie zazwyczaj tkwili w korkach.

– Mam pracę! – oznajmiła triumfalnie Ashling.

– Od kiedy?

– Dowiedziałam się ponad tydzień temu – przyznała Ashling. —

Ale codziennie siedziałam w poprzedniej pracy aż do północy, przygotowując wszystkie sprawy dla nowej osoby w „Babskim Kąciku”.

– Dziwiłam się, że się nie odzywasz. Opowiedz mi o tej nowej pracy.

Za każdym razem, gdy Ashling próbowała otworzyć usta, Craig upierał się, że jej poczyta z książki, którą trzymał do góry nogami. Fatalnie się czuł, kiedy choć przez sekundę nie znajdował się w centrum uwagi.

– Idź się pohuścić – kusiała go Clodagh.

– Ale pada.

– Jesteś Irlandczykiem, przywykniesz. Idź. No już!

Kiedy Craig poszedł, Molly zaczęła domagać się uwagi.

– Chcę! – oznajmiła głośno, pokazując palcem na kawę Ashling.

– Nie, to należy do Ashling – oświadczyła Clodagh. – Nie dostaniesz tego.

– Mogę jej dać, skoro chce... – uznała za stosowne wtrącić Ashling.

– Chcę!

Ashling popchnęła kubek w jej kierunku, ale po drodze przejęła go Clodagh, a Molly zaczęła drzeć się jak opętana.

– Po prostu dmucham – wyjaśniła Clodagh. – Żebyś się nie poparzyła.

– Chcę! Chcę! Chcę!

– Jest za gorąca! Poparzysz się.

– Chcę teraz! Teraz!

– Dobrze, ale powoli, nie rozlej.

Molly przyłożyła usta do krawędzi kubka, po czym odrzuciła głowę i wrzasnęła.

– Gorące! Boli! Aaaaaaaaaaaaa!

– A dupa blada – mruknęła Clodagh.

– Dupa blada – oznajmiła wyjątkowo wyraźnie Molly.

– Zgadza się – potwierdziła Clodagh z zaciekłością, która zaszokowała Ashling. – Dupa blada.

Słyszając ryki Molly, do pokoju wpadł Dylan.

– Ashling! – Uśmiechnął się i wielką ręką odrzucił jasne włosy z twarzy.

– Świetnie wyglądasz. Jakież wieści na froncie pracy?

– Znalazłam!

– Będziesz łapała na łące zbiegłe rumaki w Mullingar?

– Nie, to praca w czasopiśmie. Dla młodych kobiet.

– Nieźle! Więcej kasy?

Ashling z dumą pokiwała głową. Podwyżka nie była znacząca, ale i tak kobieta miała zarabiać teraz więcej niż ten psi grosz, który otrzymywała przez ostatnie osiem lat w „Babskim Kąciku”.

– I żadnych listów od ojca Bennetta. Świetnie, że „Rozważny Katolik” splajtował. Pisali o tym gazecie.

– No to fajnie się ułożyło – oświadczyła rozpromieniona Ashling. – Pretensje pani O’Sullivan z Waterford to pewnie najlepsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło.

Dylan wydawał się rozbawiony, a po chwili zaniepokojony, gdyż z ogrodu dobiegły ich koszarne odgłosy. Craig zleciał z huśtawki i, sądząc po jego wrzaskach, cierpiał. Ashling już szukała w torbie lekarstwa.

Dla siebie.

– Pójdiesz? – Clodagh popatrzyła zmęczonym wzrokiem na Dylana. – Ja je mam przez cały tydzień. I nie chcę słyszeć o żadnych obrażeniach lżejszych niż złamanie z przemieszczeniem.

Dylan zniknął.

– Chcesz, żebym sprawdziła, co z Craigiem? – spytała Ashling niespokojnie. – Mam plastry.

– Ja też – westchnęła znużona Clodagh. – Opowiedz mi o swojej pracy. Proszę.

– OK. – Ashling po raz ostatni popatrzyła z żalem na ogród. – To wysokopółkowe czasopismo. O wiele bardziej stylowe niż „Babski Kącik”.

Kiedy dotarła do awantury Jacka Devine'a z Azjatką, która go ugryzła, Clodagh w końcu się ożywiła.

– Mów dalej. – Jej oczy załśniły. – Mów. Nic nie poprawia mi humoru bardziej niż cudza kłótnia. W zeszłym tygodniu wyszłam z siłowni i

zobaczyłam kobietę i mężczyznę w samochodzie. Wydzielali się na siebie. Wydzielali! Słyszałam ich mimo zamkniętych okien. Przez cały dzień miałam dobry humor.

– Nienawidzę tego – wyznała Ashling. – To takie przygnębiające.

– Dlaczego? To pewnie przez twoją, hm, przeszłość... Ale większość ludzi to lubi. Mają świadomość, że nie tylko im się nie układa.

– A komu się nie układa? – Na twarzy Ashling pojawił się niepokój.

– Nikomu. – Clodagh wydawała się zakłopotana. – Ale naprawdę ci zazdroszczę! – wybuchnęła nagle. – Jesteś sama, zaczynasz nową pracę, w twoim życiu tyle się dzieje!

Ashling zatkało. Jej zdaniem życie Clodagh było idealne. Przystojny, oddany mąż ze świetnie prosperującą firmą, gustowny, edwardiański dom z czerwonej cegły w szykownym Donnybrook. Nic do roboty przez cały dzień, poza ugotowaniem w mikrofalówce makaronu, planami zmian w idealnych pokojach i czekaniem na Dylana.

– Na pewno wczoraj byłaś w klubie – powiedziała Clodagh niemal oskarżycielskim tonem.

– Tak, ale... Tylko w Sugarclubie, wróciłam do domu o drugiej. Sama – dodała z naciskiem. – Clodagh, ty masz wszystko. Dwójkę wspaniałych dzieci, cudownego męża...

Czyżby był cudowny? Clodagh ze zdumieniem uświadomiła sobie, że ostatnio w ogóle tak nie myśli. Z niechęcią zgodziła się, że jak na faceta dobrze po trzydziestce, Dylan nieźle się trzymał – jego brzuch nie zamienił się w miękki, obwisły flak pełen piwa, jak u tyłu jego rówieśników. Nadal interesowało go, co ma na grzbiecie, nawet bardziej niż ją. I chodził do

porządnego fryzjera, a nie do miejscowego golibrody, od którego wszyscy wychodzili, wyglądając jak swoi ojcowie.

– Wyglądasz fantastycznie! – ciągnęła Ashling. – Dwoje dzieci, a masz lepszą figurę ode mnie – ja nie mam dzieci i pewnie nie będę miała, przy moim szczęściu do mężczyzn. Ha, ha.

Ashling bardzo pragnęła rozweselić Clodagh, ale usłyszała tylko:

– Wszystko jest takie monotonne. Zwłaszcza z Dylanem. Ashling desperacko szukała jakiejś rady.

– Musisz odtworzyć dawną magię. Przypomnij sobie tylko, co czułaś, gdy się poznaliście.

Skąd to wytrzasnęła? A tak, sama to napisała w „Babskim Kąciku”, do kobiety, którą szlag trafiał, bo jej mąż przeszedł na emeryturę i ciągle plątał się jej pod nogami.

– Nawet nie pamiętam, gdzie go poznałam – westchnęła Clodagh. – Nie, jasne, że pamiętam. Przyprowadziłaś go na dwudzieste pierwsze urodziny Lochlana Hegarty'ego, pamiętasz? Jezu, kopę lat.

– Musisz wciąż to podsycać – zacytowała samą siebie Ashling.

– Chodzić na romantyczne kolacje, wyjechać razem z nim na weekend. Mogę popilnować dzieciaków, kiedy tylko poprosisz. – Poczwała nagły niepokój wywołany tą pochopną decyzją.

– Chciałam wyjść za mąż. – Clodagh najwyraźniej mówiła do siebie. – Dylan i ja wydawaliśmy się dla siebie stworzeni.

– Delikatnie mówiąc. – Ashling pamiętała, jaki dreszcz przeszył wszystkich, kiedy Clodagh i Dylan popatrzyli na siebie po raz pierwszy. Dylan był najprzystojniejszym mężczyzną w grupie, z którą się spotykał. Clodagh była niezaprzeczalnie najładniejszą dziewczyną ze swojej paczki, a ludzie

zawsze Igną do podobnych sobie. Kiedy Dylan i Clodagh wymienili to fatalne spojrzenie, Ashling była na randce z Dylanem – pierwszej i, jak się okazało, ostatej. Od tego spojrzenia Dylana i Clodagh jej los był przesądzony. Nie miała im tego za złe. Byli stworzeni dla siebie, nie musiała robić z tego sprawy.

Clodagh zaśmiała się z wysiłkiem.

– Wszystko jest pod kontrolą. Albo będzie, kiedy zmienię kolory w salonie.

– Znowu nowy wystrój! – Ostatnio Clodagh zmieniała wygląd kuchni. A prawdę mówiąc, salonu też.

Popołudniem, w drodze do domu Ashling wstąpiła do Tesco, by kupić coś do jedzenia. Wrzuciła do wózka mnóstwo paczek popcornu do podgrzewania w mikrofalówce i poszła do kasy.

Kobieta, która stała przed nią w kolejce, wyglądała tak stylowo, że Ashling wychyliła się, by lepiej ją widzieć. Podobnie jak Ashling, kobieta miała na sobie bluzę, adidas i rozpinany sweterek, ale, inaczej niż w wypadku Ashling, wszystko na niej wyglądało imponująco i świeżo. Tak jak rzeczy przed pierwszym praniem, kiedy jeszcze bije od nich nowość.

Nieznajoma miała różowe buty Nike, takie, jakie Ashling widziała w czasopiśmie, jeszcze niedostępne w Irlandii. Jej różowy, jedwabny plecak pasował do różowego żelu w butach. I miała prześliczne włosy – lśniące, gęste – o jakich normalna kobieta może tylko pomarzyć. Zafascynowana Ashling zerknęła do koszyka nieznajomej. Siedem puszek slimfastu o smaku truskawkowym, siedem ziemniaków, siedem jabłek, i cztery... pięć... sześć... siedem osobno zapakowanych czekoladowych kwadracików z

samoobsługowej cukierni. Nawet nie włożyła czekoladek do torby, najwyraźniej traktowała je jak siedem osobnych tabliczek.

Jakieś przeczucie podpowiadało Ashling, że ten niemal pusty koszyk to tygodniowe zakupy tej kobiety. Chyba że zaopatrzyła w jedzenie Apsika, Gapcia, Wesołka, Śpionszka i jeszcze tych trzech, jak im tam było.

5

Lało jak z cebra, kiedy samolot Lisy w samo południe wylądował na dublińskim lotnisku. Wylatując z Londynu, niemądrze założyła, że na pewno nie poczuje się jeszcze gorzej, ale jeden rzut oka na przemoczony deszczem Dublin uświadomił jej, że popełniła błąd.

Dermot, taksówkarz, który wiozł Lisę do centrum, jeszcze bardziej popsuł jej humor. Był gadatliwy i przyjazny, a ona nie miała ochoty na kontakt z nikim gadatliwym i przyjaznym. Pomyślała z utęsknieniem o uzbrojonym w uzi psychopacie, który być może wiozłby ją taksówką, gdyby była teraz w Nowym Jorku.

– Ma tu pani rodzinę? – spytał Dermot.

– Nie.

– A chłopaka?

– Nie.

Nie powiedziała nic więcej, więc postanowił podtrzymać rozmowę.

– Uwielbiam jeździć autem – wyznał.

– Hura – odparła niegrzecznie.

– Wie pani, co robię, jak mam wolne?

Lisa go zignorowała.

– Jeżdżę sobie! No właśnie! I to nie do Wicklow, ale daleko. Do Belfastu, do Galway albo do Limerick. Raz nawet dotarłem do Letterkenny, to w Donegal. Uwielbiam swoją pracę.

I tak plół, gdy sunęli bardzo powoli po mokrych, śliskich ulicach. Pod hotelem na Harcourt Street kierowca pomógł jej wnieść do środka kilka walizek i życzył przyjemnego pobytu w Irlandii.

Aparthotel Malone należał do nowego gatunku hoteli – nie było tu baru, restauracji, obsługi hotelowej ani właściwie niczego poza trzydziestką pokoiów wyposażonych w kuchenne aneksy. Lisa zarezerwowała pokój na dwa tygodnie, w nadziei, że przez ten czas zdoła sobie znaleźć jakieś przyzwoite mieszkanie.

Oszołomiona, rozwiesiła kilka rzeczy, wyjrzała na szarą, zatłoczoną ulicę, po czym wyszła na deszcz, żeby obejrzeć miasto, które miało stać się jej domem.

Teraz, kiedy naprawdę tu była, szok zaatakował ją z niesłychaną siłą. Dlaczego jej życie tak się pogmatwało? Powinna w tej chwili spacerować Piątą Aleją, a nie łązić po tej mokrej wiosze.

W przewodniku napisali, że spacer po Dublinie i zwiedzenie najważniejszych miejsc zajmie pół dnia –jakby to była zaleta! Napisali również, że niespełna dwie godziny wystarczą na obejrzenie głównych atrakcji po północnej i południowej stronie rzeki Liffey. Było gorzej, niż sądziła: nigdzie nie sprzedawano kremów La Prairie, butów Stephane Kelian, ciuchów Vivienne Westwood i Ozwalda Boetenga.

Dziura. Zadupie, pomyślała w łagodnej hysterii. Trzy chałupy na krzyż, zelektryfikowane ledwie przed rokiem.

Chciała wracać do domu. Tak bardzo tęskniła za Londynem! Nagle ujrzała we mgle coś, co natychmiast pokrzepiło ją na duchu – Marksa&Spencera!

Zazwyczaj omijała te sklepy z daleka: ubrania były zbyt niemodne, jedzenie zbyt kuszące, dziś jednak rzuciła się do wejścia jak ścigany dysydent szukający azylu na terenie ambasady obcego państwa. Mało brakowało, a przywarłaby, dysząc, do drzwi – nie mogła jednak tego zrobić, bo były automatyczne. Natychmiast zniknęła w dziale spożywczym, gdyż nie było tu okien i mogła spokojnie oddawać się marzeniom.

Jestem w sklepie na High Street Kensington, wmawiała sobie w duchu. Za chwilę wyjdę i wpadnę do Urban Outfitters. Przystanąłem w dziale warzywnym. Nie, zmieniłam zdanie. Jestem w sklepie na Marble Arch. Jak skończę robić zakupy, pójdę na South Molton Street.

Świadomość, że sałatki melonowe przed nią były częścią diasporę sałatek melonowych we wszystkich londyńskich filiach sklepu, przynosiła jej dziwne ukojenie. Lisa nacisnęła sztywne, plastikowe wieczko i poczuła, że jest tam, gdzie powinna – było to niezbyt silne wrażenie, ale przynajmniej wróciła do rzeczywistości.

Kiedy odzyskała spokój, poszła do zwykłego supermarketu i zrobiła zakupy na cały tydzień. Ta rutyna utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach, przynajmniej w przeszłości. Powlokła się do domu. Kaptur swetra chronił jej włosy przed deszczem, który znów się rozpadał. Rozpakowała siedem puszek slimfastu i ustawiła je schludnie w szafce. Ziemiaki i jabłka powędrowały do małej lodówki, a siedem czekoladek do szuflady. I co teraz? Sobotni wieczór. Całkiem sama w obcym mieście. Nie miała nic do roboty, mogła tylko siedzieć i patrzeć... Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że w pokoju nie ma telewizora.

Był to tak mocny cios, że z jej oczu trysnęły gorące, pełne wściekłości łzy. I co teraz? Przejrzała już nowy numer „Elle”, „Red”, „New Woman”, „Company”, „Cosmo”, „Marie Claire”, „Vogue”, „Tatlera” i irlandzkie pisma, z którymi miała rywalizować. Pomyślała, że mogłaby poczytać książkę. Gdyby jakąś przywiozła. Albo gazetę, ale przecież gazety były takie nudne i przygnębiające... W sumie mogła porozwieszać ubrania. I tak, podczas gdy ulice wypełniały się ludźmi zmierzającymi do miejsc, gdzie można się urządzić, Lisa pałała papierosy, wieszła sukienki, spódnice i marynarki na wieszakach, układała swetry i topy w szufladach, ustawiała buty i pantofle w wojskowym szyku, wieszła torebki. Nagle zadzwonił telefon, wyrywając ją z tego z otępienia.

– Halo? – Natychmiast pożałowała, że sięgnęła po słuchawkę. To był Oliver. Dupek jeden. – Gdzie... Skąd masz ten numer?

– Od twojej mamy.

Wścibska stara krowa.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, Liso?

Nigdy.

– Niedługo. Jak tylko coś wynajmę.

– Co zrobiłaś z naszym mieszkaniem?

– Wynajęłam. Bez obawy, dostaniesz swoją działkę.

– Dlaczego Dublin? Myślałem, że chcesz jechać do Nowego Jorku.

– To wydawało się rozsądniejsze.

– Jezu, ciężko się z tobą gada. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa – oświadczył tonem wskazującym na to, że ma nadzieję na coś wręcz przeciwnego. – Oby było warto.

I się rozłączył.

Popatrzyła na dublińską ulicę i zaczęła się trząść. Warto było. Musiała zrobić, co w jej mocy, żeby było warto. Sprawić, że „Irlandka” stanie się największym hitem wśród pism dla kobiet.

Zaciągnęła się głęboko, po czym zapaliła raz jeszcze, bo myślała, że papieros zgaśł. Nie zgaśł, ale i nie pomógł. Potrzebowała czegoś. Czekolada krzyczała do niej z szuflady, ale Lisa się oparła. To, że czuła się tak potwornie, nie było powodem, by przekroczyć limit tysiąca pięciuset kalorii dziennie.

W końcu się poddała. Rozparta w fotelu, powoli zdarła papierek i przejechała zębami po czekoladce, odgryzając kawałeczek po kawałeczku, aż nic nie zostało.

Zajęło jej to równą godzinę.

6

Pod drzwiami Ashling słychać było pobrzękiwanie butelek, co zapowiadało przybycie Joy.

– Ted już idzie, nie zatraskuj drzwi. – Joy postawiła butelkę białego wina na niewielkiej ladzie kuchennej.

Ashling przygotowała się na nieuchronne. Instykt jej nie zawiódł.

– Phil Collins. – W oku Joy pojawił się niegodziwy błysk. – Michael Bolton albo Michael Jackson, i musisz się przespać z jednym z nich.

Ashling się skrzywiła.

– Na pewno nie Phil Collins, na pewno nie Michael Jackson i na pewno nie Michael Bolton.

– Musi być jeden z nich. – Joy zajęła się korkociągiem.

– Chryste. – Na twarzy Ashling malowało się obrzydzenie. – Pewnie Phil Collins, już od jakiegoś czasu go nie wybierałam. No dobra, twoja kolej. Benny Hill, Tom Jones albo... Zaraz, kto jest naprawdę ohydny? Paul Daniels.

– Stosunek czy tylko...

– Stosunek – powiedziała stanowczo Ashling.

– No to Jones – westchnęła Joy, wręczając Ashling butelkę wina. – A teraz pokaż mi, co włożysz.

Był sobotni wieczór, a Ted zamierzał kontrolnie wyjść publicznie na scenę jako jeden z komików wieczoru. Po raz pierwszy występował przed kimś więcej niż przyjaciółmi i rodziną, a Ashling i Joy miały mu towarzyszyć, żeby trzymać go za rękę, a potem iść z nim na imprezę.

Joy, która nazywała się Ryder, mieszkała pod Ashling. Była niska, okrągła, kędzierzawa i niebezpieczna – z powodu swojego nienasyconego apetytu na alkohol, narkotyki i mężczyzn, no i prób demoralizacji Ashling.

– Chodź do mojej sypialni – zaproponowała Ashling, więc się tam udały.

– Zamierzam włożyć te kremowe rybaczki i ten top. – Za szybko cofnęła się od szafy i przydeptała stopę Joy, która odskoczywszy, wyrznęła łokciem w przenośny telewizor.

– Au! Czy nigdy cię nie wkurza ciasnota tych pudełek na buty? – westchnęła Joy, rozcierając łokieć.

Ashling pokręciła głową.

– Uwielbiam życie w mieście, a w końcu nie można mieć wszystkiego.

Szybko przebrała się w swoje wyjściowe ciuchy.

– Ja w takim ubranku wyglądałabym jak facet z cyckami – odezwała się z zawiścią w głosie Ho. – Strasznie mieć kształt gruszki!

– Ale przynajmniej masz talię. Pomyślałam, że zrobię coś z włosami...

Pozazdrościwszy Trix, Ashling kupiła kilka kolorowych spinek, kiedy jednak wpięła je z przodu włosów, rozdzielając je na dwa pasemka, efekt był zgoła inny, niż zaplanowała.

– Wyglądam idiotycznie!

– Wyglądasz – przytaknęła uprzejmie Joy. – Myślisz, że Człowiek–borsuk będzie na imprezie po występie?

– Możliwe, przecież poznałaś go na balandze Teda. Człowiek—borsuk ma przyjaciół wśród komików, prawda?

– Ummm – mruknęła z rozmarzeniem Joy. – Ale to było wiele tygodni temu, od tamtego czasu go nie widziałam. Gdzie zniknął ten tajemniczy Człowiek–borsuk nie wiadomo skąd? Postaw mi tarota, dowiem się, co mnie czeka.

Wpadły do maleńkiego saloniku, a Joy wyciągnęła kartę z talii i odwróciła się do Ashling.

– Dziesiątka mieczy. Dupa blada, co?

– Dupa blada – zgodziła się Ashling.

Joy złapała karty i bardzo szybko przejrzała jedną po drugiej, aż znalazła taką, która przypadła jej do gustu.

– Królowa pałek – lepiej. Teraz ty.

– Trójka kielichów. – Ashling uniosła kartę. – Początek.

– To znaczy, że i ty poznasz faceta.

Ashling wybuchnęła śmiechem.

– Sporo czasu minęło, odkąd Phelim wyjechał do Australii, prawda? – spytała Joy. – Powinnaś wybić sobie go z głowy.

– Wybiłam. Przecież to ja zerwałam.

– Tylko dlatego, że nie postąpił jak należy. Chociaż i tak punkt dla ciebie, bo kiedy moim facetom brakuje przyzwoitości, nie umiem pokazać im drzwi. Jesteś bardzo silna.

– To nie siła. Nie mogłam znieść napięcia związanego z czekaniem, kiedy się zdecyduje. Myślałam, że będę miała załamanie nerwowe.

Phelim przez pięć lat był jej chłopakiem z doskoku. Łączyły ich miłe i nieco mniej miłe chwile, gdyż Phelim w ostatniej chwili tracił zimną krew i nie potrafił zdecydować się na pełny, zaangażowany związek.

Żeby jako tako funkcjonować, Ashling przez całe życie nie następowała na spojenia między płytami chodnikowymi, nie przechodziła pod drabiną, podnosiła drobne i czytała horoskopy, swoje i Phelima. Jej kieszenie zawsze były pełne kamyków na szczęście, różowego kwarcu i cudownych medalików, starła też niemal całą pozłotkę ze swojego Buddy.

Za każdym razem, gdy wracali do siebie, ich zasoby nadziei coraz bardziej się kurczyły i w końcu miłość Ashling się wypaliła. Jak każde zerwanie, i to ostatnie było pozbawione goryczy. Ashling powiedziała spokojnie: „Ciągłe powtarzasz, jak nienawidzisz tkwić w Dublinie i jak chciałbyś podróżować po świecie. Jedź. Zrób to”.

Nawet teraz istniała między nimi wątpliwość porozumienia, choć dzieliło ich dziewiętnaście tysięcy kilometrów. Phelim wrócił do domu w lutym, na ślub brata, i Ashling była pierwszą osobą, z którą się spotkał. Padli sobie w ramiona i przytulali się przez kilka minut, mając w oczach łzy żalu, że jednak im się nie udało.

– Sukinsyn – oświadczyła stanowczo Joy.

– Nieprawda. Nie mógł mi dać tego, czego potrzebowałam, co nie znaczy, że go nienawidzę.

– Ja tam nienawidzę wszystkich swoich byłych – pochwaliła się

Joy .– Nie mogę się doczekać, kiedy Człowiek–borsuk do nich dołączy. Wtedy nie będę tyle o nim myślała. A jeśli się dziś pojawi? Muszę udawać niedostępną. Gdyby... No nie, pierścionek zaręczynowy to byłaby przesada. Chyba malinka załatwi sprawę.

– A kto ci ją zrobi?

– Ty! Tutaj. – Joy odgarnęła gęste loki z szyi. – Masz coś przeciwko temu?

– Tak.

– Bardzo proszę.

A ponieważ Ashling była posłuszną osobą, stłumiła niechęć, bez przekonania dotknęła zębami szyi Joy i zrobiła jej malinkę. Jeszcze zanim skończyła, usłyszały:

– Och.

Uniosły wzrok, zastygłe w pozie świadczącej niejako o poczuciu winy. Ted spoglądał na nie z osłupieniem. Wydawał się przygnębiony.

– Drzwi były otwarte... Nie wiedziałem... – Zebrał się w sobie. – Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwe.

Ashling i Joy popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem. W końcu Ashling zlitowała się nad Tedem i wszystko mu wyjaśniła. Ujrzał na stoliku karty do tarota i nie mógł się oprzeć.

– Ósemka pałek. Ashling, co to znaczy?

– Sukces w pracy – odparła Ashling. – Twój dzisiejszy występ zakończy się nieprawdopodobnym sukcesem.

– Tak, ale czy będę miał powodzenie u dziewczyn?

Ted został komikiem z jednego jedyne dowodu – żeby znaleźć dziewczynę. Widział, jak kobiety garną się do komików pracujących w Dublinie, i uznał, że jako komik ma znacznie większe szanse niż w biurze matrymonialnym. Co nie oznacza, że kiedykolwiek był w prawdziwym biurze matrymonialnym. Miał do czynienia wyłącznie z biurem matrymonialnym Ashling Kennedy – Ashling nieustrudzenie szukała partnerów dla swoich samotnych znajomych. Niestety, jedyną koleżanką Ashling, która spodobała się Tedowi, była Clodagh. Zajęta. Nawet bardzo zajęta.

- Weź inną kartę – zachęciła go Ashling. Podniósł wisielca.
- Na pewno będziesz miał dziś szczęście – obiecała mu Ashling.
- Ale to wisielec.
- Nieważne.

Ashling wiedziała, że jeśli tylko postawi się faceta na scenie, to nawet jeśli nie będzie sobie radził – czy to z grą na gitarze ze skakaniem w kubraku i fioletowych pończochach albo z uwagami typu, że czasem czeka się na autobus całymi godzinami, a potem przyjeżdżają trzy naraz – można dać głowę, że kobietom przypadnie do gustu. Nawet na zakurzone, wysokim na trzydzieści centymetrów podium w małej sali nabierze dziwnego, uwodzicielskiego czaru.

- Postanowiłem zmienić występ, pójść w lekki surrealizm. Będę mówił o sowach.
- O sowach?
- Niejednemu udało się z sowami – odparł nieco wrogo. – Pomyśl o Harrym Hillu albo Kevinie McAllerze.

– Chryste. – Ashling ścisnęło się serce. – Chodźmy. Kiedy wychodzili, w przedpokoju zrobiło się małe zamieszanie, gdyż każdy chciał potrzebę Buddę na szczęście.

Występy odbywały się w pełnym ludzi, hałaśliwym klubie. Ted występował w połowie wieczoru, a choć prawdziwi komicy byli naprawdę dowcipni, Ashling nie potrafiła się dobrze bawić. Wciąż martwiło ją, że Ted położy występ.

Popisy pierwszego amatora źle wróżyły. Był to dziwaczny, owłosiony młodzian, którego dowcipy polegały niemal wyłącznie na naśladowaniu Beavisa i Buttheada. Publiczność okazała się nieubłagana. Gdy ludzie buczeli i darli się: „Won, jesteś do niczego!”, Ashling umierała z niepokoju.

Nadeszła kolej na Teda. Ashling i Joy trzymały się za ręce jak dumni, ale zaniepokojeni rodzice. Momentalnie ich dłonie zrobiły się śliskie od potu, musiały je puścić.

W świetle reflektora Ted wydawał się kruchy i bezbronny. Z roz-targnieniem potarł się po brzuchu, unosząc nieco podkoszulek, i od niechcienia demonstrując publiczności gumkę majtek od Calvina Kleina i fragment owłosionego podbrzusza. Ashling była pełna uznania. To mogło zainteresować dziewczyny.

– Do baru wchodzi sowa – zaczął Ted. Publiczność skierowała ku niemu zaciekawione twarze. – Zamawia szklanek mleka, paczkę chipsów i dziesięć sztuk papierosów. Barman spogląda na przyjaciela i mówi: „Popatrz, gadająca sowa”.

Tu i ówdzie rozległy się pojedyncze śmiechy, lecz poza tym panowała pełna wyczekiwania cisza. Każdy chciał usłyszeć puentę.

Ted niespokojnie przystąpił do opowiadania następnego żartu.

– Moja sowa nie ma nosa – oznajmił.

Nadal cisza. Ashling z przejęcia niemal wbiła sobie paznokcie w dłonie.

– Moja sowa nie ma nosa – powtórzył zdesperowany.

Wówczas Ashley zrozumiała.

– Czym oddycha? – zawołała drżącym głosem.

– Powietrzem!

Ludzie milczeli zdezorientowani. Niektórzy spoglądali na twarze sąsiadów, lecz każdy sprawiał wrażenie zdumionego.

Ted brnął dalej.

– Spotkałem kumpla, i on mówi: „Kim była ta pani, z którą spacerowałeś po Grafton Street?” Na co ja: „To nie była żadna pani, tylko moja sowa!”

I nagle publiczność zaczęła rozumieć. Śmiech początkowo był przyciszony, lecz narastał, nasilał się i w końcu widzowie zaczęli wic się na krzesłach. Należy jednak uczciwie zauważyć, że był sobotni wieczór i wszyscy zdążyli się już solidnie napracić.

Ashling usłyszała, jak za jej plecami ludzie szepczą:

– Ten facet jest nieprawdopodobnie śmieszny. Kompletnie od czapy.

– Co jest żółte i mądre? – palnął Ted z uśmiechem.

Miał publiczność w garści. Wszyscy wstrzymali oddechy, czekając na clou dowcipu. Ted powiódł wokoło spojrzeniem pełnym triumfu.

– Majonez skażony sową!

Ściany zatrzęśły się od gromkiego śmiechu. – Co ma uszy i kufer?
Chwila wyczekiwania.

– Sowa jadąca na wakacje. Rzecz jasna, chodzi o sowę uszatą.

Widzowie ponownie ryknęli śmiechem.

– Trwa rozmowa o pracę. – Ted był na fali, a ludzie niemal powpadali pod stoliki. – Przychodzą trzy sowy, każda musi powiedzieć, co jest stolicą Rzymu. Pierwsza sowa mówi, że nie wie; druga, że Włochy; trzecia, że Rzym jest stolicą. Która sowa dostaje pracę?

– Ta z największymi cyckami! – wrzasnął ktoś z tyłu, ku powszechnej uciechu i aprobacie. Rozległy się owacje tak donośne, jak łopot skrzydeł stada ptaków. Bardziej doświadczeni komicy, którzy pozwolili Tedowi wystąpić tylko po to, żeby się od nich odczepił, popatrzyli na siebie niespokojnie.

– Niech spada, mały drań – mruknął Rowerowy Billy.

– Muszę iść – powiedział ze smutkiem Ted, kiedy Mark Dignan pokazał mu gest podrzynania gardła.

– Oooooo – zawyła rozczarowana publiczność.

– Stworzyliśmy pieprzonego potwora! – wyszeptał Rowerowy Billy do Archiego Archera (który naprawdę nazywał się Brian O'Toole).

– Jestem Ted Mullins, komik, przy którym nie grozi wam, że się zasępicie. A może osowiejecie? – Ted zmrużył oko. – Dzięki za sowite brawa, sowizdrzały!

Wyszedł przy akompaniamencie historycznych wiwatów, tupania i burzliwych oklasków.

Później, kiedy wszyscy opuszczali klub, Ashling podsłuchiwała, jak wiele osób mówi o Tedzie.

– Co jest żółte i mądre? Myślałam, że pękne ze śmiechu.

– Ten Ted był fantastyczny. I seksowny. – Podobało mi się, jak podciągnął...

– Podkoszulek. Mnie też.

– Myślisz, że ma dziewczynę?

– Bankowo.

Przyjęcie odbywało się w nowoczesnym apartamentowcu na nabrzeżu. Mieszkanie należało do Marka Dignana, przyszło wielu komików, więc Ashling spodziewała się nieustannych, histerycznych wybuchów śmiechu. Tymczasem, choć pokoje były zatłoczone i wszyscy rozmawiali, panowała dziwnie ponura atmosfera.

– Trzymają gęby na kłódkę, żeby nikt im nie ukradł odzywek i pomysłów – wyjaśniła Joy, weteranka takich imprez. – Bez widowni, która płaci, za nic nie zmusisz tych typków do żartów. No, gdzie on się podział.

Joy wyruszyła na poszukiwanie Człowieka–borsuka, a Ashling nalała sobie kieliszek wina w kuchni, gdzie Rowerowy Billy zwijał sobie skręta. Był niski i przypominał trolla, mogła więc się do niego uśmiechnąć.

– Byłeś dziś bardzo zabawny – powiedziała. – Musisz czerpać wielką satysfakcję ze swojej pracy.

– Niezupełnie – odparł błyskawicznie. – Bo widzisz, piszę książkę. Właśnie to chcę robić w życiu.

– Jak miło – ucieszyła się uprzejmie.

– Wcale nie – sprostował. – Książka nie jest miła, tylko prawdziwa, przygnębiająca. Bardzo ponura. Gdzie zapalniczka?

– Pozwól. – Ashling zapalką przypaliła mu skręta.

Przyszło jej do głowy, że pewnie bardzo go potrzebował.

Wśród tłumów w salonie zobaczyła Teda na fotelu oraz kolejkę zainteresowanych nim dziewcząt, czekających cierpliwie na swoją kolej. Przez okno, na czarne jak smoła wody Liffey wyglądała zamyślona postać, której długie, czarne włosy przedzielało pośrodku siwe pasmo. Aha, pomyślała

Ashling, tajemniczy Człowiek–borsuk nie wiadomo skąd. Joy stała nieopodal, z zapalem go ignorując.

W takiej sytuacji Ashling postanowiła zostawić przyjaciółkę samą. Kręcąc się po pokoju i popijając wino, zauważyła Marka Dignana. Z nim też mogła pogadać, bo miał ponad dwa metry wzrostu i wyjątkowo wylupiate oczy, jak na kogoś, kogo nie powieszono.

Zbył jej pochwały lekceważącym machnięciem ręki.

– Będę się tym zajmował, dopóki nie wydam książki.

– A więc i ty piszesz książkę. Hm.... O czym?

– O człowieku, który widzi całą zgniliznę świata. – Oczy Marka niemal wyskoczyły z orbit. Wypadną na dywan, jeśli nie będzie ostrożny, pomyślała z niepokojem Ashling.

– Bardzo przygnębiająca – pochwalił się Mark. – Nieprawdopodobnie przygnębiająca. Facet nienawidzi życia bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– Eee... powodzenia.

Nieszczęsny sukinsyn. Ashling poszła dalej i natychmiast została przechwycona przez rozentuzjzmowanego mężczyznę, który utrzymywał, że Ted to komik–anarchista, ironiczny i postmodernistyczny dekonstrukcjonista gatunku.

– Wziął zwykły kawał i całkiem go przenicował. Rzucił rękawicę naszym wyobrażeniom na temat tego, co jest śmieszne. Tak czy owak, zatańczysz?

– Co? Tutaj? – Ashling była kompletnie zaskoczona. Już od dawna żaden nieznajomy nie poprosił jej do tańca. Zwłaszcza w cudzym salonie. Chociaż kiedy się rozejrzała, dostrzegła, że ludzie – oczywiście wyłącznie płci żeńskiej – gibają się do muzyki Fat Boy Slima. –Nie, dziękuję. Jest za wcześnie, nadal mam zahamowania.

– OK, poproszę cię za godzinę.

– Świetnie! – wykrzyknęła głucho, przybierając wyczekującą minę. Wiedziała, że w ciągu godziny nie zdoła się tak spać, aby z nim zatańczyć. Do końca życia nie zdoła.

Jakiś czas później, zachwycona ujrzała, jak Joy całuje oblicze Człowieka–borsuka.

Pokręciła się jeszcze po pokoju. Choć impreza była do bani, Ashling ze zdumieniem przekonała się, że cieszy ją przebywanie wśród tłumu, a jednak na jego obrzeżach. Rzadko kiedy bywała tak zadowolona; właściwie nigdy nie czuła pełnej satysfakcji. Nawet w najlepszych chwilach w głębi duszy czegoś jej brakowało. Przypominało to maleńką kropkę wielkości główki szpilki, która pozostaje w morzu czerni ekranu, kiedy późnym wieczorem trzeba wyłączyć telewizor.

Dziś jednak Ashling była spokojna i opanowana, lecz nie samotna. I choć nieliczni mężczyźni, którzy ją zaczepiali, w ogóle nie przypadli jej do gustu, nie czuła się jak nieudacznik, kiedy postanowiła iść do domu.

W drzwiach znowu spotkała entuzjastycznego nieznajomego.

– Już idziesz? Chwila. – Napisał coś na kartce i wręczył jej.

Poczekala z rozłożeniem kartki, aż znalazła się na zewnątrz. Napisał nazwisko: „Marcus Valentine”, numer telefon i polecenie: „Zwoń moi”.

Nic tego wieczoru aż tak jej nie rozbawiło.

Spacer do domu zajął jej dziesięć minut – przynajmniej przestało padać. Kiedy dotarła pod drzwi wejściowe swojego domu, ujrzała, że śpi w nich bezdomny.

Ten sam, co wczoraj Uświadomiła sobie, że jest młodszy, niż myślała. Błady i szczupły, ścisnął kurczowo swój brudny, pomarańczowy worek. Wydawał się bardzo młody.

Pogrzebała w plecaku, znalazła funta i położyła go obok jego głowy. Przestraszyła się jednak, że mu go zabiorą, więc wsunęła funta pod koc. Przeszła nad bezdomnym i wśliznęła się do środka.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszała: „dziękuję”, tak ciche, że nie była pewna, czy go sobie nie wyobraziła.

Kiedy Ted robił furorę w Funny Farm, Jack Devine otwierał drzwi swojego domu w ponurym zakątku Ringsend, nieopodal morza.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? – spytała Mai. – Nigdy nie masz dla mnie czasu.

Minęła go i weszła na schody, rozpinając dzinsy.

Jack popatrzył na morze, na niemal czarne fale, równie nieprzeniknione jak jego oczy. Potem zamknął drzwi i powoli ruszył za nią po schodach.

Tymczasem w stylowym edwardiańskim domu z czerwonej cegły w Donnybrook Clodagh wypijała czwarty gin i zebrała siły. Minęło dwadzieścia dziewięć dni.

7

W niedzielę Ashling obudziła się w południe, wypoczęta i leciutko skacowana. Leżała na kanapie i paliła papierosy, aż *Dukes of Hazzard* dobiegli końca. Potem wyszła i kupiła chleb, sok pomarańczowy, papierosy i dwie gazety – szmatławca i poważny dziennik, żeby szmatławiec się nie liczył.

Gdy nasyciła się już wymiotnymi historyjkami o niewierności, postanowiła posprzątać. Porządki polegały na przeniesieniu mniej więcej

dwudziestu talerzy pełnych okruszków i na wpół pełnych szklanek z wodą z sypialni do zlewu w kuchni, wyciągnięciu pustego pudełka po lodach spod kanapy i otwarciu okien. Wybiła sobie z głowy czyszczenie mebli, ale psiknęła Mr. Sheenem w powietrzu, a dzięki jego zapachowi natychmiast poczuła się bardzo pracowita. Ostrożnie powąchała pościel. Świetnie, wytrzyma jeszcze tydzień.

I choć wiedziała, że nic nie mogło zniknąć, sprawdziła raz jeszcze, czy kostium, który odebrała z pralni chemicznej, nie został skradziony. Nadal wisiał w jej szafie, obok czystej bluzki. Jutro wielki dzień. Bardzo wielki. Nie w każdy poniedziałek idzie się do nowej pracy. Szczerze mówiąc, od ostatniego razu minęło osiem lat, Ashling była piekielnie zdenerwowana. Ale i radośnie przejęta, wmawiała samej sobie, starając się zignorować skurcze żołądka.

Co teraz? Zdecydowała się na odkurzanie, które, wykonywane prawidłowo, bywało świetnym ćwiczeniem na talię. Wyciągnęła purpurowo-cytrynowy odkurzacz marki Dyson. Do dziś nie mogła uwierzyć, że wydała taką furę pieniędzy na artykuł gospodarstwa domowego. A przecież cała ta forsa mogła równie dobrze pójść na torebki albo butelki wina. Jedyne wnioski były takie, że Ashling zapewne dorastała. Co wydawało się dziwne, gdyż mentalnie wciąż była szesnastolatką, niezdecydowaną, co zrobi po ukończeniu szkoły.

Włączyła odkurzacz i energicznie kręcąc pupą, odkurzyła podłogę w przedpokoju. Ku nieopisanej uldze jej mocno skacowanej znajomej z dołu (Joy) nie trwało to długo – mieszkanie Ashling było wręcz groteskowo małe.

Ale je uwielbiała. W utracie pracy najbardziej przerażało ją, że nie zdoła spłacić hipoteki. Na to mieszkanie zdecydowała się przed trzema laty, kiedy w

końcu zrozumiała, że ona i Phelim nie kupią domku z ogródkiem pełnym krzewów róż. Rzecz jasna, w kupnie mieszkania było nieco brawury – miała nadzieję, że zanim zakończy się procedura przyznawania kredytu, Phelim wkroczy do akcji i pośpiesznie zgodzi się podpisać papier na czteropokojowy bliźniak na odległym przedmieściu. Jednak ku jej poważnemu rozczarowaniu nie zrobił tego, transakcję sfinalizowano. Wtedy traktowała to jak przyznanie się do porażki. Teraz już nie. Mieszkanie było jej przystanią, gniazdkiem i pierwszym prawdziwym domem. Od siedemnastego roku życia mieszkała w wynajętych norach, spała w cudzych łóżkach, siedziała na niewygodnych sofach kupionych przez gospodarzy ze względu na cenę, nie komfort.

Kiedy się wprowadziła, nie miała ani jednego mebla. Poza drobiazgami w rodzaju żelazka i stosiku przetartych ręczników, wszystko trzeba było kupować od podstaw. Na myśl o tym Ashling, nietypowo dla siebie, wpadła w złość. Denerwowała ją świadomość, że przez wiele miesięcy będzie musiała wydawać pieniądze nie na ciuchy, ale na rozmaite głupoty w rodzaju krzesel.

– Przecież nie możemy siedzieć na podłodze! – wrzeszczał Phelim.

– Wiem – przyznała Ashling. – Po prostu nie sądziłam, że będzie właśnie tak.

– Ale przecież jesteś taka zorganizowana. – Był całkiem zbity z tropu. – Myślałem, że świetnie sobie z tym poradzisz. Jak to się nazywa? Prowadzenie gospodarstwa domowego?

Wydawała się taka zagubiona i nieszczęśliwa, że dodał cicho:

– Skarbie, pomogę ci. Kupię jakieś meble.

– Zakład, że łóżko – powiedziała pogardliwie.

– Skoro już o tym wspomniałaś... – Phelim lubił uprawiać seks z Ashling. Myśl o kupieniu jej łóżka nie wydawała mu się szczególnie bolesna. – Stać mnie?

Ashling zastanowiła się przez chwilę. Odkąd zreorganizowała finanse Phelima, radził sobie o wiele lepiej.

– Chyba tak – powiedziała z nadąsaną miną. – Jeśli użyjesz karty kredytowej.

Zgorzkniała i zirytowana Ashling wystąpiła o pożyczkę z banku, po czym kupiła sobie sofę, stół, szafę i dwa krzesła. Uznała, że to wystarczy. Ponad rok nie chciała słyszeć o kupnie żaluzji. „Po prostu nie będę myła okien i nikt niczego nie zobaczy” – tłumaczyła. Zastłonę prysznicową sprawiła sobie dopiero po tym, jak kałuże na podłodze łazienki zaczęły przeciekać do mieszkania Joy. Jednakże gdzieś po drodze zmieniły się jej priorytety. Choć nie była rozszalałą dekoratorką wewnątrz, jak Clodagh, zaczęło jej zależeć. I to do tego stopnia, że stała się właścicielką nie jednej, lecz dwóch zmian pościeli (jednej w imitację dżinsowej tkaniny, a drugiej śnieżnobiałej w kratę). Ostatnio wywaliła czterdzieści funtów na lustro, którego nawet nie potrzebowała, tylko dlatego, że jej zdaniem było piękne. Co prawda, miała wtedy PMS, więc nie była całkiem świadoma tego, co robi, ale mimo wszystko. A przemiana została uznana za kompletną w dniu, kiedy Ashling zapłaciła ponad dwie setki za pochłaniacz kurzu.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili do mieszkania weszła blada jak trup Joy.

– Przepraszam, trochę mnie poniosło przy sprzątaniu – uświadomiła sobie Ashling. – Obudziłam cię?

– W porządku, muszę jechać do Howth na spotkanie z mamą. – Joy wykrzywiła się niemiłosiernie. – Nie mogę znowu odwołać, robiłam to przez cztery niedziele z rzędu. Jak sobie dam radę? Przyrzadziła jakąś smaženinę, którą będzie we mnie wpychała i przez pół wieczoru nie przestanie mnie wypytywać, czy jestem szczęśliwa. Wiesz, jakie są matki.

No cóż, i tak, i nie, pomyślała Ashling. Znała pytania typu: „Czy jesteś szczęśliwa?” Problem polegał na tym, że to Ashling zadawała je swojej matce, a nie na odwrót.

– Gdyby tylko przygotowywała niedzielny obiad o jakiejś normalniejszej porze – narzekała Joy.

– Na przykład we wtorek wieczorem. – Ashling parsknęła śmiechem. – Pewnie jeszcze dziś nie wiedziałas Teda.

– Nie, najprawdopodobniej udało mu się wczoraj i teraz nie chce wyjść z sypialni dziewczyny.

– Był zdumiewająco dobry. No to co, powiesz mi, jak ci wczoraj poszło z Człowiekiem–borsukiem, czy będę to musiała z ciebie wyciągać?

Joy natychmiast się rozchmurzyła.

– Spędził ze mną noc. Właściwie nie uprawialiśmy seksu, ale dałam mu swój numer i obiecał, że zadzwoni. Ciekawe, czy faktycznie zadzwoni.

– Jedna jaskółka nie czyni wiosny – przestrzegła ją Ashling, powołując się na własne doświadczenia.

– Komu to mówisz. Daj mi je... – Joy sięgnęła po paczkę kart do tarota. – Zobaczę, co mówią. Cesarzowa. Co oznacza?

– Płodność. Pamiętaj o pigułce.

– Cicho. A jak tobie wczoraj poszło? Poznałaś kogoś miłego?

– Nie – burknęła Ashling.

– Musisz się bardziej starać. Masz trzydzieści jeden lat, wszyscy porządni mężczyźni będą lada chwila nieosiągalni.

Ashling zdała sobie nagle sprawę, że nie potrzebuje matki, skoro Joy mieszka w pobliżu.

– A ty masz dwadzieścia osiem lat – zauważyła.

– Tak, i śpiam z dziesiątkami mężczyzn. – Po chwili dodała łagodniej: – Nie czujesz się samotna?

– Niedawno zakończyłam pięcioletni związek. Trochę to trwa, zanim człowiek się otrząśnie.

Phelim nie był okrutnym człowiekiem, ale jego niezdolność do trwałego związku odbiła się na podejściu Ashling do miłości – praktykowała politykę spalonej ziemi. Odkąd odszedł, samotność zalała ją niczym fale wzburzonego morza, ale Ashling nie była gotowa na związek z nowym mężczyzną. Nie, żeby zarzucali ją propozycjami.

– Minał już prawie rok i na pewno się z tego otrząsnęłaś. Nowa praca, nowy początek. Czytałam gdzieś, że sto pięćdziesiąt procent ludzi poznaje swoich partnerów w pracy. Czy podczas rozmowy o pracę widziałaś jakichś seksownych mężczyzn?

Ashling natychmiast pomyślała o Jacku Devinie. Trudny człowiek. Utalentowany gracz na nerwach.

– Nie.

– Weź kartę – powiedziała Joy.

Ashling przełożyła i wyciągnęła kartę.

– Ósemka mieczy, co to znaczy?

– Zmianę – przyznała niechętnie Ashling. – Niepokój.

– No nareszcie. Idę sobie. Potrę Budę, żeby się nie porzygać w autobusie... A tam, chrzanić Budę. Pożyczysz mi na taryfę?

Ashling dała jej dziesięć funtów i dwa duże worki ze śmieciami, które zawstydzająco brzęczały.

– Wrzuć je za mnie do zsypu, dzięki.

Niespełna pół kilometra dalej, w Aparthotelu Malone, Lisa nie miała pojęcia, co robić z niedzielą. Przeczytała irlandzkie gazety – przynajmniej strony towarzyskie. Co za nuda. Najwyraźniej składały się jedynie ze zdjęć tłustych polityków o naczynkowej cerze. Ociekali dobroduszością łapówkarzy. Postanowiła, że do jej pisma nie trafią.

Zapaliła jeszcze jednego papierosa i szurając nogami, zaczęła chodzić po pokoju. Co robili ludzie, kiedy nie szli do pracy? Widywali się ze swoimi partnerami, chodzili do pubów, na siłownię, na zakupy, urządzali wnętrza albo szlajali się z kumplami. Tyle pamiętała.

Brakowało jej współczującego słuchacza; miała ochotę zadzwonić do Fifi, kogoś w rodzaju bliskiej przyjaciółki. Wiele lat temu razem pracowały jako młody narybek dziennikarski w „Sweet Sixteen”. Kiedy Lisa przeniosła się do działu reportażu w „Girl”, załatwiła Fifi pracę zastępczyni redaktorki działu urody. Kiedy Fifi została redaktorką rubryk stałych w „Chic”, dała Lisie cynk, że szukają zastępcy redaktora. Kiedy Lisa odeszła na stanowisko zastępcy naczelnej „Femme”, Fifi została redaktorką w „Chic”. Lisa zawsze mogła bezpiecznie narzekać do Fifi – Fifi znakomicie rozumiała niebezpieczeństwa i niedole ich rzekomo spektakularnej pracy, podczas gdy wszystkich innych skręcało z zazdrości.

Jednak coś powstrzymywało ją od podniesienia słuchawki. Uświadomiła sobie, że jest zażenowana. I chyba rozżalona. Choć ich kariery przebiegały

niemal równolegle, Lisa zawsze wyprzedzała Fifi. Fifi musiała walczyć, a Lisa bez wysiłku prześlizgiwała się przez kolejne szczeble. Została redaktorką niemal rok przed Fifi i, choć „Chic” i „Femme” ostro ze sobą konkurowały, „Femme” miała o niemal sto tysięcy wyższy nakład. Lisa beztrąsko pomyślała, że awans do „Manhattanu” tak ją wypchnie do przodu, że znajdzie się poza zasięgiem Fifi. Jednakże zesłano ją do Dublina i nagle, walkowerem, Fifi wskoczyła na pierwsze miejsce.

Oliver, pomyślała, i nagle poczuła błogość. Zadzwoń do niego. Jednakże ta ciepła, słodka jak miód fala dobrego samopoczucia niemal natychmiast nabrała gorzkiego smaku. No cóż, na chwilę wyleciało jej z głowy. Wcale za nim nie tęsknię, powiedziała sobie. Po prostu jestem znudzona i mam dosyć.

W końcu zadzwoniła do mamy, pewnie dlatego, że była niedziela i tak wypadało, ale po rozmowie czuła się beznadziejnie. Zwłaszcza że Pauline Edwards rozpaczliwie chciała wiedzieć, dlaczego Oliver zadzwonił do niej z prośbą o telefon Lisy w Dublinie.

– Jesteśmy w separacji. – Żołądek Lisy ścisnął się od emocji. Nie chciała o tym rozmawiać. A skoro mamę to tak interesowało, czemu sama nie zadzwoniła? Dlaczego to ona zawsze musiała telefonować?

– Z jakiego powodu się rozstaliście, skarbie? Lisa nie była pewna.

– Tak bywa – odparła lapidarnie, desperacko pragnąc mieć to z głowy.

– Byliście w poradni małżeńskiej? – zapytała Pauline z wahaniem, nie chcąc ściągnąć sobie na głowę złości córki.

– Jasne. – W głosie Lisy zabrzmiało szorstkie zniecierpliwienie. No cóż, poszli na jedno spotkanie, ale nie miała czasu na następne.

– Rozwieźcie się?

– Raczej tak. – W zasadzie Lisa nie wiedziała. Oprócz wywrzaskiwania w trakcie awantur: „Rozwodzę się z tobą!”, „Nic z tego, to ja się z tobą rozwodzę!” – nie rozmawiali o szczegółach. Uściśliwszy, od rozstania niewiele rozmawiała z Oliverem, ale chciała zrobić przykrość matce.

Pauline westchnęła ze smutkiem. Starszy brat Lisy, Nigel, rozwiódł się pięć lat wcześniej. Pauline późno urodziła dzieci i zupełnie nie rozumiała prawideł obecnie rządzących światem.

– Podobno dwa na trzy małżeństwa kończą się rozwodem – zauważyła Pauline, Lisa zaś miała ochotę wrzasnąć, że wcale się nie rozwodzi, a matka jest starą wiedźmą, że w ogóle o tym wspomina.

Obawa o córkę walczyła ze strachem Pauline.

– Czy to dlatego że byliście... inni?

– Inni, mamó? – spytała cierpko Lisa.

– No bo on jest... kolorowy?

– Kolorowy?

– To niewłaściwe słowo – wtrąciła pośpiesznie Pauline, po czym dodała z wahaniem: – Czarny?

Lisa cmoknęła, jednocześnie głośno wzdychając.

– Jest Afroamerykaninem?

– Na litość boską, mamó, to Anglik! – Lisa wiedziała, że jest okrutna, ale ciężko jej było się pozbyć starych nawyków.

– Angielskim Afroamerykaninem? – Pauline nie miała pojęcia, co powiedzieć. – Wszystko jedno, jest bardzo przystojny.

Koniecznienie chciała udowodnić córce, że nie jest rasistką. Serce jej zamarło, kiedy poznała Olivera. Gdyby tylko ktoś ją uprzedził, że chłopakiem córki jest surowy, imponujący, prawie dwumetrowy czarny. Kolorowy.

Afroamerykanin, jakkolwiek go nazwać. Nie miała nic przeciwko nim, chodziło jedynie o to, że było to całkiem nieoczekiwane.

Kiedy już do niego przywykła, przestała dostrzegać kolor i zobaczyła, że to naprawdę przystojny chłopak. Oględnie mówiąc. Ogromny, hebanowy książę o gładkiej, lśniącej skórze, wystających kościach policzkowych, oczach w kształcie migdała i cienkich dreadach do ramion. Chodził, jakby tańczył, a jego zapach kojarzył się ze słońcem. Pauline także podejrzewała – choć nigdy nie odważyłaby się o to zapytać – że był obdarzony jak koń.

– Poznał kogoś?

– Nie.

– Ale mógł, kochanie. Taki przystojny chłopiec.

– No i dobra. – Jeśli będzie powtarzała to wystarczająco często, może w to uwierzy.

– Nie będziesz samotna, skarbie?

– Nie znajdę na to czasu – warknęła Lisa. – Muszę myśleć o swojej karierze.

– Nie wiem, po co ci ta kariera. Ja jej nie zrobiłam i nic się nie stało.

– Czyżby? – spytała kąśliwie Lisa. – A może powinnaś po tym, jak tata uszkodził sobie kręgosłup i musieliśmy żyć z jego renty.

– Pieniądze to nie wszystko. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

– Ja nie byłam.

Pauline zamilkła. Lisa słyszała jej oddech w słuchawce.

– Lepiej już skończę – oznajmiła w końcu Pauline. – Ta rozmowa musi mnóstwo kosztować.

– Przepraszam, mamó – westchnęła Lisa. – Nie chciałam. Dostałaś paczkę ode mnie?

– A tak – odparła nerwowo Pauline. – Kremy do twarzy i szminki. Bardzo ładne, dziękuję.

– Używałaś?

– Noooo... – zaczęła Pauline.

– Nie używałaś – oskarżyła ją Lisa.

Lisa obsypywała matkę drogimi perfumami i kosmetykami, które dostawała w pracy. Bardzo pragnęła podarować matce odrobinę luksusu, jednak Pauline za nic nie chciała zrezygnować z kosmetyków Rimmel i Ponds. Raz powiedziała nawet:

– Twoje rzeczy są dla mnie zbyt dobre, skarbie.

– Wcale nie! – ryknęła Lisa.

Pauline nie potrafiła zrozumieć wściekłości córki. Doszło do tego, że ze strachem wyczekiwała dnia, w którym listonosz dudnił do drzwi i mówił: „Znowu paczuszka od córki z Londynu”. Prędzej czy później Lisa dzwoniła i domagała się sprawozdania.

No, chyba że przychodziły książki. Kiedyś Lisa miała zwyczaj oddawać matce egzemplarze recenzyjne dzieł Catherine Cookson i Josephine Cox, w błędnym przekonaniu, że Pauline zachwyci się tymi historyjkami o kopciuszkach. Pewnego dnia Pauline powiedziała:

– Wysłałaś mi cudowną książkę, skarbie, tę o bandycie z East Endu, który przybijał swoje ofiary do stołów bilardowych.

Okazało się, że asystentka Lisy niechcący wysłała niewłaściwą książkę, co zapoczątkowało nowy rozdział w historii czytelnictwa Pauline Edwards. Odtąd matka Lisy pochłaniała biografie gangsterów i krwawe amerykańskie thrillery. Im więcej scen tortur, tym lepiej. Teraz inna mama zaczytywała się dziełami Catherine Cookson.

– Powinnaś do nas przyjechać, skarbie. To już tyle czasu.

– Uhm – mruknęła Lisa. – Niedługo przyjadę.

Bez obawy. Z każdą wizytą dom, w którym dorastała, wydawał się mniejszy i coraz bardziej paskudny. W obskurnych pokoikach zapchanych tandetnymi meblami czuła się wypacykowana i nie na miejscu, ze swoimi tipsami i w butach z lśniącej skóry oraz z kłopotliwą świadomością, że jej torebka zapewne kosztowała więcej niż kanapa pod nią. I choć mama i tata wznosili pełne zachwyty okrzyki, zachowywali się bardzo nerwowo w towarzystwie Lisy.

Powinna ubierać się nieco skromniej na te wizyty, by zmniejszyć przepaść między nimi. Jednak potrzebowała jak najwięcej rzeczy, które nosiła niczym zbroję, żeby ponownie nie dać się wciągnąć w otchłań przeszłości.

Nienawidziła tego wszystkiego, no i nienawidziła siebie.

– A może ty przyjedziesz do mnie? – spytała.

Skoro nie chciało im się odbyć półgodzinnej przejażdżki pociągiem z Hemel Hempstead do Londynu, raczej nie przylecieliby do Dublina.

– Ale twój tata nie najlepiej się czuje i...

Kiedy Clodagh obudziła się w niedzielny poranek, była trochę skacowana, ale w świetnej formie. Mogła przytulić się do Dylana i z czystym sumieniem chwilowo zignorować jego erekcję.

Gdy pojawili się Molly i Craig, Dylan mruknął do nich sennie:

– Zejdźcie na dół coś popsuć. Mama i ja się zdrzemniemy.

O dziwo, dzieci wyszły, a Clodagh i Dylan przysypiali i się budzili.

– Pięknie pachniesz – wyszeptał Dylan we włosy Clodagh. – Jak herbatniki. Tak słodko... słodko...

– Dam ci milion funtów, jeśli zrobisz mi śniadanie – powiedziała do niego jakiś czas później.

– A na co masz ochotę?

– Kawa i owoce.

Dylan wyszedł, a Clodagh przeciągnęła się niczym zadowolona rozgwiadza i leżała tak, aż wrócił z kubkiem w jednej dłoni i bananem w drugim. Położył sobie banana na kroczu, zgiętego w dół, a kiedy Clodagh na niego spojrzała, Dylan zaczął jęczeć i przekręcił owoc do góry, żeby przypominał pęczniejącą erekcję.

– Pani Kelly! – wykrzyknął. – Jaka pani piękna!

Clodagh parsknęła śmiechem, ale powoli powracało bezlitosne poczucie winy.

Potem wyszli na lunch, w jedno z tych miejsc, gdzie człowiek z dwójką małych dzieci nie czuje się jak wyrzutek. Dylan ruszył na poszukiwania poduszki dla Molly, a kiedy Clodagh wyrwała nóż z ręki córki, dostrzegła kątem oka, że Dylan rozmawia z kelnerką, nastolatką o nogach jak jelonek Bambi, która czerwieniła się z przejęcia, że stoi tak blisko bardzo przystojnego mężczyzny.

Clodagh uświadomiła sobie, że ten przystojny mężczyzna jest jej mężem, i nagle – dziwnie – ledwie go rozpoznawała. Dopadło ją nietypowe uczucie, że choć zna go tak dobrze, tak naprawdę wcale go nie zna. Przyzwyczajenie przytępiało wrażenie, jakie wywierały na niej jego złociste włosy, uśmiech, któremu towarzyszyły drobne zmarszczki wokół ust, orzechowe oczy, niemal zawsze pełne wesołości. Była zdumiona i zaniepokojona jego urodą.

Co wczoraj mówiła Ashling? A, odtworzyć dawną magię. W umyśle Clodagh pojawił się następujący obrazek: dyszała z pożądania, czując dziką żądzę, leżała na piasku... Piasku? Nie, chwileczkę, to nie był Dylan, tylko Jean–Pierre, nieprawdopodobnie uwodzicielski Francuz, z którym straciła dziewictwo. Boże, westchnęła, to dopiero było wspaniałe. Miał osiemnaście lat i podróżował po Riwierze Francuskiej. Jej zdaniem był najbardziej seksownym mężczyzną na świecie. Clodagh miała bardzo wysokie wymagania, swoim poprzednim chłopakom dawała najwyżej całusa. Na widok przenikliwego spojrzenia Jean–Pierre'a, jego pięknych, wydętych warg i giętkiego, galijskiego ciała postanowiła, że to właśnie on dostanie w prezencie jej dziewictwo.

Ale wracając do Dylana i magii... A tak. Przypomniała sobie, jak niemal ze łzami w oczach błagała go, żeby jej dogodził: „Nie mogę czekać, wsadź go teraz”. Na tylnej kanapie jego auta rozchyłała kolana. Nie, zaraz, to też nie był Dylan, tylko Greg, amerykański rugbista, który przyjechał na roczne stypendium do Trinity. Szkoda, że poznała go dopiero na trzy miesiące przed jego powrotem do Stanów. Był przystojnym, pewnym siebie, muskularnym byczkiem i z jakiegoś powodu nie mogła mu się oprzeć.

Oczywiście, to samo czuła w stosunku do Dylana. Szukała w przeszłości wyjątkowych chwil i odświeżała ulubione. Pierwsze spotkanie: ich spojrzenia dosłownie skrzyżowały się w zatłoczonym pokoju i – zanim Clodagh dowiedziała się czegokolwiek o tym mężczyźnie – wiedziała już wszystko, co powinna wiedzieć.

Był od niej pięć lat starszy, a wszyscy inni chłopcy wyglądali przy nim jak dzieciaki mające mleko pod nosem. Wielkowiejska pewność siebie Dylana dodawała mu niezwyklej charyzmy. Uśmiechał się, czarował, sama jego obecność podnosiła na duchu. I choć wtedy dopiero zaczęli się spotykać,

Clodagh miała żelazną pewność, że dzięki Dylanowi wszystko się ułoży. A do tego był taki apetyczny!

Dwudziestoletnią Clodagh oszołomił jego wygląd, myślała, że złapała pana Boga za nogi. Tak bardzo do niej pasował; ani przez moment nie miała wątpliwości, że powinna za niego wyjść. I choć rodzice upierali się, że jest zbyt młoda na takie decyzje, zlekceważyła ich rady. Dylan był jej przeznaczony, ona była przeznaczona jemu.

– Bardzo proszę, Molly! – Wrócił z poduszką, którą wręczyły mu trzy przepychające się nastolatki. Dopiero w tej chwili Clodagh zauważyła, że Molly wysypała połowę soli do cukiernicy.

Po lunchu pojechali na plażę. Był pogodny, wietrzny dzień, dość ciepły, żeby mogli zdjąć buty i pobrodzić w falach. Dylan poprosił jakiegoś faceta z psem o sfotografowanie ich czwórki, przytulonej do siebie na czystej, pustej plaży. Uśmiechali się, gdy wiatr zdmuchiwał jim włosy na twarz, a Clodagh przytrzymywała spódnicę, żeby nie oblepiła jej mokrych nóg.

8

Lisa pojawiła się w pracy o ósmej w poniedziałkowy rano. Zaczynaj tak, jak chcesz skończyć, powtarzała sobie. Jednakże ku jej niezadowoleniu budynek okazał się zamknięty. Przez chwilę kręciła się po mokrej ulicy i w końcu poszła na kawę. Nawet to wymagało pewnego wysiłku, inaczej niż w Londynie, gdzie sieci kawiarni otwierały swe podwoje już o świcie.

O dziewiątej, gdy wyszła z kawiarni, zaczęło padać. Z ręką nad głową pospieszyła przed siebie, a jej dziesięciocentymetrowe obcasy niebezpiecznie

ślizgały się po mokrym chodniku. Nagle przystanęła i wyskrzeczwała do przechodzącego młodzieńca w polarze:

– Czy w tym kretańskim kraju zawsze leje?

– Nie wiem – odparł nerwowo. – Mam dopiero dwadzieścia sześć lat.

Przy drzwiach Lisę powitała dziewczyna o imieniu Trix. Była cała pokryta gęsią skórką, miała krótką, cienką sukienkę i przestępowała z jednej nogi na wysokim obcasie na drugą, żeby się rozgrzać. Na widok Lisy na twarzy dziewczyny pojawił się podziw, szybko zgasił papierosa.

– Cześć – mruknęła, wydychając dym. – Zabójcze buty! Jestem Trix, twoja osobista asystentka. Właściwie nazywam się Patricia, ale nie ma sensu tak do mnie mówić, bo nie reaguję. Byłam Trixie, ale ludzie z sąsiedztwa sprawili sobie pudła o takim imieniu, więc teraz jestem Trix. Kiedyś byłam recepcjonistką i ogólnie popychadłem, ale dzięki tobie dostałam awans. uwaga, nie znaleźli nikogo na moje miejsce... O, winda jedzie. Od razu się przyznam, że nie najlepiej piszę na komputerze – dodała, gdy jechały na górę.

– Za to świetnie kłamię, z prędkością sześćdziesięciu słów na minutę. Każdemu, kogo. nie chcesz widzieć, wmówię, że jesteś na zebraniu. Nie domyśli się, chyba że będziesz tego chciała. Zastraszać też umiem.

Lisa jej uwierzyła. Choć Trix była świeżą dwudziestjednoletką, miała w sobie twardość, którą Lisa pamiętała z własnej młodości. Pierwszym szokującym odkryciem tego dnia było stwierdzenie faktu, że filia Randolph Media w Irlandii zajmuje tylko jedno piętro – londyńskie biura z trudem mieściły się w dwunastopiętrowym wieżowcu.

– Przywiozłam cię tu, żebyś poznała Jacka Devine'a – powiedziała Trix.

– To irlandzki dyrektor zarządzający, prawda?

– Tak? – Trix wydawała się zdumiona. – Pewnie tak. W każdym razie jest tu szefem, przynajmniej mu się tak wydaje. W kółko chodzi jak struty. Szkoda, że nie widziałas go w zeszłym tygodniu – ściszyła głos. – Zachowywał się jak niedźwiedź cierpiący na hemoroidy. Ale dziś ma dobry humor, najwyraźniej pogodził się z dziewczyną. Ale się zachowują – przy nich Pamela i Tommy to Mama i Tata Muminka.

Lisę czekały jeszcze inne szokujące odkrycia – Trix zaprowadziła ją do pomieszczenia bez ścianek działowych, gdzie stało około piętnasta biurek. Piętnaście! Jak można tworzyć czasopismo w pomieszczeniu składającym się z piętnastu biurek, sali konferencyjnej i niewielkiej kuchenki?

Nagle uderzyła ją okropna myśl.

– Gdzie... Gdzie dział mody?

– Tu. – Trix wskazała głową stojący w kącie wieszak. Zwisał z niego ohydny brzoskwiniowy sweter, który z pewnością miał coś wspólnego z „Gaelickimi Robótkami”, suknia drużyny, suknia ślubna w kształcie bezy i jakieś męskie ubrania.

Jezu Chryste! Dział mody w „Femme” zajmował cały pokój. Był zawalony próbkami z najmodniejszych sklepów, co oznaczało, że przez kilka lat Lisa nie musiała zawracać sobie głowy kupowaniem żadnych ubrań. Coś trzeba było z tym robić. W jej głowie już huczało od planów zdobycia kontaktów w świecie mody, ale Trix postanowiła przedstawić ją dwojgu ludziom, którzy byli już w pomieszczeniu.

– Dervla i Kelvin pracują w innych pismach, więc to nie twój personel. W przeciwieństwie do mnie – dodała z dumą.

– Dervla O'Donnell, miło mi cię poznać. – Potężna, czterdziestokilkuletnia kobieta w eleganckiej sukience z uśmiechem

potrzęsnęła dłonią Lisy. Jestem z „Irlandzkiej Panny Młodej”, „Celtyckiego Zdrowia” i „Gaelickich Wnętrz”.

Lisa bezbłędnie odgadła, że kobieta jest byłą hipiską.

– Kelvin Creedon. – Boleśnie modny, utleniony blondyn w czarnych oprawkach od Joe Ninety złapał Lisę za rękę. Natychmiast zorientowała się, że facet nosi zerówki. Miał niewiele po dwudziestce, emanował modną, młodzieńczą energią. – „Hiper Hiber”, „Celtyckie Auto”, „Irlandzka Złota Rączka” i „Keol”, nasz magazyn muzyczny. – Jego liczne srebrne pierścienie wpiły się w jej dłoń.

– Jak to? – spytała zmieszana. – Wydajecie wszystkie te pisma?

– Zbieramy też do nich publikacje i piszemy artykuły.

– Sami? – Nie mogła się powstrzymać. Przenosiła spojrzenie z Kelvina na Dervlę i z powrotem.

– Przy pomocy wolnych strzelców – wyjaśniła Dervla. – Dzięki temu wszystko, co musimy robić, to przekazywać pismo do druku. – Nie jest tak źle, odkąd upadł „Rozważny Katolik”. – Dervla błędnie zinterpretowała spojrzenie Lisy jako troskę. – Dzięki temu w czwartkowe popołudnia mogę pracować nad czymś innym.

– To tygodniki czy miesięczniki?

Dervla i Kelvin z otwartymi ustami popatrzyli na siebie i jednocześnie wybuchnęli niekontrolowanym śmiechem. Nigdy w życiu nie słyszeli nic równie śmiesznego.

– Miesięczniki! – wydyszała z niedowierzaniem Dervla. – Tygodniki! – przebił ją Kelvin.

Wtedy właśnie Dervla zauważyła zmarszczone brwi Lisy i momentalnie się opanowała.

– Nie. Wychodzą zwykle dwa razy do roku. „Rozważny Katolik” był tygodnikiem, ale wszystko inne trafia do sprzedaży wiosną i jesienią. Chyba że zdarzy się jakaś katastrofa. Pamiętasz jesień 1999? – Popatrzyła na Kelvina. Najwyraźniej pamiętał, bo znowu zaczął ryczeć ze śmiechu.

– Wirus komputerowy – wyjaśnił. – Wszystko wywalił.

– Wtedy to nie było zabawne... Jak widać, teraz było.

– Popatrz. – Dervla zaprowadziła Lisę do stojaka, na którym wisiały rozmaite czasopisma. Wręczyła jej coś cienkiego z napisem „Irlandzka Panna Młoda, wiosna 1999”.

To nie czasopismo, pomyślała Lisa. To broszura. Ulotka. Właściwie informacja. Tak naprawdę – karteczka samoprzylepna.

– A to „Pyry”, nasze czasopismo kulinarne. – Dervla wręczyła jej następną ulotkę. – Zajmuje się tym Shauna Griffin, podobnie jak „Gaelickimi Robótkami” i „Irlandzkim Ogrodem”.

Pojawił się następny członek personelu. Lisa pomyślała z pogardą, że jest zbyt nudny, bo opisać go jako nijakiego – średni wzrost, łysiejące czoło i obrączka. Ludzka tapeta. Nawet nie chciało jej się z nim przywitać.

– To Gerry Godson, dyrektor artystyczny. Niewiele mówi – oznajmiła głośno Trix. – Prawda, Gerry? Mrugnij raz na „tak”, dwa razy na „odpierdol się i daj mi spokój”.

Gerry z kamienną twarzą mrugnął dwa razy. Po chwili uśmiechnął się szeroko i potrząsnął dłonią Lisy.

– Witaj w „Irlandce” – powiedział. – Pracujemy tu też nad innymi pismami, ale od teraz będę tylko na twoje usługi.

– I moje – przypomniała mu Trix. – Jestem jej asystentką, będę ci wydawała polecenia.

– Jezu – mruknął Gerry pogodnie.

Lisa usiłowała się uśmiechnąć.

Trix zapukała lekko do drzwi Jacka, po czym je otworzyła. Jack uniósł wzrok. Gdy odpoczywał, miał nieco smutną, przybitą minę i nieodgadniony wyraz oczu. Na widok Lisy uśmiechnął się przyjacielsko, choć nigdy się nie spotkali. Świat pojaśniał.

– Lisa? – Zrobiło się jej cieplej na sercu, gdy wypowiedział jej imię. – Chodź, siadaj. – Wyszedł zza biurka i uścisnął jej rękę.

Ciężar przygniatający duszę Lisy lekko zelżał. Podobał się jej ten Jack. Wysoki? Tak jest. Brunet? Tak jest. Bogaty? Tak jest! No i był dyrektorem zarządzającym. Co z tego, że w irlandzkim pisemku?

Było w nim coś trochę nietypowego, co przypadło jej do gustu. Chociaż miał garnitur, wyglądało, że nosi go z obowiązku, a jego włosy były nieco dłuższe, niż wypadało nosić w Londynie.

No i co z tego, że miał dziewczynę? Czy taki drobiazg kiedykolwiek przeszkadzał Lisie?

– Jesteśmy bardzo przejęci „Irlandką” – powiedział. Usłyszała nutę znużenia w tym oświadczeniu. Jego uśmiech zniknął, Jack znów był poważny i zamyślony. Potem postanowił zaznajomić Lisę z „zespołem”. – Jest Trix, twoja asystentka, potem twoja zastępczyni, kobieta o imieniu Ashling. Wydaje się bardzo zorganizowana.

– Słyszałam – odparła sucho Lisa. Dokładnie słowa Calvina Cartera brzmiały: „Ty zajmiesz się tworzeniem wizji, ona odwali czarną robotę”.

– Jest jeszcze Mercedes, która przede wszystkim będzie redaktorką działu mody i urody, ale również zajmie się ogólnym kształtem pisma. Przyszła z „Niedzielnej Irlandii”.

– Co to takiego?

– Niedzielną gazetę. Jest jeszcze Gerry, dyrektor artystyczny, pracował w innych pismach. Podobnie jak Bernard, który zajmie się sprawami administracyjnymi.

Jack urwał. Lisa czekała, aż przedstawi jej następnych członków personelu. Nie przedstawił.

– To już? Pięć osób? Pięć? – Aż jej się zakręciło w głowie z niedowierzania. W „Femme” jej sekretarka miała własną sekretarkę!

– Dostaniesz spory budżet na opłacanie prac zleconych – obiecał jej Jack.
– Będziesz mogła zlecać zadania i wykorzystywać konsultantów, stałych oraz jednorazowych.

Lisa była bliska hysterii. Jak się tu znalazła, w tak potwornej sytuacji, jak? Przecież miała plany. Zawsze wiedziała, dokąd zmierza, i zawsze udawało się jej dotrzeć do celu. Aż do teraz, kiedy została tak niespodziewanie rzucona do tego zaścianka.

– Do kogo... do kogo należą pozostałe biurka?

– Do Dervli, Kelvina i Shauny, którzy zajmują się wydawaniem innych naszych pism. Jest jeszcze moja asystentka, pani Morley, Margie z reklamy – fantastyczna, absolutny rottweiler – Lorna i Emily z działu sprzedaży i dwóch Eugene'ów w księgowości.

Lisie trudno było złapać oddech, ale nie mogła pobiec do damskiej toalety, by się tam wykrzyczeć, gdyż właśnie weszła Ashling, jej zastępczyni.

– Witam ponownie. – Ashling uśmiechnęła się ostrożnie do Jacka Devine'a.

– Witam. – Skinął głową bez życzliwości, z jaką powitał Lisę. – Chyba się nie znacie – Lisa Edwards, Ashling Kennedy.

Ashling przez chwilę wydawała się zaniepokojona, po czym uśmiechnęła się promiennie do Lisy, otwarcie podziwiając jej idealną cerę, dopasowany kostium, nogi w błyszczących, cienkich rajstopach.

– Bardzo mi miło cię poznać – powiedziała z nerwowym ożywieniem. – Ogromnie się cieszę, że będę tu pracowała.

Na Lisie Ashling nie zrobiła żadnego wrażenia. Była idealnym ucieleśnieniem przeciętności. Każda z nas mogłaby tak olać włosy, umyć i zostawić, ni to kręcone, ni to proste, pomyślała z pogardą Lisa.

Nikt nie rodzi się z lśniąca, ułożoną fryzurą, nad tym trzeba trochę popracować. Trix, choć jej makijażu nie można było nazwać subtelnym, przynajmniej się starała.

Potem pojawiła się Mercedes i Lisa nie była pewna, co ma o niej myśleć. Mercedes okazała się wytworna i milcząca, ciemnowłosa, sprężysta jak korzeń lukrecji.

Pozostał tylko Bernard, najgorszy z nich wszystkich. Czerwona kamizelka, którą nosił na koszulę i krawat, z całą pewnością pochodziła z czasów, gdy takie kamizelki były w modzie po raz pierwszy, i szczerze mówiąc, Lisa nie chciała wiedzieć nic więcej.

O dziesiątej zespół „Irlandki”, Jack i jego asystentka pani Morley zebrali się w sali konferencyjnej na spotkaniu zapoznawczym. Lisa była zdumiona, że pani Morley nie jest wypachnioną, sprawną osobką pokroju panny Moneypenny, lecz podobnym do mopsa dragonem po sześćdziesiątce. Lisa szybko odkryła, że Jack odziedziczył ją po poprzednim naczelnym. Mógł zatrudnić kogoś nowego, ale z sobie tylko znanych powodów tego nie zrobił i pani Morley była mu bardzo oddana. Zbyt oddana, jak powszechnie uważano.

Kiedy pani Morley protokołowała, Jack po raz kolejny powtórzył wytyczne – „Irlandka” miała być pełnym seksu, stylowym pismem dla Irlandek pomiędzy osiemnastym a trzydziestym rokiem życia. Powinna być wolna od uprzedzeń, seksualnie wyzwolona i zabawna. Każdy miał teraz zastanowić się nad rubrykami stałymi.

– A może cykl o poznawaniu mężczyzn w Irlandii? – zasugerowała nerwowo Ashling. – W jednym miesiącu dziewczyna pójdzie do biura matrymonialnego, w następnym będzie surfowała po sieci, potem uda się do stadniny...

– Nieźle – przyznał Jack niechętnie.

Ashling uśmiechnęła się z wahaniem. Nie była pewna, jak długo jej się będzie udawało – nowe pomysły nie były jej mocną stroną. Ten cykl wymyśliła Joy tylko dlatego, że to właśnie ona chciała zostać królikiem doświadczalnym.

– I tak ciągle próbuję kogoś poznać – powiedziała. – Równie dobrze mogę na tym zarobić.

– Coś jeszcze? – spytał Jack.

– A może list od sławy? – zaproponowała Lisa. – Od jakiejś irlandzkiej znakomitości. Na przykład od... – I tu całkiem utknęła, bo nie знаła żadnych irlandzkich sław. – Od... Od...

– Bono – podpowiedziała usłużnie Ashling. – Albo jednej z dziewczyn z The Corrs.

– Właśnie – przytaknęła Lisa. – Tysiąc słów o lotach pierwszą klasą i imprezowaniu z Kate Moss i Anną Friel. Frywolne oraz czarujące.

– Bardzo dobrze. – Jack był zadowolony. Lisa jednak znowu popadła w zwątpienie. Przerazał ją rozmiar zadania, które ją czekało. Stworzyć od podstaw nowe czasopismo w całkiem nieznanym sobie kraju?

– A list od nieznakomitości? – zaproponowała swoim ochryłym głosem Trix. – No wiecie, jestem zwykłą dziewczyną, strasznie się wczoraj schlałam, zdradzam chłopaka, nienawidzę pracy, chciałabym mieć więcej pieniędzy, zwinęłam z Bootsa lakier do paznokci...

Wszyscy entuzjastycznie kiwali głowami, dopóki nie dotarła do kradzieży lakieru. Wtedy kiwanie ustało. Każdy kradł w Bootsie, ale nikt nie zamierzał się do tego przyznawać.

Trix natychmiast to zauważyła i dokończyła gładko:

– ...mama nienawidzi mojego chłopaka, obu moich chłopaków, rozjaśniając włosy, poparzyłam czaszkę i tak dalej.

– Dobry pomysł – powiedział Jack. – Mercedes, jakieś propozycje?

Mercedes rysowała na kartce esy–floresy, a spojrzenie jej ciemnych oczu utknęło gdzieś w przestrzeni.

– Zamierzam prezentować jak najwięcej irlandzkich projektantów. Chodzić na pokazy dyplomowe do college'ów mody...

– Straszna prowincja – przerwała jej Lisa uszczypliwie. – Żeby traktowano nas poważnie, musimy prezentować międzynarodowych dyktatorów mody.

Mowy nie ma, żeby nosiła amatorskie ciuchy projektowane przez przyjaciół Mercedes w zaciszu sypialni! Porządne magazyny, takie jak „Femme”, urządały sesje fotograficzne wysmakowanych strojów wysłanych przez biuro prasowe międzynarodowych domów mody. Ubrania były tylko wypożyczone, ale nieraz „ginęły” po sesji. Naturalnie, winę zwalano na

modelki – umówmy się, w końcu wszystkie musiały za coś kupować tę heroinę? A jeśli nawet tropy prowadziły do garderoby Lisy, nikt nic nie widział. To znaczy wszyscy wiedzieli, ale nikt się nie wychylał. I tak nie mogliby nic zrobić. Były to bonusy, z których Lisa nie miała zamiaru rezygnować.

Mercedes rzuciła jej wyniosłe, pełne pogardy spojrzenie. Ku swojemu zdumieniu, Lisa poczuła się niespokojna.

– Czy to już wszystko? – spytał Jack.

– A może...? – zaczęła Ashling, zastanawiając się, czy powinna mówić dalej. Wydawało się jej, że ma oryginalny pomysł, ale nie była pewna. – A może felieton autorstwa mężczyzny? Wiem, że to pismo dla pań, ale mogłybyśmy umieścić coś w rodzaju ABC na temat tego, jak pracuje męski umysł. Na przykład, co mężczyzna ma na myśli, kiedy mówi: „Zadzwoń do ciebie”. Właściwie – pisnęła z entuzjazmem – może by pokazać również damski punkt widzenia? Coś w rodzaju polemiki z tym pierwszym?

Jack popatrzył pytająco na Lisę.

– To takie passe – powiedziała krótko.

– Tak? – westchnęła pokornie Ashling. – Rozumiem.

– Dziś jest dwunasty maja – podsumował spotkanie Jack. – Zarząd oczekuje pierwszego numeru pod koniec sierpnia. Pewnie tym z was, którzy pracowali w tygodnikach, wydaje się, że to mnóstwo czasu, ale niestety, tak nie jest. Przed nami kupa ciężkiej pracy. Ale i zabawy – dodał, bo musiał. Nie wiedział, kogo próbuje oszukać; na pewno nie siebie. – A jeśli będą jakieś problemy, moje drzwi stoją przed wami otworem.

– Tylko co z tego, jeśli nie będzie cię za nimi – oświadczyła bezczelnie Trix. – To znaczy – dodała pośpiesznie, gdy jego twarz się zachmurzyła – przecież często bywasz w studiu telewizyjnym i pilnujesz tam porządku.

– Niestety. – Jack mówił to przede wszystkim do Lisy. – Nasza stacja telewizyjna i radiowa znajdują się w innym miejscu, prawie kilometr stąd. Ze względu na przestronność lokalu mój gabinet jest tutaj, ale mimo to muszę tam spędzać sporo czasu. Ale jeśli nie będzie mnie na miejscu, zawsze możesz zadzwonić.

– OK. – Lisa pokiwała głową. – Jaki nakład chcemy osiągnąć?

– Trzydzieści tysięcy. Może nie na samym początku, ale po pół roku mamy taką nadzieję.

Trzydzieści tysięcy. Lisa była przerażona – jeśli sprzedaż „Femme” spadała poniżej trzystu pięćdziesięciu tysięcy, leciały głowy.

Jack pokazał Lisie jej budżet na wydatki związane ze stałymi współpracownikami. Coś było nie tak – najwyraźniej zgubił gdzieś zera. Przynajmniej jedno.

To załatwiło sprawę. Grzecznie przeprosiła zebranych i, jak we śnie, wpadła do damskiej toalety, zamykając się w kabinie. Ku swojemu zdumieniu przekonała się, że ciężko dyszy i szłocha. Z rozczarowania, upokorzenia, samotności, tęsknoty za wszystkim, co utraciła. Nie trwało to długo, bo nigdy nie była płaczliwa, ale kiedy w końcu wyłoniła się z kabiny, jej serce mocniej zabiło, gdyż ujrzała kogoś przy umywalkach. Oto prosta i nieskomplikowana Ashling, z rękoma za plecami. Wścibska krowa!

– Która ręka? – spytała Ashling.

Lisa nie zrozumiała.

– Wybierz rękę – powiedziała Ashling.

Lisa miała ochotę ją trzasnąć. Wszyscy tu byli nienormalni.

– Prawa czy lewa? – upierała się Ashling.

– Lewa.

Ashling ujawniła zawartość lewej dłoni. Paczka chusteczek. Potem prawej. Butelka z jakimś płynem.

– Wyciągnij język. – Ashling wytrząsnęła dwie krople na język zakłopotanej Lisy. – To na szok i stres. Papierosa?

Lisa ze złością pokręciła głową, po czym zawahała się i tępo patrzyła, jak Ashling wsadza jej papierosa w zęby i zapala.

– Jeśli chcesz poprawić makijaż, mam krem nawilżający i maskarę. Pewnie gorsze od tego, czego zwykle używasz, ale się nada. – Już grzebała w torebce.

– Czy ktoś cię tu przysłał? – Lisa miała na myśli Jacka Devine'a. Ashling pokręciła głową.

– Nikt oprócz mnie się nie domyślił.

Lisa nie wiedziała, czy powinna czuć się rozczarowana, czy wręcz przeciwnie. Nie chciała, aby Jack wiedział, że pękła, ale byłoby miło, gdyby się przejął.

– Zazwyczaj się tak nie zachowuję. – Lisa miała zacięty wyraz twarzy. – Nie chcę o tym wspominać.

– Już nic nie pamiętam.

9

Pod koniec dnia Ashling padała z nóg. Kręciło się jej w głowie z ulgi, że nie musi jechać autobusem ani metrem, powlokła się prosto do domu. I tak była szczęściarą. Przynajmniej miała dokąd wracać – Lisa dopiero musiała sobie coś znaleźć.

Ashling z ulgą weszła do mieszkania, zzuła buty i sprawdziła automatyczną sekretarkę. Czerwone światełko mrugało lubieżnie i radośnie. Ashling wcisnęła „play”. Miała olbrzymią ochotę na towarzystwo, które pomogłoby jej zakończyć ten dziwny, pełen wyzwania dzień. Jednak ku jej rozczarowaniu była to dziwna wiadomość od jakiegoś Cormaca, który miał w poniedziałek rano przywieźć mnóstwo ściółki. Cholerna pomyłka.

Runęła na sofę, złapała telefon i zadzwoniła do Clodagh. Ledwie jednak zdążyła się przywitać, Clodagh wykrzyknęła:

– To najgorszy dzień mojego życia! – Wśród kakofonii głosów ciągnęła coraz głośniejsze. – Craig bolał brzusek i zjadł na śniadanie pół kromki chleba z masłem orzechowym. Potem nie chciał niczego jeść na lunch i zastanawiałam się, czy nie dać mu czekoladowego ciastka, mimo że dostaje małego rozumu po cukrze, więc w końcu dałam mu ciastko z kremem jajecznym, bo doszłam do wniosku, że to lepsze niż czekolada.

– Uhm – mruknęła współczująco Ashling, kiedy wycie zagłuszało Clodagh.

– ...i zjadł ciastko, więc chciałam dać mu jeszcze, ale tylko zlizął lukier, i chociaż nie ma temperatury, jest blady. Zamknij się i daj mi przez pięć sekund porozmawiać! Nie, szlag by to, dłużej tego nie zniosę.

Zmęczony głos Clodagh zniknął wśród pisków.

– Czy to Craig? – spytała Ashling. Rzeczywiście, brzuch musiał bardzo go boleć. Wrzeszczał tak, jakby mu ktoś wypruwał flaki.

– Nie, to Molly.

– A jej co się stało?

Ashling słyszała pojedyncze słowa w bełkocie Molly. Dało się wyróżnić „mama”. Właściwie wyglądało na to, że mama jest straszna. Molly nie lubiła mamy. Wyjątkowo histeryczny wrzask uświadomił Ashling, że Molly nienawidzi mamy.

– Piorę jej kocyk bezpieczeństwa – burknęła Clodagh. – Jest w pralce.

– Dobry Boże!

Molly dostawała spazmów za każdym razem, kiedy ktoś zabierał jej kocyk bezpieczeństwa. Kiedyś był ściereczką do naczyń, zanim po nieustannym ssaniu Molly zamieniła się ona w śmierdzącą, brązową po bokach, bezkształtną szmatę.

– Był brudny – powiedziała z rozpaczą w głosie Clodagh. Odwróciła się od telefonu. – Molly, był brudny! – jęknęła. – Brzydki, okropny, fuj! – Ashling czekała cierpliwie, podczas gdy Clodagh wydawała z siebie okrzyki obrzydzenia. – Był zagrożeniem dla zdrowia, rozchorowałabyś się przez niego. – Zawodzenie przybrało na sile i Clodagh powróciła do rozmowy. – Ta stara cipa z przedszkola powiedziała, że nie wpuści Molly, jeśli nie wypiorę kocyka. Co miałam zrobić? Poza tym nie sądzę, że to zapalenie wyrostka robaczkowego...

Chwilę zajęło, nim Ashling zdała sobie sprawę z tego, że znów mówią o Craigu.

– .. .bo nie rzygnął, a w domowej encyklopedii zdrowia jest napisane, że to pewny znak. Ale człowiekowi różne rzeczy przychodzą do głowy, prawda?

– Pewnie tak – oświadczyła Ashling z powątpiewaniem.

– Odra, świnka, zapalenie opon mózgowych, polio, pałeczki coli – nakręcała się Clodagh. – Czekaaj, Molly chce usiąść mi na kolanach. Możesz siedzieć na kolanach mamusi, jeśli obiecasz, że będziesz cicho. Bądź cicho, dobrze?

Ale Molly niczego nie obiecała, a seria trzasków i stuków świadczyła o tym, że i tak bez przeszkód wspięła się na kolana Clodagh. Na szczęście jej wrzaski przeszły w ostentacyjne pociągania nosem i dyszenie.

– I jakby tego było mało, pieprzony Dylan dzwoni, aby powiedzieć, że nie tylko znowu się spóźni, ale w przyszłym tygodniu wyjeżdża na dwudniową konferencję.

– Pieprzony Dylan! – zaśpiewała Molly, bardzo wyraźnie. – Pieprzony Dylan, pieprzony Dylan!

– ...a do tego w piątek wylatuje na jakąś kolację do Belfastu!

W tle rozległy się inne wrzaski. Męskie. Ashling zastanawiała się, czy pieprzony Dylan wrócił wcześniej do domu i przygnębiły go obelgi żony i córki. Nie, marudne stękanie dotyczące bólu brzuszka uświadomiło jej, że wrzeszczy Craig.

– Przyjdę w piątkowy wieczór – zaproponowała Ashling.

– Świetnie, to... Zostaw! Zostaw, cholera jasna! Ashling, muszę kończyć – powiedziała Clodagh i na drugim końcu linii zapadła głucha cisza. Rozmowy z Clodagh niemal zawsze kończyły się w ten sposób. Ashling siedziała, wpatrując się w telefon. Musiała z kimś pogadać. Na szczęście, lada chwila miał się pojawić Ted, zazwyczaj mogła regulować zegarek według jego powrotów. Osiemnasta pięćdziesiąt trzy.

Jednak dziesięć po siódmej, gdy pochłonęła już połowę chipsów, a Teda wciąż nie było, Ashling zaczęła się martwić. Miała nadzieje, że nic mu się nie stało. Jeździł na swoim rowerze jak szatan i nie chciał nosić kasku. Dziesięć po siódmej zadzwoniła do niego. Ku jej zdumieniu okazało się, że był w domu!

– Czemu nie wpadłeś?

– A chciałeś?

– No, chyba tak. Przecież dziś był mój pierwszy dzień w pracy.

– O, szlag by to, zapomniałem. Już schodzę.

Pojawił się parę sekund później. Wyglądał inaczej. Nieuchwytnie, ale bez wątpienia. Ashling nie widziała go od sobotniej nocy, co samo w sobie było dziwne, jednak zbyt się przejmowała nową pracą, żeby to wcześniej zauważyć. Wydawał się mniej delikatny, bardziej krzepki. Zazwyczaj bez skrupułów zajmował przestrzeń osobistą innych ludzi – teraz była w nim nowa wiara we własne siły.

– Gratuluję sobotniego wieczoru – powiedziała Ashling.

– Chyba mam nową dziewczynę – przyznał z uśmiechem od ucha do ucha. – Co najmniej jedną. – Na widok przejętej twarzy Ashling dodał: – Wczorajszy dzień spędziłem z Emmą, ale jutro wieczorem spotkam się z Kelly.

Po chwili pojawiła się Joy.

– Jeśli patrzysz na czajnik, woda się nie zagotuje. Człowiek–borsuk nigdy nie zadzwoni, jeśli będę warowała przy telefonie. Do rzeczy! Bill Gates, Rupert Murdoch czy Donald Trump? Uznałam, że wybiorę tytanów biznesu na część twojej nowej pracy.

– To proste. – Ashling nie mogła uwierzyć, że Joy jej odpuściła.

– Donald Trump, rzecz jasna.

– Naprawdę? – Joy była w kapryśnym nastroju. – Myślałam, że jest za bardzo uczesany. Trudno mi szanować mężczyznę, który bardziej przejmuje się swoją fryzurą niż ja. Cóż, gusta i guściki. – Następnie sięgnęła do torby i pomachała butelką wina musującego. – Udawajmy, że to Moet et Chandon – powiedziała. – Dla ciebie. Gratuluję nowej pracy.

– Młotek szambo! – wykrzyknęła Ashling. – Dziękuję!

– Młot? – podziwiał Ted.

– Najlepsze z najlepszych – potwierdziła Joy.

Kiedy naśmiali się po uszy, powtarzając: „młotek szambo”, Joy popatrzyła na Ashling z nadzieją w oczach.

– I? Jak tam pierwszy dzień pracownicy pisma z wyższej półki?

– Mam fajne biurko, fajny komputer...

– Fajnego szefa? – zapytała znacząco Joy.

Ashling usiłowała uporządkować myśli. Fascynowała ją rzucająca się w oczy, wypracowana atrakcyjność Lisy i ciekawil emanujący z niej smutek. Rozpoznała w niej kobietę z supermarketu, tę, która kupiła po siedem sztuk wszystkiego – to zresztą też ją interesowało. Jednak popełniła błąd, idąc za Lisą do toalety. Rozpaczliwie pragnęła pomóc, ale okazała się tylko natrętna i niewrażliwa.

– Jest bardzo piękna. – Ashling nie chciała się rozwodzić nad swoimi dylematami. – Szczupła, bystra i fantastycznie ubrana.

Ted, kobieciarz–neofita, wyraźnie się ożywił, ale Joy powiedziała z pogardą:

– Nie o nią mi chodzi, tylko o przystojniaka pogryzionego przez swoją dziewczynę.

Ashling nie czuła się lepiej, myśląc o Jacku Devinie. Dopiero zaczęła nową pracę, a żadne z przełożonych nie wydawało się nią zachwycone.

– Skąd wiesz, że to przystojniak? – zapytała.

– Tak mi się wydaje. Frajerów dziewczyny nie gryzą.

– Rzeczywiście – wtrącił Ted. – Mnie się to nigdy nie zdarzyło.

– To się może zmienić – zauważyła Ashling.

Joy trąciła ją łokciem

– Dobra, wróćmy do twojego szefa.

– Jest... hm, bardzo poważny – odparła Ashling. Po czym wykrztusiła: – Chyba mnie nie lubi.

To wyznanie sprawiło jej jednocześnie ulgę i przykrość.

– Dlaczego nie? – chciała wiedzieć Joy.

– No właśnie – dodał Ted. Jak ktokolwiek mógł nie lubić Ashling?

– Chyba dlatego, że wtedy dałam mu plaster.

– A co w tym złego? Próbowalaś tylko pomóc.

– I szkoda – powiedziała szczerze Ashling. – Zjedzmy coś.

Zadzwonili do miejscowej tajskiej knajpy z jedzeniem na wynos, i jak zwykle, zamówili o wiele za dużo. Mimo że rozciągnęli sobie żołądki do granic możliwości, zostało całe mnóstwo jedzenia.

– Zawsze musimy przesadzić – westchnęła z żalem Ashling. – No dobra, czyja lodówka przechowa te resztki przez dwa dni, zanim je wyrzucimy?

Joy i Ted wzruszyli ramionami i spojrzeli na Ashling.

– Może twoja?

– Martwię się – oświadczyła Joy. – W ciasteczku z wróżbą napisali, że przeżyję rozczarowanie. Poczytajmy horoskopy.

Potem postawili sobie I Ching, minęło trochę czasu, zanim udało im się uzyskać odpowiedź, która ich satysfakcjonowała. Po nieudanych próbach znalezienia czegoś ciekawego w telewizji Joy wyjrzała przez okno i popatrzyła na Snow, klub po drugiej stronie ulicy. Selekcyjnerzy wpuszczali ich za darmo, jako miejscowych.

– Ktoś ma ochotę iść na drugą stronę na tańce? – zasugerowała od niechcienia. Za bardzo od niechcienia.

– Nie! – krzyknęła Ashling, przestraszona, więc stanowcza. – Jutro rano muszę być w szczytowej formie.

– Ja też mam pracę – zauważyła Joy. – Jestem najszybszym na zachodzie programem do pisania wniosków o odszkodowanie. No chodź, na jednego drinka.

– Chyba nie wiesz, co mówisz. Jestem zdumiona, że w ogóle coś takiego powiedziałaś. Jeśli pójde z tobą, na „jednego drinka”, to o piątej rano, kompletnie pijana, będę tańczyła do Abby i obserwowała wschód słońca w nieznanym sobie mieszkaniu z grupą obcych mężczyzn, których wcześniej nie znałam i wcale nie chcę znać.

– Dotąd się nie uskarżałaś.

– Przykro mi, Joy. Po prostu zależy mi na pracy.

– Ja z tobą pójde – zaproponował Ted. – Jeśli się nie boisz, że odstraszę facetów.

– Ty? – Joy roześmiała się pogardliwie. – Wątpię.

Dylan wrócił do domu po dziewiątej. Clodagh zdołała położyć zarówno Molly, jak i Craiga, co graniczyło z cudem.

– Cześć – powiedział znużonym głosem Dylan, rzucił teczkę pod ścianę w przedpokoju i poluzował krawat. Tłumiąc gniew, gdy sprzączki te czki znowu zazgrzytały o ścianę, przygotowała się na pocałunek. Wolałaby, żeby Dylan to sobie darował. To przecież nic nie znaczyło, po prostu irytujący zwyczaj.

Otworzyła usta, żeby opowiedzieć mu o swoim okropnym dniu, ale ją uprzedził.

– Chryste, co za dzień! Gdzie oni są?

– W łóżkach.

– Oboje?

– Tak.

– Czy powinniśmy zadzwonić do Watykanu i donieść o cudzie? Idę tylko ich zobaczyć, zaraz wracam.

Wrócił w podkoszulku i spodniach od dresu.

– Co nowego? – zapytała, chciwa informacji i wrażeń ze świata zewnętrznego.

– Nic. Jest kolacja.

A, kolacja.

– Craiga bolał brzuch, a Molly się wściekała... – Otworzyła lodówkę w poszukiwaniu inspiracji. Nic. W zamrażalniku też nic. – Możesz zjeść tosty z makaronem?

– Tosty z makaronem. Dobrze, że nie ożeniłem się z tobą dla twoich nadzwyczajnych umiejętności kulinarnych. – Uśmiechnął się do niej. Czy tylko sobie wyobraziła napięcie w tym uśmiechu?

– Tak, dobrze – przytaknęła, wyciągając garnek z szafki. Nie była pewna, czy Dylan jest zły czy nie. Zachowywał się pogodnie, nawet gdy w środku

szalał. Zresztą, nie miała nic przeciwko temu, ułatwiało jej to życie. – Jak tam w pracy? – spróbowała ponownie. – Dlaczego tak późno wróciłeś?

Westchnął ze znużeniem.

– Pamiętasz ten wielki amerykański przetarg? Ten, który ciągnie się nie wiadomo od kiedy?

– Tak – skłamała, wkładając chleb do tosterka.

– Nie pamiętam, na jakim etapie były sprawy, kiedy ostatnio o niej rozmawialiśmy. Czy podjęli już jakąś decyzję?

– Właśnie się wahali – zaryzykowała Clodagh.

– No więc po niekończących się przemyśleniach w końcu skupili się na trzech pakietach. Potem wymyślili, że chcą je przetestować. Jak wiesz, to koszmarna strata czasu, w związku z tym zaproponowałem im sprawozdania z wcześniejszych testów. Z początku się zgodzili, powiedzieli, że nie ma sprawy. Potem jednak zmienili zdanie i zdecydowali, że przyślą dwóch techników ze swojego oddziału w Ohio, by oni przeprowadzili badania...

Clodagh zamieszała makaron w rondlu i całkiem się wyłączyła. Była rozczarowana. Co za pieprzone nudy.

A zgarbiony nad stołem Dylan wylewał z siebie potoki słów.

– A po południu zadzwonili, okazało się, że właśnie kupili pakiet z Digiware, a naszych nawet nie przetestują!

W tym momencie Clodagh powróciła do rzeczywistości.

– To cudownie! Nawet nie przetestują waszych!

W swoim zimnym, pustym łóżku w ponurym pokoju na Hartcourt Street Lisa usiłowała zasnąć, ale już czuła, że trafiła do krainy snu. W sam środek przerażającego koszmaru.

Po szokującym dniu w amatorskiej redakcji była już niemal pewna, że nie spotka jej nic gorszego. Potem jednak starała się znaleźć mieszkanie do wynajęcia.

Najpierw postanowiła skorzystać z usług agencji nieruchomości, ale opłata rejestracyjna była paskarska. Taktowna wzmianka na temat tego, że Lisa zamieści miłą wzmiankę o agencji w piśmie, jeśli zrezygnują z opłaty, nie spotkała się z akceptacją.

– Nie potrzebujemy reklamy – poinformował ją młody człowiek. – Dzięki Celtyckiemu Tygrysowi mamy aż za dużo pracy.

– Celtyckiemu czemu?

– Tygrysowi. – Młody człowiek zauważył, że Lisa nie mówi z irlandzkim akcentem, więc wyjaśnił: – Pamięta pani, że kiedy rozkwitała gospodarka takich krajów jak Japonia i Korea, nazywano je Azjatyckimi Tygrysami?

Naturalnie Lisa tego nie pamiętała. Słowa w rodzaju: „ekonomia” wpadały jej do głowy jednym uchem, wypadały drugim.

– A teraz gospodarka irlandzka znakomicie się rozwija, więc nazywamy ją Celtyckim Tygrysem – ciągnął młody człowiek. – I dlatego nie potrzebujemy darmowej reklamy – zakończył najtaktowniej, jak potrafił, czyli nie za bardzo.

– Rozumiem – odparła głucho Lisa, odkładając słuchawkę. – Dziękuję za wykład o ekonomii.

Za radą Ashling kupiła wieczorną gazetę, przejrzała kilka kolumn dotyczących wynajęcia mieszkań i niewielkich domów w modnej dzielnicy Dublin 4, i po pracy umówiła się na oglądanie paru miejsc. Potem zadzwoniła po taksówkę, by na koszt Randolph Media obwiozła ją po tych domach.

– Przepraszam, moja droga – powiedziała dyspozytorka. – Nie znam pani nazwiska.

– Spokojnie, wkrótce pani pozna – odrzekła Lisa aksamitnym głosem.

Już od wielu lat nie korzystała z transportu publicznego – ani też nie płaciła za taksówki z własnej kieszeni, skoro już o tym mowa. I nie zamierzała robić tego teraz.

Pierwsze było dwupoziomowe mieszkanie w Ballsbridge. W gazecie wydawało się idealne – odpowiednia cena, odpowiedni adres, odpowiednie udogodnienia. I rzeczywiście, pełna kawiarenek i restauracji okolica wydawała się bardzo miła, cicha, okolona drzewami uliczka atrakcyjna, domki zadbane i eleganckie. Gdy taksówka jechała w poszukiwaniu numeru czterdziestego ósmego, Lisie po raz pierwszy od poznania Jacka Devine'a poprawił się humor. Już sobie wyobrażała, jak tu mieszka.

I wtedy go zobaczyła. Był to jedyny dom na tej ulicy, w którym najwyraźniej zamieszkali dzicy lokatorzy: podarte zasłony w oknach, trawa wysoka na metr, zardzewiałe auto na ceglach. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jest numer czterdziesty ósmy. Czterdziesty drugi, czterdziesty czwarty, czterdziesty szósty, czterdziesty ós... my. No jasne, numer czterdziesty ósmy to dom, który wyglądał na przeznaczony do rozbiórki.

– Kurwa – westchnęła.

Zapomniała. Minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz szukała mieszkania, więc wypadło jej z pamięci, jaka to męczarnia. Seria rozczarowań, a każde gorsze od poprzedniego.

– Proszę jechać – poleciła kierowcy.

– Nie ma sprawy – odparł. – Dokąd teraz?

Drugie miejsce wydawało się nieco lepsze, dopóki mała brązowa myszka nie przebiegła po kuchni, znikając za lodówką. Włosy Lisy stanęły dęba z obrzydzenia.

Trzecie miejsce opisano w gazecie jako „maleńkie i wytworne”, co chyba miało być synonimem określenia „niewyobrażalnie ciasne”. Była to kawalerka z łazienką we wnęce i bez kuchni.

– A po co pani kuchnia? Wy, biznewomen, nie macie czasu na gotowanie – podlizywał się jej tłusty jak foka właściciel. – Za dużo czasu zajmuje wam rządzenie światem.

– Chytra z ciebie sztuka, grubasie – mruknęła pod nosem Lisa. Powlokła się przygnębiona do taksówki, a w drodze powrotnej na

Hartcourt Street musiała rozmawiać z kierowcą, który uznał, że są przyjaciółmi na śmierć i życie.

– ...a mój najstarszy to złota rączka. Najmilszy diabełek na świecie z niego, wszystkim by dogodził. Potrafi zmieniać żarówki, montować stoły, ścinać trawę, i wszystkie staruszki z naszej ulicy go kochają...

Kierowca irytował ją jak diabli, ale kiedy wysiadła z taksówki, odkryła, że jej go brakuje. Już nigdy nie miała dowiedzieć się, co się stało, kiedy postanowił pokonać bandę dziewczuch dręczących jego czternastoletnią córkę.

Gdy znalazła się w swoim smutnym pokoju, poczuła bolesny skurcz serca. Przez zmęczenie i brak jedzenia wszystko wydawało się jeszcze gorsze.

Nagle dopadło ją déjà vu. Miała wrażenie, że znów jest osiemnastolatką, pracuje w szmatławym pisemku i bez powodzenia usiłuje wynająć jakiś w miarę przyzwoity lokal. Gdzieś w labiryncie życia wpadła w pułapkę i wróciła na sam początek drogi. Kiedyś było to znacznie zabawniejsze.

Dawniej rozpaczliwie usiłowała wyrwać się z domu. Odkąd skończyła trzynaście lat, wagarowała i jeździła do Londynu, żeby kraść w sklepach. Wracała z łupem w postaci eyelinerów, kolczyków, apaszek i toreb. Matka patrzyła na nią z podejrzliwym niepokojem, ale nie ośmieliła się pytać, skąd to wszystko.

W wieku szesnastu lat Lisa, po tym, jak oblała wszystkie możliwe egzaminy, wyjechała z domu i na dobre przeniosła się do Londynu, Lisa i jej przyjaciółka Sandra, która zyskała sobie natychmiastową popularność, zmieniając imię na Zandra, poznały trzech gejów o imionach Charlie, Geraint i Kevin, po czym wprowadziły się do ich squatu w wieżowcu w Hackney. Wtedy zaczęło się życie pełne dzikiej swobody. Łykali amfę, w poniedziałkowe wieczory chodzili do Astorii, w środowe do Heaven, w czwartkowe do The Clink. Falszowali stare bilety autobusowe, do domu wracali nocnymi, słuchali Cocteau Twins i Art of Noise, poznawali ludzi ze wszystkich stron świata.

Najważniejsze w ich życiu były ubrania, przede wszystkim musieli dobrze wyglądać. Za radą chłopców, którzy mieli w małym palcu encyklopedyczną wiedzę o tym, jak się prezentować, Lisa wkrótce zaczęła wyglądać wspaniale.

Na targu w Camden Geraint zmusił ją do kupna czerwonej, obcisłej sukienki z Body Mop, z rozcięciem na udzie. Do niej nosiła rajstop) w wąskie czerwone i białe paski. Za torebkę służyła jej maleńka, biała walizka z

czerwonym krzyżem. Kevin uparł się, że zwinie dla nie parę butów od Josepha – małych płóciennych tenisówek z gumowe podeszwą. I na szczęście zdążył, bo następnego dnia go złapali. Na głowie Lisa miała dziergany, piracki kapelusz z mnóstwem agrafek – domowej roboty podróba Johna Galliano, spreparowany przez Kevina który pragnął zostać projektantem mody. Charlie zajął się włosami Lisy. W modzie były rozmaite doczepki, więc najpierw ufarbował jej włosy na niemal biały blond i przyczepił warkocz aż do pasa. Pewnej nocy w Taboo fotograf z „ID” zrobił jej zdjęcie. (I choć przez pół roku kupowali pismo, zdjęcie nigdy się nie ukazało, ale jednak).

W mieszkaniu nie mieli niemal żadnych mebli, więc było wielkie święto, gdy w śmietniku znaleźli fotel. Cała piątka radośnie przydźwigała mebel do domu, siadali na nim po kolei. Musieli też pić herbatę na zmianę, bo mieli jedynie dwa kubki. Nie przyszło im jednak do głowy, żeby kupić dodatkowe naczynia – byłaby to niewiarygodne strata gotówki. Niewielkie sumy, jakie mieli, przeznaczali na kupno ubrań, płacenie w klubach (nie dało się tego uniknąć) i drinki.

Wszyscy w końcu dostali pracę – Charlie jako fryzjer, Zandra w restauracji, Kevin w sklepie Comme des Garçons, Geraint na bramce awangardowego klubu, a Lisa w sklepie odzieżowym na modnej ulicy, gdzie kradła więcej, niż sprzedawała. Wdrożyli w życie znakomicie funkcjonująca wymianę barterową. Charlie zajmował się włosami Lisy, ona kradła koszule dla Gerainta, Geraint wpuszczał ich do Taboo za darmo, Zandra dawała im darmową tequilę sunrises w swojej restauracji (tu też działał minibarter, gdyż barman nie żądał rachunków od Zandry w zamian za drobne usługi seksualne). Jediną osobą wyłączoną z barteru był Kevin, gdyż sklep, w którym pracował, był nieprawdopodobnie drogi i jednocześnie minimalistyczny, więc gdyby

Kevin zwinął najmniejszą rzecz, zniknęłoby ćwierć zawartości sklepu. Ale dokładał całej grupie ogólną chwałę niezależności w szalonych dniach końca lat osiemdziesiątych, kiedy tak wielką wagę przywiązywano do etykiet.

Nikt z nich nie wydawał pieniędzy na jedzenie – podobnie jak w wypadku kubków czy mebli byłoby to marnotrawienie funduszy. Jeśli czuli głód, zjawiali się w restauracji Zandry, żądając, by ich nakarmiono. Albo kradli w miejscowym Safewayu. Chodzili po działach, zjadali rozmaite rzeczy, papierki lub skórki od bananów ciskali na półki. Czasem Lisa upierała się przy wynoszeniu pewnych rzeczy, lubiła ten dreszczyk ryzyka.

Takie życie trwało półtora roku, aż nagle cudowna bliskość zaczęła znikać wśród sprzeczek i awantur. Wspaniałe wyczekiwanie na swoją kolej, by napić się herbaty, już ich denerwowało. Potem chłopak Lisy, z zarządu pewnego czasopisma, zaryzykował i dał jej pracę w „Sweet Sixteen”. Choć nie miała kwalifikacji, wykształcenia właściwie też nie, była porażająco bystra. Wiedziała, co się nosi, co odchodzi do lamusa, co warto wiedzieć, i zawsze wyglądała spektakularnie, zadziwiająco modnie. W sekundę po tym, jak coś pokazało się w „Voque”, Lisa pojawiała się w tańszej wersji tego, a co ważniejsze, nosiła to z przekonaniem. Mnóstwo kobiet wkładało sukienki bombki, bo wiedziały, że powinny, ale większości towarzyszyło zażenowanie. Lisa w pięknym stylu paradowała w swojej sukience.

Ze względu na to, że pismo, w którym pracowała, było niskobudżetowym szmatławcem, ciężko jej było znaleźć sobie mieszkanie. Jednak wtedy główniana praca w piśmie wydawała się jej czymś fantastycznym – najważniejsze, że zatrudniono ją w piśmie. A próba znalezienia w miarę porządnego mieszkania była olbrzymim krokiem naprzód – po mieszkaniu w squacie. Delektowała się tym. Było to źródłem jej dumy, nie zażenowania. I

mimo że znajdowała się wtedy dopiero u progu kariery, była człowiekiem sukcesu wśród przyjaciół ze squatu w Hackeney.

A teraz? Charlie pracował w salonie na Bond Street i miał mnóstwo prywatnych klientek, samych okropnych bogaczek. Zandra powróciła do imienia Sandra i do domu w Hemel Hempstead, wyszła za mąż i urodziła trójkę dzieci, jedno po drugim. Kevin też wziął ślub – z Sandrą. Okazało się, że tylko udawał geja, bo uważał, że to modne. Geraint umarł, w 1992 okazało się, że ma HIV, a jego płuca przestały pracować trzy lata później. Lisa... wystarczy teraz spojrzeć na Lisę. Tyle lat ciężkiej pracy i taki koniec. Jak do tego doszło?

Znowu w koszarnej terażniejszości Lisa siedziała na swoim hotelowym łóżku i paliła papierosa za papierosem, czekając, aż rohypnol podaruje jej mniej więcej cztery godziny miłosiernej nieświadomości. Jednak ciągle wracały do niej te same nieprzyjemne myśli. Była przerażona ogromnym wyzwaniem, które ją czekało, i nienawidziła tego kraju. Nie miała jednak wyjścia. Nie mogła wrócić do Londynu. Nawet gdyby była dla niej praca – a chwilowo nie było – człowiek jest tak dobry jak jego ostatnie osiągnięcia zawodowe. Musiała sprawić, że „Irlandka” odniesie sukces, bo inaczej nikt nie zechce jej zatrudnić. Znalazła się w pułapce.

Uniosła listek rohypnolu i nagle samobójstwo wydało się jej pociągającą możliwością. Czy szesnaście tabletek wystarczy, żeby się zabić? Uznała, że najprawdopodobniej tak. Mogłaby po prostu zamknąć oczy i odpłynąć. Odejść w blasku chwały, kiedy jeszcze jej nazwisko było tak silnie kojarzone z czasopismami z górnej półki. Ocalić reputację na wieczność.

Zawsze udawało się jej wybrnąć z oparów, nigdy dotąd nie myślała o samobójstwie – a teraz robiła to tylko dlatego, iż wydawało się najwłaściwszym sposobem na przetrwanie. Im więcej jednak o tym myślała,

tym bardziej zabicie się nie wchodziło w grę: wszyscy uznaliby, że załamała się pod presją, i cieszyliby się jak szaleni.

Wzdrygnęła się na myśl o ludziach związanych z rynkiem angielskich czasopism. Oczyma duszy widziała, jak pojawiają się na jej pogrzebie, szepcząc zgodnie: „Nie mogła tego dłużej znieść, sami wiecie. Biedna dziewczyna, nie wytrzymała tempa”. Patrzyliby na siebie w tych eleganckich ciemnych garniturach – nawet nie musieliby specjalnie przebierać się na pogrzeb – i gratulowaliby sobie, że wciąż są w grze, wciąż żyją. Tutaj nikt nie mówi pas, w żadnym razie!

Niewytrzymywanie tempa było najgorszym przestępstwem w tej branży. Gorszym niż żywienie się hamburgerami i rozmiar czterdziesty czwarty albo wmawianie światu, że modne są krótkie włosy, podczas gdy wszyscy wydawali majątek na loki do ramion. Wychodząc z założenia, że wokoło jest tylu twardzieli, ludzie z branży radośnie przyjmowali informację, że jeden z ich kolegów udał się na „długi, zasłużony odpoczynek” albo „postanowił spędzać więcej czasu z rodziną”.

Doszła do wniosku, że jedyne wyjście to tragiczny wypadek. Efektowny tragiczny wypadek. Mowy nie ma o wpadaniu pod ohydne irlandzkie – autobusy, to byłoby jeszcze bardziej żenujące niż śmierć z własnej ręki. Musiała wypaść z motorówki, najmarniej. Albo spłonąć w kuli ognia, lecąc śmigłowcem w jakieś pieprzone, nikomu nieznane miejsce.

...Była w drodze do Manoir aux Quatre Saisons. Nie, chyba chodziło o Balmoral Castle. Na osobiste życzenie sam wiesz kogo.

Co za śmierć. Wspaniale żyła i wspaniale umarła.

Spaliła się na popiół, mówiono mi, że wyglądała jak przypalony stek. Żmijowaty głos Lily Headly–Smythe, redaktorki „Panache”, przerwał te sny na jawie.

Krażą plotki, że Vivienne Westwood zamierza wykorzystać ten motyw w swojej najnowszej kolekcji – modelki będą umalowane jak ofiary pożaru.

Fantazje wróciły i Lisa w końcu zasnęła, pocieszając się myślami o swojej śmierci, wielkim wydarzeniu towarzyskim.

11

Tydzień trwał dalej. Lisa snuła się przez życie niczym lunatyk – dobrze ubrany i butny lunatyk.

W piątek przestało lać, wyszło słońce. Ten fakt ogromnie podniecił pracowników „Irlandki”; zachowywali się jak dzieci w świąteczny poranek. Natychmiast po przyjściu do redakcji wszyscy przystąpili do wymiany komentarzy.

- Fantastyczny dzień.
- Taka pogoda to istny cud.
- Wspaniały poranek.

I to wszystko dlatego, że przestało padać, pomyślała Lisa z pogardą.

– Pamiętasz lato zeszłego roku? – wrzasnął Kelvin do Ashling po drugiej stronie pomieszczenia. Jego oczy radośnie błyszczały za zerówkami w czarnych oprawkach.

– A pamiętam – przyznała Ashling. – To było w którąś środę, prawda?

Wybuchnęli gromkim śmiechem – wszyscy z wyjątkiem Lisy. Późnym rankiem do redakcji wmaszerowała Mai, błysnęła zębami w zblazowanym, słodkim uśmiechu i spytała:

– Jest Jack?

Lisę przeszył dreszcz. Ponad wszelką wątpliwość była to dziewczyna Jacka. Co za niespodzianka. Lisa spodziewała się bladej i piegowatej Irlandki, a zjawiała się drobna, śniada i egzotyczna piękność.

Stojąca przy kopiarce Ashling, która właśnie powielala w kilku milionach egzemplarzy komunikaty prasowe dla każdego projektanta mody i producenta kosmetyków we wszechświecie, również podniosła wzrok. Narzeczona Jacka wyglądała szalowo i seksownie, a do tego absolutnie niewinnie, jakby nie mogła skrzywdzić nawet muchy.

– Jest pani umówiona? – Pani Morley dźwignęła się z miejsca, prezentując swoje pełne metr pięćdziesiąt wzrostu i onieśmielająco eksponując niewiarygodnie okazały biust.

– Proszę mu przekazać, że przyszła Mai.

Pani Morley wbiła ciężkie spojrzenie w rozmówczynię i po chwili odeszła. Pod jej nieobecność zamyślona Mai bezwiednie okręcała kosmyk gęstych włosów wokół smukłego palca. Wyglądała jak żywcem wyjęta z erotycznego snu. Wreszcie pani Morley wróciła.

– Może pani wejść – oznajmiła, wyraźnie rozczerowana.

Mai przeszła przez pomieszczenie w całkowitej ciszy, a gdy zaniknęły się za nią drzwi gabinetu Jacka, wszyscy jednocześnie odetchnęli i natychmiast przystąpili do wymiany komentarzy.

– To dziewczyna Jacka – powiedział Kelvin do Ashling, Lisy i Mercedes.

– Niewarta zachodu, moim zdaniem – mruknęła ponuro pani Morley.

– Tego nie byłbym taki pewien – zaprotestował lubieżnie Kelvin. Pani Morley odwróciła się ze zde gustowanym sapnięciem.

– Pół Irlandka, pół Wietnamka – obwieścił milczek Gerry.

– Żrą się jak pies z kotem. – Trix się wzdygnęła. – Jest naprawdę agresywna.

– Cóż, to mało wietnamskie – oświadczyła Dervla O'Donnell, zachwycona pretekstem do oderwania się od pracy nad „Irlandzką Panną Młodą”. – Wietnamczycy są niesłychanie łagodnymi i gościnnymi ludźmi. Kiedy podróżowałam po tamtych rejonach...

– Och, nie – jęknęła Trix. – Była hipiska znowu wspomina Wietnam. Czuję, że ogarnia mnie stężenie pośmiertne.

Ashling kontynuowała powielanie, lecz nagle kopiarka stęknęła, zatrzeszczała kilka razy, tak jak nie powinna, i umilkła. Na wyświetlaczu pojawił się żółty, migoczący napis:

– PQ 03? – spytała Ashling. – A to co ma znaczyć?

– PQ 03? – Pracownicy redakcji popatrzyli po sobie. – Nie mam pojęcia.

– To nowy model.

– I tak możesz się cieszyć. Zwykle psuje się po dwóch odbitkach.

– Co mam robić? – chciała wiedzieć Ashling. – Te informacje prasowe muszą dziś wieczorem trafić na pocztę.

Spojrzała na Lisę w nadziei, że szefowa jej pomoże. Tymczasem mina Lisy była nieprzenikniona. Pod koniec pierwszego tygodnia Ashling definitywnie utwierdziła się w przekonaniu, że Lisa to poganiaczka niewolników, ogarnięta obsesją gigantycznego rozrostu pisma. Taka osoba bywa pod wieloma względami fantastyczna, przy założeniu, że to na kimś innym ciąży obowiązek realizowania jej pomysłów.

– Proszenie tych patałachów o pomoc nie ma żadnego sensu. – Trix z pogardę wskazała Gerry'ego, Bernarda i Kelvina. – Tylko pogorszyliby sprawę.

Jack jako tako radzi sobie z techniką, ale w tej chwili raczej bym mu nie przeszkadzała – dodała znacząco.

– Zrobię coś innego. – Ashling wróciła do biurka. Na moment sparaliżowała ją perspektywa ogromu pracy do wykonania. Postanowiła wybrać setkę najbardziej seksownych, interesujących, utalentowanych Irlandczyków. Uwzględniła każdego, począwszy od didżejów, przez fryzjerów i aktorów do dziennikarzy. Recytowała nazwiska tych ludzi, a Trix w imieniu Lisy aranżowała z nimi śniadania, lunche, podwieczorki lub kolacje. Lisa zmierzała prosto do celu: postanowiła poznać całą śmietankę towarzyską Irlandii.

– Po tych wszystkich posiłkach będziesz miała rozmiary domu – zażartowała Trix.

Lisa uśmiechnęła się z wyższością. Zamawianie posiłków nie oznaczało, że trzeba je jadać.

Redakcja wrzała od pracy, aż w końcu drzwi gabinetu Jacka się otworzyły i wypadła z nich Mai. Wszyscy jednocześnie wbili w nią wzrok, spodziewając się tego, co za chwilę nastąpi. Nikt nie był zawiedziony. Mai usiłowała agresywnie zatrzaskać za sobą drzwi, lecz się zablokowały, więc zadowolona się wymierzeniem im potężnego kopniaka.

Parę sekund później z gabinetu wybiegł Jack. Miał błędny wzrok i ponurą minę. Dzięki długim nogom sprawnie gonił dziewczynę. Na środku pomieszczenia najwyraźniej jednak odzyskał rozum, bo zwolnił.

– Pieprzyć to – mruknął i rąbnął pięścią w kopiarke. Coś warknęło i stuknęło, a następnie z urządzenia ponownie wysypały się kartki. Kopiarka działała.

– Odzyskaliśmy zdobycz techniki! Jack Devine naszym wybawicielem! – oznajmiła Ashling i zaczęła bić brawo. Inni poszli za jej przykładem. Jack rozejrzał się, zdumiony aplauzem, a następnie, ku zaskoczeniu wszystkich, wybuchnął śmiechem. Natychmiast zaczął wyglądać jak zupełnie inny człowiek, znacznie młodszy i sympatyczniejszy.

– To szaleństwo – mruknął.

Ashling przytaknęła.

Jack niepewnie przestępował z nogi na nogę. Nie miał pojęcia, czy ścigać Mai, czy też... Po chwili dostrzegł na biurku Ashling paczkę marlboro, jeden papieros wystawał z pudełka. Oficjalnie w redakcji obowiązywał zakaz palenia, lecz w zasadzie nikt go nie przestrzegał. Wyjątkiem był nudny Bernard, który otaczał się znaczkami „Dziękuję za niepalenie”. Sprawił sobie nawet mały wiatraczek.

Jack uniósł brwi, jakby bezgłośnie pytał: „Czy mogę?”, a następnie wyciągnął papierosa ustami, potarł zapalnik o draszkę, zapalił papierosa i jednym stanowczym ruchem ręki zgasił płomień. Potem mocno się zaciągnął.

Ashling śledziła wszystkie jego ruchy. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Najwyraźniej wybrałem nieodpowiednią dziewczynę do rzucania palenia – mruknął Jack i powędrował do gabinetu.

– Dziewczyny, potrzebuję pomocy! – zawołała Dervla O'Donnell, odwracając uwagę wszystkich od Jacka. Wskoczyła zza jesiennej rozkładówki „Irlandzkiej Panny Młodej”, szeleszcząc trzyczęściową garsonką z jedwabiu, jednoznacznie dowodzącą, że duże jest piękne. – Co jesienią 2000 roku będzie miał na sobie dobrze ubrany gość ślubny? Co jest na topie, co się dzieje, co się nosi?

– Zdaje się, że następuje wielki powrót podbródków, moja droga. – Lisa puściła jej oko.

Jęk zebranych płynnie przeszedł w śmiech, co zdecydowanie poprawiło samopoczucie Lisy. Była dumna ze swojej złośliwej uwagi i ostrego języka, czerpała siłę z własnej inteligencji.

Ośłupiała Dervla stała nieruchomo. Słyszając, że wszyscy jej koledzy rechoczą, zmusiła się do uśmiechu.

– Czyż nie jest pięknie? – Jack z udawanym entuzjazmem wznosił kufel i popatrzył na Kelvina i Gerry'ego. – Żadnych wkurzających kobiet.

Kelvin rozejrzał się po pubie. Choć był piątkowy wieczór, w lokalu przebywało zaledwie kilka pań.

– Żadna z nich nie siedzi przy nas i nie suszy nam głowy – ciągnął Jack.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby siedziała tu Lisa – odparł Kelvin. – Jeeezu, ale laska.

– Fantastyczna – potwierdził Gerry, który nagle zapragnął zabrać głos.

– Zauważyliście, że choć jej oczy pozostają nieruchome, sutki wodzą za nami? – zauważył Kelvin.

Zarówno Gerry, jak i Jack sprawiali wrażenie lekko zbitych z tropu tą uwagą.

– Mercedes też jest całkiem apetyczna – kontynuował z aprobatą Kelvin.

– Ale nie ma zbyt wiele do powiedzenia – zauważył Gerry, dając niezbity dowód na to, że przyganiał kocioł garnkowi.

Kelvin uśmiechnął się do niego.

– Nie interesują mnie jej umiejętności prowadzenia rozmowy.

Zarechotali oblesnie i zaczęli trącać się łokciami na znak aprobaty.

– Podaj popielniczkę, Kelvin – warknął Jack. Kelvin spełnił jego prośbę, a Jack zaśmiał się smętnie. – Kiedy ostatni raz powiedziałem to do kogoś, w odpowiedzi usłyszałem: „Zrujnowałeś mi życie, ty draniu”.

Gerry i Kelvin poruszyli się niespokojnie. Jack psuł radosny nastrój piątkowego wieczoru.

– Daj spokój – mruknął Kelvin i dzielnie postanowił skierować rozmowę na właściwe tory. – A czy Ashling nie jest świetna?

– Bezwzględnie. Wygląda jak urocza młodsza siostra – przytaknął Gerry.

– Naprawdę jest niebrzydka – dodał wielkodusznie Kelvin. – Ale nic rewelacyjnego, w przeciwieństwie do Lisy czy Mercedes.

Jack poczuł się niezręcznie. Ashling budziła w nim dziwne uczucia: coś w rodzaju wstydu, a może irytacji.

– Mówię tylko, jak to miło, że nie ma tu kobiet. – Jack powrócił do przyjemniejszych spraw. – Jeśli więc powiem, że mamy piękny, słoneczny wieczór, nikt się nie odwróci i nie oznajmi: „Spadaj, frajerze, żałuję, że cię spotkałam”.

Kelvin westchnął dramatycznie i dał za wygraną.

– Więc z Mai znowu koniec?

Jack skinął głową.

– Może po prostu dasz sobie z nią spokój?

– Zawsze walczycie. – Gerry wtrącił swoje trzy grosze.

– Doprowadza mnie na skraj szaleństwa – westchnął Jack. – Nie masz pojęcia, jak to jest.

– Oczywiście, że mam, jestem żonaty – zaprotestował Gerry.

– Nie! Nie o to mi chodzi...

– Kochaj je i rzucaj – przerwał Kelvin z wymownym uśmiechem. – To moje motto. Albo raczej: nie kochaj ich i je rzucaj.

Najwyraźniej uznał, że najwyższa pora zakończyć rozmowę o uczuciach.

I pomyśleć, jacy byli zadowoleni, kiedy Jack zaczął spotykać się z Mai! Minał wtedy ponad rok od czasu, kiedy Dee, jego wieloletnia dziewczyna, nagle opuściła Jacka. Wszyscy z radością ujrzeli go ponownie w akcji. Sądziło się, że sytuacja wraca do normy. Gdy jednak minął miesiąc miodowy – trwał jakies cztery dni – Jack sprawiał wrażenie niemal równie nieszczęśliwego u boku Mai, jak tuż po odejściu Dee.

– Jak tam ostatnie zamieszanie ze związkami zawodowymi w telewizji? – spytał Kelvin, aby odciągnąć uwagę Jacka od kobiet.

– Konflikt załagodzony – odparł Jack. – Do następnego razu.

– Jeeezu, dobrze, że nie ja muszę się tym przejmować. – Kelvin wiedział, że Jack stale pozostaje pod presją wymagań zarządu, związków zawodowych oraz reklamodawców. Nic dziwnego, że nie opuszczało go napięcie.

– Oglądalność wzrasta – mruknął Gerry.

– Czyżby? – spytał Kelvin, niespecjalnie zainteresowany. – Dobra robota, Jack. – Zwrócił się do Gerry'ego. – Twoja kolej. Postaw drinka naszemu wspaniałemu wodzowi.

Samochody, postanowił Kelvin. O tym porozmawiają.

W piątkowy wieczór Lisa wyszła z redakcji ostatnia. Ulice były zatłoczone, a zachodzące słońce świeciło oślepiająco. W drodze na Christchurch przepychała się między rozbawionymi wielbicielami dobrej zabawy, którzy wylewali się z pubów na ulice Tempie Bar. Nie potrafiła opędzić się od wspomnień. Cały czas miała w pamięci inne pogodne, piątkowe wieczory.

Siadywała z Oliverem nad rzeką w Hammersmith, sączyła cydr, spokojna i rozluźniona po tygodniu ciężkiej pracy.

Czy naprawdę tak bywało?

Odgoniła wspomnienie Olivera i spróbowała pomyśleć o czymś innym. Nagle zobaczyła parę skrzyżowanych białych nóg w czerwone pręgi, wystających spod jednego ze stołów w pubie. Trix!

Podczas lunchu, na cześć błękitnego nieba i temperatury powyżej zera, Trix ogoliła nogi w toalecie dla pań i zaprezentowała je światu, zakrwawione, lecz wolne od rajstop. Niewiele brakowało, a Ashling zabrakłoby plastrów.

Lisa przyspieszyła kroku, udając, że nie widzi, jak Ashling macha, żeby przyłączyła się do niej i Trix.

Ładna pogoda najwyraźniej skłoniła również Ashling do depilacji nóg. Lisa podsłuchiwała, jak jej zastępczyni rezerwuje sobie woskowanie w porze lunchu. Dziwne, ale nie próbowała wkręcić się za darmo. Najwyraźniej wolała zachować się przyzwoicie i zapłacić za ten zabieg. Ale skoro Ashling zabrakło zdrowego rozsądku, by użyć (niech będzie – nadużyć) swojego stanowiska zastępczyni naczelnej pisma dla kobiet, Lisa nie miała obowiązku jej oświecać.

Właściwie nie istniała możliwość, by Lisa polubiła kogoś tak pospolitego jak Ashling, a jeszcze do tego Ashling przyłapała ją na płaczu i zaczęła pocieszać, więc Lisa ją znienawidziła.

Nie cierpiała też Mercedes, choć z zupełnie innych powodów. Mercedes, skryta i opanowana, budziła w niej lęk.

Kiedy Ashling zakończyła rezerwację, Lisa rozbawiła wszystkich, oświadczając:

– Mercedes, teraz twoja kolej. Chyba że tego lata na topie są goryle nogi.

Mercedes posłała jej grobowe spojrzenie, tak ponure, że Lisa powstrzymała się od uwagi, iż Mercedes powinna sobie zapuścić bokobrody i wąsy.

– Ejże, to żart. – Lisa uśmiechnęła się krzywo. Chciała pokazać wszystkim, że Mercedes jest nie tylko włochata, ale i pozbawiona poczucia humoru.

Aby wkurzyć zarówno Ashling, jak i Mercedes, Lisa była wyjątkowo miła dla Trix. Właśnie taką taktykę budowania własnej przewagi stosowała w przeszłości: dziel i rządź. Wybierz sobie ulubieńca bądź ulubienicę, spoufalaj się, a potem nagle porzuć wybranka i zajmij się kimś innym. Taka rotacja budziła miłość i strach. Tylko dla Jacka Lisa zamierzała być miła przez cały czas. Jedynie on w obecnym życiu dawał jej iskierkę nadziei. Dyskretnie sprawdzała, jak na nią reaguje i czy różni się to od sposobu, w jaki traktował resztę żeńskiego personelu. Trix go bawiła, był uprzejmy dla Mercedes i najwyraźniej nie lubił Ashling. Jednak wobec Lisy zachowywał się z szacunkiem i powagą, wręcz z podziwem. No i dobra. W tym tygodniu wstawiała nawet wcześniej niż zwykle, żeby jeszcze bardziej zadbać o siebie, i fachowo nakładała cieniusieńką warstewkę po cieniusieńkiej warstewce samoopalacza, by jej twarz nabrała złocistego połysku.

Lisa nie miała złudzeń co do swojego wyglądu. W stanie naturalnym – w którym nie pokazywała się od bardzo dawna – była całkiem ładna, jednakże dzięki olbrzymim wysiłkom awansowała do kategorii niezwykle atrakcyjnych, a nawet spektakularnie pięknych kobiet. Poza dbaniem o włosy, paznokcie i skórę, makijaż i strój, pochłaniała ogromne ilości witamin, wypijała szesnaście szklanek wody dziennie, robiła zastrzyki z botoksu, który paraliżował mięśnie i pozbawiał ją zmarszczek. Od dziesięciu lat bez przerwy chodziła głodna. Tak

głodna, że nawet przestała zwracać na to uwagę. Czasem śniła o obiedzie z trzech dań, ale w snach ludzie robią przecież najdziwniejsze rzeczy.

Mimo przekonania o własnej atrakcyjności, Lisa musiała przyznać, że wybranka Jacka ją zaszokowała. Wcześniej Lisa założyła radośnie, że jej rywalką jest hoże irlandzkie dziewczę, więc nie ma się czego obawiać. Nie zniechęcała się jednak. Odciągnięcie Jacka od jego namiętnej, egzotycznej dziewczyny wydawało się jednym z prostszych zadań w jej życiu.

Dużo większym wyzwaniem okazało się znalezienie miejsca, w którym mogłaby zamieszkać. Przez cały tydzień po pracy chodziła w rozmaite miejsca i nie znalazła nic choćby w miarę znośnego. Tego wieczoru oglądała mieszkanie w Christchurch, które wyglądało nie najgorzej. Co prawda czynsz był wysoki, ale mieściło się na nowoczesnym osiedlu, nieopodal redakcji. Wadą było to, że musiałyby je z kimś dzielić, a już od tego odwykła. Właścicielka miała na imię Joanne.

– Mogłaby pani chodzić piechotą do pracy – entuzjasmowała się Joanne.

– Co oznacza codzienną oszczędność funta i dziesięciu pensów na bilet.

Lisa skinęła głową.

– Czyli zyskuje pani dwa dwadzieścia dziennie. Lisa ponownie skinęła głową.

– Jedenaście funtów tygodniowo.

Tym razem skinienie było nieco niechętnie.

– Czterdzieści cztery funty miesięcznie. Ponad pięć tysięcy funtów rocznie. Co do czynszu: wymagam zadatku za miesiąc, zapłaty za dwa miesiące z góry i dwustufuntowego depozytu, na wypadek gdyby się pani ulotniła, nie płacąc rachunku telefonicznego.

– Ale...

– I proszę mi dawać trzydzieści funtów tygodniowo na artykuły spożywcze. Mleko, chleb, masło, tego typu rzeczy.

– Nie piję mleka..

– A do herbaty?

– Nie pijam herbaty. Ani nie jem chleba. Nie tknęłabym masła. – Lisa położyła dłoń na szczupłym biodrze i zerknęła na znacznie obfitsze biodro Joanne– Poza tym, ile litrów mleka można kupić za trzydzieści funtów? Chyba ma mnie pani za idiotkę.

Na ulicy poczuła się paskudnie. Tak strasznie tęskniła za Londynem. Nie chciała tu być i przechodzić przez to wszystko. Miała wspaniałe własnościowe mieszkanie na Ladbroke Grove. Dałaby wszystko, żeby tam wrócić.

Wtedy znowu poczuła się źle i obco. W Londynie była nierozłącznie związana z modnym życiem, a tutaj nikogo nie знаła i nie chciała znać. Wszyscy ją irytowali. Nikt w tym paskudnym kraju nie przychodził na czas, a jedna osoba miała nawet tupet powiedzieć: „Ten, kto stworzył czas, stworzył go mnóstwo”. Przecież to ona powinna się spóźniać, była redaktorką!

Ze smutkiem powłokła się przed siebie do ohydneho hoteliku, żałując, że tego wieczoru Trix nie zdołała umówić jej na kolację z nikim choćby odrobinę sławnym.

Nienawidziła wolnego czasu, jej umiejętność spędzania go uległa atrofii. Nie zawsze tak było – Lisa zawsze ciężko harowała, nie brakowało jej ambicji, ale dawniej pragnęła czegoś więcej. Dawniej, zanim jeszcze zaczęła oglądać się ze strachem na hordy młodszych, bystrzejszych, twardszych, bardziej ambitnych dziewcząt, co zmieniło jej życie w zorientowany na jedno kierat.

Tego weekendu miała do obejrzenia jeszcze kilka mieszkań i domów – to powinno skutecznie zabić czas. A jutro zamierzała „promować” dwa salony

fryzjerskie: w jednym chciała położyć farbę, w drugim obciąć włosy. Sztuczka polegała na tym, żeby mieć kilka zaprzyjaźnionych zakładów, które są ci winne przysługę: jeśli jeden nie zdoła cię wcisnąć na czesanie w ostatniej chwili, zrobi to drugi.

Zawarła ze sobą umowę. Postanowiła poświęcić rok na to, by owo śmiechu warte czasopism odniosło sukces. Wtedy na pewno szefostwo w Randolph Media doceni to i nagrodzi. Może...

Po trzech szybkich drinkach Ashling wstała, żeby wyjść, ale Trix zmusiła ją do pozostania.

- Daj spokój, zabawmy się, obgadując ludzi z pracy!
- Nie mogę.
- Możesz – zapewniła ją gorliwie Trix. – Musisz tylko spróbować.
- Nie o to mi chodziło.

Trix miała trochę racji. Choć Ashling przelatywały przez głowę paskudne myśli, rzadko dawała im upust, gdyż nie mogła pozbyć się wrażenia, że pewne rzeczy wracają jak bumerang. Tłumaczenie tego Trix nie miało sensu, więc zbyła jej uwagę śmiechem.

- Chodzi mi o to, że muszę iść na spotkanie z moją koleżanką Clodagh.
- Niech ona do nas dołączy.
- Nie może. Ma dwójkę dzieci, a jej mąż jest w Belfaście. Dopiero wtedy Trix pozwoliła jej odejść.

Ashling przepchnęła się przez piątkowy tłum i zatrzymała taksówkę. Kilka minut później zjawiała się u Clodagh, na pizzę, wino i obgadywanie Dylana.

- Nie cierpię, kiedy wyjeżdża na te cholerne kolacyjki i konferencje! – wykrzyknęła Clodagh. – A wyjeżdża zbyt często, jak na mój gust.

Te słowa zawisły w powietrzu, dopóki Ashling nie wydukała:

– Chyba nie myślisz, że... z kimś kręci?

– Nie! – Clodagh zachichotała. – Nie o to mi chodziło. Po prostu zazdroszczę mu wolności. Ja tu siedzę z dziećmi, a on w jakimś snobistycznym hotelu śpi sobie przez całą noc i ma chociaż odrobinę spokoju. Ile bym dała... – zaczęła ze smutkiem i nie dokończyła zdania.

Później w łóżku, po tym, jak nerwowo pozamykała okna i drzwi, Clodagh zaczęła myśleć o słowach Ashling, o tym, jak przyjaciółka wspomniała, że być może Dylan z kimś kręci. Chyba by tego nie zrobił? Nie miałby romansu? Ani nie zdecydowałby się na przypadkowe i anonimowe pieprzenie z dala od domu? Szybkie, namiętne, anonimowe? Nie, nie zrobiłby tego. A jeśli już, zabiłaby go za to.

Ale o dziwo, myśl o Dylanie uprawiającym seks z inną podnieciła Clodagh. Zaczęła rozbudowywać tę wizję, przywołując kilka podobnych fantazji. Czy robiliby to tak jak ona i Dylan? A może bardziej pomysłowo? Może seks byłby bardziej dziki? Szybszy? Bardziej namiętny? Kiedy wyobrażała sobie ten pornograficzny scenariusz, zaczęła oddychać szybciej, a kiedy była gotowa, przeżyła krótkotrwały, intensywny orgazm. A potem zapadła w głęboki sen, aż obudziła ją Molly, której zachciało się psi psi.

12

Ashling spędziła całą sobotę na włóczeniu się po sklepach w poszukiwaniu eleganckiego, seksownego kostiumu do pracy. Tak naprawdę, choć nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, pragnęła wyglądać jak Lisa. Może wtedy uznałaby wreszcie, że zasługuje na nową pracę, i przestałaby się tak dręczyć. Jednak niezależnie od tego, co przymierzała, brakowało jej elegancji

Lisy. Gdy nadeszła godzina zamknięcia sklepów, Ashling dokonała kilku desperackich zakupów i powlokła się do domu, zmęczona i nieusatysfakcjonowana.

Chłopak nie leżał w wejściu, tylko kucnął obok, na swoim pomarańczowym kocu. Po raz pierwszy Ashling widziała go, kiedy nie spał. Niektórzy przechodnie rzucali mu monety, inni spojrzenia pełne wstrętu i strachu, ale większość ludzi naprawdę go nie widziała. Po prostu wymietli go ze swojej rzeczywistości.

Żeby wejść do budynku, musiała przejść tuż koło bezdomnego. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Czwała, że powinna coś powiedzieć. W końcu byli sąsiadami.

– Hm, witam – mruknęła, przelotnie zerkając mu w oczy, i natychmiast odwróciła wzrok.

– Cześć. – Uśmiechnął się do niej. Brakowało mu zęba z przodu.

Kiedy pośpiesznie mijała chłopaka, wskazał głową jej błyszczącą torbę z zakupami.

– Kupiłaś coś ładnego?

Zamarła w połowie drogi między nim a drzwiami. Rozpaczliwie pragnęła uciec.

– Raczej nie. Tylko kilka rzeczy do pracy, no wiesz.

Miała ochotę odgryźć sobie język – skąd niby miał wiedzieć?

– Jak to mówią? – Z namysłem zmrużył oczy. – Nie ubieraj się do pracy, którą masz, ubieraj się do pracy, której pragniesz. Dobrze mówię?

Ashling była zbyt zafrapowana, żeby się skupić.

– Czy chciałbyś...? – Zsunęła plecak z ramienia, a jej poszukiwania portmonetki spowolniła duża, błyszcząca torba. – Czy chciałbyś...?

Wręczyła mu funta, którego przyjął z pełnym wdzięczności ukłonem. Potem poczłapała po schodach, czerwona ze wstydu wywołanego dysproporcją pomiędzy datkiem i sumą, którą właśnie wydała na bluzkę i torebkę, tak naprawdę zupełnie jej niepotrzebne. Ciężko pracuję na swoją pensję, wściekała się. Potwornie ciężko, poprawiała, przypominając sobie miniony tydzień. Od lat niczego nie kupiłam. Zresztą i tak to wszystko na kredyt. Nie moja wina, że ten człowiek jest alkoholikiem lub heroinistą. Chociaż prawdę powiedziawszy, nie wyczuła od niego zapachu alkoholu i wydawał się całkowicie przytomny.

Bezpieczna we własnym mieszkaniu, odetchnęła z ulgą. Fortuna kołem się toczy. Sama mogłam skończyć na ulicy. W następnej chwili jednak zganiła się za melodramatyczne myśli. Nigdy nie znajdowała się w analogicznej sytuacji.

Odłożyła torby na stół, buty zostawiła na podłodze. Była padnięta po całym dniu, a teraz oczekiwano od niej, że włoży ubranie na przyjęcie i wyjdzie z Joy. Chętnie by to sobie darowała. Życie po trzydziestce przypominało jej okres nastoletni, liczony do początku. Jej ciało ulegało zmianom i często musiała tłumić dziwne, niekiedy wstydlive potrzeby. Na przykład miała ochotę zostać sama w sobotni wieczór, zaopatrzona jedynie w wideo oraz naręczę kaset z Benem i Jerrym.

– Nigdy nie poznasz żadnego mężczyzny, jeśli nie będziesz wychodziła– utyskiwała Joy.

– Wychodzę. Zresztą, mam Bena i Jerry'ego. To jedyni mężczyźni, których potrzebuję.

Tego wieczoru jednak musiała wyjść. Dla potrzeb artykułu w pierwszym numerze „Irlandki” szła wraz z Joy do klubu salsy, aby przekonać się, jakie są szanse poznania tam mężczyzny. W „Babskim Kąciku” nigdy nie zmuszano jej

do takich rzeczy i chwilami szczerze tęskniła za poprzednią pracą. Nie dlatego, że dawniej nigdy nie musiała rezygnować z sobotniego wieczoru na rzecz zajęć zawodowych. Rzecz w tym, że w „Babskim Kąciku” mogła robić swoje przez sen, a zakres jej obowiązków w „Irlandce” nadal pozostawał niejasny. Obawiała się, że może otrzymać absolutnie dowolne polecenie, i skręcało ją na samą myśl o tym, że czeka ją zadanie, któremu nie będzie w stanie sprostać. Ashling lubiła proste sytuacje, a w „Irlandce” nie miała zielonego pojęcia, co się wkrótce wydarzy.

Nerwowa!

Wyzwanie, poprawiła. I to fascynujące. Jaka świetna zabawa, tylu nowych ludzi – wcześniej pracowała tylko z trzema osobami zatrudnionymi na pełny etat. Trzeba przyznać, że były one kochane, do rany przyłóż. Ani trochę nie przypominały krępujących typów, takich jak Lisa lub Jack Devine. Nie były też tak rozrywkowe jak Trix czy Kelvin. Po chwili uznała, że nie czas na żalosne rozpamiętywanie przeszłości.

Włożyła do mikrofalówki torebkę z popcornem, usadowiła się na kanapie, obejrzała *Randkę w ciemno* i pomodliła się, by Joy nie przyszła. Do szóstej rano zabawiała się z Człowiekiem–borsukiem, może opadła z sił.

Nic z tego.

Była jednak bardziej przybita niż zwykle.

– Napiłabym się herbaty – wyznała już w progu, – Z dużą ilością cukru.

– Aż tak źle?

– Mam dreszcze. Ale nie narzekam. Szaleję za Człowiekiem–borsukiem, Ashling. Miał mi dzisiaj ofiarować pierścionelek... Och, nie, kwaśno mi w ustach od mleka. Psiakrew! Idę o zakład, że jestem w ciąży. Za dziewięć miesięcy urodzę Bobo–borsuka.

– Nie – mruknęła Ashling, zaglądając do własnego kubka, w którym pływały małe, białe grudki. – Chyba mleko się zsiadło.

Joy otworzyła lodówkę i obejrzała cztery kartony mleka. Wszystkie były przeterminowane.

– Co ty wyprawiasz? – wykrzyknęła. – Grasz w rosyjską ruletkę z mlekiem? Prowadzisz wytwórnię jogurtu? Jadłaś coś?

Ashling wskazała niemal pustą miskę popcornu.

– Dziwna jesteś – mruknęła Joy. – Pod pewnymi względami taka zorganizowana, a pod innymi...

– Nie można być świetną we wszystkim. Zachowuję równowagę.

– Powinnaś lepiej o siebie zadbać.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– Jak tak dalej pójdzie, szlag cię trafi albo się wściekniesz.

– Spokojna głowa, jestem szczepiona. Gdzie Ted?

Ashling od tygodnia prawie go nie widywała. Nie tylko ich miejsca pracy znajdowały się w zupełnie innych częściach miasta, przez co już jej nie podrzucał, ale na dodatek od czasu swojego triumfu wypróbowywał swoje siły na wszystkich paniach, które okazały mu zainteresowanie. Chociaż potwornie był wkurzający, kiedy bez przerwy przesiadywał w jej mieszkaniu i narzekał na brak dziewczyny, Ashling tęskniła za nim i nie mogła się pogodzić z odzyskaną niezależnością.

– Spotkasz się z Tedem później. Jesteśmy zaproszeni na imprezę u studentów architektury. Jeden z nich ma ambicje sceniczne, więc zjawi się kilku komików. A gdzie komicy, tam i Człowiek–borsuk!

– Nie jestem pewna, czy impreza to dobry pomysł – odparła ostrożnie Ashling. – Zwłaszcza u studentów.

– Zobaczymy, jak to będzie – oświadczyła Joy bez troski. Zbyt bez troski. Ashling posłała jej nerwowe spojrzenie.

– Nie wierzę, że znowu muszę robić makijaż. Mam wrażenie, że zmyłam go ledwie parę minut temu – westchnęła Joy, rozsmarowując na ustach szminkę bez zagładania do lustra. Następnie zacisnęła wargi i pocierała jedną o drugą z oszałamiającą perfekcją, której Ashling jej zazdrościła. – Nie zapomnij aparatu fotograficznego.

Kiedy wyszły na ulicę, Ashling rozejrzała się w poszukiwaniu bezdomnego chłopaka, lecz zniknął razem ze swoim pomarańczowym kocem.

– Samotne kobiety i pederaci. – Joy wystarczył jeden rzut sokolego oka, by podsumować pięćdziesięcioosobowy tłum. – Kicha, ale skoro już tu jesteśmy, możemy przynajmniej się upić. Ile mamy na pokrycie kosztów własnych?

– Kosztów własnych?

Joy pokręciła głową i westchnęła.

Przed rozpoczęciem imprezy klubowej przewidziano godziną lekcję. Instruktor, który przedstawił się jako „Alberto z Kuby”, był niezbyt charakterystycznym mężczyzną. Przynajmniej do czasu, kiedy zaczął tańczyć. Zwinny, elastyczny, pełen gracji i pewności siebie, nagle wypiękniał. Poruszał się dumnie, wyraźnie prezentował kroki, wirował na stopie, demonstrował, czego będzie uczył.

– Gość stworzony dla ciebie – zauważyła Joy z przekąsem.

– Ciii!

Ashling uwielbiała tańczyć. Pomimo braku talii dysponowała ogromnym wyczuciem rytmu, więc kiedy ponownie rozległy się takty radosnej, gorącej

muzyki wygrywanej na trąbkach, a Alberto rzucił: „Wszyscy razem”, nie potrzebowała dodatkowej zachęty.

Kroki były banalnie proste. Liczyła się klasa. Ashling natychmiast to sobie uświadomiła, zauroczona płynnymi ruchami bioder Alberta.

Większość uczniów była niezdarna i ociężała – w szczególności Joy, cierpiąca z powodu kaca i niewyspania. Alberto sprawiał wrażenie szczerze przygnębionego dramatyczną jakością popisów swoich podopiecznych. Tymczasem Ashling bez trudu naśladowała ruchy instruktora.

– Czy ten pomysł nie był genialny? – mruknęła do Joy, patrząc na nią lśniąco oczyma.

– Spadaj.

– Uśmiechnij się do zdjęcia! Udawaj, że tańczysz.

Joy zrobiła kilka tanecznych kroków, a Ashling pstryknęła parę fotografii. Potem Joy przejęła aparat.

– Postaraj się uwiecznić kilku facetów do zilustrowania artykułu – syknęła Ashling.

Po lekcji rozpoczęła się normalna impreza klubowa. Doświadczeni tancerze salsy i merengue wylegli na parkiet. Kobiety nosiły krótkie, rozszerzające się ku dołowi spódniczki oraz buty z paseczkiem w kostce; wyluzowani mężczyźni ze zblazowanymi minami fachowo wirowali i prowadzili partnerki.

– Trudno uwierzyć, że to Irlandia – oznajmiła Ashling, zerkając na Joy – Irlandczycy! Tańczą! I to nie posuwistego po dwunastu guinnessach!

– Prawdziwi mężczyźni nie tańczą. – Joy była gotowa wyjść.

– Tym się to udaje.

Salsa była sportem kontaktowym. Ashling skupiła się na jednej z par. Tańczyli blisko, całkiem jakby ich ciała były szczepione rzepami. Pod talią ich kończyny aż śmigały, lecz powyżej ledwie drgnęły. Tańczyli krok w krok, pierś w pierś, jego lewa dłoń trzymała jej prawą ponad ich głowami, delikatna skóra we wnętrzu dłoni stykała się na całej długości. Jego prawa dłoń spoczywała nieruchomo na jej krzyżu. Gdy wykonywali skomplikowane kroki, mężczyzna przez cały czas wpatrywał się w oczy kobiety. Ich głowy pozostawały nieruchome.

Ashling nigdy w życiu nie widziała nic równie erotycznego. Odezwiała się w niej wręcz bolesna tęsknota. Poruszona nie nazwaną potrzebą wpatrywała się w tancerzy, czując słodko-gorzki smak w ustach. Za czym tak tęskniła? Za twardym, słodkim żarem męskiego ciała?

Może...

Jakiś mężczyzna wyrwał Ashling z tych rozmyślań, prosząc ją do tańca. Był niski i łysiał.

– Brałam tylko jedną lekcję – wyjaśniła, licząc na to, że jakoś zdoła się wykręcić.

On jednak zapewnił ją, że nie będą robili nic skomplikowanego – i ruszyli w tany! Ashling uznała, że przypomina to prowadzenie samochodu. W jednej minucie jest się nieruchomym, w następnej pędzi się płynnie, a wszystko zależy od ruchów noga. Do przodu i do tyłu, drobili i kołysali się, on ją okręcał, a gdy oddaliła się od niego, przyciągał z powrotem, a ona nie gubiąc rytmu, kontynuowała taniec, do przodu, do tyłu, pochylali się i sunęli. Dzięki temu miała jakie takie pojęcia, jak czują się ci, którzy potrafią robić to dobrze.

– Niezła robota – pochwalił ją po tańcu.

– Idziemy? – spytała szorstko Joy, kiedy Ashling powróciła na miejsce. – Co za strata czasu. Ani jednego faceta w zasięgu wzroku. Tyle zachodu dla jednego tańca z łysym pokurczem.

– No chodź, tylko na pięć minut – błagała Joy. – Nie wiem, na czym stoję z Człowiekiem–borsukiem, a on ma tam być. Błagam.

– Pięć minut, Joy, poważnie, dłużej nie zostanę.

Przyjęcie, jak większość studenckich imprez w Dublinie, odbywało się w Rathmines, w czteropiętrowym georgiańskim domu, który zamieniono na trzynaście maleńkich mieszkańek o dziwnym kształcie. Były tu wysokie sufity, oryginalne elementy architektoniczne, obłaząca farba i przytłaczający zapach stęchlizny.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Ashling po wejściu, był rozentuzjasmowany facet, który wcześniej dał jej kartkę z telefonem i poleceniem: „Zwoń moi”.

– Kurde – mruknęła.

– Co? – syknęła Joy, przerażona, że Ashling ujrzała Człowieka–borsuka całującego inną.

– Nic.

– O, jest – zauważyła Joy. Jej zwierzyna opierała się o ścianę – ryzykowne w tych prowizorycznie podzielonych mieszkaniach. Joy niemal natychmiast zniknęła. Osamotniona Ashling posłała Zwoń moi pełen skruchy, przeproszący uśmiech. Ku jej niepokojowi, zamiast go odstraszyć, najwyraźniej go zainteresował.

– Nie zadzwoniłaś – oświadczył facet.

– Uhm. – Znów próbowała się uśmiechnąć, jednocześnie uciekając.

– Dlaczego?

Otworzyła usta, żeby wyrecytować długą litanie kłamstw. Zgubiłam kartkę, jestem głuchoniema, na Stephen Street rozszalał się tajfun i telefony zamilkły...

Nagle już wiedziała, co powiedzieć.

– Nie rozumiem francuskiego – oznajmiła triumfalnie. I co zamierzał zrobić z tym niepodważalnym argumentem?

Uśmiechnął się smutno, jak ktoś, kto wie, kiedy jest niepożądany.

– Na pewno jesteś bardzo miły i w ogóle – dodała pośpiesznie, nie chcąc robić mu przykrości. – Ale nie znam cię i...

– I pewnie nigdy nie poznasz, skoro nie dzwonisz – zauważył.

– Tak, ale... – Nagle coś jej przyszło do głowy. – Czy zazwyczaj to nie mężczyzna prosi o numer kobiety, a potem do niej dzwoni?

– Usiłowałem być nowoczesny, ale masz rację, dasz mi swój numer?

Kiedy rozmyślała, jak się z tego wyplątać, zauważyła, że miał piegi. Nie chciała dawać swojego numeru rozentuzjzmowanemu facetowi z piegami. Ale on już wyciągnął długopis, patrzył na nią niespokojnie i życzliwie. Przełknęła złość, że znalazła się w takiej niewygodnej sytuacji. Stłumiła ją, zgasiła.

– Sześć, siedem, siedem, cztery, trzy, dwa...

Zawahała się przy ostatniej cyfrze. Czy powinna powiedzieć „dwa”, skoro tak naprawdę było „trzy”? Ta chwila zdawała się trwać wiecznie.

– Trzy – westchnęła w końcu.

– A imię? – Jego uśmiech rozjaśnił mroczny pokój.

– Ashling.

A jego imię i nazwisko? Jakies głupie. Coś z amorkiem?

– Valentine – powiedział. – Marcus Valentine. Zadzwoń do ciebie.

Ashling pomyślała ze złością, że był to jeden jedyny przypadek, gdy „zadzwoń do ciebie” oznaczało właśnie to. Dlaczego dzwonią tylko ci okropni, a przystojniacy nigdy?

W tłumie zauważyła Joy, która zapalczywie dyskutowała z Człowiekiem–borsukiem. No i dobrze, Ashling wreszcie mogła iść do domu.

– Na razie – powiedziała do Marcusa.

Była za stara na te studenckie wygłupy. Wychodząc, wpadła na Teda, który rozmawiał z ostrzyżoną na chłopaka, rudowłosą dziewczyną. Uśmiechał się nieznanym Ashling uśmiechem: to już nie było błagalne, proszące o miłość dyszenie, lecz coś znacznie bardziej powściągliwego. Nawet jego język ciała się zmienił. Zamiast się nachylać nad rozmówczynią, Ted nieznacznie cofał głowę, tak że to dziewczyna musiała się ku niemu przysuwać.

– Cześć. – Ashling uszczypnęła go w ramię.

– Ashling! – Zadowolony, usiłował podstawić jej nogę. Po tej wymianie uprzejmości odwrócił się do rudowłosej. – Suzie, to moja przyjaciółka Ashling. Suzie podejrzliwie skinęła jej głową.

– Napijesz się? – spytał Ted Ashling.

– Nie, już idę. Jestem padnięta.

Na pociągłej twarzy Teda pojawiło się niezdecydowanie, po czym zaskoczył wszystkich, mówiąc:

– Czekaj, idę z tobą.

Na zewnątrz, w chłodzie wieczoru, Ashling wykrzyknęła:

– Co ty wyprawiasz? Leciała na ciebie.

– Zbytnią gorliwość nie popłaca.

Ashling poczuła ukłucie. Zazwyczaj to ona i Ted bywali ranieni. Jego nowo nabyta pewność siebie zmieniła układ między nimi.

– Poza tym to fanka komików – dodał. – Jeszcze ją zobaczę. W sobotni wieczór za nic w świecie nie da się złapać taksówki.

Mieszkańcy przedmieść usiłowali ominąć czterogodzinne kolejki, marszerując poza centrum w nadziei na złapanie taksówki wracającej z kursu. Co oznaczało, że wędrówka Teda i Ashling do centrum wiązała się z bezustannym wpadaniem na pijane żywe trupy, ciągnące w przeciwnym kierunku.

– Jak tam praca? – zapytał Ted, ustępując przed kolejnym zygzakującym imprezowiczem.

Ashling się zawahała.

– Świetna pod wieloma względami. Cudowna, czasem. Kiedy nie robi mi się zez od kserowania komunikatów prasowych.

– Dowiedziałaś się, dlaczego ta Mercedes nazywa się tak samo jak samochód?

– Jej matka jest Hiszpanką. Kiedy się z nią pogada, okazuje się bardzo miła – wyjaśniła Ashling. – Po prostu jest spokojna i niesamowicie elegancka. Wyszła za bogacza, zadaje się z wielbicielami koni i mam wrażenie, że praca to tylko jej hobby. Ale jest miła.

– A jak sobie radzisz z tym szefem, który cię nie lubi?

Ashling poczuła skurcz w żołądku.

– Nadal mnie nie lubi. Wczoraj nazwał mnie Panną Złotąrczką, tylko dlatego, że chciałam mu dać dwa proszki od bólu głowy.

– Cholera. Może w poprzednim życiu byliście wrogami i dlatego w tym cię nie zaakceptował.

– Tak sądzisz? – wykrzyknęła Ashling. Potem popatrzyła na jego rozradowaną twarz. – A, nie mówisz poważnie, rozumiem. Człowieku małej

wiary. Następnym razem, kiedy będziesz chciał poznać przyszłość, nie przychodź do mnie.

– Przepraszam, Ashling. – Objął ją za szyję. – To ci sprawi przyjemność – w przyszłą sobotę występuję w River Club. Przyjdiesz?

– Mówiłam przed chwilą, że nie będę ci przepowiadała przyszłości. Poczekamy, zobaczymy.

13

W poniedziałkowy rano Craig chodził za matką po pokoju i jęczał.

– Dlaczego sprzątasz?

Clodagh chwyciła płataninę rajstop i wrzuciła je do kosza na brudną bieliznę, a potem zanurkowała w górze ubrań na krześle w sypialni. Jej ręce fruwały jak łopaty śmigłowca, kiedy wrzucała swetry do szuflad i wieszała szlafroki na kołkach. Po krótkim wahaniu doszła do wniosku, że wszystkiego jest za dużo, więc całą resztę wkopała pod łóżko.

– Przyjeżdża babcia Kelly? – dopytywał się Craig.

Oczekiwał, że odpowiedź będzie jednoznacznie twierdząca: taka panika zwykle oznaczała błyskawicznie zbliżającą się wizytę matki Dylana. – Nie.

Craig pędził za Clodagh, która niczym diabeł tasmański wparowała do łazienki przy sypialni i hałaśliwie szorowała muszlę szczotką do czyszczenia toalet.

– Dlaczego? – Nie dawał za wygraną.

– Bo – syknęła, zirytowana głupotą pytania – bo przychodzi sprzątaczką. Molly, szybko! – ryknęła w kierunku ozdobionego bordiurą ze słoniami pokoju Molly. – Flor zjawi się lada moment.

Myśl o pozostawaniu w domu wtedy, gdy Flor będzie sprzątała, była absolutnie nie do przyjęcia. Nie tylko dlatego, że Flor najbardziej lubiła rozmawiać o swojej macicy. Przede wszystkim chodziło o to, iż sama obecność Flor wprawiała Clodagh w przekonanie o własnym drobnomieszczaństwie i skłonności do wykorzystywania innych. Była młoda i pełnosprawna – świadomość, że jej dom sprząta osiemdziesięciolatka z niezliczonymi problemami, okazywała się nie do zniesienia.

Przez parę wizyt Flor Clodagh usiłowała siedzieć na miejscu, lecz w rezultacie we własnym domu czuła się jak przestępca. Bez względu na to, w którym pokoju się ukryła, Flor przybywała tam po kilku sekundach, objuczona odkurzacami i cierpiąca na żylaki, a Clodagh nigdy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Eee... – mamrotała i uśmiechała się niepewnie. – Może... eee... zejść pani z drogi.

– Nie ma potrzeby – odpowiadała uparcie Flor. – Proszę zostać na miejscu.

Clodagh tylko raz posłuchała Flor i usiadła, wertując pisma poświęcone wystrojowi wnętrz i czerwieniąc się ze wstydu, podczas gdy Flor pucowała pokój i jeździła odkurzacem wokół jej stóp.

Flor brała pięć funtów za godzinę. Poczucie winy zmuszało Clodagh do płacenia jej sześciu funtów. Na dodatek czuła się tak niezręcznie, że nie mogła nawet znieść widoku Flor i zawsze pospiesznie uciekała przed jej przybyciem.

– Molly! – wołała, pędząc po schodach na parter. – Szybciej!

W kuchni rzuciła okiem na zegar i chwyciła stosik próbek tapet w różnych deseniach. Na odwrocie jednej z nich szybko nabazgrała wiadomość dla Flor. Paroma kreskami narysowała odkurzacz – prostokąt, skierowany

węższym bokiem do góry, ze sterczącem zeń długim zygzakiem. Potem namazała parę kwadratów oraz padający na nie deszcz. Na koniec dodała dwie strzałki – jedna wskazywała stertę koszul na stole, a druga ściereczkę do kurzu oraz Mr. Sheena obok niej.

Teraz Flor będzie wiedziała, że Clodagh prosi ją o odkurzenie, zmycie podłogi w kuchni, wyprasowanie ubrań i wytarcie kurzu oraz wypolerowanie mebli.

Coś jeszcze? Clodagh szybko rozejrzała się dookoła. Kot sąsiadów, a tak. Nie chciała, żeby Flor wpuszczała go do środka, jak w zeszłym tygodniu. Tiddles od Bradych tak się zadomowił, że kiedy wrócili, wpatrywał się w telewizor, z łapą na pilocie. Molly i Craig momentalnie zakochali się w nowym domowniku i wybuchnęli rozpaczliwym płaczem, kiedy kota trzeba było wyprowadzić za drzwi. Tak więc Clodagh błyskawicznie nakreśliła małe kółko, symbolizujące pyszczek, a pod nim duże, czyli ciało. Pobieżny szkic kota zwieńczyła uszami i wąsikami.

– Przynieś mi czerwoną kredkę – poleciła Molly.

Molly posłusznie powróciła z tępą, żółtą kredką ołówkową i piżamą w banany.

– Och, sama pójde. Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione jak trzeba, zrób to sama.

Mamrocząc pod nosem ze złością, Clodagh przetrząsała energicznie pudło z przyborami do malowania, aż w końcu wydobyła kredkę i – nie bez odrobiny satysfakcji – przekreśliła kota wielkim, czerwonym iksem. Flor chyba zrozumie?

Po dokończeniu ostatniego rysunku Clodagh ciężko westchnęła. Z chęcią zatrudniłaby piśmienną sprzątaczkę. Dopiero po dwóch tygodniach

zorientowała się, że Flor jest analfaberką. Z początku zostawiała jej najrozmaitsze, skomplikowane notatki, żądając wykonania konkretnych czynności, takich jak wyciągnięcie upranych ubrań z pralki po zakończeniu cyklu albo odszronienie zamrażarki.

Flor nigdy nie wykonała żadnego polecenia tego typu. Chociaż Clodagh wściekała się całymi nocami i nie mogła spać, była zbyt zawstydzona, aby zmusić sprzątaczkę do posłuszeństwa. Pomimo problemów nie chciała jej stracić. Sprzątaczkę były na wagę złota, nawet te beznadziejne.

Na domiar złego Clodagh nie wierzyła we własną umiejętność wzbudzania szacunku w takich sytuacjach. Oczyma wyobraźni widziała samą siebie, jak głosem drżącym od braku przekonania gani Flor: „Posłuchaj, dobra kobieto, tak być nie może”.

Ostatecznie zmusiła Dylana, by pewnego ranka spóźnił się do pracy i odbył poważną rozmowę z Flor. Rzecz jasna, sprzątaczkę wyznała całą prawdę Dylanowi, który nie krył współczucia. Dysponował umiejętnością, którą razem z Clodagh nazwali Darem Zjednywania Sobie Dobrych Ludzi. Na sugestię Dylana ustalono, że Clodagh będzie przedstawiała swoje życzenia w formie graficznej.

Biorąc pod uwagę poczucie winy oraz konieczność sporządzania rysunków, samodzielne wykonanie prac domowych było niemal prostsze od zatrudniania sprzątaczkę. „Niemał” nie znaczy jednak „w pełni”. Pomimo wszystko Clodagh ceniła jeden ranek w tygodniu, kiedy nie musiała dźwigać brzemienia odpowiedzialności za porządki. Sprzątanie domu przypominało malowanie mostu nad zatoką Forth, tylko było jeszcze gorsze. Clodagh nigdy nie panowała nad sytuacją, a w chwili, kiedy kończyła jedną czynność, kwalifikowała się ona do ponownego wykonania. Gdy umyła podłogę w

kuchni... Nie, zaraz! Jeszcze zanim skończyła ją szorować, dzieci ślizgały się po niej w butach, pozostawiając błotniste krechy i niweczając ciężką pracę matki. A jej kosz na brudną bieliznę przypominał mityczne naczynie, które zawsze samo się napełniało. Nawet po trzech praniach, kiedy Clodagh była przekonana, że wszystkie ubrania w domu są już czyste, przyjemne poczucie dobrze spełnionego obowiązku błyskawicznie zniknęło, gdy tylko przekroczyła próg sypialni: kosz na brudną bieliznę, pusty jeszcze kilka minut temu, ponownie był przepelniony.

Przynajmniej nie musiała martwić się o ogród. Nie dlatego, że tak w nim było ładnie. Przeciwnie, składał się z błotnistych mokradeł, trawa była zgnieciona i przerzedzona w wyniku bezustannej bieganiny dzieci, a pod huśtawką widniał wielki, łysy placek. Clodagh czuła się zwolniona z obowiązku robienia z nim czegokolwiek do czasu osiągnięcia przez Molly i Craiga wieku dorosłego. Tak jest. Słyszała już potworne historie o ogrodnikach z piekła rodem.

Po kilku falstartach – Molly chciała włożyć czapkę, a Craig musiał wrócić po Buzza Lightyera – Clodagh pospiesznie wepchnęła ich do nissana micry. Kiedy tylko przekręciła kluczyk w stacyjce, Molly zaskrzeczała:

– Muszę psi psi!

– Przed chwilą robiłaś psi psi – zauważyła z rozpaczą Clodagh, coraz bardziej przejęta perspektywą spotkania z Flor.

– Ale muszę jeszcze.

Molly dopiero od niedawna korzystała z nocniczka i jeszcze nie oswoiła się z nową umiejętnością.

– No to chodź. – Clodagh pospiesznie wyłuskała Molly z fotelika i zaniósła do domu, po drodze wyłączając alarm, który przed momentem

nastawiła. Zgodnie z przewidywaniami, pomimo wykrzywiania buzi i wygłaszania zapowiedzi typu: „Zaraz będzie psi psi!”, Molly nie uroniła ani kropli. Clodagh zainstalowała ją z powrotem w aucie i wyruszyli.

Wyrzuciwszy Craiga pod szkołą, Clodagh nie bardzo wiedziała, dokąd jechać dalej. W poniedziałki zazwyczaj podrzucała Molly do przedszkola, a sama pędziła na parę godzin na siłownię. Tym razem było inaczej. Molly zawieszono na tydzień za pogryzienie innego dziecka, a na siłowni nie było pokoju zabaw dla dzieci. Clodagh postanowiła pojechać do centrum i pochodzić po sklepach do czasu, aż będzie mogła bezpiecznie wrócić do domu. Dzień był słoneczny, więc snuły się po Grafton Street, zatrzymując się – na żądanie Molly – by pogłaskać psa bezdomnego chłopca, pozachwycać się kwiatami na straganie i zatańczyć do muzyki ulicznego skrzypka. Przechodnie uśmiechali się z zachwytem, spoglądając na piękną Molly, uroczą i absurdalnie zabawną w różowej, futrzanej czapie, kiedy usiłowała tańczyć riverdance.

Na ulicy serce Clodagh biło z miłości jak oszalałe. Molly wzbudzała w niej najcieplejsze uczucia – maszerując jak mały żołnierz, z wypiętą piersią, i usiłując zaprzyjaźnić się z każdym napotkanym dzieckiem. Clodagh pomyślała z rozmarzeniem, że czasami niełatwo być matką, lecz bywają chwile, kiedy nie zamieniłaby swojego życia na żadne inne.

Kioskarz otwarcie podziwiał niewysoką, zgrabną kobietę ciągnącą za sobą małą dziewczynkę.

– „Herald”? – zaproponował z nadzieją. Clodagh z żalem popatrzyła na gazetę.

– Chętnie bym kupiła, tylko po co? – westchnęła. – Od dziewięćdziesiątego szóstego nie miałam czasu przeczytać gazety.

– Zatem ta też by się pani nie przydała – przyznał kioskarz, z aprobatą zawieszając spojrzenie na pupie odchodzącej Clodagh.

Wiedziała, że ją obserwuje, i czuła się z tym zdumiewająco dobrze. Jego odważne, bezczelne spojrzenie przywołało u niej wspomnienia czasów, kiedy mężczyźni patrzyli tak na nią bez przerwy. To było tak dawno temu, niemal już tego nie pamiętała.

Co ona robiła? Ekscytowała się tym, że kioskarz popatrzył na nią z aprobatą?

– Jesteś matką i żoną, zganiła się.

Tak, żoną uwięzioną w małżeństwie, pomyślała.

Gdy minęło półtorej godziny, dotarły do Stephen's Green Centre, i zgodnie z zasadą zachowania równowagi w przyrodzie musiał nastąpić kryzys. I rzeczywiście: kiedy Clodagh nie kupiła Molly drugiego loda, dziewczynka dostała szału. Zachowywała się, jakby przechodziła atak padaczki: miotła się po podłodze, waliła głową o posadzkę, wrzeszczała jak opętana. Clodagh usiłowała ją podnieść, lecz Molly wiała się niczym ośmiornica.

– Nienawidzę cię! – ryczała, i chociaż Clodagh miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, zmusiła się do spokojnego tłumaczenia Molly, że po drugim lodzie rozboli ją brzusek, i zapowiadania, że jeśli natychmiast nie wstanie i nie zacznie być grzeczna, przez cały tydzień będzie chodziła wcześniej spać.

Clodagh widziała mijające ją zastępy matek o surowych obliczach, obciążone dziećmi, których nie wahały się bić i tłuc przy lada okazji. „Ej, Jason!” Łup! „Daj spokój Tamarze!” Trzask! „Zoe!” Bęc! „Jeżeli jeszcze raz złapię cię w Brooklynie, to cię, kurwa, zabiję!” Pac! Kobiety wyraźnie gardziły bezstresowymi metodami wychowawczymi Clodagh. „Spuść gówniarze

solidne manto", sugerowały bezlitosne miny. „Wcześniej spać, też coś. Naucz ją rozumu, one rozumieją tylko prawo pięści”.

Clodagh i Dylan postanowili, że nigdy nie uderzą dziecka. Kiedy jednak Molly zaczęła ją kopać, nie przestając się wydzierać, Clodagh niespodziewanie dla siebie poderwała córkę z podłogi i dała jej klapsa w gołą nogę. Wydawało się, że cały Dublin wstrzymał oddech. Nagle wszyscy dręczyciele dzieci znikli, a Clodagh wyczuła na sobie wiele oskarżycielskich spojrzeń. Wszyscy wokół zachowywali się tak, jakby pracowali w telefonie zaufania dla maltretowanych dzieci.

Clodagh poczerwieniała jak burak. Co zrobiła? Dlaczego zaatakowała bezbronną dziewczynkę? Co się z nią działo?

– Chodź. – Pośpiesznie odciągnęła wyjąca Molly, wstrząśniętą śladem dłoni na łydce. Aby uspokoić sumienie, matka natychmiast kupiła Molly loda, który stał się przyczyną awantury. Spodziewała się, że w ten sposób zyska chwilę spokoju na czas jedzenia loda.

Problem w tym, że lód zaczął się topić i Clodagh poproszono o opuszczenie sklepu z tkaninami, kiedy Molly starannie wymazała zwój muślinu na firanki, pozostawiając na nim gruby, biały ślad. Miły poranek diabli wzięli. Usuwając z twarzy Molly lodową brodę a la Święty Mikołaj, Clodagh nie mogła przestać myśleć o tym, że dawniej jej życie było atrakcyjniejsze i bardziej pogodne. Zawsze gnała do przodu, z przyjemnością biorąc to, co ofiarowywała jej przyszłość.

I nigdy się wówczas nie rozczarowywała.

Nie miała wygórowanych oczekiwań i dzięki temu dostawała w życiu to, czego pragnęła. Pozornie wszystko było idealne: miała dwoje zdrowych dzieci, dobrego męża, nie doskwierały jej problemy finansowe. Ostatnio jednak jej dni

zmieniły się w monotonną harówkę. Nawet nie ostatnio – od dawna. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy to się zaczęło, lecz nie potrafiła. Poczula, jak oblewa ją zimny pot. Przeraziła ją wizja, że tak będzie zawsze. A przecież z natury była zadowolona i nieskomplikowana, co szczególnie rzucało się w oczy, gdy porównywała się z biedną Ashling, zupełnie pokreconą pod każdym względem.

Coś się jednak zmieniło. Nie tak dawno temu czerpała energię z optymizmu i wiary w przyszłość. Co było inaczej? Gdzie tkwił błąd?

14

– Diet Lilt czy Purdeys? – zawahała się Ashling. – Nie wiem.

– Lepiej się zdecyduj. – Długopis Trix zawisł nad kołonotatnikiem. – Zamkną sklep, jeśli się nie pośpieszysz.

Chociaż zespół „Irlandki” działał dopiero od niespełna dwóch tygodni, mieli już pewne przyzwyczajenia. Rano i po południu następował wypad do sklepu. Był to zupełnie inny wypad niż wypad na lunch albo wypad po lekarstwa na kaca.

– Oho, Heathcliff przylazł – zauważyła Trix

Do redakcji wkroczył Jack Devine, potargany i zmartwiony.

– Nie umiem się zdecydować – narzekała Ashling, nie mając pojęcia, który napój wybrać.

– Jasne, że nie umiesz – zauważył niegrzecznie Jack. Nawet nie zwolnił kroku. – W końcu jesteś kobietą.

Zatrzasnął za sobą drzwi i wszyscy ze współczuciem pokiwali głowami.

– Pojednawczy lunch z Mai najwyraźniej się nie udał – oświadczył Kelvin, kiwając palcem.

– Co za nieszczęśliwy człowiek. – Shauna Griffin uniosła wzrok znad korekty letniego wydania „Gaelickich Robótek”. Jej głos drżał. – Taki przystojny, niedostępny i nieszczęśliwy.

Shauna Griffin była dużą, jasnowłosą kobietą, która odrobinę przypominała Ciasteczkowego Potwora i regularnie przedawkowywała dopuszczalny limit harlequinów.

– Nieszczęśliwy? – powtórzyła z pogardą Ashling. – JD? Po prostu źle wychowany.

– To pierwsza złośliwa uwaga, jaką kiedykolwiek o kimkolwiek wygłosiłaś – zauważyła Trix. – Gratuluję. Wiedziałaś, że masz to w sobie! Pomyśl, co mogłabyś osiągnąć, gdybyś się trochę przyłożyła.

– Diet Lilt – odparła Ashling – I paczkę dropsów.

– Białych czy brązowych?

– Białych.

– Dawaj forszę.

Ashling wręczyła jej funta, Trix wpisała zlecenie na listę i popatrzyła na następną osobę.

– Lisa? – odezwała się z podziwem. – Chcesz coś?

– Hm? – Lisa aż podskoczyła. Myślami przebywała gdzie indziej. Jack odkrył, że nie znalazła jeszcze mieszkania, więc po pracy zabierał ją do domu, który jego przyjaciel zamierzał komuś wynająć. Bała się, że pogodzą się z Mai podczas lunchu, ale wyglądało na to, że nie musi się tym przejmować.

– Fajki? – dopytywała się Trix. – Guma bez cukru?

– Tak, fajki.

Drzwi znów się otworzyły i wyłonił się z nich Jack. Wydawał się nieco roztargniony. Trix skoczyła z powrotem do swojego biurka i wyćwiczonym

ruchem ręki otworzyła szufladę, wsunęła do niej papierosy i ją zamknęła. Jack chodził między biurkami i nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy. Ci, którzy zdołali, ukryli swoje papierosy. Lisa miała paczkę silk cutów obok myszki komputerowej, ale chociaż Jack zwolnił i wyglądało na to, że się zatrzyma, przyspieszył ponownie i ją minął. Wszyscy zmrużyli oczy. Jack podszedł do Ashling, przystanął, a cała redakcja odetchnęła z ulgą. Chwilowo byli bezpieczni.

Wbrew swojej woli Ashling spojrzała na niego. W milczeniu wskazała swoją paczkę marlboro i skinęła głową, nienawidząc się za tę uległość. Był dla niej taki niemiły, ale najwyraźniej tylko od niej wysepiął papierosy. Pewnie miała na czole napis: „oferma”.

Obserwował ją zimno, otoczył filtr wargami i jak zwykle powoli wyciągnął papieros z pudełka. Trzęsącymi się rękoma podała mu zapaliki, uważając, żeby go przy tym nie dotknąć. Nie odrywając od niej spojrzenia, potarł zapalnik o draszkę, rozпалиł papierosa i zgasił ogień. Zaciągnął się głęboko.

– Dzięki – mruknął.

– Kiedy znowu zaczniesz sobie kupować fajki? – zapytała Trix, chwilowo bezpieczna. – To niesprawiedliwie, zarabiasz milion razy więcej od Ashling, ale bez przerwy sępisz od niej papierosy.

– Naprawdę? – Wydawał się zaniepokojony. Popatrzył na Ashling, a ona skuliła się na krześle. – Przepraszam, nie zauważyłem.

– Nieważne – wymamrotała. Jack zniknął w swoim gabinecie.

– Pewnie się teraz zadrecza, że wykorzystuje pracowników, podwędzając im papierosy – powiedział oschle Kelvin. – Jack Devine, Bohater Klasy Robotniczej.

– W swoich marzeniach – dodała Trix.

– Jak to? – Ashling nie potrafiła ukryć ciekawości.

– Chciałby być skromnym rzemieślnikiem i uczciwie zarobić na kawałek chleba. – Pogarda Trix dla tak mało wyrafinowanych ambicji była niemal namacalna.

– Problem polega na tym, że urodził się w klasie średniej i miał obciążenie w postaci rozlicznych przywilejów – wyjaśnił Kelvin. – Takich jak wykształcenie. Zrobił magisterium z mediów i komunikacji. A potem – złowieszczo zniżył głos – zaczął wykazywać niezwykle uzdolnienia menedżerskie.

– Rynek złamał mu serce – westchnęła Trix. – Podejrzewam, że ma poczucie winy, typowe dla klasy średniej. Dlatego ciągle chce coś naprawiać i ma te samcze hobby.

– Jakie samcze hobby?

– Na przykład żagle, to samcze.

– Ale szczególnie robotnicze. Urzynanie się piwem jest samcze – oświadczył Kelvin. – I dupczenie seksownych pół-Wietnamek – dodał. – To bardzo samcze.

Ashling ukradkiem podeszła do Lisy.

– Mogę o coś spytać?

– Nie, dziękuję – zanuciła Lisa, nawet nie unosząc wzroku. – Nie chcę iść na drinka z tobą, Trix i twoją przyjaciółką Joy ani z nikim innym. Ani dziś, ani nigdy.

Wszyscy zachichotali, ku satysfakcji Lisy. Na szyi Ashling wykwitła plama koloru wątroby. Przecież tylko chciała być miła dla nowo przybyłej do

Dublina, ale w ustach Lisy brzmiało to tak, jakby Ashling próbowała ją podrywać.

– To pytanie związane z pracą. Dlaczego nie stworzymy trochę innej strony z poradami?

– Jak to innej, Einstenie?

– Niech jasnowidz odpowiada na pytania, nie psycholog.

Lisa się zamyśliła. Pomysł nie był zły. Bardzo z duchem czasów, teraz wszyscy poszukiwali duchowości, dzięki której zdołają naprawić życie. Sama w to wcale nie wierzyła – uważała, że należy brać los we własne ręce – ale bez problemu mogła to wciskać masom.

– Może – mruknęła.

Ulga złagodziła ból wywołany kęśliwością Lisy. Odkąd Ashling zaczęła pracować dla „Irlandki”, wciąż dręczył ją niepokój związany z brakiem pomysłów. W końcu Ted zasugerował, żeby myślała o tym, czego oczekuje od czasopisma, i nagle się odblokowała. Interesowało ją wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z tarotem, reiki, feng shui, afirmacją, aniołami i dobrymi czarownicami.

Drzwi Jacka znów się otworzyły, a wszyscy rzucili się ratować papierosy.

– Liso? – zawołał Jack. – Możesz na słowo?

– Naturalnie. – Elegancko wstała od biurka, zastanawiając się, o czym Jack chce z nią mówić. Czyżby zamierzał zaprosić ją na randkę?

Kiedy poprosił ją o zamknięcie drzwi, jej podniecenie się wzmoгло. Natychmiast zniknęło, gdy oznajmił ze skruchą w głosie:

– Niełatwo mi to powiedzieć.

– Mów – mruknęła chłodno.

– Nie radzimy sobie z reklamami – oświadczył bez ogródek. – Nie ma chętnych. Wyrobiliśmy tylko... – zerknął do kalendarza na biurku – ...dwanaście procent tego, co zakładaliśmy.

Lisę aż zgięło ze strachu. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Kiedy była naczelną „Femme”, stawki za reklamy zawsze ustalano z dużą dowolnością, a mimo to projektanci mody i przedsiębiorstwa kosmetyczne pchały się drzwiami i oknami, żeby wykupić całostronicowe reklamy. Jak wszyscy z branży czasopism wiedzą, dochód osiągany ze sprzedaży reklam jest o wiele większy od wpływów ze sprzedaży samego pisma. Tak przynajmniej być powinno. Jeśli firmy nie dają się przekonać, że dana publikacja jest odpowiednim nośnikiem reklamy ich produktów, wówczas pismo pada. Lisę oblała fala paniki. Chyba nie przeżyłaby porażki nowo powstałego magazynu.

– To dopiero początek – bąknęła.

Z niechęcią pokręcił głową. To nie był początek, oboje o tym wiedzieli. Zanim zjawił się zespół redakcyjny „Irlandki”, Margie przez ponad miesiąc prowadziła prace przygotowawcze, poprzedzające uruchomienie produkcji: ewentualni zainteresowani reklamodawcy mieli mnóstwo czasu na zgłoszenie. Lisa czuła się głęboko upokorzona. Chciała, żeby ten mężczyzna podziwiał ją i pożądał, a tymczasem pewnością uważał ją za nieudacznicę.

– Ale czy nie wiedzą...? – Nie mogła się powstrzymać.

– Czego?

Usiłowała sformułować tę myśl jakoś inaczej, ale nie potrafiła.

– Nie wiedzą, że ja jestem naczelną?

– Twoje nazwisko wiele znaczy – powiedział Jack taktownie. Gdy ujrzała, że i jemu jest niemiło z powodu zaistniałej sytuacji, poczuła się nieco

mniej zraniona. – Ale to nowy rynek, nowi czytelnicy, dopiero przecieramy szlak...

– Chyba mówiłeś, że Margie to rottweiler. Że potrafiłaby przekonać Boga do zamieszczenia swojej reklamy. – Jeśli masz kłopoty, zwalaj winę na kogoś innego. To motto dotychczas dobrze służyło Lisie w jej karierze.

– Margie świetnie sobie radzi w zbieraniu reklam od irlandzkich przedsiębiorstw – wyjaśnił Jack. – Ale to centrala w Londynie obsługuje międzynarodowe firmy kosmetyczne i domy mody. Na czym stoimy? – spytał. – Jakie będą nasze stałe rubryki? Musimy coś podrzucić do biura w Londynie, żeby potencjalni reklamodawcy mieli się z czym zapoznać.

Lisa była blada jak ściana, gwałtownie szukając odpowiedzi. Stałe rubryki! Pracowała w tym pieprzonym piśmie od niespełna dwóch tygodni, rzucona na głęboką wodę w obcym kraju. Robiła, co mogła, żeby utrzymać to wszystko w kupie, a oni żądali od niej informacji o stałych rubrykach!

– Chodzi tylko o zarys – dodał Jack z rozdzierającą serce łagodnością. – Przepraszam, że ci to mówię.

– Może pójdziemy do sali konferencyjnej na zebranie w sprawie postępów? – zasugerowała Lisa, czując niespotykaną słabość w kolanach. I pomyśleć, że wszyscy uważali pracę w czasopiśmie za wspaniałą. Była to przerażająca, powodująca bezsenność robota, bez żadnej pewności jutra, bez chwili wytchnienia. Chodziło wyłącznie o comiesięczne wypracowywanie zysków. A kiedy już zdołasz jakimś cudem osiągnąć limit, musisz zaczynać wszystko od początku. Jesteś tylko takim nieco lepszym akwizytorem. Próbując przekonać wszystkich, że jest niezwykle dynamiczna, wypadła z gabinetu Jacka, ale miała zeszywniałe mięśnie nóg i smużkę potu na górnej

wargą. – Sala konferencyjna, natychmiast! – wrzasnęła. Ludzie, którzy nie pracowali w „Irlandce”. zachichotali, zachwyceni, że to nie na nich się ryczy.

– No dobra. – Lisa grała na zwłokę, uśmiechając się przerażająco do zebranych w sali. – Może chcielibyście powiedzieć Jackowi i mnie. co robiliście przez ubiegłe dwa tygodnie. Ashling?

– Rozesłałam komunikaty prasowe do wszystkich domów mody i...

– Komunikaty prasowe? – przerwała jej Lisa sarkastycznie. – Kiedy zaczniesz objawiać jakikolwiek talent?

Posłuszne chichoty Trix, Gerry'ego i Bernarda.

– A więc klienci zapłacą dwa i pół funta, żeby przeczytać komunikaty prasowe „Irlandki”. Artykuły, Ashling, mówię o artykułach! Co masz?

Zdumiona jej agresją, Ashling opowiedziała o salsie. Gdy opisywała lekcję, nauczyciela i innych uczniów. Lisa się nieco odprężyła. I dobrze. Zacheęcona Ashling z entuzjazmem opowiadała o tym, jak bawiła się po lekcji.

– Było świetnie, staroświeckie tańce, mnóstwo fizycznego kontaktu. Było... –Z jakiegoś powodu wzdragала się przed użyciem tego określenia w obecności Jacka Devine'a. – Bardzo seksownie.

– A w kwestii romansu. – Lisa przeszła do sedna sprawy. – Poznałaś jakichś facetów?

Ashling aż się skrzyła.

– Lim, tańczyłam z pewnym mężczyzną – przyznała.

Wszyscy zaczęli się wiercić i wyciągać szyję, żeby usłyszeć detale. Jack Devine spod na wpół przymkniętych powiek obserwował Ashling.

– To był tylko taniec – zaprotestowała Ashling. – Nawet nie spytał, jak mam na imię.

– Masz zdjęcia klubu – powiedziała Lisa. To nie było pytanie. Gdy Ashling skinęła głową. Lisa dodała: – Zrób z tego cztery strony artykułu. Dwa tysiące słów, jak najszybciej. Napisane lekkim językiem.

Ashling ogarnął paralizujący strach. Dałaby wszystko, by nadal pracować w „Babskim Kąciku”. Nie umiała pisać. Jej siłą było mozolenie się z nudnymi rzeczami, w tym była cudowna i właściwie z tego powodu zatrudniono ją w „Irlandce”. Czy Mercedes nie mogła zająć się pisaniem, albo jeden z wolnych strzelców?

– Jakiś problem? – Lisa sarkastycznie wydeła usta.

– Nie – wyszeptała Ashling. Jednak żołądek ścisnął się jej ze strachu, kiedy uświadomiła sobie, co ma na głowie. Joy będzie musiała jej pomóc. A może Ted – w końcu z pewnością pisał mnóstwo szkiców raportów w swojej pracy w Ministerstwie Rolnictwa.

Następnie rozmowa skierowała się na rubrykę Trix o życiu zwykłych dziewczyn. Pierwszy artykuł poświęcony był niebezpieczeństwom zdrady. Uświadamiał, jakie to przykre, kiedy jesteś w łóżku z jednym chłopakiem, a drugi akurat puka do drzwi i twoja mama go wpuszcza. Artykuł był zabawny, bulwersujący i całkowicie szczery.

– Dobry Boże, Patricio Quinn. – Jack z rozbawieniem pokręcił głową. – Jaki ja byłem cnotliwy.

– Osobiście nie polecam takich doświadczeń – powiedziała Trix. – On i moja mama siedzieli w pokoju gościnnym i oglądali *Heartbeat*, a ja byłem uwięziona w sypialni z tym drugim i wymyślałam wymówki, dla których nie mogę wyjść. Postarzałam się o dziesięć lat.

– Czyli nagle zrobiła się z ciebie dwudziestopięciolatka? – Jack zmrużył oczy w uśmiechu.

Ashling popatrzyła na niego z pełnym gorczy zdumieniem. Dlaczego dla niej zawsze był okropny? Dlaczego ona nigdy go nie bawiła? Kiedy doszła do wniosku, że po prostu nie jest zabawna, zauważyła wyraz twarzy Lisy. Determinacja i podziw. Podobał się jej, uświadomiła sobie Ashling, i jej żołądek ścisnął się raz jeszcze. Jeśli ktokolwiek mógł odciągnąć Jacka Devine'a od egzotycznej Mai, to właśnie Lisa. Jak to jest dysponować taką władzą?

Następnie Lisa opisała stałą rubrykę „rozrywkową”, którą właśnie wymyśliła. Ocena najbardziej seksownych hoteli w Irlandii. Ocena w zależności od sztywności pościeli, sprężystości materaców, rozmiaru powierzchni do bzykania i „czynnika kajdankowego” – łóżka z kutego żelaza albo te z baldachimem były wprost idealne.

– O rany, nie wiem, ile ci płacą, ale jesteś tego warta! – Trix nie mogła wyjść z podziwu.

– Mercedes? – zapytała Lisa.

– Jedziemy w piątek do Donegal, na zastrzeżony pokaz zimowej kolekcji Friedy Kiely – oświadczyła z zadowoleniem Mercedes. – Wyjdzie z tego dwanaście stron.

Frieda Kiely była irlandzką projektantką, bardzo popularną za granicą. Tworzyła dzikie, wspaniałe projekty: szorstki irlandzki tweed plus lekki jak piórko szyfon; połyskujące płótno z kwadratami szydełkowanego jedwabiu; dziergane rękawy sięgające podłogi. Efekt był romantyczny i nieujarzmiony. Nieco zbyt nieujarzmiony, jak na gust Lisy. Za takie pieniądze – których rzecz jasna w życiu by nie zapłaciła – wolałaby coś od pana Gucciego.

– Może wywiad? – zasugerowała.

Mercedes parsknęła śmiechem.

– Nie, to wariatka. Nie jest w stanie powiedzieć nic sensownego.
– No właśnie – warknęła Lisa. – Będzie się interesująco czytało.
– Nie wiesz, jaka ona jest.
– Promujemy jej zimową kolekcję, może nam chyba powiedzieć, co jada na śniadanie.

– Ale...
– Zrób na mnie wrażenie – mruknęła Lisa, naśladując Calvina Cartera. Być może rozbawiłoby to Mercedes, gdyby zdawała sobie sprawę z tego, że to parodia. Jednak nie miała pojęcia, więc tylko rzuciła Lisie pełne złości spojrzenie.

Jack zwrócił uwagę na Gerry'ego.

– Jak tam okładka?

Lisa patrzyła na nich niespokojnie. Gerry był tak cichy, że nie zwracała na niego najmniejszej uwagi i w związku z tym nie miała bladego pojęcia, czy jest dobry w tym, co robi. Gerry przedstawił kilka propozycji okładki – trzy różne dziewczyny plus napisy w rozmaitych rozmiarach i rodzajach czcionek. Udało mu się stworzyć zdecydowanie seksowną i radosną atmosferę.

– Znakomicie – ucieszył się Jack. Po chwili spojrzął na Lisę. – A jak twoja rubryka sław?

– Pracuję nad tym. – Uśmiechnęła się promiennie. Bono i the Corrs nie oddzwaniali. – Ale mam coś lepszego: choć jesteśmy kobiecym pismem i nasi czytelnicy będą składać się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach z kobiet, myślę, że warto, by swoją stałą rubrykę miał u nas mężczyzna.

Chwileczkę, pomyślała Ashling, całkiem zaszokowana, to był mój pomysł.

W milczeniu układała wargi w ochy i achy, gdy Lisa ciągnęła radośnie:

– Jest pewien komik, moje źródła twierdzą, że się wybije. Problem w tym, że nie chce się produkować w piśmie dla kobiet. Myślę jednak, że go przekonam.

Ty suko, pomyślała Ashling. Ty pierdolona suko. Czy nikt nie pamięta? Czy nikt nie zauważył...?

– Ja... – wydukała.

– Co? – warknęła Lisa. Jej złocista twarz była przerażająca, spojrzenie szarych oczu zimne jak lód.

Ashling, nieszczególnie asertywna, wymamrotała:

– Nic takiego.

– To będzie przebój. – Lisa uśmiechnęła się do Jacka.

– Kto to taki?

– Marcus Valentine.

– Poważnie? – Jack był szczerze poruszony.

– Kto? – wykrztusiła Ashling. Nie mogła wyjść z szoku.

– Marcus Valentine – powtórzyła Lisa niecierpliwie. – Słyszałaś o nim?

Ashling w milczeniu pokiwała głową. Piegowaty facet nie wyglądał jak człowiek, który „się wybije”. Lisa musiała się mylić. Ale wydawała się taka pewna swego...

– Występuje w sobotni wieczór w miejscu zwanym River Club – powiedziała Lisa. – Pójdiesz ze mną, Ashling.

– River Club? – Głos Ashling był niemal równie zachrypnięty jak Trix. – Sobotni wieczór?

– Tak – westchnęła Lisa.

– Mój przyjaciel Ted też występuje – usłyszała swój głos Ashling.

Lisa zmrużyła oczy.

– Tak? To świetnie. Możemy poznać się za kulisami.

– Dobrze, że nie mam żadnych planów na sobotni wieczór – wyrwało się z zazwyczaj potulnych ust Ashling.

– Owszem – przytaknęła zimno Lisa. – Dobrze. Kiedy wszyscy wyszli z sali, Lisa odwróciła się do Jacka.

– Zadowolony? – zaryzykowała.

– Jesteś zadziwiająca – odparł wprost. – Zadziwiająca. Dziękuję. Porozmawiam z centralą.

– Kiedy będziemy znali odpowiedź?

– Zapewne dopiero w przyszłym tygodniu. Nie martw się, na pewno na coś wpadniesz, będzie dobrze. To co, o szóstej pójdziemy obejrzeć dom?

Zraniona i wściekła Ashling usiadła za biurkiem. Postanowiła, że już nigdy w życiu nie będzie miła dla tej suki. I pomyśleć, że było jej żal Lisy, która znalazła się sama, bez przyjaciół, w obcym kraju. Usiłowała przebaczyć jej zmijowate uwagi ze względu na to, że pewnie była nieszczęśliwa i przestraszona. Czasem, ku swemu zawstydzeniu, Ashling chichotała, kiedy Lisa sugerowała, że Dervla jest gruba, Mercedes włochata, Shauna Griffin pochodzi z chowu wsobnego, a ona sama jest zupełnie niesamodzielną. Teraz jednak Lisa Edwards mogła sobie zdychać z samotności, Ashling Kennedy miała to gdzieś.

Do ekranu, na którym widniał wygaszacz przedstawiający George'a Clooneya, przyklepiono żółtą karteczkę ze zdaniem: „dzwonił Dillon”. Zerwała ją, ekran zatrząskał od wyładowań elektrostatycznych. Chyba nie nadszedł październik? Dylan dzwonił do Ashling dwa razy w roku – w październiku i grudniu. Zapytać, co ma kupić Clodagh na jej urodziny i na Gwiazdkę.

Oddzwoniła.

- Cześć, Ashling. Masz jutro czas na drinka po pracy?
- Odpada. Muszę napisać okropny artykuł – może w tygodniu, co? A właściwie o co chodzi?
- O nic. Chyba. Wyjeżdżam na konferencję, zadzwonię po powrocie.

15

– Gotowa? – spytał Jack, stając przy biurku Lisy dziesięć po szóstej. Obserwowani przez spragnionych plotek kolegów, wyszli z redakcji i windą zjechali na parking.

W chwili, w której znaleźli się w aucie, Jack zerwał krawat z szyi i rzucił go na tylne siedzenie, po czym rozpiął dwa górne guziki koszuli.

– O wiele lepiej – westchnął. – Nie krępuj się, zdejmij wszystko, co chcesz.... – Nagle urwał; zapadła kłopotliwa cisza. Lisa widziała, że Jack jest zażenowany. – Przepraszam – mruknął ponuro. – Źle to zabrzmiało.

Niecierpliwie przejechał ręką po zmierzwionych włosach, tak że z przodu stanęły mu dęba, po czym znowu opadły na czoło.

– Nie ma problemu. – Lisa uśmiechnęła się uprzejmie, ale poczuła przyjemne mrowienie w karku. Była zaszokowana i jednocześnie podniecona wyobrażeniem samej siebie, rozbierającej się w aucie Jacka. Już czuła spojrzenie tych ciemnych oczu na swoim nagim ciele, chłód skórzanej tapicerki na rozpalonej skórze. Przygryzła wargę i obiecała sobie, że kiedyś do tego dojdzie.

Gdy Jack wziął się w garść, ponownie przemówił.

– Opowiem ci o tym domu. – Wyjechał na zatłoczone dublińskie ulice. – Chodzi o to, że Brendan będzie pracował w Stanach. Ma umowę na półtora

roku, być może się przedłuży, ale to oznacza, że przez osiemnaście miesięcy dom będzie należał do ciebie. A potem zobaczymy.

Lisa mruknęła coś wymijająco. To, co mówił, nie miało znaczenia, wcale nie zamierzała pozostawać w Irlandii przez półtora roku.

– Jest na South Circular Road, czyli w sumie w centrum – mówił dalej Jack. – Ta część Dublina nadal ma własny charakter. Nie została na siłę unowocześniona.

Lisie natychmiast popsuł się humor. Rozpaczliwie marzyła o tym, żeby mieszkać w części na siłę unowocześnionej.

– Tam jest silne poczucie wspólnoty. Dzielnicę zamieszkuje dużo rodzin.

Lisa nie chciała mieć nic wspólnego z rodzinami. Chciała żyć w otoczeniu innych singli i wpadać na atrakcyjnych mężczyzn w okolicznym Tesco, kiedy będą kupowali chipsy i chardonnay. Tępo wpatrywała się w dłonie Jacka na kierownicy, a jej fatalne samopoczucie nieco łagodziła pewność, z jaką prowadził samochód.

Zjechał z głównej drogi na mniejszą, a potem na jeszcze mniejszą.

– To tutaj. – Machnął ręką.

Przy ulicy stał stylizowany budynek z czerwonej cegły. Lisa natychmiast go znienawidziła. Lubiała nowoczesne, modne domy, przestrzenne i pełne wdzięku. Ten dom kojarzył się ciasnymi, ciemnymi pokojami, starą hydrauliką i niehigieniczną, wolno stojącą kuchnią z ohydny, emaliowanym zlewem.

Niechętnie wysiadła z auta

Jack podszedł do domu, włożył klucz do zamka, popchnął drzwi i cofnął się, żeby zrobić miejsce Lisie. Wchodząc, musiał schylić głowę.

– Drewniane podłogi – zauważyła, rozglądając się dookoła.

– Brandon sprawił je sobie kilka miesięcy temu – powiedział dumnie Jack.

Darowała sobie oświecenie go, że naprawdę modni ludzie dawno przestali szaleć na punkcie drewnianych podłóg i że teraz na topie są dywany.

– Salon. – Jack wprowadził ją do małego pokoju o podłodze z jesionu. Była tam sofa, telewizor i kominek z kratą z kutego żelaza. – To oryginał. – Wskazał głową na kominek.

– Mhm. – Lisa nienawidziła tego rodzaju krat – były takie nieminimalistyczne

– Kuchnia. – Zaprowadził ją do następnego pomieszczenia. – Łazienka, kuchenka mikrofalowa, pralka.

Lisa rozejrzała się wokół. Przynajmniej szafki robił stolarz, a zlew był z aluminium – chyba wolałaby dostać Alzheimera, niż mieszkać w domu z emaliowanym zlewem. Jednak jej satysfakcja prysła, gdy Lisa ujrzała sosnowy stół i cztery przysadziste krzesła w wiejskim stylu. Z bólem serca pomyślała o obrotowym stole z turkusowego laminatu i czterech drucianych krzesłach w jej kuchni na Ladbroke Grove.

– Mówił coś o problemach z bojlerem. Zerknę na niego. – Częściowo zniknąwszy za szafką Jack podwinął rękawy i zaprezentował brązowe przedramiona z kłębami mięśni, które poruszały się przy każdym ruchu dłoni.

– Podaj mi klucz z tamtej szuflady, co? – Jack wskazał głową. Lisa zastanawiała się, czy przygotował to przedstawienie specjalnie na jej cześć, a potem przypomniała sobie, jak Trix mówiła, że dobrze sobie radził z naprawą rozmaitych rzeczy. Poczowała przypływ energii. Zawsze miała słabość do mężczyzn o zręcznych rękach, którzy wysmarowani olejem, wracali do domu

po całym dniu naprawiania przeróżnych rzeczy, po czym rozpinali kombinezon i mówili znacząco: „Cały dzień o tobie myślałem, mała”. Miała też słabość do mężczyzn, którzy zarabiali sześciocyfrowe sumy i mogli ją awansować, nawet jeśli nie zasłużyła. Miło, jeśli mężczyźni dysponowali wszystkimi tymi umiejętnościami.

Jack jeszcze trochę podłubał i pogrzebał w urządzeniu, aż wreszcie powiedział:

– Chyba rozwalił się regulator czasowy. Możesz korzystać z ciepłej wody, ale nie możesz jej wcześniej nastawić. Naprawię to później. Obejrzyjmy łazienkę.

Ku jej zdumieniu, łazienka się nadawała. Ucieszyło ją, że nie będzie musiała się tu myć z zegarkiem ręki.

– Ładna – oświadczyła.

– Tak, wygodna półeczka – przyznał Jack.

– Akurat na dwa kieliszki wina i świecę aromatyczną. – Jej spojrzenie było znaczące. Niepotrzebnie. Ku frustracji Lisy Jack pomaszerował do następnego pomieszczenia.

– Sypialnia – oznajmił.

Była większa i jaśniejsza niż inne pokoje, chociaż i ją urządzono w rustykalnym stylu. Wzorki roślinne na białych zasłonach, wzorki roślinne na pościeli i o wiele za dużo sosny. Sosnowa rama łóżka, wielka sosnowa szafa, sosnowa komoda. Pomyślała z pogardą, że pewnie i materac zrobiono z sosny.

– Wychodzi na ogród. – Jack wskazał na mały prostokąt trawy okolony krzakami i kwiatkami. Lisie ścisnęło się serce. Dotąd nigdy nie miała ogrodu i wcale nie chciała tego zmieniać. Lubiła kwiaty jak każda kobieta, ale tylko w dużych bukietach w celofanie, z ogromną atlasową wstęgą i kartką z

gratulacjami. Wolałaby umrzeć, niż zająć się ogrodnictwem, a akcesoria były wręcz makabryczne – spodnie z gumką, idiotyczne kapelusze, głupie koszyczki i rękawice w sam raz dla Michaela Jacksona. To nie był Modny Wygląd.

I choć jeszcze w czerwcu ubiegłego roku wmawiała czytelniczkom „Femme”, że ogrodnictwo to nowy seks, wcale tak nie sądziła. Seks to seks. I już. Brakowało go jej.

– Mówił coś o ogródku ziołowym – zauważył Jack. – Obejrzymy?

Odsunął zasuwkę na drzwiach z tyłu i wychodząc, znów musiał schylić głowę. Szła za nim po ścieżce, rozbawiona własnym podziwem dla tego faceta. Ptaki ćwierkały w zapadającym zmierzchu, powietrze pachniało trawą, ziemią i na chwilę Lisa przestała wszystkiego nienawidzić.

– Tutaj. – Pokazał jej grządkę i ugiął długie nogi, żeby przykucnąć. Udając zapał, Lisa niechętnie przykucnęła obok niego.

– Uważaj na kostium. – Wyciągnął do niej rękę. – Nie ubrudź go ziemią.

– A twój garnitur?

– Mam gdzieś, co się z nim stanie. – Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

Z bliska widziała, że jeden z jego przednich zębów jest minimalnie wyszczerbiony. Pasowało to do jego wyglądu twardziela.

– Jeśli się upapram ziemią, oddam go do pralni i nie będę mógł go włożyć... Czy to nie straszne? – spytał ironicznie.

Lisa parsknęła śmiechem i od niechcienia zbliżyła się do Jacka. Widziała, że jego źrenice się zwęziły i rozszerzyły – było w nich zmieszanie, potem zainteresowanie, następnie olbrzymie zainteresowanie, potem znów zmieszanie i na końcu obojętność. Wszystko trwało niespełna sekundę. Następnie odwrócił głowę.

– To kolendra czy pietruszka? – spytał.

Pasmo jego włosów się skrzyło. Lisa miała ochotę dotknąć je palcem.

– Jak sądzisz? – spytał znowu.

Czując się tak, jakby rozmawiali jakimś szyfrem, popatrzyła na liść w jego dłoni.

– Nie wiem.

Zmiażdżył listek między kciukiem i palcem wskazującym, a potem zbliżył go do jej twarzy. Na niebezpiecznie małą odległość.

– Powąchaj – przykazał.

Lisa zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, usiłując wyczuć zapach jego skóry.

– Kolendra – oświadczyła triumfalnie. Nagroził ją jeszcze jednym uśmiechem. Jego usta śmiesznie unosiły się w kącikach.

– A tu jest bazylia, szczypior i tymianek – powiedział. – Możesz przyprawiać nimi to, co ugotujesz

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Posypię nimi to, co zamówię. Kłamanie mu nie miało sensu. Czasy, w których wariowała z miłości i pragnęła gotować dla ukochanego, dawno odeszły w niepamięć.

– Nie gotujesz?

Pokręciła głową.

– Nie mam czasu.

– Ciągłe to słyszę – mruknął.

– A... hm... Mai gotuje?

Poważny błąd. Twarz Jacka znów zrobiła się nieprzystępna.

– Nie – odparł krótko. – Przynajmniej nie dla mnie. Chodź, idziemy. No i co myślisz o domu? – spytał, gdy już znaleźli się w środku.

– Podoba mi się – skłamała. Był najładniejszy ze wszystkich miejsc, które dotychczas widziała, ale to o niczym nie świadczyło.

– Dużo za nim przemawia – zgodził się Jack. – Czynsz jest przyzwoity, okolica ładna i możesz chodzić pieszo do pracy.

– Tak jest – przytaknęła Lisa z goryczą, która go zdziwiła. – I zdołam zaoszczędzić funt dziesięć w jedną stronę.

– Aż tyle? Nie miałem pojęcia, zwykle jeżdżę autem...

– Czyli dwa dwadzieścia dziennie.

– Co pewnie da...

– ...jedenaście funtów tygodniowo. Jeśli weźmie się po uwagę całe życie, sporo można zaoszczędzić. – Kiedy Jack z trudem usiłował utrzymać na twarzy wyraz uprzejmego zainteresowania, Lisa się rozpogodziła. Ze śmiechem opowiedziała mu o swoim doświadczeniu ze skąpą Joanne. A potem o innych okropnych miejscach, które oglądała. O mężczyźnie na Lansdown Park, który pozwalał swojemu wężowi pełzać po salonie, o domu w Ballsbridge tak zabałaganionym, że wyglądał, jakby właśnie go okradziono.

– Jeśli chcesz, możesz się tu od razu przenieść – zaproponował Jack.

Wstał i zaczął z zakłopotaniem podzwaniać drobniakami w kieszeni. Lisa знаła ten dźwięk. Tak zachowywali się mężczyźni, kiedy usiłowali zebrać się na odwagę i zaprosić ją na drinka. Widziała niezdecydowanie w jego oczach i spięcie ciała, jakby nagle zamierzał wystrzelić na orbitę.

No już, dawaj, pogoniła go w duchu.

Nagle jego oczy się rozjaśniły, napięcie zniknęło.

– Odwiozę cię do hotelu – powiedział.

Zrozumiała. Wyczuła, że jest nią zainteresowany, i wyczuła również jego obiekcje. Nie tylko razem pracowali, ale on na dodatek miał dziewczynę.

Nieważne. Popracuje nad nim i przezwycięży jego opory. No i bardzo dobrze – rozkochiwanie w sobie Jacka sprawi, że zapomni o innych zmartwieniach.

– Dziękuję, że znalazłeś mi jakieś mieszkanie. – Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł. – I nie wahaj się prosić, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Zrobię wszystko, co zdołam, żeby uprzyjemnić ci pobyt w Irlandii.

– Dzięki. – Posłała mu jeszcze jeden uwodzicielski uśmiech

– Jesteś o wiele za ważna dla „Irlandki”, żebyś marnowała czas na oglądanie mieszkań.

Och.

Skulona w fotelu Lisa zapaliła papierosa i wyglądała przez okno hotelu na Hartcourt Street. Trochę dręczyło ją sumienie. Bardzo nieznacznie, ale sam fakt, że coś poczuła, wart był zastanowienia. Wszystko przez tę cholerną Ashling. Była tak żałośnie zdumiona, kiedy Lisa ukradła jej pomysł.

Cóż, takie jest życie. Właśnie dlatego Lisa była naczelną, a Ashling murzynem od czarnej roboty. Poza tym Lisa się przeraziła wręcz śmiertelnie, kiedy Jack powiedział jej o sytuacji z reklamami. Strach zawsze sprawiał, że postępowała kłamliwie i bezlitośnie.

W tej chwili strach ściskający jelita nieco odpuścił. Wrodzony, natrętny optymizm Lisy oznaczał, że nie opuszczała jej nadzieja w sprawie znalezienia odpowiednich reklamodawców. Problem w tym, że to Lisa była narażona na odstrzał, a nie kto inny. Gdyby magazyn upadł, jej życie dobiegłoby końca, życie Ashling nie, i tyle. No dobra, wszyscy uważali ją za sukę, ale nie mieli pojęcia, pod jaką presją pracuje.

Wydmuchowała kłęby dymu – wspomnienie zaszokowanej twarzy Ashling ją przygnębiało, czuła się przez to lekko parszywie.

Dotąd zawsze potrafiła kontrolować swoje emocje. Łatwo było je podporządkować najwyższemu dobru, czyli pracy. Lepiej, żeby odzyskała panowanie nad sobą.

16

Codziennie przychodziły zaproszenia na promocje dla prasy – od nowych rodzajów cieni do powiek do otwarcia sklepów. Lisa i Mercedes bezlitośnie dzieliły je między sobą. Lisa, jako naczelna, wybierała najlepiej. Jednak Mercedes, redaktorka działu mody i urody, też załapała się na parę niezłych promocji. Ashling, niczym Kopciuszek zostawała, by pilnować interesu, a Trix była zbyt nisko w hierarchii, żeby mieć jakiegokolwiek szanse na pójście.

– Co się dzieje na takiej imprezie? – zapytała Lisę.

– Stoisz razem z gromadą innych dziennikarzy i paru sław – odparła Lisa.

– Rozmawiasz z ważnymi ludźmi, słuchasz prezentacji.

– Opowiedz, dokąd dziś idziesz.

Sklep o nazwie Morocco otwierał pierwszą filię w Irlandii. Lisa miałyby to gdzieś, od lat był otwarty w Londynie, ale irlandzki właściciel koncesji traktował to jako bardzo ważne wydarzenie. Na otwarcie w imponującym hotelu Fitzwilliam, kojarzącym się z Royaltonem, przylatywała z Londynu Tara Palmer Tompkinson.

– Będzie jedzenie? – dopytywała się Trix.

– Zazwyczaj jest. Koreczki. Szampan.

Lisa miała wielką nadzieję, że podadzą coś do jedzenia, bo rozpoczęła nową dietę – już nie dietę Siedmiu Krasnoludków, lecz Dietę Promocyjną. Mogła jeść i pić, ile dusza zapragnie, jednakże tylko na promocjach.

Wiedziała, jak ważna jest dobra figura, lecz nie chciała być niewolnicą tradycyjnej diety. Zamiast się katować, włączyła do swego sposobu odżywiania system ograniczeń i kar, dzięki czemu stojące przed nią wyzwania dietetyczne były zawsze nowe i interesujące.

– Szampan! – Z przejęcia głos Trix stał się tak szorstki jak głos Dona Corleone.

– O ile nie chodzi o firmę niskobudżetową ale wówczas nie ma ona co liczyć na dostęp do czasopism. Potem dostajesz torbę z gratisami i wychodzisz.

– Torbę z gratisami! – Trix aż pojaśniała na myśl o czymś za darmo. – Jakimi gratisami?

– Zależy – odparła Lisa ze zblazowaną miną. – Od firmy kosmetycznej zazwyczaj dostaje się rzeczy z najnowszej kolekcji kolorówki.

Trix aż pisnęła z zachwytu.

– W takim sklepie jak ten to pewnie torebka...

– Torebka! – Trix od lat nie miała darmowej torebki, a dokładnie odkąd zaczęli je zabezpieczać elektronicznie.

– Albo top.

– Mój Boże, szczęściara z ciebie! – Trix aż podskoczyła. Po długiej, znaczącej przerwie zasugerowała przesadnie niewinnym tonem. – Powinnaś wziąć ze sobą Ashling. – Porządek dziobania był taki, że Trix nie miała nawet co marzyć o pójściu w takie miejsce, jeśli wcześniej nie zrobiłaby tego Ashling. – W końcu to twoja zastępczyni. Powinna wiedzieć, jak się zachować, gdybyś kiedyś zachorowała.

– Ale... – Na oliwkowej twarzy Mercedes pojawił się niepokój wywołany sugestią, że ktoś inny mógłby się wepchnąć na ten uświęcony teren.

Oczywisty niepokój Mercedes plus resztki wyrzutów sumienia wobec Ashling ułatwiły Lisie decyzję.

– Dobry pomysł, Trix. W porządku, Ashling, możesz dziś ze mną iść. To znaczy, jeśli chcesz – dodała nieszczercze.

Ashling nigdy nie umiała długo chować urazy. Zwłaszcza gdy w grę wchodziły gratisy.

– Czy chcę? – Rozczarowała samą siebie okrzykiem: – Z rozkoszą! Lisa zjadła w Clarence lunch z popularną autorką którą usiłowała przekonać do pisania felietonów w piśmie. Powiodło się. Nie tylko kobieta zgodziła się je pisać za śmiesznie niskie wynagrodzenie i regularne reklamy jej książek, ale Lisa zdołała wyjść z lunchu bez szkody. Mimo że energicznie grzebała widelcem w talerzu, zjadła tylko pół pomidorka i jeden kęs ekologicznego kurczaka.

W triumfalnym nastroju wróciła do pracy i właśnie przeglądała maile, kiedy przy jej biurku stanęła Ashling, z torebką w dłoniach i w zakiecie.

– Liso – powiedziała. – Jest wpół do trzeciej, a zaproszono nas na trzecią. Idziemy?

Lisa parsknęła sardonicznym śmiechem.

– Zasada numer jeden – nigdy nie przychodź na czas. Wszyscy to wiedzą! Jesteś zbyt ważna.

– Naprawdę?

– Udawaj. – Lisa powróciła do lektury. Po chwili znowu uniosła wzrok i ujrzała, że Ashling nadal się w nią wpatruje.

– Na litość boską! – wykrzyknęła Lisa, gorzko żałując, że w ogóle zaprosiła Ashling.

– Przepraszam, po prostu się boję, że wszystko zniknie.

– Jakie wszystko?

– Koreczki i torby z gratisami.

– Nie wyjdę stąd przed trzecią. To moje ostatnie słowo. Kwadrans po trzeciej Lisa wyciągnęła spod biurka swoją torebkę

Miu Miu i rzuciła do roztrzęsionej Ashling:

– Chodź!

Podróż taksówką przez zapchane ulice trwała tak długo, że nawet Lisa zaczęła się obawiać, że znikną koreczki i torby.

– Co znowu? – warknęła z irytacją, kiedy policjant wyciągnął ku nim mięsistą łapę, dając do zrozumienia, że powinni się zatrzymać.

– Kaczki – odparł taksówkarz lakonicznie.

Podczas gdy Lisa zastanawiała się, czy „kaczki” oznaczają w dublińskim slangu „cholera”, Ashling wykrzyknęła:

– Popatrz, kaczki!

Przed zdumionymi oczyma Lisy na jezdni ukazała się mama kaczka i sześć kaczątek. Dwaj policjanci zatrzymali cały ruch uliczny, żeby kacza rodzina mogła w spokoju przejść na drugą stronę. Lisa nie mogła uwierzyć w to, co widziała!

– Tak się dzieje co roku. – Oczy Ashling błyszczały. – Kaczki wysiadują piskłętą na kanale, a kiedy małe podrosną, idą do jeziora na Stephen's Green.

– Całe setki. Całkiem blokują ruch. Wkurwiają strasznie – dodał zadowolony taksówkarz.

– Pieprzone miasto... – westchnęła Lisa.

Kiedy Lisa i Ashling wysiadły przed hotelem Fitzwilliam, było chłodno i wietrznie. Po zeszłotygodniowych upałach pozostało jedynie wspomnienie.

– Jedno woskowanie nie czyni wiosny – powiedziała ze smutkiem Ashling. Znów włożyła spodnie, letnia spódnica ujrzała światło dzienne tylko na jeden dzień. Po chwili Ashling zapomniała o pogodzie i z podnieceniem trąciła łokciem Lisę. – Patrz, to ta twoja babka, jak jej tam? Tara Palmiara Trąbkipompki.

W rzeczy samej, Tara Palmiara Trąbkipompki paradowała po chodniku przed hotelem, otoczona tłumem fotografów, bez przerwy pstrykających jej zdjęcia.

– Wystaw troszkę nóżkę, grzeczna dziewczynka – powtarzali.

Ashling zeszła na jezdnię, żeby ominąć tłum, ale Lisa weszła w gromadę fotografów.

– Kto to? – usłyszała Ashling. Nagle Lisa wykrzyknęła:

– Taaaaaro, skarbie, nie widziałam cię od wieków! – Chwyła Tarę, cmoknęła powietrze przy jej policzku, po czym obróciła się razem z nią i upozowała wdzięcznie do kamery. Fotografowie najpierw zamarli, a potem zaczęli pstrykać zdjęcia kobiecie o złocistej skórze i karmelowych włosach, przytulonej do Tary.

– Lisa Edwards, naczelną pisma „Irlandka” – mówiła Lisa, chodząc wśród fotografów. – Lisa Edwards. Lisa Edwards. Jestem starą przyjaciółką Tary.

– Skąd znasz Tarę Palmiarę? – spytała z podziwem Ashling, kompletnie ignorowana przez fotografów.

– Nie znam. – Ku zaskoczeniu Ashling, Lisa uśmiechnęła się szeroko. – Ale to zasada numer dwa – nie dopuść do tego, żeby prawda przeszkodziła ci w opowiedzeniu dobrej historii.

Lisa wśliznęła się do hotelu, Ashling dreptała za nią. Powitało je dwóch przystojnych młodzieńców. Pomogli Ashling zdjąć żakiet. Lisa jednak nie zamierzała rozstawać się ze swoim okryciem.

– Pozwól, że zapoznam cię z zasadą numer trzy – wymamrotała kąśliwie w drodze do sali, gdzie odbywało się przyjęcie. – Nigdy nie zdejmuj okrycia. Musisz sprawiać wrażenie niesłychanie zajętej. Wpadłaś tylko na kilka minut i masz o wiele bardziej interesujące sprawy do załatwienia.

– Przepraszam – odparła z pokorą Ashling. – Nie miałam pojęcia.

Weszły do sali, a tam chuda jak patyczak kobieta ubrana od stóp do głów w ciuchy z letniej kolekcji Morocco ustaliła ich tożsamość i podsunęła księgę gości. Lisa niedbale nagryzmoliła kilka słów, po czym wręczyła długopis rozpromienionej Ashling.

– Ja też? – pisnęła Ashling z niedowierzaniem. Lisa wydeła wargi i ostrzegawczo pokiwała głową.

– Przepraszam – wyszeptała Ashling, ale nie mogła się powstrzymać od starannego wykaligrafowania słów: „Ashling Kennedy, zastępca redaktora naczelnego, pismo »Irlandka«”.

Lisa przejechała starannie wymanikiurowanym paznokciem po liście nazwisk.

– Zasada numer cztery – zajrzyj do księgi gości, żeby sprawdzić, kto przyszedł.

– Żeby wiedzieć, kogo poznać? – domyśliła się Ashling. Lisa spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Nie! Żeby wiedzieć, kogo unikać.

– A kogo powinniśmy unikać?

Lisa z pogardą rozejrzała się po pomieszczeniu pełnym sępów z innych czasopism.

– Prawie wszystkich – odparła.

Ale przecież Ashling chyba powinna to wszystko wiedzieć? Nagle do Lisy dotarło, że jej zastępczyni nie ma o niczym pojęcia. Zaniepokojona, wyszeptała:

– Nie mów mi tylko, że nigdy dotąd nie byłaś na promocji? Przecież pracowałaś w „Babskim Kąciku”.

– Niezbyt często nas zapraszano – przyznała Ashling. – No i nigdy na takie przyjęcia jak to. Chyba nasze czytelniczki były zbyt wiekowe dla reklamodawców. A kiedy już dostawaliśmy zaproszenie na prezentację nowych worków stomijnych albo projektu domu starców z całodobową opieką, niemal zawsze chodziła tam Sally Healy.

Ashling nie dodała jednak, że Sally Healy była okrągłą, mamusiową kobietą, zaprzyjaźnioną ze wszystkimi. Nie czuła potrzeby rywalizacji i nie stosowała się do dziwnych, agresywnych zasad Lisy.

– Zobacz... – Oniemiała Ashling wskazała ręką wysokiego, podobnego do barbiowego Kena mężczyznę. – To Marty Hunter, prezydent telewizyjny.

– Mam déjà vu – prychnęła Lisa. – Wczoraj był na prezentacji Bailey'a, a w poniedziałek na MaxMarze.

To zamknęło usta Ashling. Bardzo wiele obiecywała sobie po tym wieczorze. Chciała oprowadzić Lisę i udowodnić jej swoją przydatność. Spodziewała się też, że zyska choć odrobinę szacunku przełożonej, prezentując znajomość słynnych Irlandczyków – znajomość, na jaką Lisa, jako Angielka, raczej nie miała szans. Jednakże Lisa znajdowała się lata świetlne przed nią.

Już dała sobie radę w nowej sytuacji, a niezręczne próby pomocy w wykonaniu Ashling tylko ją irytowały.

Pędząca kelnerka zatrzymała się przed nimi i wyciągnęła tacę. Jedzenie miało być marokańsko–tematyczne: kuskus, kielbaski Merguez, koreczki z jagnięciną. O dziwo, do picia podano wódkę, nieszczególnie marokańską, ale Lisa miała to gdzieś. Jadła, co się dało, jednak nie mogła się rozszaleć, bo ciągle rozmawiała z ludźmi, a Ashling nieśmiało dreptała za nią. Energiczna i czarująca Lisa zjednywała sobie wszystkich jak profesjonalistka – choć nie bez niespodzianek.

– Te same twarze – westchnęła do Ashling. – Irlandzkie barachło dziennikarskie – większość tych żalonych frajerów przyszłaby nawet na otwarcie puszek z fasolką. Co mi przypomina o zasadzie numer pięć: wykorzystaj fakt, że masz na sobie żakiet, jako pretekst do ucieczki. Kiedy ktoś zaczyna cię nudzić, zawsze możesz powiedzieć, że idziesz do szatni.

Po pomieszczeniu spacerowało kilka wielkookich modelek, a ich identyczne, niedojrzałe ciała przyobleczone były w ciuchy z Morocco. Co jakiś czas dziewczyna od PR–u wyciągała jedną z nich przed oblicza Ashling i Lisy, które miały wznosić okrzyki zachwytu. Czerwona z zażenowania Ashling robiła, co mogła, ale Lisa ledwie raczyła rzucić okiem na modelki.

– Mogło być gorzej – przyznała, gdy kolejna nastolatka podskakiwała i kręciła się przed nimi, po czym odchodziła. – Przynajmniej to nie kostiumy kąpielowe. Tak się zdarzyło na pewnym eleganckim przyjęciu w Londynie – usiłowałam jeść, podczas gdy sześć dziewczuch machało mi pośladkami i cycami nad talerzem. Błę. – A następnie powiedziała Ashling to, co Ashling sama zaczęła sobie uświadamiać. – Zasada numer – który to już? – sześć. Nic za

darmo. Jeśli wdepniesz w taką imprezę jak ta, musisz znieść nachalną reklamę. Nie, to ten straszny facet z „Sunday Times”, uciekajmy stąd.

Ashling była wstrząśnięta faktem, że Lisa kojarzy niemal wszystkich na prezentacji. Mieszkała w Irlandii od niespełna dwóch tygodni, a najwyraźniej poznała już – i zlekceważyła – niemal całą śmietankę towarzyską.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem Lisa dyskretnie krążyła po sali w szpilkach od Jimmy'ego Choo. Czy kogoś przegapiła? Nagle ujrzała niebrzydkiego młodzieńca w zbyt nowym garniturze, który przestępował z nogi na nogę.

– Kto to taki? – zapytała, ale Ashling nie potrafiła jej powiedzieć. – Dowiedzmy się, co?

– Jak?

– Spytajmy go. – Lisa wydawała się rozbawiona zdumieniem Ashling.

Z szerokim uśmiechem i błyskiem oku Lisa podeszła do chłopca, a Ashling drobila gdzieś z tyłu. Z bliska widziała pryszczę na jego młodzieńczym podbródku.

– Lisa Edwards, „Irlandka”. – Wyciągnęła smukłą, opaloną dłoń.

– Shane Dockery. – Wsadził palec pod zbyt opięty kołnierzyk.

– Z Laddz – dokończyła Lisa.

– Słyszała pani o nas? – wykrzyknął. Nikt inny na tej imprezie nie miał pojęcia, kim był.

– Jasne. – Lisa widziała wzmiankę o zespole w jednej z niedzielnych gazet i spisała sobie nazwiska członków, razem z innymi, które mogły się na coś przydać. – Jesteście nowym boysbandem. Zdobędziecie sławę większą niż Take That.

– Dzięki – wymamrotał z entuzjazmem nowicjusza. Doszedł do wniosku, że może jednak warto było wbijać się w te okropne ciuchy.

– Widzisz? – mruknęła Lisa, kiedy odeszły. – Zapamiętaj sobie, że bardziej boją się ciebie niż ty ich.

Ashling z zadumą pokiwała głową, a Lisa udzieliła sobie pochwały za własną wyrozumiałość i życzliwość, zapewne wywołane wódką pochłanianą przez nią w wielkich ilościach. A skoro o wódce mowa...? Natychmiast u jej boku pojawiła się kelnerka.

– Wódka to nowa woda. – Lisa uniosła szklaneczkę. Kiedy zjadła i wypila już to, co trzeba, nadeszła pora, by wracać.

– Do widzenia. – Lisa przemknęła obok patyczaka przy drzwiach.

– Dziękujemy – powiedziała Ashling z uśmiechem. – Ubrania były urocze, czytelniczki „Irlandki” z pewnością się w nich zakochają... Au! – wykrzyknęła, gdy ktoś bardzo mocno uszczypnął ją w ramię. Lisa.

– Dziękujemy za przyjście. – Patyczak wcisnął plastikową torbę w rękę Lisy. – Proszę przyjąć ten drobny podarunek.

– Dziękuję – odparła z roztargnieniem Lisa.

Druga paczka trafiła w drżące dłonie Ashling. Z twarzą rozjaśnioną szczęściem wbiła paznokiec w plastik, żeby go rozerwać. Znowu jęknęła, czując jeszcze jedno uszczypnięcie.

– Eee... dziękuję. – Niestety, lekki ton jej nie wyszedł.

– Nie dotykaj – syknęła Lisa, gdy szły przez hol po żakiet Ashling. – Nawet na to nie patrz. I nigdy nie mów tym od PR, że o nich napiszesz. Zgrywaj nieprzystępną!

– To pewnie zasada numer siedem – oświadczyła nadąsana Ashling.

– Zgadza się.

Po wyjściu z hotelu Ashling zerknęła najpierw na Lisę, a potem na prezent.

– Jeszcze nie.

– A kiedy?

– Kiedy dotrzemy do rogu. Bez pośpiechu! – dodała Lisa, gdy Ashling niemal zaczęła biec.

– Teraz! – oznajmiła Lisa w chwili, gdy znalazły się za rogiem. Obie rozdarły plastik na opakowaniach. Dostały po podkoszulku ozdobionym napisem Morocco.

– Podkoszulek! – prychnęła z pogardą Lisa.

– Jest piękny – oświadczyła Ashling. – Co zrobisz ze swoim?

– Odniosę do sklepu. Wymienię na coś przyzwoitego.

Następnego dnia zarówno „Irish Times” i „Evening Herald” zamieściły na pierwszej stronie zdjęcie ściskających się Tary i Lisy.

17

Za piętnaście siódma w sobotni poranek Molly obudziła Clodagh. Ciosem w głowę.

– Wstawaj, wstawaj, wstawaj! – pokrzykiwała Molly z ożywieniem. – Craig piecze ciasto.

Czasem dzieci się przydają, pomyślała ze znużeniem Clodagh, zwlekając się z łóżka – od pięciu lat ani razu nie musiała nastawiać budzika.

Umówiła się dziś w mieście z Ashling, wybierały się na zakupy.

– Chyba im wcześniej, tym lepiej – zauważyła Ashling. – Unikniemy tłumów.

– Czyli o której?

- Koło dziesiątej.
- Dziesiątej?
- Może być jedenasta, jeśli dziesiąta to dla ciebie za wcześnie.
- Za wcześnie? Nie będę spała od kilku godzin.

Kiedy Clodagh posprzątała bałagan po pieczeniu ciasta, dała Craigowi miseczkę płatków. Nie chciał jeść, bo naląła do miseczki za dużo mleka. Postawiła na stole nową miseczkę, tym razem dokładnie odmierzając proporcje mleka i płatków. Potem podała Molly miseczkę pełną jaśków. Kiedy Craig zobaczył, co je siostra, nie chciał zjeść swoich płatków i twierdził, że są trujące. Wałąc łyżką o stół i rozlewając mleko, domagał się jaśków. Clodagh wytarła mleko z policzka, otworzyła usta, by wygłosić przemowę o tym, że już dokonał wyboru i musi się z tym pogodzić, ale nagle zrobiło jej się wszystko jedno. Wzięła jego miseczkę, wylała zawartość do zlewu i ponuro postawiła przed nim pudełko z jaškami.

Radość Craiga prysła. Wcale nie chciał jaśków. Zdobyć ich przyszło mu zbyt łatwo, nie tak to miało wyglądać.

Kiedy Clodagh usiłowała się przygotować do wyjścia na miasto, dzieci najwyraźniej wyczuły, że matka próbuje im się wymknąć. Były bardziej przylepne i wymagające niż zawsze, a kiedy poszła wziąć prysznic, uparły się, że będą jej towarzyszyły.

– Pamiętam czasy, kiedy to ja wchodziłem z tobą pod prysznic – zauważył żartobliwie Dylan, kiedy wyszła z łazienki, usiłując się wytrzeć, a dzieci przytulały się do niej.

– Taaak – odparła nerwowo. Nie chciała, żeby przypominał sobie, jakie namiętne życie intymne kiedyś prowadzili. Mógłby zażądać zwrotu pieniędzy. Albo, co gorsza, próbować do tego wrócić.

– Masz, wytrzymaj ją. – Popchnęła ku niemu Molly. – Spieszę się.

Kiedy Clodagh wyjeżdżała swoją micrą z podjazdu, Molly stanęła w drzwiach domu.

– Ja chcę jechać! – zawyła z takim bólem w głosie, że niektórzy z sąsiadów pobiegli do okien, aby sprawdzić, kogo mordują.

– Ja też! – dołączył do niej Craig. – Wracaj, mamusiu, wracaj!

Złośliwe gówniarze, pomyślała Clodagh, pędząc drogą. Przez większość tygodnia dzieci powtarzały jej, jak bardzo jej nienawidzą, jak chcą do tatusia, a w chwili, gdy usiłowała wykroić ze dwie godzinki dla siebie, nagle stawała się atrakcją miesiąca. I zawsze wpędzały ją w poczucie winy.

Kwadrans po dziesiątej Ashling i Clodagh zjawily się pod centrum handlowym w Stephen's Green. Żadna z nich nie przeprosiła. Według irlandzkich standardów wcale się nie spóźniły.

– Co ci się stało w oko? – spytała Ashling. – Wyglądasz jak ten gość z *Mechanicznej pomarańczy*.

Zaniepokojona Clodagh zaczęła szukać lusterka w torebce. Przy okazji wypadła z niej plastikową zabawka Molly.

– Proszę. – Ashling podała jej własne lusterko.

– To mój makijaż. – Uświadomiła sobie Clodagh, przeglądając się w lusterku. – Umalowałam tylko jedno oko. Kiedy Craig zobaczył, że się maluję, kazał sobie pomalować oko i wtedy zapomniałam o drugim... Ale chyba Dylan powinien był mi powiedzieć! Czy on w ogóle jeszcze na mnie spogląda?

Na wzmiankę o Dylanie Ashling poczuła się niezręcznie. Miała się z nim spotkać w poniedziałek wieczorem na szybkiego drinka, jak sobie zażyczył, i z jakiegoś powodu dziwnie by się czuła, mówiąc o tym Clodagh. I dziwnie by się czuła, zatajając to przed nią. Jednak zanim to rozgryzła, wiedziała, że musi

trzymać buzię na kłódkę. Być może Dylan planował jakieś niespodziewany wyjazd dla Clodagh – nie po raz pierwszy.

– Coś tu mam. – Ashling wyciągnęła maskarę i eyeliner z torebki.

– Wybawicielko. – Clodagh zaśmiała się. – Hej! Maskara Chanel?

Poważnie?

Lekko zakłopotana Ashling rozpromieniła się z dumą.

– To ta moja nowa praca. Dostałam maskarę za darmo.

Przez chwilę Clodagh nie mogła się ruszyć. Przełknęła ślinę, w jej uszach zabrzmiało to wyjątkowo głośno.

– Za darmo? Jak to?

Wtedy Ashling zaczęła snuć skomplikowaną opowieść o tym, jak ktoś o imieniu Mercedes pojechał do Donegal, a ktoś inny o imieniu Lisa był na przyjęciu dobroczynnym, gdzie bratał się ze śmietanką towarzyską Dublina, a ktoś o imieniu Trix za bardzo przypominał spicetkę, żeby iść, więc Ashling musiała reprezentować „Irlandkę” na pokazie jesiennego makijażu Chanel. No i przy wyjściu dali jej torbę gratisów.

– Cudownie – powiedziała głucho Clodagh. Popatrzyła na zachwycony uśmiech Ashling i pomyślała, że faktycznie jest cudownie. Tylko co się stało z jej własnym życiem?

– Chodź, idziemy zaszaleć – powiedziała Ashling.

– Od czego zaczniemy?

– Wszystko jedno. Moje cudowne, wyszczuplające spodnie zrobiły się trochę opięte i zamierzam je czymś zastąpić... Chociaż nie liczę na wiele – przyznała smętnie.

– Czemu? Kiepski horoskop? – zażartowała Clodagh.

– Nie najgorszy, mądralo, ale to bez znaczenia. Gdy tylko znajduję coś, co mi się podoba, od razu zdejmują to z wieszaków. A potem okazuje się, że już nie jest produkowane.

W kolejnym sklepie, gdy Ashling mierzyła parę za parą rozczarowujących spodni, Clodagh wędrowała wzdłuż rzędów ubrań. Nie mogła sobie wyobrazić siebie w żadnym z nich.

– Patrz, jakie krótkie sukienki! – wykrzyknęła, po czym umilkła. Czy naprawdę to powiedziała?

– Niezły tekst w ustach kobiety, która kiedyś włożyła poszewkę na poduszkę jako spódnicę.

– Naprawdę?

– Poza tym to nie sukienki. – Ashling dopiero teraz dostrzegła to, na co patrzyła Clodagh. – To tuniki. Nosi się je na spodnie.

– Kompletnie wypadłam z obiegu – oświadczyła posepnie Clodagh. – To przebiega całkiem niezauważalnie, nagle zaczynasz szukać stroju, na którym nie będzie widać rzygowin... Przyjrzyj mi się – westchnęła, pokazując swoje czarne dzwony i dżinsową kurtkę.

Ashling ze smutkiem wykrzywiła usta. Clodagh może nie była królową wybiegów, ale Ashling dałaby wszystko, by wyglądać tak jak przyjaciółka – zgrabne nogi, wąska talia podkreślona dopasowaną kurteczką, długie, gęste włosy niedbale spięte w kok.

– Widzisz tę zieleń? – Clodagh pokazała miętowy top. – Możesz to sobie wyobrazić w niebieskim kolorze?

– Uhm – skłamała Ashling. Podejrzewała, że to ma coś wspólnego z wystrojem wnętrza.

– Właśnie na taki kolor wytapetujemy salon. – Clodagh wyjaśniała. – Tapety przywiozą w poniedziałek, nie mogę się doczekać.

– Tak szybko? Przecież dwa tygodnie temu dopiero zaczęłaś o tym mówić.

– Postanowiłam pójść za ciosem. Ta cholerna terakota mnie wkurza, więc powiedziałam dekoratorom wewnątrz, że to nagły wypadek.

– A mnie się ta terakota bardzo podobała – oświadczyła Ashling. Do niedawna Clodagh twierdziła dokładnie to samo.

– A mnie nie – powiedziała stanowczo Clodagh i znów zaczęła oglądać ubrania, zdecydowana, by coś dla siebie znaleźć. W końcu w Oasis kupiła obcisłą sukienkę, tak krótką i przezroczystą, że zdaniem Ashling nawet Trix by jej nie włożyła – a to już o czymś świadczyło.

– Kiedy ją włożysz? – zapytała ze zdumieniem Ashling.

– Nie wiem. Na odprowadzanie Molly do przedszkola albo odbiór Craiga z zajęć malarstwa. Posłuchaj, mam ochotę ją kupić, OK?

Ze złością zapłaciła kartą kredytową, na której widniał podpis pani Clodagh Kelly. Ashling poczuła ukłucie bólu – mogła bez pudła założyć, że to zazdrość. Clodagh nie pracowała, ale nigdy nie brakowało jej pieniędzy. Takie życie było chyba cudowne?

Znowu wyruszyły na łowy.

– Popatrz na te ogrodniczki! – Clodagh przebiegła na drugą stronę ulicy do snobistycznego sklepu z dziecięcymi ubrankami. – Molly będzie w nich ślicznie. Czy Craig nie wyglądałby bosko w takiej czapeczce baseballowej?

Gdy Clodagh wydawała na dzieci więcej niż na siebie, przestawały ją gnębić wyrzuty sumienia.

– Pójdziemy na kawę? – zaproponowała Ashling, kiedy minął szaf zakupów.

Clodagh wyraźnie się zawahała.

– Wolałabym iść na drinka.

– Dopiero wpół do dwunastej.

– Na pewno niektóre lokale otwierają o dziesiątej. Nie o to chodziło Ashling, ale wszystko jedno.

I tak oto, gdy dublińscy rozkoszowali się niespodziewanie słonecznym weekendem, popijając kawę mocca latte z dodatkowym espresso i udając, że są w Los Angeles, Ashling i Clodagh tkwiły w ponurym, męskim pubie, gdzie reszta klientów wyglądała jak ostrzeżenie ministra zdrowia na temat niebezpieczeństw picia bez umiaru. Ani jeden nie miał niepopękanych żyłek na nosie.

Ashling szczebiotała radośnie o swojej nowej pracy, o słynnych ludziach, których prawie poznała, o darmowym podkoszulku z Morocco, a samopoczucie Clodagh sięgnęło dna szklanki z ginem i tonikiem.

– Może znajdę sobie jakieś zajęcie – przerwała nagle. – Przecież po urodzeniu Craiga chciałam wrócić do pracy.

– To prawda. – Ashling знаła problem Clodagh, że nie okazała się jedną z tych superkobiet, które jednocześnie pracują na pełny etat i wychowują dzieci.

– Ale byłam niewiarygodnie wyczerpana – ciągnęła Clodagh. – Tyle się słyszy o mękach związanych z porodem, a nic nie przygotowuje człowieka na piekło bezsennych nocy. Byłam wiecznie niewyspana, budzenie się przypominało wychodzenie z narkozy. Nie dałabym sobie rady z żadną pracą.

Na szczęście firma Dylana prosperowała na tyle dobrze, że Clodagh nie była do tego zmuszona.

– A czy teraz masz czas na pracę? – spytała Ashling.

– Jestem bardzo zajęta – oświadczyła Clodagh. – Poza paroma godzinami w siłowni nigdy nie mam czasu dla siebie. A to wszystko jest takie bez znaczenia: muszę zmieniać zarzygane ubrania albo oglądać filmy wideo z Barneyem.... Chociaż – dodała z błyskiem w oku – z Barneyem skończyłam.

– Jak?

– Powiedziałam Molly, że zdechł.

Ashling ryknęła śmiechem.

– Powiedziałam jej, że przejechała go ciężarówka – ciągnęła ponuro Clodagh,

Uśmiech Ashling zniknął.

– Chyba... żartujesz?

– Naprawdę to zrobiłam – odparła szybko Clodagh. – Miałam dość tego fioletowego pierdoły i tych koszmarnych gówniarzy prawiących mi kazania, jak powinnam żyć.

– Co na to Molly?

– Poradzi sobie. Takie jest życie. Mam rację?

– Ale... ale ona ma tylko dwa i pół roku.

– Ja też jestem człowiekiem – oznajmiła wrogo Clodagh. – Mam swoje prawa. Barney doprowadzał mnie do szału, poważnie.

Ashling nie wiedziała, co o tym myśleć. Może jednak Clodagh miała rację. Każdy oczekuje, że matki poświęcą swoje własne pragnienia dla dobra dzieci. Może to wcale nie było sprawiedliwe.

– Czasem się zastanawiam, po co to wszystko – westchnęła ciężko Clodagh. – Moje dni wypełnia odwożenie Craiga do szkoły, a Molly do przedszkola, potem odbieram Molly z przedszkola, Craiga z zajęć origami... Jestem niewolnicą.

– Wychowanie dzieci to najważniejsza praca w życiu każdego człowieka – zaprotestowała Ashling.

– Ale ja już właściwie nie rozmawiam z dorosłymi. Tylko z innymi matkami, i wszystkie rywalizujemy ze sobą. No wiesz, „Mój Andrew jest o wiele bardziej gwałtowny niż pani Craig”. Craig nigdy nikogo nie bije, podczas gdy cholerny Andrew Higgings to mały Rambo. To takie upokarzające! – Ponuro popatrzyła na Ashling. – W czasopiśmie widzę artykuły o rywalizacji w pracy, ale to pestka w porównaniu z tym, co się dzieje w kręgu mam małych dzieci.

– Jeśli to jakaś pocięcha, powiem ci, że przez cały tydzień chorowałam ze strachu, bo kazano mi napisać reportaż o szkole salsy – powiedziała usłużnie Ashling. – Naprawdę nie mogłam spać po nocach. Ty nie musisz się przejmować takimi rzeczami. – Żeby jakoś pocieszyć przyjaciółkę, Ashling dodała cicho: – No i masz Dylana.

– Wiesz, małżeństwo to nie taka sielanka.

Ashling wcale nie była przekonana.

– Rozumiem, że musisz tak mówić. To zasada. Mężatkom po prostu nie wolno się przyznawać do tego, że szaleją za swoimi mężami, chyba że niedawno za nich wyszły. Zbierzmy gromadkę mężatek, a zaczną walczyć o to, która z większą pogardą będzie opowiadała o swoim mężu. „Mój zostawia brudne skarpety na podłodze”. „A mój nigdy nie zauważa, że zmieniłam fryzurę”. Chyba po prostu wstyd wam, że macie tyle szczęścia!

Na zalanej słońcem ulicy Ashling usłyszała znajomy wrzask:

– Salman Rushdie, Jeffrey Archer czy James Joyce? To była Joy.

– Co tu robisz tak wcześnie?

– Jeszcze się nie położyłam. – Joy z rezerwą skinęła głową Clodagh. Joy i Clodagh niezbyt się lubiły. Joy uważała, że Clodagh jest rozpuszczona, a Clodagh czuła niechęć do Joy za jej bliskość z Ashling.

– No już – upierała się Joy. – Salman Rushdie, Jeffrey Archer czy James Joyce?

– Joyce żywy czy rozłożony?

– Rozłożony.

Ashling się zamyśliła. Twarz Clodagh wyrażała całkowitą obojętność.

– James Joyce – zdecydowała w końcu Ashling. – A teraz ty – Gerry Adams, Tony Blair czy księżę Karol?

– Uch! – Joy aż się skrzywiła. – Na pewno nie Tony Blair. I nie księżę Karol. Czyli numer pierwszy.

Ashling popatrzyła na Clodagh.

– Twoja kolej.

– Co mam zrobić?

– Wybierz trzech okropnych mężczyzn i zdecyduj, z którym mamy się przespać.

– Ale po co?

Ashling i Joy popatrzyły na siebie. Faktycznie, po co?

– Bo to... hm... śmieszne.

– Muszę już iść. – Joy uratowała sytuację. – Zaraz umrę. Do zobaczenia później. O której idziemy do River Club?

– O dziewiątej spotykam się z Lisą.

- Masz tylu przyjaciół, których nie znam. – Clodagh patrzyła z niechęcią za Joy. – Ona i ten Ted. Jestem pogrzebana żywcem.
- No to czemu z nami nie pójdziesz? Wciąż cię zapraszam.
- Chyba mogę, co? Dylan powinien posiedzieć z dziećmi.
- Albo przyjść razem z tobą.

18

Ashling się myliła – Marcus Valentine do niej nie zadzwonił. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Przez cały tydzień sekretarka automatyczna w jej mieszkaniu była niczym odbezpieczona bomba. Kiedy Ashling wracała z pracy i widziała mrugające światełko, serce podchodziło jej do gardła. Ale, choć znowu Cormac zostawił wiadomość, że kontener na suche gałęzie będzie dostarczony we wtorek, a potem następną, że odbiorą go w piątek, Marcus Valentine milczał. W sobotni wieczór, kiedy Ashling wróciła do domu z zakupów z Clodagh, wiedziała, że już się nie odezwie.

Malując paznokcie (i skórę wokół nich) na jasnoniebiesko, na cześć występu w River Club, uświadomiła sobie, że istnieje niewielkie niebezpieczeństwo, iż Marcus zauważy ją na widowni. Miała nadzieję, że tak się nie stanie, naprawdę miała taką nadzieję. Na łóżku leżały dzisiejsze łupy – jasnoniebieskie rybaczki, sandały na wysokich obcasach, biała, wiązana w talii bluzka. Może nie powinna tego dzisiaj wkładać – skoro upiekło się jej z Marcusem, może nie powinna ładnie wyglądać.

Ale przypominałoby to odmrażanie sobie uszu na złość babci. Przecież będą tam inni ludzie, i to o nich powinna pamiętać.

Okolo dziewiątej przyszli Ted i Joy. Joy pochwaliła nowy, pastelowy styl Ashling, ale Ted wciąż szeptał z przejęciem.

– Moja sowa nie ma żony. Kurde, nie tak! Moja żona nie ma nosa! Nie. Cholera jasna! Równie dobrze możemy zostać w domu – powiedział płacząco. – Będę beznadziejny. Ludzie żywią teraz wobec mnie pewne oczekiwania. Za pierwszym razem było inaczej. Moja sowa nie ma nosa.

Ashling już dawała Tedowi kropelkę lekarstwa na język, wtarła mu też olejek lawendowy w skronie i wepchnęła w ręce modlitwę o spokój.

– Przeczytaj, a jeśli to nie pomoże, przejdziemy do dezyderatów.

– Dawaj Buddę na szczęście – wydyszał z sofy.

– Jak tam Człowiek–borsuk? – zapytała Ashling Joy, kiedy niosły posążek Tedowi.

– Mick ma się nieźle.

Sprawy musiały ruszyć z miejsca, skoro Joy nazywała go teraz prawdziwym imieniem. Pewnie wkrótce mieli razem odwiedzić centrum ogrodnicze,

Ted nieco się rozpogodził, kiedy potarł Buddę, wyciągnął dobrą kartę tarota i kazał sobie przeczytać horoskop (Ashling odczytała mu Barana, chociaż Ted był Skorpionem, ale Skorpionowi w tym tygodniu sprawy nie układały się aż tak różowo).

– Oboje macie się dzisiaj zachowywać przyzwoicie – ostrzegła przyjaciół Ashling. – Musicie być bardzo mili dla Lisy.

– Nie powinna uważać, że traktuję ją wyjątkowo – oświadczyła buńczucznie Joy.

– Czy to suka totalna? – spytał Ted.

– Nie aż tak. – A przynajmniej nie zawsze. – Ale jest zmienna. Cholernie zmienna. Idziemy.

Odstawieni, zeszli po schodach, rozmawiając z ożywieniem. Pokrzepiała ich świadomość, że w ten pogodny, sobotni wieczór przyszłość stoi przed nimi otworem. Z radością wyczekiwali tego, co ofiaruje im reszta życia.

Bezdomny chłopak siedział na chodniku, na swoim pomarańczowym kocu, który już nie był szczególnie pomarańczowy. Ashling pochyliła głowę – za każdym razem, gdy go widziała, czuła się w obowiązku dać mu funta i zaczynało ją to denerwować. Potem rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Wcale na nią nie patrzył, czytał książkę.

– Czekajcie chwilę. Chciałam... – Podeszła do niego.

– Cześć! – Podniósł wzrok, miło zaskoczony, jakby była jego od dawna niewidzianą przyjaciółką. – Dobrze wyglądasz. Idziesz gdzieś?

– A tak. – Wyciągnęła funta, którego nie przyjął.

– Dokąd?

– Na występ komika.

– Fajnie. – Pokiwał głową, jakby bez przerwy chodził na takie występy. – Którego?

– Marcusa Valentine'a.

– Słyszałem, że jest bardzo zabawny. – W końcu popatrzył na monetę w jej dłoni. – Odłóż to, Ashling. Nie chcę, żebyś dawała mi pieniądze za każdym razem, kiedy mnie widzisz. Zaczynasz się bać wychodzić z mieszkania.

Ashling wybuchnęła nerwowym śmiechem. Gdy schodziła ze schodów, zwykle modliła się w duchu, żeby go nie było.

– Skąd znasz moje imię? – zapytała, mile polectana.

– Nie wiem. Chyba twoi koledzy je wypowiedzieli.

Ashling zamilkła, gdyż przyszło jej do głowy coś dziwnego. W końcu zdołała wypowiedzieć to na głos.

– Jak masz na imię?

– Przyjaciele mówią mi Boo. – Uśmiechnął się do niej.

– Miło mi cię poznać, Boo – odparła automatycznie i zanim zdążyła się zorientować, potrząsała zniszczoną dłonią chłopaka.

Na jego kolanach leżała otwarta encyklopedia grzybów.

– Po co to czytasz? – Ashling była zdumiona.

– Nie mam nic innego. Musiała biec, żeby dogonić Joy i Teda.

– Jeszcze jeden przybłąda pod opieką Ashling – zauważył łobuzersko Ted. Trema sprzed dziesięciu minut całkiem go opuściła.

– Zamknij się.

Spróbuj wyobrazić sobie sobotnią noc na zimnej ulicy, z książką o grzybach.

19

Lisa miała nadzieję, że popchnie sprawy z Jackiem, zabierając go ze sobą na występ Marcusa Valentine'a. Pod pretekstem pracy mogliby się lepiej poznać na gruncie towarzyskim. Nie miała jednak okazji zasugerować mu tego, gdyż w stacji telewizyjnej nastąpił kryzys – znowu – i Jacka nie było w redakcji. Rozwiązywał problemy przez cały czwartek i piątek. Oznaczało to również, że nie mógł jej pogratulować zdjęcia w gazecie i niewielkiego zwiększenia popularności „Irlandki” jeszcze przed wydaniem pierwszego numeru. To ją wkurzało.

W sobotę zdołała zabić czas, kupując rzeczy do swojego „nowego” domu. Wprowadziła się poprzedniego wieczoru i była zdecydowana jakoś zamaskować tę wszechobecną sosnę. Poza tym jakieś zajęcie pozwalało jej kierować życiem prywatnym. Chociaż jak wszystko inne w tym okropnym

kraju, także i sklepy z wyposażeniem wewnątrz były żałośnie, przygnębiająco beznadziejne.

Nikt tu nie słyszał o japońskich żaluzjach z ryżowego papieru, zasłonach prysznicowych z kieszonkami i szklanych uchwytach do szafek w kształcie kwiatów. Zdołała znaleźć przyzwoitą pościel w kolorze ecru, ale nie we właściwym rozmiarze. Sprowadzenie podobnej z Anglii trwałoby całe wieki.

Potem wróciła do „domu” i musiała czekać pół godziny, aż nagrzej się woda na kąpiel. Tyle w kwestii naprawy regulatora czasowego przez Jacka. Wszyscy mężczyźni byli tacy sami – krowy, które dużo ryczą, mało mleka dają. Czasem wcale.

Rozgoryczona i zła po niesłuchanie rozczarującym dniem, nawet się ucieszyła, że idzie na występ Marcusa Valentine'a. Przynajmniej było to konstruktywne działanie. Odkąd otrzymała złą wiadomość o braku reklamodawców, czuła, że musi zapewnić pismu pierwszorzędne teksty.

Tuż po dziewiątej zjawiła się w River Club. Jak wszystko inne w Irlandii, i on okazał się rozczarowaniem – był mniejszy i bardziej obskurny, niż się spodziewała. No cóż, nie mógł się równać z K-Barem.

Nie miała pewności, czy zdoła wzbudzić zainteresowanie Marcusa Valentine'a, ale na wszelki wypadek włożyła strój, który zdawał się mówić: „Jestem zwykłą dziewczyna, a nie przerażającą suką z redakcji”. Postrzępione, haftowane dzinsy, tenisówki, podkoszulek z dekoltem. Choć zawsze nakładała sporo kolorowych kosmetyków, sztuka polegała na tym, że było to niewidoczne dla otoczenia. Wyglądała młodo, ładnie i przystępnie, całkiem jakby wciągnęła na grzbiet to, co akurat jej wpadło w rękę, a nie przez całą godzinę gapiła się w lustro (w sosnowej ramie), zastanawiając się nad efektem, jaki pragnie osiągnąć.

Rozglądała się po zatłoczonym pomieszczeniu w poszukiwaniu Ashling i jej kumpli, ale nikogo nie dostrzegła, więc poszła do baru i zamówiła cosmopolitan. Był to supermodny drink na bazie martini, podawany w K-Barze, Chinawhite i innych modnych londyńskich klubach.

– Co takiego? – spytał pyzaty, rumiany barman w obcisłej nylonowej koszuli.

– Cosmopolitan.

– Jeśli chodzi pani o to pismo, to parę kroków stąd jest kiosk – powiedział. – Tutaj sprzedajemy tylko drinki.

Lisa zastanawiała się, czy wytłumaczyć mu, jak to się przyrządza, ale uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia.

– Kieliszek białego wina – warknęła zirytowana. Może tego też nie będą mieli? Czyż będzie musiała pić ohydneho guinnessa?

– Chablis czy chardonnay?

– Aaa... Chardonnay.

Zapaliła papierosa i rozejrzała się po tłumie. Kiedy skończyła palić i pić, Ashling nadal nie było.

Może zegarek się jej popsuł. Lisa zobaczyła nieopodal grupkę młodych ludzi, wybrała najprzystojniejszego i zagadnęła go.

– Która godzina?

– Dwadzieścia po dziewiątej.

– Dwadzieścia po? – Było gorzej, niż myślała.

– Ktoś cię wystawił?

– Nie! Ale mieli przyjść o dziewiątej.

Chłopak usłyszał jej akcent.

– Jesteś Angielką?

Skinęła głową.

– Niedługo przyjdą. Na pewno przed dziesiątą. Ale widzisz, tutaj dziesiąta wieczór to tylko figura retoryczna.

Lisa poczuła, że demon wraca. Pierdzielony kraj. Nienawidziła go.

– Ale pogadamy z tobą, dopóki nie przyjdą – zaproponował z rycerskim uśmiechem chłopak. Wsadził palce do ust, gwizdnął przeraźliwie i zwabił przyjaciół, od których odszedł.

– Nie ma potrzeby... – spróbowała Lisa.

– Żaden problem – zapewnił ją. – Chłopaki – popatrzył na swoich pięciu kumpli – to... – Wskazał dłonią Lisę, czekając, aż się przedstawi.

– Lisa – powiedziała ponuro.

– Jest z Anglii. Jej kumple się spóźniają, a ona czuje się jak palant, stercząc tu sama.

– No to pogadaj z nami – zaproponował niski, mychowaty chłopak. – Kup jej drinka, Dylan.

– Irlandzka gościnność – mruknęła z pogardą Lisa.

Sześciu młodzieńców z zapalem pokiwało głowami. Jeśli jednak mieliby być szczerzy, przyznaliby, że ich zachowanie nie ma nic wspólnego z tradycyjną irlandzką gościnnością, za to dużo z karmelowymi włosami Lisy, jej zgrabną sylwetką i długimi, opalonymi nogami, które wystawały spod artystycznie postrzępionych džinsów. Gdyby Lisa była facetem, wgapiałyby się w swoje piwo, ignorowana przez wszystkich.

– Spokojnie, już są. – Ku swojej nieopisanej uldze, Lisa dostrzegła Ashling w drzwiach.

Gdy Ashling ujrzała Lisę, zadowolenie z nowych ubrań gdzieś przysło. Znow czuła się ociężała i nieważna. Nerwowo przedstawiła Lisie Joy i Teda.

Ku przerażeniu Ashling, Joy odwróciła się do Lisy i powiedziała, wyzywająco zadzierając brodę:

– Jim Davidson, Bernard Manning i Jimmy Tarbuck – musisz się z jednym przespać.

– Joy! – Ashling trąciła ją w bok. – Lisa to moja szefowa. Ale Lisie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Przez chwilę zastanawiała się głęboko.

– Jim Davidson – odparła. – Teraz moja kolej. – Des O'Connor... – Kompletnie zaskoczyła Joy. – ...Frank Carson albo... albo... Chubby Brown. – Lisa zmrużyła oczy z niegodziwą radością i patrzyła, jak Joy mruga.

Po chwili Joy westchnęła ciężko.

– Trudno, Des O'Connor. – Po chwili, gdy zajmowały miejsca, mruknęła do Ashling: – Nie jest taka zła.

Ted występował pierwszy i choć był to dopiero jego trzeci raz, miał już swoich zagorzałych zwolenników. Cała histeria u Ashling okazała się niepotrzebna.

– Moja sowa jest na Karaibach – wykrzyknął z miejsca.

– Na Jamajce? – odkrzyknęło mniej więcej pół tuzina typków wyglądających na studentów.

– Nie – odpowiedział Ted, a kilka osób dopowiedziało chórem razem z nim:

– Trafiła tam z własnej woli!

Ted dodał jeszcze mnóstwo nowych kawałów z sowami, a wszystkie były przyjmowane salwami śmiechu.

– Jakie są imprezy urządzone przez sowy? Huczne...! Jaką sowy mają cerę? Dziobatą! Jak sowa daje sobie radę na scenie? Odlatowo! I coś z polityki.

Co ma premier Irlandii? Masowe! Poparcie, rzecz jasna. Sowa, sowa, sowa, jak mawiał Szekspir.

Prawie wszyscy ryczeli ze śmiechu, lecz Lisa przejrzała Teda na wylot.

– Wiem, że to twój przyjaciel, ale on najwyraźniej nosi nowe szaty cesarza w postaci garnituru Hugo Bossa – oznajmiła bezlitośnie.

– Robi tylko po to, żeby znaleźć dziewczynę – wyjaśniła z pokorą Ashling.

– A, to co innego. – Lisa wiedziała, że cel uświęca środki.

Po Tedzie występowali dwaj inni komicy, a potem nadeszła pora na Marcusa Valentine'a. Atmosfera się zmieniła, w powietrzu czuć było ożywione wyczekiwanie. Kiedy w końcu znalazł się na scenie, widownia wpadła w histerię. Ashling i Lisa bardzo uważały na jego występie, ale z różnych powodów.

Jak na mężczyznę, Marcus Valentine był bardzo dziwnym komikiem. W jego występie nie pojawiły się żadne aluzje do masturbacji, kaca ani Ulrike Johnson. Niezwykłe. Zamiast tego zaprezentował się jako Człowiek Oszołomiony Współczesnością, czyli taka osoba, która wpada do supermarketu, bo skończyło jej się masło, po czym ją paraliżuje, gdyż nie potrafi wybrać między zwykłym masłem, margaryną, masłem z tłuszczem nienasyconym, masłem solonym, niesolonym, masłem o obniżonej zawartości tłuszczu, masłem o niskiej zawartości tłuszczu i tym, co wcale nie jest masłem, chociaż je udaje. Był uroczy i sympatyczny na swój piegowaty sposób. I miał bardzo fajne ciało. Ashling zauważyła to wszystko z dużym niepokojem.

Pośpiesznie przypomniawszy sobie powody, dla których skreśliła Marcusa Valentine'a. Jeden – jego entuzjazm. Nie ma nic seksownego w wesołych

oczach i braku cynizmu. Przykre to, ale prawdziwe. Dwa – piegi. Trzy – jego sympatia do niej. Cztery – głupie imię i nazwisko.

Ale kiedy tak się w niego wpatrywała, w jego długie nogi i szeroką pierś, uświadomiła sobie, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo pogwałcenia zasady dotyczącej mężczyzn na scenie. A do tego miał do niej zadzwonić i tego nie zrobił. Zabójcza mieszanka. Nie zrobię tego, powtarzała sobie, nie zrobię... Był to psychiczny ekwiwalent wsadzenia sobie palców w uszy i wrzeszczenia: „La la la la, nic nie słyszę...”

– Płatki śniegu – oświadczył Marcus, rozglądając się wesoło po widowni.

– Mówią, że nie ma dwóch identycznych.

Począł, aż minie trochę czasu, po czym ryknął:

– Ale skąd to wiedzą?

Kiedy ludzie skręcali się z radości, dodał ze zdziwieniem:

– Czy porównywali jeden płatek z drugim? Czy to sprawdzili?

Po czym przeszedł do następnego dowcipu.

– Chciałem się kiedyś umówić z pewną młodą damą – oświadczył zachwyconej widowni.

Może chodzi o mnie, pomyślała Ashling.

Przespacerował się po scenie, jakby głęboko zamyślony. Światła na suficie padały na twarde zarysy jego ud.

– Ostatnim razem, kiedy poprosiłem pewną panią o numer telefonu, powiedziała, że jest w książce. Problem polegał na tym, że nie znałem jej nazwiska, a kiedy o nie zapytałem, odparła... – Urwał i po idealnie odmierzonej przerwie dodał: – „Też jest w książce”.

Publiczność eksplodowała, ale był to współczujący śmiech, świadczący o tym, że nikt z widowni by tak nie postąpił.

– Postanowiłem wobec tego zmienić podejście. – Uśmiechnął się nieporadnie i serca wszystkich widzów zmiękły. – Pomyślałem, że będę jak Austin Powers i każę młodej damie zadzwonić do siebie. Napisałem nazwisko i numer na kartce, a potem zapytałem sam siebie, jak postąpiłby Austin Powers. – Zamknął oczy i dotknął palcami skroni, aby pokazać, że łączy się duchowo z Austinem Powersem. – I już wiedziałem. Zwoń moi! – oświadczył Marcus. – Uprzejme, zabawne, wyrafinowane. Jaka kobieta mogłaby mi się oprzeć? Zwoń moi!

Jestem sławna. Ashling miała histeryczną ochotę wstać i powiedzieć wszystkim, kim jest.

– I wiecie co? – Marcus rozejrzał się z miłym, gapowatym wyrazem twarzy. Nawiązał ścisły związek z każdym widzem. Wszyscy czekali w napięciu, przepelnieni uwielbieniem, kiedy przeciągał milczenie do granic możliwości, trzymając widownię w garści. – Nie zadzwoniła!

Bez wątpienia Marcus Valentine miał talent do udawania błyskotliwych frajerów.

Lisa zerwała się z miejsca w chwili, gdy Marcus opuścił scenę. Już wcześniej nie zgodził się na lunch z nią, gdy Trix zadzwoniła do jego agenta, ale teraz Lisa miała nadzieję, że maksimum pochlebstw i naczelna we własnej osobie pomogą mu zmienić zdanie. Ashling patrzyła, jak Lisa osacza Marcusa w kącie sceny. Zastanawiała się, czy powinna podejść. Nie chciała się do niego zbliżać, na wypadek gdyby ją wcześniej zauważył. A gdyby pomyślał... Ale Teda obiegły fanki, a Joy właśnie zobaczyła Człó... Micka rozmawiającego z inną kobietą i poszła obadać sprawę. Ashling posiedziała przez chwilę w samotności, po czym się podniosła.

Ze zdumieniem patrzyła na Marcusa, który z kolei patrzył na nawijającą Lisę. Lekko pochylił głowę i w dziwaczny sposób wykrzywił do dołu usta, co było uroczne. Kiedy Lisa skończyła, on zaczął mówić. Właśnie był w środku czegoś, co bardzo przypominało odmowę, kiedy dostrzegł Ashling i urwał.

– Cześć – wyszeptał i uśmiechnął się szeroko, patrząc jej ciepło w oczy. Całkiem, jakby coś nas łączyło, pomyślała zakłopotana Ashling. Pewnie uznał, że przyszedł tu specjalnie dla niego.

Mówił jeszcze przez chwilę, ale wciąż rzucał spojrzenia na boki, po czym na pożegnanie dotknął ramienia Lisy i podszedł do Ashling.

– Witaj ponownie.

– Witaj.

– Co tu robisz?

– Myślałam, że wystąpi Macy Gray – powiedziała, zerknąwszy na niego spod opuszczonych rzęs. Cholera, uświadomiła sobie. Flirtuję z nim.

Roześmiał się z uznaniem.

– Podobał ci się występ?

– Uhm – przytaknęła i znowu zrobiła sztuczkę z rzęsami.

– Dasz się kiedyś zaprosić na drinka?

To powinna być dla niej nauczka. Była jak królik złapany w świetle reflektorów, który ugryzł większy kęs, niż mógł przełknąć. W pewnym sensie.

Nie może mi się podobać tylko dlatego, że jest sławny i podziwiany. To by oznaczało, że jestem bardzo pusta.

– OK. – Jej głos postanowił zdecydować za nią. – Zadzwoń.

– A numer?

– Dałam ci.

– Na wszelki wypadek daj mi jeszcze raz.

Marcus zaczął przesadnie się poklepywać, jakby szukając kartki i długopisu.

Na szczęście Ashling miała w torebce komplet przyborów piśmienniczych. Napisała swoje nazwisko i numer telefonu na kartce wydartej z notesu.

– Będę tego pilnował jak skarbu. – Złożył kartkę i wepchnął ją do przedniej kieszeni spodni. – I nosił to na sercu – obiecał dwuznacznym tonem. – Idę teraz, ale zadzwonię.

Zmieszana swoim zachowaniem Ashling patrzyła, jak wychodził. Potem, świadoma, że Lisa spogląda na nią z rozbawieniem, uciekła do toalety dla pań. Dostęp do umywalki torowała jej drobna dziewczyna o dramatycznych oczach, która stała przed lustrem, poprawiała kreskę, żeby wyglądać jeszcze dramatyczniej. Kiedy Ashling odkręciła wodę, dramatyczna dziewczyna odwróciła się do swojej wyższej przyjaciółki leniwie kładącej na usta jedną warstwę jaskraworóżowego błyszczyku za drugą, i powiedziała:

– Frances, nigdy w to nie uwierzysz, ale to ja nią jestem.

– Jaką nią?

– Dziewczyną, której Marcus Valentine dał karteczkę z napisem: „Zwoń moi”.

Ashling wzdrygnęła się gwałtownie, ochlapując wodą swoje ubranie. Nikt nie zauważył.

Frances odwróciła się powoli, z niedowierzaniem, a jej ręka z błyszczkiem zamarła na ustach. Dramatyczna dziewczyna dodała:

– To było na Gwiazdkę w zeszłym roku, staliśmy obok siebie w dwugodzinnej kolejce po taksówkę.

– I dlaczego nie dzwoniłaś? – Frances opuściła błyszczący i z zapalonym potrzęsła dramatyczną przyjaciółką. – Jest taki słodki. Słodki!

– Myślałam, że to jakiś piegowaty palant.

Frances przyglądała się niższej dziewczynie przez dłuższy czas, i w końcu wydała wyrok.

– Coś ci powiem, Lindo O'Neill. Zasłużyłaś na swojego pecha, naprawdę. Już nigdy nie będę cię żałowała.

Ashling, wciąż myjąc ręce jak w ostatnim stadium nerwicy natręctw, była absolutnie zafascynowana. Przez całe życie szukała Znaków, a jeśli to nie był Znak, to już nie wiedziała, co może nim być. Niebiańska wyrocznia podpowiadała jej, żeby dać szansę Marcusowi Valentine. Nawet jeśli wręczał karteczki „Zwoń moi” jak ulotki reklamowe, miała co do niego dobre przeczucia. Bardzo dobre przeczucia.

Kiedy Ashling wyłoniła się ponownie, Lisa już zamierzała wyjść. Skoro zdobyła to, czego chciała, nie było powodu dalej się szwendać po tym tandetnym klubie.

– Na razie, do zobaczenia w poniedziałek w pracy – powiedziała Ashling, niezręcznie, niepewna, czy może sobie pozwolić na jakąkolwiek poufałość.

Lisa z zadowoloną miną przepychała się przez tłum. Nieźle poszło. Widok Marcusa Valentine'a upewnił ją, że warto go zdobyć dla pisma. Chociaż nie będzie to łatwe. W rzeczywistości wcale nie był prostoduszny, ale dość cwany i śliski jak piskorz. Lisa podejrzewała, że nie miał nic przeciwko pisaniu felietonu *per se*, jednak zależało mu na gazecie dobrej jakości. Aby zwyciężyć w tym starciu, zamierzała nawciskać mu pierdół na temat możliwego wykorzystania jego felietonu w światowej sieci publikacji Randolph Media.

No i niespodzianka – Ashling najwyraźniej wpadła mu w oko. We dwie na pewno dadzą sobie radę. Felieton miała już w kieszeni.

Należało się jednak śpieszyć, zanim facet puści Ashling w trąbę. Bo puści – Lisa знаła ten typ mężczyzn. Wystarczy dać byle wypłoszowi szansę zrobienia kariery na estradzie, a on z pewnością nie oprze się pokusie używania sobie z przygodnymi fankami.

Mogło się zrobić nieciekawie – Ashling wyglądała na jedną z tych żalonych kobiet, którym nietrudno złamać serce, a Lisa obecnie absolutnie nie potrzebowała zastępczyni, która wariuje z miłości. Nie mogła zrozumieć słabych ludzi, którzy się załamywali. Jej by się to nigdy nie przytrafiło. Rzecz jasna, wszystko opierało się na założeniu, że Ashling umówi się z Marcusem. Może mu odmówi, i kto mógłby mieć jej to za złe? Zdaniem Lisy Marcus był odrażający. Te piegi! Rozbawianie sali pełnej wstawionych ludzi nie sprawiło, że piegi zniknęły.

– Cześć, Lisaaa, Na razie, Lisaaa. – Młodzieńcy, którzy wcześniej „zaopiekowali się” Lisą, machali teraz do niej. – Cześć!

Ku swojemu zdumieniu, uśmiechnęła się do nich.

Przy drzwiach minęła Joy kłócącą się z mężczyzną z siwym pasmem pośrodku długich, czarnych włosów. Powodowana dzikim kaprysem, Lisa wyszeptała:

– Russ Abbott, Hale czy Pace? Musisz przespać się z jednym z nich.

Joy odwróciła się na pięcie, ale Lisa już zmierzała do domu. Idąc ulicami, zdała sobie sprawę, że coś się dziś wydarzyło. Czuła... Było... Nagle wiedziała. Fajnie. Fajnie było.

Następnego ranka po przebudzeniu Lisa uświadomiła sobie, że dłużej nie da rady. Po prostu. Jeszcze nigdy dotąd nie czuła się tak beznadziejnie. Nawet okropne dni po odejściu Olivera nie były tak pełne rozpacz – wtedy rzucała się w wir pracy, z goryczą konstatując, że nie utraciła kontroli nad przynajmniej jednym aspektem życia.

Zasadniczo Lisa nie poddawała się samej depresji. Jej zdaniem depresja, podobnie jak samotność i smutek, dopadała ludzi wtedy, gdy ich życie okazywało się niedostatecznie fantastyczne. Jeśli jednak ma się dużo ładnych butów, jada się w odpowiednio ekskluzywnych restauracjach i otrzymało się awans, na który bardziej zasłużył ktoś inny, wówczas nie ma powodu do złego samopoczucia.

W każdym razie tak było w teorii. Kiedy Lisa leżała w łóżku, wstrząsnęła nią głębia jej depresji. Winą obarczała zasłonki i nadmiar sosny – te dwie rzeczy wystarczały, by wyprowadzić z równowagi każdą wyczuloną na styl osobę. Nienawidziła spokoju w domu i okolicy. Pieprzony ogród, pomyślała wrogo. Pragnęła słyszeć warkot taksówek, trzaskanie drzwi samochodów, kroki elegancko ubranych ludzi, którzy przychodzili i odchodzili. Potrzebowała życia za oknem. Po poprzedniej nocy został jej kac – straciła rachubę kieliszków białego wina, a zasada głosząca, że co drugi drink powinien być wodą mineralną przestała się sprawdzać po dwudziestej kolejce. Lisa winiła za to Joy.

Lecz jej prawdziwy kac miał charakter emocjonalny. Dobrze się bawiła, spędziła miło czas, a świetny nastrój z poprzedniego wieczoru coś w niej zmienił. Nie mogła przestać myśleć o Oliverze. Aż do teraz tak dobrze jej szło!

Dotąd potrafiła go ignorować – dokonała pospiesznego obliczenia – przez prawie pięć miesięcy. Gdy przestawała wzdragać się na samą myśl o ich rozstaniu, wiedziała nawet, ile minęło dni. Sto czterdzieści pięć. Łatwo nadażyć z obliczeniami, kiedy ktoś decyduje się odejść w Nowy Rok.

Inna sprawa, że niespecjalnie namawiała go do pozostania. Była zbyt dumna. I zbyt pragmatyczna – uznała, że dzielące ich różnice są za głębokie. Z pewnych rzeczy nie mogła zrezygnować.

Tego okropnego poranka pamiętała jednak wyłącznie to, co najmiłsze; pierwsze dni, pełne nadziei na rozkwitającą miłość.

Pracowała w „Chic”, a Oliver był fotografem mody. Wybijającym się fotografem. Wpadał do redakcji z rozwianymi dreadami, zwykle zaopatrzony w gigantyczną torbę ze sprzętem, która na jego potężnym ramieniu wydawała się maleńka. Nawet kiedy spóźniał się na spotkanie z naczelną – właściwie zwłaszcza wtedy – zawsze przystawał, by zamienić słowo z Lisą.

– Jak było w Nowym Jorku? – spytała przy jakiejś okazji. – Chałowo. Nienawidzę tego miasta.

– Poważnie? – Zdawało się, że wszyscy je uwielbiają, lecz Oliver nigdy nie pokładał wiary w zbiorową mądrość.

– Fotografowałeś tam jakieś supermodelki?

– Ach, tak. Masowo.

– Tak? No to szczerze: jaka jest Naomi?

– Ma ogromne poczucie humoru.

– A Kate?

– Och, Kate jest wyjątkowa.

Chociaż Lisa była rozczarowana, że nie podzielił się z nią plotkami o atakach szału i odurzaniu się heroiną, fakt, że Oliverowi nie zaimponowała żadna supermodelka, zrobił na niej ogromne wrażenie.

Nawet zanim się go dostrzegło, wiadomo było, że jest w redakcji. Ciągłe znajdował się w centrum zamieszania: utyskiwał na zbyt mały zwrot kosztów własnych, drukowanie najlepszych zdjęć na marnym papierze, kłócił się i śmiał ile sił w płucach. Miał niski głos, który mógłby być słodki i uwodzicielski, lecz brzmiał zbyt dźwięcznie. Kiedy Oliver wybuchał śmiechem w miejscu publicznym, ludzie zawsze odwracali się w jego stronę – zresztą, najczęściej robili to wcześniej. Połączenie pięknego, wielkiego i muskularnego ciała Olivera z niskim głosem wprawiało ludzi w osłupienie. Gdy przychodził do redakcji, Lisa obserwowała go dyskretnie. Doszła do wniosku, że „czarny” to nieodpowiednie słowo. Rzecz była o wiele bardziej złożona i subtelna. Wszystko w nim promieniało – skóra, zęby, włosy. Nie wspominając potu na czole naczelnej. Jakie zamieszanie wywoła dzisiaj?

Chociaż dopiero wyrabiał sobie nazwisko, był uczciwy, upierał się przy swoich poglądach. Nie był łatwy we współżyciu. Nigdy też się nie płaszczył i nie tuił swoich uczuć, kiedy ktoś go wkurzał. Właśnie ta pewność siebie oraz fizyczna uroda sprawiły, że Lisa uznała, iż go pragnie. Oczywiście to, że miał spore szanse na sławę, także jej nie przeszkadzało.

Od kiedy zaczęła się umawiać się z chłopcami, zawsze trzymała się swojej strategii. Takie dziewczyny jak ona nie spotykały się z urzędnikami firmy ubezpieczeniowej. Nie oznacza to jednak, że zawsze była wyrachowana. Nigdy nie pozwoliła sobie na randkę z dobrze ustawionym mężczyzną, którego nie lubiła. No, prawie nigdy. Musiała jednak przyznać, że niektórzy faceci podobali się jej, chociaż nie stworzyłaby z nimi poważnego związku:

Frederick, uroczy urzędnik z kancelarii cementarnej; Dave, najcudowniejszy hydraulik na świecie; oraz – najbardziej nieodpowiedni z nich wszystkich – błyskotliwy złodziejasek Baz. (Tak się przedstawił Lisie, lecz nie miała żadnych gwarancji, że to nie kłamstwo).

Od czasu do czasu pozwalała sobie na słabość i łądowała w łóżku z jednym z tych uroczych patałachów, lecz nigdy nie zbłądziła i nie planowała wspólnej przyszłości. Byli jak batony Milky Way w ludzkiej postaci: można je jadać między posiłkami, nie tracąc apetytu.

Prawdziwe związki tworzyła z mężczyznami innego kalibru. Był więc dynamiczny naczelny pewnego pisma – za sprawą tego romansu otrzymała pierwszą pracę w „Sweet Sixteen”. Poza tym młody, gniewny pisarz, który dość paskudnie puścił ją w trąbę i którego powieści za jej sprawą otrzymywały potem miazdzące recenzje (przez co stał się jeszcze bardziej gniewny). Kontrowersyjny dziennikarz muzyczny, za którym szalała, dopóki nie odkrył acid jazzu i nie wyhodował sobie koziej bródki.

Oliver łączył w sobie obydwie kategorie mężczyzn. Był dość piękny, by trafić do pierwszej, i zarazem na tyle utalentowany i stylowy, aby zaliczać go do drugiej.

Związek Lisy i Olivera zacieśniał się z każdą jego wizytą w „Chic”. Wiedziała, że ją lubi i szanuje oraz że to zainteresowanie nie jest czysto fizyczne. W tamtych dawno minionych dniach nie każdy współpracownik darzył ją nienawiścią, lecz im bardziej Oliver ją faworyzował, tym bliżej była zdobycia tytułu Najbardziej Znienawidzonej Koleżanki.

Stało się to szczególnie wyraźne wtedy, gdy zaczęła oddawać mu wyjątkowe przysługi. Kiedy odnalazła cztery zaginione slajdy, Oliver dobrotliwie zmieszał z błotem resztę pracowników „Chic”, mówiąc:

„Posłuchajcie, bando bezużytecznych onanistów, ta dama jest geniuszem. Dlaczego nie możecie być tacy jak ona?”

Na te słowa pracownicy popatrzyli po sobie z niesmakiem. Lisa co prawda odszukała slajdy, ale przez poprzednie dwa dni nie robiła nic innego.

Lisa niejasno zdawała sobie sprawę, że Oliver ma dziewczynę, lecz nie zdziwiła się, gdy rozeszły się plotki, iż ponownie jest do wzięcia. Wiedziała, że plasuje się jako następna w kolejce. Chociaż flirtowali ze sobą jak szaleni, nigdy nie zachowywali się kokieteryjnie. Ich solidarność była tak oczywista, że nierozsądne byłoby jej negowanie.

Tak oczywista, że Flicka Dupont (zastępczyni redaktorki rubryk stałych), Edwina Harris (młodsza redaktorka działu mody) i Marina Booth (redaktorka działu zdrowie i uroda) zawiązały spisek, by odebrać należną jej działkę z koszyka darmowych szamponów od Johna Friedy. Powoływały się przy tym na fakt, że otrzymywała wystarczająco dużo upominków.

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień, kiedy do „Chic” przybył Oliver, ruszył prosto do Lisy i oznajmił:

– Mała, mogę cię zabrać na drinka w piątek wieczorem?

Zawahała się, gotowa zgrywać nieprzystępną, ale po przemyśleniu sprawy zaśmiała się niepewnie.

– W porządku.

– Miałaś ochotę zrobić mi przykrość, co? – mruknął.

– Uhm – przytaknęła uroczyście.

Oboje wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że trzy biurka dalej Flicka Dupont wymamrotała:

– Błagam! – I podłubała palcem w ucho, żeby osłabić dzwonienie.

Flicka szepnęła potem do Edwiny:

- Nie zazdroszczę jej.
- Cholera, ja też nie!
- On jest jak odbezpieczona bomba.
- Jak drzazga pod paznokciem – przyznała Edwina. Zamilkły.
- Niemniej chętnie bym go przeleciała – westchnęła w końcu Flicka.
- Poważnie? – Edwina nigdy nie była specjalnie bystra.

W umówiony piątkowy wieczór Oliver i Lisa poszli na drinka. Potem zabrał ją na kolację i oboje tak dobrze się bawili, że wybrawszy się następnie do klubu, przetańczyli wiele godzin. O trzeciej w nocy trafili do jego mieszkania i uprawiali zapierający dech w piersiach seks. Po kilku godzinach snu zbudzili się rankiem, przytuleni do siebie. Przez resztę dnia leżeli w łóżku, rozmawiając, drzemając i co jakiś czas oddając się namiętności.

Nasyчени, wieczorem opuścili gniazdko miłości; Oliver zabrał Lisę do raczej obskurnej francuskiej restauracji, której jedyną zaletą było to, że znajdowała się rzut kamieniem od jego mieszkania. W świetle czerwonych świec, powtykanych w butelki po winie, nawzajem karmili się pozbawionymi smaku małżami i twardym *coq au vin*.

– To najpyszniejsze jedzenie, jakie kiedykolwiek miałam w ustach. – Lisa oblizywała palce, patrząc na Olivera.

Po drodze do domu zostali zagonieni na ormiańskie wesele, odbywające się w miejscowej sali przykościelnej.

– Zapraszam, zapraszam – zachęcał natrętny mężczyzna, kiedy przechodzili obok. – Uczcijcie szczęście mego syna!

– Ale... – zaprotestowała Lisa. Taka fundamentalistka stylu jak ona inaczej wyobrażała sobie sobotnią noc! A jeśli zobaczyłby ją ktoś znajomy?

Oliver nie podzielał jej obaw.

– Czemu nie? Choć, Lees, może być ubaw.

Wciśnięto im w dłonie drinki i usiedli, podczas gdy wszyscy wokół, młodzi i starzy, ubrani w haftowane, falbaniaste stroje ludowe, tańczyli do muzyki przypominającej polkę, graną na piskliwych instrumentach. Stara kobieta w chuście na głowie i z silnym, cudzoziemskim akcentem pieszczotliwie uszczypnęła Lisę w policzek, uśmiechnęła się do Olivera i oznajmiła:

– Zakochano. Tak parco zakochano.

– Chodzi jej o ciebie czy o mnie? – spytała niespokojnie Lisa, zbyt późno uświadamiając sobie, że może zbyt otwarcie manifestuje uczucia.

– Ty, pani. – Staruszka wyszczerzyła przetrzebione zęby.

– Spadaj, babcia – mruknęła Lisa.

Oliver momentalnie wybuchnął śmiechem, prezentując dwa rzędy mocnych, białych zębów.

– Drażliwa! – przekomarzał się. – Pewnie dlatego, że faktycznie mnie kochasz!

– A może to ty mnie kochasz – odcięła się burkliwie.

– Nigdy nie zaprzeczałem.

I chociaż zwykle nie czuła nic podobnego, tam, w nieoczekiwanym, surrealistycznym otoczeniu pięknego wesela, Lisa nabrała przekonania, że Bóg obdarzył ich łaską.

W niedzielny poranek otworzyli oczy, wtuleni w siebie tak, jak poprzedniego dnia. Oliver zapakował Lisę do samochodu i popędzili autostradą do Alton Towers, gdzie do wieczora prześcigali się w zaliczaniu coraz bardziej niebezpiecznych kolejek górskich. Chociaż była przerażona, zdecydowała się

na przejażdżkę torem Nemesis, bo nie chciała okazać strachu. Kiedy trochę pozieleniała na twarzy i zrobiło się jej niedobrze, on zachichotał.

– Przecholowałaś, mała? – spytał.

Odpowiedziała, że cierpi na zaburzenia błędnika. Oliver stanowił dla niej wyzwanie i interesował ją o wiele bardziej niż inni mężczyźni. Był taki jak ona, tylko w jeszcze bardziej charakterystyczny sposób.

Wrócili do domu, zjedli pizzę i trafili do łóżka. Ich pierwsza randka trwała sześćdziesiąt godzin, a zakończyła się w poniedziałkowy rano, gdy Oliver podrzucił Lisę do pracy.

Na trzeciej wycieczce byli już oficjalnie zakochani.

Na czwartej Oliver postanowił zabrać ją do Purley, by poznała jego rodziców. Lisa uznała, że to niewiarygodnie dobry znak, lecz jak się okazało, pomysł niemal doprowadził do rozpadu ich krótkotrwałego związku. Problemy rozpoczęły się w samochodzie, kiedy już od pół godziny byli w drodze.

– Nie jestem pewien, czy tata zdąży wrócić z pracy przed naszym przyjazdem – napomknął Oliver.

– A czym się zajmuje? – Lisa nigdy wcześniej o to nie pytała, ta sprawa nie wydawała się jej istotna.

– Jest lekarzem. Lekarzem!

– Jakim lekarzem? – Lekarzem, który sam sobie leczy kaca? Innymi słowy, moczymordą?

– Internistą.

Z wrażenia nie mogła wykrztusić ani słowa. Dotąd czule myślała o Oliverze jak o nieco nieokrzesanym prostaku, a tymczasem okazało się, że pochodzi z klasy średniej, i w gruncie rzeczy to ona jest nieco nieokrzesaną

prostaczką. Postanowiła, że w żadnym wypadku nie zaprowadzi go na spotkanie ze swoimi rodzicami.

Przez resztę podróży miała nadzieję i modliła się, by się okazało, że w domu Olivera panuje bieda. Nie należało wykluczać takiej możliwości, choć jego ojciec pracował jako lekarz. Oliver zajechał jednak przed wielki, zadbanej dom z utrzymanymi w stylu Tudorów oknami w ołowianych ramach, zasłonami od Laury Ashley, okiennicami i z mnóstwem bibelotów na parapetach. Wszystko to dowodziło, że właścicielom nie doskwiera brak gotówki.

Lisa spodziewała się, że mama Olivera będzie dobroduszną kobieciną o tłustych udach, noszącą kapcie z myszką Minnie, pijącą na śniadanie piwo red stripe i śmiejącą się piskliwie: „Hiii! Hiii! Hiii!” Tymczasem pani, która otworzyła drzwi, prezentowała się jak Elżbieta II. Miała co prawda nieco ciemniejszą cerę, lecz jej loki były ułożone niczym hełm, nosiła nobliwe ubranie z Marksa & Spencera, przyzwoite i eleganckie.

– Miło mi cię poznać, moja droga – przemówiła z uniwersyteckim akcentem, a wiara w siebie Lisy zniknęła niemal kompletnie.

– Dzień dobry, pani Livingstone.

– Mów mi Rita. Wejdz, proszę. Tata nie wrócił jeszcze z gabinetu, ale spodziewam się go lada chwila.

Zostali wprowadzeni do eleganckiego salonu, a kiedy Lisa ujrzała, że miękkie elementy mebli nie są owinięte folią, poczuła, iż to cios ostateczny.

– Herbaty? – zaproponowała pogodnie Rita, głaszcząc golden labradora, który złożył łeb na jej kolanach. – Lapsang suchong czy earl grey?

– Wszystko jedno – mruknęła Lisa. Co było nie tak z supermarketową herbatą w torebkach? – Nie tego się spodziewałam – szepnęła, kiedy została sama z Oliverem.

– Tylko czego? Że bendziem szamać ryż z grochem i chlać rum? – spytał Oliver z nieskazitelnym karaibskim akcentem. – A potem tańcować na ganku do rytmu bembna z blachi?

Otóż to! Właśnie dlatego przyjechałam!

– Nic z tego, moja droga. – Płynnie przerzucił się na akcent BBC z czasów wojny. – Jesteśmy bowiem Brrrrytyjczykami!

– Jak mi powiedziano – odezwała się Rita, stając w drzwiach z tacą niesłodkich, beznadziejnych ciasteczek własnego wypieku – prawidłowo powinno się nas określać mianem „Korsarze”. Lub „Cze-ko-lody”.

– Ale... dlaczego? – Lisa nie kryła zmieszania.

– Brązowi po wierzchu, biali w środku. – Niespodziewanie uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Tak nas nazywa rodzina. Przegrana sprawa, bo sąsiedzi też nas nienawidzą! Ci z za płotu powiedzieli, że kiedy się wprowadziliśmy, wartość ich domu spadła o dziesięć kawałków.

Nieoczekiwanie, w sposób kompletnie nie pasujący do ubranka z M&S, Rita wybuchnęła piskliwym śmiechem: „Hiii! Hiii! Hiii!” A Lisa poczuła, że gula w jej gardle znika bez śladu jak kostka cukru, której nie wrzuciła do herbaty. Skoro sąsiedzi ich nienawidzili, wszystko było w porządku, prawda? Teraz wcale nie wydawali się straszni.

Na piątej randce Oliver i Lisa rozmawiali o zamieszkaniu ze sobą. Na szóstej przedyskutowali ten temat w szczegółach. Siódma sprowadziła się do jeżdżenia furgonetką z Battersea do West Hampstead i z powrotem, żeby przewieźć okazałą garderobę Lisy do mieszkania Olivera.

– Będziesz musiała pozbyć się części tych ciuchów – oznajmił zaniepokojony. – Bo przyjdzie nam kupić większe mieszkanie.

Lisa uświadomiła sobie później, że być może już wtedy pojawiły się sygnały, iż nie wszystko wygląda tak, jak powinno. Wówczas jednak nie zwracała na nic uwagi. Miała wrażenie, że nie mogła lepiej trafić. Czuła, że Oliver widzi ją taką, jaka jest, i akceptuje bez zastrzeżeń, z jej ambicją energią, wizją i lękiem. W jej oczach byli ulepieni z tej samej gliny. Młodzi, energiczni, ambitni, za wszelką cenę dążący do sukcesu.

Mniej więcej w tamtym czasie triumfy święciła koncepcja bratnich dusz, niedawno sprowadzona z Los Angeles. Lisa mogła z dumą twierdzić, że znalazła sobie takiego druha od serca.

Wkrótce po tym, jak zaczęli być razem, Lisa przeniosła się do „Femme” jako zastępca naczelnej. W tym samym czasie Oliver stał się wyjątkowo popularny i rozchwytywany. Chociaż nie zawsze zjednywał sobie ludzi na gruncie towarzyskim – niektórzy uważali go za nieco zbyt trudnego w obyciu – wszystkie ekskluzywne pisma dla pań nagle zaczęły o niego rywalizować. Oliver sprawiedliwie dzielił obowiązki między różnymi magazynami do czasu, gdy Lily Headly–Smythe obiecała, że na bożonarodzeniowej okładce „Panache” zamieści jedno z jego zdjęć, a potem zmieniła zdanie.

– Złamała słowo. Już nigdy nie zrobię nic dla „Panache” ani dla Lily Headly–Smythe – oznajmił Oliver.

– Do następnego razu. – Lisa się roześmiała.

– Nie – zaprzeczył z poważną miną. – Nigdy.

Dotrzymał przyrzeczenia. Nie złamał się nawet wtedy, gdy w ramach przeprosin Lily przysłała mu szczenie wilczarza irlandzkiego. Lisa nie mogła wyjść z podziwu. Oliver miał taką silną wolę, był prawdziwym idealistą.

Sytuacja zmieniła się wtedy, gdy jego niezłomność zwróciła się przeciwko niej. Wówczas mniej się to jej podobało.

21

W tę niedzielę Ashling również nieszczęśliwie dobrze się bawiła.

Obudziła się pełna nadziei, co miało związek z Marcusem Valentine'em. Zaciekawiona, czuła się cudownie gotowa – na randkę, flirt, trochę pochlebstw. Na coś...

Przez cały ranek snuła się bez celu, czując przyjemne ciepło, w pełnej gotowości do zaprezentowania się od najlepszej strony. Dzień minął jednak bez telefonu, a wewnętrzny uśmiech Ashling zmienił się w pełen irytacji grymas. Żeby zabić czas i spożytkować energię, postanowiła trochę posprzątać.

Cóż, Marcus nie powiedział, kiedy dokładnie zadzwoni. Właściwie nie czuła się odrzucona, jedynie miała wrażenie, że straciła dobrą okazję. I choć nie mogła powiedzieć z pełnym przekonaniem, że Marcus się jej podoba, przeczuwała, że mógłby. Tak czy owak, była gotowa zaryzykować. Emocjonalnie tkwiła w pustce i nie było to miłe uczucie.

Przypomnij sobie, pomyślała, szorując ze złością wannę. Już to przerabiałam. Czekałam, aż facet zadzwoni. Zbyt późno uświadomiła sobie, jak cudownie jej było w tym krótkim czasie, kiedy już przestała przejmować się jednym facetem, a jeszcze nie zaczęła drugim. I dobrze mi tak, za to, że jestem taka płytka i zainteresowałam się sławnym facetem.

Ależ żałowała, że do niego nie dzwoniła, gdy miała szansę. Teraz było na to za późno, nie mogła znaleźć karteczki. Chyba jej nie wyrzuciła – na pewno by to zapamiętała, gdyż czułaby się przy tym wyjątkowo okrutna. Jednakże

przetrzęsanie kieszeni i szuflad nic nie dało, znalazła tylko wzbudzające wyrzuty sumienia paragony i ulotki z wyprzedaży komputerów.

Wróciła do sprzątan. Po wytarciu wnętrza kuchenki mikrofalowej musiała podładować baterie, postanowiła zatem sprawdzić, co jej szykuje przyszłość. Anielska przepowiednia nie mówiła nic konkretnego, więc żeby przyspieszyć telefon od Marcusa, lekko zażenowana Ashling wyciągnęła swój Zestaw Życzeniowy. Nie widział światła dziennego od końcówki związku z Phelimem – o czymś to świadczyło.

Zestaw składał się z sześciu świec, każdą zdobiło słowo – Miłość, Przyjaźń, Szczęście, Pieniądze, Spokój i Sukces – i z sześciu pudełek zapalek z identycznymi napisami. Świece Przyjaźni, Pieniędzy i Sukcesu były zupełnie nietknięte, Spokoju i Szczęścia lekko nadpalone, ale Świeca Miłości niejedno przeszła. Była największą atrakcją zestawu. Ashling, nabożnie, ostatnią zapalką Miłości, zapaliła świeczkę, która płonęła sobie wesoło przez mniej więcej dziesięć minut, aż skończył się wosk. Wtedy świeca zamigotała i zgasła.

Cholera, pomyślała Ashling, oby nie był to zły znak.

Ted pojawił się wczesnym wieczorem, w dołku psychicznym, który często następuje po wielkim wzlocie. Chociaż poznał mnóstwo dziewczyn, żadna go nie zachwyciła.

– A ta śliczna, z którą rozmawiałeś, kiedy wychodziłam? Spałeś z nią?

– Nie.

– Ted! Nie wolno ci tego zdradzać. Nawet jeśli jej nie przeleciałeś, trzeba było tak powiedzieć, żeby uratować jej honor.

Ted jednak wcale nie był rozbawiony.

– Powiedziała, że dziwnie pachnę. Jak jej babcia.

– Ludzie mają poprzewracane w głowach.

– Wcale nie. – Ted był wkurzony. – Miała rację. Naprawdę pachniałem jak jej babcia.

Kiedy Ashling zastanawiała się, skąd Ted wie, jak pachnie babcia dziewczyny, powiedział do niej oskarżycielskim tonem:

– A wiesz dlaczego?

– Co?

– Przez to cholerne coś, co we mnie wtarłaś, zanim wyszliśmy.

– A, olejek lawendowy. – Czasem Ashling czuła się paskudnie niedoceniana.

– To babciowaty zapaszek, prawda? – Ted nie chciał jej odpuścić.

– Myślałam, że babcie zwykle pachną zatechłym moczem. – Uraza sprawiła, że Ashling zrobiła się dziwnie złośliwa.

– Poza tym i tak do mnie nie pasowała – ciągnął burkliwie Ted. – Wszystkie są zbyt młode i głupie, podobam się im z niewłaściwych powodów. A twoja przyjaciółka Clodagh? – dodał nagle. – Jest mężatką, prawda?

– Jasne, że tak.

– Coś ci dolega? – Ted uświadomił sobie, że nie tylko on ma zły humor.

Po krótkim zastanowieniu Ashling doszła do wniosku, że nie poskarży się na niedzwoniącego Marcusa. Nie złamał żadnej obietnicy, mógł zatelefonować w dowolnym momencie.

– Niedzielny spleen – rzuciła lekkim tonem, zamiast narzekać. Często rozmawiała z Tedem, Joy i Dylanem – właściwie z każdym,

kto miał pracę – o przerażeniu, które dopada człowieka około piątej po południu, kiedy z siłą worka cementu uderza cię świadomość, że w poniedziałek rano musisz iść do pracy. I choć ciągle pozostało kilka godzin

weekendu, praktycznie rzecz biorąc, mija on w chwili pojawienia się tej przerażającej rozpacz.

Ted zerknął na zegarek i najwyraźniej zadowolił się wyjaśnieniem.

– Dziesięć po piątej. W samą porę.

– Mam klaustrofobię. Wyjdźmy. – Ashling właśnie przypomniała sobie jedną z podstawowych zasad rządzących związkiem kobiety i mężczyzny. Jasne, że Marcus nie zadzwonił – przecież czekała przy aparacie! Musiała tylko wyjść z mieszkania, a on natychmiast chwycił za słuchawkę.

Zanim wyszli, wzięła za sobą kilka książek dla Boo. Wczoraj czuła się zawstydzona, gdy przyłapał ją na tym, że nie miała ze sobą żadnej książki, którą mogłaby mu pożyczyć, aby nie czytał encyklopedii grzybów. Kiedy jednak wrzuciła do torby *Ślepe tory*, zaczęła się gryźć. A może Boo się obrazi, jeśli da mu książkę o uzależnieniu od heroiny? Może pomyśli, że coś sugeruje?

Na wszelki wypadek wyjęła *Ślepe tory*. Zamiast tego włożyła do niej *Futbolową gorączkę i jakieś bzdety science fiction*, które Phelim dał jej dwa lata temu na urodziny i których nigdy nie przeczytała. Była to zdecydowanie literatura dla facetów. Na ulicy jednak nie zobaczyła Boo.

Ted i Ashling poszli do Long Hall na dwa raczej lekkie drinki i cieką pizzę w Milano, a potem wrócili do domu. Kiedy Ashling weszła do mieszkania, od razu sprawdziła, czy na sekretarce automatycznej mruga czerwone światełko. Mrugało. Była tak przygotowana na rozczarowanie, że wydawało się jej, iż tylko to sobie wyobraziła. Stała, patrząc, a światełko pojawiała się i zniknęło. Mała, czerwona kropka, brak małej, czerwonej kropki, mała, czerwona kropka, brak małej, czerwonej kropki... No tak, ktoś zostawił wiadomość. Kiedy nacisnęła przycisk „play”, przyszła jej do głowy

przerazająca myśl. Jeśli dzwoni Cormac z informacją, że w środę przyjedzie ciężarówka pełna krzaków, zacznę krzyczeć, pomyślała.

Ale wiadomości nie zostawił ani tajemniczy dostawca, ani Marcus Valentine, tylko ojciec Ashling.

Boże święty, co się stało?

Zanim się odezwał, słyszała tylko trzaski, szумы i posapywanie. Potem ojciec mruknął do kogoś w tym samym pomieszczeniu:

– Mam zacząć mówić?

Ta druga osoba – pewnie matka Ashling – powiedziała, że Ashling nie słyszy, a potem Mike Kennedy oświadczył:

– Było kilka krótkich i jeden długi. Boże, nie cierpię tych wynalazków... Ashling, mówi tatuś. Czuję się jak dupek, kiedy gadam do maszyny. Pomyśleliśmy, że dawno się nie odzywałaś. Wszystko w porządku? U nas świetnie. W zeszłym tygodniu dzwoniła Janet, musiała pozbyć się kota, ciągle ją trącał, gdy spała. Dostaliśmy list od Owena, podobno odkrył jakiś nowy szczep. Ale nie taki całkiem nowy, rzecz jasna. Nowy dla niego. Pewnie jesteś zajęta w nowej pracy, ale nie zapominaj o nas, dobrze? Ha, ha. Na razie.

Znowu trzaski i sapanie. I:

– Co mam teraz zrobić? Po prostu odłożyć słuchawkę? Nie muszę naciskać żadnego guzika?

Nagle połączenie zostało przerwane.

Ashling stała nieruchomo, pełna poczucia winy i niechęci. Wiedziała, że wkrótce powinna pojechać do Cork, a przynajmniej zadzwonić do rodziców. Zwłaszcza że jej siostra Janet potrafiła poradzić sobie z ośmiogodzinną różnicą czasu i telefonować z Kalifornii, a jej brat Owen słał im listy z dorzecza Amazonki.

Rzuciła okiem na zdjęcie na telewizorze. Stało tak tam długo, że już dawno temu przestała je zauważać. Emocje wywołane telefonem sprawiły, że wzięła fotografię do ręki i wbiła w nią wzrok, jakby w poszukiwaniu wskazówek.

Jak zawsze uświadomiła sobie, że Mike Kennedy był kiedyś przystojnym mężczyzną. Bezczelny i wysoki, śmiał się do aparatu, na policzkach miał bokobrody z początku lat siedemdziesiątych, na kołnierzu wzorzystej koszuli kręciły mu się włosy. Dziwne, bo z jednej strony był jej tatą, ale z drugiej wyglądał jak jeden z tych niedobrych facetów spotykanych na imprezach, którzy przyciągają kobiety, chociaż instynkt samozachowawczy powinien je ostrzec, by trzymały się od nich z daleka.

Mike obejmował czteroletnią Janet. Była skulona i trzymała pięść w kroku – bardzo chciało się jej siusiu, aparat fotograficzny zawsze tak na nią działał. Oparta o Mike'a, przytulając do swoich okrytych poliestrem ramion trzyletniego Owena, stała Monica. Uśmiechała się radośnie, była niewiarygodnie młoda, miała gładko zaczesane włosy i mocno wytuszowane rzęsy, na modłę Priscilli Presley. W samym środku, między dwojgiem dorosłych, komicznie zezując, tkwiła Ashling.

Lucyfer tuż przed upadkiem, myślała za każdym razem, gdy zerknęła na to zdjęcie. Wydawali się taką idealną rodziną. Często się zastanawiała, czy już wtedy korzenie butwiały.

Odstawiła zdjęcie i na powrót znalazła się w rzeczywistości. Już od trzech tygodni nie dzwoniła do rodziców. Bynajmniej nie wylatywało jej to z głowy – pamiętała, ale zawsze potrafiła znaleźć wymówkę, żeby tego nie robić. Jednakże ten brak kontaktu nie dawał jej spokoju. Miała świadomość, że Clodagh codziennie dzwoni do swojej mamy. Tyle że Brian i Maureen

Nugentowie bardzo się różnili od Mike'a i Moniki Kennedych. Może gdyby to Brian i Maureen byli rodzicami Ashling, utrzymywałyby z nimi kontakt.

22

Poniedziałkowy poranek. Zazwyczaj najbardziej ponury ze wszystkich poranków (chyba że akurat wypadło święto, wtedy najbardziej ponury był wtorkowy poranek). Lisa jednak wcale nie narzekała. Na myśl o pójściu do redakcji poczuła, że panuje nad sytuacją – a przynajmniej robi coś dla siebie. A potem usiłowała wziąć prysznic, no i woda była lodowata.

Chwilowo jednak musiała porzucić plany dręczenia Jacka w sprawie regulatora, gdyż pani Morley wspomniała, że przez cały weekend pracował, czyli uspokajał rozsierdzonych elektryków i rozżalonych operatorów. Wydawał się zmęczony i ponury.

Ashling, poszarzała na twarzy i spóźniona, też kiepsko się czuła. Poczowała się jeszcze gorzej, kiedy Jack Devine wychylił głowę zza drzwi swojego gabinetu i powiedział krótko:

– Panno Złotarączko...

– Panie dyrektorze?

– Można na słówko?

Zaniepokojona, wstała o wiele za szybko i musiała poczekać, aż odzyska wzrok, bo krew nie zdążyła dopłynąć jej do głowy.

– Albo masz okropne kłopoty, albo się z nim gzisz – wyszeptała radośnie Trix. – Co się dzieje?

Ashling nie była w nastroju na dowcipy Trix. Nie miała bladego pojęcia, dlaczego Jack Devine chce z nią rozmawiać na osobności. Przeczując coś potwornego, poszła do jego gabinetu.

– Zamknij drzwi – powiedział do niej.

Zaraz mnie zwolni, pomyślała i przeraziła się nie na żarty.

Drzwi trzasnęły za nią, a pokój natychmiast się skurczył i pociemniał. Winę za to ponosił Jack, z ciemnymi włosami i oczyma, w ciemnogrnatowym garniturze i ponurym nastroju. Co gorsza, nie siedział za biurkiem, ale opierał się o nie, przez co dzieliła ich bardzo niewielka odległość. Ashling źle się z tym czuła.

– Chciałem ci to dać, ale tak, żeby reszta nie widziała.

Uświadomiła sobie, że machinalnie odchyła się od niego, chociaż nie miała jak się odsunąć. Wcisnął jej w rękę plastikową torbę, którą w milczeniu przyjęła. Oszołomiona, zdążyła sobie uświadomić, że torba jest trochę za duża na wypowiedzenie. Trzymała ją w rękach, aż zniecierpliwiony Jack parsknął śmiechem.

– Zajrzyj – powiedział do niej.

Mnąc plastik, Ashling zerknęła do torby. Ku swojemu zdumieniu ujrzała karton z dziesięcioma paczkami marlboro i rozetkę krzywo przyczepioną do celofanu.

– Ciągle podkradałem ci papierosy. – Jack patrzył na nią uważnie. – Eee... przepraszam – dodał bez przekonania.

– To piękne – wymamrotała, zdumiona tymi przeprosinami i rozetką.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Jack wybuchnął szczerym śmiechem. Był to głęboki, donośny, nieudawany rechot.

– Piękne? – wykrzyknął i znowu się roześmiał. – Żaglówki są piękne, trzymetrowe fale są piękne, ale papierosy? A zresztą, może i masz rację.

– Myślałam, że mnie zwolnisz – wykrztusiła Ashling. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Zwolnię cię? Ależ Panno Złotarączko... –jego głos zmiękł, w oczach pojawiło się rozbawienie – kto zaopatrywałyby nas w plastry, aspiryny, parasolki, agrafki i to coś na szok – remedium...

– Remedium ratunkowe. – Teraz jej samej by się przydało. Musiała stąd wyjść, żeby znowu móc oddychać.

– Czego się tak boisz? – zapytał łagodnie. Wydawało się jej, że stoi jeszcze bliżej.

– Niczego – pisnęła niczym hamulce autobusowe.

Przyglądał się jej z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Przez to, że kąciki jego ust były uniesione, czuła się dziecinnie i głupio, jakby z niej drwił. Nagle drgnął i chyba stracił całe zainteresowanie.

– Idź – westchnął i wrócił za biurko. – Wracaj, tylko nic im nie mów. – Ruchem głowy wskazał torbę. – Też by chcieli.

Ashling na miękkich nogach podeszła do swojego biurka. Wiadomość na pierwszej stronie. Szok – Jack Devine wcale nie jest takim sukinsynem, na jakiego wygląda. Najdziwniejsze jednak było to, że Ashling chyba wołała go w poprzedniej wersji. Zresztą później tego dnia zachowywał się jak zawsze.

Mercedes wparowała do redakcji i wszyscy mało nie pospadali z krzeseł, gdy okazało się, że nietypowo dla siebie przejawia jakieś emocje. I to jakie! Na polecenie Lisy Mercedes próbowała przeprowadzić wywiad z Friedą Kiely. I choć spędziła cały weekend w Donegal, fotografując kolekcję Friedy, ta kazała jej czekać przez półtorej godziny, a następnie udawała, że nigdy w życiu nie słyszała ani o niej, ani o „Irlandce”.

– Kim pani jest? – darła się. – „Irlandka”? A co to takiego, do cholery? No co?

– To wariatka. Pieprznęta suka – wysyczała Mercedes, a potem znowu dostała ataku z upokorzenia. – Pierdolona walnięta suka!

– Premenstrualna wariatka z piekła rodem. – Kelvin natychmiast skorzystał z okazji, żeby znaleźć się po właściwej stronie.

– Schizofreniczna zdzira – rzuciła Trix.

– I koścista małpa – dodał Beznadziejny Bernard, który nie miał pojęcia, jak wygląda Frieda, ale który jak każdy maminsynek nie cierpiał suk. – Więcej mięsa jest na kiju Cygana po solidnej bijatyce. Trix popatrzyła na niego z pogardą.

– To komplement, durniu. O niczym nie masz pojęcia!

Wszyscy raz za razem obrzucali wyzwiskami Friedę Kiely – wszyscy oprócz Ashling, która gdzieś słyszała, że projektantka naprawdę jest wariatką. Zdaje się, że cierpiała na łagodną schizofrenię i odmawiała przyjmowania leków.

– Ale – przerwała Ashling, czując, że ktoś powinien wziąć Friedę w obronę – nie sądzicie, że zanim ją zwyzywamy, powinniśmy spojrzeć na świat jej oczyma?

– Tak jest – przytaknął Jack, który przyszedł sprawdzić, skąd to zamieszanie. – Najpierw je wydłubiemy, a potem będziemy się martwić, co dalej. – Uśmiechnął się drwiąco do Ashling. – Na litość boską, Ashling, zachowuj się zgodnie ze swoim wiekiem, a nie z ograniczeniem prędkości.

Słowa Jacka rozbawiły Lisę.

– Jakie jest ograniczenie prędkości w Irlandii?

– Sto dziesięć – wyjaśnił Jack i zatrzasnął drzwi do gabinetu. Ashling znowu nienawidziła Jacka. Wszystko wróciło do normy.

Choć Marcus Valentine nie miał jej telefonu do pracy, Ashling serce podeszło do gardła, kiedy za dziesięć czwarta Trix wręczyła jej słuchawkę, mówiąc:

– Jakiś facet do ciebie.

Ashling wzięła telefon, i zebrawszy się do kupy, zagruchała:

– Czeeeeeeść.

– Ashling? – Dzwonił Dylan. Wydawał się zdumiony. – Chora jesteś?

– Nie. – Rozczarowana, powróciła do normalnego głosu. – Myślałam, że dzwoni ktoś inny.

– Co z tym drinkiem dziś wieczorem? Mogę podjechać, o której ci pasuje.

– Jasne. – Przynajmniej nie będzie warowała przy telefonie. – Wpadnij do redakcji koło szóstej.

Potem, bardzo szybko, zadzwoniła do siebie, by sprawdzić, czy ktoś zostawił wiadomość. Co prawda sprawdzała to kwadrans wcześniej, ale różnie bywa.

Albo tak samo, bo nikt nie dzwonił.

Kwadrans po szóstej Dylan wywołał zamieszanie w redakcji – pojawił się z blond włosami opadającymi na czoło, w świetnie skrojonym garniturze i nienagannie białej koszuli. Kiedy stał przy biurku Ashling, wydawało się, że coś z nim jest nie tak – wyglądał, jakby ramię mu się przemieściło.

– Nic ci nie jest? – Ashling wstała, obeszła go i odkryła, że przykurcz Dylana bierze się z tego, że usiłował on ukryć za plecami torbę z logo H&M.

– Dylan, nikomu nie powiem, że kupowałeś kompaktki.

– Przepraszam. – Zawstydzony, wzruszył ramionami. – Tak to się kończy, kiedy człowiek pracuje w głuszy Sandyford. Ilekroć przyjeżdżam do centrum, dostaję zajoba w sklepach muzycznych. Mam wyrzuty sumienia.

– Nie wydam twojego sekretu.

– Nowy żakiet? – spytał Dylan, gdy Ashling zbierała rzeczy.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Niech obejrzę.

Uparł się, żeby stała nieruchomo. Popatrzył na jej ramiona, skinął głową.

– Taaak – powiedział. Ashling bez powodzenia usiłowała dzięki wciąganiu brzucha wyhodować sobie talię, kiedy wodził spojrzeniem wzdłuż jej boków. Ponownie skinął głową i powtórzył:

– Taaak – z jeszcze większą aprobatą. Popatrzył jej w oczy. – Pasuje ci. Naprawdę – dodał z uśmiechem.

– Ty łobuzie. – Te oględziny były bardzo miłe dla Ashling. Dylan nikomu nie skąpił komplementów. Choć wiedziała, że szafował nimi na każde żądanie, trudno było nie wierzyć w jego słowa, a jeszcze trudniej nie cieszyć się nimi. – Jesteś niebezpieczny. – Rozpromieniła się. – Idziemy. – Odwróciła się i ujrzała, że nieopodal stoi Jack Devine i markotnie przegląda jakiś plik dokumentów na biurku Bernarda. Pożegnała go uśmiechem i przez jedną długą chwilę bała się, że ją zignoruje. Jednak westchnął ciężko i powiedział:

– Do widzenia, Ashling.

Lisa była w toalecie, poprawiała makijaż z okazji wieczornego spotkania z jednym z najsłynniejszych szefów kuchni w Irlandii. Miała nadzieję przekonać go, by pisał w „Irlandce” felietony kulinarne. Śpiesząc po żakiet, zbyt szybko wypadła zza drzwi i zderzyła się z nieznanym blondynem.

Trafiła ramieniem w jego tors i przez krótki moment czuła żar męskiego ciała pod cienką koszulą.

– Przepraszam. – Położył dużą dłoń na jej ramieniu. – Nic pani nie jest?

– Chyba nie. – Gdy się wyprostowała, popatrzyli na siebie z aprobatą. Nagle Lisa ujrzała Ashling u jego boku. Czy był jej chłopakiem? Nie, na pewno nie.

– Kto to był? – spytał Dylan, gdy zamknęli za sobą drzwi.

– Masz udane małżeństwo – przypomniała mu Ashling.

– Pytałem tylko.

– Nazywa się Lisa Edwards i jest moją szefową. – Ashling pomyślała o swojej rozmowie z Clodagh na temat wszystkich tych konferencji Dylana. Czy był wierny? Szybko zapytała: – To dokąd idziemy na tego drinka?

Zabrał ją do Shelbourne, które było pełne rozbawionych ludzi po pracy.

– Będziemy musieli stać – zauważyła Ashling. – W życiu nie znajdziemy miejsc.

– Nigdy nie mów nigdy. – Mrugnął do niej. – Czekaj.

Momentalnie pochylił się nad stolikiem pełnym ludzi, uciął sobie z nimi krótką, przyjacielską pogawędkę, po czym wrócił do Ashling.

– Chodź, wychodzą.

– Niby dlaczego? Coś ty im nagadał?

– Nic! Po prostu zauważyłem, że prawie skończyli.

– Hm.

Dylan był tak czarująco przekonujący, że mógłby sprzedawać drzewo drwalom.

– Siadaj, Ashling. Jeszcze raz dziękuję. – Z uśmiechem pomachał na do widzenia dawcom stolika. Następnie, z podejrzaną szybkością, przepchnął się

przez tłumy do baru i wrócił z drinkami. Dylan bez trudu zdobywał wszystko, czego pragnął. Kiedy stawiał przed nią gin z tonikiem, znów się zadumała – nie pierwszy raz zresztą – nad tym, jak by to było być jego żoną. Podejrzewała, że nieziemsko.

– Powiedz mi wszystko, absolutnie wszystko, o tej świetnej, nowej pracy – rozkazał jej energicznie Dylan. – Chcę wiedzieć jak najwięcej.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Naprawdę dobrze się bawiła i opisała mu wszystkie osobowości w „Irlandce” oraz to, jak ze sobą współpracowały – albo nie współpracowały, co się czasami zdarzało.

Dylan dużo się śmiał, wydawał się autentycznie rozbawiony, a Ashling niemal już uwierzyła, że znakomita z niej gawędziarka. Tak jak uwierzyła mu wtedy, gdy podziwiał jej nowy żakiet – Dylan potrafił sprawić, że ludzie mieli o sobie lepsze zdanie. Nic nie mógł na to poradzić. Ashling wiedziała, że nie był nieszczerzy. Po prostu troszkę przesadzał. Nie mogła tylko popełniać błędów, czyli powtarzać te same durne opowiadki innym ludziom i oczekiwać równie entuzjastycznych wybuchów śmiechu.

– Rany, zabawna jesteś. – Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek. Swoim flirciarskim sposobem bycia wprowadzał ludzi w przekonanie, że jest gotów ofiarować im więcej niż w rzeczywistości. Ashling nie traktowała tego poważnie – już nie.

– Jak tam biznes komputerowy? – zapytała.

– Jezu! Roboty od czapy! Nie nadążamy z zamówieniami.

– O rany... – Ashling pokręciła głową ze zdumieniem. – Kiedy cię poznałam, nie byłeś pewien, czy firma przetrwa choćby rok. A teraz!

Po wzmiance o ich poznaniu nastrój lekko, niemal niezauważalnie, klapnął. Traf chciał, że prawie skończyli swoje drinki, więc Ashling zerwała się z krzesła.

– To samo?

– Usiądź, ja przyniosę.

– Ależ nie, ja...

– Usiądź, Ashling, nalegam.

To była jeszcze jedna cecha charakterystyczna Dylana. Hojność przychodziła mu bez trudu i stylowo.

– Czy chciałeś mnie widzieć z jakiegoś specjalnego powodu? – spytała z ciekawością Ashling, gdy wrócił z drinkami.

– Taaaa. – Dylan zaczął bawić się podkładką do piwa. – Właściwie tak. – Nagle przestał być swobodny, i samo w sobie wydawało się to niepokojące. – Nic nie... zauważyłaś?

– Nic?

– W Clodagh?

– Jak to?

– Trochę... – Zamilkł na dłużej. – Martwię się o nią. Nigdy nie jest zadowolona, często złości się na dzieci i postępuje... dość nieracjonalnie. Molly poskarżyła się, że Clodagh dała jej klapsa, a nigdy nie karciliśmy dzieci.

Znowu długa, niezręczna przerwa, zanim Dylan znowu zaczął mówić.

– Wiem, że to pewnie zabrzmiało głupio, ale wciąż przerabia nam dom. Gdy tylko skończymy jedno pomieszczenie, natychmiast zaczyna mówić o zmianie wystroju w następnym. Rozmowy o tym do niczego nie prowadzą. Zastanawiałem się... Doszedłem do wniosku, że być może cierpi na depresję.

Ashling się zamyśliła. Rzeczywiście, jeśli się nad tym zastanowić, ostatnimi czasy Clodagh wydawała się wiecznie nieusatysfakcjonowana, wręcz trudna. I faktycznie przesadzała z wystrojem wewnątrz. Poza tym poinformowanie Molly o śmierci Barneya było zdaniem Ashling dziwaczne, wręcz szokujące. Z drugiej strony, tłumaczenie Clodagh, że i ona ma uczucia, również brzmiało całkiem sensownie. Teraz jednak, w kontekście niepokoju Dylana, znów poczuła złowieszczy niepokój.

– Nie wiem. Może – mruknęła zamyślona. – Ale jest szorstka dla dzieci. Bardzo wymagająca. A jeśli ty pracujesz przez wiele godzin...

Dylan pochylił się i słuchał uważnie Ashling, jakby chciał nauczyć się jej słów na pamięć.

– Nie miej mi tego za złe, ale pomyślałem, że być może rozpoznasz jakieś symptomy – powiedział, gdy zamilkła. – Twoja mama. .. Twoja mama – powtórzył, a Ashling wciąż milczała. – Miała depresję, prawda?

Nagle Ashling powróciła do przeszłości, znów ugrzęzła w szaleństwie, konsternacji, wszechobecnym przerażeniu. W jej uszach rozbrzmiało wycie i wrzaski sprzed lat, mięśnie jej ust odmówiły współpracy z niechęcią do mówienia na ten temat. Stanowczo, niemal agresywnie oświadczyła:

– Clodagh w niczym nie przypomina mojej matki.

– Nie? – Dylan był pełen niezdrowej ciekawości.

– Zmiana wystroju salonu to nie jest depresja. A przynajmniej nie taka, jaką ja znam. Czy Clodagh odmawia wstawania z łóżka? Albo marzy o śmierci?

– Nie. – Pokręcił głową. – Skąd. Nic podobnego.

U matki też nie tak się to zaczęło. Choroba postępowała stopniowo. Wbrew swojej woli Ashling powróciła do przeszłości, znów miała dziewięć lat.

Właśnie wtedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Byli na wakacjach, kiedy tata komplementował piękny zachód słońca.

– Piękny koniec pięknego dnia. Prawda, Monico? Patrząc przed siebie, Monica powiedziała głucho:

– Dzięki Bogu, że słońce zachodzi, chcę, żeby ten dzień się skończył.

– Ale dzisiejszy dzień był wspaniały – upierał się Mike. – Słońce świeciło, bawiliśmy się na plaży...

Ale Monica powiedziała tylko:

– Jestem gotowa na koniec dnia.

Ashling przerwała kłótnię z Janet i Owenem. Czuła się samotna i niepokojna. Rodzice nie powinni mieć uczuć, a przynajmniej uczuć tego rodzaju. Mogli narzekać, kiedy nie odrobiło się lekcji albo nie zjadło obiadu, ale nie wolno im było mieć własnych, prywatnych smuteczków.

Pod koniec tego dwutygodniowego pobytu wrócili do domu i wydawało się, że z młodej, ślicznej i szczęśliwej, w jednej chwili mama stała się milcząca, zamyślona i nieufarbowana. Dużo płakała. Nagle, w ciszy, łzy zaczynały płynąć po jej twarzy.

– Co się dzieje? – wciąż pytał Mike. – Co się stało?

– Co się stało, mamusiu? – dopytywała się Ashling. – Czy brzusek cię boli?

– Boli mnie dusza – szeptała Monica.

– Weź sobie panadol dla dzieci – powtarzała Ashling to, co zwykle mówiła mama, gdy dzieci coś bolało.

Nieszczęścia innych ludzi wyprowadzały Monicę z równowagi. Płakała przez bite trzy dni z powodu klęski głodu w Afryce. Kiedy jednak Ashling

wróciła od Clodagh, obwieszczając radośnie, że: „ślą tam żywność”, Monica zaczęła płakać przez niemowlaka znalezione w kartonowym pudle.

– Biedne maleństwo – łkała. – Biedne, bezbronne maleństwo.

Kiedy mama płakała, tata uśmiechał się za nich oboje. Uśmiechał się wytrwale. Zawsze. Miał ważną pracę, zajmującą dużo czasu. Tak wszyscy mówili Ashling: „Twój tatuś ma bardzo ważną i zajmującą dużo czasu pracę”. Był komiwojażerem, podróżował z Limerick do Cork, z Cavan do Donegal, a w jego ustach te podróże przypominały przygody Robin Hooda. Miał tak ważną pracę, że często nie było go od poniedziałku do piątku. Ashling była z tego dumna. Wszyscy inni tatusiowie wracali do domów o wpół do szóstej wieczorem, a ona myślała sobie pogardliwie, że ich praca najwyraźniej nie jest zbyt ważna. A jej tatuś wracał do domu w weekendy i wciąż się uśmiechał.

– Co będziemy dzisiaj robić? – Klaskał w dłonie i uśmiechał się promiennie do rodziny.

– A co mnie to obchodzi? – mamrotała Monica. – Usycham od wewnątrz.

– A po co miałabyś robić coś równie głupiego? – przekomarzał się z nią.

Odwracał się do Ashling i dodawał konfidencjonalnym szeptem: – Twoja matka to artystka.

Matka od zawsze pisała poezje. Jeden z jej poematów opublikowano w antologii, gdy Ashling była bardzo mała. Odkąd zaczęło się popłakiwanie i te dziwne zachowania, Monica pisała o wiele więcej. Ashling wiedziała, co to takiego wiersze. Było to rymowanki o zachodach słońca i kwiatkach, zazwyczaj żonkilach. Kiedy jednak, po wpływie sugestii rozbawionej Clodagh, zerknęły do poematów Moniki, Ashling była zaszokowana. Mimo przygnębienia czuła niezwykłą wdzięczność za jedno – że Clodagh nie umie jeszcze zbyt dobrze czytać.

Wiersze się nie rymowały, rytm był nie taki jak trzeba, ale najwięcej troski przysporzyły jej pojedyncze słowa. W poematach Moniki Kennedy nie było kwiatów, tylko dziwne, brutalne wyrażenia, które Ashling przez dłuższy czas usiłowała rozszyfrować.

Przeszyta ciemnością,

Moja krew jest czarna.

Jestem pękniętym szkłem,

Jestem rdzewiejącym ostrzem

Jestem zbrodnią i karą.

Powróciwszy do teraźniejszości, Ashling zorientowała się, że Dylan patrzy na nią z niespokojnym zainteresowaniem.

– Nic ci nie jest? – spytał. Pokręciła głową.

– Przez chwilę myślałem, że na dobre utknęłaś w przeszłości.

– Nic mi nie jest – mruknęła Ashling. – Clodagh nie zaczęła pisać wierszy, prawda? – mówiąc to, zmusiła się do uśmiechu.

– Clodagh? Co za pomysł. – Dylan cicho zachichotał, jakby uświadomił sobie bezsens pytania. – Czyli mam zacząć się martwić, jeśli zabierze się do pisania poezji?

– Na pewno nie wcześniej. Prawdopodobnie jest po prostu zmęczona i powinna odpocząć. Może zrobisz coś fajnego? Poprawisz jej humor, wyjeżdżając z nią na wakacje czy coś? – Znowu, pomyślała z rozdrażnieniem. Lekko ją denerwowało, że Dylan prosi ją o radę, jak jeszcze bardziej uprzyjemnić życie Clodagh.

– W tej chwili nie mogę wziąć urlopu – powiedział.

– No to idźcie na jakąś wykwinną kolację.

– Clodagh boi się opiekunek do dziecka.

– Dlaczego? Co z nimi nie tak?

Dylan roześmiał się z lekkim zakłopotaniem.

– Boi się, że okażą się dręczycielkami. I pobiją dzieci. Szczerze mówiąc, ja też się tym przejmuję.

– Jezu, tworzy się coraz więcej sztucznych problemów, żeby ludzie mogli się zadrećzać. Weźcie kogoś, komu ufacie. Twoja mama?

– O nie! – Dylan skrzywił się ze smutkiem. – To niezbyt dobry pomysł.

Ashling pokiwała głową. Miał rację. Młoda pani Kelly i mniej młoda pani Kelly rozmawiały ze sobą oko w oko tylko podczas awantur, zwykle o to, jak dbać o Dylana i dzieci Dylana.

– A matka Clodagh cierpi na artretyzm – dodał Dylan. – Nie poradzi sobie z dziećmiakami.

– Ja mogę ich przypilnować, jeśli chcecie – zaproponowała Ashling.

– W weekend? Taka imprezowa dziewczyna?

– Tak – odparła po krótkim wahaniu. – Tak – powtórzyła bardziej stanowczo, nawet nieco wrogo. – A dlaczego nie?

Jeśli naprawdę będzie zajęta, zwiększy to prawdopodobieństwo telefonu od Marcusa Valentine'a.

– Niesamowite. – Dylan wyraźnie się ożywił. – Dzięki Ashling, kochana jesteś. Zarezerwuję coś na sobotni wieczór. Zobaczą, czy uda mi się załatwić stolik w L'Oeuf.

No jasne, pomyślała Ashling, rozbawiona wbrew sobie. A niby gdzie? L'Oeuf to arystokrata wśród dublińskich restauracji. O dziwo, lokal ciągle był modny, mimo że nie serwowano w nim azjatyckiej kuchni fusion ani współczesnej kuchni irlandzkiej. Był wiecznie wspaniały, a od wspaniałości potraw kręciła się łza w oku. Od cen również.

– Twoja mama ma się już lepiej, prawda? – Dylan usiłował poprawić sytuację, powracając do pierwotnego tematu.

„Lepiej” było pojęciem względnym, a poza tym niezbyt precyzyjnym, ale żeby usatysfakcjonować Dylana, Ashling pokiwała głową.

– Tak, ma się lepiej – odparła.

– Świetna z ciebie dziewczyna, Ashling – powiedział Dylan na pożegnanie.

To prawda, pomyślała z przekąsem Ashling.

23

Dziesięć minut drogi dalej Lisa i Jasper Ffrench, słynny szef kuchni, jedli posiłek w hotelu Clarence. Jasper zażądał, żeby przyszli właśnie tutaj, bo chciał powydziwiać, że jedzenie nie jest nawet w ćwierci tak dobre jak to serwowane w jego restauracji. Był przystojny, niemiły, manifestował wszem wobec, że jest geniuszem, a względem konkurencji odczuwał jedynie zazdrość.

– Amatorzy! – grzmiał, wymachując szóstym kieliszkiem wina. – Sami amatorzy i dyletanci. Marco Pierre White – amator! Alasdair Little – amator!

Jezu Chryste, ale z ciebie upierdliwiec, myślała Lisa, kiwając głową z uprzejmym uśmiechem. Dobrze, że potrafiła sobie radzić z trudnymi mężczyznami.

– Właśnie dlatego wybraliśmy ciebie, byś razem z nami cieszył się sukcesem „Irlandki”, Jasperze.

Nie do końca była to prawda. Jasper został wybrany po tym, jak Conrad Gallagher odrzucił ofertę Lisy, wykręcając się nadmiarem pracy.

Gdy Jasper osuszał drugą butelkę wina, Lisa miała go perspektywą rozwoju kariery. Bez żadnych konkretnych obietnic zasugerowała mu, że stały

felieton w „Irlandce” może przerodzić się w autorski program na Kanale 9, stacji telewizyjnej należącej do Randolph Media.

– Biorę to! – postanowił Jasper. – Wyślij mi rano umowę.

– Tak się składa, że mam ją przy sobie. – Lisa postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

Jasper nabazgrał swój podpis, i to w doskonałej chwili, bo właśnie podszedł kelner, by zabrać talerz Lisy. Jak zwykle tylko przesuwała jedzenie po talerzu, ale niemal nic nie zjadła.

– Czy coś pani nie smakowało? – spytał kelner.

– Nie. Było pyszne, ale... – Lisa uświadomiła sobie, że Jasper piorunuje ją wzrokiem, więc szybko zmieniła werdykt na bardziej neutralny. – Było w porządku.

– Jeśli dostała coś równie obrzydliwego, jak moja potrawa, to nic dziwnego, że nie jadła – oświadczył wyzywającym tonem Jasper. – Bliny z czarnym puddingiem? To już nawet nie banał. To jakiś dowcip!

– Przykro mi to słyszeć, proszę pana. – Kelner beznamiętnie wpatrywał się w Jaspiera i jego pusty talerz. – Mają państwo ochotę na deser?

– Nie, nie mamy ochoty – oświadczył Jasper z naciskiem, ku żalowi Lisy.

W tym tygodniu była na diecie deserowej. Rzecz jasna, chodziło o lżejsze desery – świeże owoce, sorbety, musy owocowe. Już od ponad dekady jej usta nie zaznały bliskości czekoladowej śmierci.

No cóż, to bez znaczenia. Zapłaciła rachunek i oboje wstali, żeby wyjść, jedno nieco mniej pewnie niż drugie. Przy drzwiach uścisnęli sobie ręce, po czym Jasper zatoczył się lubieżnie na Lisę, która taktownie się odchyliła. Wszystko jedno, umowę już miała.

Przygnębiony Jasper chwiejnym krokiem ruszył ulicą, a w chwili, gdy Lisa znów została sama, powróciła depresja. Dlaczego? Dlaczego wszystko tutaj było takie trudne? W Londynie czuła się dobrze. Nawet po odejściu Olivera jakoś sobie radziła. Parła do przodu, realizowała swoją wizję, działała, pewna, że czeka ją za to nagroda. Nagroda jednak trafiła do kogoś innego, a ona sama znalazła się w Irlandii i najwyraźniej jej mechanizmy przetrwania tutaj nie działały.

Wczoraj nie zadzwoniła do mamy, chociaż była niedziela. Czuła się zbyt przygnębiona. Ubrała się tylko po to, żeby pójść do obskurnego sklepiku na rogu po lody i pięć gazet, a gdy tylko wróciła do domu, otuliła się kocem i przez cały dzień tkwiła w chmurze papierosowego dymu. Jej jedynym łącznikiem z ludzkością były miejscowe ośmiolatki grające w piłkę pod drzwiami Lisy.

Zanim zatrzymała taksówkę, wpadła do sklepiku po papierosy i zrobiło się jej lżej na sercu, gdy ujrzała, że nowy „Irish Tatler” już wyszedł. „Irish Tatler” był jednym z rywali „Irlandki” i poddawanie go dekonstrukcji zajmowało akurat cały wieczór. Dom już nie wydawał się taki ohydny.

– Cześć, Liiiiiiisa! – wrzasnęło do niej stadko dziewczynek bawiących się na jezdni, gdy wysiadła z taksówki. – Masz seksowną sukienkę.

– Dziękuję.

– Jaki rozmiar butów nosisz?

– Szóstkę.

Nastąpiła pośpieszna narada. Ile to szóstka? Za dużo, doszły w końcu do wniosku.

Weszła do środka, rzuciła torebkę na podłogę, włączyła elektryczny czajnik i zerknęła na sekretarkę. Żadnych wiadomości, co specjalnie jej nie zdziwiło, gdyż nikt nie znał tego numeru. Mimo to poczuła się jak nieudacznik.

Ściągnęła swoje piękne buty, rzuciła sukienkę na krzesło, po czym przebrała się w spodnie z gumką i krótki podkoszulek. Nagle zabrzączał dzwonek. Pomyślała, że to pewnie jedna z małych dziewczynek chce zapytać, czy mogłaby dostać torebkę Lisy, kiedy właścicielce już się znudzi.

Z westchnieniem otworzyła drzwi, a tam, na schodku, oparty o framugę, stał Jack.

– O – powiedziała, bo ją zatkało ze zdziwienia.

Po raz pierwszy ujrzała go bez garnituru. Długą koszulę bez kołnierzyka miał rozpiętą do połowy piersi – nie ze względu na fason, ale brak górnych guzików. Jego bojówki wyglądały tak, jakby służyły dzielnie w obu wojnach światowych, miały też dziurę, przez którą wyglądało gładkie kolano i parę centymetrów kwadratowych owłosionej łydki. Był nawet bardziej potargany niż zwykle i zarośnięty – facet z takim zarostem musiał się golić dwa razy dziennie.

Nadal opierał się o framugę, ale wyciągnął przed siebie narzędzie w prawej ręce, niczym policjant odznakę.

– Mam regulator do twojego bojlera. – Zabrzmiało to dziwnie dwuznacznie. – Przepraszam, że tyle to trwało. – Zawahał się nagle. – Czy to odpowiedni moment?

– Wejdz – powiedziała Lisa. – Wejdz.

Była zdumiona, gdyż w Londynie nikt nie wpadał do niej bez zapowiedzi. Nigdy się z nikim nie umawiała, dopóki nie otworzyła palmtopa i nie zagrała w grę pod tytułem: „Jestem bardziej zajęta i ważniejsza od ciebie”. Był

to wyszukany rytuał, którym rządziły skomplikowane zasady. Chętny musiał podać przynajmniej pięć różnych propozycji, które zostawały odrzucone, nim wreszcie ustalano konkretną datę spotkania.

– Następny wtorek? Będę w Mediolanie.

Co jest wskazówką dla drugiej osoby, która mówi wtedy:

– A ja nie mogę w żadną środę, bo mam seanse reiki. Na co odpowiada się:

– Czwartki odpadają, przychodzi mój nauczyciel techniki Alexandra.

Napięcie wzrasta, gdy druga osoba ripostuje:

– Następny weekend jest wykluczony. Jadę z przyjaciółmi do domku w Krainie Jezior.

Na co bystry zawodnik odpowiada:

– Cały przyszły weekend nie wchodzi w grę. Jadę w interesach do Los Angeles.

Kiedy w końcu data zostaje ustalona, można – a nawet należy – odwołać spotkanie, tłumacząc się złym samopoczuciem po podróży samolotem, kolacją z klientem i obowiązkową wyprawą do Genewy, żeby zwolnić siedemdziesięciu pracowników.

Podobnie jak okulary od Gucciego albo torebki od Prady, Brak Czasu jest również jednym z wyznaczników statusu społecznego. Im mniej się ma czasu, tym jest się ważniejszym. Jack najwyraźniej tego nie wiedział.

Z podziwem rozejrzał się dookoła.

– Mieszkasz tu od trzech albo czterech dni, a dom od razu wygląda lepiej.

Na przykład to... – Wskazał szklaną misę pełną białych tulipanów. – I to. – Wazon z suszonymi kwiatami także przyciągnął jego uwagę.

Dobrze, że nie widział kubków pod jej łóżkiem, które właśnie zaczęły zarastać pleśnią. Jej mieszkania zawsze były triumfem stylu nad higieną. Powinna sobie załatwić sprzątaczkę...

– Napijiesz się czegoś? – zaproponowała.

– Masz piwo?

– Eee... nie. Mam trochę białego wina.

Poczuła idiotyczną przyjemność, kiedy przyjął od niej kieliszek.

– Przyniosę tylko rzeczy z auta – powiedział, wyszedł i po chwili wrócił z niebieskim, metalowym pojemnikiem.

O Boże, miał skrzynkę z narzędziami! Musiała przysiąc na rękach, żeby powstrzymać się od dotykania go, od zerwania ostatnich guzików na jego koszuli, od obnażenia jego szerokiej klaty owłosionej właśnie tak jak trzeba, od przejechania dłońmi po gładkiej skórze jego pleców...

– Mogę otworzyć drzwi z tyłu? – Przerwał ten wyimaginowany przez nią uścisk miłosny.

– Hm, oczywiście, proszę. – Patrzyła, jak przechodzi przez kuchnię i odsuwa zasuwkę, której od jego ostatniej wizyty nikt nie dotykał. Do pomieszczenia wpadł orzeźwiający wietrzyk, przynosząc gęsty, wieczorny zapach liści oraz gwizdy i piski ptaków przygotowujących się do snu. Milutkie. Jeśli się lubi takie rzeczy.

– Siedziałaś już w ogrodzie? – spytał Jack.

Nie.

– Tak.

– Tak tam spokojnie, aż trudno uwierzyć, że jest się w mieście.

– Wiem. – Mów mi jeszcze.

– No proszę. – Popatrzył na bojler. – Robota wydaje się prosta, ale nigdy nie wiadomo.

Zakasał rękawy, ukazując pięknie umięśnione przedramiona, i zabrał się do pracy. Lisa siedziała w kuchni, ściskając kolano i ciesząc się, chyba aż za bardzo, obecnością przystojnego mężczyzny w swoim domu. Postanowiła, że niezależnie od wszystkiego, nie będą rozmawiali o reklamodawcach. Sytuacja idealnie nadawała się do flirtu.

– Powiedz mi wszystko o sobie – powiedziała kokieteryjnie do jego pleców.

– A co chcesz wiedzieć? – Niezbyt elegancko walił metalowym narzędziem o metal. Potem okręcił się i wykrzyknął z lekką złością: – Liso, dajże spokój! Po takim pytaniu każdy ma pustkę w głowie.

– No to powiedz mi, jak stałeś się dyrektorem zarządzającym komercyjnej stacji telewizyjnej, stacji radiowej i kilku poczytnych magazynów, a to wszystko w wieku trzydziestu dwóch lat. – No dobrze, może i trochę przesadziła z entuzjazmem, ale znała się na pochlebstwach.

– To zwykła praca – odparł krótko, jakby podejrzewał, że Lisa robi sobie z niego jaja. – Wywalili mnie z poprzedniej roboty, musiałem jakoś zarobić na życie.

Wywalili? To się jej nie spodobało.

– Dlaczego cię wywalili?

– Zaproponowałem radykalną zmianę polegającą na wypłacaniu pracownikom takich pieniędzy, na jakie zasłużyli, i dopuszczeniu ich do zarządzania firmą. W zamian mieli ustąpić w sprawie nadgodzin i podziału obowiązków zawodowych, ale zarząd uznał, że jestem zbyt lewicowy, i wyleciałem.

Lewak? Lewacy byli drętwi, prawda? Zmuszali człowieka do chodzenia na marsze i jeździli ohydnyimi samochodami. Trabantami. Ładami. O ile w ogóle mieli jakikolwiek samochód. Ale przecież Jack jeździł beemką.

– Za mojej idealistycznej młodości – solidnie uderzył kluczem francuskim w rurę – można mnie było nazwać socjalistą.

– Ale już chyba nim nie jesteś? – spytała zaniepokojona.

– Nie. – Zachichotał ponuro. – Nie bądź taka przerażona. Dałem sobie z tym spokój, kiedy zobaczyłem, że większość robotników jest szczęśliwa, gdy gra w lotto, kupuje udziały prywatyzowanych państwowych firm i sama potrafi zadbać o swój ekonomiczny byt.

– No właśnie. Najważniejsza jest ciężka praca – oświadczyła Lisa. W końcu sama nie robiła nic innego. Pochodziła z klasy robotniczej – to znaczy, ściśle rzecz biorąc, pochodziłaby, gdyby jej ojciec kiedykolwiek pracował – i w żaden sposób jej to nie zaszkodziło.

Jack odwrócił się i dziwnie do niej uśmiechnął. Ironicznie i smutno.

– Opowiedz mi o swojej karierze – poprosiła.

Jack wrócił do naprawy bojlera i zaczął mówić bez najmniejszego entuzjazmu w głosie.

– Zrobiłem magisterium z mediów, potem odbyłem obowiązkowy staż poza Irlandią – dwa lata w nowojorskim koncernie medialnym, cztery w San Francisco, w telewizji kablowej. Wróciłem do Irlandii akurat na początek boomu ekonomicznego, pracowałem w koncernie prasowym, wyleciałem. Dwa lata temu stary Calvin Carter zatrudnił mnie tutaj.

– A jak się odstresowujesz? – Lisa z przyjemnością patrzyła, jak koszula Jacka opina się na jego umięśnionych plecach. – Na przykład – uśmiechnęła się łobuzersko, czego oczywiście nie zobaczył – grasz w golfa?

– Ostatni raz przychodzę naprawić ci bojler – wymamrotał.

– Tak właśnie myślałam, że nie wyglądasz na golfiarza. – Zachichotała. –

No to co robisz?

– Liso, nie zadawaj mi tych wszystkich pytań. – Uśmiechnął się do niej. – Naprawiam bojler. Wpadam bez zapowiedzi do rozmaitych domów i upieram się, że naprawię bojler dla właścicieli. Czasem nawet te nie zepsute. – Umilkł i skoncentrował się na starannym wkręcaniu śruby, po czym powiedział: – Co jeszcze? Spotykam się ze swoją dziewczyną. Żegluję.

– Na jachcie? – spytała z zaciekawieniem Lisa, ignorując wzmiankę o Mai.

– Nie, właściwie nie. Wcale nie. To jednoosobowa żaglówka, wielkości deski do surfowania. Co jeszcze? Gram przez pół nocy w Sim City, czy to się liczy?

– A co to? Gra komputerowa? Pewnie, że się liczy. Coś jeszcze?

– Nie wiem. Chodzimy do pubu albo do restauracji, dużo gadamy o pójściu do kina, ale – czego w ogóle nie rozumiem – jakoś nie możemy tam dotrzeć.

Lisie bardzo się nie podobała ta liczba mnoga. Uznała, że z pewnością się odnosi do Jacka i Mai, ale nie wiedziała, co robią, zamiast chodzić do kina. Mogła tylko zgadywać.

– Widuję się ze znajomymi ze studiów, oglądam telewizję, no, ale to akurat w ramach wypełniania obowiązków zawodowych.

– Jasne. – Lisa żartobliwie zmarszczyła brwi. Nagle coś sobie uświadomiła. – To lubisz najbardziej, prawda? Pracę w stacji telewizyjnej?

– Tia... – Patrzyła, jak mięśnie jego pleców się napięły, gdy przypomniał sobie, z kim rozmawia. – Eee... pracę w czasopismach też lubię. Nie masz pojęcia, jak muszę harować w Kanale 9...

– Wolałbyś więc się obejść bez „Irlandki” i całej tej dodatkowej roboty?
– wypytywała go.

Jack taktownie uniknął odpowiedzi na jej pytanie.

– Chodzi o to, że praca w Kanale 9 stała się bardzo satysfakcjonująca. Po dwóch latach wyrzeczeń i walki, w końcu pracownicy są dobrze opłacani, sponsorzy zadowoleni, a odbiorcy dostają inteligentne programy. I jesteśmy bliscy przyciągnięcia inwestorów, dlatego możemy zamawiać coraz więcej produkcji wysokiej klasy.

– Świetnie – wymamrotała Lisa. Miała już dość słuchania o Kanale 9. – I co jeszcze robisz?

– Aaa... – Jack myślał na głos. – W większość weekendów odwiedzam rodziców. Wpadam na godzinę. Nie są już tacy młodzi, więc czas spędzony z nimi jest cenny. Chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Z rozpaczliwą szybkością Lisa zmieniła temat.

– Chodzisz na otwarcia restauracji? Albo gale premierowe, tego typu rzeczy?

– Nigdy – odparł krótko. – Nienawidzę tego. Urodziłem się bez genu gadatliwości, chociaż na pewno nie muszę cię o tym przekonywać.

– Jak to? – Lisa postanowiła udawać ignorantkę.

– Daj spokój, jestem wybuchowym mrukiem.

– Dla mnie nie – odparła Lisa, co nie znaczyło, że nie dostrzegła jego napadów złości.

– Wcale tego nie chcę – powiedział trochę smutno. – Tak się po prostu dzieje, a potem zawsze mi przykro.

– Czyli więcej szczekasz, niż gryziesz? Obrócił się na pięcie.

– Gotowe! – powiedział, odkładając klucz. — Nie zawsze – dodał cicho.
– Czasem gryzę bardzo mocno.

Zanim zdążyła zareagować na to prowokacyjne oświadczenie, wrzucił już klucze i śrubokręty do skrzynki.

– Ma wbudowany dwudziestoczworogodzinny zegar, więc nie powinnaś mieć problemów z nastawieniem gorącej wody, kiedy tylko zechcesz. Do zobaczenia jutro i przepraszam, że wpadłem bez uprzedzenia.

– Nie ma...

Ale już wyszedł. Dom wydawał się zbyt pusty, a Lisa pozostała sama z samymi swoimi myślami.

Olivera interesowały ubrania, przyjęcia, sztuka, muzyka, kluby i znajomość odpowiednich ludzi. Jack był źle ubranym, ukrytym socjalistą, który żeglował na desce do surfowania i nie prowadził żadnego życia towarzyskiego. Był jednak również duży, seksowny, niebezpieczny i ładnie pachniał, a poza tym nie można mieć wszystkiego.

24

„Świetna z ciebie dziewczyna, Ashling, świetna z ciebie dziewczyna, Ashling”. Wciąż pamiętała słowa Dylana, wędrując do domu z Shelbourne. Zapomniała o nich tylko na chwilę, gdy wpadła coś zjeść do Cafe Moka.

Dotarła w końcu do domu i ujrzała, że siedzi przed nim Boo.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Od paru dni cię nie widziałam. Boo wzniosł oczy ku niebu.

– Kobiety! – wykrzyknął żartobliwie. – Zawsze usiłują wybadać, co robisz. – Jego oczy w nieogolonej twarzy lśniły. – Miałem ochotę na małą zmianę. – Pomachał brudną dłonią w pozornie lekceważącym geście. – Piękne wejście do sklepu na Henry Street bardzo mnie kusilo, więc na parę nocy tam się zatrzymałem.

– Sypiasz, gdzie popadnie – oznajmiła Ashling. – Typowy facet.

– To nic nie znaczyło – powiedział natychmiast. – Sprawa czysto fizyczna.

– Wczoraj wieczorem miałam dla ciebie książki. – Ashling była zirytowana, że znowu dała się zaskoczyć. Nagle przypomniało się jej, że ma w torebce egzemplarz recenzyjny powieści Patricii Cornwell. Nikt w biurze go nie chciał, więc Ashling wzięła książkę dla Joy. – Może to cię zaciekawi? – Z zakłopotaniem pogrzebała w torebce. Oczy Boo rozbłysły takim zainteresowaniem, że aż zrobiło się jej niedobrze. Tyle miała, on zaś nic poza pomarańczowym kocem.

– Śmiertelnie – wydyszał. – Będę o nią dbał, dopilnuję, żeby nic się jej nie stało.

– Możesz ją sobie zatrzymać.

– Jak to?

– Dostałam ją... eee... za darmo. W pracy.

– Superpraca – mruknął. – Dzięki, Ashling, naprawdę to doceniam.

– To nic takiego – powiedziała sztywno. Była przygnębiona niesprawiedliwością świata, zła na siebie, że tyle ma, czuła się winna, bo tak niewiele zrobiła.

Gdy wkładała klucz do zamka, zawołał:

– I co myślisz o Marcusie Valentinie?

– Nie wiem. – Przez chwilę miała ochotę opowiedzieć mu ze szczegółami, jak się jej nie podobał, a potem zobaczyła go na scenie i musiała zmienić zdanie, jak pragnęła, żeby do niej zadzwonił, i liczyła, że w domu czeka na nią wiadomość i... chwileczkę.

– Zabawny. – Uśmiechnęła się słabo do Boo. – Był naprawdę zabawny.

Tak, cholernie. Najpierw mówi, że zadzwoni, a potem nie ruszy dupy. Pobiegnęła po schodach, żeby sprawdzić, czy czeka na nią wiadomość.

Na widok pulsującego czerwonego światełka zakreśliło się jej w głowie. Nacisnęła „play”, a kiedy taśma się przewijała, szybko potarła Buddę na szczęście, dotknęła szczęśliwego kamyka, pogłaskała szczęśliwy kryształ i włożyła na głowę szczęśliwą czerwoną czapkę. Błagam, Dobra Mocy Wszechświata, którą nazywam Bogiem, wyszeptwała w myślach. Niech to będzie on.

Najwyraźniej nastąpiły jakieś zakłócenia kontinuum czasowo-przestrzennego, bo jej życzenie się spełniło. Ale nie to, co trzeba. Spełniło się przeterminowane życzenie – wiadomość zostawił Phelim. Tyle razy w przeszłości modliła się, żeby do niej zadzwonił, a teraz, gdy wreszcie to zrobił, było już za późno.

– Cześć, Ashling – zaskrzeczał z Sydney. – Jak tam? – mówił radośnie i po australijsku, ale po chwili powrócił do dublińskiego akcentu. – Posłuchaj, ciągle zapominam kupić mamie prezent na urodziny, a to naprawdę bardzo ważne. Weź kup jej jakąś ozdobę czy coś, wiesz lepiej ode mnie, co lubi, potem się rozliczymy. Dzięki, kochana jesteś.

– Cholerny dupek – wymamrotała, ściągając z głowy szczęśliwą czapkę. Gdyby nie zaopatrzyła go w bilety, wizy, paszporty i australijskie dolary, Phelim nadal by kombinował, jak wydostać się z kraju. Niemal dosłownie

zawiesiła mu tabliczkę z nazwiskiem na szyi i wepchnęła go do samolotu. Potem nagle zauważyła swoją reakcję – całkowity brak mdłości, tęsknoty czy bólu. Kontakt z Phelimem zwykle ją przygnębiał, ale wyglądało na to, że zaczęła wierzyć w to, co tak długo sobie wmawiała. Udało jej się odkochać.

Podniosła telefon i zadzwoniła do Teda.

– Gdyby tylko był tu pewien urzędnik administracji państwowej... – powiedziała na powitanie.

– Już idę.

– Przyrowadź Joy.

Po chwili Ashling powitała Teda i Joy słowami:

– Kłopot z facetem.

– Ja też – pochwaliła się Joy.

– Człowiek–borsuk?

– Kutas–borsuk – poprawiła ją Joy. – Zbywa mnie. Ale który to facet sprawia ci kłopot, Ashling? Pan Smakołyk w pracy? Chyba to przewidziałam, co?

– Kto? Och, Jack Devine? – Na wspomnienie kartonu papierosów poczuła się niezręcznie, więc szybko przeszła do relacjonowania sugestii, by zachowywała się zgodnie ze swoim wiekiem, a nie z ograniczeniem prędkości, i znowu wiedziała, na czym stoi. – Ten sukinsyn?

Joy popatrzyła na Teda z uśmiechem, który mówił: „A nie mówiłam?”

– Widzę, że w grę wchodzi potężne emocje – zauważyła pobłaźliwie.

– Nie chodzi o Jacka Devine'a – upierała się Ashling. – Tylko o tego komika, Marcusa Valentine'a.

– Co ty mówisz? – spytała z wahaniem Joy.

I tak Ashling opowiedziała im wszystko o tym, jak poznała Marcusa na imprezie, o wiadomości z tekstem: „Zwoń moi”...

– Przecież wykorzystał to podczas występu – powiedział podniecony Ted. – Dziewczyna, o której mówił, to ty. Niesamowite!

Ashling uniosła dłoń w górę, uciszając ich.

– Potem spotkałam go w zeszły weekend na przyjęciu w Rathmines i nadal mi się nie podobał. Następnie widziałam go w sobotę i chyba polubiłam. Powiedział, że do mnie zadzwoni, i nie zadzwonił.

– Pewnie, że nie! – wykrzyknęła Joy. – Przecież jest dopiero poniedziałek!

Po tych słowach Ashling wrócił zdrowy rozsądek.

– Masz absolutną rację! Zadręczam się jak zawsze, a nawet nie jestem pewna, czy mi się podoba. I pomyśleć, że wczoraj cały dzień chodziłam jak struta! Czy ja się nigdy nie nauczę?

– Jeśli zadzwoni, to we wtorek albo środę – powiedziała Joy z wielką pewnością siebie.

– Skąd wiesz?

– To zasada facetów. Ted, zapamiętaj sobie. Jeśli poznasz dziewczynę w sobotę, nigdy nie dzwonisz przed wtorkiem, bo wyjdzie na jaw, że ci zależy. Jeśli nie zadzwoni we wtorek ani w środę, w ogóle nie zadzwoni.

– A czwartek? – spytała zaniepokojona Ashling.

– Za blisko weekendu. – Joy pokiwała głową z zadumą. – Zakładają, że możesz już mieć jakieś plany i nie zaryzykują odrzucenia.

– Szczerze mówiąc, sobotni wieczór mam zajęty. – Ashling na chwilę zmieniła temat. – Powiedziałam, że popilnuję dzieci Dylana i Clodagh.

– Mogę iść z tobą? – wydyszał Ted.

– Nie mów mi, że podkochujesz się w księżniczce – powiedziała z pogardą Joy.

– Jest piękna.

– Jest potwornie zepsuta i...

– Mogę iść? – Ted całkiem zignorował Joy.

– Ted, jeśli ktoś pilnuje dzieci Clodagh, to Clodagh tam nie ma. – Ashling była wkurzona na Teda, że usiłuje zrobić z niej pośrednika we flircie między nim a jej bardzo zamężną przyjaciółką.

– Wszystko jedno... Posłuchaj, spytasz ją, czy mogę przyjść? Sama i tak nie dasz sobie rady z dwójką dzieci.

Ashling była wkurzona, ale jednocześnie czuła, że Ted ma rację.

W pojedynkę nie była godnym przeciwnikiem dla połączonych sił Molly i Craiga.

– No dobrze, zapytam. – Jeśli jednak faktycznie Clodagh tak nerwowo podchodziła do opiekunek dla dzieci, jak twierdził Dylan, nie było mowy, żeby wpuścili Teda do domu.

– Moim zdaniem Marcus Valentine zadzwoni jutro albo w środę. – Joy była zmęczona gadaniem o Clodagh.

– Nie będzie mnie tu jutro wieczorem.

– A dokąd idziesz? – Na lekcję salsy.

– Co?

– Spodobało mi się – oświadczyła przepraszającym tonem Ashling. – To tylko dziesięć tygodni. Poza tym dramatycznie brak mi formy.

– Strasznie schudniesz – zmartwiła się Joy.

– Wcale nie – burknęła Ashling. – Od wielu lat mam kartę członkowską siłowni i nie ubył mi nawet centymetr.

– Może warto by było od czasu do czasu poćwiczyć – zauważyła z przekąsem Joy. – Płacenie składek to jeszcze nie wszystko.

– Kiedyś ćwiczyłam – przypomniała jej Ashling obrażonym tonem.

I rzeczywiście tak było, robiła setki wariacji przysiadów i ćwiczeń na talię: skłony proste, ukośne i skręty talii. Na przemian dotykała lewego kolana prawym łokciem i na odwrót, aż cała jej twarz nabiegała krwią, a w oczach pękały naczynka krwionośne. Kiedy jednak stało się jasne, że gdyby nawet skłonami doprowadziła się do stanu śpiączki, jej talia ani trochę się nie zmniejszy, poddała się. Doszła do wniosku, że reszta nie prezentuje się najgorzej, a ćwiczenia nic nie dają.

Salsa to co innego. Nie chodziła tam dla swojej talii. Chciała się dobrze bawić.

– Masz hobby – oskarżyła ją Joy w nagłym ataku zazdrości. – Będiesz jedną z tych dziwnych osób, które mają hobby.

– To nie jest hobby – odparła zaniepokojona Ashling. – Tylko coś, co chcę robić.

– A myślisz, że czym jest hobby?

– Skoro o salsie mowa – wtrącił Ted. – Przejrzałem twój artykuł i uważam, że jest niesamowity. Zasugerowałem parę zmian, ale i tak jest świetny.

– Naprawdę? – Ashling ledwie mogła w to uwierzyć. Męczyła się nad nim przez trzy pełne noce w zeszłym tygodniu i doszła do wniosku, że jest całkiem zabawny, ale nie była pewna, czy przypadkiem tylko jej się tak nie wydaje.

– Rozbawił mnie. To miła odmiana popracować nad czymś takim, zamiast nad raportem o tępieniu brucelozы wśród bydła mlecznego. Kuszące,

prawda? – zauważył nie bez goryczy. – Nic dziwnego, że Clodagh nie jest mną zainteresowana. Im szybciej przeniosą mnie do Ministerstwa Obrony, tym lepiej.

I natychmiast zaczął opowiadać o karabinach maszynowych, opancerzonych samochodach, umorusanych twarzach, skomplikowanych scyzorykach i innych atrybutach prawdziwego samca.

– Patrz, co dla ciebie mam. – Joy wyciągnęła kartkę papieru. Widniały na niej rysunki podeszew butów, ilustrujące kolejność kroków w salsie. Joy narysowała je w śmieszny, komiksowy sposób, ze strzałkami i przerywanymi liniami, które pokazywały, co się dzieje.

– Świetny pomysł! – wykrzyknęła Ashling. – Oboje jesteście fantastyczni.

Przerażający artykuł powoli zmieniał się w coś całkiem przyzwoitego. Miała fotki samej siebie oraz Joy, do tego poprosiła dyrektora artystycznego Gerry'ego, żeby wyszukał zdjęcia dwójki tancerzy. Znalazł świetną fotografię, kobieta była odchylona, jej czarne włosy dotykały podłogi, a mężczyzna pochylał się nad nią znacząco. Bardzo erotyczne. Ashling doświadczyła chwilowego odpoczynku od gnębiącego ją przeświadczenia, że w ogóle nie nadaje się do tej pracy.

Zadzwoił telefon, a ponieważ automatyczna sekretarka była nadal włączona, czekali w napięciu, by sprawdzić, kto dzwoni. Czyżby Marcus Valentine?

– Na pewno nie. – Joy westchnęła z rozdrażnieniem. – Jest dopiero poniedziałek.

Dzwoniła Clodagh.

– Nie podniecaj się tak – mruknęła sarkastycznie Joy do Teda. Choć wiadomość była krótka, to w kontekście niepokoju Dylana przestraszyła Ashling.

– Ashling – rzuciła Clodagh. – Możesz zadzwonić? Chciałabym ci o czymś opowiedzieć.

25

We wtorkowy poranek, kiedy wymalowana Trix weszła do biura na swoich plastikowych platformach, towarzyszył jej słaby, ale bardzo charakterystyczny zapach ryb. Ashling zauważyła to natychmiast po przyjściu, podobnie każdy następny pracownik redakcji już w progu zaczynał pociągać nosem. Uświadomienie tego Trix jednak byłoby nieco niezręczne i sprawa pozostawała nierozwiązana, dopóki nie zjawił się Kelvin. W końcu miał dwadzieścia parę lat, wulgarność była jego chlebem powszednim.

– Trix, śmierdzisz czymś, co, jak mam nadzieję, jest rybą.

– Jest.

– Możemy spytać, dlaczego śmierdzisz?

– Chciałam zmotoryzowanego faceta – odparła, nadąsana. Kelvin kilkakrotnie się spoliczkował.

– Nie! – oświadczył radośnie. – Jestem całkiem przytomny, a to nadal, nie ma sensu.

– Chciałam zmotoryzowanego faceta – powtórzyła Trix ze złością. – Poznałam Paula, jest dostawcą ryb, a po pracy korzysta ze służbowego vana.

Nic dziwnego, że myśl o wymuskanej, migotliwej Trix siedzącej obok ławicy ryb sprawiła, że redakcja zaczęła wic się w konwulsjach.

- Siedziałam z przodu, razem z kierowcą – zaprotestowała bezskutecznie.
- Nie z tyłu, z rybami.
- A twoi inni faceci? – spytał Kelvin.
- Pozbyłam się ich.

Chciałabym być taka twarda jak ona, pomyślała Ashling, z furją uderzając w klawisze. Wpisywała do komputera artykuł o salsie. Gdy już został przepisany, dała go Gerry'emu, który dołączył szkice Joy i fotografie.

– Poeksperymentuję z różnym krojem czcionki i z kolorami – oznajmił. – Daj mi trochę czasu, potem pokażemy Lisie. Bez obaw, zrobię z tego cacko.

– Wierzę ci – oświadczyła. Gerry był oazą spokoju, nigdy nie panikował, niezależnie od tego, jak niejasne czy trudne zadania przed nim stawiano.

Postanowiła skrócić sobie czekanie telefonem do Clodagh.

– Mówiłaś, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać – powiedziała niespokojnie.

– To prawda. – W tle słychać było typowe dla rozmów z Clodagh hałasy.
– Craig jest chory, a Molly znów nie wolno chodzić do przedszkola.

– Co zrobiła?

– Najwyraźniej usiłowała puścić z dymem to miejsce. Przecież to tylko mała dziewczynka, odkrywa świat, przekonuje się, do czego służą zapalki. A czego się spodziewali? – Znowu rozległo się okropne wycie. – Przynajmniej ma w sobie ciekawość nowego. Ale ja, kurwa, odchodzę od zmysłów, Ashling.

Tego się właśnie obawiam, pomyślała Ashling.

– Nie o tym chciałam mówić. Molly, odłóż ten nóż, natychmiast! Craig, jeśli Molly cię bije, to na litość boską, oddaj jej! Ty maminsynku – wydyszała z pogardą. – Muszę kończyć, Ashling, zadzwonię później.

I przerwała połączenie. A więc Dylan miał rację, działo się coś złego. Ashling nerwowo przełknęła ślinę. Trudno, chrzanić to.

Usiłując się rozerwać, nacisnęła kilka przycisków na komputerze, kiedy dostrzegła, że przyszedł do niej e-mail. To Joy przysłała jej dowcip. „Jaka jest różnica między nudystą a bmw?”

– Opowiem wam dowcip! – wykrzyknęła Ashling do wszystkich w redakcji. Natychmiast porzucili pracę. Nie trwało to długo. – Jak jest różnica między...

– Znam – warknął Jack Devine, idąc do swojego gabinetu.

– Przecież nawet nie wiesz, co zaraz powiem – zaprotestowała Ashling.

– Nudysta ma kutasa na zewnątrz. – Jack zatrzasnął za sobą drzwi.

Ashling była wstrząśnięta.

– Skąd wiedział?

– Czy to dowcip o bmw i nudyście? – spytał Kelvin. Kiedy pokiwała głową, wyjaśnił jej uprzejmie:

– Krąży już od paru dni. Jack jeździ beemką, więc słyszał go wiele razy.

– Aaa. A już myślałam, że znowu pokłócił się ze swoją dziewczyną.

– Czy macie pojęcie, w jakim stresie pracuje biedny pan Devine? – Pani Morley podniosła się zza biurka (choć przez to wcale nie zrobiła się wyższa). W jej głosie pobrzmiwał pełen troski gniew. – Do dziesiątej w nocy w sobotę negocjował ze związkiem techników. Dziś rano przyjechało trzech kierowników z Londynu, w tym księgowy spółki, żeby omówić z nim bardzo ważne sprawy, a was nic to nie obchodzi. Choć powinno – dodała złowieszczo.

Mimo że ogólnie uważano ją za siejącą defetyzm starą krowę, te słowa otrzeźwiły wszystkich. Zwłaszcza Lisę. Reklamodawcy nadal się nie odzywali. Miała stalowe nerwy, ale nawet ją to męczyło.

Jack wyszedł gabinetu.

– Właśnie dzwonili – powiedziała pani Morley. – Będą tu za dziesięć minut.

– Dzięki. – Jack westchnął, przejechał dłońmi przez potargane włosy. Wydawał się zmęczony i przestraszony, Ashling nagle zrobiło się go żal.

– Masz ochotę na kawę przed spotkaniem? – zapytała ze współczuciem.

Popatrzył na nią ciemnymi oczyma.

– Nie – warknął. – Mogłaby mnie wybudzić.

No to spadaj, pomyślała Ashling. Współczucie minęło.

– Ashling, zerknij na to – poprosił Gerry. Ashling podbiegła do monitora i z podziwem patrzyła, jak rozplanował artykuł. Zajmował cztery strony, był kolorowy, zabawny, wciągający i ciekawy. Tekst złamano na kolumny, a nad nim górowała pełna erotyzmu fotografia tańczącej pary, mężczyzny i kobiety, której włosy muskały podłogę.

Wydrukował artykuł, a Ashling zaniósła go Lisie w ofierze. Bez słowa, z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy Lisa obejrzała tekst. Cisza trwała tak długo, że podniecenie Ashling minęło i zamieniło się w niepokój. Czyżby wszystko pokręciła? Może Lisa chciała czegoś całkiem innego?

– Błąd ortograficzny – oświadczyła bezbarwnie Lisa. – Literówka. Jeszcze jedna. I znowu. – Kiedy dotarła do końca, odłożyła kartki. – W porządku.

– W porządku? – spytała Ashling. Wciąż miała nadzieję, że Lisa doceni jej ciężką pracę.

– Tak, w porządku – powtórzyła Lisa niecierpliwie. – Popraw i przekaz do dalszej obróbki.

Ashling spojrzała na nią z wściekłością. Była tak rozczarowana, że nie mogła ukryć swoich uczuć. Skąd miała wiedzieć, że to w ustach Lisy ogromny komplement. Kiedy pracownicy „Femme” słyszeli jej wrzask: „Zabieraj to gówno z mojego biurka i napisz na nowo”, traktowali to jako wyrazy uznania.

Nagle Lisa coś sobie przypomniała i całkiem zmieniła temat. Pozornie niedbałym tonem zapytała:

– Hej, kim był ten facet, z którym spotkałaś się wczoraj wieczorem?

– Który facet? – Ashling doskonale wiedziała, a kogo chodzi, ale nie mogła sobie odmówić tej maleńkiej, małosłownej zemsty.

– Ten blondyn, z którym wysłałaś.

– A, Dylan. – I Ashling umilkła. Dobrze się bawiła.

– Kto to? – musiała w końcu zapytać Lisa. – Stary kumpel.

– Ma kogoś?

– Ożenił się z moją najlepszą przyjaciółką. Podobał ci się mój artykuł? – zapytała Ashling z uporem.

– Powiedziałam, że jest w porządku. – Lisa była rozdrażniona. Jej następne słowa były jak gwóźdź do trumny. – Chyba zrobimy z tego stałą pozycję. Napisz coś do październikowego numeru. Co sugerowałaś na pierwszym zebraniu? Wizytę w biurze matrymonialnym? Jazdę konną? Surfowanie po sieci?

Pamięta wszystko, pomyślała Ashling, przygnębiona myślą, że będzie musiała zdobyć się na ten kolosalny wysiłek w następnym miesiącu, a potem właściwie w każdym. I nikt jej za to nie pochwali.

– Albo napisz coś o szansach spotkania mężczyzn na występie komika – rzuciła Lisa z wystudiowanym uśmiechem.

Ashling z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

– Zadzwoił do ciebie? – spytała zniecierpliwiona Lisa.

Ashling pokręciła głową, zawstydzona własnym nieudacznictwem. A czy zadzwonił do Lisy? Pewnie tak. Zachwycona sobą krowa. Po chwili ciekawość wzięła górę.

– A do ciebie?

Ku jej zdumieniu Lisa pokręciła głową.

– Kutas! – oświadczyła energicznie Ashling, pełna ulgi.

– Kutas! – przytaknęła Lisa i niespodziewanie zachichotała. Nagle to, że nie zadzwonił do żadnej z nich, wydało się im niezwykle zabawne.

– Faceci! – Męczące oczekiwanie, które nie opuszczało Ashling od niedzieli, nagle zmieniło się w dziki śmiech.

– Faceci! – powtórzyła Lisa, pękając z radości.

W tej samej chwili obie spojrzały na Kelvina, który stał na środku pomieszczenia, z roztargnieniem drapiąc się po jajach i wpatrując w przestrzeń. Wyglądał tak strasznie facetowato, że kiedy znowu popatrzyły na siebie, aż je zgięło ze śmiechu.

Lisa zupełnie się odprężyła. Humor poprawił się jej do tego stopnia, że uświadomiła sobie, iż już od bardzo dawna się tak nie śmiała. Prawdziwym śmiechem, z głębi duszy, kiedy nie liczyło się nic innego.

– Co? – zapytał z rozdrażnieniem Kelvin. – Co jest tak śmieszne?

To wystarczyło, żeby znowu zaczęły się śmiać. Ich wzajemne podejrzania utonęły w morzu wesołości, obie – przynajmniej w tej jednej jedynej chwili – doskonale się rozumiały.

Uśmiechnięta jak delfin Lisa pod wpływem impulsu powiedziała do Ashling:

– Mam na dzisiejsze popołudnie zaproszenie na pokaz makijażu. Chcesz iść?

– Czemu nie? – odparła lekkim tonem Ashling. Była wdzięczna, ale już nie tak dozgonnie jak kiedyś.

Pokaz makijażu urządziła Source, obecnie ulubiona firma supermodelek i dziewczyn. Uspokajająco kosztowna, produkująca kosmetyki organiczne w pudełkach rozkładających się naturalnie lub nadających się do przerobienia i robiąca mnóstwo zamieszania dlatego, że część zysków przekazywała na odtwarzanie lasów, łatanie dziury ozonowej itp. (W gruncie rzeczy szło na te cele 0,003 procenta zysku po potrąceniu podatków i wypłaceniu dywidendy udziałowcom. W praktyce suma ta sięgała dwustu funtów, ale nawet jeśli ludzie o tym wiedzieli, nic ich to nie obchodziło. Kupowali hurtem, przekonani, że „Source to uroda i obowiązek”).

Pokaz odbywał się w hotelu Morrison, na tyle daleko od redakcji, by Lisa mogła się uprzeć przy taksówce. Szybciej dotarłyby na miejsce piechotą, gdyż wszystko było zakorkowane, ale miała to gdzieś. W Londynie nigdzie nie chodziła pieszo i gdyby wymagano tego od niej tutaj, uznałaby to za zniewagę.

Na potrzeby pokazu jedną z sal hotelu przerobiono na staroświecką aptekę. Dziewczęta z Source miały na sobie białe fartuchy i stały za małymi ladami (zrobionymi z płyty udającej stare drzewo tekowe). Wszędzie wokół stały butelki ze szklanymi korkami, zakraplacze i słoje pełne recept.

– Pretensjonalne bzdety – zaśmiała się z pogardą Lisa do ucha Ashling. – A kiedy mówią o nowych produktach z tego sezonu, zachowują się tak, jakby odkryli lekarstwo na raka. Ale pora na drinki...! Sok z perzu! – wykrzyknęła

Lisa, kiedy kelner wyjaśnił jej, co ma na tacy. – Jasny gwint! Co jeszcze macie? – Zaczepiła innego kelnera, na którego tacy stały srebrne kanistry, każdy z rurką wyglądającą jak wygięta, nieprzeźroczysta słomka.

– Tlen?! – powiedziała z obrzydzeniem Lisa. – Proszę o kieliszek szampana.

– Dwa – dodała nerwowo Ashling. Sam widok zielonego, pełnego grudek soku z perzu sprawił, że zrobiło się jej niedobrze, a – o ile się orientowała – tlen mogła pobrać sobie w dowolnej chwili z powietrza. Każda z nich wypiła po trzy kieliszki szampana, ku zazdrości innych pismaków, którzy potulnie sączyli darmowy sok z perzu, usiłując nie puścić pawia. Tylko Dan – Popróbuję Wszystkiego – Heigel z „Sunday Independent” spróbował tlenu i zrobiło mu się tak słabo, że musiał położyć się w lobby, gdzie z pobłażliwym uśmiechem przeskakiwali przez niego turyści, przekonani, że oto widzą typowego zalanego w trupa Irlandczyka.

– Chodź – powiedziała w końcu Lisa do Ashling. – Musimy wysłuchać wykładu, potem zażądamy gratisów.

Ashling uznała, że Lisa ma rację. Caro, która prezentowała im produkty, okazała się gorliwą i pozbawioną poczucia humoru osobą.

– W tym sezonie stawiamy na błysk – powiedziała, miłośnie głaszcząc jakiś cień do powiek na grzbiecie dłoni.

– Podobnie jak w zeszłym – zaryzykowała Lisa.

– Ależ nie. W zeszłym roku był blask – sprostowała bez cienia ironii.

Lisa trąciła łokciem Ashling i obie zatrzęsły się od niemego śmiechu. Lisa uświadomiła sobie, że fajnie jest pośmiać się z kimś z tych bzdur.

– W tym sezonie wprowadziliśmy absolutną nowość, błyszczący na łuk brwiowy, jesteśmy bardzo przejęci... Lekki opór przy rozsmarowywaniu bierze

się stąd, że w przeciwieństwie do innych firm kosmetycznych, my nie psujemy naszych produktów tłuszczem zwierzęcym. To niewielka cena...

Kiedy w końcu ta zacna demonstracja dobiegła końca, Caro sięgnęła po wybór najnowszych kosmetyków. Wszystkie znajdowały się z brązowych pojemnikach z grubego szkła, podobnych do staroświeckich buteleczek z lekarstwami. Zapakowano je do repliki torby lekarskiej.

Caro wręczyła torbę Lisie, bo widać było, że ona tu rządzi. Kiedy jednak Lisa i Ashling wciąż tkwiły w miejscu, Caro wytłumaczyła z niepokojem:

– Tylko jeden prezent dla jednego tytułu. W Source walczymy z brakiem umiaru.

Lisa i Ashling przez chwilę doświadczyły uczucia niszczącej rywalizacji.

– Jasne – powiedziała Lisa lekkim tonem, wychodząc z pokoju z ręką zaciśniętą na torbie. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków prawem własności do przedmiotu dysponuje osoba mająca go w posiadaniu, a przynajmniej tak było, kiedy Lisa ostatnio się tym interesowała. Wyszła do holu i nie zwolniła kroku, nawet mijając nadal osłabionego Dana Heigela.

– Ładne majtki – wymamrotał. – Dlaczego włożyłaś spodnie? – spytał po chwili, gdy przeskakiwała nad nim Ashling.

Kiedy Lisa doszła do wniosku, że znajdują się już wystarczająco daleko od hotelu, zwolniła. Ashling zrównała się z nią i popatrzyła z niepokojem na torbę.

– Zależy, co w niej jest – wymamrotała Lisa przez zaciśnięte usta. Przypomniało się jej, dlaczego lubi pracować sama. Kiedy jest się z kimś, czasem trzeba się podzielić – kosmetykami, pochwałami i tak dalej. Otwierając torbę lekarską, dodała: – Możesz sobie wziąć cień do powiek. Sam błysk!

Oprócz błysku miał też dziwaczny mułowaty kolorek, który nie pasował żadnej z nich.

– Możesz też sobie wziąć ten błyszczak na kości policzkowe. Ja zatrzymam krem do szyi i eyeliner.

– A szminka? – zapytała Ashling ze ściśniętym brzuchem. Szminka była naprawdę wspaniała, w pięknym brązowym odcieniu i z matowym wykończeniem.

– Ja wezmę szminkę – oświadczyła Lisa. – W końcu jestem szefową. Jakbym nie wiedziała, pomyślała z niechęcią Ashling.

26

We wtorkowy wieczór Ashling poszła na lekcję salsa. Tak jak poprzednio, na jednego mężczyznę przypadało mniej więcej dziesięć kobiet. Ashling musiała tańczyć z panią, która spytała ją, czy często tu przychodzi.

– Przecież to pierwsze zajęcia – zauważyła Ashling.

– Racja, zapomniałam. Ale chyba miło jest mieć hobby?

Po pierwszej lekcji zaróżowiona i promienna Ashling pobiegła do domu, żeby sprawdzić automatyczną sekretarkę, ale w chwili, gdy otworzyła drzwi, ujrzała uparcie wzbraniający się przed mruganiem czerwony guzik. No cóż, pozostawał jeszcze środowy wieczór. Nie wszystko stracone.

Kiedy przeszukiwała szafki kuchenne, chcąc znaleźć coś do jedzenia, gryzła się tym, że Marcus mógł zgubić jej numer telefonu. Nie, przecież wepchnął go głęboko do spodni i powiedział, że będzie trzymał na sercu. Poza tym dała mu numer dwa razy, co znacznie zmniejszało możliwość zgubienia go.

Popatrzyła na łupy: pół paczki chipsów o smaku tortilli, lekko rozmiękłych; karton czarnych oliwek; cztery hobnobsy, też lekko rozmiękłe; wgnieciona puszka ananasów, osiem kromek czerstwego chleba. Kiepsko, jutro będzie musiała iść do supermarketu.

Marzyła o czymś gorącym, więc wepchnęła dwie kromki do tosterka. Czekając, doświadczyła przyływu koszmarnej frustracji z powodu Marcusa. Budził jej złość, bo przez niego czuła pustkę w swoim życiu i że zakradło się w nie oczekiwanie. Jakoś się trzymała, zanim zaczął ją nagabywać.

A właściwie po co ją nagabywał? Teraz, gdy ujrzała go na scenie, całkiem zmieniła swoją opinię o nim. Marcus Valentine już nie był człowiekiem, do którego by nawet nie podeszła, lecz łakomym kąskiem i wcale nie miała pewności, czy jest go warta.

Gdy zjadła już pół kromki, zadzwonił telefon, a jej adrenalina natychmiast podskoczyła. Otrzepując twarz z upačkanych masłem okruchów, przeszła przez pokój i złapała słuchawkę.

– Halo? – wydyszała, pełna oczekiwania. Które natychmiast zdechło. – Cześć, Clodagh.

– Jesteś w domu? – spytała Clodagh.

– Hm, a jak myślisz?

– Przepraszam. Chciałam tylko zapytać, czy mogę przyjść.

O nie. Nastrój Ashling jeszcze się pogorszył. Nadciągały kłopoty. Natychmiast zrezygnowała z telefonu do rodziców – to byłoby już za wiele.

– Jasne – powiedziała. – Nigdzie się nie wybieram.

– Wpadnę na godzinkę do Ashling! – zawołała Clodagh do Dylana, który oglądał telewizję w wytapetowanym do połowy salonie.

– Naprawdę? – spytał ze zdumieniem. Było to odstępstwo od normy, Clodagh rzadko wychodziła wieczorami. I nigdy bez niego. Zanim jednak zdołał zadać jej dodatkowe pytania, już trzasnąwszy drzwiami, wyjeżdżała z podjazdu na drogę.

– Musiałam z tobą pogadać – oznajmiła Clodagh, gdy Ashling wpuściła ją do mieszkania.

– Zauważyłam – odparła Ashling posepnie.

– I chciałabym, żebyś mi wyświadczyła przysługę.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Ej, wiedziałaś, że w drzwiach twojego domu siedzi bezdomny? – Clodagh znenacka zmieniła temat. – Przywitał się ze mną.

– To pewnie Boo – wyjaśniła Ashling niepotrzebnie. – Młody, uśmiechnięty szatyn?

– Tak, ale... – Clodagh urwała. – Znasz go?

– Niezbyt blisko. Czasem zamieniamy słowo.

– Ale przecież to pewnie narkoman! Może cię zastraszyć igłą – tak teraz robią. Albo włamać się do ciebie.

– To nie narkoman.

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi.

– A ty uwierzyłaś?

– Przecież to widać. – Ashling znenacka się zirytowała. – Jeśli ktoś jest pijany albo nawalony, możesz to zauważyć.

– To dlaczego jest bezdomny?

– Nie wiem – przyznała Ashling. Nie wypadało pytać. – Ale jest bardzo miły. Zupełnie normalny. I wcale bym go nie winiła, gdyby pił albo brał narkotyki – bezdomność wydaje się straszna.

Clodagh buntowniczo wysunęła wargę.

– Nie wiem, skąd ty bierzesz tych ludzi. Ale uważaj, dobrze? A poza tym chcę z tobą porozmawiać. Podjęłam decyzję.

– Jaką? – Zamierzasz przejść na środki psychotropowe? Zostawić Dylana?

– Nadeszła pora. – Clodagh usiadła na sofie. Poprawiła się i powtórzyła:
– Nadeszła pora...

– Na co? – warknęła nerwowo Ashling.

– ...żebym wróciła do pracy. Ashling spodziewała się czegoś znacznie gorszego.

– Co? Ty? Do pracy?

– A dlaczego nie? – spytała Clodagh wrogo.

– Eee... no właśnie. Dlaczego nie? Ale co cię do tego skłoniło?

– Myślałam już o tym od pewnego czasu. To chyba nie najzdrowsze, żeby całą swoją energię ładowała w dzieci. – Prywatnie Clodagh uznała, że właśnie stąd się bierze ten okropny, nieprzyjemny brak satysfakcji. – Muszę częściej wychodzić z domu. Rozmawiać z dorosłymi.

– Tylko o tym chciałaś ze mną pogadać? – Ashling musiała się upewnić.

– A niby o czym? – Clodagh wydawał się zdumiona.

– O niczym. – Miała ochotę przyłożyć Dylanowi za to, że tak ją niepokoił, podczas gdy było jasne, że Clodagh zwyczajnie się nudzi. – No to o jakiej pracy myślałaś?

– Sama nie wiem – przyznała Clodagh. – Właściwie wszystko mi jedno. Cokolwiek... Chociaż – dodała ze smutkiem – niezależnie od rodzaju pracy, trudno będzie słuchać poleceń innych ludzi. To znaczy ludzi, którzy nie są moimi dziećmi.

Kiedy Ashling próbowała dostosować swój nastrój do tego nieoczekiwanego zwrotu sytuacji, Clodagh się zamyśliła. Od zawsze czytała książki, w których gospodynie domowe zakładały własne firmy. Ich nadzwyczajne umiejętności kucharskie dawały początek imperiom cukierniczym. Albo gospodynie zakładały fitness club dla pań. Albo przestawały lepić garnki na własny użytek, tylko tworzyły przedsiębiorstwo, zatrudniając co najmniej siódemkę czy ósemkę ludzi. To wydawało się takie proste. Banki pożyczają im pieniądze, szwagierki pilnowały dzieci, sąsiedzi zamieniali garaż na siedzibę dyrekcji, wszyscy je wspierali. Kiedy lokal był pełen klientów, cały świat rzucał się pomagać: klienci, listonosze, niewinni przechodnie i ktoś, z kim bohaterka się kłóciła (zwykle oznaczało to koniec sporu).

No i te powieściowe przebojowe kobiety zawsze zdobywały po drodze mężczyznę.

Przecież ja mam mężczyznę, przypomniała sobie Clodagh.

Tak, ale...

Czyli powinna otworzyć własną firmę? Niby jaką?

Żadną, jeśli miała być szczerą. Wątpiła, czy ktokolwiek zapłaciłby za to, co by ugotowała. Tak naprawdę to ona niemal musiała płacić Craigowi i Molly, żeby jedli posiłki. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić ludzi, którzy wydawaliby swoje ciężko zarobione pieniądze w jej restauracji, na herbatniki i makaron z mikrofalówki – nawet gdyby proponowała, że za darmo podmucha

im w posiłek, żeby go ostudzić. I nawet gdyby pozwalała klientom wcierać resztki potraw we włosy.

Co do rękodzielnictwa – wolałaby jeszcze raz urodzić dziecko, niż lepić garnki. Nie miała też pojęcia, jak założyć fitness club.

Nie, wyglądało na to, że Clodagh powinna pójść bardziej tradycyjną drogą. I właśnie do tego potrzebna jej była Ashling.

– Zastanawiałam się, czy mogłabyś napisać na komputerze moje CV? – zapytała Clodagh. – A... słuchaj, nie chcę, żeby Dylan się o tym dowiedział. W każdym razie jeszcze nie teraz, to mogłoby zranić jego dumę. Przestanie być jedynym żywicielem rodziny, no wiesz.

Ashling nie była przekonana, ale postanowiła to sobie odpuścić.

– No dobrze. Jakie hobby mam ci wpisać? Motolotnie? Sado-maso?

– Pływanie na tratwie – zachichotała Clodagh. – I ofiary z ludzi.

– Na pewno dobrze się czujesz? – Ashling potrzebowała ostatecznego potwierdzenia.

– Teraz tak. Szczerze mówiąc, przez pewien czas byłam bardzo przygnębiona, to wszystko zaczęło mi ciążyć.

Może jednak Dylan nie był aż takim histerykiem. Może jednak miał powody do zmartwienia.

– Teraz już wiem, co robić – oświadczyła Clodagh radośnie. – Wszystko będzie dobrze... Hej! – Nagle coś sobie przypomniała. – Dylan wspominał, że popilnujesz dzieci w sobotę.

A więc operacja „Pocieszamy Clodagh” trwała?

– Idziemy do l'Oeuf. – Clodagh przeszył dreszcz zachwytu. – Już od tak dawna nigdzie nie wychodziłam.

– Słuchaj, czy Ted może przyjść ze mną? – Oby Clodagh wybiła mu to z głowy.

– Ted? Ten niski brunet? – Clodagh zastanawiała się przez chwilę. – Dobrze, czemu nie? Wydaje się nieszkodliwy.

27

Ashling przyszła do redakcji wcześniej, żeby napisać CV Clodagh, a potem poprosiła Gerry'ego, żeby je ładnie rozplanował. Gdy czekała, aż CV się wydrukuje, nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że bazgrze na kartce: „Ashling Valentine”. Dorośnij, pomyślała. Popracuj trochę. Zamiast tego zajęła się czymś jeszcze bardziej nieprzyjemnym. Zadzwoiła do rodziców. Telefon odebrał ojciec.

– Tato, mówi Ashling.

– O, witaj! – Wydawał się niezwykle rozradowany. – Jak tam?

– Dobrze, dobrze. A u was wszyscy zdrowi?

– Jak nigdy. Kiedy cię zobaczymy? Jest szansa, że zjawisz się na weekend?

– Jeszcze nie. – Aż się skurczyła z poczucia winy. – Widzisz, teraz czasem muszę pracować w weekendy.

– Szkoda. Uważaj, żebyś się nie przepracowała. Ale w pracy wszystko dobrze?

– Bardzo dobrze.

– Poczekaj, mama chce z tobą zamienić słowo.

– Tato, nie mogę teraz rozmawiać, jestem w pracy. Zadzwonię któregoś wieczoru. Cieszę się, że u was w porządku.

I odłożyła słuchawkę. Czuła się nieco lepiej i jednocześnie nieco gorzej. Ulżyło jej, że zadzwoniła i że nie będzie musiała tego robić przez najbliższe kilka tygodni, ale miała poczucie winy, że nie dała im tego, czego naprawdę pragnęli. Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

Lisa się spóźniła.

– Gdzie byłeś? – zapytała Trix. – Wszyscy cię szukali.

– Jesteś moją asystentką – odwarknęła Lisa. – Powinnaś wiedzieć. Zerknij w mój kalendarz.

– A, twój kalendarz – powiedziała Trix. – No jasne. Otworzyła na właściwej stronie i odczytała głośno: „Wywiad z nienormalną Friedą Kiely”. Tam właśnie byłeś.

– Zgadza się – oświadczyła Lisa, dość głośno, by wszyscy, zwłaszcza Mercedes, ją usłyszeli. – Dziś rano odwiedziłam Friedę Kiely w jej pracowni. To absolutnie urocza kobieta.

Tak naprawdę była koszmarna. Groteskowo koszmarna. Niemiła, wariacko nadpobudliwa i tak odległa od rzeczywistości, że być może nigdy nie uda się jej powrócić do normalnego świata. Co nie byłoby takie złe, pomyślała Lisa.

Kiedy się tam zjawiała, Frieda leżała na szezlongu w jednej z własnych pretensjonalnych sukien, a długie, siwe włosy sięgały jej do pasa. Spoczywała na płataninie materiałów i skubała zestaw śniadaniowy z McDonalda. Choć tego ranka Lisa potwierdziła u asystentki Friedy, że przyjdzie na wywiad, Frieda upierała się, że nikt się z nią nie umówił.

– Ale pani asystentka...

– Moja asystentka – przerwała jej Frieda głośno – to bezużyteczna kretynka. Zwolnię ją. Julie, Elanie, jak tam ci na imię –jesteś zwolniona! Ale

skoro już tu pani przyszła... – Najwyraźniej Frieda była w rozrywkowym nastroju.

– Opowie mi pani o sobie? – Lisa usiłowała zapanować nad sytuacją. – Gdzie się pani urodziła?

– Na planecie Zog, skarbie – odparła Frieda powoli. Lisa popatrzyła na nią uważnie. Skłonna była jej uwierzyć.

– Jeśli woli pani porozmawiać o strojach...

– Strojach! – prychnęła Frieda. – To nie są stroje. Nie? A jeśli nie stroje, to co, zastanawiała się Lisa.

– To dzieła sztuki, debilko!

Lisa nie bardzo lubiła, kiedy nazywano ją debilką. A właściwie bardzo, bardzo tego nie lubiła. Musiała jednak mieć na względzie dobro pisma.

– Może... – Przełknęła złość. – Może opowie mi pani, dlaczego odniosła pani taki sukces.

– Dlaczego? Dlaczego?! – Oczy Friedy mało nie wyskoczyły z orbit. – Bo jestem cholerną geniuszką, dlatego. Słyszę głosy w swojej głowie.

– Może powinna pani iść do lekarza. – Lisa nie mogła się powstrzymać.

– Mam na myśli przewodników duchowych, idiotko! Mówią mi, co mam stworzyć.

Jazgotliwy yorkshire terier w maleńkim cylindrze przytruchtał do pokoju, szczekając przeraźliwie.

– Oooo, chodź do mamusi. – Frieda przycisnęła psa do swego gigantycznego biustu, ciągnąc go po kawałkach tweedu i babeczce z kremem jajecznym. – To Schiaparelli. Moja muza. Bez niego mój geniusz zwyczajnie by zniknął.

Lisa miała szczerą nadzieję, że psu przydarzy się jakiś potworny wypadek. Nadzieja ta jeszcze przybrała na sile, kiedy Schiaparelli przywitał się z Lisą, zaciskając ostre zęby na jej dłoni.

Frieda Kiely była zbulwersowana.

– Ooo, brzydka dziennikarka włożyła brudną łapę do twojej mordki? – Spiorunowała Lisę wzrokiem. – Jeśli Schiaparelli zachoruje, pozwę ciebie. Ciebie i tę twoją szmatławą gazetkę.

– To nie gazetka, tylko pismo „Irlandka”. Fotografowaliśmy pani kolekcję w Donegal...

Ale Frieda nie słuchała. Oparła się na łokciu i wrzasnęła do swojej asystentki.

– Dziewczyno! Ktoś w tym budynku śmierdzi rzepą! Sprawdź, kto to, i pozbądź się go. Mówiłam ci już wcześniej, że tego nie zniosę.

Asystentka wyszła z gabinetu.

– Wydaje się pani – powiedziała cicho. – Tu nikt nie pachnie rzepą.

– Przecież czuję. Zwalniam cię! – wyskrzeczwała Frieda.

Lisa wpatrywała się w swoją dłoń. Widniały na niej ślady po psich zębach. Miała tego dosyć. Mowy nie ma, żeby zamieścili artykuł o tej wariatce.

W gabinecie asystentka, która miała na imię Flora, posmarowała ranę Lisy maścią z arniki, najwyraźniej przeznaczoną wyłącznie do tego celu.

– Ile razy dziennie panią zwalnia? – spytała Lisa.

– Mnóstwo. Bywa trudna – powiedziała łagodnie Flora. – Ale to dlatego, że jest genialna.

– To pieprznięta suka.

Flora przechyliła głowę i zastanowiła się nad słowami Lisy.

– Tak – mruknęła. – To też.

Lisa złapała taksówkę do redakcji. Postanowiła, że za nic na świecie nie da Mercedes satysfakcji i nie powie jej, że miała rację, a Frieda Kiely to faktycznie wariatka.

– Frieda jest urocza – oznajmiła Lisa personelowi. – Naprawdę się zaprzyjaźniłyśmy.

Obserwowała Mercedes, ale ciemne oczy redaktorki działu mody pozostały nieprzeniknione.

Pół godziny później Jack wyłoniwszy się ze swojego gabinetu, podszedł prosto do biurka Lisy.

– Dzwonili z Londynu – powiedział.

Popatrzyła na niego swoimi umiejętnie pomalowanymi szarymi oczyma, z gardłem tak ściśniętym, że nie mogła wydobyć z niego żadnego dźwięku. Chryste, co za ranek!

Jack zwlekał, zanim odezwał się powoli, dramatycznie.

– L'Oreal... zamieści... czterostronicową reklamę... w każdym numerze... przez pierwsze... sześć... miesięcy!

Chwilę potrwało, zanim zrozumieli. Jack się uśmiechnął, a na jego zwykle zmartwionej twarzy pojawiła się radość. Kąciki jego ust podskoczyły, odsłaniając lekko wyszczerbiony ząb. Miał roześmiane, zadowolone oczy.

– Jakiej zniżki zażądali? – wymamrotała Lisa znieruchomiałymi wargami.

– Żadnej. Płacą pełną stawkę. Bo jesteśmy tego warci, ha, ha, ha.

Lisa wciąż siedziała nieruchomo, patrząc na jego twarz ze zdumieniem. Dopiero teraz, gdy im się udało, pozwoliła sobie w pełni poczuć przerażenie, które nie opuszczało jej przez cały zeszły tydzień. Jack nie musiał mówić, że

zaufanie L'Oreal zapewne wystarczy, by przekonać inne domy kosmetyczne do zamieszczania reklam.

– To dobrze – wykrztusiła.

Dlaczego musiał jej to powiedzieć przy wszystkich? Gdyby obwieścił to w swoim gabinecie, mogłaby rzucić mu się w ramiona i go uściskać.

– Dobrze? – Demonstracyjnie otworzył szeroko oczy.

– Powinniśmy to uczcić. – Lisa powoli dochodziła do siebie. – Zjeść razem lunch.

Poziom jej zadowolenia wzrósł, kiedy Jack przytaknął.

– Powinniśmy.

Popatrzyli na siebie i przez chwilę zakręciło im się w głowach z radości.

– Zarezerwuję stół. Trix! – wykrzyknęła Lisa radośnie. – Odwołaj mojego fryzjera.

Było niemal tak jak dawniej.

– A skoro już tu jesteś, Jack, zerknij na to. – Lisa czymś do niego pomachała.

Trzy biurka dalej Ashling, która i tak zerknęła na wszystko z zainteresowaniem, zobaczyła, że Lisa pokazuje Jackowi jej artykuł o salsie.

– Mówiłam ci, że zrobię z tego pisma coś wspaniałego. – Lisa roześmiała się do Jacka.

– I to ci się udało. – Pokiwał głową z aprobatą, oglądając artykuł. – Świetny kawałek.

Ashling patrzyła bezradnie. Lisa zbierała laury za jej ciężką pracę. To było niesprawiedliwe. Ale co mogła zrobić? Nic. Za bardzo bała się konfrontacji. Nagle jednak usłyszała swój głos:

– Cieszę się, że ci się podobało!

Jej głos drżał. Miało wypaść nonszalancko, ale wiedziała, że zabrzmiało sztywno i dziwnie.

Zdumiony Jack podniósł głowę i popatrzył na Ashling.

– Ja to napisałam – powiedziała przepraszającym tonem. – Cieszę się, że ci się podobało – dodała bez przekonania.

– A Gerry złożył do druku. Koncepcja jest moja – burknęła Lisa. – Musisz się nauczyć, co to jest praca zespołowa, Ashling. – Ganiąc ją, Lisa patrzyła wprost na Jacka.

Ale on wpatrywał się w seksowne zdjęcia, a potem przeniósł spojrzenie na Ashling. Jego ciemne oczy miały wyzywający, sugestywny wyraz. Ashling było gorąco, czuła się niezręcznie.

– No no. – Jego usta uniosły się w kącikach, jakby usiłował ukryć szeroki uśmiech. – Ashling, tym się właśnie zajmujesz w wolnym czasie? Seksownymi pląsami?

– To nie... – Miała ochotę mu przyłożyć.

– Ale poważnie, artykuł jest świetny. Doskonale sobie poradziłaś. – Jack powrócił do rzeczowego tonu. – Prawda, Liso?

Usta Lisy przyjmowały mnóstwo kształtów, ale nie mogła się wykręcić.

– Tak – musiała przyznać. – Doskonale.

Zarezerwowała stolik w Halo, dla siebie i Jacka. Zajęła się tym osobiście, bo miała przeczucie, że gdyby zostawiła to jemu, wylądowaliby w Pizza Hut.

Pół godziny przed wyjściem poszła do toalety dla pań, upewnić się, że naprawdę nie mogłaby już wyglądać lepiej. Co za szczęście, że włożyła swój lawendowy kostium od Press and Bastyan. Chociaż gdyby nie włożyła tego kostiumu, to z pewnością inny, równie wyśmienity. Jako naczelna pisma dla

kobiet, nigdy nie wiedziała, kiedy będzie musiała wspaniale wyglądać. Zawsze gotowa, takie miała motto.

Nie było możliwości, by jej delikatne sandały z prążkowanymi paseczkami wytrzymały krótki spacer po nabrzeżu – ledwie dawały sobie radę z kręceniem się po redakcji. Lisa nie miała im tego za złe – niektóre buty istniały wyłącznie po to, żeby zaprezentować krótkotrwałą, intensywną eksplozję piękna. No i niby po co Bóg wymyślałby taksówki?

Obejrzawszy się w lustrze, niechętnie przyznała, że jest zadowolona. Miała błyszczące, duże oczy (dzięki białej kredce w wewnętrznym ich kącie), świeżą cerę (dzięki masce Avedy) i gładkie, pozbawione zmarszczek czoło (dzięki zastrzykowi z botoksem, który sobie zafundowała przed wyjazdem z Londynu). Rozczesywała włosy, aż lśniły, co trwało bardzo krótko. Zawsze lśniły, dzięki odżywce bez spłukiwania, sprayowi wygładzającemu i suszeniu w zakładzie fryzjerskim.

Za dziesięć pierwsza przyjechała taksówka, Lisa i Jack wyszli razem, odprowadzani uważnym spojrzeniem całej redakcji. Lisa była zachwycona, że ma Jacka tylko dla siebie. Planowała wykorzystać ciasnotę taksówki do „przypadkowego” muśnięcia swą szczupłą, gołą nogą jego nogi. Jednak gdy tylko wsiedli, zadzwoniła komórka Jacka i przez całą drogę wyklócał się z doradcą prawnym stacji radiowej o upomnienie wydane przez sąd w związku z kontrowersyjnym wywiadem z pewnym biskupem, który miał romans. Okazja do muskania po prostu się nie nadarzyła.

– Nie wiem, w czym problem – narzekał Jack do telefonu. – W dzisiejszych czasach trudno znaleźć biskupa, który by nie miał romansu. A właściwie po co chcemy robić z nim wywiad?

– Jak się miewasz, Liso? – spytał taksówkarz. – Znalazłaś mieszkanie?

Lisa się wychyliła. Kim był ten obcy człowiek, który się spoufalał i tak dobrze znał jej problemy? Nagle ujrzała, że to ten sam taksówkarz, który obwoził ją po Dublinie w pierwszym tygodniu.

– A tak, mały domek na South Circular – odparła uprzejmie.

– South Circular? – Z aprobatą pokiwał głową. – To jedna z ostatnich części Dublina, które nie są zdominowane przez yuppi.

– Ale jest tam całkiem miło – oświadczyła Lisa. Nagle przypomniała sobie coś, co ją zainteresowało. – Co się stało po tym, jak stawieś czoło bandzie dziewczyn, które terroryzowały twoją czternastoletnią córkę? Nie miałeś czasu, żeby dokończyć mi tę historię.

– Od tamtego czasu jej nie tknęły. – Uśmiechnął się do niej. – Całkiem się zmieniła.

Kiedy Lisa wysiadała z samochodu, dodał:

– Mam na imię Liam. Następnym razem możesz o mnie poprosić, jeśli zechcesz.

Jack ciągle rozmawiał przez telefon, kiedy prowadzono ich do stolika na środku pięknej, tętniącej życiem restauracji. Lisa była zadowolona. Jack mógł sobie wyglądać, jakby znalazł swój garnitur w śmietniku, ale do telefonu przemawiał władczy tonem. Inni klienci postanowili jakoś to odreagować. Kilku pobliskich biesiadników natychmiast sięgnęło po własne telefony i odbyło parę całkiem zbędnych rozmów.

Po złożeniu obietnicy, że coś wymyśli do piątej, Jack odłożył telefon.

– Przepraszam, Liso.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnęła się uroczo, demonstrując swoją nową szminkę Source.

Jednakże po telefonie beztroska Jacka gdzieś się ulotniła. Znowu był niespokojny, poważny i za nic nie chciał flirtować. Co nie oznaczało, że ona nie mogła tego robić.

– Za nas. – Uśmiechnęła się znacząco, trącając swoim kieliszkiem kieliszek Jacka. Po czym dodała, żeby go zmieszać i obudzić jego czujność: – Niech żyje „Irlandka”.

– Za to wypiję. – Wzniósł kieliszek i uśmiechnął się z trudem, ale widać było, że myśli o czymś innym. Chciał rozmawiać wyłącznie o pracy. Profilu czytelniczek, kosztach druku, sensie utrzymywania strony poświęconej książkom. Najwyraźniej nie był również świadom awangardowego szyku Halo. Pracowicie zmagął się z przystawką w postaci niewygodnej endywii, usiłując przekonać listki, żeby trafiły na widelec, a następnie do jego ust.

– Chryste! – wykrzyknął w końcu, kiedy kolejny kęs rzucił się ku wolności. – Czuję się jak żyrafa.

Lisa się dostosowała. Czuła, że nie ma sensu odtwarzać zrelaksowanej atmosfery pogawędki tamtego wieczoru w jej kuchni, Jack zwyczajnie nie był zainteresowany. Był zbyt zajęty, zbyt zestresowany, a jej pochlebilo, że w ogóle zgodził się pójść z nią na ten lunch. Skoro chciał rozmawiać o pracy, mogła rozmawiać o pracy. Miała zadziwiającą zdolność obracania wszystkiego na swoją korzyść, więc postanowiła, że równie dobrze może zapytać Jacka o możliwość drukowania ewentualnej rubryki Marcusa Valentine'a w innych ich publikacjach.

– A czy zgodził się pisać dla nas? – spytał Jack, niemal entuzjastycznie.

– Niezupełnie... Jeszcze nie. – Uśmiechnęła się pewnie. – Ale się zgodzi.

– Podpytam o możliwość zamieszczania jego tekstów w różnych tytułach koncertu. Masz mnóstwo świetnych pomysłów – przyznał.

Dopiero kiedy wyszli z restauracji, Jack na powrót zmienił się w człowieka.

– Jak funkcjonuje bojler? – spytał z miłym błyskiem w oku.

– Bez zarzutu – odparła radośnie Lisa. – Mogę brać długie, gorące kąpiele, kiedy tylko zachcę. – Starła się przedłużać samogłoski, by zabrzmiały gorąco. Powoli, leniwie, zmysłowo.

– To dobrze. – W jego oczach błysnęło zainteresowanie. – Dobrze.

Lisa niemal już dotarła do domu po pracy, kiedy wpadła na zniszczoną, mysią blondynkę w porozciągany dresie i – co wyglądało niedorzecznie – z torbą od Donny Karan. Torbą Lisy. To znaczy torba należała do Lisy, dopóki Lisa nie oddała jej Francine, dziewczynce z tej samej ulicy. Teraz odniosła wrażenie, że zniszczona kobieta – Kathy? – to matka Francine.

– Witaj, Liso – przywitała ją nieznajoma promiennie. – Jak się masz?

– Dziękuję, dobrze – odparła chłodno Lisa. Czy wszyscy w okolicy musieli mówić jej po imieniu?

– Właśnie idę do pracy. Będę obsługiwała imprezę w Harbison. Trzydzieści funtów do ręki i taksówka do domu. – Kathy najwyraźniej mówiła o kelnerowaniu. Pomachała Lisie wartą dwieście funtów torbą. – Późno wrócę. Do zobaczenia.

Nagle Lisie coś przyszło do głowy.

– Hm... Kathy – masz na imię Kathy, prawda? Byłabyś zainteresowana sprzątnięciem?

– Nie mogłam się doczekać, kiedy zapytasz!

– Tak? Dlaczego?

– No, jesteś zajęta kobietą, kiedy miałabyś znaleźć czas na sprzątnięcie?

Tak naprawdę Kathy miała na myśli to, że Francine któregoś dnia wprosiła się do Lisy i po powrocie doniosła, że to chlew. „Jest znacznie brudniej niż u nas!”

Tymczasem Ashling spędzała środowy wieczór na dostarczaniu zapakowanej na prezent miski z kolekcji Portmeirion matce Phelima, która tym samym miała już komplet.

– Moja rola tu się kończy – zażartowała Ashling.

Potem zmuszona była zbyt długo siedzieć w kuchni pani Egan i wysłuchiwać znajomych lamentów.

– Phelim nie umiał docenić tego, co dobre. Powinien był się z tobą ożenić, Ashling.

Czekała, aż Ashling się zgodzi, ale po raz pierwszy Ashling milczała.

Kiedy dotarła do domu, okazało się, że nikt nie zostawił wiadomości. Cholerna Joy i jej znajomość męskich zasad.

– Dopiero dziewiąta, ty pesymistko – zganiała ją Joy, kiedy przyszła, by jej towarzyszyć w czuwaniu. – Nadal jest mnóstwo czasu, a tymczasem zrelacjonuję ci wszystkie miłe rzeczy, które powiedział mi wczoraj Mick.

Ashling z trudem śledziła wzloty i upadki związku Joy i Micka. Byli niemal równie okropni jak Jack Devine i jego kąśliwa przyjaciółka. Znalazła korkociąg, naląła dwa kieliszki wina i usiadła, by analizować, sylaba po sylabie, wszystko, co Mick kiedykolwiek powiedział Joy.

– ... i wtedy oświadczył, że jestem jedną z tych kobiet, które lubią późno chodzić spać. Co przez to rozumie? Że jestem jedną z tych, z którymi mężczyźni lubią się zabawić, ale których nie poślubiają, co?

– Może po prostu miał na myśli, że lubisz późno chodzić spać. Joy energicznie pokręciła głową.

– Nie, zawsze jest jakiś podtekst...

– Ted twierdzi, że nie ma żadnego. Że kiedy mężczyzna coś mówi, ma na myśli właśnie to, co mówi.

– A skąd on ma to wiedzieć?

Dorabianie znaczenia do wszystkiego było tak zajmujące, że kiedy siedem po dziesiątej zadzwonił telefon, Ashling niemal już nie pamiętała, że na niego czeka.

– Odbierz. – Joy wskazała go głową. Ale Ashling się bała, że to nie Marcus.

– Halo – odezwała się z wahaniem.

– Halo, czy to Ashling, patronka komików? Mówi Marcus. Marcus Valentine.

– Cześć – powiedziała Ashling. – To on – wyszeptała do Joy, po czym zaczęła dziabac się palcami po twarzy, żeby pokazać piegi. – Jak mnie nazwałeś? – zachichotała.

– Patronką komików. Pomagałaś Tedowi Mullisonowi przed pierwszym występem, pamiętasz? I wtedy pomyślałem sobie, że ta dziewczyna jest prawdziwą przyjaciółką komików.

Zastanawiała się przez chwilę – podobała się jej idea bycia patronką komików.

– Ja się masz? – zapytał. Uznała, że lubi jego głos. Trudno było uwierzyć, że należy do piegusa. – Byłaś ostatnio na jakichś dobrych występach?

Znowu zachichotała.

– Na jednym, w sobotę.

– Będziesz musiała mi wszystko opowiedzieć – zaśmiał się swoim niepiegowatym głosem.

– Opowiem. – Ponownie usłyszała swój chichot. Z dystansu zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak chichocze. Zachowywała się jak przygłup.

– Jest szansa, że i w tę sobotę wybierzesz się na występ? – zapytał.

– Nie mogę. – W jej głosie zabrzmiał szczerzy żal. Przez chwilę chciała mu wytłumaczyć, że ma pilnować dzieci Clodagh, ale zdołała się powstrzymać. Nie zaszkodzi, jeśli Marcus będzie myślał, że Ashling ma własne życie.

– Wyjeżdżasz na świąteczny weekend? – Wydawał się rozczarowany.

– Nie, po prostu jestem zajęta w sobotę.

– A ja w niedzielę.

Rozmowa utknęła, po czym oboje jednocześnie przemówili.

– Robisz coś w poniedziałek? – zapytał dokładnie w tej samej chwili, gdy ona oświadczyła:

– Co powiesz na poniedziałek? Zachichotała. Znowu.

– Chyba mamy plan – zauważył Marcus. – Może zadzwonię do ciebie w poniedziałek rano, ale nie za wcześnie, i wtedy się umówimy?

– No to do usłyszenia.

– Jasne – odparł ciepłym, obiecującym głosem. Ashling odłożyła słuchawkę.

– O mój, Boże, w poniedziałek mam randkę z piegowatym Marcusem Valentine'em. – Aż się zapłuła z przejęcia. – Od lat nie byłam na randce. Od rozstania z Phelimem.

– Zadowolona? – zapytała Joy.

Ashling ostrożnie skinęła głową. Teraz, kiedy zadzwonił, zaistniało ryzyko, że znowu przestanie się jej podobać.

– No dobra, bierzemy się do treningu – zdecydowała Joy. – Powtarzaj za mną: „Och, Marcusie! Och, Marcusie!”

Następnego ranka, kiedy Ashling pojawiła się w pracy, wezwała ją Lisa.

– Hej, zgadnij, kto do mnie zadzwonił wczoraj wieczorem?

Ashling popatrzyła na jej wojowniczą, wyzywającą minę, na triumf w szarych oczach.

– Marcus Valentine?

– A niby kto?

– A jakże. Marcus Valentine.

– Czyżby? – Ashling położyła dłoń na biodrze. – Do mnie też zadzwonił.

Lisa otworzyła usta, słysząc tę nieoczekiwaną informację. Myślała, że zwyciężyła.

– Kiedy się z nim spotkasz? – zapytała Ashling.

– Któregoś dnia w przyszłym tygodniu.

– Czyżby? A ja umówiłam się z nim na poniedziałkowy wieczór... Czyli wcześniej – dodała, na wypadek gdyby Lisa nie zauważyła.

Patrzyły na siebie wojowniczo.

– Wygrałam! – Ashling nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło.

Poruszona Lisa spojrzała wilkiem na swoją zastępczynię, na jej potulną twarz, która usiłowała wyglądać buntowniczo. Zrozumiała, że została pokonana. Ku swojemu zdumieniu, doszła do wniosku, że to zabawne i wybuchnęła śmiechem.

– Brawo – wykrztusiła.

Ashling dopiero po chwili zauważyła zmianę nastroju i wtedy też się roześmiała. Obie były po prostu żałosne.

– Boże, Liso, przecież nawet nie chodzi nam o to samo. – Ashling zebrała się na odwagę i spytała: – Po co to robisz?

– Bo ja wiem. – Lisa wyduła wargi. – Trzeba mieć jakieś hobby.

28

Biura Randolph Media przepełniał radosny nastrój przed trzema wolnymi dniami. Był piątek tuż przed czerwcowym długim weekendem (co całkiem zbiło z tropu Lisę, gdyż w Anglii święto państwowe obchodzono w poprzednim tygodniu), cieszyła ich też informacja o reklamie L'Oreal plus fakt, że nie było Jacka Devine'a, plus przybycie skrzyni szampana, który miał być nagrodą w konkursie dla czytelniczek („Z którego rejonu Francji pochodzi szampan? Odpowiedzi na kartkach pocztowych na adres... Pierwsza wylosowana czytelniczka otrzyma dwanaście najlepszych...")

Lisa popatrzyła na szampana, na zegarek – za kwadrans czwarta – i na swój personel. Tak ciężko pracowali przez ostatnie trzy tygodnie i wyglądało na to, że „Irlandka” mimo wszystko nie będzie totalną klapą. Pamiętała, jak ważne jest utrzymywanie morale pracowników. Cóż, szczerze mówiąc, sama miała ochotę na drinka, a odniosła niejasne wrażenie, że wybuchłby bunt, gdyby naląła kieliszek sobie.

Odchrząknęła teatralnie.

– Proszę o uwagę – powiedziała wesoło. – Czy ktoś ma ochotę na kieliszek szampana?

Znacząco wskazała głową skrzynię i po sekundzie wszyscy zrozumieli, co ma na myśli.

– A konkurs dla czytelniczek? – zapytała Ashling z niepokojem.

– Zamknij gębę – syknęła Trix, po czym odwróciła się do Lisy. – Przecież to w ramach pracy – podlizwała się głośno. – Możemy uczcić to, że zdobyłaś tyle pieniędzy od L'Oreal.

Nie trzeba było mówić nic więcej. Słowa: „Lisa mówi, że możemy wypić szampana dla czytelniczek, Lisa mówi, że możemy wypić szampana dla czytelniczek” obiegły całą redakcję niczym świeży wietrzyk. Sprzęt biurowy porzucono, humory się poprawiły. Nawet Mercedes wydawała się radosna.

– Ale nie mamy kieliszków – zaniepokoiła się Lisa.

– Żaden problem. – Zanim Lisa zdążyła zmienić zdanie, Trix już niosła tacę brudnych kubków do łazienki. Po raz pierwszy od pół roku zmywała. Wróciła w okamgnieniu i wcale nie miało znaczenia, że źle wypłukała kubki, bo brudy i tak można było uznać za pianę z szampana.

– Obawiam się, że nie jest szczególnie schłodzony – oświadczyła z gracją Lisa, wyciągając do Kevina wyszczerbiony kubek z napisem: „Surferzy robią to na stojąco”, pełen spienionych paprochów.

– No i co z tego! – ucieszył się Kelvin, zachwycony, że wzięto go pod uwagę, chociaż nie pracował dla „Irlandki”.

Mała grupka pracowników redakcji czekała niespokojnie w swoim kąciku, w nadziei że i im coś skapnie. Rozległy się głośne westchnienia ulgi, kiedy Lisa otworzyła drugą butelkę i podeszła do nich z kubkami, opatrzonymi napisami następującej treści: „Nie wierzę, to naprawdę nie jest masło?”, „Bywaj zdrow, będę pisał” oraz „Robi to, co napisane na opakowaniu”.

– Pani zdrowie, pani Morley. – Lisa podała nadopiekuńczej asystentce Jacka kubek z napisem „Nie wierzę, to naprawdę nie jest masło?”

– Zdrowie – wymamrotała podejrzliwie pani Morley. Kiedy już każdy dostał kubek, Lisa uniosła swój i powiedziała:

– Za was wszystkich. Za waszą ciężką pracę w ostatnich trzech tygodniach.

Ashling i Mercedes przez chwilę nie mogły uwierzyć swoim uszom. Przysięgłyby, że Lisa już jest pijana. Wtedy wszyscy wychylili swoje kubki – wszyscy z wyjątkiem Trix, a to dlatego, że ona wypła wcześniej. Wkrótce ją dogonili.

Spojrzenia wszystkich błądziły od piany na dnie pustych kubków (która strzelała i syczała jak coś radioaktywnego) do dziesięciu pełnych butelek.

Lisa przerwała ciszę.

– Powinniśmy otworzyć jeszcze jedną? – zapytała niewinnie, jakby właśnie przyszło jej to do głowy.

– Chyba możemy. – Trix również nieźle udawała, że jest jej właściwie wszystko jedno.

– Pewnie, czemu nie? – Jeden kubek najwyraźniej rozmiękczył panią Morley.

Kiedy jednak Lisa odkręcała druciany kapturek, drzwi do redakcji się otworzyły i wszyscy znieruchomieli. Kurwa!

Było prawdopodobne, że Jack się wścieknie, jeśli przyłapie ich na żłopaniu szampana dla czytelniczek, i to w godzinach pracy.

Nie był to jednak Jack, tylko Mai. Miała nieprawdopodobnie wysokie obcasy, szczupłe biodra i jeszcze szczuplejszą talię. Ashling aż się zrobiło niedobrze z zazdrości i podziwu.

Mai wydawała się zdumiona całkowitą ciszą panującą w redakcji. Wszyscy patrzyli na nią ze skruchą.

– Czy jest Jack? – spytała. Nadal milczeli.

– Nie – wymamrotała pani Morley, wycierając usta na wypadek, gdyby miała na nich pianę z szampana. – Poszedł uczyć dobrych manier ludzi w studiu telewizyjnym. – Po czym triumfalnie skrzyżowała ręce na piersi, a cała jej postawa świadczyła o tym, że tak naprawdę Jack powinien nauczyć dobrych manier Mai.

– Och. – Pełne usta Mai były wydęte z rozczarowania. Odwróciła się na pięcie, a kaskada jedwabistych włosów przecięła powietrze z kuszącym świstem.

– Możesz poczekać, jeśli chcesz – usłyszała swój głos Ashling. Mai popatrzyła na nią.

– To możliwe?

– Pewnie! Może się z nami napijesz? – Mówiąc to, Ashling przygotowała się na gniew Lisy. Kiepski pomysł, żeby zapraszać dziewczynę szefa do picia z przelożoną. Ashling podejrzewała, że trochę się wstawiła.

Ale Lisa nie wpadła w furję.

– Tak, napij się – przytaknęła.

Problem w tym, że Lisę, podobnie jak wszystkich innych, Mai bardzo ciekawiła. A może nawet bardziej niż pozostałych, zważywszy na sytuację.

– Zdrówko.

Mai przyjęła kubek od Lisy.

– Weź sobie krzesło i usiądź tu koło mnie – oświadczyła wielkodusznie Ashling.

Trix i Lisa natychmiast popędziły do biurka Ashling, naprawdę zainteresowane egzotyczną Mai.

– Podoba mi się twoja torebka – powiedziała Lisa do Mai. – Czy to Lulu Guinness?

Mai wybuchnęła zdumiewająco skrzekliwym śmiechem.

– Dunnes.

– Dunnes?

– Dom towarowy – wyjaśniła gorliwie zarumieniona Ashling. – Taki jak Marks&Spencer.

– Tylko tańszy – dodała Mai ze śmiechem. Mimo swojej twarzy jak kwiat lotosu, nagle wydała się bardzo zwyczajna.

Lisa krążyła, rozdając kubki.

– Świetna praca, robicie to codziennie? – powiedziała Mai z szelmowskim uśmiechem.

Komentarz ten przywitano salwą nieco histerycznego śmiechu.

– Codziennie? Ależ nie. Nie! Tylko na wyjątkowe okazje, święta państwowe, takie tam.

– Ale nie naskarżysz na nas Jackowi, prawda? – zapytała Trix.

– Też coś! – Mai z niechęcią wywróciła oczyma.

– Gdzie pracujesz? To znaczy, co robisz? – odważyła się spytać Trix.

Mai odrzuciła grzywę ciężkich włosów, w jej skośnych oczach pojawiła się zaduma. Znowy wyglądała jak nieprzenikniona, tajemnicza piękność.

– Jestem tancerką egzotyczną – powiedziała.

Po tym oświadczeniu w redakcji zapadła krótka, pełna zakłopotania cisza, a po chwili wszyscy zaczęli wykrzykiwać ultrazblazowanymi głosami: „Cudownie!”, „No, brawo”.

– Pogoda jest na to w sam raz. – Beznadziejny Bernard jak zwykle wszystko pochrzanił.

– Fajnie – zdołała wykrztusić Lisa. Dałaby sobie uciąć rękę, że Jacka i Mai łączy boski seks i szlag ją trafiał z zazdrości.

– Co robi tancerka egzotyczna? – spytała pani Morley Kelvina.

– Obawiam się, ma to coś wspólnego z nagością – odparł taktownym szeptem, świadom moralności osoby w podeszłym wieku.

– A, striptizerka. – Pani Morley popatrzyła na Mai z nieoczekiwanym szacunkiem.

– Nie, kurde, nie jestem żadną tancerką egzotyczną – oświadczyła z pogardą Mai i znowu była zwyczajna. – Żartowałam. Wciskam ludziom telefony komórkowe, ale przez to, jak wyglądam, ludzie spodziewają się, że jestem jakimś kociakiem. – Żałosne, prawda? – Znowu rozległy się entuzjastyczne okrzyki: – Bzdury! Ludzie to straszne dupki!

– Czy dobrze rozumiem, że nie jest striptizerką? – pani Morley dyskretnie spytała Kelvina. Pokręcił utlenioną głową. Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej rozczarowane.

– Straszne tereostypy – wybełkotała Ashling. Upiłam się, uświadomiła sobie.

– Owszem – przytaknęła Mai, rozgrzana drugim kubkiem koktajlu z płynu do mycia naczyń i szampana. – Urodziłam się i wychowałam w Dublinie, mój ojciec jest Irlandczykiem, ale ponieważ matka jest Azjatką, mężczyźni spodziewają się, że znam te wszystkie orientalne sztuczki. Piłeczki pingpongowe i tak dalej. Albo na ulicach wrzeszczą na mnie: „zawszona małpa”. – Westchnęła ciężko. – Jedno i drugie mnie przygnębia.

Zerknęła na Kelvina i Gerry'ego, którzy patrzyli na nią lubieżnie, i natychmiast przysunęła się do Ashling, Lisy i Trix.

– Co nie znaczy, że nigdy nie próbowałam sztuczki z piłeczkami pingpongowymi. Jasne, że potrafię zrobić coś specjalnego, jeśli facet naprawdę mi się podoba.

Tak bardzo jak Jack? Wszyscy chcieli o to zapytać, ale nikomu nie wystarczyło tupetu, nawet Trix. Jednakże gdy malała liczba pełnych butelek, a rosła pustych, języki zaczęły się rozwiązywać.

– Ile masz lat? – zapytała Trix.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Od dawna spotykasz się z Jackiem?

– Prawie pół roku.

– Czasem jest strasznie zrzędlivy – oświadczyła Trix.

– Komu ty to mówisz? Odkąd zajął się „Irlandką”, pogorszyło mu się. Pracuje zbyt ciężko i za bardzo się martwi, a potem wypływa i nigdy go nie widuję. To was obwiniam o jego złe humory.

– Dziwne! – wykrzyknęła Trix. – Bo my obwiniamy ciebie! Słyszając to, Mai zaczęła niespokojnie wiercić się na krześle.

– Przepraszam, czujesz się przez nas niezręcznie. Już się zamykamy – przerwała Ashling z rozczarowaniem, gdyż fascynowała ją ta rozmowa.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniła ją Mai z uśmiechem. – Majtki mi się podciągnęły, nie cierpię tego.

Była taka ładna, świeża i bezpośrednia, że Lisa przełknęła ślinę. Wiedziała, że nie wymyśliła sobie zainteresowania Jacka, ale nie dziwiła się, że Mai może go fascynować.

Kiedy Jack wrócił, wszyscy byli do tego stopnia zalani, że nawet nie chciało im się tego ukrywać.

– Dobrze się bawicie? – zapytał z półuśmiechem.

– Święto jest! – ryknęła pani Morley. Rzadko piła, a w ciągu ostatniej godziny przeszła od podejrzliwości, rozluźnienia, cudownego samopoczucia przez płaczkliwie rozrzewnienie i skończyło się na agresji.

– Niewątpliwie – przytaknął.

– Cześć, Jack. – Mai uśmiechnęła się do niego drapieźnie. – Przechodziłam i pomyślałam, że wpadnę się przywitać. Jack wydawał się zakłopotany

Mai poszła za nim do gabinetu i trzasnęła za sobą drzwiami.

Kiedy Trix oparła o drzwi kubek, a potem przyłożyła do niego ucho, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Żaden kubek nie był potrzebny. Głos Mai, wysoki i rozwścieczony, niósł się aż do najdalszych biur.

– Jak śmiesz mnie ignorować, kiedy cię odwiedzam... Jeśli myślisz, że będę znosiła...

Głosu Jacka nie było słyhać, ale z pewnością coś mówił, bo pomiędzy oskarżeniami Mai występowały krótkie przerwy.

– Nie blokujcie wyjść – powiedział Kelvin, niczym stewardesa. Wkrótce drzwi gabinetu Jacka się otworzyły. Wypadła z nich Mai, z furią ruszyła do drzwi i już jej nie było, jedynie w powietrze drżało od jej niedawnej obecności. Z nikim się nie pożegnała.

– Skoro przedstawienie się skończyło, idę – oznajmił Kelvin, wrzucając na plecy swój nadmuchiwany, pomarańczowy plecak. – Czekają mnie siedemdziesiąt dwie godziny wolnego.

– Też idę zaraz – powiedziała Trix.

– A ja za dwa – dodał Beznadziejny Bernard, jak zwykle bez sensu.

Wszyscy się spakowali i odsunuli. W biurze pozostali jedynie Jack i Ashling. Jack czekał na telefon z Nowego Jorku, a Ashling umówiła się na wpół do siódmej, więc powrót do domu nie miał sensu. Czekając, pracowała, gdyż wcześniej była zajęta przygotowywaniem bazy danych dla Lisy, co się bardzo się opóźniło z uwagi na wcześniejszą zaimprovizowaną pijacką sesję.

– Zostaw to, panno Złotarączko – burknął Jack. – W końcu mamy święto. Poza tym jesteś wstawiona, więc i tak będziesz musiała poprawiać to we wtorek.

– Masz rację. – Ashling była wystarczająco trzeźwa, by wiedzieć, że jest pijana. – Straszny burdel zrobiłam.

– Idź do domu – kazał.

I tak było już prawie wpół do siódmej. Niezręcznie wzięła torebkę, po czym spytała z wahaniem:

– Masz jakieś miłe plany na weekend, JD? – Nie zrobiłaby tego, gdyby nie alkohol.

– JD? – powtórzył ostrożnie.

– To znaczy Jack, proszę pana, cokolwiek. – Była zakłopotana, że wymusnęła się jej jego prywatna ksywka. – Masz jakieś miłe plany?

– Nie wiem – odparł ponuro. – W niedzielę odwiedzam rodziców. Reszta zależy od pogody. Jeśli nie będę mógł popływać, zaszyję się i będę oglądał *Star Trek* na wideo.

– *Star Trek*? No to: „Żyj długo i dostatnio” – oświadczyła Ashling, rozcapierzając palce i usiłując odtworzyć vulkańskie pozdrowienie.

Jack patrzył na nią ponuro.

– Nielogiczne, kapitanie Złotarączko. W ten weekend nie spodziewałbym się szczególnych profitów.

– Dlaczego nie?

– Z pewnością nie uszło twojej uwadze, że moja dziewczyna jest w złym humorze – powiedział z nagłym zakłopotaniem.

Ashling nic nie mogła na to poradzić, słowa wydostały się z niej, zanim w ogóle zdążyła o tym pomyśleć. Była to pijacka paplanina.

– Dlaczego ciągle się z nią kłócisz? Jest urocza. Nie mógłbyś się bardziej postarać? Ona mówi, że nigdy cię nie widuje, bo ciągle żeglujesz. Może gdybyś rzadziej wypływał...

Uświadomiła sobie, że przesadziła, i czekała na wściekłość Jacka. Zamiast jednak się wściec, wybuchnął śmiechem – fakt, że nieprzyjemnym.

Ashling zbyt późno przypomniała sobie, że każdy kij ma dwa końce.

– Czy to prawda? Jack umilkł.

– Nie zamierzam obgadywać nikogo, kogo nie ma tutaj, żeby mógł się bronić.

– A więc nie wypływasz?

– Wypływam.

– Ale... – Nagle Ashling pomyślała, że chyba rozumie. – Czy ona mówi, że to jest w porządku, a potem się złości?

– Coś w tym rodzaju – niechętnie przyznał Jack po krótkiej przerwie.

– Bo rozumiesz, nawet jeśli mówi, że to jest w porządku, wcale tak nie myśli. No, idź do niej, pogadaj, bądź miły. – Jej oczy zabłyśły. Problem został rozwiązany.

– Panno Złotarączko. – Jack z niedowierzaniem pokręcił głową. – Dlaczego wszystkim musisz wszystko naprawiać?

– Ja tylko...

– Panno Złotarączko, przemyślę to – powiedział z rozbawieniem. – A ty wyjeżdżasz gdzieś na weekend?

– Nie. – Ashling się zawstydziała, gdy rozmowa zeszła na nią. – Tylko spotkam się z przyjaciółmi i takie tam... – Umówiłam się z Marcusem Valentine'em. Tego akurat nie zamierzała mu mówić.

– Baw się dobrze.

Gdy Ashling szła do drzwi, Jack, nagle zainteresowany, zawołał za nią:

– Hej, panno Złotarączko! Oglądasz czasem *Star Treka*?

Ashling zerknęła przez ramię i pokręciła głową.

– Nie.

– Tak myślałem.

– Nie mam nic przeciwko temu filmowi.

– Wszyscy się tak wykręcają – wymamrotał Jack.

– Chyba wolę *Doktora Who*.

29

W sobotni wieczór, za piętnaście siódma, Ashling i Ted podjechali motocyklem Teda pod dom Dylana i Clodagh, by wypełnić swoje obowiązki.

– To ich własność? – Ted przyglądał się domowi z czerwonej cegły, z podwójnymi drzwiami.

– Fantastyczny, prawda? – Ashling stanęła na progu i zadzwoniła.

– Nie będziemy musieli zmieniać pieluch, prawda? – nagle zaniepokoił się Ted.

– Nie, to duże dzieciaki. Trzeba się będzie z nimi pobawić, rozśmieszyć ich.

– To nie powinno być trudne. – Ted odchrząknął i żartobliwie przyglądał włosy. – Ted Mullins, najzabawniejszy człowiek w Dublinie, melduje się na służbie.

– Mogą być nieco za mali na postmodernistyczne, pełne ironii występy. – Ashling ścisnęło się serce. – Myślę, że „Były sobie świnki trzy” to bardziej ich bajka.

– Zobaczymy – mruknął Ted. – Ludzie nie doceniają dziecięcej inteligencji. Zadzwonimy jeszcze raz?

Trochę zeszło, zanim im otworzono. W progu pojawił się Dylan w mokrym, przyklejonym do torsu podkoszulku i z pianą na ramionach.

– Co słysząc? – Wydawał się rozkojarzony. Wtedy Ashling i Ted usłyszeli dzikie wrzaski i wycie dobiegające z góry.

– Kapię Craiga – wyjaśnił Dylan.

– Nie wydaje się zadowolony.

– Najgorsze wciąż przed nami. Będę musiał splukać mu włosy. – Dylan się skrzywił. – Zachowuje się tak, jakbym palił go żywcem, ale się nie denerwujcie. Lepiej już wróć. – W połowie schodów zawołał: – Clodagh jest w kuchni!

Clodagh siedziała przy stole, bezskutecznie próbując przekonać Molly, żeby coś zjadła. Coś, co nie jest herbatnikiem, chrupkiem ani cukierkiem. W ostatnich tygodniach Molly rozpoczęła strajk głodowy, dla zabawy.

Ashling podała Clodagh teczkę z dziesięcioma egzemplarzami jej życiorysu.

– Co...? A, dzięki. – Płynnym ruchem Clodagh wepchnęła teczkę po stosik dziecięcych książek na stole.

– Nie powinnaś się przygotować? – Ashling popatrzyła na podkoszulek i dzinsy Clodagh. – Niedługo przyjedzie taksówka.

– Chcę dopilnować, żeby coś zjadła.

– Może ja spróbuję? – zaproponował Ted rycersko. Molly wysunęła dolną wargę, która drżała teatralnie.

– Dzięki, ale... – Clodagh ze znużeniem uderzała łyżką o szeroko rozstawione i zaciśnięte zęby córki. Bez rezultatu. Teraz, kiedy Molly zyskała publiczność, mowy nie było, by cokolwiek zjadła.

– Może troszkę jajeczniczki, skarbie – kusila Clodagh.

– Dlaczego?

– Bo jest zdrowa.

– Dlaczego?

– Bo ma dużo białka.

– Dlaczego?

Poza odmową przyjmowania normalnych posiłków, Molly zaczęła się bawić w ciągle pytanie: „dlaczego?” Wcześniej tego dnia spytała „dlaczego?” dwadzieścia dziewięć razy z rzędu. Clodagh odpowiadała z ponurą ciekawością, jak długo to jeszcze potrwa, ale w końcu się załamała.

– Masz piękne włosy – powiedziała z podziwem Ashling, dotykając gęstych, miodowych loków Clodagh.

– Dzięki. Wczoraj byłam u fryzjera.

Nagle Ashling przypomniała sobie o nowo wytapetowanym pokoju i pobiegła na niego zerknąć.

– Jest fantastyczny! – wykrzyknęła z entuzjazmem po powrocie. – Całkowicie zmieniłaś wystrój tego pokoju. Masz nieprawdopodobne wyczucie koloru.

– Chyba tak. – Clodagh nie była tym szczególnie zainteresowana. Bardzo ją przejmowała nowa tapeta, ale teraz, kiedy już zawisła na ścianach, Clodagh jakoś nie czuła satysfakcji.

Nagle wszyscy popatrzyli na sufit, gdy z góry dobiegły ich mrozące krew w żyłach wrzaski. Było to płukanie włosów Craiga.

– Rzeczywiście brzmi tak, jakbyście palili go żywcem – zachichotała Ashling. – Biedne maleństwo.

Po pewnym czasie ostre wrzaski zamieniły się w histeryczne piski. W związku z czym powrócił temat żywienia.

– Każdy musi zjeść kolacyjkę, jeśli ma wyrosnąć na dużą, silną dziewczynkę. – Clodagh raz jeszcze podeszła do Molly z łyżką jajecznicy.

– Dlaczego?

– Bo tak trzeba.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– Dlaczego?

– Dla gówna psiego. – Clodagh trzasnęła łyżką o stół, rozrzucając wokół jajecznicę. – Strata czasu. Idę się ubrać.

Kiedy wyszła z pokoju, Ted rzucił Ashling zaszokowane spojrzenie.

– Pokazywanie dzieciom swoich słabości to kiepski pomysł – zauważył mądrze.

Clodagh zajrzała do kuchni.

– Ja też tak myślałam. Poczekaj, aż będziesz miał dzieci – warknęła. – Okaże się, że żadna z tysięcy twoich zasad nie działa.

Ted wcale nie zamierzał krytykować Clodagh. Po prostu myślał, że twarda miłość w podejściu do dzieci mogłaby jej pomóc. Czuł się źle rozumiany i bardzo zakłopotany. Co się nasiliło, gdy Molly wycelowwała w niego łyżką.

– Mamusia cię nienawidzi – oznajmiła złośliwie.

Clodagh pognęła na piętro. Nici z długiej, relaksującej, aromaterapeutycznej kąpieli, którą zaplanowała. Ledwie zdążyła wziąć szybki prysznic przed nałożeniem makijażu. Potem uroczyście włożyła na siebie białoróżową, obcisłą sukienkę kupioną w dniu, gdy wybrały się z Ashling na zakupy. Od tamtego czasu sukienka wisiała w szafie, a jej nieskazitelność przypomniała teraz Clodagh, że nie prowadzi żadnego życia towarzyskiego.

Z niepokojem przejrzała się w lustrze. Cholera jasna, sukienka była krótka. Krótsza, niż pamiętała. I przezroczysta. Kiedy jednak włożyła pod nią czarną halkę, czuła się po prostu głupio, więc ją zdjęła. Majtki na wierzchu wyglądają nieźle, powiedziała sobie. Lepiej niż nieźle. Są przymusowe, tak naprawdę, jeśli chce uważać się za dobrze ubraną. Problem polegał na tym, że zbyt długo chodziła w dżinsach i podkoszulkach. Wsunęła stopy w sandały na wysokim obcasie, powiedziała sobie, że wygląda zjawiskowo, i pojawiła się na szczycie schodów niczym gwiazda filmowa.

– Jak wyglądam?

Wszyscy zebrali się na dole i popatrzyli na nią. Zapadła pełna konsternacji cisza.

– Bajecznie – powiedziała Ashling o ułamek sekundy za późno.

Ted stał z otwartymi z podziwu ustami, patrząc, jak nogi Clodagh miarowo przemierzają schody.

– Dylan? – spytała.

– Bajecznie – powtórzył za Ashling.

Nie uwierzyła. Miała pewność, że widzi powątpiewanie w jego wzroku, ale był zbyt mądry, żeby krytykować ją głośno. Craig jednak nie miał podobnych skrupułów.

– Mamusiu, masz za krótką sukienkę i widzę twoje slipy.

– Nieprawda.

– Prawda – upierał się.

– Nieprawda – powtórzyła. – Widzisz moje majtki. Chłopcy noszą slipy, a dziewczynki majtki. Chyba że są koleżanką Ashling, Joy – wymamrotała do siebie. Nie miała pojęcia, skąd się wzięła ta złośliwość.

Molly, zajęta myciem rąk dżemem jeżynowym, była jedyną sobą, która miała gdzieś to, co włożyła Clodagh.

– Ty też bardzo dobrze wyglądasz – powiedziała Ashling do Dylana. I rzeczywiście tak wyglądał, w granatowym garniturze i kremowej koszuli.

– Kochana jesteś. – Uśmiechnął się do niej.

„Pedał” – dotarło do ucha Ashling, wypowiedziane tak cicho i z taką pogardą, że uznała to za wytwór swojej wyobraźni. Mamrotanie dobiegło chyba od strony Teda.

– Jesteśmy gotowi? – Dylan popatrzył na zegarek.

– Jeszcze chwileczkę. – Clodagh właśnie zabrała się do zostawiania ważnych numerów telefonów. – To numer komórki Dylana. – Nabazgrała pospiesznie. – To numer restauracji, w razie gdyby nie było zasięgu.

– Raczej mało prawdopodobne w centrum Dublina – wtrącił Dylan.

– A to adres restauracji, gdybyście nie mogli się dodzwonić. Wrócimy dosyć wcześnie.

– Przyjdźcie późno – poradziła im Ashling. Clodagh przytuliła mocno Molly i Craiga.

– Bądźcie grzeczni dla Ashling – powiedziała bez specjalnego przekonania.

– I dla Teda – dodał Ted, układając wargi w grymasie, który uznał za uprzejmy.

– I Teda – mruknęła Clodagh.

Tuż zanim wyszli, żeby ich pośpieszyć, Molly przyłożyła wymazaną dżemem jeżynowym rękę do pupy Clodagh. Niestety – a może stety – Clodagh nic nie zauważyła.

30

Gdy Clodagh zamknęła za sobą drzwi, Molly i Craig zaczęli wyć żałośnie. Patrząc bezradnie na Dylana, Clodagh odwróciła się, żeby wejść do domu.

– Nie – zaprotestował.

– Ale...

– Zaraz przestaną.

Czując się rozdarta na dwoje, wsiadła do taksówki i pozwoliła się zawieźć do miasta. Pierdolona bezwarunkowa miłość, pomyślała. Co za cholerny ciężar.

Ich stolik w L'Oeuf był zarezerwowany na wpół do ósmej – mieli wybór, albo wpół do ósmej, albo dziewiąta, a Clodagh uznała, że dziewiąta to zbyt późno. Często o tej porze leżała już w łóżku. Lubiła pospać parę godzin, po czym wstawać o czwartej i przez godzinę śpiewać w ciemnościach. Dylan i Clodagh byli pierwszymi biesiadnikami. W nabożnej ciszy wkroczyli do pustej, białej, pełnej greckich kolumn sali i Clodagh znów zaczęła przejmować się swoją sukienką. Najwyraźniej przyciągała zaszokowane i pełne dezaprobaty spojrzenia personelu. Usiłując ją obciągnąć, jak najszybciej pospieszyła do stolika. Za długo była poza obiegiem, nie miała pojęcia, co wypada nosić, a czego nie wypada. Usiadła i schowała uda pod blatem stolika.

Wyeksponowane majtki zniknęły z pola widzenia, a Clodagh z ulgą zamówiła gin z tonikiem.

Kiedy przeglądała menu rozmiarów wielkoformatowej gazety, dwanaścioro lub czternaścioro ubranych na czarno–biało członków personelu stało w różnych częściach cichej sali. W końcu Clodagh uniosła wzrok i ujrzała, że wszyscy się przegrupowali, chociaż wcześniej ani ona, ani Dylan nie widzieli, by ktokolwiek się ruszył.

– Całkiem jak na filmie science fiction – wyszeptała.

Dylan się roześmiał, a ten śmiech rozszedł się głośnym echem w pustej sali. Clodagh natychmiast poczuła napięcie, znów doświadczyła tego dziwnego uczucia – że w ogóle nie zna Dylana. A przecież kiedyś myślała, że umrze, jeśli go nie zdobędzie. Poruszona wspomnieniem tej przejmującej miłości, nagle osłupiała. Nie miała zielonego pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

Trwało to tylko kilka sekund. Przecież, rzecz jasna, było tyle wspólnych tematów. To w końcu Dylan, pomyślała, osłabła z ulgi.

– Myślisz, że powinnam zabrać Molly do lekarza? Dylan nie odpowiedział.

– Bo jeśli nie da sobie spokoju z tym strajkiem głodowym, będę musiała – szczebiotała Clodagh. – Te wszystkie czekoladki nie mają żadnej wartości odżywczej i...

– Od czego zaczniesz? – przerwał jej szorstko Dylan.

– Och! Sama nie wiem.

– Menu jest niezwykle – powiedział Dylan, nieco zbyt znacząco.

– No tak.

– Nie możesz na parę godzin zapomnieć o dzieciach?

– Przepraszam. Wkurzam cię?

– Koszmarnie – odparł z irytacją.

Zacząła się uspokajać. W końcu przecież była w uroczej restauracji ze swoim uroczym mężem. Pili gin z tonikiem, jedli chleb pomidorowy. Wkrótce pojawią się pyszne posiłki i kilka butelek wina, a dzieci siedziały w domu, w towarzystwie ludzi, którzy nie byli ani pedofilami, ani nie mieli skłonności do maltretowania. Czy mogłoby być przyjemniej.

– Przepraszam – powtórzyła i tym razem naprawdę uważnie zaczęła studiować menu. – Miałeś rację. O, małże. I suflet z koziego sera. Jasna cholera! Co mam zamówić?

– Przekąska albo zupa, oto jest pytanie – oświadczył z zadumą Dylan.

– Albo? – powtórzyła Clodagh. – Co to ma znaczyć? Chyba miałeś na myśli „oraz”?

Z desperacją osoby, która rzadko wychodzi do restauracji, Clodagh zamówiła za dużo, zdecydowana czerpać jak najwięcej radości z tej niezwykle uczy. Zamawiała przekąski, sorbety, zupy i dodatki, dania główne, czerwone wino, białe wino i wodę.

– Wino stołowe czy musujące? – spytał kelner. Bolała go ręka, teraz już wiedział, jak się musiał czuć Tołstoj, gdy pisał *Wojnę i pokój*.

Zdumiona Clodagh popatrzyła na niego. To było chyba oczywiste?

– Jedno i drugie.

– Naturalnie.

– Czy możemy zamówić coś jeszcze? – Clodagh zadrżała radośnie, gdy kelner odszedł.

– Na razie wystarczy. – Dylan się roześmiał, zarażony jej entuzjazmem. – Poczekaj, aż rozprawimy się z tym wszystkim.

– Zamówimy deser i deskę serów?

- Naturalnie. Kawa po irlandzku?
- I wino deserowe. herbatniki.
- Kawę po francusku?
- *Mais oui!* Może nawet zapalę cygaro.
- Dzielna dziewczynka.

Kiedy zjedli kilka potraw, Clodagh była śpiąca od jedzenia i wina, ale nadal nie mogła się odprężyć. Nagle uświadomiła sobie, w czym problem.

– Już od tak dawna nie mogłam w spokoju zjeść kolacji, że zupełnie sobie z tym nie radzę – powiedziała. – Z trudem powstrzymuję się od tego, aby zerwać się z miejsca i pokroić innym ich dania... Widzisz tego faceta? – Wskazała młodzieńca wyglądającego na właściciela nowojorskiego loftu, który bawił się swoim daniem. – Mam ochotę nadziać jego *filet mignon* na widelec i powiedzieć: „Otwórz buzię, zaraz wleci ptaszek”. I chyba tak zrobię.

Dylan był jednocześnie przerażony i rozbawiony, gdy Clodagh zaczęła udawać, że wstaje. Nagle znieruchomiała, wygięła się i obróciła.

– Dlaczego...? Dlaczego przykleiłam się do krzesła? – Opuściła dłoń. – Mam coś kleistego na tyłku. Może to smoła? Cholera, na nowej sukience. Jak ja to zrobiłam? – Z wahaniem uniosła palce do nosa, powąchała i zaczęła się śmiać. – Dżem jeżynowy! Zakład, że to robota Molly, gówniara jedna. Zabawna jest, prawda?

- Urocza. – Dylan też był trochę rozkojarzony po posiłku.
- Myślisz, że nic im nie jest? – Nagle się zaniepokoiła.
- Jasne, że nie. Ashling i Ted mają numer naszej komórki. Zadzwoń, jeśli coś się stanie.
- Niby co? Co się może stać?
- Nic.

– Daj komórkę, szybciutko zatelefonuję. Dylan popatrzył na nią błagalnie.

– Nie możesz odpuścić choćby na jeden wieczór? Nie ma nas dopiero od godziny

– Masz rację – zgodziła się Clodagh. – Zachowuję się idiotycznie. – Skupiła uwagę na zupie z owoców morza. – Nie dam rady! – wybuchnęła. – Podaj mi komórkę.

Z ciężkim westchnieniem podał jej telefon.

– Cześć, Ted, tu Clodagh, tylko sprawdzam, czy wszystko jest w porządku.

– Świetnie się bawimy – skłamał Ted, kiedy Ashling zatykała rękoma wrzeszczące usta Craiga i Molly.

– Mogę zamienić z nimi słówko?

– Są, hm, zajęci. Bawią się. Tak, bawią się z Ashling.

– A. No to do zobaczenia.

– Strasznie irytujące – oświadczyła ze smutkiem, przerywając połączenie.

– Przez cały tydzień drażnią mnie jak diabli, marzę, żeby spędzić choćby pięć minut z dala od nich, a potem wychodzę i się zamartwiam!

– Jeśli chcesz, możemy wrócić do domu – powiedział Dylan sztywno. – Zjemy frytki i wysłuchamy niekończącej się litanii żądań.

– Skoro tak to ujmujesz... Przepraszam, Dylan. Naprawdę dobrze się bawię. Bardzo dobrze.

Ted i Ashling nie mogli powiedzieć tego o sobie. Minęły całe wieki, zanim uspokoili Craiga i Molly po wyjściu rodziców. W końcu dzieci się uciszyły, ale dopiero po tym, jak obiewały telewizor, żeby oglądać *Małą syrenkę*. Ted musiał zapomnieć o *Drodze do gwiazd*.

– A dziś gościnnie występuje sława – uskarżał się gorzko.

Żeby jakoś zabić czas, Ted zaczął przeglądać gigantyczną kolekcję longplayów i kompaktów Dylana i pokrzykiwał, gdy natrafił na jakiś wyjątkowy egzemplarz.

– Patrz, *Catch a Fire* Boba Marleya w oryginalnej okładce. Skąd ten sukinsyn to wytrzasnął?

Ashling miała to gdzieś. Mężczyźni i ich zbiory muzyczne. Phelim zachowywał się dokładnie tak samo.

– W mordę jeża! – wrzasnął Ted. – Pierwsze dwa albumy Burning Spear w Studio One! Myślałem, że można je dostać tylko na Jamajce.

– Dylan i Clodagh spędzili miesiąc miodowy na Jamajce – odparła z kamienną twarzą Ashling.

– Niektórzy mają szczęście. – Zdołał zawrzeć w tych słowach niesłychany ładunek rozmarzenia. – Wszystkie utwory Billie Holiday nagrane w Verve. – Mówił tak, jakby lada chwila miał zwymiotować. – Skąd on to ma? Latami tego szukałem? Kutas – dodał. – Aha! – Radośnie w coś postukał. – Mamy trupa w szafie! A co u pana Wyluzowanego robi album Simply Red? Wyszła słoma z butów!

– Przykro mi, że cię rozczaruję, ale to własność Clodagh.

– Clodagh lubi Simply Red? – Ted zamarł.

– W każdym razie kiedyś lubiła.

– „Kiedyś” może być. – Ted aż osłabł z ulgi. Uważał Clodagh za boginię, jednak gdyby okazała się fanką Micka Hucknalla, musiałby to przemyśleć. Z pewnością żadna bogini nie ma aż tak fatalnego gustu?

Gdy tylko *Mała syrenka* dobiegła końca, Craig i Molly zaczęli głośno domagać się rozrywki. Ted wypróbował na nich swoje numery, ale Molly

kazała mu natychmiast wynosić się do domu, a Craig wybuchnął płaczem. Ted bardzo to przeżywał, zwłaszcza kiedy dostali konwulsji ze śmiechu na widok Ashling chowającej się za papierową torbą i wyłaniającej zza niej.

– Wstrętne bachory – mruknął. – Mnóstwo ludzi dałoby sobie odciąć rękę za taką okazję.

– Przecież to tylko dzieci.

Craig zaczął ciągnąć ją za rękaw, żądając 7-Up. Kiedy nie dostał go natychmiast, wybuchnął płaczem.

– Rozpieszczony bachor – powiedział zjadliwie Ted.

– Nieprawda.

– Prawda. Gdyby mieszkał w Bangladeszu, pracowałby po osiemnaście godzin dziennie w warsztacie jakiegoś wyzyskiwacza... Wtedy miałby powody do płaczu – dodał ponuro.

Wieczór nie chciał się skończyć. Ashling i Ted bez przerwy musieli dostarczać powodów do śmiechu, historyjek, słodczy, łaskotek, napojów, bawić się wywrotką i w futbol z Barbie, a także w ulubioną rozrywkę dzieci, chowanie ręki w rękawie.

– Gdzie ręka Molly? – spytał ze znużeniem Ted, kiedy rozchichotana Molly po raz milionowy ukryła dłoń w rękawie. – O mój Boże – dodał głucho. – Molly straciła rękę. Ktoś ją ukradł. – Po czym, kiedy Molly triumfalnie wystawiała dłoń, Ted mówił ponuro:

– Co za niespodzianka! Znowu jest ręka. O, gdzie zniknęła ręka Molly...?

Kiedy nadeszła pora snu, położenie dzieci do łóżka i zmuszenie ich, żeby tam pozostały, przypominało przybijanie galaretki do ściany.

– Jeśli nie pójdziecie spać, przyjdzie po was licho i was porwie – groził Ted.

– Licha nie ma – oświadczył pewnie Craig. – Mamusia tak mówi.

Ted się zamyślił. Z pewnością Craig musiał się czegoś bać.

– Dobra, jak się nie położysz, przyjdzie po ciebie Mick Hucknall i cię zabierze.

– A co to takiego?

– Pokażę ci. – Ted pobiegł na dół, złapał CD i wrócił na górę. – To jest Mick Hucknall.

Ashling na dole rozkoszowała się chwilą ciszy, kiedy nagle uniosła z niepokojem wzrok, gdy w pokoju nad nią rozległ się przeraźliwy wrzask. Po chwili na schodach pojawił się Ted. Wydawał się zawstydzony i pełen poczucia winy.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nic.

– Lepiej pójdę na górę.

Przez kilka bezowocnych minut usiłowała uspokoić Craiga.

– Coś ty mu powiedział? – odezwała się z pretensją do Teda, gdy już wróciła na dół. – Nie da się go pocieszyć.

Dylan i Clodagh wrócili do domu, otoczeni aurą miłości, która sprawiała, że wszyscy inni czuli się wykluczeni i samotni. Weszli do domu, Clodagh obejmowała ramieniem Dylana, a on trzymał rękę na jej pośladku (tym nieumazanym dżemem jeżynowym).

Gdy tylko Ashling i Ted odjechali w noc, Clodagh mrugnęła do Dylana, wskazała głową piętro i powiedziała:

– Chodź.

Minęły dokładnie cztery tygodnie, odkąd po raz ostatni uprawiali seks, ale była tak pełna pijackiej wielkoduszności, że dorzuciłaby mu darmową sesję, nawet gdyby jeszcze nie nadszedł czas na regularną.

– Tylko wyłączę światła i pozamykam drzwi – odparł.

– Pośpiesz się – powiedziała kokieteryjnie, świadoma, że się nie pośpieszy.

Już dawno minęli etap wyuzdanego rozbierania się nawzajem. Clodagh leżała naga pod kołdrą, kiedy Dylan przyszedł do łóżka i po trzydziestosekundowym szeleszczeniu lycrą i bawełną uwolnił się od ubrania. Clodagh rozłożyła się na plecach, zaniknęła oczy i przez kilka minut pozwalała się całować. Potem, jak zawsze, Dylan osunął się do jej sutków. Kiedy już skończył, odbyła się cicha, nieoficjalna walka. Właśnie w tym momencie Dylan lubił pobaraszkować w dolnych partiach jej ciała, żeby wykonać cunnilingus, ale Clodagh nie mogła tego znieść. Potworna nuda i kilka dodatkowych zmarnowanych minut. Dziś się jej udało, zdołała go przechwycić w drodze. Przeszła od razu do fellatio, uraczyła go jakimś czterema czy pięcioma minutami, a kiedy przestała, wiedział, że może się wdrapać na pokład. Przy wyjątkowych okazjach – urodzinach i rocznicach – Clodagh oferowała wyjątkową atrakcję: siadała na Dylanie. Tej nocy nie przewidziała jednak wersji deluxe, a tylko standardową, po bożemu. Przycisnęła do siebie Dylana, łącząc się z nim w dobrze znanym, płynnym balecie. W trakcie uznała, że nie jest tak źle. Najbardziej denerwowało ją przedłużanie gry wstępnej. Dylan jak zwykle opóźniał przyśpieszenie tempa, oczekując, aż ona zacznie udawać orgazm. Wtedy zaczynał pompować tak, jakby ktoś stał nad nim ze stoperem. Pora przerobić ten pokój, pomyślała Clodagh, kiedy on pracował jak

maszyna, przesuając się w tę i z powrotem, dysząc i sapiąc. Dywan chyba zostanie, ale ściany zdecydowanie trzeba pomalować.

– O Boże – jęczał Dylan, wpychając dłonie pod jej pośladki i jeszcze bardziej przyśpieszając. – O Boże, o Boże.

Automatycznie Clodagh zaczęła wydawać z siebie nieuważne jęki. To powinno przyśpieszyć sprawę. Może fioleto-wokremowe ściany? Nagle Dylanem wstrząsnęły spazmy i z jękiem opadł na nią. Jedynym odstępstwem od reguły było to, że nie przeszkodziło im żadne z dzieci.

Piętnaście minut od początku do końca i spokój na najbliższy miesiąc. Clodagh westchnęła z zadowoleniem. Dzięki Bogu, Dylan nie był jednym z tych facetów, którzy pragnęli zaspokajać kobietę przez całą noc. I dobrze, bo musiałyby się zabić.

Ted i Ashling mknęli przez ciemne ulice. Po drodze zahaczyli o Cigar Room, tylko na chwilę. Kiedy zsiadli z motocykla, Ted uderzył się w czoło w geście, który wydawał się nieco nienaturalny.

– O, do diabła! – wykrzyknął z kompletnie nieprzekonującą irytacją. – Zostawiłem marynarkę u Clodagh. Będę musiał wpaść po nią w tygodniu.

W domu, w ponurym, wychodzącym na morze zakątku Ringsend, Jack i Mai właśnie kończyli świętować pojednanie. Mai całkiem zgłupiała, kiedy Jack pojawił się w jej mieszkaniu i przeprosił, że poprzedniego dnia nie powitał jej w redakcji z takim entuzjazmem, z jakim by sobie tego życzyła. Następnie zaprosił Mai do siebie, gdzie ją nakarmił, napoił dobrym winem i zabrał do łóżka.

Był tak nieoczekiwanie słodki, kiedy się kochali, że tym razem nie udawała, jak zazwyczaj, iż patrzy na zegarek. Ostatnio ze dwa razy nawet włączyła pilotem telewizor podczas stosunku. Jack wpadł w szal.

– To trochę bardziej interesujące niż to, co robisz – wyjaśniła, chociaż była to nieprawda, za to dzięki temu mogła trzymać go w niepewności.

Była to ciężka praca.

Po wszystkim odpoczywali.

– Jesteś cudowna – wyznał jej nagle.

– Doprawdy? – Oparła się na łokciu i obdarzyła go prowokacyjnym, złośliwym uśmiechem. – Tyle że mam beznadziejny gust co do mężczyzn, prawda? – Przygotowała się na ciętą odpowiedź, ale on tylko zabawiał się nawijaniem jej długich włosów na palce. – Nic ci nie jest? – zapytała ze zdumieniem.

– Zupełnie nic. A dlaczego?

– A nic.

Mai była zbита z pantafyku. Dlaczego Jack się nie odgryzał? Zwykle przychodziło mu to bez trudu.

– Jutro po południu jadę z wizytą do rodziców – powiedział.

Mai wywróciła oczyma.

– Fajnie! A ja? Co ja jestem, pies?

Była to ich ulubiona kłótnia – o brak czasu Jacka dla Mai. Jednak Jack przerwał narzekania Mai, mówiąc:

– Pojedziesz ze mną?

– Dokąd? – Była zdumiona. – Poznać ich?

Kiedy przytaknął, zawyła:

– Ale co ja na siebie włożę? Muszę jechać do domu i się przebrać.

– Nie ma potrzeby.

Mai rzuciła mu kolejne zdumione spojrzenie. Wszystko to było bardzo dziwne. Może... czyżby... czyżby wszystkie jej gierki i manipulacje faktycznie okazały się skuteczne? Czyżby zdołała owinąć sobie Jacka wokół palca?

31

Lisa obudziła się w niedzielny poranek i natychmiast tego pożałowała. Cisza za oknem wskazywała na to, że jest bardzo, bardzo wcześnie. A ona nie chciała, żeby było bardzo, bardzo wcześnie. Wolałaby, żeby było bardzo późno. Najlepiej późne popołudnie. Najlepiej jutrzejsze późne popołudnie.

Leżała nieruchomo, nasłuchując okrzyków matek, bijatyk dzieci, trzasku odrywanych główek Barbie, czegokolwiek, co wskazywałoby na to, że za oknem cokolwiek się dzieje. Jednak poza głosami ptaków w ogrodzie, które ćwierkały i szczebiotały jak zwycięzcy w lotto, nic nie słyszała.

Kiedy nie mogła już dłużej znieść tej nieświadomości, przewróciła się na bok w skotłowanym łóżku i zerknęła ze znużeniem na zegarek. Siódma trzydzieści, cholera. Rano.

Długi weekend w ogóle nie chciał się skończyć. Bez wątplenia przede wszystkim dlatego, że była całkiem sama.

Z jakiegoś powodu nie spodziewała się, że będzie musiała samotnie stawiać mu czoło. W tygodniu chodziło jej po głowie, że Ashling zaprosi ją na drinka albo na imprezę, albo na spotkanie z tą stukniętą Joy, Tedem, czy cokolwiek. Powiedzmy sobie szczerze, że Ashling ciągle ją gdzieś zapraszała. Jednak w piątkowy wieczór, wstawiona i rozchichotana po szampańskiej orgii, Lisa dopiero w domu wytrzeźwiała i uświadomiła sobie, że tym razem nie padło żadne zaproszenie. Bezczelna krowa. Bombardowała Lisę niechcianymi

zaproszeniami, po czym ją olewała, kiedy akurat Lisa chętnie by się z nią spotkała!

Rozdrażniona, sięgnęła po papierosa, łamiąc własną zasadę dotyczącą niepalenia w łóżku.

Co było w tym Dublinie? W Londynie nigdy nie miała wolnego czasu. Niekończący się stos zaproszeń czekał tylko na jej odmowę. A w tych rzadkich wypadkach, kiedy miała odrobinę wolnego czasu, zawsze mogła wypełnić go pracą.

Jednak nie tutaj. Tu na weekend nie dało się zorganizować żadnych spotkań. Wszyscy ci leniwi dziennikarze, fryzjerzy, didżeje i designerzy wyjeżdżali, a jeśli nawet nie, byli w kiepskich humorach i nie mieli ochoty jej widzieć.

Najgorsze, że nie mogła iść do pracy w poniedziałek, budynek był zamknięty. Kiedy usłyszała to w piątek rano, poszła prosto do gabinetu Jacka i od razu przystąpiła do rzeczy.

– Czy recepcjonista – jak mu tam, Bill? – może przyjść, wpuścić mnie do budynku i potem wrócić do domu?

– W święto? – Jack wydawał się autentycznie rozbawiony. – Bill? A mowy nie ma.

Leniwe, niemrawe tłumoki, myślała Lisa w bezsilnej złości. W Londynie zawsze przychodzili ją wpuszczać.

– Może sobie odpuścisz? – poradził Jack. – Tyle osiągnęłaś w tak krótkim czasie, zasłużyłaś na odpoczynek.

Ale ona nie chciała odpoczywać, była zbyt nakręcona. Trzy wolne dni, czym miała je wypełnić? I dlaczego nie zasugerował, żeby zrobili coś razem?,

zastanawiała się sfrustrowana. Czuła, że jest nią zainteresowany, widziała to nie jeden raz na jego twarzy.

– Wyjedź z miasta. Napij się – mówił. Niby z kim?

Zastanawiała się nad wyjazdem do Londynu na weekend, ale zbyt się wstydziła. Gdzie miałyby się zatrzymać? Jej mieszkanie zajęli lokatorzy, przyjaciół sobie odpuściła w ostatnich latach, gdy budowała swoją pozycję, a jedyną osobą, której była gotowa poświęcić swój czas, była Fifi. Jednak przez zesłanie do Irlandii Lisa wstydziła się skontaktować z Fifi. Gdyby pojechała do Londynu, zmuszona by była zatrzymać się w hotelu jak... – zadrżała – jak turystka.

Jednakże w piątkowy wieczór, kiedy uświadomiła sobie, że zabijanie czasu w weekend będzie prawdziwą torturą, doszła do wniosku, że jakoś sobie poradzi z byciem turystką w Londynie. I właśnie wtedy odkryła, że wszystkie loty z Dublina są zarezerwowane. Każdy marzył o tym, żeby wydostać się z tego zapyziałego kraiku. Wcale się nie dziwiła.

Okazało się, że w sobotę nie było najgorzej. Podcięła włosy, położyła hennę na rzęsy, oczyściła pory, pomalowała paznokcie, wszystkie dwadzieścia. Za darmo, rzecz jasna. Potem poszła na zakupy – przez następne siedem dni zamierzała przyjmować tylko pokarm zaczynający się od a – ananasy, arbuzy, awokado, anchois, absynt.

Jednak czuła się tak roztrzęsiona, że nagięła zasady i włożyła do koszyka jabłko antonówkę. I dobrze, bo perspektywa spędzania samotnej niedzieli była zbyt przytłaczająca.

No i nadszedł niedzielny poranek. Wciąż pozostawały dwa wolne dni.

Idź spać, błagała samą siebie. Idź spać i zabij kilka godzin.

Ale nie mogła. Nic dziwnego, pomyślała z goryczą, skoro poprzedniego dnia położyła się o dziesiątej.

Wygramoliła się z łóżka, wzięła prysznic i, choć zajął jej mnóstwo czasu, wypeelingowała się niemal do żywego mięsa. Okazało się, że jest ubrana i gotowa już piętnaście po dziewiątej. Gotowa na co? Pełna energii, której nie miała jak spożytkować, zastanawiała się, co robią ludzie. Pewnie chodzili na siłownię, pomyślała, wznosząc oczy ku niebu (i żałując, że nikt jej nie widzi). Lisa była bardzo dumna z tego, że nie chodzi na siłownię, zwłaszcza w Dublinie. To było takie passe, cały ten stepper i maszyny do wiosłowania. Irlandzki przemysł fitness pozostawał tak daleko w tyle, że tutejsi mieszkańcy uważali spinning za nowość! Nie, Lisę interesowały nieco mniej brutalne i modniejsze formy rzeźbienia sylwetki. Pilates, nowa joga, ćwiczenia izometryczne. Najlepiej przy udziale osobistego trenera, który zaliczał w poczet swych klientek Elizabeth Hurley i Jeminę Khan.

Jedyny problem z ćwiczeniami typu pilates był taki, że nie poprawiały metabolizmu, w związku z czym najlepsze rezultaty można było osiągnąć w połączeniu z głodówką. Właśnie po to przydawała się dieta na literę A. Zdziwiająco mało pokarmów zaczynało się na A. Co innego B – bekon, bounty, bacardi, brie, bułki, biszkopty... A gdyby naprawdę musiała się ograniczać, wybrałaby Ż. Żabie udka, i tyle. I może jeszcze żółtko, na upartego. Och, i żółwie na zupe, i żubrówka. Może Z byłoby bezpieczniejsze.

Po śniadaniu złożonym z plastra ananasa, antonówki i szklanki wody o nazwie Aqua Libra, nadeszła dziesiąta. Kiedy Lisa wpadła w popłoch, że lada chwila spróbuje uciąć sobie pogawędkę ze ścianą, podjęła decyzję. Postanowiła iść na zakupy. Nie była to tylko doraźna terapia, Lisa miała cel. Przynajmniej coś w rodzaju celu. Postanowiła zamówić drewniane rolety do

sypialni, od sufitu aż do podłogi, żeby jakoś pokonać ten wiejski wystrój i nadać pomieszczeniu bardziej miejski charakter. Potem zamierzała zaprezentować je w swoim piśmie, aby koszty chociaż częściowo się zwróciły.

Kiedy jednak dotarła do Grafton Street, zaszokowana odkryła, że nie otworzono jeszcze żadnych sklepów i że w pobliżu znajdują się jedynie zdumieni turyści.

Pieprzony kraj, pomyślała po raz tysięczny. Gdzie się wszyscy podziali? Pewnie siedzą w kościele, pomyślała z pogardą.

Facet w kiosku powiedział jej, że sklepy otwierają o pierwszej. Ze skrzyżowanymi nogami siedziała w kawiarni, pijąc migdałowe latte i czytając gazety. Jedynie gwałtowne postukiwanie stopą świadczyło o tym, że Lisa tłumi wewnętrzną histerię.

Zastanawiała się też, o co chodzi z tą zwariowaną pogodą? Nie lało jak z cebra ani nie było wichury – a przecież zawsze tak bywa w długi weekend? Niestety, wesołe słońeczko świeciło na pogodnym niebie i z jakiegoś powodu przypomniały jej się dawne czasy. To ją zasmuciło, nie mogła już wytrzymać. No nie!

Szybko powtórzyła sobie swoją teorię – nie była smutna, po prostu jej życie zanurzyło się poniżej wymaganego poziomu bajeczności. Nie istniała żadna negatywna emocja, której nie dałoby się zwalczyć zaaplikowaniem małej dawki bajeczności i ważne, by o tym pamiętała w tych niespokojnych czasach. Musiała przyznać, że całkiem o tym zapomniała – na przykład w ostatnią niedzielę, kiedy przez cały dzień siedziała sama, zrozpaczona.

W końcu imperia roletowe otwarły swe podwoje. Moment później Lisa doszła do wniosku, że niepotrzebnie. W żadnym z tych żalonych sklepików nie chcieli przyjąć zamówienia na tak duże rolety. Proponowali jej, żeby poszła

do domu towarowego. I choć Lisa nie była jedną z tych osób, które robią zakupy w domach towarowych, uświadomiła sobie, że nie za bardzo ma inne wyjście.

Na czwartym piętrze, w dziale zasłon, dopadła jakiegoś człowieczka, który biegał wokół z centymetrem na szyi.

– Potrzebuję rolet na zamówienie.

– Jestem do pani usług – zapewnił ją.

Kiedy jednak podała mu rozmiary, po czym powiedziała, z jakiego mają być drewna, oblicze człowieczka zmieniło barwę na dużo bledszą.

– Trzy metry długości? – wykrztusił. – Cztery i pół szerokości?

– Zgadza się – przytaknęła Lisa.

– Ale proszę pani, to będzie kosztowało majątek!

– Zgadza się.

– Nie ma pani pojęcia ile.

– Proszę mi powiedzieć.

Sporządził pośpieszną kalkulację na papierze pakowym, po czym potrzaskał głową z niepokojem.

– Ile?

Nie chciał jej powiedzieć. Zdecydował najwyraźniej, że za dużo.

– Chwileczkę, chwileczkę, myślę. A może zrobimy je z tańszego materiału? – powiedział, wodząc fachowym okiem wzdłuż półek.

Niech pani zapomni o drewnie. Może zrobimy je z plastiku? Albo z płótna?

– Nie, dziękuję, zdecydowanie wolę drewno.

– Albo może pani zamówić gotowe rolety. – Postanowił zmienić taktykę.

– Wiem, że rozmiar nie będzie taki sam, materiał też brzydszy, ale za to o

niebo tańszy. Proszę tu podejść i popatrzeć. – Złapał ją za rękę i zaciągnął do jakichś odrażających pionowych rolet biurowych.

Wyrwała rękę.

– Ale ja ich nie chcę! Chcę drewniane i daję panu słowo honoru, że mnie na nie stać.

– Bardzo przepraszam – powiedział człowieczek pokornie. – Nie chciałem, żeby traciła pani tyle pieniędzy, ale skoro jest pani pewna...

Lisa westchnęła ze znużeniem. Pieprzony kraj.

– Oszczędzałam. – Postanowiła go pocieszyć. – Wszystko w porządku.

– Oszczędzała pani? – Od razu odzyskał równowagę psychiczną. – A to, co innego.

Zapoznała go ze szczegółami, a jej irytacja zmalęła. Gdy wyznał, że uważa, iż ceny w tym sklepie są szokujące, że razem z żoną czeka na wyprzedaż, niemal ją wzruszyła jego troska. Źle ze mną, pomyślała. Poważnie, tracę rozum. Wzrusza mnie uprzejmy sprzedawca, który nie chce sprzedać mi tego, o co proszę.

Była dopiero szósta, kiedy Lisa dotarła do domu. Rozpaczliwie szukając jakiegoś zajęcia, zadzwoniła do mamy i podała jej swój nowy numer telefonu. Zastanawiała się zresztą, po co to robi, skoro mama nigdy nie oddzwania. Za bardzo przejmowała się rachunkiem telefonicznym. Lisa pomyślała gorzko, że nawet gdyby wydarzyła się katastrofa, nawet gdyby umarł tata, mama pewnie czekałaby na telefon od niej.

Po zwyczajowych pytaniach o zdrowie, Pauline postanowiła podzielić się z córką dobrą nowiną.

– Twój tata twierdzi, że ten wasz dziwaczny ślub i tak nie jest ważny, więc nie musisz brać rozwodu.

Słowo „rozwód” uderzyło Lisę z nową siłą. Było takie ciężkie, takie ostateczne. Szybko jednak doszła do siebie.

– No cóż, mylisz się – warknęła.

Pauline przełknęła ślinę, słysząc tę spodziewaną naganę. Jasne, że się myliła. Zawsze się myliła przy Lisie.

– Oliver zarejestrował ślub po naszym powrocie.

– A więc to tak.

– Właśnie tak.

W ciszy, która nastąpiła po tych słowach, Lisa przypomniała sobie piątkowy poranek w łóżku, kiedy ona i Oliver doszli do wniosku, że jako młodzi i cudowni londyńczycy mogą dla kaprysu polecieć na weekend do Las Vegas i wziąć ślub.

– Nigdy nie uda nam się zarezerwować lotów – zaśmiał się Oliver, przejęty tym pomysłem.

– Jasne, że się uda – odparła Lisa z pewnością siebie kogoś, kto zawsze dostaje to, czego chce. I oczywiście się udało – w tamtych czas świat stał po jej stronie. Wieczorem, oszołomieni podnieceniem i niepokojem wywołanym tym, co chcieli zrobić, polecili do Vegas. Tam, pod wpływem skutków długiej podróży i dziwacznego błękitu nieba nad pustynią, odkryli, że wzięcie ślubu to bułka z masłem.

– Powinniśmy? – zaśmiała się Lisa, lekko tracąc zimną krew.

– Po to przylecieliśmy.

– Wiem, ale... To dość ekstremalne, prawda?

Oliver popatrzył na nią z irytacją. Lisa wiedziała, co oznacza to spojrzenie. Przy Oliverze nie zaczynałaś niczego, czego nie zamierzałaś doprowadzić do końca.

– No to chodźmy! – Radość i przerażenie sprawiły, że jej śmiech zabrzmiał ostrzej niż zwykle.

Złożyli sobie przysięgę w czynnej całej dobie Kaplicy Miłości, a ich świadkami byli sobowtór Elvisa Presleya oraz kelnerka z kawiarni Starbucks. Panna młoda ubrała się na czarno.

– Możesz pocałować pannę młodą.

– Jesteśmy po ślubie. – Lisa dostała ataku śmiechu, kiedy kazano im się zabierać i zrobić miejsce dla następnej pary. – To nierealne.

– Kocham cię, mała – powiedział Oliver.

– Ja ciebie też.

I naprawdę go kochała. Jednak przede wszystkim marzyła o tym, żeby już wrócili i aby wszystkich skreśliło z zazdrości na wieść o kiczowatym blichtrze ich ślubu. Ceremonie na plaży w Santa Lucia w ogóle się do niego nie umywały – to dopiero było coś! Nie mogła się doczekać, kiedy przyjdzie w poniedziałek do pracy – ktoś zapyta: „Jak tam weekend?“, a ona odpowie od niechcienia: „Poleciałam do Las Vegas i wyszłam za mąż”.

– No to będzie ci potrzebny dobry adwokat. – Głos Pauline sprowadził ją do rzeczywistości. – Dopilnuj, żebyś dostała to, co ci się należy.

– Jasne – odparła poirytowana.

Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co pociąga za sobą rozwód. Choć była tak pragmatyczna i dynamiczna, nietypowo dla siebie ociągała się z zakończeniem małżeństwa. Może mama miała rację, może potrzebny był adwokat.

Po tej rozmowie Lisa nie mogła przestać myśleć o Oliverze. Dręczące ją uczucia wyskakiwały na powierzchnię niczym pęcherze i w jakimś przyływie szaleństwa omal nie sięgnęła po słuchawkę i do niego nie zadzwoniła. Myśl o

tym, że usłyszałaby jego głos, być może by się z nim pogodziła, przepelniała ją niezdolną nadzieją.

Już wcześniej kusiło ją, żeby zadzwonić, ale nie aż tak jak teraz. Udało się jej uspokoić, dopiero kiedy przypomniła sobie, że to on ją zostawił. Chociaż mówił, że właśnie ona nie pozostawia mu żadnego wyboru.

Odsunęła się od telefonu, czując wręcz fizyczny ból. Serce jej waliło jak młotem. Jeszcze przed chwilą pojednanie wydawało się możliwe, a od przygnębienia, które nastąpiło po entuzjazmie, zakręciło się jej w głowie. Drżącą ręką zapaliła papierosa i nakazała sobie zapomnieć o Oliverze. Zapomnieć o starym, liczy się nowe. Myśl o Jacku. Ale on zapewne bez przerwy uprawiał seks z tą kokietką Mai.

O rany, jak chętnie pouprawiałaby seks... z Jackiem. Z Oliverem. Z jednym z nich. Z oboma.... Przed jej oczyma stało jędrne ciało Olivera, wyglądające jak wyrzeźbione z kawałka hebanu. Na to wspomnienie jęknęła głośno.

Spojrzała na zegarek. Znowu. Wpół do ósmej. Dlaczego ten dzień nie mógł się już skończyć?

Kiedy rozległ się dzwonek, serce podeszło jej do gardła. Może znowu Jack wpadł z nieoczekiwaną wizytą. Szybko zerknęła w lustro, żeby sprawdzić, czy może się pokazać, wytarła maskarę spod oczu, przygładziła włosy i pobiegła do drzwi.

Na progu stał mały chłopiec w podkoszulku Manchester United, z dziwną fryzurą: miał wystrzyżoną na zero czaszkę i długą grzywkę na czole. Wszyscy chłopcy na ulicy nosili identyczne fryzury.

– Jak leci, Lisa? – powiedział głośno. Oparł się o framugę. – Co porabiasz? Wyjdiesz się pobawić?

– Pobawić?

– Potrzebny nam sędzia.

Za nim pojawiły się inne dzieci.

– Właśnie, Lisa – dodały. – No chodź.

Wiedziała, że to absurdalne, ale i tak jej pochlebiło. Miło, że była komuś potrzebna. Wyrzuciła z pamięci wspomnienie innych długich weekendów, kiedy to leciała helikopterem do Champneys, pierwszą klasą do Nicei albo zaszywała się w pięciogwiazdkowym hotelu w Konwalii. Sięgnęła po kurtkę i przez resztę niedzieli siedziała na swoim progu, sędziując, a dzieci z ulicy grały w bardzo agresywną odmianę tenisa.

Jack Devine zadzwonił do matki w niedzielny poranek

– Wpadnę później – powiedział. – Mogę przyprowadzić przyjaciółkę?

Jego matka omal się nie udławiła z przejęcia.

– Przyjaciółkę? – powtórzyła. Choć Lulu Devine postanowiła o nic więcej nie pytać, poległa na całej linii. – Czy to Dee?

– Nie, mamó – westchnął Jack. – To nie Dee.

– No cóż. Widziałeś ją ostatnio? – Lulu była rozdarta: tęskniła za kobietą, która rzuciła jej ukochanego jedynaka, i jednocześnie jej nie cierpiała.

– Szczerze mówiąc, tak – przyznał Jack. – Widziałem ją na parkingu na Drury Street. Pozdrawia cię.

– Jak się miewa?

– Wychodzi za męż.

Nadzieja umiera ostatnia.

– Za ciebie? – westchnęła.

– Nie.

– Świnia!

– Nie – uspokoił ją Jack. Może nie była to najmiłsza wiadomość na świecie, ale i nie najgorsza. – Miała rację, że za mnie nie wyszła. Oddaliliśmy się od siebie. Po prostu ona zauważyła to wcześniej niż ja.

– A ta dziewczyna, którą dziś przywieziesz?

– Ma na imię Mai. Jest świetna, ale trochę nerwowa.

– Będziemy dla niej mili.

Mai, w skromnej szmizjerce, kupionej dla jaj w Oxfamie, i w sandałach, które miały tylko ośmiocentymetrowe obcasy, usiadła obok Jacka i pojechali do Raheny.

– Nie będzie im przeszkadzało, że jestem pół–Wietnamką? To rasiści?

Jack pokręcił głową.

– Wcale nie. – Dotknął jej dłoni. – Mai, nie przejmuj się tak, to przyzwoici ludzie.

– Mówiłeś, że są nauczycielami?

– Obecnie na emeryturze.

Lulu i Geoffrey stawali na głowie, żeby przyjaźnie powitać Mai – ściskali jej obie dłonie, zrzucili gazety z sofy, żeby sobie usiadła, pokazywali zdjęcia małego Jacka.

– Był cudowny – westchnęła z ukontentowaniem Lulu, wręczając Mai zdjęcie ładnego czterolatka zrobione pierwszego dnia w szkole. – Albo popatrz na to. – Podała jej kolorową odbitkę nastoletniego Jacka obok stoliczka.

– Sam zrobiłem ten stoliczek – pochwalił się Jack.

– Ma bardzo zręczne ręce – wyznała Lulu.

Wiem, przytaknęła Mai, i przez jedną okropną chwilę zastanawiała się, czy powiedziała to na głos.

Zdenerwowanie Mai malało i wszystko szło znakomicie, dopóki nie zauważyła fotografii na kominku. Widniał na niej młodszy, szczuplejszy, mniej zmartwiony Jack obejmujący wysoką, brązowowłosą dziewczynę, która uśmiechała się z pełną napięcia pewnością siebie. Lulu dostrzegła fotografię w tym samym momencie i przerażona spojrzła na gościa. Czemu nie ukryła zdjęcia?

– Kim jest twoja przyjaciółka? – spytała Jacka Mai, niemal rozkoszując się tym dręczeniem siebie. Wiedziała wszystko o Dee; że mieszkała z Jackiem od czasów studiów i że kiedy po dziewięciu latach postanowili wziąć ślub, Dee się rozmyśliła. Od dawna marzyła, żeby ją zobaczyć.

Niebezpieczeństwo minęło, gdy pojawiła się Karen, starsza siostra Jacka, z mężem i trójką dzieci. Kiedy już skończyli się hałaśliwie witać, przyszła Jenny, młodsza siostra Jacka, także z mężem i gromadką dzieci.

– Chodź, idziemy – powiedział Jack, kiedy Mai zaczęła wyglądać na przytłoczoną tą liczbą gości.

Lulu i Geoffrey obserwowali odjeżdżający samochód.

– Urocza dziewczyna – powiedziała Lulu.

– Z niezwykłym zawodem – zauważył Geoffrey.

– Mówisz o sprzedaży komórek? Geoffrey popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Sprzedaje telefony komórkowe? Mnie powiedziała coś innego!

32

Włosy. Na nogach. Za dużo. Ashling miała problem depilacyjny. Woskowała nogi dwa tygodnie temu, podczas Widmowego Lata, więc włoski

były zbyt krótkie, by powtórzyć zabieg. Ale były za długie, o tak, znacznie za długie, żeby iść z kimś do łóżka

Czyżby więc planowała przespać się z Marcusem Valentine'em? Cóż, kto to wie?, pomyślała. Nie chciała jednak, żeby owłosione nogi stały jej na przeszkodzie.

Pomyślała, że je ogoli. Problem w tym, że nie mogła. Kiedy już zaczęła się depilować nogi woskiem, nie wolno psuć rezultatów goleniem, bo włosy znów zrobią się grube i sztywne. Julie, dziewczyna od woskowania, zabiłaby ją za to.

Musiała użyć pianki depilującej Immac, a z jakichś strasznych powodów zabrakło jej w domu. Wobec tego Ted, wyposażony w ręcznie napisaną notatkę, musiał powędrować do najbliższej drogerii.

– Dlaczego sama nie pójdziesz? – zrzędził. Ashling wskazała folię na swojej głowie.

– Mam na włosach odżywkę na gorąco. Gdybym tak wyszła, wszyscy pomyśleliby, że kosmici już wylądowali.

– Akurat! Wiedzą przecież, że kosmici nie zdołają zaparkować w tym mieście. Ashling, czy naprawdę muszę podawać tę kartkę sprzedawczyni? Czy nie mogę po prostu wziąć pianki z półki?

– Nie. Jest za dużo rodzajów, a ty jesteś tylko facetem. Chcę piankę naturalną, a ty wróciłbyś z żelem cytrynowym. Albo, co gorsza, z kremem i szpatułką. No idź już!

O dziwo, misja zakończyła się powodzeniem i Ashling udała się do łazienki, żeby stać w wannie, z nogami syczącymi od szkodliwej, białej substancji – czekała, aż włosy na jej nogach się wypalą. Westchnęła. Czasem trudno być kobietą.

To szaleństwo upiększania się wybuchło w poniedziałkowe popołudnie, kiedy zadzwonił Marcus.

– Co ty na to? – zapytał.

– Na co?

– Cokolwiek. Drinka? Torbę chipsów? Dziki seks?

– Drink brzmi wspaniale. Podobnie jak torba chipsów. Zapadła krótka cisza.

– A dziki seks? – spytał jak sprytny mały chłopiec. Ashling przełknęła ślinę, starając się mówić żartobliwie:

– Zobaczymy.

– Jeśli będę grzeczny?

– Jeśli będziesz grzeczny.

I wtedy Ashling z kopyta zabrała się do roboty, wcierając w siebie jedne rzeczy i ścierając z siebie inne. Przez całe popołudnie zdążyła umyć i mocno odżywić włosy, wypeelingować całe ciało, usunąć odprysnięty lakier z paznokci u stóp i położyć świeży, usunąć włosy na nogach, natrzeć się balsamem Envy Gucciego, który wyciągała jedynie przy specjalnych okazjach, wtarła w głowę ćwierć tuby pasty prostującej włosy, zrobiła mocny makijaż – to nie była pora na subtelności – i spryskała się wodą perfumowaną Envy.

Ted wrócił, by doglądać końcowych przygotowań. Był bardzo zadowolony, że Marcus i Ashling przypadli sobie do gustu, bo dzięki dobrym kontaktom z Marcusem mógł popchnąć swoją karierę do przodu.

– Wyglądaj seksownie – powtarzał, rozwalony na łóżku Ashling, i patrzył, jak nakładała trzecią, ostatnią warstwę maskary.

– Usiłuję! – usłyszała swój krzyk. Najwyraźniej była o wiele bardziej zdenerwowana, niż sobie uświadamiała. Co robiła z nią ta nadzieja? Narząła

na szwank jej pragnienie miłości i stabilizacji, a także zamieniała ją w kłębek nerwów. Czasami, w chwilach takich jak ta, Ashling podejrzewała, że zbyt dużo czuje. Czy to normalne? Pewnie tak. A jeśli nie? No cóż, miałam trudne dzieciństwo, pomyślała.

Może nie takie naprawdę trudne, ale pozbawione rutyny, pozbawione zwyczajności. Po pierwszym ataku depresji matki sytuacja nigdy nie powróciła do normy. Zamiast tego życie, jakie dotąd znali, przeminęło na zawsze, choć wtedy jeszcze tego nie wiedzieli.

O ironio, początkowo Ashling była radośnie przejęta tym, że posiłki przestały pojawiać się o stałej porze. Kiedy na jej sweterku pojawiła się plama z trawy, dziewczynka cieszyła się, że nikt na nią nie krzyczy. Jednakże dni mijały i nawet ona dostrzegała, że ubrania, które na siebie wkłada, są brudne. Ulga ustąpiła miejsca niepokoju. Nie było dobrze.

– Mogę to dziś włożyć? – Stawała przed mamą w brudnej sukience. Zauważ mnie, zauważ mnie.

Obojętne oczy mamy patrzyły na nią z twarzy ściągniętej nieokreślonym smutkiem.

– Jeśli chcesz.

Janet i Owen prezentowali się podobnie. I mama również – niegdyś była taka ładna i ślicznie ubrana, a teraz nawet nie zauważała, że wychodzi z domu w bluzce poplamionej jajkiem.

Tamtego lata często chodzili do parku nieopodal. Monica wykrzykiwała: „Nie mogę siedzieć w tym domu” i pośpiesznie wyprowadzała ich wszystkich. Ale nawet w parku nie mogła przestać płakać i nigdy nie miała przy sobie chusteczki. A więc Ashling, która doszła do wniosku, że nie wypada, żeby jej

mama wycierała łzy rękawem, zaczęła wkładać do rękawa sweterka paczkę chusteczek za każdym razem, gdy wychodzili.

Już w parku Ashling usiłowała tak organizować czas, żeby przynajmniej Janet i Owen dobre się bawili. Kiedy żądali lodów, Ashling dopilnowywała, aby je dostali: bała się, że jeśli i oni się przygnębią, wszystko runie. Ale mama nigdy nie pamiętała o zabraniu pieniędzy, więc Ashling zaczęła nosić ze sobą różowo-brązową portmonetkę w kształcie psiego łba.

Latem Monica wyrobiła sobie nowy i niepokojący nawyk. Siedząc w milczeniu na ławce, skubała ranek na ramieniu, aż popłynęła krew. Właśnie w tamtym czasie Ashling zaczęła nosić ze sobą pudełko plastrów.

Coś się musiało stać. Chyba ktoś to zauważył?

Zacząła się modlić o to, żeby mamie się poprawiło, żeby ojciec nie wyjeżdżał w każdy poniedziałek i wracał dopiero w piątek. Kiedy jednak modlitwy nie przyniosły spodziewanego rezultatu, nabrała dziwnego przekonania, że jeśli tylko spuści wodę w ubikacji trzy razy, wszystko będzie dobrze. Potem wbiła sobie do głowy, że po zejściu ze schodów musi na dole zrobić obrót. Po prostu musi, bo jeśli zapomniała, wchodziła na górę, a rytuał zaczynał się od początku.

Przesady nabrały wielkiej wagi. Jeśli widziała jedną srokę, oznaczało to smutek, więc szybko patrzyła na niebo w poszukiwaniu drugiej, co przynosiło radość. Pewnego dnia rozsypała sól i żeby uniknąć łez, sypnęła nią przez lewe ramię. Sól wylądowała w biszkopcie z bitą śmietaną. Matka patrzyła tępo, jak ziarenka soli rozpuszczają się w śmietanie, po czym oparła głowę na blacie stołu i zaszlochała. Nic się nie zmieniło.

Ryk Teda przywrócił ją do rzeczywistości.

– Ashling, odezwij się do mnie! Co mówią karty tarota o dzisiejszym wieczorze?

Bardzo szybko doszła do siebie, ogromnie zadowolona, że tamte czasy już minęły.

– Nie najgorzej. Czwórka Kielichów. – Nie zamierzała wspominać, że najpierw wyciągnęła i odrzuciła bardziej złowieszczą Dziesiątkę Mieczy. – I mój horoskop w dwóch niedzielnych gazetach jest dobry – ciągnęła. W dwóch innych był nie za dobry, ale co z tego? – A w Anielskiej Wyroczni wyciągnęłam Cud Miłości. – Faktycznie, po Dojrzałości, Zdrowiu, Kreatywności i Mądrości.

– To włożysz? – Ted wskazał głową czarne rybaczki i wiązaną w pasie koszulę.

– A co? – burknęła wrogo. Wybrała strój bardzo starannie, a szczególnie zadowolona była z koszuli, bo dzięki optycznej sztuczce wydawało się, że Ashling ma talię.

– Nie masz miniówki?

– Nigdy nie noszę mini – wymamrotała, zastanawiając się z niepokojem, czy nie przesadziła z różem. – Nienawidzę swoich nóg. Nie nałożyłam za dużo różu?

– A które to róż? To czerwone na policzkach? Nie, nałóż więcej. Ashling błyskawicznie starła trochę różu. Motywy Teda były podejrzone.

– Gdzie się z nim spotykasz? W Kehoe's? Odprowadzę cię.

– Nie, cholera – powiedziała bardzo stanowczo.

– Ale ja...

– Nie!

Ashling absolutnie nie życzyła sobie Teda płaczącego się jej pod nogami i adorującego Marcusa, pytającego go, czy może zostać jego nowym najlepszym przyjacielem.

– No to powodzenia – westchnął Ted żałośnie, kiedy Ashling wrzuciła swój szczęśliwy kamyk do nowej, haftowanej torebki, wsunęła na stopy sandały na koturnie i przygotowała się do wyjścia. – Mam nadzieję, że to będzie niebiański romans.

– Ja też – przyznała Ashling, po czym pośpiesznie pomodliła się do Boga czy też do jakiegokolwiek niebiańskiego ministra romansów. – Musi tak być.

– Tfu, tfu – powiedział pogardliwie Ted. Po krótkiej orgii pocierania Buddy Ashling wyszła.

Spodoba mi się Marcus Valentine, a ja spodobam się jemu, spodoba mi się Marcus Valentine'a, a ja spodobam się jemu... Kiedy afirmowała się na Grafton Street w swoich zamieniających nogi w kotlet mielony sandałach, jej mantrę przerwał przeraźliwy gwizd. Czyżby Marcus Valentine? O rany. Trzeba przyznać, że rady Louise L. Hay były cholernie skuteczne!

Nie był to jednak Marcus Valentine. Po drugiej stronie ulicy ujrzała Boo, bez pomarańczowego kocyka. Stał z dwoma innymi mężczyznami, których zarośnięte oblicza i dziwne ubrania – takie, których nie dałoby się kupić, nawet gdyby człowiek bardzo się starał – świadczyły o tym, że i oni nie mają domów. Wszyscy jedli kanapki.

Uprzejmość nakazała jej do nich podejść.

– No i jak, Ashling? – Obdarzył ją szczerbatym uśmiechem. – Nie wyjechałaś na długi weekend?

Ashling pokręciła głową.

– Ja też nie – oświadczył z godnością. Potem uderzył się w czoło, porażony własną nieuprzejmością, i wskazał ręką swoich dwóch towarzyszy. Jeden z nich był młody, potargany i kościsty, gumka jego dresowych spodni ledwie opasywała wychudzone biodra. Drugi był starszy, jego twarz ukryta była w olbrzymiej brodzie i nieujarzmionych włosach. Wyglądał tak, jakby ktoś poprzyklepiał mu do głowy rozczochrane, zdziczałe koty. Miał na sobie białe niegdyś tenisówki i smoking, który zdecydowanie uszyto na znacznie niższego mężczyznę.

W porównaniu z nimi Boo wyglądał niemal normalnie.

– Przepraszam, Ashling, to JohnJohn. – Wskazał młodszego z mężczyzn.
– A to Włochaty Dave. Chłopaki, to Ashling, czasem moja sąsiadka i zawsze przyzwoity człowiek.

Lekko zażenowana Ashling uścisnęła dłonie obu bezdomnym. Gdyby tylko widziała ją teraz Clodagh – pewnie dostałaby ataku serca! Zwłaszcza Chewbacca wyglądał strasznie brudno, a kiedy jego szorstka dłoń zacisnęła się na jej dłoni, Ashling z trudem opanowała dreszcz.

Jakiś przechodzień niemal wykręcił sobie szyję, przyglądając się temu dziwnemu kwartetowi. Ashling była taka świeża i pachnąca, w przeciwieństwie do pozostałej trójki.

– Wyglądasz zabójczo – zauważył Boo z autentycznym podziwem. – Na pewno masz randkę.

– Tak – przytaknęła. Po chwili, kierowana nagłym przyływem sympatii do Boo, dodała: – Nigdy nie zgadniesz z kim.

– Z kim? – Wszyscy trzej otworzyli usta i przysunęli się do niej. Ashling musiała wstrzymać oddech.

– Z Marcusem Valentine'em – powiedziała na wydechu. Boo wybuchnął radosnym śmiechem.

– Czy to ten komik? – spytał Włochaty Dave basem. Ashling przytaknęła.

– Ten, co opowiada o sowach?

Boże Wszechmogący! Czyżby sława Teda sięgała tak daleko, że nawet zepchnięta na margines część społeczeństwa go znała? Nie mogła się doczekać, kiedy mu to powtórzy.

– Nie, myślisz o Tedzie Mullinsie – wyjaśnił Boo JohnJohnowi. – Marcus Valentine opowiada o maśle i płatkach śniegu.

– Nie znam go. – JohnJohn był rozczarowany.

– Super, Ashling, świetna nowina! Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła.

– Dzięki. Teraz dam wam w spokoju dokończyć kolację. – Ashling wskazała na kanapki, które przestali jeść, kiedy do nich podeszła.

– Marks&Spencer – powiedział Boo. – Dają nam to, co się nie sprzedaje. Wiem, że mają trochę nudne ciuchy, ale kanapki są genialne!

Nagle wszyscy trzej zeszywnieli, jakby wietrząc niebezpieczeństwo. Ashling się obejrzała. Najwyraźniej problem stanowili dwaj policjanci na rogu ulicy.

– Wydają się znudzeni – zmartwił się JohnJohn.

– Chodźcie! – pośpieszył ich Boo i ruszyli przed siebie. – Cześć, Ashling.

Kiedy zjawiała się w pubie, Marcus już tam był, siedział w bojówkach i podkoszulku, a przed nim stał kufel guinnessa. Na jego widok Ashling serce podeszło do gardła. A więc przyszedł. To się działo naprawdę.

Dręczyła ją niepewność – co do niego czuła? Czy był to ten entuzjastyczny, piegowaty dupek, do którego nie chciała dzwonić? Czy też

pewny siebie wykonawca, na którego telefony czekała? Jego obecność wcale niczego nie ułatwiła; ani nie był dziko atrakcyjny, ani żałośnie beznadziejny. No cóż, spójrzmy prawdzie w oczy – był przeciętny. Miał krótko przycięte, kasztanowe włosy, oczy w nieokreślonym kolorze, no i rzecz jasna, pozostawała jeszcze kwestia piegów. Ale Ashling lubiła przeciętność. Zasługiwała na przeciętność. Nie ma co latać zbyt blisko słońca.

I chociaż był normalny, jego wzrost świadczył o tym, że jest luksusową wersją przeciętności. Miał niezłe ciało.

Na jej widok wstał i skinął głową. Obok niego na ławie było miejsce, wcisnęła się na nie.

– Cześć – powiedziała poważnie.

– Cześć – odparł z jednakową powagą. Oboje zachichotali. Czyli jego też trafiło.

– Przynieść ci drinka? – zapytał.

– Tak. Wódkę z tonikiem poproszę.

Kiedy wrócił z drinkiem, uśmiechnęła się do niego swobodnie. Wyglądał tak swojsko, że trudno było traktować go poważnie. Przez co zresztą poczuła się rozczarowana. Nie podobał się jej. Cały ten niepokój towarzyszący czekaniu na jego telefon okazał się zbędny. Postanowiła jeszcze to sprawdzić, patrząc na jego piegi i myśląc o swoich uczuciach. Nie, zdecydowanie się jej nie podobał. Mogła zostawić włosy na nogach w spokoju. Ted nie musiał odbywać upokarzającego spaceru do drogerii. No cóż, może przynajmniej się zaprzyjaźnią. W końcu Marcus mógł przecież pomóc Tedowi w karierze.

Uśmiechnęła się do niego odważnie.

– Co ostatnio porabiałeś? – zapytała.

Szybko przypomniała sobie, że według słów Lisy ten człowiek miał „się wybić” i jej lekkomyślny brak szacunku zniknął. Jeszcze przed sekundą mogłaby mu opowiadać najbardziej zawstydzające historyjki ze swojego życia, ale nagle z jej umysłu wyparowały wszystkie tematy do rozmowy.

– To i tamto – odparł.

Jej kolej. Co powinna powiedzieć? Ostatnie, naprawdę ostatnie, o czym mogła wspomnieć, to jego praca. Byłoby to naiwne, a poza tym jako człowiek odnoszący sukcesy miał zapewne mdłości od nieustających komplementów.

Dlatego mocno ją zdumiało, kiedy w tej pełnej napięcia ciszy zapytał:

– Podobał ci się sobotni występ?

– Owszem – przyznała. – Wszyscy byli bardzo zabawni. Wyczuła w nim jakieś oczekiwanie.

– Uważam, że byłeś fantastyczny – dodała ostrożnie.

– To nie był mój najlepszy występ. – Ożywił się, z odrobiną tej swojej scenicznej ofermowatości. Jego ulga była wręcz wyczuwalna.

Znowu nadeszła kolej Ashling.

– Masz jakąś pracę, no wiesz, oprócz rozśmieszania ludzi?

– Piszę programy dla Cablelink, firma się unowocześnia i instaluje światłowody.

– Eee... tak?

– Fascynujące zajęcie. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Nic dziwnego, że muszę występować na scenie. A ty czym się zajmujesz?

Oho.

– Pracuję w piśmie dla kobiet.

– Którym?

– W „Irlandce”.

– W „Irlandce”? – Wyraz jego twarzy się zmienił. – Chcą, żebym miał tam felieton. Jakaś Lisa.

– Edwards. Lisa Edwards. Moja szefowa – wyznała Ashling. Czuła się winna, choć nie było powodu.

Podejrzliwość sprawiła, że wyraz jego twarzy stał się zimny i nieprzyjemny.

– Dlatego się ze mną umówiłaś? Żeby przekonać mnie do pisania felietonu?

– Nie. Wcale nie. – Przeraziła się, że mógłby ją uznać za natrętną. – Nie mam z tym nic wspólnego i wcale się nie zmartwię twoją odmową.

Nie do końca była to prawda. Gdyby zgodził się na felieton, byłby to dla niej powód do dumy, ale nie zamierzała naciskać. Była jednak poruszona jego niepewnością i nagle, całkiem znikąd, poczuła przypływ opiekuńczych uczuć.

– Poważnie – powiedziała cicho. – Jestem tu z tobą, bo chcę. Nie z żadnego innego powodu.

– OK. – Pokiwał głową z zadumą, a potem nagle się roześmiał: – Wierzę ci, masz uczciwą twarz.

Ashling zmarszczyła nos.

– O Boże, i to ma być komplement? – Wskazała głową jego pusty kufel: – Jeszcze herbatki, wielebny?

– Co? Nie. Ashling, chciałbym cię o coś spytać – powiedział przeproszającym tonem. – Moglibyśmy wpaść na jeden występ? Tylko na pół godzinki? Będzie ktoś, na kogo bardzo chciałbym rzucić okiem.

– Jasne, czemu nie? – Cóż, nie miała co liczyć na romantyczną kolację przy świecach. No i dobra.

Występ odbywał się nieopodal, w innym pubie. Marcusa powitano w drzwiach jak królową. Ku rozbawieniu Ashling, nie musieli płacić za wejście. W zatłoczonym pomieszczeniu ludzie – głównie inni komicy – podchodzili do niego, a Marcus wszystkim przedstawiał Ashling. Pomyślała, że mogłaby do tego przywyknąć.

To miejsce niewiele się różniło od wszystkich innych. Mnóstwo ludzi tłoczyło się w ciemnej salce, w rogu umieszczono maleńką scenę. Komik, którym zainteresował się Marcus, udawał chorego na psychozę maniakalno–depresyjną i nazywał sam siebie Facetem na licie.

Kiedy skończył dziesięciminutowy występ, Marcus lekko dotknął Ashling.

– Możemy iść.

– Jeśli chcesz, zostańmy...

– Nie. – Pokręcił głową. – Chcę z tobą porozmawiać. Uśmiechnął się w półmroku, a Ashling nagle zauważyła, że chociaż był przeciętny, to miał i dobre strony.

Kiedy usiedli w innym pubie, Marcus zapytał:

– Co myślisz o Facecie na licie?

Ashling przez chwilę milczała.

– Szczerze mówiąc, niezbyt mi się podobał.

– Tak? Dlaczego? – Marcus wydawał się bardzo zainteresowany jej opinią, a to pochlebiło Ashling.

– Moim zdaniem wyśmiewanie się z choroby umysłowej nie jest zbyt mądre – przyznała. – Chyba że ktoś jest naprawdę śmieszny, a on nie był.

– A kto twoim zdaniem jest naprawdę śmieszny? – spytał z przejęciem.

– No, ty, rzecz jasna. – Zaśmiała się, trochę za piskliwie, ale nie zwrócił na to uwagi. – A twoim?

– No ja, rzecz jasna. – Zaśmiali się oboje. – I Samuel Beckett.

Ashling pękała ze śmiechu, dopóki nie zorientowała się, że mówił poważnie.

– Myślę, że to najlepszy pisarz komediowy stulecia – entuzjasmował się Marcus.

– Widziałam kiedyś *Czekając na Godota* – powiedziała Ashling z wahaniem. Postanowiła nie dodawać, że było to na szkolnej wycieczce i za cholere nie mogła się zorientować, o co chodzi. Jednak poza wpadką z Beckettem wieczór przebiegł gładko. Drinki płynęły jeden po drugim, Marcus był czarujący i wyraźnie nią zainteresowany. Dzięki jego piegom czuła się zrelaksowana i opowiedziała mu mnóstwo rzeczy. O swoich lekcjach salsy – musiała przyznać, że bardzo się z nich cieszy, gdyż dzięki nim wydawała się osobą „z zainteresowaniami” – o swoim upodobaniu do torebek i o tym jak bardzo, bardzo się cieszy z nowej pracy w „Irlandce”.

– Ale to nie jest żadna aluzja – zapewniła go, nagle zaniepokojona.

– Wiem. Ale powiedz szczerze, oczekują od ciebie, że przyniesiesz im głowę Marcusa Valentine'a?

– N–nie – zająknęła się.

– I nie liczą na ciebie w tej materii? – spytał ponownie.

– Ależ skąd – oświadczyła Ashling. – Prawdę mówiąc, nikt nawet o tym nie wspomniał.

– Och. – Po chwili milczenia dodał: – Rozumiem... rozumiem.

Zerkając spod rzęs, uśmiechnął się do niej lekko i nagle poczuła ciepło w splocie słonecznym. Uświadomiła sobie, że jednak jest dla niej atrakcyjny.

Pewnie był jednym z tych, którzy zyskują przy bliższym poznaniu. I wcale nie przypominał siebie ze sceny. I bardzo dobrze – głupkowate oferty były średnim materiałem na kochanków. Nagle się poruszył i oparł czoło o czoło Ashling.

– Masz ochotę na torebkę chipsów? – powiedział niskim, znaczącym głosem.

– Nie, dzięki.

– No to wypiliśmy drinki, ty nie chcesz chipsów, więc pozostaje nam tylko... dziki seks.

Chociaż straciła rachubę wypitych drinków, sam pomysł ją poraził. Nie był to strach, choć i nie brak strachu. Naprawdę go lubiła, był dla niej atrakcyjny, ale...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Bo widzisz, zaplanowałam sobie, że dziś wcześniej wrócę. Jutro rano wstaję do pracy i w ogóle.

– W porządku. Jasne – powiedział pogodnie, ale nie patrzył jej w oczy. – No to lepiej już chodźmy.

Pocałował ją pod domem, ale jakoś nie była przekonana.

33

Miękkie, pulchne ręce na jej twarzy... Gdzieś w połowie drogi między snem a jawą, Clodagh sennie delectowała się ciepłem rąk Molly dotykających wrażliwej skóry jej twarzy. Leżąc na piersi matki, Molly oddychała spokojnie, przesuwając delikatnymi, lepkimi palcami po brodzie Clodagh, jej policzkach, wokół jej nosa, czoła i... Au! Przed oczyma Clodagh rozbłysły gwiazdy.

– Uderzyłaś mnie pięścią w oko, Molly! – zawyła Clodagh, zaszokowana tym nagłym przebudzeniem.

– Mamusia się obudziła – powiedziała Molly z fałszywym zdumieniem.

– Jasne, że mamusia się obudziła. – Clodagh przykryła ręką oślepięte oko, z którego łzy lały się niczym z kranu. – Cios w oko zazwyczaj budzi człowieka.

Strząsnąwszy z siebie Molly, powlokła się do lustra, żeby sprawdzić rozmiar szkód. Dziś musiała wyglądać świetnie, bo była umówiona na spotkanie w agencji pośrednictwa pracy.

Jedna strona jej twarzy wyglądała normalnie, druga zamieniła się jednak w zalany łzami, posiniaczony Obraz nędzy i rozpacz. Cholera. W tym samym momencie zauważyła stos ubrań na krześle i znów wpadła w swój przedflorowy szal sprzątaniny i odkładania na miejsce.

– Ubieraj się, Craig – zawołała. – Molly, pośpiesz się, wkładaj ubranko. Flor zaraz przyjdzie.

Zbiegła ze schodów, by jak zawsze przystąpić do wojny o śniadanie.

– Nie chcę all branów – zawył Craig. – Daj mi coco pops.

– Nie dostaniesz coco pops, dopóki nie zjesz all branów – oświadczyła Clodagh, udając przez chwilę, że być może jej posłuchają.

Co tydzień kupowała zestaw sześciu pudełeczek płatków śniadaniowych, z którego natychmiast znikwały sugar puffs i coco pops, podczas gdy inne, te nudne, jak all brany gromadziły się na stosie. Starła się nie otwierać paczki, zanim poprzedni zestaw nie zostanie zjedzony. Nigdy się to nie udało. Zwłaszcza dziś, kiedy tak jej zależało na czasie. Zdarła celofan z nowiutkiego zestawu i rzuciła coco pops na blat przed Craigiem. Potem, w koszuli nocnej pobiegła do auta, wyciągnęła kilka toreb z zakupami ze schowka w bagażniku. Często tak robiła, gdy kupowała nowe stroje. Chociaż Dylan nigdy się nie skarżył, że wydaje pieniądze na ciuchy, i tak miała wyrzuty sumienia.

To jednak było co innego. Kiedy Dylan w długi weekend poszedł do pracy, Clodagh zostawiła dzieci u swojej artretycznej matki i ruszyła na minizakupy. W torbach, które wtaszczyła do domu, znajdowały się młodzieżowe, imprezowe ciuszki, na których noszenie chyba brakowało jej odwagi. Kupiła również kostium na wizytę w agencji pośrednictwa pracy. Dylan nic o tym nie wiedział. Nie miała pojęcia, czemu mu tego nie powiedziała, ale przeczuwała niejasno, że tego by nie pochwalał.

W swoim pokoju gorączkowo oderwała metki z szarej spódnicy oraz marynarki i się ubrała. Kostium był drogi. Potwornie drogi, ale doszła do wniosku, że kiedy dostanie pracę, będzie musiała często go nosić. Do tego cienkie rajstopy, czarne buty na wysokim obcasie i biała bluzka. Potem nałożyła szminkę, uczesała włosy w schludny francuski warkocz i poczuła, że nareszcie dobrze wygląda.

To znaczy, jeśli nie brać pod uwagę podbitego oka.

Tym razem nie zdążyła zbiec przed Flor. Sprzątaczką właśnie wtaczała się przez bramę, kiedy Clodagh pośpiesznie popychała Craiga i Molly do auta.

– Jak się miewasz, Flor?

– W piątek byłam u Frawleya – odparła Flor. Frawley był jej lekarzem. Chociaż Clodagh nigdy go nie spotkała, wiedziała o nim niemal wszystko.

– I co mówił?

– Że muszę się jej pozbyć.

– Czego?

– Macicy, a niby czego? – zapytała Flor ze zdumieniem.

– Cholera, straszna informacja. – Clodagh zebrała w sobie energię, by okazać Flor kobiecą solidarność i zrozumienie.

– Wcale nie!

– Nie jest ci smutno?

– Niby dlaczego?

– Nie martwi cię, że poczujesz się... – Clodagh umilkła. Miała powiedzieć: „gorszą kobietą”, ale byłoby to zdecydowanie nietaktowne. – Że poczujesz stratę? – dokończyła.

– Ani trochę – oświadczyła radośnie Flor. – A do diabła z nią.

To tylko kłopot. Nigdy nie było z niej żadnego pożytku. Co mam dziś zrobić?

– Och. – Clodagh była zażenowana. – Trochę poprasować, jeśli możesz. I posprzątać łazienkę. To, co zdołasz...

Otwierając drzwi znajdujące się w centrum agencji pośrednictwa pracy, Clodagh była jednocześnie przerażona i przejęta, co zdradzały jej drżące ręce. Przystanęła przed młodą dziewczyną z jasnym kokiem, której świeża, brzoskwiniowa twarz była pomazana ciężkim podkładem.

– Mam spotkanie z Yvonne Hughes. Dziewczyna wstała.

– Witam – powiedziała chłodno, z zadziwiającą pewnością siebie. – Ja jestem Yvonne Hughes.

– Och. – Clodagh spodziewała się kogoś znacznie starszego.

Yvonne z całych sił uściśnęła jej rękę, jakby przygotowywała się do zostania politykiem – mężczyzną.

– Proszę siadać.

Clodagh wręczyła jej swoje CV, które nieco pogniotło się w torebce.

– Zerknijmy. – Yvonne bardzo delikatnie i z namaszczeniem poruszała dłońmi. Ciągle dotykała CV opuszkami płaskich, dziecięcych palców, gładziła je i rozprostowywała, układała na skraju biurka. Nim odwróciła stronę, złapała za róg kciukiem i palcem wskazującym, po czym potarła, jakby chciała

sprawdzić, czy przypadkiem nie chwyciła dwóch kartek zamiast jednej. Z jakiegoś powodu to bardzo wkurzyło Clodagh.

– Od dawna pani nie pracuje? – zapytała Yvonne. – Od... jak... ponad pięciu lat?

– Urodziłam dziecko. Nigdy nie zamierzałam tak długo siedzieć w domu, ale potem znów zaszłam w ciążę i aż do teraz nie było odpowiedniego momentu – pośpiesznie zaczęła się bronić Clodagh.

– Taaaak... Rozumiem. – Yvonne nie przestawała grać na nerwach Clodagh, gdy patrzyła na jej CV. – Od ukończenia szkoły pracowała pani jako kasjerka w hotelu, recepcjonistka w studiu nagraniowym, archiwistka w biurze adwokackim, kontroler towarów przychodzących dla firmy szyjącej ubrania, kasjerka w dublińskim zoo, recepcjonistka w firmie architektonicznej i kasjerka w biurze podróży?

Clodagh zmusiła Ashling do zapisania wszystkiego, żeby było jasne, jaka jest elastyczna.

– Pracowała pani w zoo przez... trzy dni?

– To przez ten smród – wyznała Clodagh. – Gdziekolwiek poszłam, czułam fetor ze słoniarni. Nigdy tego nie zapomnę. Nawet moje kanapki smakowały jak...

– Najdłużej wytrzymała pani w biurze podróży – przerwała jej Yvonne. – Dwa lata?

– Zgadza się – odparła szybko Clodagh. Przesunęła się do przodu, tak że teraz siedziała na skraju krzesła.

– Awansowała pani wtedy?

– Nie. – Clodagh była zdumiona. Jak miała wyjaśnić, że mogła awansować tylko na stanowisko kierowniczkę, a one były godne pogardy i litości.

– Czy zdała pani egzaminy w biurze podróży?

Clodagh omal nie wybuchnęła śmiechem. Co za pomysł! Chyba po to kończy się szkołę, żeby już nigdy nie zawracać sobie głowy żadnymi egzaminami?

Yvonne pomachała palcami w powietrzu, po czym powoli, starannie raz jeszcze rozprostowała kartkę.

– Na jakich programach pani pracowała?

– Aaa... – Clodagh nie mogła sobie przypomnieć.

– Zna pani stenotypię i stenografię?

– Tak.

– Ile słów na minutę?

– Och, nie wiem. Piszę dwoma palcami – dodała – ale bardzo szybko. Tak szybko jak ci, co pokończyli kursy.

Yvonne zmrużyła dziecinne oczy. Była zirytowana, choć nie tak bardzo, by wyraźnie dać to do zrozumienia. Bawiła się, rozkoszowała władzą.

– Czyli powinnam założyć, że nie zna pani stenotypii i stenografii.

– Chyba tak, ale mogłabym... Nie, nie znam się na tym – przyznała Clodagh, nagle wyczerpana.

– A umie pani komputerowo redagować tekst?

– Eee... nie.

– Nie skończyła pani studiów? – zapytała Yvonne, choć znała odpowiedź.

– Nie – odparła Clodagh, patrząc na Yvonne jednym normalnym okiem i drugim podbitym.

– W porządku. – Yvonne westchnęła boleśnie, polizała palec i wyprostowała pogięty róg CV. – Proszę mi powiedzieć, co pani czyta.

– Jak to?

Zapadła krótka, niemal niezauważalna cisza, podczas której Yvonne zdołała przekazać Clodagh, że uważa ją za beznadziejną idiotkę.

– „Financial Times”? „Time”? – pytała. Właściwie nie ziewnęła, chociaż równie dobrze mogła to zrobić. Po chwili dodała złośliwie: – „Bella”? „Hello”?

Clodagh czytała jedynie czasopisma o wystroju wnętrza. No i książeczki doktora Suessa, a od czasu do czasu bestsellery o kobietach, które zakładają własne firmy i nie muszą znosić upokarzających rozmów, kiedy próbują znaleźć sobie pracę.

– Widzę, że wśród swoich zainteresowań wymieniła pani tenis. Gdzie pani gra?

– Och, nie gram. – Clodagh niemal zachichotała jak pensjonarka. – Chodziło mi o oglądanie tenisa.

Wkrótce rozpoczynał się Wimbledon, więc w telewizji sporo się mówiło o tenisie.

– I chodzi pani na siłownię? – czytała dalej Yvonne. – Czy też tylko pani ogląda?

– Nie, naprawdę chodzę. – Clodagh poczuła się pewniej.

– Chociaż chyba trudno uznać to za hobby, prawda? – zapytała Yvonne.

– Tak jakby powiedzieć, że spanie to hobby. Albo jedzenie.

To dotknęło Clodagh do żywego.

– Regularnie chodzi pani do teatru? Clodagh zawahała się.

– Tak naprawdę, to nie – przyznała szczerze. – Ale coś trzeba było napisać.

Kiedy Clodagh i Ashling przestały w końcu wymyślać jajcarskie hobby w rodzaju prowadzenia wyścigówek albo satanizmu i usiłowały wymyślić coś na poważnie, okazało się, że wybór jest niewielki.

– No to czym się pani interesuje? – zapytała ją wprost Yvonne.

– Hm... – Czym się interesowała?

– Jakie ma pani hobby, pasje i tak dalej – wyjaśniła Yvonne niecierpliwie.

Umysł Clodagh niemal przestał pracować. Przychodziło jej do głowy jedynie, że lubi bawić się rozdwojonymi końcówkami włosów i rozdzielać je na dwoje, sprawdzając, jak daleko się rozszepią. Potrafiła się tak bawić godzinami. Jednak coś powstrzymywało ją od podzielenia się tą informacją z Yvonne.

– Widzi pani, mam dwójkę dzieci – powiedziała omdlewającym głosem.

– Zajmują mi cały czas.

Yvonne popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Czy jest pani ambitna?

Clodagh się wzdrygnęła. Wcale nie była ambitna. Ambitni ludzie byli dziwni.

– Co sprawiało pani największą satysfakcję, gdy pracowała pani w biurze podróży?

Dobrze do końca dnia, przypominała sobie Clodagh. Chodziło o to – i było tak w wypadku wszystkich dziewczyn, z którymi pracowała – żeby przyjść, zawiesić prawdziwe życie na osiem godzin i skupić energię na przetrwaniu w biurze.

– Kontakt z ludźmi? – podsunęła Yvonne. – Usuwanie problemów?

Finalizowanie transakcji?

– Wypłata – powiedziała Clodagh, po czym uświadomiła sobie, że nie powinna tego robić. Niestety, od bardzo dawna nie brała udziału w rozmowie o pracę. Zapomniała, jak się opowiada farmazony. Poza tym, o ile jej pamięć nie zawodziła, te rozmowy zawsze prowadzili mężczyźni, o wiele miłsi niż ta chuda szkapa.

– Ale nie chciałabym znowu pracować w biurze podróży – powiedziała Clodagh. – Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby załatwiła mi pani pracę w... czasopiśmie.

– Chciałaby pani pracować w czasopiśmie? – Yvonne udawała, że z olbrzymim trudem skrywa uśmiech.

Clodagh ostrożnie skinęła głową.

– Chyba jak wszyscy, prawda, moja droga? – zaszczębiotała Yvonne.

Clodagh doszła do wniosku, że nienawidzi tej potężnej i bezlitosnej smarkuli. Mówiła do niej „moja droga”, choć Clodagh mogłaby być jej matką.

– Jaka pensja by panią zadowalała? – zapytała Yvonne, przyciskając ją do muru.

– Ja nie... Nie pomyślałam... A jak pani uważa?

Clodagh całkowicie poddała się Yvonne.

– Trudno powiedzieć. Niewiele tu mamy. Gdyby wzięła pani pod uwagę kursy doszkalające...

– Może – skłamała Clodagh.

– Jeśli coś się pojawi, skontaktuję się z panią. Obie wiedziały, że to nieprawda.

Yvonne odprowadziła ją do drzwi. Clodagh dziko się ucieszyła widząc, że Yvonne ma szpotawe stopy.

Na ulicy w swoim zniechęconym, idiotycznym, drogim kostiumie powoli podeszła do auta. Jej pewność siebie legła w gruzach. Ten poranek okazał się przerażającą lekcją, uświadomił jej, jaka jest stara i bezużyteczna. Włożyła całą nadzieję w nową pracę, lecz najwyraźniej świat pracy zbyt szybko się zmieniał i był miejscem, w którym już nie umiała sobie radzić.

I co teraz?

34

We wtorkowy poranek Lisa dreptała pod budynkiem Randolph Media, desperacko pragnąc dostać się do środka. Postanowiła, że już nigdy nie spędzi równie koszmarnego weekendu, jak ten ostatni. W poniedziałek była tak znudzona, że poszła samotnie do kina. Okazało się jednak, że zabrakło biletów na film, który chciała zobaczyć, więc poszła na coś, co nosiło tytuł *Ruragts część II*, i znalazła się na sali z miliardem podnieconych kilkulatków. Nawet nie wiedziała, że na świecie jest tyle dzieci. Co za ironia, że ludzie, z którymi ostatnio spędzała mnóstwo czasu, byli dziećmi...

Spiorunowała wzrokiem recepcjonistę Billa, kiedy za szkłem brzęczał kluczami, żeby ją wpuścić. To wszystko przez niego. Co za leniwy, pierdzielowaty próżniak. Gdyby dał jej przyjść do pracy w weekend, nigdy by się nie zorientowała, jak puste jest jej życie.

– Jezu, ale wcześniej – mruknął zaniepokojony Bill.

– Jak tam weekend? – spytała kwaśno.

– Świetnie było – odparł radośnie Bill i zaczął opowiadać o wizytach wnuków, wizytach u wnuków...

– A mnie nie było świetnie – przerwała mu Lisa.

– Przykro mi to słyszeć – odparł ze współczuciem, zastanawiając się, co to ma z nim wspólnego.

Z drugiej strony, może i dobrze, myślała Lisa, jadąc windą. Przynajmniej podjęła pewne decyzje. Skoro utknęła w tym ohydny kraiku, musiała znaleźć sobie przyjaciół. Może nie takich prawdziwych przyjaciół, ale ludzi, do których będzie mówiła „skarbie” i z którymi będzie obrabiała dupę innym.

Postanowiła również pójść z kimś do łóżka. Z mężczyzną, dodała pośpiesznie w myślach. Do diabła z nowym biseksualizmem, który prezentowała w marcowym numerze „Femme” – jeden wstydlawy pocałunek z modelką w Met Bar był wszystkim, na co się zdobyła. Seks z kobietą nie był dla niej.

Pałaca weekendowa potrzeba zadzwonienia do Olivera jasno świadczyła o tym, że Lisa potrzebowała faceta. Najchętniej Jacka. Po chwili doszła do wniosku, że skoro Jack chce się bawić z Mai w Burtona i Taylor, ona znajdzie sobie kogoś innego. Może to go otrzeźwi. Wszystko jedno, sytuacja musiała się zmienić.

Rzecz jasna, może nie od razu uda jej się znaleźć odpowiedniego chłopaka. Ale przysięgła sobie, że jeszcze przed końcem tygodnia przynajmniej się z kimś prześpi.

Ale z kim? Jasper Ffrench, słynny szef kuchni, z pewnością nie miałby nic przeciwko temu. Ale był strasznie upierdliwy. Pozostawał jeszcze ten Dylan, który przyszedł po Ashling. Był uroczy, lecz niestety, żonaty, co oznaczało, że raczej nie wpadnie na niego w nocnym klubie. Może powinna w weekend błąkać się po supermarketach budowlanych.

– Jezu Chryste – powiedziała na głos, stając na progu redakcji. Butelki po szampanie, kubki, folia leżały wszędzie i śmierdziało tu jak w pubie. Najwyraźniej sprzątaczką uznała, że nie będzie robiła porządków po piątkowym przyjęciu. Lisa też nie zamierzała niczego zmywać, szkoda paznokci. Ashling mogła się tym zająć.

Ku jej pełnemu zazdrości oburzeniu wszyscy w redakcji się spóźnili. Przez trzy dni imprezowali, nawet pani Morley, która po paru kubkach szampana w piątek przez cały weekend popijała.

Teraz nadeszła pora zapłaty – wszyscy bez wyjątku jęczeli i mieli depresję, zwłaszcza Kelvin, który przekłuł swój nadmuchiwany, pomarańczowy plecak pierścionkiem na kciuku, a stało się to w sobotnią noc, przy okazji tragicznie zakończonych poszukiwań długopisu.

Wszyscy starannie omijali wzrokiem brudne kubki, bo nasuwały im skojarzenia z kacem.

– Zawsze bardziej działa mi na żołądek niż na głowę – wyznała na forum publicznym Dervla O'Donnell. – Tylko dwie kanapki z bekonem pomagają na mdłości.

– Mnie zabija paranoja. – Kelvin zadrżał, rzucając jej ukradkowe spojrzenie, i natychmiast pochylił głowę.

Nawet pani Morley wyznała wstydliwie:

– Czuję się tak, jakby ktoś w regularnych odstępach dźgał mnie w prawe oko sztyletem.

Lisa bardzo chciała się do nich przyłączyć, ale nie mogła. Wisienką na lukrze okazała się Mercedes, która przybyła do redakcji z torbami oklejonymi nalepkami linii lotniczych. Najwyraźniej poleciała na weekend do Nowego

Jorku (jakby nie miała gdzie). Rozpieszczona suka, pomyślała z goryczą Lisa. Szczęściara. Czyżby o tym wyjeździe wiedzieli wszyscy oprócz Lisy?

Mercedes dostała zlecenie na zakup kilku rzeczy: białych lewisów dla Ashling – najwyraźniej tam kosztowały pół ceny, kapelusza firmy Stussy dla Kelvina, który nie mógł go kupić w Europie, i partii batoników Babe Ruth dla pani Morley, która w latach sześćdziesiątych była w Chicago i od tamtej pory nie mogła się przestawić na Cadbury's. Szczęśliwi zleceniodawcy wznosili radosne okrzyki nad towarem, pieniądze przechodziły z ręki do ręki.

– Myślałem o samobójstwie. – Zadowolony Kelvin włożył kapelusz na głowę. – Ale już nie myślę.

Lisa patrzyła na to ponuro. Mogła poprosić Mercedes, żeby przywiozła jej krem do ciała Kiehl. To znaczy na pewno by tego nie zrobiła, ale cieszyłoby ją, że nie poprosiła.

Poza zamówionymi towarami Mercedes przywiozła hojne prezenty dla redakcji – żelki w czterdziestu smakach, torby czekoladek Hershey i mnóstwo masła fistaszkowego Reece. Kiedy jednak Mercedes podała Lisie czekoladki Hershey, Lisa się wzdrygnęła.

– O nie. Moim zdaniem amerykańska czekolada jest nie za dobra.

Pani Morley z ustami pełnymi babe ruth aż jęknęła, słysząc to oszczerstwo. Na chwilę czarne oczy Mercedes wbiły się w Lisę. Lisa ujrzała w nich pogardę, może nawet rozbawienie.

– Nie ma sprawy – odparła.

Lisa niemal eksplodowała. Mercedes była w Nowym Jorku przez dwa dni. Dwa dni! A już mówiła nowojorskim akcentem.

Ostatnim z pracowników niższego szczebla, który przyszedł do redakcji, była Trix, niosąc ze sobą mocną, aromatyczną mieszankę zapachów.

– Śnięty Walenty! – wykrzyknęła pani Morley, wykazując nieoczekiwaną skłonność do publicznych występów. – Wyśledziłam smród!

– Ha, halibut – burknęła Trix opryskliwie, wywołując lawinę żartów o tematyce rybnej.

– Cuchnie jak okońskie łajno, Trix! – wrzasnął Kelvin.

– Karpie diem – westchnęła Ashling.

– Zabieraj stąd swoje szprotawe gice! – nakazała Mercedes surowo, budząc powszechne zdumienie.

Tymczasem Kelvin ujawnił się jako utalentowany kpiarz.

– Wlazł kotek na płotkę i mruga – zaśpiewał pogodnie. – Płetwa to piosenka niedługa.

– Znam jeszcze inną! – zawołał Beznadziejny Bernard, wyjątkowo wyczuwając istotę zabawy. Pochylił się i pomimo czerwonej kamizelki oraz spodni od garnituru zaintonował: – Dorsze niespokojne potargały sad, a my na tej łajbie ładnych parę lat.

Do biura wmaszerował Jack, z rękami w kieszeniach i cały w skowronkach.

– Witam wszystkich – obwieścił radośnie. – Może nie wiecie, że to miejsce wygląda jak autentyczny chlew.

Trix popatrzyła na niego.

– Jack... eee... wiem, dla mnie pan Devine, oni się nabijają, bo pachną rybami. Wyśpiewują o tym piosenki.

– Jakie znowu piosenki?

– Dalej – zachęciła zbitego z tropu Kelvina. – Zaśpiewaj dla naszego wielkiego wodza.

Kelvin niechętnie wykonał polecenie.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Teraz ty – nakazała Bernardowi.

Bernard bez przekonania powtórzył swój utwór.

– To nie było takie dobre – powiedział Jack. Trix z wyższością pokiwała głową.

– Mam coś lepszego. – Jack zaskoczył wszystkich. Ze zdumiewającą gracją ruszył do swojego gabinetu, śpiewając donośnie: – O sola, o sola mio...

Drzwi gabinetu się zamknęły, ale ciągle słyszeli zza nich buczenie. Zdumieni, popatrzyli po sobie.

– Co z nim, do diabła?

– Czy ja ogupikowałam? – wykrztusiła Trix. – Czyżby on śpiewał...? – Urwała nagle. – Kurde, nawet ja to robię.

Twarz Ashling stężała. Właśnie sobie przypomniała pijackie porady, których udzielała Jackowi w piątkowy wieczór.

– O Boże – jęknęła, zakrywając dłońmi rozpalone policzki.

– Aż tak źle? – Trix wydawała się urażona. Oczekiwała reprimendy od innych, ale nie od Ashling,

Ashling pokręciła głową. Teraz nic nie czuła, myślała jedynie o swoim upokorzeniu. Musiała go przeprosić.

– Stan tej redakcji woła o pomstę do nieba. – Upierdliwa Lisa już zaczęła wydawać rozkazy. – Kelvin, zbierz puste butelki, Ashling, pozmywasz kubki?

– Dlaczego ja? Zawsze je zmywam – odparła z roztargnieniem, zbyt przerażona tym, co powiedziała Jackowi Devi... – Jezus Maria, nawet nazwała go JD!

To zupełnie zdumiało Lisę. Spiorunowała Ashling wzrokiem, ale Ashling była myślami miliony kilometrów stąd, więc Lisa odwróciła się do Trix.

– No dobra, rybaczko, ty je pozmywaj – warknęła.

Zdumiona tymi szorstkimi słowami szefowej, która dotąd traktowała ją jak pupilkę, Trix z niechęcią pozbierała kubki na tacę, każdemu zafundowała półsekundową kąpiel pod kranem w łazience dla pań, po czym oświadczyła, że są umyte.

Ashling poczekała, aż wszyscy zabiorą się do pracy, po czym potruchtała do gabinetu Jacka. Ze zdenerwowania drżały jej kolana.

– Witaj, panno Złotarączko – powiedział beztrąsko na jej powitanie. – Czyżbyś chciała papierosów? Bo w zasadzie zamierzałem już w tym tygodniu nie palić. Jeśli ci jednak zależy...

– Nie! Nie dlatego przyszedłam. – Nagle urwała, wpatrując się w jego krawat. Był pełen jaskrawożółtych Bartów Simpsonów. Zwykle nie nosił takich frywolnych krawatów, prawda?

– No to dlaczego przyszedłaś? – Jego oczy błysnęły radośnie. Dziwne, dziś gabinet nie wydawał się tak ponury jak zazwyczaj.

– Chciałam powiedzieć, że bardzo mi przykro, że w piątek udzielałam ci rad na temat twojego związku. Obawiam się... – Usiłowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej jakiś odrażający grymas. – W grę wchodził alkohol.

– Nie ma problemu – powiedział Jack.

– Jeśli jesteś pewien.

– Miałaś rację. Mai to cudowna dziewczyna. Nie powinienem się z nią kłócić.

– To... eee... wspaniale.

Ashling wyszła, czując się chyba jeszcze gorzej niż poprzednio. Kiedy się pojawiła, Lisa popatrzyła na nią uważnie.

Wkrótce przyszedł kurier ze zdjęciami z sesji Friedy Kiely. Mercedes usiłowała je zabrać, ale Lisa ją wyprzedziła. Otworzyła bąbelkową kopertę, wyciągnęła okazały stosik lśniących fotografii modelek z plamami trawy na twarzach i źdźbłami słomy we włosach, biegających wokół bagna.

Lisa przeglądała zdjęcia w złowieszczej ciszy, dzieląc je na dwa nierówne stosiki.

Na mniejszym leżały zdjęcia brudnej, rozczochranej dziewczyny w obcisłej, wieczorowej sukience i kaloszach, o gołych nogach poplamionych błotem. Ta sama dziewczyna w szytym na miarę kostiumie, siedziała na przewróconym wiadrze, udając, że doi krowę. Inna modelka w krótkiej, obcisłej, srebrnej sukience udawała, że jedzie na traktorze. Na większym stosiku leżały wydumane zdjęcia dziewcząt w wydumanych sukienkach, tańczących w wydumanym krajobrazie.

Lisa podniosła mniejszy stosik.

– Te ujdą – powiedziała zimno do Mercedes. – Reszta to śmiecie. Myślałam, że jesteś dziennikarką od mody.

– Co jest z nimi nie tak? – spytała Mercedes z przerażającym spokojem.

– Nie ma w nich ironii. Nie ma kontrastu. To... – wskazała na powiewne sukienki – ...powinno się sfotografować w mieście. Te same dziewczyny z takimi samymi brudnymi twarzami i w kretyńskich sukienkach, ale wsiadające do autobusu, pobierające forszę z bankomatu albo siedzące przy komputerze. Skontaktuj się z biurem prasowym Friedy Kiely. Sfotografujemy to raz jeszcze.

– Ale... – Mercedes popatrzyła na nią spode łba.

– No już – przerwała niecierpliwie Lisa.

Wszyscy w redakcji z wielkim zainteresowaniem zaczęli wpatrywać się w swoje stopy. Nikt nie obserwował tego upokorzenia – było zbyt okropne.

– Ale... – Mercedes spróbowała jeszcze raz.

– Idź!

Mercedes popatrzyła na nią, po czym zebrała zdjęcia i wróciła do biurka. Gdy przechodziła, Ashling usłyszała mamrotanie: „Suka”.

Ashling musiała się zgodzić. Bo niby kim innym była Lisa?

W redakcji zapanowało nieznośne napięcie. Ashling musiała otworzyć okno, chociaż nie było ciepło. Świeże powietrze mogło oczyścić niezdrową atmosferę.

Jedyną osobą w dobrej formie był Jack. Od czasu do czasu wyłaniał się ze swego gabinetu, radośnie nieświadomy napięcia, zajmował się swoimi sprawami, uśmiechał do wszystkich i znowu znikał. Powoli trucizna się ulatniała, aż wszyscy z wyjątkiem Mercedes poczuli się niemal normalnie.

O wpół do pierwszej pojawiła się Mai. Przywitała się ze wszystkimi i spytała, czy jest Jack.

– Proszę wejść – mruknęła pani Morley.

Wszyscy się ożywili, kiedy Mai zamknęła za sobą drzwi gabinetu.

– To mu zetrze uśmiech z twarzy – zauważył Kelvin.

Trix wychodziła z siebie, gotowa udawać sprzedawczynię hot dogów, byle tylko zająć najdogodniejszy punkt obserwacyjny.

Jednakże nie było żadnej kłótni. Gdy wyłonili się z gabinetu, pogodny Jack obejmował uśmiechniętą Mai.

Wszyscy popatrzyli na siebie z niepokojem.

– O co chodzi?

Lisa, która wychodziła, by zbadać poziom seksowności łóżek w Morrisonie, nagle poczuła się bardzo biedna. Musiała usiąść i odpocząć, by jakoś opanować zimne, okropne poczucie straty. Ale o co chodzi? Przecież

wiedziała, że Jack miał dziewczynę. Po prostu przez te wieczne sprzeczki nie traktowała poważnie tego związku.

Ashling też była nieco skonsternowana. Co ja narobiłam, pomyślała.

Kiedy Lisa zamawiała taksówkę do hotelu Morrison, poprosiła – z niejakim zażenowaniem – o Liama. Ostatnio zaczęła to robić. Przypuszczała, że zwyczajnie go polubiła, z tym jego naturalnym, dublińskim gawędziarstwem.

Kiedy pojawiła się pod hotelem, rozważyła już swoje przygnębienie spowodowane pojednaniem Jacka i Mai, tak że stało się całkiem znośne. Hej, przecież tego ranka obiecała sobie, że znajdzie faceta. To nie musiał być Jack. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Gdzie cię wyrzucić, Liso? – Liam przerwał te myśli.

– Tutaj, pod budynkiem z czarnymi oknami.

Przed wejściem do hotelu pętał się młody człowiek w pięknym, szarym, sztywnym na miarę garniturze.

– Patrz, skarbie – głos Liama zmiękł. – Twój chłopak na ciebie czeka. Wystrojony jak na własny pogrzeb. Masz dziś urodziny? Wszystkiego najlepszego. A może to wasza rocznica?

– To portier – poinformowała go Lisa.

– Tak? – Rozczarowanie sprawiło, że głos mu się zmienił. – Myślałem, że to twój facet. No cóż. Mam poczekać?

– Tak, proszę. Zajmie mi to z piętnaście minut.

Lisa energicznie zaczęła sprawdzać sprężystość łóżek w Morrisonie, sztywność prześcieradeł, rozmiar wanny – zmieściłyby się w niej dwie osoby – ilość szampana w minibarku, potrawy mogące służyć za afrodyzjaki w menu, CD w pokoju i w końcu, możliwość użycia kajdanek. Wreszcie doszła do

wniosku, że można tu przyjemnie spędzić czas. Brakowało jedynie odpowiedniego mężczyzny.

Gdy wracała do pracy, kątem oka dostrzegła ogromny billboard z reklamą nowych lodów o nazwie Truffle. Szła na promocję tego samego wieczoru. Przyjrzała się wspaniałemu facetowi na reklamie, jego kuszącym ustom na lodzie, oczom zasnutym czymś, co miało być pożądanym, ale co można było łatwo osiągnąć dzięki odrobinie mogadonu.

Chciałabym iść z nim do łóżka.

Jezu, pomyślała. Zamieniam się w smutną starą pannę. Fantazjuję nad fotografią. Im szybciej mnie ktoś przeleci, tym lepiej.

35

Promocja Truffle zaczynała się o szóstej wieczorem. Nowe lody miały smak czekoladowy i niczym szczególnym się nie wyróżniały, podczas gdy rynek był zapchany po brzegi produktami o szczególnych cechach. Z tego względu producenci nie szczydzili pieniędzy na promocję, prezentację przygotowali w hotelu Clarence i kusili dziennikarzy perspektywą szampana. Zapowiadał się wieczór pełen ostentacji.

– Chcesz iść? – Lisa spytała Ashling.

Ashling, wciąż niepewna po upokorzeniu Mercedes przez Lisę, miała odmówić, ale uznała, że dzięki zaproszeniu zdoła zabić czas przed lekcją salsy.

– Dobrze – odparła ostrożnie.

Przed wyjściem Lisa poszła do toalety sprawdzić wygląd. Uważny rzut oka na szczupłą, opaloną sylwetkę w białej sukience od Ghost powiedział jej, że wszystko w porządku. Żadnej niewłaściwej arogancji. Nawet najgorszy wróg (a tych jej nie brakowało) musiałby przyznać, że dobrze wygląda.

Zależało jej. Ciężko nad tym pracowała. Była swoim najlepszym dziełem, dziełem życia, niemniej nigdy nie zadowalał jej własny wygląd – była również swoim najsurowszym krytykiem. Zanim zauważył to ktokolwiek inny, sama wiedziała, że należy już ufarbować odrosty. Czuła, jak rosną jej włosy. I zawsze wiedziała, nawet jeśli waga i centymetr utrzymywały coś innego – kiedy przybyło jej choć kilka dekagramów tłuszczu. Wyobrażała sobie, jak jej skóra się rozciąga i napina, żeby go pomieścić.

Przystanęła i zmrużyła oczy. Czyżby na czole dostrzegła zmarszczkę? Cień zmarszczki? Tak! Czas na nowy zastrzyk z botoksem. Uważała, że w kwestiach urody najlepszą obroną jest atak. Załatw wroga, zanim on załatwi ciebie.

Poprawiając i tak idealnie nałożony błyszczący, Lisa uznała, że jest gotowa. Jeśli nie uda się jej tego wieczoru, będzie to wyłącznie jej wina.

Okazało się, że zarówno Kelvin, jak i Jack też wybierają się na promocję Truffle. Jako że Truffle sponsorowało nowy serial na Kanale 9, Jack niechętnie zgodził się reprezentować koncern.

– A ty pod jakim pretekstem idziesz? W którym ze swych rozlicznych magazynów wspomnisz o lodach? – spytała Lisa Kelvina.

– W żadnym. Mam jednak ochotę się narębać, a po długim weekendzie brak mi kasy.

Lisa się wzdrygnęła na wzmiankę o okropnym, pustym długim weekendzie. Nigdy więcej.

Gdy tylko przybyli na miejsce, Lisa zniknęła w dobrze ubranym, hałaśliwym tłumie, Kelvin poszedł prosto do baru, a Ashling ostrożnie krążyła po sali. Nikogo nie znała i nie mogła zbyt dużo wypić ze względu na lekcję salsy. A musiała iść, bo była to dopiero druga lekcja, za wcześnie na

opuszczanie. Co pewien czas zauważała w tłumie Jacka Devine'a, który nieudolnie próbował zachowywać się jowialnie, co zupełnie mu nie wychodziło. Uznała, że to pewnie ze względu na brak praktyki.

Jakoś wylądowała obok niebo, na skraju sali.

– Cześć – powiedziała nerwowo. – Jak się masz?

– Boli mnie głowa od tych uśmiechów – odburknął. – Nienawidzę takich imprez. – I znowu zamilkł.

– Ja też mam się świetnie – odparła ostro Ashling. – Dzięki, że pytasz.

Jack spojrzał na nią ze zdumieniem, po czym odwrócił się do przechodzącej kelnerki.

– Siostro. – Pomachał do niej pustym kieliszkiem. – Poproszę coś na uśmierzanie bólu.

Kelnerka, młoda, atrakcyjna dziewczyna, wręczyła mu kieliszek szampana.

– Jeden na pół godziny powinien złagodzić pańską dolegliwość. – Uśmiechnęła się do niego uroczo, a on odwzajemnił się.

Ashling patrzyła ponuro. Gdy „siostra” zniknęła, Ashling usiłowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć do Jacka, jakkolwiek zagrywkę słowną, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Jack też jej nie pomógł – Stał w milczeniu, przestępując z nogi na nogę, i o wiele za szybko pił szampana.

Minęła ich inna kelnerka z tacą pełną lodów Truffle i Ashling z radością zabrała się do jedzenia. Nie dlatego, że aż tak przepadała za lodami, chociaż to także, ale przede wszystkim dlatego, że mogła zająć usta czymś innym niż rozmowa z Jackiem Devine'em. Zabrała się z zapalem do jedzenia, liżąc czubek lodów. Nagle wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Uniosła wzrok i ujrzała, że to Jack Devine patrzy na nią znacząco i z rozbawieniem. Na jej szyję

wypelźł krwisty rumieniec. Nie opuszczając wzroku, odgryzła czubek lodu. Jack się skrzywił, a Ashling zaśmiała z satysfakcją.

– Idę – oświadczyła.

– Nie możesz mnie zostawić – powiedział. – Z kim będę rozmawiał?

– No, ze mną nie rozmawiałeś! – wykrzyknęła i podniosła torebkę.

– Och, panno Złotarączko, dokąd zmykasz? – Naprawdę wydawał się spanikowany.

– Na lekcję salsy.

– A, nieprzyzwoite tańce. Kiedyś będziesz musiała mnie ze sobą zabrać.

No idź, zostaw mnie tym krwiopijcom.

Ashling wyszła, po drodze mijając Dana – Popróbuje Wszystkiego – Heigela z „Sunday Independent”, który zrobił sobie drinka, rozpuszczając lody w szampanie.

Kiedy zniknęła, do Jacka dołączył Kelvin z dwoma kieliszkami szampana – oba były jego.

– Popatrz na Lisę. Ma majtki czy nie? – spytał, wpatrując się z uwagą w zgrabny tyłek Lisy w białej sukience. – Nie widzę żadnych szwów, ale...

Jack nie chciał się przyłączyć.

– Wiem, o czym myślisz – oznajmił Kelvin.

– Wątpię.

– Myślisz, że pewnie włożyła stringi. Możliwe, rzecz jasna – zgodził się niechętnie. – Ale wolę sobie wyobrażać, że nie ma bielizny.

Lisa systematycznie przemierzała tłum w poszukiwaniu najprzystojniejszego mężczyzny i już zdążyła zbłądzić w kilka ślepych uliczek. Najpierw dostrzegła tajemniczego, milczącego mężczyznę w niebieskich, okrągłych okularach przeciwsłonecznych. Wyglądał świetnie i miał wspaniałe

usta, niegrzeczny uśmiech, piękne włosy i znakomite ciuchy. Potem zdjął okulary, a Lisa natychmiast się odsunęła. Nagle wydał się jej przerażający. Miał maleńkie oczka, zbyt blisko osadzone, jakieś takie oszołomione i pełne zdziwienia. Należały do całkiem innej twarzy, do twarzy kogoś, kto miał wielkie trudności w nauce.

Wycofując się, wpadła na Fionna O'Malleya, samozwańczego najbardziej pożądanego kawalera w Irlandii. Uważał się za jednego z najbardziej seksownych mężczyzn w tym kraju, bo miał szpiczaste brwi, jak Jack Nicholson.

– Witaj. – Uśmiechnął się demonicznie do Lisy, unosząc znacząco brwi.
– Wyglądasz dziś bardzo smakowicie.

Komplementowi temu towarzyszyły wznoszenie i opadanie brwi, w sposób, który miał wzbudzić niezwykle seksualne podniecenie u Lisy. Znużona, odwróciła się do niego plecami.

I wtedy go zauważyła. Modela, który widniał na billboardach w całej Irlandii. Był podręcznikowo wspaniały: miał wydęte usta, wydatną szczękę, piękną cerę, a jego lśniące, granatowe włosy opadały falą na opalone czoło. Jego twarz była tak perfekcyjna, że niemal nudna.

Bingo! Znalazła faceta dla siebie.

Był nieco niższy, niż to sobie wymarzyła, ale z tym nic się nie dało zrobić.

Najbardziej w modelach lubiła to, że są takimi dziwkarzami. Ponieważ ich praca wiązała się z nieustannym podróżowaniem, mieli „wakacyjne” podejście do seksu. Co oznaczało, że faceta zapewne łatwo poderwać, ale minusem było to, że nadawał się jedynie na jedną noc.

Niech będzie, pomyślała, patrząc na jego udo i muskularny pośladek. Sam seks wystarczy.

Już od dawna nie czyniła nikomu seksualnych propozycji. Istniał na to tylko jeden właściwy sposób. Nie miało sensu kręcić się dookoła, przymilać i wdzięczyć, w nadziei, że to on ją zauważy. Nie – należało podejść prosto do wybranego mężczyzny i zaskoczyć go swoją pewnością siebie. Przypominało to postępowanie z psami – nie wolno okazywać strachu.

Odetchnąwszy głęboko, przypomniała sobie, że jest wspaniała, po czym rozciągnęła lśniące usta w szerokim uśmiechu.

– Witaj, jestem Lisa Edwards, naczelną „Irlandki”.

Uściskała jej rękę.

– Wayne Baker, twarz Truffle – powiedział to z głęboką powagą. O kurczę, brak poczucia humoru! Nieważne, przecież nie musiała lubić tego faceta. Może nawet lepiej, że jej to nie grozi. Chodziło wyłącznie o seks, czasem sympatia mogła stanąć na przeszkodzie.

Zebrała całą swoją pewność siebie, bo następne zdanie musiała wypowiedzieć z przekonaniem. Nie mogło mu przyjść do głowy, że ma cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. Nie mógł jej odrzucić. To po prostu nie wchodziło w grę.

Przygwoździła go spojrzeniem i zagruchała.

– Chciałbyś mi coś zaproponować?

– A na co masz ochotę? – Wskazał głową na bar.

– Nie mówiłam o drinku – odparła znacząco.

Po dłuższej chwili na jego obliczu pojawiło się zrozumienie.

– Och. – Przełknął ślinę. – Rozumiem. Co...?

– Kolacja. Najpierw.

– Dobrze – powiedział posłusznie. – Teraz?

– Teraz.

Pozwoliła sobie na lekkie westchnięcie ulgi. Złapał się. Tak myślała, ale nigdy nie wiadomo.

Kiedy wychodzili, poszukała wzrokiem Jacka. Patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Cześć – wypowiedziała bezgłośnie, a on odpowiedział jej sztywnym skinieniem głową.

I dobra.

W restauracji hotelu Clarence Lisa i Wayne urządzili sobie zawody, kto zje mniej. Patrząc na siebie nieufnie, przesuwali jedzenie po talerzu. Przez jedną podniecającą chwilę wydawało się, że Wayne włoży do ust kęs żabnicy, a wtedy Lisa mogłaby sobie pozwolić na odrobinę karczocha. Jednakże w ostatniej chwili Wayne zmienił zdanie i Lisa z żalem również odłożyła widelec na talerz.

Wayne Baker pochodził z Hastings i był młody – choć raczej nie tak młody, jak utrzymywał. Twierdził, że ma dwadzieścia lat, ale Lisa sądziła, że raczej dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy. Bardzo poważnie traktował swoją karierę.

– To przecież nie jest fizyka jądrowa, prawda, skarbie? – drażniła się z nim Lisa.

Wydawał się urażony.

– Tak się składa, że nie zamierzam robić tego do końca życia.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Pewnie chcesz później zostać aktorem.

Na jego absurdalnie perfekcyjnej twarzy pojawiło się zdumienie.

– Skąd wiesz?

Lisa stłumiła westchnienie. Choć nie lubiła banałów, facet nie był zbyt bystry i to nieco osłabiało jego olśniewającą atrakcyjność. Nie miała nic przeciwko ludziom kiepsko wykształconym lub niewykształconym wcale – w końcu ledwie umiała się podpisać, kiedy rzuciła szkołę. Jednak każdy człowiek po prostu musiał wiedzieć, kto jest mężem Meg Matthews.

– Gdzie mieszkasz, przystojniaczku? – zapytała. Udało jej się powiedzieć „przystojniaczku”, tak jakby to była obelga, jakby Wayne był przedmiotem. Dziwne, pomyślał Wayne. Dotychczas to on tak traktował dziewczyny.

– Mam mieszkanie w Londynie, ale właściwie nigdy w nim nie bywam. – Nie umiał ukryć dumy.

– A na jak długo przyjechałeś do Dublina?

– Jutro wyjeżdżam.

– Gdzie się zatrzymałeś? –

– Tu, w Clarence.

– Świetnie. – Lisa wcale nie chciała ciągnąć go do Sosnowej Chatki. Obawiała się, że zbrzydziłaby go wszechobecna, pozbawiona stylu sosna, ale istniała jeszcze całkiem prawdopodobna możliwość, że już pod koniec jazdy taksówką to ona straciłaby do niego serce.

Kiedy kelner zebrał talerze z poprzesuwanymi daniami, Lisa uznała, że już wystarczająco długo wstrzymywała się z nagrodą.

– Czas do łóżka – oświadczyła bezwstydnie.

– A niech mnie. – Wstał posłusznie.

Kiedy szli do windy, Lisę ogarnęło radosne oczekiwanie. Czowała się niegrzeczna i dekadentka – taka jak te dziewczyny, które od czasu do czasu potrzebują szybkiego, dzikiego seksu z nieznajomym. I po co komu fantastyczne, wychudzone ciało, skoro nikt go nie ogląda?

Gładka, brązowa ręka Wayne'a drżała nieznacznie, gdy wkładał klucz w zamek. I choć Lisa tylko odgrywała narzuconą sobie rolę, była przejęta swą mocą.

Już w środku jej oczekiwanie narosło. Czuła się jak na planie filmowym: nowoczesny, stylowy pokój, młody, dobrze zbudowany, pociągający mężczyzna. Nie mogła zaprzeczyć – był piękny.

– Zamknij drzwi i ściągnij ubranie – oświadczyła, jeszcze bardziej wczuwając się w rolę dominy.

Wayne wyczuł jej podziw.

– Spodoba ci się. – Uśmiechnął się do Lisy, powoli rozpinając koszulę. – Robię dwieście brzuszaków dziennie.

Jego brzuch był twardym jak skała cudeńkiem, złożonym z sześciu guzów, ułożonych do góry i na boki w kształcie litery V. Powyżej przekształcały się w jędrną, opaloną klatę. Był tak doskonały, że Lisa poczuła się mniej pewnie. Prawdopodobnie przywykł do spania ze wspaniałymi, chudymi modelkami. Jak to dobrze, że prawie nic nie jadła.

– Teraz ty – powiedział.

Z kokieterijnym, znaczącym uśmiechem – podejście też jest ważne – jednym płynnym ruchem ściągnęła białą sukienkę przez głowę. Kelvin miał rację – nie włożyła majtek.

– Do rzeczy – zaśmiał się Wayne, rozpinając obcisłe, dopasowane spodnie, z których od razu wyskoczyła jego erekcja. Nie miał bielizny.

Przeszył ją dreszcz. Była na to gotowa.

Nie był pierwszym facetem, z którym przespała się po Oliverze. Tuż po jego odejściu sprowadziła kogoś do domu, żeby wybić sobie Olivera z głowy.

Nie był to szczególnie sukces, pewnie za wcześnie spróbowała. Teraz będzie o wiele lepiej.

– Piękna jesteś – zauważył Wayne, dotykając jej sutka z zawodowym zainteresowaniem.

– Wiem. Ty też.

– Wiem.

Zaśmiali się nad własną urodą, a on ją pocałował, i było to całkiem miłe.

– No chodź. – Próbował poprowadzić ją do łóżka.

– Nie. Na podłodze. – Chciała, żeby to było mocne, szorstkie, intensywne doznanie.

– Perwersyjna jesteś.

– Raczej nie – odparła z pogardą. – Widocznie prowadziłeś się jak pustelnik.

Nie był zły. Świetny też nie. To właśnie problem z bardzo przystojnymi mężczyznami. Myślą, że kobieta dostanie wielokrotnego orgazmu, kiedy się tylko położą. Na szczęście Lisa dobrze wiedziała, czego chce.

Odpędziła go, kiedy usiłował się na niej położyć. To ona była górą.

– Powoli – ostrzegła go, kiedy za bardzo zaczął się rzucać. Dyrygowanie wszystkim było męczące, ale przynajmniej jej słuchał.

Jakiś czas później wsunęła dłonie pod jego pośladki.

– Szybciej, szybciej – powiedziała.

– Myślałem, że chciałaś wolniej.

– A teraz chcę szybciej – jęknęła, a Wayne posłusznie wypełnił polecenie.

Przepełniona rozkoszą, ugryzła go w ramię.

– Nie rób tego! – zaskowytał. – Za dwa dni mam sesję kostiumów pływackich. Nie mogę mieć śladów zębów.

– Jezu Chryste! – krzyknęła. – Mocniej!

Wayne nabrał mocy i prędkości, w szybkim tempie wyrzucał szczupłe biodra.

– Chyba będę miał... – wydyszał.

– Ani mi się waż – warknęła.

Była tak przerażająca, że jego zbliżający się orgazm natychmiast się cofnął.

Już po wszystkim leżeli na podłodze, dysząc bez tchu. Chwilowo nasycona Lisa leniwie wpatrywała się w nogi krzesła z bukowego drewna na poziomie wzroku. Pomyślała, że było świetnie. Właśnie tego jej brakowało.

Kiedy tak leżeli na niebieskim dywanie, aż ich oddechy się uspokoiły, Wayne zaczął dawać oznaki życia. Delikatnie pogłaskał ją po włosach i powiedział z rozmarzeniem:

– Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego. Jesteś taka... silna.

– Gdzie minibarek? – odparła szorstko. – Zrób mi drinka. Idę do kibla.

– W porządziu. W porządziu!

Ledwie się zmieściła do łazienki, tyle w niej było kremów, szamponów, pianek, płynów do układania włosów i perfum. Nie zjednało mu to jej sympatii. Co za baba, pomyślała i wydeła wargi. Na półeczce nad umywalką stały śliczne hotelowe żele do mycia i balsamy do ciała. Lisa obiecała sobie, że przed wyjściem je zwędzi.

Kiedy się wyłoniła, zaprowadził ją do łóżka i włożył jej w dłoń kieliszek z zimnym szampanem. Położył się obok niej na chłodnym, bawełnianym prześcieradle.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedział.

Jego ściszony, poważny ton świadczył o tym, że zada jej jedno z tych idiotycznych pytań – czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? Czy będziesz mi wierna?

– Wal – mruknęła.

Oparł się na łokciu i wskazał na swoje czoło.

– Czy twoim zdaniem wygląda to na pryszcz? – zapytał.

Nie miał nic na czole. Było gładkie jak pupa niemowlaka, jak skórka brzoskwini, jak niezmacona powierzchnia stawu, jak...

– Oj, tak. – Zmarszczyła brwi. – Okropny, prawda? Wygląda na infekcję.

Jęknął głośno z przygnębieniem i wyciągnął lusterko, w którym najwyraźniej się przeglądał, gdy ona była w łazience. Lisa ryknęła śmiechem, bardzo rozbawiona.

– Co mamy w domowym kinie? – zapytała. Nie chciała z nim rozmawiać, dopóki znów jej nie przeleci.

W przerwach między rundkami satysfakcjonującego, brutalnego seksu oglądali filmy i popijali szampana z minibarku. W końcu zaspokojeni i zmęczeni, zapadli w sen. Lisa spała głęboko i obudziła się w fantastycznym nastroju. Zmusiła go do jeszcze jednego pieprzenia przed wyjściem.

W łazience, kiedy przejechała pokrytym pastą do zębów palcem po zębach, trafiła na coś, czego nie zauważyła poprzedniej nocy. Maskara i kredka do brwi. Błę. Tak jej się wydawało, że jego rzęsy były podejrzanie ostre. Mogłaby się również założyć, że miał też ufarbowane włosy, z mysiego brązu na obecny heban. Nagle natychmiast przestał się jej podobać.

Wayne jednak zafascynowany był Lisą. Okazała się pomysłowa w łóżku i nie szalała za nim.

– Zobaczą cię jeszcze? – spytał, kiedy wsunęła na siebie białą sukienkę. – Regularnie bywam w Londynie.

– Gdzie położyłam torebkę?

– Zobaczą cię jeszcze?

– Pewnie. – Lisa wrzuciła do torebki czepek pod prysznic, cztery mydła, dwie buteleczki żelu do mycia i trzy balsamu do ciała.

– Kiedy?

– Pod koniec sierpnia. Moje zdjęcie znajdzie się nad listem od naczelnej w „Irlandce”.

Wayne, skromnie przysłonięty kołdrą, wydawał się tak bezbronny i zakłopotany, że Lisa złagodniała.

– Zadzwoń.

– Naprawdę? – spytał z nadzieją.

– Czekaj przyjdzie pocztą. Rankiem będę cię szanowała. – Lisa uśmiechnęła się szeroko, czesząc włosy grzebieniem i przeglądając się w lustrze. – Nie, no pewnie, że nie zadzwonię.

– Ale dlaczego mówiłaś, że zadzwonisz, a wcale nie zamierzałaś tego zrobić?

– A bo ja wiem? – Lisa radośnie przewróciła oczyma. – Jesteś facetem, to oni wymyślili tę zasadę. Żegnaj!

Zbiegłszy po schodach, wypadła na ulicę. Łokcie i kolana przyjemnie ją piekły po tarciu na dywanie. Lisa zatrzymała taksówkę. Akurat zostało jej tyle czasu, żeby wpaść do domu i przebrać się przed wyjściem do pracy.

Czuła się świetnie. Fantastycznie! Wszyscy, którzy mówili, że jednonocna randka z nieznajomym sprawia, iż człowiek czuje się bezwartościową szmatą, się mylili. Od lat nie czuła się równie dobrze!

Lisa w radosnym nastroju wpadła do biura.

– Witaj, Jack – powiedziała radośnie.

– Witaj, Liso.

Popatrzyła mu w twarz. Miał nieprzeniknione oczy, wyraz twarzy taki jak zawsze. Nic nie wskazywało na to, że miał coś przeciwko temu, iż umówiła się z Wayne'em Bakerem, ale wcześniej to dostrzegła. Wydawał się dotknięty. Wiedziała.

Do roboty! Nakręcona Lisa weszła na najwyższe obroty i postanowiła poznać wszystkiego szczegóły czasopisma właśnie teraz. Zaczęła gadać o czymś, co nazywała „egzemplarzem próbnym”. Tydzień zapowiadał się parszywie.

– Wszystkie stałe rubryki – film, wideo, horoskop, zdrowie, felietony – muszą się tam znaleźć. Potem sprawdzimy, czego nam nadal brakuje.

Egzemplarze próbne książek, które miały wyjść we wrześniu, napływały do recenzowania, podobnie jak kasety wideo i płyty kompaktowe. W teorii wszystkie te darmowe rzeczy wydawały się bardzo pożądane, ale człowiek nie miał z nich żadnego pożytku, jeśli nie były to rzeczy, które lubił na co dzień. Odbyła się krótka, ale nieczysta walka nad CD z muzyką afroceltycką, jednak nikt nie był zainteresowany pozostałymi rzeczami.

– Gary Barlow, raczej nie – prychnęła Trix, rzucając go na stos.

– Enya, nie w tym życiu. – Znowu stukot. – David Bowie, e tam.

– Stukot. – Co to jest: „Woebegone”, do cholery? Wiecie, co, dobrze wyglądają, ten jest przystojny. Biorę to sobie! – ryknęła do reszty redakcji,

– A czy ja mogę to wziąć? – Ashling podniosła romansidło historyczne.

– Raczej tak. – Lisa zaniósła się pogardliwym śmiechem.

Ale Ashling nie brała tego dla siebie, tylko dla Boo, który tak się nudził, że przeczytałby cokolwiek.

Wielka wojna czcionkowa trwała przez cały tydzień. Lisa i Gerry znaleźli się w sytuacji patowej w związku z koncepcją strony o książkach.

– Sama czcionka, zero treści – twierdził uparcie Gerry.

– Nikt nie czyta pieprzonych książek! – wrzeszczała na niego Lisa. – Dlatego właśnie ta strona musi wyglądać seksownie.

Wszystko szło nie tak, jak powinno. Lisie potwornie nie spodobała się ilustracja zamówiona na felieton Trix o zwyczajnej dziewczynie. Najwyraźniej nie była dość „seksowna”. A artykuł napisany przez Mercedes o kosmetyczce trafił do kosza po tym, jak w salonie w trakcie przerwy na lunch w sobotę za mocno wyskubali tam Lisie brwi.

– Ciężko nad tym pracowałam – poskarżyła się Mercedes. – Nie możesz go wyrzucić.

– Nie wyrzucam, tylko blokuję publikację – warknęła Lisa. – Skoro pracujesz w czasopiśmie, mogłabyś przynajmniej nauczyć się żargonu.

Atmosfera była napięta, wciąż przybywało pracy. Nikt nie miał mniej niż trzech projektów na biurku.

Ashling właśnie pisała horoskopy w stylu New Age, kiedy Lisa rzuciła jej na biurko torbę pełną kosmetyków do włosów.

– Tysiąc słów. I ma być... – powiedziała.

– Wiem, seksowne – Ashling wpadła jej w słowo.

Szukając tematu przewodniego, przyjrzała się produktom. Popatrzyła na piankę dodającą objętości, na lakier, który obiecywał „unieść włosy przy nasadzie”, i na szampon wzmacniający – na wszystkie akcesoria dla pań, które

pragnęły mieć gęste włosy. Ale miała przed sobą również maskę rozprostowującą, kompleks wygładzający i odżywkę bez spłukiwania. Wszystko dla pań, które chciały mieć włosy przylepione do głowy. Jak miała pogodzić te dwie rzeczy? Jak jej artykuł miał mieć jakąkolwiek spójność? Wychodziła z siebie. Czy można mieć jednocześnie puszyste włosy i przyklepane włosy? A może powinna udawać, że najpierw należy wygładzić włosy, a dopiero potem dodać im objętości i stworzyć całkiem nowe problemy dla kobiet, które chcą mieć piękne fryzury? Nie, to by było zbyt okrutne: taka władza pociągała za sobą odpowiedzialność. Ashling westchnęła i odłamała jeszcze kawałek swojej babeczki z białą czekoladą. Nagle – może był to nagły przypływ cukru do krwi – olśniła ją myśl, która po chwili nabrała mocy odkrycia prawa ciężenia. Jej artykuł będzie się zaczynał od słów: „Nieważne, czego chcesz od swoich włosów...”

– Eureka! – oświadczyła i aż się jej w głowie zakręciło z ulgi.

– Co jest? – zawołał Jack znad kserokopiarki.

– Tak się martwiłam. – Ashling machnęła dłonią, wskazując tubki i puszki. – Nie miałam żadnego pomysłu na te rzeczy. Ale wszystko zaczęło do siebie pasować, kiedy uświadomiłam sobie, że różne kobiety chcą różnych rzeczy dla swoich włosów.

– Różne kobiety chcą różnych rzeczy dla swoich włosów – powtórzył Jack pogodnie. – Głęboka myśl. Myślę, że można ją porównać z teorią względności Einsteina... Czas nie jest wartością bezwzględną kpił – ale zależy od blasku włosów obserwatora w przestrzeni. I przestrzeń nie jest wartością bezwzględną, ale zależy od blasku włosów obserwarki w czasie. Ależ wartościowymi rzeczami się zajmujemy!

Ashling się zawahała, czy powinna się obrazić, lecz Jack dodał:

– Przepraszam. – Wydawał się jakiś spokojniały. – Tylko żartowałem.
– Właśnie to jest takie przerażające – mruknęła Trix do ucha Ashling.
– Skończyłaś już przepisywać artykuł o Jasperze Ffrenchu? – warknęła do niej Lisa.

– Tak.

Lisa podeszła i zajrzała jej przez ramię.

– Afrodyzjak pisze się przez „z”, małże przez ż z kropką, a mówi się szparag, a nie śparag. Może zapoznaj się z komputerowym sprawdzaniem pisowni.

– Dotąd nie musiałam sprawdzać pisowni.

– Wszystko się zmieniło. „Irlandka” musi mieć klasę.

– Myślałam, że mamy być seksowni – burknęła Trix.

– Jedno nie wyklucza drugiego. O! Mercedes! Jak tam twój artykuł o tych zajebistych butach z odkrytą piętą?

Nie była to szczególnie ambitna praca, jednak konieczna. I wyczerpująca.

Ashling była zmęczona jak pies. Wyczerpywała ją nie tylko praca, ale również zdenerwowanie dotyczące tego, jak szybko skończyła się poniedziałkowa randka z Marcusem. Dlaczego nie poszła z nim do łóżka? Przecież nie oszczędzam się dla przyszłego męża, pomyślała ze smutkiem. Jednak zawsze obawiała się zmian, poza tym już od dawna nie spała z nikim poza Phelimem.

Z głębokim westchnieniem doszła do wniosku, że życie nie oszczędza nowoczesnych kobiet. Dawniej zasada była taka, że jak najdłużej nie spało się z mężczyzną. Teraz jednak wyglądało na to, że jeśli chciało się zatrzymać faceta, należało jak najszybciej ofiarować mu swoje wdzięki.

Marcus nie zadzwonił we wtorkowy wieczór, w środy też nie, a choć Joy długo i namiętnie tłumaczyła jej zasadę trzech dni, Ashling powiedziała:

– A jeśli więcej nie zadzwoni?

– No cóż, może się tak zdarzyć – mężczyźni robią różne dziwne rzeczy. Ale na pewno nie zadzwoni dzisiejszego wieczoru. Zrób coś innego, spożytkuj ten czas konstruktywnie. Może masz coś do zmywania? Albo do pomalowania? Bo to najlepszy moment.

Ashling obiecała samej sobie, że jeśli Marcus znów zadzwoni, tym razem na pewno pójdzie z nim do łóżka.

Podczas przerwy na czekoladę w pracy, przeglądając bez entuzjazmu gazetę, nagle ujrzała jego nazwisko. Wspomniano o nim w kontekście świetnej passy irlandzkich komików w Anglii. Litery tańczyły jej przed oczyma. MaRcUs. Mój chłopak. Ashling wpatrywała się w czarne literki z narastającą dumą, która zniknęła po sekundzie. Czy aby na pewno mój?

Nagły przypływ pracowitości Lisy oznaczał, że w czwartek wszyscy łatwo wpadali w złość. Lisa kłóciła się z panią Morley, kiedy Jack z przejętym wyrazem twarzy wyskoczył ze swego gabinetu.

– Mogłaby mi pani zarezerwować stół na lunch? Na dwie osoby.

– Tam gdzie zawsze? – Kiedy z Londynu przyjeżdżał jeden z dyrektorów z Londynu, Jack niechętnie prowadził go na niemal surowy stek i krwistoczerwone wino do wyłożonego dębem i pełnego skóry klubu.

– Chryste, nie! Chodzi mi o miłe miejsce, które mogłoby się spodobać kobiecie. – Wydawał się czarująco bezradny. Wstydliwie przyznał: – Najwyraźniej mam dziś półrocze związku z Mai.

Lisa nie potrafiła ukryć konsternacji. Dlaczego był taki miły dla Mai? Dlaczego się nie pokłócili, kiedy na początku tygodnia Mai przyszła do biura?

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że może im się układać coraz lepiej, i radosna pewność siebie, która jej nie opuszczała po seksie z Wayne'em, ulotniła się bez śladu.

– Dzięki Bogu pamiętałem o rocznicy – Jack uśmiechnął się szeroko.

– Jak to się panu udało? – spytała pani Morley.

– Szczerze mówiąc, właściwie mi to powiedziała – odparł niewyraźnie. – Ej, jak się nazywało to miejsce, do którego mnie kiedyś zabrałaś, Liso? Na pewno się jej spodoba.

– Halo – powiedziała zduszonym głosem. — Słucham? – zapytał. – Powtórz.

– Halo – powtórzyła odrobinę głośniej.

– Właśnie! – ucieszył się Jack. – Pełne dupków! Fikuśne żarcie za koszarne ceny, zakocha się w tej knajpie. Daj numer, sam zarezerwuję.

– Właśnie, że nie. – W tej chwili pani Morley jeszcze bardziej niż zwykle przypominała buldoga. – Ja się tym zajmę.

Trzęsąc się z gniewu, Lisa odeszła. Modliła się w duchu, żeby nie zdołał zarezerwować stolika w tak krótkim czasie.

Pół godziny później przybyła Mai. Wyglądała jak azjatycka Barbie. Kiedy Lisa ją ujrzała, jej gniew zmienił się w pozbawioną nadziei depresję.

– Ładny kostium – podlizała się Trix.

– Dziękuję.

– Dunnes?

– No tak.

Mai nabrała dystansu, którego u niej nie zauważyli podczas szampańskiej popijawy. Ostatnie zachowanie Jacka zmieniło sytuację. Mai była urocza, miła, ale zdecydowanie była również dziewczyną ich szefa.

Pani Morley skinęła Mai głową i dziewczyna, kołysząc szczupłymi biodrami, zniknęła w gabinecie Jacka. Drzwi zamknęły się za nią i cała redakcja zarzuciła swoje zajęcia, a ich uszy rozciągnęły się na boki. Wszyscy liczyli na awanturę, pragnęli jej, tęsknili za nią. Jednak po chwili Jack i Mai wyszli z gabinetu, trzymając się za ręce. Obserwowani przez wygłodniałe oczy pracowników, radośnie poszli do wyjścia i zniknęli. I choć było jasne, że nic więcej się nie wydarzy, wszyscy milczeli.

– Wcześniej bardziej mi się podobało – zauważyła ponuro Trix, wypowiadając na głos myśli pozostałych.

Lisa właśnie wybierała się na lizusowski lunch z Marcusem Valentine'em. Usiłowała ukryć zazdrość, ból i zdumienie. Przecież nie wyobraziła sobie zainteresowania Jacka sobą, tego była pewna. O co mu chodziło? W jednej chwili bez przerwy kłócił się z Mai, w następnej udawali parę gołąbków. Dlaczego? Dlaczego? Bezowocne, pozostające bez odpowiedzi pytania krążyły w jej głowie, gdy szła do restauracji.

Dziesięć minut później pojawił się Marcus. Był wysoki, miał niezłe ciało, ale... błą, nie! Jak Ashling mogła...? Lisa rozciągnęła usta w powitalnym uśmiechu, lecz odkryła, że bardzo jej trudno uruchomić zwyczajowe pokłady uroku.

– Lunch, tak? – powiedział Marcus niemal agresywnie, opadając na krzesło naprzeciwko niej. – Chodzi mi o to, żebyśmy zjedli bez namawiania mnie na pisanie felietonu.

– Dobra. – Lisa zdołała szybko podciągnąć kąciki ust do góry, jednak jej nastrój opadł jak kamień na dno oceanu. Ta praca bywała straszliwie upokarzająca. Trzeba w niej było rozpychać się łokciami i nogami, mieć skórę grubą jak nosorożec.

Nagle zrobiło jej się wszystko jedno, czy będzie pisał ten felieton. A jakie to miało znaczenie? Przecież chodziło tylko o głupie pisemko dla pań. Poza paroma obowiązkowymi wzmiankami o upodobaniu do ostrej kuchni milczała ponuro.

Jak na ironię, im bardziej wycofana się robiła, tym więcej gadał Marcus. Jakoś w połowie głównego dania połapała się, o co w tym wszystkim chodzi, i postanowiła pożytecznie wykorzystać swoją powściągliwość.

– Jaki rodzaj felietonu miałbym pisać? – zapytał Marcus. Pokręciła głową i pomachała widelcem.

– Skup się na jedzeniu.

– Dobrze. – Powrócił do tematu parę sekund później. – O ilu słowach myślałaś?

– Około tysiąca, ale zapomnij o tym.

– Dowiedziałaś się czegoś o publikacji moich tekstów w innych tytułach?

– Jedno z naszych australijskich czasopism chciałoby to drukować, podobnie jak „Chłopak”, nasze pismo dla panów w Wielkiej Brytanii. – I wytoczyła działo największego kalibru. – Marcus, jeśli nie chcesz pisać felietonu, to po prostu nie pisz. – Uśmiechnęła się do niego ze smutkiem. – Znajdziemy kogoś innego. Może nie będzie tak dobry, ale...

– Powiedz mi, jaki jestem fantastyczny. – Uśmiechnął się do niej. – A się zgodzę.

– Jesteś najzabawniejszą osobą jaką widziałam w ostatnich trzech latach – powiedziała bez wahania Lisa. – Twoje występy to unikatowa mieszanka niewinności i profesjonalizmu. Masz niezwykły kontakt z widownią i idealne wycucie czasu. Podpisz tutaj. – Wyciągnęła umowę z torebki i rzuciła ją na blat.

– Jeszcze.

– Mimo że w twoich występach pobrzmiewają echa Tony'ego Hancocka i... – Cholera! Nie przychodził jej do głowy nikt inny.

– Woody'ego Allena? – podsunął jej. – Petera Cooka?

– Woody'ego Allena, Petera Cooka i Groucho Marxa. – Uśmiechnęła się do niego poufale. Wiedziała, że znał na pamięć każdą ze swoich recenzji. – Twój styl jest niesłychanie awangardowy i modernistyczny.

Miała nadzieję, że to wystarczy. Bo gdyby jeszcze domagał się wyjaśnień, czemu jest taki zabawny, zdołałaby wykrztusić tylko: „Masz głupawą gębę”.

Po powrocie do redakcji przybiegła do biurka Ashling i powiedziała ze złośliwą wesołością.

– Zgadnij, co się stało? Marcus Valentine zgodził się pisać dla nas felietony.

– Naprawdę? – zająknęła się Ashling. Wydawał się taki przeciwny temu w poniedziałek. – Czy nie...?

– Tak – przerwała z satysfakcją Lisa. – Owszem.

Czterdzieści minut później rozzłoszczona Ashling w końcu uświadomiła sobie, co powinna odpowiedzieć Lisie: „Marcus będzie pisał felieton? Pewnie dlatego, że wczoraj w nocy naprawdę solidnie mu obciągnęłam”.

Dlaczego takie odpowiedzi nie przychodziły jej do głowy we właściwym czasie? Dlaczego dopiero lata świetlne po wszystkim?

Ku niesłychanej uldze Ashling, Marcus zadzwonił w czwartek i już na samym wstępie zapytał:

– Jesteś zajęta w sobotę wieczorem?

Wiedziała, że powinna się droczyć, męczyć go, trzymać w niepewności, sprawić, żeby się pocił z niepokoju.

– Nie – odparła.

– Świetnie, zabieram cię na kolację.

Kolacja. W sobotni wieczór – cóż za znacząca kombinacja. Czyli nie wkurzył się za to, że nie poszła z nim do łóżka. Oznaczało to również, że tym razem tego nie uniknie. Pojawiło się oczekiwanie, a także niepokój, lecz postanowiła się z nim szybko rozprawić.

Ostrożnie przyznała, że jak na razie, wszystko dobrze szło. Marcus przyzwoicie ją traktował, i choć dręczył ją ten niepokój, nie wynikał on z jego postępowania. Odkąd po raz pierwszy ujrzała go na scenie, rozpoczął się w niej proces wewnętrznej regeneracji. Po Phelimie w ogóle nie myślała o innych facetach, była bardziej zainteresowana zapomnieniem o nim niż zastąpieniem go.

Zawsze jednak zamierzała wrócić do obiegu, kiedy już będzie gotowa. Telefon Marcusa obudził w niej pączki nadziei, co podpowiedziało jej, że być może czas już nadszedł. W końcu przebudziła się po okresie hibernacji.

Dziwne, ale wiele przemawiało za hibernacją. Przebudzona, nagle zdała sobie sprawę ze swojego wieku, z tykania biologicznego zegara i z tych wszystkich lęków dręczących trzydziestoparoletnie samotne kobiety. Syndrom: „Psiamać! Trzydzieści parę lat na karku i nie mam męża!”

Kiedy Joy spytała ją, co robi w sobotni wieczór, Ashling postanowiła wypróbować nową formułę.

– Mój chłopak zabiera mnie na kolację.

– Twój chłopak? Och, masz na myśli Marcusa Valentine'a? – W głosie Joy zabrzmiała zazdrość. – Wszyscy mężczyźni chcą mnie tylko upić. Nigdy mnie nie karmią. – Urwała, i Ashling domyśliła się, że Joy za chwilę powie coś paskudnego. Nie była zawiedziona. – Jedyne, czym mnie karmią, to ich fiutki – dodała ponuro Joy. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że skoro Marcus zabiera cię na kolację w sobotni wieczór, to ma w tym interes? Interes – powtórzyła z naciskiem. – Żadnych uników, jak ostatnim razem, gadania, że musisz rano wstać do pracy.

– Wiem. A mnie już włosy zaczęły rosnać na nogach.

Ashling świetnie wiedziała, co włożyć w sobotni wieczór. Zaplanowała każdy szczegół, włącznie z ładną bielizną. Wszystko było pod kontrolą. Nagle jednak nabrała gwałtowniej niechęci do swojej szminki. Używała tego samego koloru od lat, a kiedy jedna pomadka się kończyła, kupowała drugą, identyczną. I tylko dlatego, że było jej dobrze w tym odcieniu! Co za nudy.

Nowoczesne wiedźmy postępowały ze szminkami tak jak z facetami – szybko się ich pozbywały. Potrzebowała nowej szminki, żeby się przedefiniować. Było konieczne, żeby znalazła właściwą pomadkę, a dopóki tego nie zrobi, wszystko będzie szło nie tak.

W sobotni poranek obsesyjnie szukała szminki, lecz żadna jej nie pasowała. Wszystkie były zbyt różowe, zbyt pomarańczowe, zbyt matowe, zbyt błyszczące, zbyt ciemne, zbyt jasne albo zbyt lśniące. Eksperymentując ze swoim wizerunkiem, wypróbowała wampirzą czerwień i przejrzała się w lustrze. Nie. Wyglądała, jakby przez poprzednie czternaście godzin chłała

czerwone wino, które stężało i zaschło na ustach. Uśmiechnęła się i zaczęła przypominać Draculę.

– Pięknie pani wygląda! – usłyszała krzyk biegnącej ku niej ekspedientki.

Ashling udało się uciec, poszukiwania trwały. Grzbiet jej dłoni, cały w czerwone pasy, wyglądał jak otwarta rana. I kiedy zaczęła już tracić nadzieję, znalazła szminkę. Idealną. Była to miłość od pierwszego wejrzenia i Ashling od razy wiedziała, że teraz wszystko będzie dobrze.

Marcus miał po nią wpaść o wpół do dziewiątej, więc o siódmej wieczorem naląła sobie kieliszek wina i rozpoczęła przygotowania. Już od dawna nie była na kolacji z mężczyzną. Ona i Phelim zazwyczaj zamawiali jedzenie na wynos, a chodzili do restauracji tylko wtedy, gdy mieli już po dziurki w nosie pizzy i curry. Posiłki na mieście, o czysto utylitarnym charakterze, służyły zapewnianiu organizmowi substancji odżywczych i nie miały nic wspólnego z uwodzeniem – żeby zaciągnąć partnera do łóżka, posługiwali się innymi metodami. Kiedy Phelim miał ochotę na seks, mówił: „Zwierzę o dwóch grzbietach, są chętni?” Kiedy to Ashling inicjowała zbliżenie, nakazywała: „Olśnij mnie!”

Jaki będzie seks z Marcusem? Poczwała przyjemny, lękliwy dreszcz i zaczęła szukać papierosów. Joy nie mogła wybrać lepszej chwili na przyjście.

Pochwaliła Ashling za wybór ciuchów, ściągnęła trochę jej dzinsy i podziwiła stringi, po czym spytała:

– Pamiętałaś, żeby położyć odżywkę na włosach łonowych? Ashling się skrzywiła. Joy wyglądała na obrażoną.

– To ma znaczenie. No i co, zrobiłaś to? Ashling pokiwała głową.

– Grzeczna dziewczynka. Kiedy ostatnio uprawiałaś seks? Gdy Phelim wyjechał do krainy Oz?

– Gdy wrócił do domu na ślub brata.

– Zamierzasz to zrobić z panem Valentine'em?

– A niby po co kładłabym odżywkę na włosy łonowe? – Oczekiwanie sprawiło, że Ashling łatwo wpadała w irytację.

– Znakomicie! A więc naprawdę ci się podoba? Ashling zastanowiła się nad tym

– Chyba naprawdę mógłby mi się spodobać. Dobrze się dogadujemy, jest atrakcyjny, ale nie za bardzo atrakcyjny. Dziewczyny takie jak ja nigdy nie umawiają się z modelami, aktorami ani facetami, na których widok ludzie mówią: „O rany, to dopiero przystojniak”. Wiesz, co mam na myśli?

– Przerażasz mnie. I co jeszcze?

– Lubimy takie same filmy.

– Czyli jakie?

– Po angielsku.

Phelim miał irytujący zwyczaj –jako że uważał się za intelektualistę, często wspominał o chodzeniu na zagraniczne filmy z napisami. Tak naprawdę nigdy nie poszli na żaden, ale i tak denerwował Ashling, czytając na głos recenzję i sugerując, żeby się wybrali na to albo na tamto.

– Marcus jest po prostu przeciętny – wyjaśniła Ashling. – Nie skacze na bungee ani nie protestuje przeciwko budowie autostrad, nie ma świra. Żadnych walniętych hobby, i to mi się podoba.

– Co jeszcze?

– Podoba mi się. – Nagle Ashling popatrzyła na Joy i oznajmiła z przejęciem: – Jeśli to komukolwiek powtórzysz, zabiję cię.

– Obiecuję, że nie powtórzę – skłamała Joy.

– Podoba mi się, że jest trochę sławny. Że piszą o nim w gazetach i że ludzie go znają. Tak, wiem, przez to wychodzę na kogoś płytkiego, ale jestem z tobą szczerą.

– A jego piegi?

– Piegowate. – Chwila milczenia. – Posłuchaj, sama mam jeden czy dwa – dodała nerwowo. – Nie ma w tym nic złego.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Ted stoi pod drzwiami. Wpuść go, dobrze? Ted wszedł do sypialni, najwyraźniej podniecony.

– Patrzcie – wykrzyknął i rozwinął plakat.

– To ty! – oznajmiła Ashling.

Było to zdjęcie twarzy Teda na sowim tułowiu z podpisem: „Ted Mullins w sowej osobie” na górze.

– Fantastycznie!

– Właśnie zamierzam je wydrukować. Co o tym myślicie? – Rozwinął drugi plakat i pokazał im obydwu. – Czerwone tło czy niebieskie?

– Czerwone – powiedziała Joy.

– Niebieskie – powiedziała Ashling.

– Sam nie wiem – zadumał się Ted. – Clodagh twierdzi...

– Jaka Clodagh? – warknęła Ashling. – Która Clodagh? Moja przyjaciółka Clodagh?

– Tak. Wpadłem do niej...

– Po co?

– Zabrać kurtkę – powiedział. – O co chodzi? Zostawiłem ją, kiedy pilnowaliśmy dzieci. To chyba nie przestępstwo?

Ashling nie potrafiła wyjaśnić swojej niechęci. Nie miała wyjścia, musiała wymamrotać:

– No tak. Przepraszam. Zapadła pełna napięcia cisza.

– Podaj mi moją nową szminkę, proszę – oświadczyła w końcu Ashling.

Otworzyła ją i odkręciła nowy, lśniący wierzchołek. Cudowna. Kiedy jednak ją podziwiała, nagle uświadomiła sobie coś bardzo nieprzyjemnego.

– Nie wierzę – sapnęła. Szybko zerknęła na spód szminki i zaczęła gwałtownie grzebać w kosmetyczce. Wyciągnęła stamtąd inną szminkę i też zerknęła na dół.

– Psiamać, nie wierzę – wykrzyknęła z rozpaczą.

– Co?!

– Kupiłam taką samą szminkę. Przez cały rano szukałam nowej i w końcu kupiłam dokładnie taką samą, jaką już miałam.

Ashling właśnie miała rzucić się na łóżko z rozpaczliwym okrzykiem: „Jestem do niczego”, kiedy zadzwonił dzwonek. Budzik na toalecie wskazywał wpół do dziewiątej. Co oznaczało, że jest dwadzieścia po ósmej.

– Lepiej, żeby za drzwiami nie stał Marcus Valentine – warknęła.

Stał.

– Jaki facet przychodzi za wcześnie? – dziwiła się Joy.

– Dżentelmen – odparła Ashling, w ogóle nie przekonana.

– Dziwak – mruknęła Joy, niezbyt cicho.

– Zjeżdżajcie oboje.

– Nie zapomnij użyć prezerwatywy – syknęła Joy i razem z Tedem wyszła. Po chwili na schodach ukazał się uśmiechnięty Marcus.

– Cześć – powiedziała Ashling. – Jestem prawie gotowa. Masz ochotę na piwo albo coś?

– Wystarczy herbata. Sam zrobię, nie przejmuj się mną. Kiedy w pośpiechu kończyła przygotowania, usłyszała, jak otwierał szuflady i szafki w kuchni.

– Ładne mieszkanie – zawołał.

Ashling wolałaby, żeby siedział cicho. Błyskotliwa odpowiedź podczas nakładania szminki przekraczała jej możliwości.

– Małe, ale idealnie ukształtowane – odkrzyknęła z roztargnieniem.

– Jak jego właścicielka.

Nie miało to nic wspólnego z prawdą, Ashling jednak uznała, że to miło z jego strony.

To przesądziło o nastroju. Rozchmurzyła się, zapomniała o kompromitacji szminkowej, przeczesła włosy i poszła do niego, żeby ją podziwiał.

Zanim wyszli, Marcus uparł się umyć po sobie filiżankę.

– Daj spokój – powiedziała Ashling, kiedy włożył filiżankę pod wodę.

– O nie. – Położył ją na suszarce i odwrócił się do niej z uśmiechem. – Mamusia dobrze mnie wychowała.

Znowu to poczuła. Jeszcze więcej pączków. Uniosła z nadzieją głowę.

Miejsce, do którego ją zabrał, było przytulne i łagodnie oświetlone. Przy stoliku w rogu, czasem dotykając się kolanami, pili białe zimne wino, tak wytrawne, że cierpły im zęby, i podziwiali w świetle świec swoją świeżą, nieskazitelną cerę.

– Hej, podoba mi się twój... – Wskazał na bezrękawnik Ashling. – Nigdy nie wiem, jak się nazywają te damskie cichy. Czy to podkoszulek? Mam wrażenie, że bardzo bym cię obraził, nazywając to podkoszulkiem. Ale jak mam to nazwać? Top? Bluzka? Koszula? Kamizelka? Cokolwiek to jest, podoba mi się.

– To się nazywa bezrękawnik.
– To jak wygląda bluzka? Ashling postanowiła go podszkolić.
– Nigdy, przenigdy nie mów „bluzka” do żadnej kobiety poniżej sześćdziesiątki – oświadczyła z powagą. – Możesz powiedzieć, że kobieta ma ładną kamizelkę, jeśli chodzi ci o koszulkę bez rękawów. Ale nie, jeśli to prawdziwa kamizelka. Jeśli to prawdziwa kamizelka, lepiej jak najszybciej wyjdź.

Marcus pokiwał głową.

– Rozumiem. Boże, to pole minowe.
– Czekał no. – Coś jej przyszło do głowy. – Wypytyjesz mnie, bo potrzebny ci materiał do występów?
– Jakbym śmiał? – Uśmiechnął się do niej.

Jedzenie było przyzwoite, rozmowa przyjemna, lecz Ashling wciąż miała wrażenie, że to tylko wstęp. Zapowiedź. Że główna atrakcja przyjdzie później.

Kiedy pojawił się rachunek, bez przekonania usiłowała się dołożyć.

– Nie – nalegał Marcus. – Nie zgadzam się. Bo oczekujesz nagrody później, pomyślała.

– I co teraz? – spytał, kiedy znaleźli się na ulicy.

Ashling wzruszyła ramionami, ale nie mogła ukryć uśmiechu. Chyba było to jasne?

– U mnie? – zapytał cicho.

Pocałował Ashling w taksówce. I jeszcze raz, w przedpokoju. Było to bardzo miłe, jednak kiedy oderwali się od siebie, nie mogła się nie rozejrzeć po jego mieszkaniu. Podobał się jej, ale chciała zobaczyć, jak mieszka, dowiedzieć się czegoś o nim.

Było to dwupokojowe mieszkanie w nowoczesnym budynku, zaskakująco mało syfiaste.

– I wcale dziwnie nie pachnie!

– Mówiłem ci, że mama dobrze mnie wychowała. Weszła do pokoju gościnnego.

– Jezu, ile kaset –jęknęła. Setki kaset wideo były ułożone pod ścianami.

– Możemy coś obejrzyć, jeśli chcesz – zaproponował. Chciała. Rozdarta między pożądaniem i dziecięcym strachem, z radością powitała to opóźnienie.

– Wybierz – zachęcił ją.

Kiedy jednak przyjrzała się półkom, szybko uświadomiła sobie coś dziwnego. Monthy Pyton, Lenny Bruce, Flip i Flap, Ojciec Ted, Jaś Fasola, Bracia Mara, Eddie Murphy – miał jedynie komedie.

Była zmieszana. Na pierwszej randce prowadzili ożywioną dyskusję o swoich ulubionych filmach. On twierdził, że lubi bardzo różne gatunki, ale trudno w to było uwierzyć, patrząc na jego zbiory. W końcu wybrała *Życie Briana*.

– Znakomity wybór, droga pani! – Postawił przed nią butelkę białego wina, sam wziął puszkę piwa i z wahaniem przytulili się do siebie przed telewizorem.

Dziesięć minut po rozpoczęciu filmu Marcus dotknął jej nagiego ramienia palcem wskazującym i zaczął ją powoli głaskać.

– Aaaashling – zagruchał z gwałtownością, od której poczuła ucisk w żołądku. Niemal przestraszona, zerknęła na niego. Wpatrywał się w ekran. – Patrz uważnie – powiedział takim samym, niskim głosem. – Oto zbliża się jeden z najwspanialszych momentów w historii komedii.

Lekko rozczarowana, ale jak zawsze posłuszna, grzecznie oglądała, a kiedy Marcus skręcał się ze śmiechu, sama nie mogła powstrzymać się od chichotu. Potem odwrócił się do niej i zapytał, jak mały przemądrzały chłopiec:

- Masz coś przeciwko temu, Ashling?
- Przeciwko czemu?
- Żebyśmy obejrżeli to jeszcze raz.
- Och! Ależ skąd.

Kiedy jej serce zaczęło bić w normalnym tempie, uznała, że jest wzruszona tym, iż chciał się z nią dzielić ważnymi dla siebie sprawami.

– Byli zadowoleni, że zgodziłem się pisać felietony? – zapytał jakiś czas później.

- Zachwyceni!
- Ta Lisa, to dopiero twardzielka, co?
- Tak, bardzo przekonująca. – Ashling nie była pewna, czy powinna obrabiać tyłek Lisie.

- Ale to twoja zasługa.
- Przecież nic nie zrobiłam.

Marcus popatrzył na nią znacząco.

– Mogłabyś im powiedzieć, że przekonałaś mnie w łóżku. Jego jednoznaczne spojrzenie sprawiło, że ścisnęło się jej gardło.

Po chwili przełknęła głośno.

- To nie byłaby prawda.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której nie spuszczał z niej wzroku.

- Możemy sprawić, żeby była.

Dobry nastrój minął. I to bezpowrotnie. Ashling czuła, że jest jeszcze za wcześnie na pójście z Marcusem do łóżka, ale opór byłby taki staroświecki. Nie potrafiła zrozumieć idiotycznej nieśmiałości, która ją paraliżowała – przecież miała trzydzieści jeden lat i spała z wieloma różnymi mężczyznami.

– No chodź. – Wstał i delikatnie pociągnął ją za rękę. Coś jej podpowiadało, że Marcus nie zaakceptuje odmowy.

– Ale film...

– Już go widziałem.

Bez jaj.

Nieśmiałość walczyła z ciekawością, namiętność ze strachem przed bliskością. Chciała się z nim kochać i zarazem nie chciała, ale jego pożądanie robiło wrażenie. Wstała. Pocałunek nieco ją przekonał i przeszła do sypialni. Nie był to jednak płynny taniec, w którym nie ma mowy o niezręczności, a ubrania zsuwają się bez oporu. Marcus nie mógł rozpiąć jej stanika, a kiedy ujrzała, jak wielka jest jego erekcja na tle szczupłych bioder, musiała odwrócić wzrok. Zadrżała niczym przerażona dziewczica.

– Co się stało?

– Jestem nieśmiała.

– To nie z mojej winy.

– Ależ skąd. – Jego bezbronność sprawiła, że postanowiła bardziej się postarać. Przyciągnęła go do siebie, dzięki czemu sprawiła mu przyjemność i jednocześnie nie musiała oglądać jego penisa w gnieździe włosów.

Pościel była świeża, świece tworzyły zaskakujący klimat, Marcus był czuły i opiekuńczy i ani razu nie wspomniał o jej braku talii, musiała jednak przyznać, że niebo nie otworzyło się przed nią. Marcus jednak był pełen

uznania, i to się jej podobało. Z pewnością miała już gorsze doświadczenia. Poza tym najlepszy seks zawsze był nieco nierealny, zwykle miał miejsce podczas krótkich sesji godzenia się z Phelimem, kiedy radość z bycia razem dodawała szczypty pikanterii do wzajemnej rozkoszy.

Poza tym była dorosłą dziewczynką i miała świadomość, że nie powinna oczekiwać nie wiadomo czego. Za pierwszym razem z Phelimem ziemia również nie zadrżała w posadach.

38

W niedzielny poranek Clodagh ocknęła się na skraju łóżka. Craig niemal zepchnął ją z materaca, zresztą równie dobrze mogła to zrobić Molly albo oboje. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz budziła się bez przyzwoitki i do tego stopnia przyzwyczała się do spania na skraju łóżka, że z pewnością zdołałaby spędzić wspaniałą noc na krawędzi urwiska.

Coś jej podpowiadało, że jest jeszcze bardzo wcześnie. Około piątej rano. Słońce weszło, w szczelinie między białymi zasłonami błyskało jaskrawe światło, lecz Clodagh i tak wiedziała, że jest za wcześnie na pobudkę. Niewidoczne mewy za oknem piskliwie i przejmująco darły dzioby. Brzmiało to jak ryki niemowląt w filmie grozy. Dylan leżał obok Craiga i spał jak kamień, z bezładnie splątanymi kończynami— Pogwizdywał przy każdym oddechu, a kiedy wypuszczał powietrze, na jego czole unosiły się włosy.

Czuła się bardzo przygnębiona. Miała kiepski tydzień. Po katastrofie w agencji pośrednictwa pracy Ashling zmusiła Clodagh, żeby spróbowała jeszcze raz. Wobec tego Clodagh po raz drugi włożyła kosztowny kostium i faktycznie spróbowała. Druga agencja potraktowała ją z podobną pogardą jak pierwsza. Jednak ku ogromnemu zdumieniu Clodagh, trzecia postanowiła wysłać ją na

dwudniowy okres próbny. Miała parzyć herbatę i odbierać telefony w firmie dostarczającej grzejniki.

– Płaca jest... skromna – przyznał pracownik agencji. – Ale dla kogoś, kto tyle lat był poza obiegiem, to dobry początek. Zakochają się w pani, więc proszę spróbować. Powodzenia!

– O. Dziękuję. – Kiedy Clodagh zrozumiała, że może dostać pracę, od razu przestało jej zależeć. Parzenie herbaty i odbieranie telefonów – a co to za radocha? W domu robiła to bez przerwy. I do tego firma zajmująca się dostawą grzejników? Nuda. O dziwo, znalezienie pracy i uświadomienie sobie, że się jej nie chce, było chyba nawet gorsze niż odmowa zatrudnienia. Choć Clodagh nie miała skłonności do refleksji, w końcu doszła do wniosku, że tak naprawdę nie szukała pracy – pieniędzy im nie brakowało – lecz blichtru i podniet. A raczej nie znalazłaby tego w firmie dostarczającej grzejniki.

Wobec tego zadzwoniła do pana z agencji i udała, że nie może przyjść, bo Craig zachorował na różyczkę. Pomyślała, że dzieci czasem się przydają. Jeśli nie chciałaś czegoś zrobić, wystarczyło powiedzieć, że mają wysoką temperaturę i że podejrzewasz zapalenie opon mózgowych. Dzięki temu w zeszłym roku uniknęła przyjęcia gwiazdkowego w firmie Dylana. Dwa lata wcześniej też. Planowała wykorzystać tę samą wymówkę w tym roku.

Wzdrygnęła się. Coś ostrego wbijało się w jej plecy. Inspekcja wykazała, że to Buzz Lightyear. Za oknem skrzeczały mewy, a ich okropne, tęskne krzyki odzywały się echem w jej duszy. Czowała się uwięziona, zapędzona w kozi róg, zablokowana, całkiem jakby ją zamknięto w małym, ciemnym, pozbawionym powietrza pudle, które nieustannie się kurczyło. Nie mogła tego zrozumieć. Zawsze była szczęśliwa. Życie biegło tak jak powinno, i wszystkie zmiany zawsze były na lepsze. Nagle, bez ostrzeżenia, najwyraźniej się zatrzymało.

Zmierzało donikąd, nie było na co czekać. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl – czy tak będzie już do końca?

Wtem zauważyła, że pogwizdywanie Dylana osiągnęło poziom crescendo. W nagłym przypływie nietolerancji wybuchnęła:

– Przestań oddychać! – Brutalnie popchnęła jego głowę i zmieniła kąt ułożenia tchawicy.

– Przepraszam – wymamrotał, nie budząc się ani na moment. Zazdrościła mu tego nieskomplikowanego snu. Rozpłaszczona na materacu, słuchała krzyków mew aż do chwili, gdy przydreptała Molly i walnęła ją w twarz. Pora wstawać.

Nagle usunięcie wyrostka robaczkowego, pomyślała z tęsknotą. Albo łagodny wylew. Nic zbyt poważnego. Coś, co się będzie wiązało z długim pobytem w szpitalu, do którego goście mogą przychodzić w ściśle określonych godzinach.

Wysuszywszy się po prysznicu, podeszła do Dylana, który siedział na skraju łóżka i ziewał.

– Nie dawaj Craigowi płatków frosties. Domaga się ich przez cały tydzień, ale jak mu dasz, to ich nie tknie – powiedziała. – Na rogu ulicy otwierają nowe przedszkole, wszyscy jesteśmy zaproszeni. Nie wiem, czy denerwować Molly przenosinami, ale w starym tak jej nie lubią, że może warto by było iść.

– Kiedyś rozmawiałas ze mną nie tylko o dzieciach – powiedział Dylan nieoczekiwanie.

– A o czym? – spytała z wrogością w głosie.

– Nie wiem. O niczym... O wszystkim. O muzyce, filmach, ludziach...

– A czego się spodziewałaś? – wybuchnęła. – Nie widuję nikogo oprócz dzieci. Nic na to nie poradzę. Ale skoro mówimy o zainteresowaniach, pomyślałam, że moglibyśmy zmienić wystrój.

– Czego? – spytał sztywno.

– Naszej sypialni. – Nałożyła na nogę balsam i szybko go rozsmarowała.

– Robiliśmy to w zeszłym roku.

– Co najmniej półtora roku temu.

– Ale...

Clodagh zaczęła wkładać bieliznę.

– Tu przegapiłaś. – Dylan wyciągnął rękę, żeby roztrzeć odrobinę kremu na jej udzie.

– Spadaj! – warknęła, odpychając jego rękę.

Dotyk palców Dylana na jej skórze okropnie ją wkurzył.

– Może się uspokoisz? – wrzasnął. – Co się z tobą dzieje?

Własna reakcja ją przestraszyła, jednak zbyt późno. Nie powinna była tego robić. Wyraz twarzy Dylana przeraził ją jeszcze bardziej – widniał na niej gniew i ból.

– Przepraszam, jestem zmęczona. Przepraszam. Może zaczniesz ubierać Molly?

Ubieranie Molly, gdy nie chciała być ubrana, przypominało włożenie rozzłoszczonej ośmiornicy do torby z plecionego sznurka.

– Nie! – wrzasnęła Molly, wijąc się i skrecając.

– Clodagh, pomóż nam! – zawołał Dylan. Usiłował złapać wymachującą rękę dziecka i wepchnąć ją w rękaw.

– Mamusiu, nieeee!

Podczas gdy Clodagh trzymała Molly, Dylan gruchał cierpliwym, śpiewnym głosem. Opowiadał jakieś bzdety o tym, jak ślicznie będzie wyglądała Molly, kiedy włoży już spodenki i podkoszulek, i jakie to śliczne kolorki.

W końcu drugi but został wciśnięty na wierzgającą stopę Molly, a Dylan uśmiechnął się triumfalnie do Clodagh.

– Misja wykonana – powiedział. – Dziękuję.

Kiedy oświadczył, że rozmawiają wyłącznie o dzieciach, wpadła w panikę. Jeśli jednak miałyby być szczerą, musiałyby przyznać, że częściowo była to prawda. Razem, ramię w ramię pracowali jako opiekunowie do dzieci, niemal koledzy. I co w tym złego, zapytała samą siebie w poszukiwaniu usprawiedliwienia. Przecież mieli dwójkę dzieci, niby kim mogliby być?

Na otwarciu nowego przedszkola było mnóstwo ludzi. Gdy Clodagh weszła do środka – nieco się krzywiąc na widok drzwi pomalowanych fluorescencyjną farbą w wyskakujące z pudełek pajace – pierwszą osobą, którą ujrzała, była Deirdre Bullock, właścicielka czarnego pasa w macierzyństwie. Jej córka, Solas Bullock, była najbardziej utalentowanym dzieckiem świata.

– Nigdy nie uwierzysz! – wykrzyknęła Deirdre. – Solas posługuje się już całymi zdaniem. – Celowo zamilkła na chwilę, zanim zapytała: – A Molly?

Solas była o trzy miesiące młodsza od Molly.

– Nie – odparła Clodagh radośnie. – Molly woli się z nami porozumiewać na piśmie.

Pomyślała, że pewnie zostanie wykluczona z porannych kawek, ale warto było zobaczyć przerażenie na twarzy Deirdre.

W poniedziałek Clodagh wpadła na świetny pomysł, jak sobie poradzić z depresją. Umówi się wieczorem z Ashling. Urzną się jak za dawnych dobrych

czasów, może nawet pójść do klubu, a Clodagh będzie miała okazję włożyć swoje śliczne, nowe ciuchy. Może rybaczki i tunikę – ale nie miała pojęcia, jakie buty się do tego nosi. Podejrzewała, że masywne koturny, jednak czy mogłaby je włożyć i nie czuć się jak kompletna idiotka? Trudno powiedzieć, już od dawna nie nosiła modnych ubrań.

Podekscytowana, zadzwoniła do redakcji.

– Mówi Ashling Kennedy.

– Tu Clodagh. Och... – Właśnie sobie o czymś przypomniała. – Ted wpadł do mnie w piątek po swoją kurtkę.

– Mówił mi.

– Miły jest, prawda? Zawsze myślałam, że to głupek, ale kiedy się go pozna, nie wydaje się już taki najgorszy, nie?

– Uhm.

– Opowiadał mi o pracy komika. I pokazał plakaty.

– Uhm.

– Chętnie bym się wybrała na jego występ. Powiedział, że da znać, kiedy będzie występował, ale ty tego dopilnuj, dobrze?

– Eee... dobrze.

– Pójdziemy dziś na drinka? Urzniemy się, może nawet potańczymy.

Dylan popilnuje dzieci.

– Nie mogę – odparła Ashling. – Umówiłam się z Marcusem. Moim nowym chłopakiem – wyjaśniła.

– Z kim?

– Z chłopakiem. – Duma w głosie Ashling była niepokojąca. – Spotkaliśmy się dopiero dwa razy, ale wczoraj cały dzień spędziliśmy w łóżku, a on chce się ze mną dziś spotkać.

Nagle Clodagh odniosła wrażenie, że na jej oczach tworzy się dziura czasowa, z której wieje tęsknotą za minionymi czasami. Znowu wyczuła pierwsze, niepokojące oznaki miłości w powietrzu, zaskoczyły ją. Potem zniknęły równie nagle, jak się pojawiły, pozostawiając za sobą nieokreśloną tęsknotę.

– Nie możesz tego odwołać? – spróbowała.

– Nie – odparła Ashling nieco drżącym głosem. – Powiedziałam, że pomogę mu przygotować się do występu. To komik...

– Jeszcze jeden!

– Potrzebuje mnie, żeby wypróbować nowy materiał.

– A może jutro wieczorem?

– Mam lekcję salsy.

– A w środę?

– Muszę być na otwarciu nowej restauracji.

– Szczęściara. – Clodagh nie umknął kontrast między otwarciem nowego przedszkola a otwarciem nowej restauracji.

– Co u Dylana?

Clodagh cmoknęła z pogardą.

– Pracuje dniami i nocami. Wyjeżdża w czwartkowy wieczór. Znowu! Na kolejną cholerną konferencję. Wpadniesz? Mogłybyśmy się napić wina i coś zjeść.

– Jasne. Babski wieczór w domu.

– Innych chyba nie mam. Ale powiesz mi, kiedy będzie występował Ted?

Minał tydzień. I jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Praca w redakcji wrzała. Choć wszyscy harowali jak woły nad wrześniowym numerem, Lisa już zaczęła snuć plany na październik, listopad, nawet na grudzień.

– Przecież dopiero czerwiec – poskarżyła się Trix.

– Otóż jest już trzeci lipca, a w prawdziwym świecie czasopisma przygotowuje się na pół roku przed ich wydrukowaniem – odparła Lisa wyniośle.

Przeszkody wciąż się mnożyły. Choć setki razy dzwonili do dziesiątków agentów, Lisa nie zdołała zwerbować ani jednej sławnej osoby do pisania cyklicznego felietonu. Było to cholernie frustrujące i miała gorzką świadomość, że taka sytuacja nie mogłaby się wydarzyć w „Femme”. Potem nagle hotel w Galway dostał cynk, że zostanie uwzględniony w rankingu seksownych sypialni, i zagroził procesem.

Morale nieco wzrosło, kiedy pracująca jako wolny strzelec Carina załatwiła długi wywiad z Conalem Devlinem, pięknym irlandzkim aktorem, który składał się głównie z kości policzkowych i trzydniowego zarostu. Potem morale poszło w dół, kiedy w lipcowym numerze „Irish Tatler” Conal opowiedział dziennikarce o tym, jak wykorzystywano go seksualnie w dzieciństwie – a miało to być zarezerwowane dla Cariny.

– Ubiegli nas! – Lisa szalała. – Skurwysyn! Nikt nie będzie traktował mojego pisma jak drugorzędnego szmatławca! – Nie tylko trzeba było zdjąć wywiad, ale również zmienić całą stronę filmową. Wcześniej ogromnie polecali jego nowy film.

– Zarżniemy go – warknęła Lisa. – Niech wszyscy wiedzą, że to szmira. Ashling, ty się tym zajmij.

– Ale ja nie widziałam tego filmu!

– I co z tego?

Sukcesy przychodziły z trudem. Wszyscy zgadzali się tylko co do jednego – że praca dla Lisy jest koszmarem. Lisa świetnie wiedziała, czego chce. Trzy godziny później, gdy było to w połowie gotowe, Lisa świetnie wiedziała, czego nie chce. Aż do następnego dnia, kiedy twierdziła z uporem, że znowu tego chce. Chlastała tekst, wyrzucała artykuły, wrzeszczała, po czym kazała je pisać od początku, znowu trafiały do kosza, potem je cięła i ponownie zatwierdzała. Uroczy artykuł Ashling o tym, że nieważne, czego oczekujesz od swoich włosów, został odrzucony, wyrzucony, przepisany i przywrócony tyle razy, że Ashling naprawdę się rozszlochała, kiedy Lisa po raz nie wiadomo który go ułaskawiła.

– Przepiszesz to? – Ashling czknęła i popatrzyła na Mercedes. – Jeśli jeszcze raz będę musiała na niego spojrzeć, to się podpale.

– Dobra. Jeśli zadzwonisz do tej wariatki Friedy Kiely i umówisz się na sobotnie zdjęcia.

Lisa zamierzała spełnić swoją groźbę i powtórzyć zdjęcia większości strojów Friedy Kiely.

– Ashling, Trix i Mercedes, odwołajcie spotkania w piątkowy wieczór, wszystkie pracujemy w sobotę – ogłosiła Lisa. – Ktoś musi przynosić ciuchy, podawać kawę i tak dalej.

Rozległ się zbiorowy jęk protestu, który nic nie dał.

– Pieprzona poganiaczka niewolników – wyła wieczorem Ashling, jedząc z Marcusem kolację w Mao. – W życiu nie spotkałam takiego tyrana.

– Nie żałuj sobie. – Marcus nalał jej kieliszek wina. – No już, obrób jej tyłek.

– O nie. – Ashling przejechała dłonią przez zmierzwione włosy. – Chodzi mi tylko o to, że ta bezczelna krowa ma gdzieś, że przecież oprócz jej cholernego pisemka istnieje jeszcze prawdziwe życie. I niby kiedy mamy spać? Jeść? Albo prac?

Po opróżnieniu niemal całej butelki Ashling przestała w końcu narzekać i była w znacznie lepszej formie.

– Posłuchaj mnie tylko, gadam jak wariatka! – wykrzyknęła, zarumieniona. – O nie! Już dość wypiałam. – Usiłowała powstrzymać Marcusa, który wlewał jej do kieliszka resztkę wina.

– Daj spokój, wypij to, musisz się jakoś pocieszyć.

– Dzięki. Już czuję się lepiej – mruknęła, rozwalając się na ławie. – Epizod psychotyczny należy do przeszłości, teraz już mogę zachowywać się normalnie.

Pochyleni nad kawą, zaczęli obgadywać innych klientów. Często się w to bawili, wymyślali im jakieś przygody, czasem nawet całe życie.

– A ten? – Marcus wskazał starszego, ogorzałego mężczyznę w skarpetkach i sandałach, który właśnie wszedł do lokalu.

Ashling zastanawiała się przez chwilę.

– Ksiądz, który przyjechał z misji na urlop w ojczyźnie – oświadczyła w końcu.

Marcusa bardzo to rozbawiło.

– Dowcipna jesteś. – Podziw zmiękczył jego głos. Po chwili Marcus wskazał głową dwóch młodych mężczyzn, którzy pili gorącą czekoladę i jedli sernik. – Co powiesz na tę parkę?

Ashling walczyła ze sobą. Może nie powinna mówić tego głośno, ale wino nieco uderzyło jej do głowy.

– No dobra – wykrztusiła w końcu. – To chyba niezbyt poprawne polityczne, ale przypuszczam, że są gejami.

– Dlaczego.

– Hm, jest mnóstwo powodów. Heterocy nie jadają ze sobą raczej razem chodzą na piwo. I nie siadają naprzeciwko siebie, tylko obok, i nie patrzą sobie w oczy. No i to ciastko – prawdziwi samcy nie jedzą ciastek, bo się boją że to pedalsko wygląda. Geje są bardziej wyluzowani.

Marcus z namysłem zmrużył oczy.

– Ale patrz, Ashling, są w skórach, a obok nich na podłodze leżą kaski. A gdybym zaryzykował i oświadczył, że to holenderscy albo niemieccy motocykliści, którzy jeżdżą po Irlandii?

– Jasne! – Nagle Ashling załapała. – Cudzoziemcy. Cudzoziemcy jedzą ciastka i nikt nie myśli, że są gejami. – Kilka lat wcześniej miała weekendowy romans z chłopakiem ze Szwecji, który z czarującą nieświadomością zjadł publicznie malinową babeczkę.

– Smutne, że Irlandczycy tak nie robią – zauważył Marcus.

– Jasne. – I oboje się roześmiali, a na widok życzliwości w jego oczach Ashling zrobiło się cieplej na sercu.

Akurat teraz życie nie jest takie złe, uświadomiła sobie Ashling.

O wpół do dziewiątej w sobotni poranek Ashling pojawiła się w studiu z dwiema olbrzymimi walizami ciuchów, które poprzedniego wieczoru odebrała z biura prasowego Friedy Kiely. Nigdy dotąd nie była na prawdziwej sesji fotograficznej, więc oprócz niechęci czuła też podniecenie i ciekawość.

Fotograf Niall i jego asystentka byli już na miejscu, podobnie jak wizażystka. Przyszła nawet modelka Dani. Na jej widok na twarzy Lisy pojawiła się pogarda – rasowe modelki zawsze spóźniały się przynajmniej o pół dnia.

– Kto to stylizuje? – spytał Niall.

– Ja – odparła Lisa.

Mercedes wyglądała tak, jakby chciała ją zamordować. To ona była redaktorką mody, ona powinna stylizować sesję.

Lisa, Niall i wizażystka skakały nad Dani, a Lisa wykladała swoje pomysły. Niall oznajmił, że są „genialne”, lecz na widok gotowej Dani Ashling i Trix wymieniły skonsternowane spojrzenia. Modelkę ubrano w jedną z idiotycznych, powłóczystych sukienek Friedy, popaćkano błotem i nawtykano słomy w jej czarne włosy, a następnie posadzono na sofie z chromu i białej skóry. Obok niej leżała na wpół zjedzona pizza, w rękach Dani trzymała chromowany pilot. Najwyraźniej miała udawać, że ogląda telewizję. Padło dużo argumentów na temat „ironii” i „kontrastu”.

– Ale debilnie wygląda – wyszeptała Trix do Ashling.

– Tak, nic z tego nie rozumiem.

Ustawianie planu trwało całą wieczność – sprzęt, oświetlenie, kąt nachylenia Dani na sofie, ułożenie fałd sukienki.

– Dani, skarbie, pilot zasłania fragment gorsetu. Niżej. Nie, niżej. Nie, trochę wyżej.

W końcu, w końcu, byli gotowi.

– Wyglądaj na znudzoną – zawołał Niall do Dani.

– Jestem znudzona.

Ashling i Trix też były znudzone. Nie miały pojęcia, że to wszystko jest takie wyczerpujące.

Po kilkukrotnym sprawdzeniu jakiegoś „poziomu” Niall oświadczył w końcu, że jest OK. Zanim jednak zdołał zacząć, Mercedes wybiegła i obciągnęła sukienkę Dani.

– Była trochę zmięta – skłamała. Mercedes była wściekła na Lisę, więc co chwila wymyślała sobie jakieś nieprzydatne zajęcie, aby udowodnić sobie, że jest niezwykle potrzebna.

Niall był gotowy po kolejnych piętnastu minutach i kiedy już wszyscy myśleli, że naciśnie przycisk aparatu i naprawdę zrobi zdjęcie, znieruchomiał, a potem wyszedł zza sprzętu, by usunąć z twarzy Dani niewidzialny kosmyk włosów. Ashling stłumiła krzyk. Czy on w ogóle zamierzał kiedykolwiek zacząć fotografować?

– Powoli tracę wolę życia – wymamrotała Trix z zaciśniętymi zębami.

Wreszcie Niall zrobił zdjęcie. Potem zmienił obiektyw i znów strzelił kilka fotek. Potem włożył do aparatu czarno-biały film. Potem zmienił aparat. Potem cała ekipa zwinęła manatki i przeniosła się na zdjęcia do supermarketu. Tam ludzie popychający wózki z jedzeniem skręcali się ze śmiechu na widok chudej jak patyk, wysmarowanej błotem modelki fotografowanej na tle mrożonych kurczaków. Ashling była zażenowana i zmartwiona.

– Te zdjęcia są beznadziejne, nigdy ich nie wykorzystamy.

O czwartej po południu Lisa i Niall uznali, że dość już sesji w supermarkecie.

– Mamy trochę niezłych fotek – powiedział Niall. – Świetne zestawienie, genialna ironia.

– Czy możemy już iść do domu? – wymamrotała z rezygnacją Trix. Ashling też nie marzyła o niczym innym. Ręce ją bolały od noszenia koszmarnych sukienek Friedy Kiely, męczyło ją odbieranie nieustannie dzwoniącej komórki Dani, a przede wszystkim miała dosyć tego, że traktowano ją jak popychadło.

Leć po baterie do lampy błyskowej Nialla, biegnij po kawę dla wszystkich, znajdź walizkę, w której jest źdźbło słomy.

– Teraz scena na ulicy – przypomniała Lisa Niallowi.

– Chyba jeszcze nie pójdziemy do domu – syknęła Ashling ze złością.

Wszyscy powlekli się na South William Street, gdzie na chodniku przed hinduską restauracją, już po raz tysięczny tego dnia, Niall rozstawił swój sprzęt.

– A może Dani pogrzebałaby w kubie na śmieci, jak bezdomna? – zasugerowała Lisa.

Niallowi ten pomysł bardzo przypadł do gustu.

– Nie! – Dani była bliska łez. – A gównu, za nic.

– Ale to takie miejskie – upierała się Lisa. – Musimy mieć mocne miejskie tło dla kontrastu z tymi sukienkami.

– Nic mnie to nie obchodzi. Odpada. Możesz mnie wylać, jeśli chcesz.

Lisa popatrzyła na nią surowo. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Gdyby Boo i Włochaty Dave nie wybrali akurat tej chwili, aby ich minąć, nie wiadomo, jak by się to skończyło.

– Cześć, Ashling – przywitał się radośnie Boo.

– Hm, cześć. – Była przerażona. Boo ze swoim brudnym kocem na ramionach i Włochatym Dave'em u boku był w bardzo oczywisty sposób bezdomny.

– Skończyłem *Kobietę kowala* – powiedział Boo. – Wciągające, ale koniec to zupełna bzdura. Nigdy nie wierzyłem, że ten facet to jej brat przyrodni.

– Świetnie! – odparła Ashling z napięciem. Miała nadzieję, że obaj chłopcy znikną. Nagle ku swemu ogromnemu zdumieniu zobaczyła, że Lisa wpatruje się w Boo z wielkim zainteresowaniem.

– Lisa Edwards – przedstawiła się z szerokim uśmiechem. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że prawie się nie wzdrygnęła, kiedy Boo i Włochaty Dave wymienili z nią uścisk dłoni. Lisa powiodła spojrzeniem po wianuszkach otaczających ją ludzi. – Zapomnijmy o kubku na śmieci, mam lepszy pomysł. – Odwróciła się do Boo i Włochatego Dave'a. – Chłopaki, chcecie się sfotografować z piękną dziewczyną? – Wypchnęła przed siebie nadąsaną Dani.

Ashling aż się zakręciło w głowie z przerażenia. To nie było fair, przypomniało... no, jakąś formę wyzysku. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Boo wydawał się totalnie oczarowany.

– To sesja mody? I chcesz, żebyśmy wzięli w niej udział? Super.

– Ale... – usiłowała wtrącić Dani.

– Albo oni, albo kubek. – W głosie Lisy zadźwięczała stal. Dani przez sekundę się wahała, po czym stanęła między Boo i Włochatym Dave'em.

– Genialne! – oświadczył Niall. – Fantastyczne! Nie musisz się uśmiechać... eee... Dave, po prostu bądź sobą. A ty... eee... Boo, mógłbyś dać swój... hm... kocyk Dani? Cudownie! Dani, skarbie, zarzuć go sobie na ramiona. Udawaj, że to paszmina, złotko, jeśli tak ci będzie łatwiej. Potrzeba nam styropianowego kubka. Trix, pędź do McDonalda i przynieś kubki...

Ashling odwróciła się do Mercedes i zapytała ze zdumieniem:

– Chyba te zdjęcia do niczego się nie nadadzą?

– Wręcz przeciwnie – odparła Mercedes z rozpaczą w ciemnych oczach.
– Są twórcze. Pewnie zdobędą pierdoloną nagrodę!

Skończyli o ósmej. Ashling pogalopowała do domu, a kiedy wpadła do mieszkania, zadzwieczał telefon. Dzwoniła Clodagh, która spędziła cały dzień na obcinaniu i farbowaniu włosów. Zmiana była tak radykalna, że Dylan przestał rozmawiać z Clodagh. Następnie kupiła sobie białe, obcisłe spodnie w rozmiarze dziesiątym, który ostatnio nosiła przed pierwszą ciążą. Rozwiązała problem butów (pantofle bez pięt na niskim obcasie) i marzyła o wyjściu z domu.

Zanim jednak zdążyła zrelacjonować Ashling swój dzień, ta wyszeptwała:

– W życiu nie czułam się taka zmęczona. Przez cały dzień byłam na sesji mody.

Clodagh znieruchomiała, entuzjazm wyparował z niej w okamgnieniu. Po chwili wypełniła ją ponura niechęć. Ashling była pieprzoną farciarą. Pieprzoną farciarą obracającą się w wielkim świecie. Robiła to specjalnie, by udowodnić Clodagh, że ma znacznie ciekawsze życie od niej.

– Nie mogę rozmawiać – przeprosiła Ashling. – Muszę się przygotować, za pięć minut mam się zjawić u Marcusa.

Clodagh była załamana. Teraz, w nowej fryzurze, nowych ciuchach i nowych butach, musiała siedzieć w domu i oglądać telewizję. Czuła się tak parszywie, że dopiero po dłuższej chwili zdołała zapytać:

– Jak się wam układa?

Ashling była całkiem nieświadoma gorzkiego rozczarowania przyjaciółki. Myślała o Marcusie, niepewna, czy prowokować los.

– Świetnie – odparła. – Prawdę mówiąc, fantastycznie.

– To brzmi poważnie – mruknęła Clodagh. Ashling ponownie się zawahała.

– Może. – Po czym dodała, bo czuła, że powinna: – Ale dopiero się poznamy.

Chociaż właściwie tak nie było. Widywali się co najmniej trzy razy w tygodniu, a byli swobodni i tak sobie bliscy, jakby znali się znacznie dłużej. Seks też się bardzo poprawił... W tych dniach Ashling rzadko kiedy stawiała sobie tarota, a i mały Budda był bardzo zaniedbany.

– A, dzwonił Ted. Występuje w przyszłą sobotę – powiedziała Clodagh.

Ashling myślała gorączkowo, usiłując zdławić niepokój. Nie chciała zachęcać Clodagh do przyjaźni z Tedem.

– Rzeczywiście. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. – Występuje przed Marcusem.

– Zadzwoń do mnie w tygodniu, to się jakoś umówimy.

– Jasne. Muszę lecieć.

Gdy dotarła od Marcusa, od razu zauważyła, że coś się stało. Zamiast ją pocałować na powitanie, jak zawsze, zachowywał się ponuro i kapryśnie.

– Co się dzieje? – Zapytała. – Przepraszam za spóźnienie, pracowałam...

– Zerknij na to. – Rzucił jej gazetę.

Przeczytała pośpiesznie. Okazało się, że Rowerowy Billy wydaje książkę. Opisywany jako „jeden z najlepszych irlandzkich komików” Billy zdobył kontrakt na dwie książki i „sześciocyfrową zaliczkę”. Rzeczniczka prasowa wydawnictwa opisała jego powieść jako „bardzo mroczną, ponurą, zupełnie inną niż jego występy”.

– Przecież ty nie napisałeś książki. – Usiłowała załagodzić sytuację Ashling.

- Opisali go jako jednego z najlepszych irlandzkich komików.
- Przecież jesteś o wiele lepszy od niego. Naprawdę – upierała się. –

Wszyscy to wiedzą.

- To dlaczego nie wspomniano o tym w gazecie?

- Bo nie napisałeś książki.

- No już, wypominaj mi to – powiedział zimno.

– Ale... – Całkiem się pogubiła. Już wcześniej dostrzegła w nim przejawy niepewności, nigdy jednak na taką skalę. Nie mogła tego zrozumieć, jednak desperacko usiłowała naprawić sytuację. – Jesteś najlepszy – zapewniała żarliwie. – Musisz o tym wiedzieć. Niby dlaczego Lisa chciałaby, żebyś to ty pisał felietony? Nawet nie wspomniała o nikim innym. Pomyśl o tym, że ludzie cię kochają.

Kapryśnie wzruszył ramionami. Ashling wiedziała już, że powoli daje się przekonać.

- Nigdy nie widziałam takiego zaangażowania u innych komików – drążyła.

- Czy Lisa naprawdę się przejmowała tym, że nie chcę pisać tych felietonów? – spytał nadąsany.

- Wychodziła z siebie! Milczał.

- Mówiła, że się wybijesz.

Wziął ją za rękę i pocałował po raz pierwszy, odkąd przyszła.

- Przepraszam. To nie twoja wina. Ale kabaret jest morderczym biznesem. Ludzie oceniają cię według ostatniego występu. Czasem mi odbija.

Po zdjęciach Lisa była w świetnym humorze. Intuicja – nieomylna – podpowiadała jej, że zdjęcia są wyjątkowe i na pewno narobią sporo zamieszania.

W poprzednim miesiącu zdołała znaleźć sobie nieprawdopodobnie dużo pracy i te dziwaczne ataki przygnębienia, które dręczyły ją na początku pobytu w Dublinie, najwyraźniej osłabły. Gdy tylko czuła, że zaczynają się zakradać, wymyślała nowy artykuł do magazynu albo jakąś osobę do wywiadu, albo produkt do zarekomendowania. Nie miała czasu na depresję, doświadczała też satysfakcji na myśl o tym, że pismo nabiera kształtów. Jeśli chodzi o reklamy, nie wyszli jeszcze na prostą, ale podejrzewała, że dzisiejsze zdjęcia przyciągną parę domów kosmetycznych, które dotąd wstrzymywały się z decyzją. Jack będzie zadowolony.

Od razu humor się jej popsuł. Jack i Mai wciąż zachowywali się jak idealna para. Od miesiąca nie urządzili ani jednej publicznej awantury i z dnia na dzień seksualne napięcie między Jackiem i Lisą po prostu zniknęło. Nigdy nie było go za wiele, jako realistka musiała szczerze to przyznać. Jednak wystarczyło, żeby narobiła sobie nadziei. Kiedy usiłowała odzyskać straconą pozycję, delikatnie flirtując, Jack nie reagował. Był miły i oficjalny, a Lisa uświadomiła sobie, że musi pozwolić na to, by sprawa z Mai biegła swoim trybem. I miała nadzieję, że wkrótce dobiegnie końca.

Tymczasem szukała sobie jakiegoś w miarę przyzwoitego faceta. Dziś szła na drinka z artystą Nickiem Searightem – raczej ceniono jego urodę, nie artystyczną wartość dzieł. Lisa podejrzewała, że Nick bardziej przypomina baton Milky Way niż pełnowartościowe danie, ale seks to seks i chwilowo musiała się tym zadowolić.

Gdy dotarła do domu, Kathy właśnie wychodziła. Miała tak skręcone włosy, jakby smażyły się na głębokim oleju.

– Cześć, Lisa, wszystko zrobione, prasowanie i tak dalej. A, i dzięki za lakier. – Lakier z żółtym brokatem nie był szczególnie potrzebny Kathy, ale

uznała, że Francine pewnie się spodoba. – Mam przyjść w przyszłym tygodniu, jak zawsze?

– Tak, proszę.

W następną sobotę znowu będzie chlew, pomyślała Kathy w drodze do domu. Ogryzki pod łóżkiem, łazienka popaćkana rozmaitymi paskudztwami, zlew pełen brudnych naczyń z całego tygodnia. Niewiarygodne. Jak na tak stylową dziewczynę, Lisa miała wyjątkowo brudny dom.

W domu w ponurym, wychodzącym na morze zakątku Ringsend, nad pudełkami z folii i resztkami indyjskiego żarcia na wynos, Mai popatrzyła na Jacka i wreszcie wypowiedziała niewypowiedziane.

– Do tego stopnia ci na mnie nie zależy, że już się nie kłócimy. Jack wbił w nią spojrzenie nieruchomych, poważnych oczu i czekał

bardzo długo, zanim wypowiedział niezaprzeczalną prawdę.

– Ludzie, którym zależy, nie powinni skakać sobie do gardeł.

– Sraty taty – odparła Mai ze złością. – Jeśli się nie kłócisz, nie możesz się pogodzić. Całe to trzaskanie drzwiami i wrzaski nie dopuszczają do tego, by zanikła namiętność.

Jack bardzo ostrożnie dobierał słowa.

– A może tylko maskują fakt, że niewiele nas łączy – zasugerował z niewypowiedzianą łagodnością.

Oczy Mai wypełniły się łzami.

– Pieprz się, Jack... Pieprz się. – Jednak nie mówiła tego z przekonaniem.

Objął ją mocno, a ona szlochała na jego piersi, lecz odkryła nagle, że nie da rady wpaść w prawdziwą złość.

– Ty sukinsynu – powiedziała bez tchu.

– Tak – zgodził się ze smutkiem.

– Czy to już koniec? – zapytała.

Odsunął się, żeby na nią popatrzeć. Lekko skinął głową.

– Przecież wiesz, że tak. Jeszcze trochę poszłochała.

– Chyba nigdy z nikim się tak nie awanturowałam. – W jej ustach zabrzmiało to jak komplement.

– Wracaliśmy do siebie częściej niż Sinatra na scenę – przytaknął, chociaż te kłótnie nigdy nie sprawiały mu przyjemności.

Zaśmiali się z wahaniem, dotykając się czołami.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Mai – powiedział i popatrzył na nią czule.

– Sam nie jesteś taki najgorszy – prychnęła. – Na pewno unieszczęśliwisz jakąś miłą dziewczynę. Może tę Lisę?

– Lisę?

– Tę twardą i apetyczną. Boże, to zabrzmiało, jakbym opisywała drażetki M&M – zachichotała Mai. – Pasuje do ciebie. A jak nie ona, to ta druga.

– Jaka druga?

– Latynoski kociak.

– A, Mercedes. Poza wszystkim innym, ma męża.

– Hm. – Mai pokrywała smutek szorstkością. – Jesteś tak kapryśny, że na pewno ją wybierzesz. Odwieź mnie do domu, dobra?

– Ej, zostań trochę.

– Nie. I tak zmarnowałam na ciebie dość dużo czasu. – Obdarzyła go łzawym uśmiechem.

Bez słowa jechali przez nocne ulice. Mai walczyła z poczuciem straty, aż w końcu zdołała nad nim zapanować. Jack był wyjątkowym mężczyzną – dużym, silnym, bystrym i ambitnym. Początkowo bardzo jej się podobały te

podchody. Niestety, zakochała się w nim, a podejrzewała, że gdyby się o tym dowiedział, natychmiast by uciekł.

Uznała zatem, że zyska nad nim kontrolę, utrzymując go w stanie wiecznej niepewności. Spokój ogarniał ją tylko w tych krótkich chwilach, gdy Jack za coś przeproszał i zachowywał się z uniżoną pokorą. Ale była to ciężka praca, coraz cięższa. Jack nie chciał już walczyć z Mai, więc jej jedyną bronią była egzotyczna tajemniczość. W końcu zmęczyło ją bycie egzotyczną i tajemniczą.

Zbyt wcześnie dotarli do jej mieszkania. Jack zaparkował i wyłączył silnik. Mai jednak nie zamierzała z nim siedzieć.

– Cześć – wykrztusiła, wystawiając nogi z auta.

– Zadzwoń – obiecał.

– Nie rób tego.

Ze ściśniętym żołądkiem patrzył, jak odchodziła, twarda kobieta–dziecko na swoich idiotycznie wysokich obcasach. Włożyła klucz do zamka i weszła do środka.

Nie odwróciła się.

40

Po powrocie z lunchu Lisa wyszła z windy i minęła Trix, która właśnie wybierała się do damskiej łazienki, żeby naszyć jeszcze jedną warstwę makijażu.

– Cześć – powiedziała. – Jakiś facet czeka na ciebie.

Jakiś facet, pomyślała zirytowana Lisa. Nie mogła się dowiedzieć, kim jest i czego chce?

Natasza, jej asystentka w „Femme”, wydobyłaby z faceta nawet nazwisko panięskie jego babki, zanim dostałby pozwolenie na spotkanie z Lisą.

I nagle to się stało.

Odwróciła się, by przejść przez recepcję do redakcji i wtem, na sofie ujrzała ostatnią osobę, której mogłaby się tutaj spodziewać. Oliver.

Wpadła na niewidzialną ścianę. Przeżyła wstrząs, który niemal zbił ją z nóg, zaszumiało jej w głowie. Ostatnio widziała go w Nowy Rok, teraz był trzynasty lipca. Cały czas, który spędzili z dala od siebie, skurczył się do sekundy.

– Cześć, mała. – Popatrzył na nią bez żadnego skrepowania.

Zaczęła się trząść. Myśli tłoczyły się jej w głowie. Co miała na sobie? Czy dobrze wyglądała? Szczupło? Dlaczego musiał przyjść do niej do pracy? Czy domyślił się, jaka ta praca jest pilna i nieistotna?

– Co ty tutaj robisz? – usłyszała swój głos.

Nie mogła przestać się na niego gapić. Wciąż się zastanawiała, dlaczego jest jednocześnie obcy i bliski. Jej mowa ciała była niezręczna i przejęta, ograniczona do ruchu, który wykonywała, gdy go zobaczyła. Zbyt późno złączyła kolana i wyprostowała ramiona. Nie przyszło jej to bez trudu.

– Musimy porozmawiać. – Uśmiechnął się do niej. Cały błyszczał: jego zęby, kolczyk, zegarek na ciężkiej, srebrnej bransolecie. Uniósł stopę z kolana i usiadł prosto. Każdy jego ruch był pełen gracji.

– O czym? – wymamrotała.

Wybuchnął śmiechem. Tym swoim głębokim, głośnym śmiechem, który niemal wywalał szyby w oknach.

– O czym? – powtórzył, szczerząc zęby bez rozbawienia. A jak sądzisz?

R-O-Z-W-Ó-D...

– Jestem zajęta.

– Nadal się zaharowujesz, dziewczyno?

– Jestem w pracy, Oliver. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, zadzwoń do mnie do domu.

– Fajnie, gdybyś dała mi numer.

– Spotkajmy się po pracy. – Równie dobrze mogła to mieć już z głowy.

– Jak miło. Zatrzymałem się w Clarence.

– Trochę gwiazdorsko.

– Mamy tu sesję.

Z jakiegoś powodu to ją zabolało.

– A więc nie przyleciałeś, żeby się ze mną spotkać?

– Powiedzmy, że dobrze zgrałem sprawy w czasie.

Drżąc, Lisa usiłowała wziąć się do pracy, ale nie mogła się skoncentrować. Zapomniała już, jak działa na nią Oliver.

– Przesyłka dla ciebie!

Lisa podskoczyła, kiedy Trix rzuciła jej bąbelkową kopertę na biurko. Były to zdjęcia z sobotniej sesji. Intuicja nie zawiodła Lisy. Zdjęcia były niesamowite, ale ona nie mogła się skoncentrować, całkiem jakby granice jej pola widzenia stały się szare i szkliste. Myślała wyłącznie o Oliverze. Rozstali się tak wrogo, z taką goryczą. Był okropny. Mówił straszne rzeczy.

– Ashling? – Robiła wszystko, by zapanować nad sytuacją. – Weź to zdjęcie... Nie, to... – Wybrała najlepsze zdjęcie, reportażową fotografię Dani, nadętej piękności, w towarzystwie Boo i Włochatego Dave'a. – Weź od Nialla dwadzieścia odbitek i wyślij do wszystkich największych firm kosmetycznych. Napisz na nich: „Jesienna kolekcja Friedy Kiely, wrześnieowy numer

»Irlandki«"... Będzie szum – mruknęła, zupełnie nie dostrzegając zbulwersowanej miny Ashling.

Po chwili Lisa uświadomiła sobie, że Ashling wciąż pęta się przy jej biurku.

– Co?

– Moglibyśmy... Chodzi mi o Boo i Włochatego Dave'a...

– O kogo?

– O tych bezdomnych. Na zdjęciu – wyjaśniła Ashling, gdy stało się jasne, że Lisa nie ma pojęcia, o czym mowa. – Możemy im coś dać?

– Niby co?

– Jakiś prezent... czy coś. Za to, że są na zdjęciu i tak dobrze wyszło.

W zwykłych okolicznościach Lisa kazałaby Ashling się odpieprzyć i wziąć w garść, ale teraz była bardzo rozkojarzona.

– Spytaj Jacka – warknęła. – Jestem zajęta.

Ściskając w rękach fotografię, Ashling nerwowo zapukała do drzwi gabinetu Jacka Devine'a.

– Wejść! – ryknął.

Niechętnie weszła i lękliwie wyjaśniła, o co chodzi.

– Zrobili to bez słowa skargi i nic nie chcieli, pomyślałam tylko, że moglibyśmy im jakoś okazać, że to doceniamy...

– Dobra – przerwał Jack.

– Naprawdę? – spytała ostrożnie. Sądziła, że wyśmiejemy jej prośbę.

– Jasne. To oni tworzą klimat na zdjęciu. Jak myślisz, czego by chcieli?

– Mieszkania – zażartowała ze smutkiem.

– To się nie uda – odparł. Wyglądało na to, że mu przykro z tego powodu. – Masz inną propozycję?

Zastanowiła się nad tym.

– Chyba pieniędzy.

– Trzydzieści funtów dla każdego. Obawiam się, że więcej nie dam rady.

– Eee... fantastycznie. – Nie było to wiele, ale więcej, niż się spodziewała. Przynajmniej Boo i Włochaty Dave będą mogli zjeść kilka ciepłych posiłków.

– Proszę. – Jack podpisał zlecenie wypłaty pieniędzy na drobne wydatki.

– Daj to Bernardowi.

– Dziękuję.

Przez chwilę wpatrywał się w nią ciemnymi oczyma.

– Bardzo proszę.

O siódmej, zgodnie z umową, Lisa przyszła do baru w Clarence.

Oliver wstał na jej widok.

– Czego się napijesz? Białego wina?

Zawsze piła białe wino, przynajmniej wtedy, gdy byli razem. Pamiętał.

– Nie – odparła, mając nadzieję, że go urazi. – Cosmopolitan.

– Powinienem był się domyślić.

Patrzyła na niego. Był duży i zwalisty, głośny i bezpośredni, wesoło żartował z barmanem. Dlaczego zawsze wypełniał więcej przestrzeni, niż naprawdę zajmował? Zakręciło się jej w głowie – był tak znajomy, że niemal wydawał się obcy.

Wróciwszy z jej drinkiem, od razu zabrał się do rzeczy.

– Masz już adwokata, mała?

– No cóż...

– Oboje potrzebujemy adwokata – powiedział cierpliwie.

– Do rozwodu? – Chciała, żeby jej głos był zblazowany, ale po raz pierwszy to słowo zabrzmiało tak prawdziwie.

– Zgadza się. – Był bardzo rzeczowy. – Wiesz, jak to się robi... Nie wiedziała.

– Nasze małżeństwo straciło rację bytu, ale to nie wystarczy do rozwodu. Musimy mieć powód. Gdybyśmy byli przez dwa lata w separacji, to byłby dobry powód. W innym wypadku jedno z nas musi oskarżyć drugie. O porzucenie, nieracjonalne zachowanie albo zdradę.

– Zdradę! – warknęła Lisa. Była mu całkowicie wierna. – Nigdy...

– Ja też nie – przerwał jej. – Co do porzucenia...

– Ty mnie zostawiłeś – oskarżyła go natychmiast.

– Nie pozostawiłaś mi wyboru, mała. Ale możesz zwalić winę na mnie.

Problem w tym, że o porzucenie możesz mnie oskarżyć dopiero po dwóch latach separacji, a chyba chcemy szybciej mieć to z głowy?

– Rzucił jej pytające spojrzenie i czekał na reakcję.

– Tak, im szybciej, tym lepiej – warknęła.

– Czyli pozostaje nieracjonalne zachowanie. Pięć przykładów.

– Nieracjonalne zachowanie? A co to takiego? – Niemal się roześmiała, na chwilę zapominając, że to ma cokolwiek z nią wspólnego.

– Jak wycie do księżycy o trzeciej nad ranem?

– Albo praca w każdy długi weekend. – W jego głosie pojawiła się gorycz. – Albo udawanie, że chce się zająć w ciążę, i potajemne łykanie pigułki antykoncepcyjnej.

– Wszystko jedno. – Patrzyła na niego wrogo.

– Mamy wybór. Rozwód może być z mojej albo twojej winy.

– A więc przyznajesz, że ty także zachowywałeś się nieracjonalnie?

– To zwykła formalność. – Westchnął ciężko. – Liso, nie chodzi o to, by się licytować. Osoba, z której winy nastąpił rozpad małżeństwa, nie zostanie ukarana. Czyli jak chcesz? Ty oskarżysz mnie?

– Sam zdecyduj, skoro tyle o tym wiesz – odparła nieprzyjaźnie. Popatrzył na nią przeciągle, jakby usiłował ją zrozumieć, po czym wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy. A teraz koszty. Każde z nas płaci własnemu adwokatowi, ale koszty dzielimy po połowie, tak?

– Po co nam adwokaci? Skoro poleciliśmy do Vegas na szybki ślub, możemy chyba równie dobrze polecieć do Reno na szybki rozwód?

– To nie takie proste, mała. Pomyśl tylko, przecież mamy wspólne mieszkanie.

– Tak, ale oboje wiemy, ile każde włożyło... Dobra, wezmę adwokata. – Nie mogła już tego znieść, wobec tego usiadła wygodnie i zapytała z udawaną pogodą ducha: – Jak tam w pracy?

– Genialnie. Właśnie wróciłem z Francji, wcześniej byłem na Bali. Pieprzony farciarz.

– Po Dublinie będę miał trochę spokoju aż do pokazów. – Wskazał głową dopasowany, dwuczęściowy kostium Lisy. – Tego nie pamiętam.

Popatrzyła na siebie.

– Nicole Farhi. – Rąbnięty po sesji w styczniu zeszłego roku.

Usiłowała zwalić winę na Kate Moss.

– Nie podoba mi się to – powiedział Oliver. .

– A co z nim jest nie tak? – Zawsze ceniła sobie jego opinię na temat strojów i fryzur.

– Nic. Chciałem powiedzieć, że nie podoba mi się to, iż go wcześniej nie widziałem.

Rozumiała, co miał na myśli. Też boleśnie przyjęła do wiadomości, że nosił teraz dłuższe włosy, że miał nowy zegarek, że odkąd widzieli się po raz ostatni, objechał pół świata, a ona nie miała o tym pojęcia.

– Inaczej wyglądasz – zauważył.

– Naprawdę?

– Nie. – Pokręcił głową i zaśmiał się dziwnie bez tchu. – Kurwa, sam nie wiem.

Też go zrozumiała. Ta niezwykła bliskość i pełen pustki dystans tworzyły dziwną kombinację. Odczuwała jedno i drugie z jednakową siłą, jakby dwie różne rzeczywistości pocięto na plastry i poskładano w niewłaściwej kolejności.

– Przepraszam bardzo! – Złapał ją za przegub, a drugą ręką wyprostował jej palce. Najwyraźniej chciał coś zobaczyć. Był niedelikatny, zabolą ją to. – Już nie nosisz obrączki? – spytał. W jego brązowych oczach pojawiło się oburzenie.

Wyrwała rękę i popatrzyła na niego wilkiem.

– Zabolą! – syknęła, rozcierając przegub. – Mnie też zabolą.

– O co ci chodzi z tą obrączką? – Na jej twarzy widniał rumieniec. – To ty chcesz rozwodu.

– Ty pierwsza poruszyłaś ten temat!

– Tylko dlatego, że ode mnie odszedłeś.

– Nie miałem wyjścia.

Patrzyli na siebie z wściekłością, oddychając ciężko.

– Chcesz... – zaczął, nie odrywając od niej wzroku – chcesz iść do mojego pokoju?

– Chodźmy. – Już stała.

Pierwszy pocałunek był gorączkowy, uderzali zębami o zęby. Próbując zrobić wszystko na raz, jednocześnie pociągnął ją za włosy, ściągał z niej żakiet, całował ją zbyt mocno, zdierał koszulę.

– Czekaj, czekaj, czekaj. – Wyczerpany, przylgnął nagimi plecami do drzwi.

– Co? – wymamrotała.

– Zacznijmy od początku. – Wyciągnął ręce i bardzo czule przytulił ją do siebie. Ukryła twarz na jego piersi. Ten wyjątkowy zapach Olivera. Niemal zapomniany, teraz przypomniał się jej z ogłuszającą, zmysłową mocą. Pieprzny, słodko–ostry plus coś niezwykłego, nieopisanego, nie mydło ani nie perfumy. Zapach, który po prostu był nim.

Ta bliskość sprawiła, że w jej oczach stanęły łzy.

Niezwykle delikatnie pocałował ją w kącik ust. Całkiem jak za pierwszym razem. Potem zrobił to ponownie. I jeszcze raz. Powoli przesunął usta, zapewniał jej przyjemność niemal nieodróżnialną od bólu.

Nieruchoma, ledwie oddychając, pozwalała się całować.

Tylko podczas seksu z Oliverem Lisa zachowywała całkowitą bierność. Nie próbowała przejąć kontroli, nie była zachłanna, nadaktywna ani zaborcza. Zawsze pozwalała mu dominować, a on to uwielbiał.

– Patrzę ci w oczy, a ciebie wcale tam nie ma – zauważał często. – Jesteś tylko pochlipującą, bezradną dziewczynką.

Wiedziała, że podnieca go kontrast między jej zwyczajową agresją a sypialnianą biernością, ale nie dlatego tak się zachowywała. Przy Oliverze nie

musiała rządzić. On doskonale wiedział, co robić. I nikt nie robił tego lepiej od niego.

Pocałunki przeniosły się z jej ust na szyję i włosy. Z zamkniętymi oczyma jęknęła z rozkoszy. Mogłaby teraz umrzeć, naprawdę. Słyszała jego szept, gorący oddech przy uchu:

– Odpłynęłaś, mała.

Jak lunatyczka dała się poprowadzić do łóżka. Posłusznie rozłożyła ręce, żeby mógł zdjąć jej zakiet, uniosła biodra, aby ściągnął spódnicę. Poczowała na nagich plecach dotyk gładkiej, zimnej pościeli. Cała się trzęsła, ale leżała nieruchomo. Kiedy dotknął jej sutka wargami, podskoczyła, jakby kopnął ją prąd. Czyżby zapomniała, jakie to było zmysłowe?

Obsypywał ją pocałunkami, coraz niżej i niżej. Delikatnie musnął ustami jej brzuch, tak łagodnie, że ledwie dotknął skóry. Poczowała nowe, niezwykle doznania.

– Oliverze, ja...

– Czekaj!

Prezerwatywa była fałszywą nutą, czymś, co przypomniało jej, że nie jest tak jak kiedyś. Nie chciała jednak o tym myśleć. Czyli zapewne uprawiał seks z innymi? Cóż, ona też.

Kiedy w nią wszedł, poczuła wielki spokój. Odetchnęła głęboko i równo, a całe napięcie uleciało z niej wraz z wypuszczanym powietrzem. Przez chwilę napawała się odzyskaną równowagą, a potem Oliver zaczął się poruszać, przeszywał ją długimi, powolnymi pchnięciami. Chciała się dobrze bawić. Wiedziała, że jej się uda.

Po wszystkim się rozplakała.

– Dlaczego płaczesz, maleńka? – Przytulił ją do siebie.

– To czysto fizyczne – odparła, odzyskując panowanie nad sobą. Dość tej bierności. – Ludzie często płaczą po orgazmie.

Namiętność zastąpiła wcześniejszy gniew i dyskomfort. Leżeli w łóżku, gadając o niczym, przytuleni, złączeni uczuciem, które dawało im dziwny spokój. Całkiem jakby nigdy się nie rozstali, pomyślała zjadliwie, jakby nigdy nie myśleli źle o sobie. Żadne z nich nie było na tyle naiwne, by sądzić, że ten seks oznaczał ewentualne pojednanie. Nawet kiedy skakali sobie do oczu, seks był na porządku dziennym. Zdumiewający seks. Najwyraźniej stanowił ujście dla nadmiaru złych emocji.

Z roztargnieniem przejechała dłonią po jego bicepsie.

– Widzę, że nadal ćwiczysz. Ile kilogramów wyciskasz na ławce?

– Sześćdziesiąt.

– Jestem pod wrażeniem.

Po północy rozmawiali coraz mniej, aż w końcu Oliver ziewnął.

– Chodźmy spać, mała.

– Dobrze – odparła sennie. Nie było mowy o tym, żeby wyszła, oboje to wiedzieli. – Tylko pójdę do łazienki.

Po umyciu twarzy skorzystała z jego szczoteczki. Zrobiła to bez zastanowienia, a uświadomiła sobie już po wszystkim.

Gdy wróciła z łazienki, wsunęła zmarznięte stopy między jego uda, żeby się rozgrzać, jak kiedyś. Potem zasnęli, tak jak spali niemal noc w noc przez cztery lata, przytuleni do siebie jak dwie łyżeczki. Ona zwinęła się w „C”, a on wokół niej w większe „C”, z dłonią na jej brzuchu.

– Dobranocki.

– Dobranoc.

Cisza.

– To naprawdę dziwne – zauważył w ciemnościach Oliver. Usłyszała w jego głosie ból. – Mam romans z własną żoną.

Zamknęła oczy i przywarła kręgosłupem do jego brzucha. Szczękościsk, który zawsze blokował jej tylne zęby, ustąpił i zniknął. Od bardzo, bardzo dawna nie spała tak dobrze.

Rankiem z niemal niepokojącą swobodą powrócili do dawnej, codziennej rutyny. Ponownie wskoczyli w schemat życia domowego, który dzielili każdego ranka przez cztery lata. Oliver wstał pierwszy i zaparzył kawę. Łazienkę zajęła Lisa, a on ze złością usiłował ją przepędzić. Kiedy w końcu walnął w drzwi i wrzasnął: „No już, mała, spóźnię się”, deja vu było tak intensywne, że przez dłuższą chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Wiedziała, że nie w domu, ale...

– Przepraszam – powiedziała z uśmiechem, wyłoniwszy się cała w ręcznikach.

– Mam nadzieję, że zostawiłaś mi jakieś suche ręczniki – odparł.

– Jasne. – Ruszyła przed siebie, żeby napić się kawy. I czekała. Usłyszała szum wody z prysznica. Po pewnym czasie szum ucichł.

A po chwili...

– O rany, Lisa. – Skarga Olivera rozeszła się głośnym echem, tak jak spodziewała się Lisa. – Mała! Zostawiłaś mi tylko ręczniczek do twarzy! Jak zawsze!

– To wcale nie jest ręczniczek do twarzy. – Zwijając się ze śmiechu, Lisa weszła do łazienki. – Jest znacznie większy.

Oliver wzgardził ręczniczkiem, który pokazywała Lisa.

– Tym nie wysuszę sobie nawet fiuta!

– Przepraszam – powiedziała czule i odwinęła jeden z własnych ręczników. – Jak widzisz, oddałabym ci ostatnią koszulę.

– Ty flądrowo – wymamrotał.

– No tak – przytaknęła.

– Jesteś niewiarygodna.

– No tak, wiem – przytaknęła z całkowitą szczerością. Dokuczając mu, Lisa wysuszyła umięśnione, lśniące ciało Olivera.

Zawsze uwielbiała to robić, choć pewne części jego ciała interesowały ją bardziej niż inne.

– Hej, Liso – odezwał się w końcu Oliver.

– Tak?

– Myślę, że uda już mam suche.

– Hm... tak.

Popatrzyli na siebie z rozbawieniem.

Kiedy się ubrali, Lisa dostrzegła po drugiej stronie pokoju coś, co znała niemal równie dobrze, jak samą siebie. Zanim pomyślała, wykrzyknęła:

– O, to moja torba od Luisa Vuittona!

Faktycznie. Spakował w nią część swoich rzeczy tego dnia, gdy odszedł.

Pokój natychmiast wypełniły nieprzyjemne emocje z tamtego dnia. Oliver był wściekły – znowu. Lisa broniła się gniewnie – znowu. Oliver twierdził, że ich małżeństwo nie jest już takie, jak należy. Lisa sarkastycznie poradziła mu, żeby się z nią rozwiódł.

– Oddam ci. – Oliver z nadzieją zaoferował torbę, ale na nic się to zdało. Nastrój zrobił się nieprzyjemny, w milczeniu kończyli przygotowania do wyjścia.

– No to cześć – powiedziała Lisa, kiedy nie mogła tego dłużej znieść.

– Cześć – odparł.

Ku swojemu zdumieniu zorientowała się, że ma łzy w oczach.

– Oj, nie płacz. – Przytulił ją do siebie. – Daj spokój, pani naczelną, rozmażesz sobie makijaż.

Zachichotała przez łzy, ale gardło ją piekło, jakby utkwił w nim wielki okrągły kamień.

– Tak mi przykro, że nam nie wyszło – wyznała.

– No cóż. – Wzruszył ramionami. – Czasem robi się do dupy. Wiedziałaś, że...

– ..dwa na trzy małżeństwa kończą się rozwodem – zakończyli razem.

Roześmieli się sztucznie, po czym oderwali od siebie.

– Przynajmniej teraz traktujemy się przyjacielsko – powiedziała z zakłopotaniem. – No wiesz, rozmawiamy ze sobą.

– No właśnie – przytaknął radośnie. Rozproszyła się na widok jego doskonale dobranej liliowej koszuli na tle czekoladowego ciała. Jezu, ten facet wiedział, jak się ubrać.

– Hej, mała, nie zapomnij! – zawołał, kiedy zamykała drzwi. Zrobiło się jej cieplej na sercu, otworzyła drzwi. Czego nie zapomnij? Że cię kocham, Liso?

– Znajdź sobie adwokata! – Z uśmiechem pogroził jej palcem. Był przepiękny słoneczny poranek. Szła w tym słońcu do pracy.

Czuła się parszywie.

Lisa nagle uświadomiła sobie, że nikt nie wspomniał o pokazach. Właściwie powinna powiedzieć: o Pokazach! Zawsze gdy o nich myślała, wyobrażała sobie to słowo na neonie. To były te jaśniejsze strony pracy redaktor naczelnej. Dwa razy w roku latało się odrzutowcem do tętniącego życiem centrum Mediolanu albo Paryża. Lisa latała też w inne miejsca, ale na te wspaniałe pokazy wręcz szybowiała. Człowiek zatrzymywał się w hotelach George V albo w Principe di Savoia, traktowano go jak koronowaną głowę, dostawał najlepsze miejsca na pokazach Versacego, Diora, Dolce & Gabbany, Chanel, za samą obecność wręczano mu kwiaty i prezenty. Był to czterodniowy cyrk pełen patologicznie zakochanych w sobie projektantów, neurotycznych modelek, gwiazd rocka, idoli filmowych, złowrogich milionerów obwieszonych złotem i, rzecz jasna, naczelnych rozmaitych pism – a te naczelne patrzyły na siebie z dziką nienawiścią, sprawdzając swoje pozycje w hierarchii. Impreza za imprezą, w galeriach sztuki, nocnych klubach, magazynach, rzeźniach (niektórzy z bardziej awangardowych projektantów nie wiedzieli, kiedy powiedzieć „stop”). Nawet gdyby człowiek się postarał, nie mógłby być bliżej centrum wszechświata.

Oczywiście niepisane prawo nakazywało obgadywać beznadziejne ciuchy zaprojektowane przez mizoginicznych onanistów, narzekać, że prezenty nie są tak wspaniałe jak rok wcześniej i że najlepszy pokój w hotelu jak zawsze zajęła Lily Headley–Smythe i że to koszmar, bo trzeba wyjechać z centrum miasta na odległość dwóch kilometrów, aby obejrzeć jakiegoś bezczelnego nowicjusza, który prezentuje swoją wstrząsającą kolekcję w opuszczonym zakładzie puszkowania fasoli, ale przecież to niewyobrażalne, żeby tam nie

pojechać. Nagle, z siłą lawiny utworzonej z butów Kurta Giegera, uderzyło ją, że w „Irlandce” nikt nawet nie wspomniał o pokazach. Przyjazd Olivera najwyraźniej jej o nich przypomniał.

Na pewno wszystko jest pod kontrolą, uspokajała samą siebie. Z pewnością środki z budżetu reprezentacyjnego wystarczą na wyjazd jej i Mercedes. A jeśli nie? Przydzielony jej budżet nie pokrywał tego typu kosztów. Ani trochę. Za to nie kupiłaby nawet rogalika w George V.

Coraz bardziej zdenerwowana, zapukała do drzwi Jacka i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

– Pokazy – powiedziała lekko zadyszczonym głosem.

Zdumiony Jack podniósł wzrok i znieruchomiał nad olbrzymim stosem jakichś dokumentów.

– Jakie pokazy?

– Pokazy mody. Mediolan, Paryż. We wrześniu. Pojadę? – Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi.

– Usiądź – zaproponował jej łagodnie i natychmiast uświadomiła sobie, że Jack ma dla niej złe wieści.

– Jako naczelna „Femme” zawsze jeździłam na pokazy. To ważne dla postrzegania magazynu, żeby odnotowali tam naszą obecność. No wiesz, chodzi o reklamy i takie tam – bełkotała. – Nikt nie będzie traktował nas poważnie, jeśli nie...

Jack czekał, aż skończy. Współczucie w jego oczach podpowiadało jej, że marnowała czas, ale nadzieja zawsze umiera ostatnia. Odetchnęła głęboko.

– Pojadę? – zapytała wprost.

– Przykro mi – odparł Jack aksamitnym głosem. – Nie mamy funduszy. Nie w tym roku. Może kiedy staniemy na nogi, kiedy pojawi się więcej reklam...

– Ale chyba ja...

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie mamy pieniędzy.

To litość w spojrzeniu Jacka oraz jego słowa w końcu uświadomiły jej prawdę. Nagle dopadła ją rzeczywistość. Wszyscy tam będą. Absolutnie wszyscy. I zauważą, że jej nie ma, i będą się z niej wyśmiewać. Potem przyszła jej do głowy jeszcze potworniejsza myśl. Może wcale nie zauważą.

Jack starał się ją pocieszyć, jakby to była jego sprawa, obiecywał, że kupi zdjęcia z pokazów od agencji, że „Irlandka” zamieści genialny artykuł, że czytelniczki nigdy się nie domyślą iż naczelna nie była na pokazach...

Właśnie wtedy Lisa uświadomiła sobie, że płacze. Nie były to pełne złości i gniewu łzy, tylko czysty żal wynikający z bezradności. Z każdym chlipnięciem wydobywał się z niej nieskończony smutek.

To tylko kilka głupich pokazów, podpowiadał jej zdrowy rozum.

Nie mogła jednak przestać płakać. Nagle z jakiegoś zakątka pamięci wróciło do niej wspomnienie, z niczym nie powiązane. Znowu miała piętnaście lat, paliła papierosa i włóczyła się po rynku w Hemel z dwiema koleżankami, narzekając na gówniane życie.

– Sami sztywniacy. – Umalowane usta Carol wykrzywiły się ze znudzoną pogardą, gdy przyglądała się ludziom na ulicy.

– I dupki w gównianych ciuchach, z gównianym życiem – dodała niemiło Lisa.

– Patrz, to twoja mama, prawda? – W oczach Andrei, pod wymalowanymi na niebiesko rzęsami, pojawiła się złośliwość i rozbawienie. Ruchem głowy ozdobionej kokiem wskazała kobietę po drugiej stronie ulicy.

Lisa poczuła ucisk w żołądku. Ujrzała swoją matkę w niemodnym i okropnym „najlepszym” płaszczu.

– Ona? – prychnęła z pogardą Lisa i wypuściła dym z płuc. – To nie jest moja matka.

W gabinecie Jacka coś mówiła. Raz po raz powtarzała przytłumionym głosem:

– Tak ciężko pracowałam. – Ukryła twarz w dłoniach. – Tak ciężko pracowałam.

Ledwie zdawała sobie sprawę z obecności Jacka, który szperał po kieszeniach. Usłyszała szelest tektury, szcęk zapalniczki, poczuła zapach tytoniu.

– Czy ja też mogę? – Uniosła zalaną łzami twarz.

– To dla ciebie. – Podał jej zapalonego papierosa, pokornie go przyjęła i dorwała się do niego, jakby mógł ocalić jej życie. Wypaliła go w sześciu gorączkowych machach.

Jack ciągle szukał czegoś po kieszeniach. Biernie, bez zainteresowania, patrzyła, jak wyciągnął z jednej kieszeni zdrapkę, z drugiej receptę. W końcu w szufladzie biurka znalazł to, czego szukał: stosik serwetek z napisem Superman. Wcisnął je w dłoń Lisy.

– Szkoda, że nie jestem facetem, który nosi dużą, czystą, białą chustkę na takie okazje – powiedział cicho.

– Nie ma sprawy. – Potarła gładkim papierem mokre policzki. Gdy nikotyna dotarła do krwi, szloch Lisy nieco ustąpił, aż tylko co jakiś czas z jej płuc wyrывało się jej spazmatyczne westchnienie.

– Chcesz jeszcze? – spytał Jack, kiedy zgasła niedopałek w popielniczce. Skinęła głową.

– Wiesz, że wybrali cię do tej roboty, bo jesteś najlepsza. – Podał jej zapalonego papierosa, po czym sam zapalił. – Nikt inny nie zdołałaby stworzyć takiego pisma od podstaw.

– Dziwny sposób na dowartościowanie pracownika – powiedziała i znów spazmatycznie westchnęła.

– Jesteś zadziwiająca – oświadczył Jack. – Twoja energia, twoja wizja, umiejętność motywowania personelu. Zawsze wiesz, co zrobić. Szkoda, że nie dostrzegasz, jak bardzo cię cenimy. Pojedziesz na te pokazy. Może nie w tym roku, ale wkrótce.

– Nie chodzi tylko o pracę czy pokazy – wyrwało się jej.

– Nie? – W jego oczach pojawiło się zainteresowanie.

– Widziałam się z moim mężem...

– Twoim... kim? – Ślad emocji na twarzy Jacka ją zainteresował. Jack był zaniepokojony. Choć tego jeszcze nie czuła, wiedziała, że to dobry sygnał. – Nie wiedziałem, że jesteś mężatką – dodał.

– Nie jestem. To znaczy jestem, ale się rozstajemy. Rozwódzimy – wyjaśniła niechętnie.

Jack wydawał się głęboko zakłopotany.

– Chryste! Nigdy przez coś takiego nie przechodziłem, więc nie będę ci doradzał ani nic takiego... To znaczy rozstawałem się z ludźmi, było trudno, ale podejrzewam, że to nie to samo. Tak czy owak, brzmi... – Szukał

odpowiedniego słowa i nie był stanie znaleźć nic, co byłoby dość dramatyczne.

– Paskudnie, brzmi paskudnie.

– Taaak. – Pokiwała głową. – Właściwie nie wiem, czemu ci to powiedziałam. – Zebrała się do kupy i wydmuchała nos. Zaczęła szperać w torbie, po czym otworzyła lusterko. – Wyglądam potwornie – powiedziała trzeźwo.

– Moim zdaniem wyglądasz dobrze.

Po szybkiej aplikacji Beauty Flash i All About Eyes, oznajmiła:

– Lepiej już wróć. Mam rozmaite Ashling do opieprzenia i kilku Gerrych do nawyzywania.

– Nie musisz...

Przystanąła i na chwilę zrzuciła maskę więdźmy.

– Byłeś dla mnie bardzo miły – przyznała. – Dziękuję.

42

– O, to ten wysoki. – Ashling pokazała go w tłumie w River Club.

– Twój chłopak? – zapytała z niedowierzaniem Clodagh. – Uroczy, wygląda trochę jak Dennis Leary.

– Nie, chyba nie – zaprzeczyła zachwycona Ashling.

Nagle poczuła się niemal równie dobrze jak Clodagh. OK, Clodagh z pewnością potrzebowała okularów, ale co z tego! Niech zobaczy Marcusa w akcji!

Był sobotni wieczór, w River Club występowały dziś same gwiazdy. Oprócz Teda i Marcusa dziś na scenę wychodzili Rowerowy Billy, Mark Dignan i Jimmy Bond.

– Szybko rozłóż zakiet i torebkę na tyłu krzesłach, na ilu się da. – Ashling rzuciła się ku wolnemu stolikowi. Dziś komicy mieli uczynić im wielki zaszczyt i do nich dołączyć, przychodziły też Joy i Lisa. Nawet Jack Devine zasugerował, że być może wpadnie.

Stojący pod drugiej stronie sali Ted ujrzał Clodagh i natychmiast do nich przybiegł.

– Witajcie – wykrzyknął, żałośnie przejęty. – Dziękuję, że przyszłaś.

– Czekałam na to – odparła z gracją Clodagh.

Ted wysunął krzesło i usiadł koło niej tak, by zebrani w klubie wiedzieli, iż łączy ich „wyjątkowa” przyjaźń.

Ashling patrzyła na to wszystko z niepokojem. Wszyscy wiedzieli, że Tedowi podoba się Clodagh? Ale co z Clodagh? Uparła się, żeby przyjść bez Dylana.

Ted gadał jak najęty, aż do chwili, gdy uświadomił sobie, że być może będzie musiał zwymiotować. Obecność Clodagh tylko pogłębiła jego zwyczajowe zdenerwowanie. Biały jak ściana, przeprosił wszystkich i pognął do męskiej toalety.

Ashling nadal się im przyglądała. Clodagh nie odprowadziła Teda wzrokiem, gdy zygzakiem zmierzał do ubikacji. Doskonale. Ashling zdołała opanować idiotyczny niepokój. Clodagh i Ted, coś podobnego!

– Witajcie. – Przyszła Joy i ostrożnie skinęła głową Clodagh.

– Witaj. – Clodagh nerwowo usiłowała się uśmiechnąć. Przy Joy czuła się jeszcze bardziej niepewna niż zwykle. Joy została niedawno porzucona, więc zdaniem Ashling należało odnosić się do niej bardzo delikatnie.

Spojrzenie Clodagh przyciągnął ktoś, kto podchodził właśnie do ich stolika. Była to kobieta tak efektowna i wspaniała, modna i stylowa, że

Clodagh natychmiast zapragnęła się ewakuować. Wcześniej godzinami się zastanawiała, co włożyć. Postanowiła wyglądać szalowo, w zasadzie była zadowolona z efektu, ale jeden rzut oka na boskie ciuchy i niesamowite dodatki nieznajomej sprawił, że poczuła się żalosna. Miała wrażenie, że dobrała strój bezsensownie i naiwnie. Wyglądało na to, że ta kobieta się do nich przyłączy. Zdjęła żakiet, przywitała się z Ashling. Kurwa! To na pewno...

– Moja szefowa, Lisa – przedstawiła ją Ashling.

Clodagh bez słowa skinęła głową, po czym patrzyła zazdrośnie, jak Lisa wita się z Joy niczym ze starą kumpelką.

– Michael Winner, książę Edward albo Andrew Lloyd Webber. Musisz się przespać z jednym z nich.

– Chyba książę Edward. – Joy była dość wyciszona. – David Copperfield, Robin Cook czy Wurzel Gummidge?

– Błę. – Lisa zmarszczyła brwi. – Wurzel Gummidge – błagam! Robin Cook – nie. David Copper... Nie, nie mogłabym. No to chyba musi być Wurzel Gummidge. Uch.

Pragnąc za wszelką cenę włączyć się do zabawy, Clodagh popatrzyła na Ashling i powiedziała głośno:

– Brat Pitt, Joseph Fiennes i Tom Cruise, musisz się z którymś przespać.

Lisa i Joy wymieniły znaczące spojrzenia. Clodagh nic nie zrozumiała, naturalnie.

Zbyt późno Clodagh zorientowała się, że popełniła błąd.

– Och – powiedziała, zaskoczona własną głupotą. – Chodzi o to, żeby byli nieatrakcyjni, tak? Kto chce drinka?

– Clodagh pozwól, że ci kogoś przedstawię... – zaczęła Ashling. Przy stoliku pojawił się Marcus. – To Marcus, a to moja najlepsza przyjaciółka, Clodagh.

Kiedy Marcus ścisnął dłoń Clodagh, poczuła się odrobinę lepiej. Był miły i przyjazny, w przeciwieństwie do tych dwóch krówek, Joy i Lisy.

– Ja stawiam tę kolejkę. – Clodagh uśmiechnęła się do Marcusa. – Co ci przynieść?

– Red bulla. Nigdy nie piję przed wyjściem na scenę – wyjaśnił uprzejmie.

– Dobrze, potem sobie odbijesz. A ty czego się napijesz? – zwróciła się sztywno do Joy.

– Red Square.

– Red co? – Clodagh nigdy nie słyszała o takim drinku.

– To wódka z red bullem – wyjaśniła jej Ashling. – Ja też się napiję.

– I ja – dodała Lisa.

I ja, postanowiła Clodagh. Kiedy wejdiesz między wrony... A to kto? Wysoki, potargany mężczyzna z wahaniem zbliżał się do ich grupy. Super! Może nie był w jej stylu – nieco zbyt zapuszczony – ale mimo wszystko... Wtedy właśnie Lisa przylgnęła do niego, jakby miała przyssawki.

– Czy... hm... chłopak Lisy ma ochotę na drinka? – szepnęła Clodagh do Ashling.

– Kto? Nie, to nie jest chłopak Lisy, to nasz szef.

– No dobrze, czy wasz szef ma ochotę na drinka?

Ashling stłumiła westchnienie.

– Drogi szefie, to moja przyjaciółka Clodagh, właśnie idzie do baru – powiedziała niechętnie.

Jack, uśmiechnąwszy się do Clodagh, uściskał jej rękę.

– Mów mi Jack – zaproponował.

Po czym uparł się, że on postawi tę kolejkę.

Ashling nic nie mogła poradzić na to, że ogarnęła ją zazdrość. Dlaczego dla niej nigdy nie był miły? Potem skoncentrowała się na Marcusie i natychmiast poczuła się lepiej. Zanim rozpoczął się występ, Marcusa opadł zastęp wiernych fanów, głównie płci żeńskiej. Kiedy patrzyła, jak te dziewczyny drepczą wokół niego, czuła dumę z faktu, że to jej chłopak. Była z siebie zadowolona, że go usidliła. Mógł mieć każdą, myślała, a wybrał właśnie mnie.

To był bez wątpienia wieczór Clodagh. Komicy – zastraszeni przez Lisę, znużeni widokiem Joy i odnoszący się z szacunkiem do Ashling jako do dziewczyny Marcusa, dreptali wokół Clodagh z jej nową fryzurą, śliczną buzią i obcisłymi spodniami. Ted miał ponurą minę, bo konkurencji mu nie brakowało.

Clodagh, pijąca jeden red square za drugim, bawiła się cudownie. Podczas przerwy Ashling podsłuchiwała, jak Clodagh mówi do grupki mężczyzn: „Przed zamążpójściem byłam dziewicą”. Po czym z błyskiem w oku dodaje: „Na długo przed zamążpójściem”.

Wszyscy zaczęli się skręcać ze śmiechu, a Ashling nie mogła się opędzić od małostkowej myśli, że to wcale nie było takie zabawne. Natychmiast skarciła się w duchu – to nie wina Clodagh, że jest piękna. I miło było widzieć, że aż tak dobrze się bawi.

Następnie Clodagh skrzyżowała nogi, a jej oczy zaślniły. Bez zakłopotania zsunęła ze stopy haftowany but i huśtała nim leniwie na dużym palcu. Ashling widziała, jak kilka par oczu – wyłącznie męskich – wodzi

wzrokiem za rozkołysanym butem. Obserwatorzy sprawiali wrażenie lekko zahipnotyzowanych.

Występ Teda wzbudził entuzjazm, a kiedy Ted wrócił w glorii chwały do stolika, Clodagh poklepała go po ramieniu.

– Byłeś świetny! – oznajmiła.

Jakiś czas później Ashling ujrzała, że Clodagh uśmiecha się do Jacka Devine'a, a zębami lubieżnie przygryza koniuszek języka. Potem to samo zaprezentowała Rowerowemu Billy'emu. No nie! Był to jej uśmiech zatytułowany: „Jestem boska i świetnie o tym wiem”, przynajmniej Clodagh tak uważała. Zdaniem Phelima był to przerażający, obleśny grymas szantrapy z programów Benny'ego Hilla.

Kiedy następnym razem Ashling ponownie spojrzała na Clodagh, było znacznie gorzej. Niczym domagająca się pieścizot kotka Clodagh pocierała twarzą o ramiona ludzi i tłumaczyła z pijackim wdziękiem: „Mam dwoje dzieci, rzadko wychodzę”. Uścisnęła Lisę i powiedziała z zapalem: „Jestem zalana! Bo widzisz, rzadko wychodzę”. Potem ujrzała, że Ashling na nią patrzy, i wykrzyknęła: „Ashling, jestem zalana. Wściekasz się na mnie?”

Zanim jednak Ashling zdążyła zaprzeczyć, Clodagh odwróciła się do niej tyłem i bełkotliwie tłumaczyła Markowi Dignanowi: „Mam–wojedzicirzadkowychodze”.

Marcus występował ostatni, a kiedy stanął na scenie, Clodagh właśnie mówiła coś szeptem do Jacka Devine'a i chichotała. Ashling była zirytowana, naprawdę bardzo chciała pokazać, jak dobry jest jej chłopak.

– Cicho. – Trąciła łokciem Clodagh, po czym wskazała scenę.

– Przepraszam – odparła Clodagh głośno. Zbyt głośno. Potem wybuchała przeraźliwym śmiechem po każdym zdaniu wypowiedzianym przez Marcusa.

Kiedy podczas ogłuszających oklasków Marcus wrócił do stolika, Clodagh rzuciła mu się w ramiona, wrzeszcząc:

– Byłeś szalenie zabawny!

Marcus delikatnie wyplątał się z jej objęć i posadził ją na krześle obok Ashling. Siadając, uściśnął rękę Ashling i uśmiechnął się do niej ukradkiem.

– Ona ma rację – mruknęła. – Byłeś szalenie zabawny.

– Dziękuję – odparł cicho i patrzyli na siebie ciepło, dłużej, niż wypadało.

– To już? – zapytała Clodagh. – Koniec zabawy? Musimy iść do domu?

– Jezu, nie! – Jimmy Bond wydawał się przerażony. – Bar jest otwarty do drugiej.

– Super! – wrzasnęła Clodagh i od razu przewróciła czyjś kufel. Jego zawartość rozlała się po stole, piwo spłynęło na uda Rowerowego Billy'ego.

– Przepraszamprzepraszamprzepraszam – bełkotała Clodagh. – Bardzo przepraszam.

– Och, biedactwo – zlitował się nad nią Ted. Po chwili dołączyła do niego większość przy stoliku:

– Rzadko wychodzi.

Mark Dignan właśnie wrócił do nich i akurat zobaczył, że Rowerowy Billy wyciera mokre spodnie rękawem marynarki, a Clodagh nie przestaje przepraszać. Postanowił wyjaśnić sytuację, zanim ktokolwiek potępi Clodagh.

– Ona ma dwoje dzieci – wyznał i zmarszczył brwi, żeby wymusić na nich współczucie. – Rzadko wychodzi.

Następnie Clodagh rozpoczęła długą, poufałą pogawędkę z kobietą siedzącą przy stoliku obok. Można by pomyśleć, że rozwiązują wszystkie bolączki świata, ale kiedy Ashling zaczęła podsłuchiwać, o czym mówią,

brzmiało to mniej więcej tak: „Jak ktoś nie ma dzieci, nie zrozumie”. „Właśnie. Jak ktoś nie ma dzieci, nie zrozumie”.

Potem Clodagh poszła się wysikać. Nie wróciła do stolika po dziesięciu minutach, więc Ashling z niepokojem rozejrzała się po sali i zobaczyła, że jej przyjaciółka pograżyła się w poufalej rozmowie z trójką dziewcząt. Kiedy spojrzała następnym razem, Clodagh zaśmiewała się z jakimś mężczyzną. Tuż potem gadała z dwoma chłopakami, gestykulując z zapalem, a wyglądało to tak, jakby demonstrowała im techniki wyciskania mleka z piersi. Wydawała się jednak szczęśliwa, podobnie jak obaj chłopcy, więc Ashling zostawiła ją w spokoju. Wkrótce Ashling poszła do baru, a kiedy składała zamówienie, zobaczyła, że Clodagh zatacza się między stolikami i wpada na jeden z nich. Dziesiątki drinków zadrżały.

– Ojoj! – wykrzyknęła Clodagh.

Dwaj mężczyźni przy barze także obserwowali Clodagh.

– Niewiele brakowało – zauważył jeden z nich, gdy drinki jednak się nie przewróciły.

– No tak – westchnął drugi. – Ale ona ma dwoje dzieci i rzadko wychodzi.

– Przepraszam, czy może pan zamienić jeden drink red square na red bulla? – zapytała Ashling barmana. Clodagh dość już wypila.

O dziwno jednak, choć kompletnie pijana, Clodagh od razu zorientowała się, że próbują jej wcisnąć bezalkoholowego drinka i zrobiła się nieco nieprzyjemna.

– Na pewno myślicie, że jestem straszną debilką – mamrotała. – Wielką, okropną debilką.

– Zawieziemy ją do domu? – mruknął Marcus. Ashling skinęła głową, bardzo mu wdzięczna.

– Nie wyjdę, dopóki nie dostanę drinka – upierała się Clodagh. Marcus tłumaczył jej jak krnąbrnemu dziecku:

– Ale widzisz, ja i Ashling wracamy już do domu, myślę, że byłoby fajnie, gdybyśmy cię podwieźli.

– No to jedźcie sobie do domu.

– Chcielibyśmy, żebyś pojechała z nami taksówką.

– Mogłabym – powiedziała nadąsana. – Ale tylko dlatego, że cię lubię.

– Potrzebujecie pomocy? – spytał z nadzieją Ted.

– Nie. – Ashling była nieugięta. – Odwozimy ją do domu, do jej męża.

Clodagh mocno uściskała Teda, po czym wydeła usta – Ashling się skrzywiła – i pocałowała go w czoło.

– Słodki jesteś – oświadczyła. – Nie zapomnij mnie odwiedzić.

– Nie zapomnę!

– Chodź już. – Ashling wzięła ją za ramię, ale Clodagh się wywinęła i próbowała kogoś dopaść.

– Cześć, Jack – zaświergotała.

– Cześć, Clodagh, miło cię było poznać.

– I ciebie też. – Jej głos był słodki jak miód. – Mam nadzieję, że niedługo się zoba... Au! Ashling, wyrwiesz mi rękę!

Ponura Ashling pociągnęła przyjaciółkę w kierunku wyjścia.

Na tylnym siedzeniu taksówki Clodagh narzekała głośno, jacy beznadziejni są Ashling i Marcus, jak nie chce jechać do domu, jak dobrze się bawiła, że ma dwoje dzieci i rzadko wychodzi... Nagle w połowie tego narzekania zapadła cisza. Z brodą na piersi Clodagh odpłynęła w sen.

– Dostawa pijanej pani dla pana – powiedział radośnie Marcus, gdy Dylan otworzył drzwi. – Proszę tu podpisać.

Zataczając się, Clodagh wtoczyła się chwiejnie do domu, a Ashling i Marcus wrócili do taksówki.

– Masz długopis? – spytał Marcus, kiedy jechali po ciemnych ulicach do mieszkania Ashling.

– Mam.

– A kartkę?

Ashling już szukała w torebce.

Kącikiem oka dostrzegła, jak Marcus coś bazgrze. Wyglądało to jak: „Dostawa pijanej pani. Proszę podpisać”. Zanim jednak się upewniła, Marcus złożył kartkę.

Następnego dnia telefon zadzwonił piętnaście po ósmej rano. Pora świadczyła o tym, że dzwoni przerażona Clodagh. I rzeczywiście.

– Nie śpię od wpół do siódmej – powiedziała pokornie. – Chciałam tylko przeprosić za wczorajsze. Tak mi przykro, naprawdę. Czy zrobiłam z siebie kompletną idiotkę? Problem w tym, że mam dwoje dzieci i rzadko wychodzę.

– Nic się nie stało – odparła zaspana Ashling. – Wszyscy uważali, że jesteś genialna.

– Clodagh? – wyszeptał Marcus.

Ashling skinęła głową.

– Byłaś urocza – wymamrotał. – Słodka.

– Kto to? Marcus? Jak to miło z jego strony. Powiedz mu, że moim zdaniem był fantastyczny.

– Jej zdaniem byłeś fantastyczny – oświadczyła Ashling, patrząc na Marcusa.

Ulga Clodagh trwała tylko krótki moment.

– Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo miałam ochotę na to wyjście i jak świetnie się bawiłam, ale teraz nigdy już ze mną nigdzie nie pójdziesz. To był najmiłszy wieczór od lat, a ja wszystko spieprzyłam.

– Nie wygłupiaj się, możemy chodzić razem, kiedy tylko zechcesz!

– Kiedy zechcesz! – powtórzył Marcus.

– Hm, Ashling, nie wiesz może, jak dotarłam do domu?

– Marcus i ja odwieźliśmy cię taksówką.

– A tak – oświadczyła. – Pamiętam. Szczerze mówiąc nie – wyznała po chwili. – Pamiętam komików na scenie, ale po tym już niewiele. Mam okropne przeczucie, że rozlałam komuś piwo, ale chyba tylko to sobie wyobraziłam.

– Uch, hm...

– Okropnie jest nie pamiętać, jak dotarłam do domu. – Clodagh nie mogła się pozbyć poczucia winy. – O mój Boże. – Jej głos spadł o kilka oktaw i zamienił się w pełen niedowierzania jęk. Przypomniała sobie coś zbyt strasznego. – Mam okropne przeczucie... Nie, to niemożliwe.

– Co?

– Chodzi mi o dziewczyny, z którymi rozmawiałam w damskiej toalecie. Jedna z nich była w ciąży. Chyba zaproponowałam, że jej pokażę, jak wygoiło się moje nacięcie krocza. Jasna cholera, powiedz, że to nieprawda–jęknęła cicho. – Wyobraziłam to sobie. Na pewno.

– Na pewno – skłamała dzielnie Ashling.

– A jeśli nawet nie, będę udawała, że to sobie wyobraziłam. Wszystko przez tego cholernego red bulla! – wykrzyknęła. – W życiu nie wezmę tego do ust!

Kiedy skończyła rozmowę, Marcus pocałował Ashling.

– Dobry byłem wczoraj? – spytał cicho.

– No cóż... nie. – Ashling była zdumiona.

Po powrocie się nie kochali.

– Nie? – W jego głosie pojawił się autentyczny ból.

O Chryste! Zbyt późno Ashling uświadomiła sobie, o co mu chodziło.

– Na scenie? Myślałam, że chodziło ci o łóżko. Na scenie byłeś fantastyczny, przecież już ci to mówiłam.

– Lepszy niż Rowerowy Billy, Jeden z najlepszych irlandzkich komików"?

– Przecież wiesz, że tak.

– Gdybym wiedział, nie musiałbym pytać.

– Byłeś lepszy niż Billy, lepszy niż Ted, lepszy niż Matt, lepszy niż Jimmy, lepszy niż ktokolwiek. – Ashling marzyła, żeby zasnąć.

– Na pewno?

– Tak.

– Ale dowcip Jimmy'ego o kibicach był świetny.

– Był w porządku – oświadczyła Ashling ostrożnie.

– Jak bardzo w porządku? – naciskał Marcus. – W skali od jednego do dziesięciu?

– Jeden. – Ashling ziewnęła. – Był do dupy. Spijmy już.

43

Wizyta Olivera wstrząsnęła kruchą równowagą Lisy. W pracy była zdekoncentrowana i znacznie rzadziej pozwalała sobie na wredne uwagi. Najgorsze, że do niej nie zadzwonił. Miała nadzieję, że to zrobi, choćby po to,

aby zostawić wiadomość w rodzaju: „Dzięki za dymanko”. Zwłaszcza że miał jej numer. Ale dni mijały, nadzieja gasła.

Dnia piątego tęsknota stała się nie do zniesienia, więc ona do niego zadzwoniła, ale natychmiast usłyszała automatyczną sekretarkę. Doszła do wniosku, że wyszedł, dobrze się bawił, używał życia, tak jak ona kiedyś. Z irytacją przerwała połączenie, zbyt dotknięta, by zostawić wiadomość.

Powinna się była domyślić, że Oliver się z nią nie skontaktuje. Było już po wszystkim, oboje o tym wiedzieli, a kiedy Oliver się na coś decydował, nie zmieniał zdania. Smutna i roztargniona, nie mogła przestać rozmyślać nad pytaniami, które powinna była rozważyć pół roku, dziewięć miesięcy, rok wcześniej. Co się stało z ich małżeństwem? Co poszło nie tak? Jak wiele związków, ich zawalił się przez kwestię dzieci. Chociaż u nich wyglądało to nieco inaczej. On ich chciał, ona nie.

Myślała, że chce dzieci. W pewnej chwili absolutnie każdy był w ciąży: dziewczyny ze Spice Girls, mnóstwo modelek, kilka aktorek. Brzuszek był taka samą wykładnią stylu jak paszmina albo torebka od Gucciego. Cięża była na topie. Lisa nawet umieściła ją na liście – cięża była „na topie”, kosztowne klejnoty „nie”.

Wkrótce bardzo modne stało się wożenie małego człowieczka w czarnej, modnej spacerówce dla biegaczek – nie wypadało bez niej wychodzić z domu. Lisa, doskonała obserwatorka najmodniejszych trendów, natychmiast zauważyła to wszystko.

– Chcę dziecka – powiedziała do Olivera.

Oliver nie był zachwycony. Lubił ich stylowe, towarzyskie życie, wiedział, że dziecko położy mu kres. Żadnych przyjęć do samego ranka, żadnych białych sof, żadnych spontanicznych, nagłych wypadów do

Mediolanu. Albo do Vegas. Albo choćby do Brighton. Bezsenne noce nie będą już rezultatem spożywania kokainy najwyższego sortu, ale wrzaskami dziecka. I pieniądze nie pójdą na dzinsy Dolce & Gabbany, tylko na stos pieluszek jednorazowych.

Lisa jednak uparcie nad tym pracowała i w końcu Oliver przekonał się do pomysłu. Odwoływała się do jego samczej dumy.

– Nie chcesz przekazać swoich genów?

– Nie.

I nagle, pewnego dnia, gdy leżeli w łóżku, powiedział:

– Dobra.

– Co dobra?

– Dobra, będziemy mieli dziecko. – Zanim Lisa zdążyła krzyknąć z radości, wziął listek jej pigułek antykoncepcyjnych i demonstracyjnie spuścił je w toalecie.

– Żadnych zabezpieczeń, mała.

W marzeniach Lisa już nosiła przepiękne, czekoladowe maleństwo na swym szczupłym biodrze.

– To nie zabawka – zauważyła Fifi. – To istota ludzka i jest przy niej mnóstwo roboty.

– Wiem – warknęła Lisa.

Tak naprawdę jednak nie wiedziała. Potem jedna z dziewczyn w pracy zaszła w ciążę. Arabella, stylowa, niebezpieczna kobieta, o ostrym języku, zawsze na czasie. Z dnia na dzień zaczęła mieć mdłości. Raz nawet narzygała do kosza na papiery. Jeśli nie robiła siku ani nie puszczała pawia w ubikacji, pokładała się na biurku, skubiąc imbir, zbyt zmęczona, żeby pracować. A to jedzenie! Mimo nieustannych mdłości pochłaniała całe kopy zarcia.

– Tylko jedzenie uspokaja mój żołądek – mamrotała z ustami pełnymi mięsa zapiekanego w cieście. Wkrótce zaczęła wyglądać tak, jakby była po szyję zakopana w piaskownicy. Nie tylko. Jej niegdyś lśniące włosy zmatowiały, nagle dostała opryszczki. Na jej skórze pojawiła się łuszczyca, paznokcie się łamały. Zdaniem superkrytycznej Lisy wyglądała raczej jak ofiara zarazy niż jak ciężarna.

Najgorsze było to, że koncentrację Arabelli szlag trafił. W połowie wywiadu zapomniała nazwiska Nicole Kidman, do głowy przychodziła jej tylko redakcyjna ksywa aktorki: Nicole Kibelman. Nie pamiętała, czy jej owijana wokół ciała spódnica na rzepy pochodzi z kolekcji zeszłorocznej czy starszej. Wszystkie te rzeczy były zasadnicze, myślała Lisa z narastającym niepokojem. I nadszedł dzień, kiedy Arabella nie potrafiła wybrać między białym magnum a magnum klasycznym.

– Bia... Nie, kla... nie, czekaj. Białe. Zdecydowanie białe. Nie, klasyczne.
– Za nic nie mogła się zdecydować. – Mózg mi się zlasował – jęknęła.

Przerażona Lisa poszła na spotkanie z inną kobietą, która urodziła dziecko – z Eloise, redaktorką rubryk stałych w „Chic Girly”.

– Jak się masz? – zapytała.

– Wariuję z braku snu.

Było gorzej, niż myślała. Choć Eloise urodziła dziecko pół roku wcześniej, nadal wyglądała jak zakopana po szyję w piaskownicy.

To nie wszystko. Już jej nie zależało, straciła całą swoją ostrość. Wcześniej nazywano ją Attylą. Wyrzucała ludzi bez cienia strachu – w przeszłości. Teraz jednak otaczała ją lekka, lecz wyczuwalna atmosfera sentymentalizmu.

Lisa zaczęła gwałtownie wycofywać się ze swego postanowienia. Nie chciała dziecka, dzieci niszczyły życie. Modelkom i Spice Girls było łatwiej. Miały tuziny nianiek umożliwiających im spokojny sen, osobistych trenerów, którzy pilnowali, by odzyskały formę, prywatne fryzjerki, które układały im włosy, gdy brakowało im energii.

Wtedy jednak Oliver bardzo się zapalił do tego pomysłu. A kiedy Oliver już się na coś zdecydował, trudno go było nakłonić do zmiany zdania.

W tajemnicy znów zaczęła łykać pigułki antykoncepcyjne. Nie zamierzała rujnować swojej kariery.

A tak, kariera. Temu też się sprzeciwiał, prawda?

– Jesteś pracoholiczką – oskarżał ją raz za razem, z narastającą frustracją i gniewem.

– Mężczyźni zawsze tak mówią o kobietach, które odnoszą sukcesy.

– Nie. Nie chodzi mi tylko o to, że za ciężko pracujesz, chociaż to także. Mała, ty masz obsesję. Mówisz wyłącznie o strategii firmy albo o nakładzie, albo o tym, jak sobie radzi konkurencja. „Przynajmniej więcej zarabiamy na reklamach...”, „Pisaliśmy o tym pół roku temu...”, „Ally Benn chce mnie załatwić...”

– Bo to prawda.

– Nieprawda.

Wściekła i niezrozumiana Lisa popatrzyła na niego wilkiem.

– Nie masz pojęcia, jak to jest. One wszystkie, te dwudziestolatki, chciałyby być mną. Gdyby tylko mogły, wbiłyby mi nóż w plecy.

– To, że ty myślisz w ten sposób, nie oznacza, że wszyscy tak myślą. Masz paranoję.

– Nie, mówię ci, jak jest. One są lojalne tylko wobec siebie.

– Tak jak ty, mała. Ostra jesteś, zwalniasz za dużo ludzi. Nie powinnaś wywalać Kelly, była słodka i trzymała twoją stronę.

Lisa skrzywiła się niemal niezauważalnie.

– Nie dawała sobie rady, nie była dość twarda. Potrzebuję redaktorki, która się nie boi zjechać człowieka. Mili ludzie, tacy jak Kelly, blokują rozwój pisma – oświadczyła. – Poza tym zwolnienie jej nie sprawiło mi przyjemności, nie myśl sobie. Była w porządku, po prostu nie miałam wyboru.

– Liso, jesteś najlepsza. Zawsze tak uważałem. Podziwiam cię... – Urwał, jakby szukał właściwego słowa – Szanuję...

– Ale? – spytała ostro.

– W życiu chodzi o coś więcej niż bycie najlepszą.

– Nieprawda. – Zaśmiała się z pogardą.

– Ale ty jesteś najlepsza. Taka młoda, odnosisz sukcesy, dlaczego to ci nie wystarcza?

– Oto właśnie problem z sukcesem – mruknęła. – Trzeba być coraz lepszym.

Jak miała wyjaśnić, że im więcej dostawała, tym więcej pragnęła? Po każdym osiągnięciu czuła się pusta, rzucała się na następne w nadziei, że może tym razem poczuje się tak, jakby dotarła do celu. Satysfakcja była ulotna i nieuchwytna, tylko zaostrzała jej apetyt na więcej.

– Dlaczego to ma takie znaczenie? – spytał Oliver z rozpaczą. – To tylko praca.

Lisa aż się skrzywiła. Tak bardzo się mylił.

– Nieprawda. To wszystko.

– Zmienisz zdanie, gdy zajdziesz w ciążę.

Aż się spociła z przerażenia. Nie mogła sobie pozwolić na ciężę. Musiała mu to powiedzieć. Próbowwała, ale on całkowicie jej to uniemożliwił.

– Wyjedźmy na weekend, mała – zasugerował z optymizmem, którego nie czuł. – Tylko ty i ja, powłóczymy się jak za dawnych dobrych czasów.

– W sobotę muszę wpaść na parę godzin do biura. Sprawdzę układ graficzny, zanim pójdzie do druku.

– Ally może się tym zająć.

– Mowy nie ma! Specjalnie wszystko spieprzy, żeby mnie ośmieszyć.

– Widzisz, o co mi chodzi? – spytał z goryczą. – Masz obsesję, a ja już w ogóle cię nie widuje, chyba że na imprezach służbowych... I już nie jest z tobą fajnie.

Tak ciągnęło się bezustanne pasmo niezadowolenia i rozczarowań, trwali w narastającej niechęci i złości, wycofywali się i izolowali od siebie. Dwójka ludzi, którzy kiedyś stali się jednością, znów podzieliła się na połówki, bardzo wyraźne i odróżnialne.

Coś musiało pęknąć i tak w końcu się stało.

W Nowy Rok Oliver znalazł pigułki w torebce Lisy. Po dziwnej i sążnistej wymianie słów umilkli na dobre. Oliver spakował torby (jedna z nich należała do Lisy) i się wyniósł.

44

– Kto dziś idzie po lunch? – spytała Lisa.

– Ja – odparła Trix szybko. Zbyt szybko.

Trix uwielbiała chodzić po lunch, nie dlatego że tak bardzo pragnęła oddawać przysługi kolegom, ale dlatego że zapewniało jej to dwie długie przerwy. Spacer do sklepu z kanapkami zajmował cztery minuty, zamówienie,

zapłata i odbiór kanapek sześć. Dzięki temu miała czterdzieści pięć minut na łożenie po sklepach w Tempie Bar, po czym wracała do biura i jazgotliwie skarżyła się na niezdecydowane tłumy w kolejce, na durniów, którzy tam pracowali i nie potrafili odróżnić kurczaka od awokado, na faceta, który miał atak serca, więc musiała mu rozpiąć koszulę i czekać razem z nim na karetkę...

I choć wszyscy byli zawałeni robotą gdyż zostało niewiele ponad miesiąc do pierwszego numeru, czekali z utęsknieniem na jej coraz bardziej dziwaczne wymówki.

Potem siadała i przez piętnaście minut jadła kanapkę, a następnie patrzyła na zegarek.

– Za trzy druga – oznajmiała. – Idę na lunch, do zobaczenia za trzy trzecia.

– Dziś mam ochotę na coś innego – powiedziała Lisa.

– A, Burger King – zrozumiała Trix.

– Nie.

– Nie?

– Na świecie istnieją nie tylko kanapki i hamburgery. Trix wydawał się zupełnie zaskoczona.

– Masz ochotę na owoce? – Jej wysmarowane podkładem czoło mocno się pomarszczyło. Wiedziała, że Lisa czasem jada jabłka, winogrona i takie tam. Trix nigdy nie jadła owoców. Przenigdy. Szczyciła się tym.

– Mam ochotę na sushi.

Ta propozycja była tak odrażająca, że Trix na moment odjęło mowę.

– Sushi? – wykrztusiła z przerażeniem. – Chodzi ci o surową rybę?

W trakcie weekendu Lisa przeczytała, że w Dublinie pojawiło się imperium sushi, i miała nadzieję, że degustacja wyrwie ją z depresji wywołanej

przybyciem Olivera. Ale podobne nadzieje pokładała w komediowym występie w sobotni wieczór, lecz nic z tego nie wyszło, mimo że przyszedł Jack i rozmawiał z nią przez prawie cały wieczór – to znaczy, kiedy nie gadał z tą upierdliwą Clodagh.

– Przecież przyjaźnisz się z rybami – powiedziała ze zmęczeniem.

– Ile razy mam powtarzać, że kiedy jeżdżę furgonetką, nie ma w niej żadnych ryb?

– Masz, narysowałam ci mapkę – oświadczyła Lisa. – Poproś o pudełko bento.

– Pudełko bento? Wymyśliłaś to? – prychnęła Trix, przerażona, że Lisa robi z niej durnia.

– Nie, tak się pakuje sushi na wynos. W knajpie się zorientują, o czym mówisz.

– Pudełko bento – powtórzyła Trix podejrzliwie.

– Kto zamawia bento? – W drzwiach gabinetu stanął Jack.

– Ona – jęknęła Trix.

– Ja – powiedziała w tym samym momencie Lisa.

Trix zaczęła głośno potępiać Lisę, skarżąc się, że zmusza ją do kupowania i noszenia surowej ryby przez całe miasto, że na samą myśl o tym chce się jej wymiotować...

– Ktoś inny może pójść po lunch – zasugerował Jack uprzejmie.

– Nie, w porządku – odparła Trix ponuro, lecz bardzo szybko.

– Dla mnie też weź – oznajmił Jack, ku zdumieniu całej redakcji.

Lisa z otwartymi ustami patrzyła, jak szperał w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy, z brodą opartą na ramieniu. Z jakiegoś powodu zaklasyfikowała go

jako faceta, który zawsze zamawia kotlet oraz sałatkę i twierdzi: „Nie zjem nic, czego nie umiem wymówić”. Ale w końcu mieszkał w Stanach...

Dłoń Jacka wyłoniła się z kwitem parkingowym, popatrzył na nią smutno.

– To chyba nie wystarczy. – Podjął poszukiwanie, natrafił na piątkę, który widział lepsze czasy i wręczył go Trix.

– Mogą go nie przyjąć – poskarżyła się natychmiast. – Coś ty z nim robił? Był na wojnie?

– To pewnie ten wyprany – oznajmił Jack. – Zostawiłem go w kieszeni koszuli.

Trix była zde gustowana. Jak ktokolwiek mógł zapomnieć, że zostawił pieniądze w kieszeni? On zawsze dokładnie wiedziała, ile ma gotówki, z dokładnością do dziesięciu pensów. Pieniądze były zbyt cenne, by o nich zapominać.

Jack wrócił do swojego gabinetu i pojawił się Kelvin, po raz pierwszy tego dnia. Był na imprezie dla prasy.

– Wiecie co? – wykrztusił.

– Co?

– Między Jackiem i Mai wszystko skończone.

– Nie pieprz, Sherlocku – zaszydziła Trix.

– Poważnie. Naprawdę zerwali. Nie jak w *Kto się boi Virginii Woolf*? To poważne zerwanie, koniec z kłótniami i powracaniem do siebie po tygodniowym rozstaniu.

– Skąd wiesz?

– E... hm... spotkałem Mai pod koniec weekendu. W The Globe. Wierzcie mi – powiedział bardzo znacząco. – Zerwali.

– Boże, żałosny jesteś – prychnęła Trix. – Chcesz nam wmówić, że z nią spałeś.

– Nie, ja... No dobra. OK, chciałem. Ale naprawdę zerwali.

– Dlaczego? – zapytała Ashling.

– Pewnie coś się wypaliło. – Kelvin wzruszył ramionami. Lisa była zdumiona przemianą, jaka w niej zaszła po tych słowach.

Nagle życie nie wydawało się już takie ponure. Jack był do wzięcia, czuła, że ma szansę. Zawsze mu się podobała, ale coś się zmieniło w zeszłym tygodniu, gdy wybuchnęła płaczem w jego gabinecie. Jej bezradność i jego troska zbliżyła ich do siebie.

Lisa uświadomiła sobie coś jeszcze. Lubiła go. Inaczej niż wtedy, gdy dopiero przyjechała do Dublina – wtedy lubiła go na swój twardy, agresywny, zdobywczy sposób. Na początku podobał się jej jego wygląd i praca, a podrywanie go miało po prostu oderwać ją od codziennych trosk.

Kiedy wyszedł, żeby skorzystać z kopiarki, podeszła do niego i oświadczyła, wywracając oczyma:

– W życiu bym nie pomyślała.

– Co?

– Że jesteś socjalistą rozmówanym w sushi – zażartowała, zarzucając włosami.

Żrenice Jacka się rozszerzyły, przez co jego oczy wydawały się niemal czarne, i błysnęła w nich iskierka.

Pięćdziesiąt minut później Trix wróciła do redakcji, kołysząc uchwytem torby z sushi na małym palcu i trzymając ją jak najdalej od siebie.

– Co ci się dzisiaj przydarzyło? – zapytał Jack. – Zatrzymali cię jako zakładniczkę podczas napadu na bank? Zostałaś porwana przez kosmitów?

– Nie – westchnęła Trix. – Musiałam zatrzymać się w O'Neills na pawia.
– Niemal cisnęła torbą w Lisę, po czym odeszła od niej jak najdalej. – Uch. –
Zatrzęsła się wymownie.

Lisa miała nadzieję, że Jack zaproponuje, aby zjedli sushi za zamkniętymi drzwiami jego gabinetu. Snuła śmiało wizję tego, jak karmią się nawzajem, i to nie tylko surową rybą. Jack jednak tylko przysunął krzesło do biurka Lisy, a ona patrzyła, jak jego wielkie, pewne ręce wyciągają z papierowej torby pałeczki, serwetki i plastikowe pudełko. Postawił przed Lisą pudełko bento, z trzaskiem otworzył plastikowe wieczko i uroczyście wskazał jej rzędkę uroczego sushi.

– Lunch dla pani – oświadczył radośnie. – Tylko nie wyrzygaj. Właściwie nie umiała powiedzieć, jakie uczucia budziło w niej jego zachowanie, nie potrafiła ich nazwać. Ale było to miłe – czuła się bezpieczna i wyjątkowa, na właściwym miejscu. Obserwowani przez resztę redakcji Lisa i Jack z powagą jedli sushi.

Ashling była zbulwersowana i nie umiała tego ukryć. Co pewien czas rzucała im ukradkowe spojrzenia, niczym świadek okropnego wypadku samochodowego, po czym się krzywiła, jakby ujrzała coś, czego wcale nie pragnęła zobaczyć.

O ile dobrze widziała, nie była to tylko surowa ryba. Mieli małe paczuszki ryżu z surową rybą w środku, a towarzyszył temu wyszukany rytuał. Rozpuszczało się zieloną pastę w czymś, co z pewnością było sosem sojowym, po czym maczało się w tym sushi. Ashling patrzyła zafascynowana, jak Jack za pomocą pałeczek delikatnie unosi różowy, maciupeńki kawałeczek i kładzie go obok lśniącej ryżowo–rybnej paczuszki.

– Co to? – wyrwało się jej, zanim zdążyła pomyśleć.

– Marynowany imbir.

– Po co?

– Bo jest smaczny.

Ashling przyglądała się przez następne kilka sekund, zanim znowu spytała:

– Jak to smakuje? To wszystko?

– Wspaniale. Masz pikantność imbiru, ostrość wasabi – to to zielone – i słodkość ryby – wyjaśnił Jack. – Smakuje zupełnie niezwykle, i na dodatek uzależnia.

Ciekawość nie dawała jej spokoju. W zasadzie bardzo chciała spróbować, ale jednak... Surowa ryba... No, surowa ryba!

– Spróbuj. – Jack wyciągnął do niej swoją pałeczkę. Sushi, które przed chwilą przygotował, zawisło między nimi.

Ashling natychmiast się odsunęła, a na jej twarz wypełził krwisty rumieniec.

– Hm, nie. Dzięki.

– Dlaczego nie? – Jego oczy śmiały się do niej. Znowu.

– Bo to jest surowe.

– Ale jadasz wędzonego łososia? – spytał Jack, nie kryjąc rozbawienia.

– Ja nie jadam – wtrąciła Trix, bezpieczna po drugiej stronie redakcji. – Wolałabym wbić sobie szpilkę w oko.

– Ostatni raz pytam. Na pewno nie chcesz spróbować? – Jack nadal nie spuszczał wzroku z Ashling. Sztywno pokręciła głową po czym zajęła się swoją kanapką z szynką i serem. Czuła ulgę, ale jednocześnie miała wrażenie, że coś traci.

Lisa była zadowolona, kiedy Ashling dała im spokój. Bliskość Jacka sprawiała jej olbrzymią przyjemność, poza tym zaimponował jej swoją sprawnością w posługiwaniu się pałeczkami. Robił to fachowo, stylowo, jakby się urodził z tą umiejętnością. Można by go zabrać do

Nobu i nie zawstydziłby człowieka, prosząc o sztucce. Sama też nieźle radziła sobie z pałeczkami. No jasne. Wiele razy trenowała wieczorami w domu.

– Komu ty chcesz zaimponować, mała? – nabijał się z niej Oliver.

Na myśl o Oliverze poczuła ukłucie bólu, ale pomyślała, że sobie poradzi. Jack jej w tym pomoże.

– Zamienię moje sushi z węgorza na sushi maki kalifornijskie – zaproponowała.

– Węgorz za ohydny? – spytał Jack.

Zaczęła protestować, po czym przyznała z uśmiechem:

– Tak.

Tak jak przewidziała, Jack chętnie zjadł jej sushi z surowego węgorza. Surowy węgorz to była przesada, nawet dla tak wyrafinowanej osoby jak ona. Ale mężczyźni mogli zjeść wszystko, im obrzydliwsze, tym lepiej. Królik, emu, aligator, kangur...

– Musimy to powtórzyć – zasugerowała Lisa.

– Tak. – Jack rozparł się na krześle i pokiwał głową. – Musimy.

– Nigdy nie uwierzysz! – Był czwartkowy wieczór, Marcus właśnie zjawił się u Ashling z kasetą wideo pod pachą. – W sobotę występuję przed Eddiem Izzardem.

– Jak to?

– Miał to robić Steve Brennan, ale trafił do szpitala z podejrzeniem choroby Creutzfeldta–Jakoba. Ale numer! To dopiero będzie występ.

Twarz Ashling aż pociemniała z rozczarowania.

– Nie mogę iść.

– Co? – spytał ostro.

– Pamiętasz, mówiłam ci. W ten weekend jadę do rodziców do Cork.

– Odwołaj.

– Nie mogę – odparła. – Tak długo to przekładałam, że nie mogę teraz odwołać.

Byli tacy przejęci, kiedy potwierdziła przyjazd: Na samą myśl o tym, że miałyby teraz odwołać przybycie, zaczynała się pocić.

– Pojedziesz tam w przyszłym tygodniu.

– Nie mogę, idę do pracy. Znowu sesja.

– Twoja obecność jest dla mnie bardzo ważna – powiedział cicho. – To istotny występ, przygotowałem nowy materiał, potrzebuję cię.

Ashling zadrżała, targana sprzecznymi emocjami.

– Przykro mi. Naprawdę nastawiłam się na wyjazd, tyle czasu minęło... Kupiłam bilet na pociąg – dodała.

Kiedy na jego twarzy pojawił się ból i uraza, poczuła, jak skręcają się jej wnętrzności. Nienawidziła się za to, że go rozczarowuje, ale miała do wyboru

zawieść jego albo rodziców. Lubiła sprawiać ludziom przyjemność i nie mogła znaleźć się w gorszej sytuacji – cokolwiek zrobiła, ktoś był rozczarowany.

– Naprawdę okropnie mi przykro – dodała szczerze. – Ale i tak mam kiepskie stosunki z rodzicami. Jeśli nie pojedę, jeszcze bardziej je popsuję.

Czekała, aż Marcus zapyta, jak kiepskie są jej stosunki z rodzicami. Postanowiła, że mu powie. Ale on tylko patrzył na nią z urazą.

– Przepraszam – powtórzyła.

– W porządku – odparł.

Ale wcale nie było w porządku. Chociaż otworzyli butelkę wina i usiedli, żeby obejrzeć kasetę, którą przyniósł, nastrój całkiem siadł. Wino zachowywało się jak napój bezalkoholowy, a Ardal O'Hanlon nigdy nie był równie mało zabawny. Poczucie winy gnębiło Ashling i wszystkie jej próby rozpoczęcia rozmowy spełzały na niczym. Po raz pierwszy od poznania Marcusa nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Kiedy w końcu, po kilku męczących godzinach, nadeszła dziesiąta, Marcus wstał i demonstracyjnie się przeciągnął.

– Lepiej już pójde – powiedział.

Przerażenie chwyciło ją za gardło. Zawsze zostawał na noc.

Nagle przyszła jej do głowy potworna myśl: może to nie była jedynie sprzeczka, może to był Koniec. Kiedy patrzyła, jak Marcus z oszłamiającą prędkością zmierza do drzwi, odkryła, że zaczyna rozważać inne możliwości. Może odwołałaby wizytę w Cork? Parę tygodni nie robi różnicy. Jej związek z Marcusem był znacznie ważniejszy.

– Marcus, niech się przez chwilę zastanowię – jej głos drżał. – Może odwiedzę ich za parę tygodni.

– Nie, w porządku. – Uśmiechnął się do niej niemrawo. – Dam sobie radę. Ale będę za tobą tęsknił.

Ulga trwała jedną krótką chwilę. Może i nie był to koniec, ale Marcus mimo wszystko zamierzał wyjść.

– Możemy spotkać się jutro wieczorem – powiedziała, rozpaczliwie pragnąc naprawić sytuację. – Wyjeżdżam dopiero w sobotę rano.

– Oj, nie. – Wzruszył ramionami. – Poczekajmy z tym do twojego powrotu.

– No dobrze – zgodziła się niechętnie, w obawie, że jeśli zacznie nalegać, jeszcze bardziej popsuje sytuację. – Przyjadę w niedzielny wieczór.

– Zadzwoń, jak wrócisz.

– Jasne. Pociąg ma przyjechać o ósmej, jeśli nie będzie opóźnienia, potem pewnie poczekam na taksówkę, więc nie wiem, o której znajdę się w domu, ale na pewno od razu zadzwonię. – Nie mogła przestać mówić, tak bardzo chciała mu sprawić przyjemność.

Szybki pocałunek – zbyt krótki i mało namiętny, by mogła się uspokoić – i Marcus zniknął.

Niczym alkoholik, który sięga po drinka w trudniejszej chwili, Ashling natychmiast chwyciła karty do tarota. Ostatnio straszliwie je zaniedbała i gdyby nie ciągłe nalegania Joy związane z niedawnym odejściem Człowieka-borsuka, karty pokryłyby się kurzem. Ale nic nie mówiący wynik też nie przyniósł jej satysfakcji.

Rozdrażniona i podminowana Ashling pogrzyżyła się w znajomej niechęci do swojej rodziny. Gdyby tylko byli normalni, nigdy by do tego nie doszło. Przez chwilę myślała o Marcusie. Nie miała do niego pretensji o to, że był taki niepewny. Przerastało ją to, jak udawało mu się wyjść na scenę i robić swoje.

Złość i żal zakończyły się bezsennością – musiała z kimś porozmawiać. Joy się nie nadawała, nie tylko dlatego, że obecnie jedynym tematem jej rozmów było „wszyscy ludzie–borsuki to sukinsyny”. Musiała pogadać albo z Clodagh, albo z Phelimem, bo oboje wiedzieli, co trzeba było wiedzieć, o rodzinie Ashling. Zrozumieliby ją i zareagowali z odpowiednim współczuciem. Jednak u Phelima w Sydney włączyła się automatyczna sekretarka, wobec czego – mimo późnej pory – Ashling nie miała wyboru i zadzwoniła do Clodagh. Przepraszając, że ją budzi, opowiedziała swoją ponurą historię i zakończyła okrzykiem:

– Nic by się nie stało, ale ja tak strasznie nie chcę tam jechać! Jednakże Clodagh nie miała dla niej słów pociechy.

– Spotkam się z Marcusem, jeśli chcesz – oznajmiła sennie.

– Nie, nie chodziło mi...

– Mogę iść z Tedem. – Clodagh się ożywiła, pomysł stawał się realny. – Zamiast ciebie pójdziemy ja i Ted, będziemy wspierać Marcusa.

Przez to Ashling poczuła się znacznie gorzej. Nie chciała, żeby Clodagh i Ted się zaprzyjaźnili.

– A Dylan?

– Ktoś musi pilnować dzieci.

– Przecież ja wcale nie chcę jechać – powtórzyła Ashling, żeby wyzebrać choć odrobinę współczucia.

– Ale twoja mama jest w o wiele lepszym stanie. Wszystko będzie dobrze.

Tutaj nie ma szefa, uświadomiła sobie dziewięcioletnia Ashling jeszcze przed końcem tego dziwnego, okropnego lata. Nabrała zwyczaju wystawiania na rogu ulicy w piątkowy wieczór i wypatrywania auta ojca. Zawsze czuła

wtedy mdłości. Czekala i bawila sie w rozmaite gry, tłumiac strach, ze tata moglby nigdy nie przyjechać. Jeśli następny samochód będzie czerwony, nic się nie stanie. Jeśli ostatnia cyfra na tablicy rejestracyjnej drugiego auta okaże się parzysta, wszystko będzie dobrze.

W końcu nadszedł poniedziałkowy poranek, gdy poprosiła ojca, żeby nie wyjeżdżał.

– Muszę. – Był obcesowy. – Jeśli stracę pracę, nie poradzimy sobie. Miej ją na oku.

Ashling poważnie pokiwała głową. Nie powinien tak do mnie mówić, pomyślała w duchu. Jestem tylko małą dziewczynką.

– .. .O tak, Ashling jest bardzo odpowiedzialna. Ma zaledwie dziewięć lat, ale jest bardzo dojrzała, jak na swój wiek.

Dorośli szeptali coś po kątach. Przychodzili do domu, rozmawiali ściszym głosem i milkli, gdy Ashling podchodziła.

– ...jej rodzice są starzy, nie daliby sobie rady z trójką rozbrykanych dzieciaków...

Pojawiły się dziwne, nowe słowa. Depresja. Nerwy. Załamanie. Mówiono, że matka musi „gdzieś wyjechać”.

W końcu matka trafiła do zakładu, a ojciec musiał zabierać ich do pracy. Jeździli bardzo daleko, było im niedobrze i strasznie się nudzili. Janet i Owen podróżowali na tylnym siedzeniu, razem z pokazowym odkurzaczem. Ashling siedziała z przodu, jak dorosła, gdy przemierzali kraj, zatrzymując się w małych sklepach AGD w małych miasteczkach. Od pierwszego spotkania zaraziła się niepokojem Mike'a.

– Życz mi szczęścia – mówił, chwytając foldery reklamowe. – Ten facet to skąpiec. I niczego nie dotykajcie.

Przez okno auta Ashling patrzyła, jak ojciec wita klienta na podwórzu, jak przestaje się irytować i martwić, robi się beztroski i gadatliwy. Nagle miał mnóstwo czasu na pogawędki. Nic to, że musiał odwiedzić jeszcze ośmiu klientów, a zbyt późno wyjechali z domu. Najpierw podziwiał nowy samochód faceta – mnóstwo kucania, oglądania auta pod wszystkimi kątami i poklepywania właściciela po plecach. Potem rozmawiał z klientem, uśmiechnięty i zadowolony, aż w końcu Ashling uświadomiła sobie coś, na co była o wiele za mała. Uświadomiła sobie, że jest mu trudno.

Gdy Mike wrócił do auta, zniknęły uśmiechy, znów był szorstki.

– Zamówił coś, tato?

– Nie. – Z zaciśniętymi ustami, na wstecznym wyprowadzał samochód na drogę i mknęli na następne spotkanie.

Czasem ludzie coś zamawiali, ale nigdy tyle, ile się spodziewał, i za każdym razem, kiedy wchodził do samochodu i odjeżdżał, wydawał się coraz bardziej osłabiony.

Pod koniec tygodnia Janet i Owen właściwie nie przestawali płakać, domagali się powrotu do domu. Ashling złapała infekcję ucha. Infekcja ta trapiła ją przez całe życie w chwilach stresu.

Po trzech tygodniach odosobnienia Monica powróciła, bez oczywistych śladów poprawy. Przez antydepresanty była irytująco senna i powolna, więc przerzuciła się na inne środki, ale i te nie były najlepsze.

Mimo farmaceutyków i coraz bardziej wyszukanych rytuałów Ashling, sytuacja się nie poprawiała. Smutek Moniki mogło wywołać dosłownie wszystko, od katastrofy naturalnej do drobnego okrucieństwa. Chłopiec, któremu osiłki zabrały w szkole pieniądze, wzbudzał taką samą rozpacz jak trzęsienie ziemi w Iranie, w którym ginęły tysiące ludzi. Jednak dni cichego

pochlipywania w łóżku były teraz przerywane napadami głośnej, gwałtownej furii Moniki, skierowanej przeciwko mężowi, dzieciom, a przede wszystkim przeciwko samej sobie.

– Nie chcę się tak czuć! – darła się. – Czy ktoś mógłby tego chcieć? Masz szczęście, Ashling, nigdy nie będziesz tak cierpiała, bo brak ci wyobraźni.

Ashling trzymała się tego jak tarczy ochronnej. Brak wyobraźni był czymś wspaniałym, dzięki temu człowiek nie zamieniał się w wariata.

Monica była tak nieopanowana, że przez większość okresu dojrzewania Ashling właściwie mieszkała u Clodagh.

Co pewien czas, między stuporem a histerią, zdarzały się okresy normalności. Ale to wcale nie było normalne. Z każdą idealnie wyprasowaną przez Monikę koszulą, z każdym posiłkiem podanym punktualnie o szóstej nerwy Ashling napinały się coraz bardziej. Czekwała, aż wszystko znowu się zawali. A kiedy się zawałało, niemal odczuwała ulgę.

W wieku siedemnastu lat Ashling wyprowadziła się z domu do wynajętego mieszkania. Mike dostał pracę setki kilometrów dalej, w Cork, a przeprowadzka oznaczała, że Ashling rzadko widywała rodziców. Podczas ostatnich siedmiu lat stan Moniki się ustabilizował – depresja i furia przeszły równie niespodziewanie, jak się pojawiły. Lekarz twierdził, że ma to związek z końcem menopauzy.

– Jest w o wiele lepszym stanie. – Głos Clodagh sprowadził ją z powrotem do teraźniejszości.

– Tak. – Ashling westchnęła ze znużeniem. – Ale tak naprawdę nie chcę jej widzieć. Wiem, mówię okropne rzeczy. Kocham ją, ale trudno mi na nią patrzeć.

Ashling miała się zjawić w Cork w porze sobotniego lunchu, a wrócić pociągiem odchodzącym o piątej w niedzielę, w związku z czym weekend tak naprawdę trwał tylko dwadzieścia osiem godzin. Z tego osiem godzin przypadało na sen. Czyli dwadzieścia godzin na rozmowę z rodzicami. Bułka z masłem.

Dwadzieścia godzin! W panice zastanawiała się, czy wystarczy jej papierosów. A czasopisma? Komórka? Musiała zwariować, że zgodziła się na ten wyjazd.

Kiedy patrzyła na umykające krajobrazy za oknem, modliła się w duchu, żeby pociąg się popsuł. Ale nie. Naturalnie, wcale się nie popsuł. Takie rzeczy zdarzały się tylko wtedy, kiedy człowiek okropnie się śpieszył. Wówczas bez powodu pociąg stał przez kilka godzin na bocznicach. Potem wszyscy pasażerowie musieli przesiąść się do innego składu, a następnie go opuścić i przejść do czekającego na nich lodowatego autobusu, i z założenia trzygodzinna podróż trwała osiem godzin.

Zamiast tego pociąg Ashling przybył do Cork dziesięć minut przed czasem. Naturalnie, jej rodzice już czekali na peronie. Wyglądali rozpaczliwie normalnie. Matkę można by pomylić z dowolną irlandzką matką w pewnym wieku: kiepska trwała, nerwowy, powitalny uśmiech, rozpinany sweter z akrylu na ramionach.

- Rozkosz dla oczu. – Monika niemalże rozszlochała się z dumy.
- Ja też się cieszę. – Ashling nie mogła się pozbyć poczucia winy.

Potem nastąpił uścisk – w wypadku Moniki niepewne połączenie kobiecego cmoknięcia i solidnego zderzenia dwóch ciał – który bardziej przypominał przepychankę.

– Cześć, tato.

– Witaj, witaj, witaj! – Mike wydawał się zakłopotany – czy i on powinien okazać czułość? Na szczęście mógł złapać torbę Ashling i tym zająć ręce.

Jazda do domu rodziców, dyskusja o tym, co Ashling jadła w pociągu, i debata nad tym, czy ma wypić herbatę i zjeść kanapkę, czy tylko wypić herbatę, zajęły dobre czterdzieści minut.

– Herbata wystarczy.

– Mam ciastka – kusila ją Monica. – I maślane bułeczki. Sama je upiekłam.

– Nie, ja... Hm... – Rozmowa o babeczkach własnej roboty zupełnie zbiła Ashling z tropu. Monica otworzyła puszkę, pełną małych, bezkształtnych bułeczek z dwoma „skrzydełkami”, wetkniętymi w kleks kremu, a kiedy Ashling ugryzła kęs – akurat trafiło się jej skrzydełko – odkryła, że przełyka również gulę w gardle.

– Muszę jechać do miasta – oznajmił Mike.

– Pojadę z tobą. – Ashling natychmiast poderwała się z miejsca.

– Tak? – Monica wydawała się rozczarowana. – Tylko nie spóźnijcie się na obiad.

– A co jemy?

– Kotlety z kością.

Kotlety z kością! Ashling niemal prychnęła – zdążyła zapomnieć, że coś takiego w ogóle istnieje.

– Po co jedziemy do miasta? – zapytała ojca, kiedy wyjechali na główną drogę.

– Kupić koc elektryczny.

– W lipcu?

– Wkrótce będzie zima.

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

Uśmiechnęli się do siebie, a Mike natychmiast wszystko popsuł, mówiąc:

– Rzadko cię widzimy, Ashling.

O, w mordę.

– Matka jest zachwycona, że przyjechałaś.

To wymagało jakiejś reakcji.

– Jak ona się miewa? – spytała Ashling.

– Cudownie. Powinnaś częściej przyjeżdżać, to znowu ta sama kobieta, którą poślubiłem.

Zapadła cisza. Nagle Ashling po raz pierwszy postanowiła się czegoś dowiedzieć.

– Dlaczego to się stało? Przez co?

– Czasem depresję wywołuje strata albo –jak oni to nazywają? – trauma – wymamrotał, wyraźnie nieswój. – Ale niekoniecznie – ciągnął. – Mówią że to może być dziedziczne.

Ashling zatkało. Zaczęła szukać komórki w torbie.

– Do kogo dzwonisz?

– Do nikogo.

Patrzył, jak Ashling naciska przyciski w aparacie.

– Myślisz, że jestem ślepy?

– Nie dzwonię, sprawdzam wiadomości.

Marcus nie zadzwonił, odkąd opuścił jej mieszkanie w czwartkowy wieczór. Przez dwa miesiące, kiedy ze sobą byli – nie to, żeby liczyła – mieli zwyczaj dzwonić do siebie codziennie. Bardzo odczuła ten brak kontaktu. Wstrzymując oddech, spojrzała na aparat, ale nie było żadnej wiadomości. Zawiedziona, wrzuciła telefon do torby.

Tego wieczoru, po obiedzie rodem z powrotu do przeszłości – kotlety z kością, puree i fasolka z puszki – postanowiła zadzwonić do Marcusa. Miała niezły pretekst: chciała mu życzyć szczęścia na występie przed Eddiem Izzardem. Jednak znowu trafiła na automatyczną sekretarkę. Wyobraziła sobie, że Marcus stoi w swoim mieszkaniu, słucha jej wiadomości, ale nie chce podnieść słuchawki. Nie mogła się powstrzymać, zadzwoniła na komórkę: też natrafiła na pocztę elektroniczną. Świat stanął na głowie, pomyślała. Albo mój chłopak się na mnie wkurzył, przyznała niechętnie.

Najwyraźniej jej wyjazd bardzo go uraził. Pytanie, jak bardzo? Przez chwilę zastanawiała się, czy ta szkoda jest do naprawienia. Zrobiło się jej słabo ze strachu. Naprawdę bardzo, bardzo, bardzo lubiła Marcusa. Ze wszystkich poznanych w ostatnich latach mężczyzn był najbliższy ideałowi. Nie mogła się doczekać niedzielnego wieczoru, bo przecież poprosił, żeby wtedy do niego zadzwoniła. A jeśli nie odbierze...? Chryste!

– W sobotni wieczór zwykle oglądamy film na wideo – poinformowała ją matka.

Stąd do wieczności – jakże stosowne, pomyślała Ashling. Wieczór ciągnął się niczym guma do żucia. Czuła się odsunięta od życia, tęskniła za Dublinem i swoim chłopakiem. Kiedy Burt Lancaster tarzał się z Deborah Kerr, Ashling zastanawiała się, co robi Marcus, czy Ted i Clodagh poszli na występ. Ze

wstydem uświadomiła sobie, że wcale tego nie chce, że gdyby nie poszli, czułaby się mniej osamotniona.

Rodzice ogromnie się starali. Wyjęli torebkę mieszanki czekoladowej, kupionej specjalnie dla niej, z wahaniem zaproponowali jej drinka, chociaż sami pili herbatę, a kiedy poszła do łóżka o zawstydzająco wczesnej porze, dwadzieścia po dziesiątej, matka uparła się, że przygotowuje jej termofor.

– Jest lipiec, upiekę się.

– Tak, ale noce bywają chłodne. Poza tym za dwa dni będzie sierpień, czyli już prawie jesień.

– O nie, już sierpień. – Ashling ze strachem zamknęła oczy. „Irlandka” miała wyjść ostatniego dnia sierpnia, a wciąż zostało im ogromnie dużo pracy – także przy przygotowaniach do cholernej imprezy inauguracyjnej. W lipcu skutecznie pocieszała się myślą, że mają jeszcze mnóstwo czasu, sierpień jednak był o wiele za blisko ostatecznego terminu.

Chwyciła z półki zniszczony kryminał Agaty Christie, poczytała go przez piętnaście minut, po czym zgasiła lampę z brzoskwiniowym abażurem. Pod brzoskwiniową kołdrą spała jak kamień, a tuż po przebudzeniu od razu włączyła komórkę, modląc się o wiadomość od Marcusa. Nic nie było – poczuła się okropnie przygnębiona. Nie pomogła brzoskwiniowo-biała, pasiasta tapeta, która otaczała ją ze wszystkich stron. Sięgając po papierosy, Ashling przewróciła miskę z potpourri. O zapachu brzoskwini, rzecz jasna.

Nie mogła znowu do niego zadzwonić. Pomyślałby, że jest zdesperowana. Naturalnie była zdesperowana, ale nie chciała, żeby to wiedział. Zamiast tego zadzwoniła do Clodagh, częściowo po informacje, a częściowo w nadziei, że Clodagh jednak nic nie będzie wiedziała.

– Widziałaś Marcusa? – Zacisnęła dłoń w pięść i marzyła o odmownej odpowiedzi.

– Taaak...

– Poszłaś z Tedem?

– No pewnie. – To jeszcze bardziej przeraziło Ashling. Naprawdę była pewna, że Clodagh nie dotknęłaby Teda nawet kijem, ale...

– Świetnie się bawiliśmy, Marcus był fantastyczny – szczebiotała Clodagh. – Opowiadał prześmieszny dowcip o damskich ciuchach. O różnicy między bluzką, topem, kamizelką a podkoszulkiem.

– Co takiego? – Pał diabli Clodagh i Teda. Nagle Ashling była bardziej przejęta sobą.

– Wiedział nawet, co to takiego bezrękawnik – entuzjasmowała się Clodagh.

– Jasne, że wiedział. – Ashling miała świadomość, że powinno jej to pochlebiać, tymczasem czuła się wykorzystana. Marcus nawet jej nie wspomniał o tym, że zamierza podczas występu cytować ich rozmowę.

– Nie mam pojęcia, skąd o tym wie – westchnęła Clodagh. Bo nie wie.

– A potem? – spytała Ashling zazdrośnie, niepewna, czy udźwignie inne niechciane informacje. – Poszłaś do domu?

– A skąd, poszliśmy za kulisy, poznaliśmy Eddiego Izzarda, urznęliśmy się. Bosko było!

Pożegnanie z rodzicami, zawsze stresujące, tym razem było gorsze niż zwykle.

– Czy ty w ogóle masz chłopaka? – spytał Mike jowialnie, niechcący posypując solą ranę Ashling. – Następnym razem przywieź go ze sobą.

O nie.

Wszystkie wagony były przepełnione. Ashling czuła się bardzo zmęczona i niedziennie przygnębiona, kiedy trzy godziny później pociąg zatrzymał się w Dublinie. Ruszyła ku postojowi taksówek w nadziei, że kolejki nie będą zbyt długie, kiedy w tłumie kręcącym się po dworcowej hali dostrzegła kogoś, kogo znała...

– Marcus! – Poczowała, że przeszywa ją dreszcz radości, gdy ujrzała jego nieśmiały uśmiech. – Co ty tutaj robisz?

– Wyszedłem po swoją dziewczynę. Słyszałem, że czasem są okropne kolejki do taksówek.

Roześmiała się radośnie. Nagle poczuła się niewiarygodnie szczęśliwa.

Wziął jej torbę w jedną rękę, drugą objął Ashling w pasie.

– Hej, przepraszam za...

– Nie ma sprawy! Ja też przepraszam.

Nasza pierwsza sprzeczka, pomyślała sennie, kiedy prowadził ją do auta. Pierwsza prawdziwa kłótnia. Teraz naprawdę jesteśmy parą.

47

Stos porzucanych ubrań na łóżku Clodagh rósł. Obcisła czarna sukienka? Zbyt seksowna. Spodnie i tunika? Zbyt ekstrawaganckie. Przezroczysta sukienka? Zbyt przezroczysta. A może białe spodnie? Nie, już je widział. Bojówki i trampki? Nie, głupio się w nich czuła. Ze wszystkich ubrań, które kupiła w ostatnich dwóch miesiącach, to było największe nieporozumienie.

Na chwilę Clodagh zapomniała o gorączkowym strojeniu się i doznała nagłego, niemiłego olśnienia. Co ja wyprawiam?

Nic, pomyślała natychmiast. Nic nie wyprawiała. Szła z kimś na kawę. Z przyjacielem. Z przyjacielem płci męskiej. No i co z tego? W końcu to nie muzułmański kraj, gdzie kamieniuje się kobietę spotkaną z mężczyzną, który nie jest jej mężem ani bratem. A zresztą, on nawet nie był w jej typie. Po prostu chciała się rozerwać. Nieszkodliwie.

Odrzuciła swoje piękne włosy, rozradowana, podniecona, pełna napięcia.

W końcu wybrała czarne spodnie i obcisły, landrynkowy podkoszulek. Popatrzyła w lustro i ujrzała siebie jego oczyma. Jego stosunek do niej był absolutnie oczywisty, czuła się piękna i silna.

Kawa, przypomniawszy sobie stanowczo, wychodząc na ulicę. Tylko tyle. Co w tym złego? Odepchnęła od siebie poczucie winy i oczekiwanie, które wręcz skręcało jej wnętrzności.

Ashling wpadła do pubu. Spóźniała się. Znowu.

– Marcus – jęknęła. – Przepraszam. Ta suka Lisa w ostatniej chwili kazała mi przepisać na komputerze artykuł o konnej jeździe. Chce „poczuć” listopadowy numer. – Z pogardą przewróciła oczyma, i na szczęście Marcus się do niej przyłączył. Czyli nie był zbyt wkurzony faktem, że musiał siedzieć samotnie w Thomasie Reidzie przez niemal pół godziny.

– Tylko wypiję poczwórną wódkę z tonikiem i skoczmy coś zjeść, dobra? Wypijesz jeszcze kufel?

Marcus wstał.

– Usiądź, najciężej pracująca kobieto w branży czasopism. Przyniosę drinki. Naprawdę chcesz poczwórny?

Ashling z ulgą opadła na krzesło.

– Dzięki. Podwójny wystarczy.

Kiedy Marcus wrócił, usiadł i powiedział:

– Posłuchaj, chciałem ci tylko przypomnieć, że szesnastego wyjeżdżam do Edynburga. Na festiwal.

– Szesnastego sierpnia? – Ashling była przerażona. Miała niejasne wrażenie, że jej o tym wspominał, wieki temu. – Ale to za dwa tygodnie... Posłuchaj – powiedziała gorączkowo. – Strasznie mi przykro, Marcus, ale nie będę mogła z tobą pojechać. Naprawdę, nie masz pojęcia, ile zostało roboty. Zapieprzamy jak dzikie osły, a zostało tyle pracy przy imprezie inauguracyjnej, nie mówiąc już o piśmie...

Marcus przybrał zboląły wyraz twarzy.

– Spróbuję wykroić sobie wolny weekend – dokończyła bez tchu. – Chociaż Lisa twierdzi, że teraz musimy pracować w każdy weekend, jeśli bardzo ładnie poproszę, być może...

– Daruj sobie.

Nie cierpiała, kiedy się tak zachowywał. Przez większość czasu był kochany, ale kiedy czuł się niepewnie albo brakowało mu wsparcia, stawał się zimny i agresywny, a ona nie mogła znieść konfrontacji.

– Spróbuję – powiedziała z rozpaczą. – Naprawdę.

– Daruj sobie.

– Posłuchaj. – Jej głos drżał. – Pod koniec sierpnia w pracy się uspokoim. Może nawet gdzieś razem wyjedziemy, na jakieś last minute do Grecji albo coś. No już rozchmurz się – powiedziała cicho do jego kamiennej twarzy. Zero reakcji. – No już, dowcipnisiu. Jeden z najlepszych irlandzkich komików opowie teraz dowcip.

Marcus niemal wystrzelił z miejsca.

– Opowiedzieć dowcip? – W jego głosie zabrzmiała niespodziewana wściekłość. – Mam wolny wieczór, kurwa. Czy ja ci każę pisać artykuły o udawaniu orgazmów, kiedy masz wolne?

Ashling zamarła.

Po chwili Marcus oparł czoło na dłoni.

– Przepraszam – powiedział ze znużeniem. – Naprawdę przepraszam.

– Rozumiem – oświadczyła Lisa z lodowatą uprzejmością. – Tak, oddzwonię. – Po czym rzuciła słuchawką i wrzasnęła: – Fiuty, fiuty, fiuty!

– Co za język – cmoknął z przyganą Bernard, ale nikomu nawet powieka nie drgnęła.

– Menadżer Ronalda Keatinga jest na pieprzonym zebraniu – wrzasnęła Lisa do niezainteresowanej redakcji. – Po raz zylardowy. Zostało niewiele ponad trzy tygodnie do dnia zero, a nadal nie mamy listu od sławy.

W rozpaczę oparła się o telefon i nagle ujrzała, że Jack na nią patrzy. Z troską uniósł brwi. Ostatnio często to robił. Odkąd popłakała się w gabinecie Jacka, czuła jego mocne, milczące poparcie. Łączyło ich, i tylko ich, porozumienie w sprawie wspólnego, drobnego sekretu.

Ale w sumie co mi po uniesionych z troską brwiach, pomyślała z irytacją. Jeśli już, to wolałaby inne uniesione części ciała. Co prawda, niedawno rozstał się z dziewczyną, może potrzebował trochę czasu, żeby dojść do siebie. Ale w końcu minęły już dwa tygodnie, ile można czekać?

Uśmiechnęła się do siebie ze smutkiem. Sama nie była w najlepszej formie po epizodzie z Oliverem. Chciała wrócić do Londynu, iść z nim do łóżka i już nigdy nie musieć wstawać. Nie zadzwonił do niej, najwyraźniej nie miał takiego zamiaru, ale życie musiało się toczyć dalej.

– Presja daje ci się we znaki? – Jack przysiadł na jej biurku. Poczula się śmiertelnie obrażona.

– A skąd – westchnęła. – Pieprzone sławy.

– Nigdy nie dajesz za wygraną. – Jego podziw był wręcz namacalny. – Chciałabyś trochę wolnego? Może zjemy sushi na lunch? Mogę postawić.

– Chciałabym. – To słowo wymknęło się jej, zanim zdążyła pomyśleć. Przed oczyma miała wizję Jacka usiłującego sobie postawić pewną część ciała.

– Co takiego? – Jego rehot zdecydowanie zabrzmiał nieprzyzwoicie.

– Nic. – Zrobiła zeza, ale nie mogła ukryć porozumiewawczego uśmiechu. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie, po czym jednocześnie przerwali to kokieteryjne napięcie, wybuchając śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że mnie zapraszasz? – zapytała.

– Eee... nie, nie mam tyle czasu. Ale może zamówimy na wynos, jak ostatnio.

– Ale wykorzystujcie sobie kogoś innego – warknęła Trix.

– Ja pójdę – zaskoczył wszystkich Jack. – Ktoś jeszcze ma ochotę? Może ty, Ashling?

– Nie, dzięki – bąknęła. Odnosiła niejakię wrażenie, że Jack traktuje ją protekcjonalnie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Nawet jeśli zamówię ci mniej przerażające kawałki i sam cię przez to wszystko poprowadzę?

– Nie.

– No dobra, wychodzę. A ty się nie przejmuj. – Popatrzył na Lisę. – Wszystko się dobrze układa.

Chociaż powtarzała wszystkim, że to, co robią, jest do niczego, a całe pismo wygląda „do dupy”, nie mogła zaprzeczyć, że poczynili spore postępy. Strony o książkach, filmie, muzyce, wideo i Internecie były gotowe, podobnie horoskopy, felieton zwykłej dziewczyny autorstwa Trix, artykuł o seksownym hotelu, rozkładówka Ashling o salsie, fantastyczna strona kulinarna Jaspera Ffrencha, sylwetka irlandzkiej aktorki, która wystąpiła w kontrowersyjnej erotycznej sztuce, wynurzenia pisarki, „Męski świat” Marcusa, który wszyscy uwielbiali. No i oczywiście, ta sesja mody.

Osiem stron na początku pisma poświęcono prezentacji boleśnie modnych, wschodzących irlandzkich gwiazd – projektantki torebek, didżeja, osobistego trenera i elokwentnego, seksownego ekobojownika, który był też królem bon motów. Lista „na topie” i „spada” też była niemal gotowa. Lisa wymyśliła ją w pięć minut i dała Ashling do dokończenia. Zdaniem Lisy, rubiny były „na topie”, a Rubinstein spadała.

– Rubiny są na topie? – spytała Ashling ze zdumieniem.

– Nie mam pojęcia. – Lisa wzruszyła ramionami. – Ale dobrze wyglądają w zestawieniu z Rubinstein.

Poza treścią czasopismo miało też wspaniały wygląd. Kolor, zdjęcia i czcionka lekko się różniły od tych z innych kobiecych magazynów, „Irlandka” wydawała się nowocześniejsza, bardziej modna. Lisa doprowadziła Gerry'ego do białej gorączki, zanim wreszcie dostała coś, z czego była zadowolona.

– Dokąd żeglujesz? – spytała Lisa, kiedy Jack położył sushi na jej biurku.

– Do portu Dun Laoghaire.

– Dun Laoghaire – zadumała się znacząco. – Nigdy tam nie byłam.

– Spodobałoby ci się.

– Muszę kiedyś popłynąć.

– Musisz.

Na litość boską! Ile aluzji można robić?

Przyszło jej do głowy, że być może Jack obawia się jej mieszanki dynamizmu i urody. Nie byłby wyjątkiem. No i do tego razem pracowali. A ona była mężatką. On niedawno się rozstał...

W porządku! Uświadomiła sobie, że pozostaje jej tylko otworzyć usta i powiedzieć:

– Możesz mnie następnym razem zabrać.

– Chciałabyś? – Jego skwapliwość była, no cóż, skwapliwa, Lisa od razu zrozumiała, że słusznie przejęła kontrolę. – Może w piątkowy wieczór? – zaproponował. – Moglibyśmy przejść się po molo, pokazałbym ci łodzie. To niezły pomysł po całym dniu w biurze.

Hm. Spacer po molo. W zasadzie nie była spacerującą dziewczyną.

– Z rozkoszą!

48

Clodagh wbiła pięty w jego pośladki i wtoczyła go jeszcze głębiej w siebie. Za każdym razem, kiedy w nią wchodził, z jej piersi wyrywał się chrapliwy szepot.

– Boże!

Pchnął ją ponownie.

– Mocniej! Jeszcze raz.

Wezglowie łóżka rytmicznie tłukło o ścianę, włosy Clodagh były splątane i mokre od potu. Przywarła do niego z całej siły, a energia kumulowała się w jej ciele. Miała wrażenie, że porwał ją wir. Przy każdej następnej fali myślała, że to już koniec, lecz po chwili przepływała przez nią

kolejna, jeszcze wspanialsza. Drżała, ogarnięta silnymi spazmami rozkoszy, czuła ją w koniuszkach palców, w cebulkach włosów, w podeszwach.

– Boże! – westchnęła.

Z pewnością także doszedł, bo był zadyszany i spocony; leżał na niej całym ciężarem ciała. Wyczerpani, nie ruszali się przez chwilę, z trudem łapali oddech. Gdy poczuła, że pot na ich skórze stygnie, wygramoliła się z jego objęć i niedelikatnie go odepchnęła.

– Ubierz się – warknęła. – Szybko, muszę odebrać Molly z przedszkola.

Trzeci raz spali ze sobą, a ona zawsze była szorstka, niemal zimna, gdy było już po wszystkim.

– Pozwolisz, że wezmę prysznic?

– Tylko się pośpiesz – odparła krótko.

Kiedy wyłonił się z łazienki, była już ubrana i nie patrzyła mu w oczy. Nagle zamarła, pociągnęła nosem i zapytała ze zdumieniem:

– Czy to woda po goleniu Dylana?

– Chyba tak – wymamrotał, wściekły na siebie.

– Nie wystarczy ci, że pieprzysz jego żonę w jego łóżku? Nie masz za grosz szacunku?

– Przepraszam.

W pełnej napięcia ciszy włożył na siebie ubranie, które zaledwie przed godziną z niego zdzierała.

– Kiedy cię znowu zobaczę?

Nienawidził się za to pytanie, ale nie miał wyboru. Był zaślepiony.

– Zadzwoń.

– Zrobię sobie wolne, kiedy tylko zechcesz.

– Mam sąsiadów. – Zacisnęła wargi. – Na pewno zauważą.

- Możesz przyjść do mnie.
- Raczej nie. Zapadła cisza.
- Zachowujesz się tak, jakbyś mnie nienawidziła – poskarżył się.
- Jestem mężatką – uniosła głos. – Mam dzieci. Wszystko psujesz.

W drzwiach pochylił się, żeby ją pocałować, ale prychnęła gniewnie:

- Na litość boską, ktoś może zobaczyć.
- Przepraszam – wymamrotał.

Kiedy się jednak odwrócił, złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie. Pocałowali się pośpiesznie, rozpaczliwie. W końcu oderwali się od siebie, jego dłoń była pod jej koszulą szukała piersi. Jej brodawki były spuchnięte i twarde jak wiśnie, on znowu miał wzwód.

– Szybko. – Sięgnęła do jego rozporoka, wyciągnęła zawartość i zacisnęła pięść na twardej erekcji. Osunęła się na podłogę w przedpokoju, błyskawicznie zdarła z siebie dzinsy i przyciągnęła go do siebie. – Pospiesz się, nie mamy czasu.

Napięła pośladki i uniosła wygłodniałe biodra na jego spotkanie. Wsunął się w nią i wbijał krótkimi, mocnymi pchnięciami. Natychmiast przetoczyły się przez nią fale najwyższej przyjemności, coraz potężniejsze, gnały na zewnątrz i do środka, unosząc ją ku niemal nieznośnej rozkoszy.

Kiedy doszedł, zaszlochał w jej złociste włosy.

49

W piątkowy wieczór, w trampkach, jedwabnych spodniach i topie z wiskozy od Prady, Lisa kręciła się przy drzwiach wejściowych. Wybierała się na randkę z Jackiem i na myśl o tym czuła nieznanne ciepło.

Podjechał samochód, mężczyzna w środku pochylił się i otworzył jej drzwi. Czując się trochę jak uliczna prostytutka, Lisa wsiadła. Odjechali, udając, że nie słyszą śpiewnych okrzyków: „Jupi!”, „Super!” i „Lisa ma chłopaka!” w wykonaniu Francine i innych dzieciaków.

– A więc się zdecydowałaś. – Jack uśmiechnął się do niej.

– Na to wygląda. – Wyjrzała przez okno, kryjąc uśmieszek. Był zdenerwowany. Oboje byli.

Podczas tej jazdy niebo, bezchmurne w mieście, pokryło się ciężkimi, szarymi chmurami. Gdy wysiadali przy molo w Dun Laoghaire, Jack z powątpiewaniem spojrzął w górę.

– Może padać. Chcesz darować sobie ten spacer?

Ale Lisę przepełniał beztroski optymizm. Deszcz nie ośmielił się spaść.

– Chodźmy. – I poszli.

W zbyt jaskrawych promieniach słońca wyzierających spoza spuchniętych chmur wszystko wydawało się wręcz nierzeczywiste. Kępki trawy były tak intensywnie zielone, że niemal halucynogenne. Szare kamienie molo przybrały fioletową barwę. Nawet baran by się domyślił, że lada chwila lunie, ale Lisa postanowiła tego nie widzieć.

A więc to jest spacerowanie, pomyślała, gdy tak szli. Cóż, nie było to takie złe. Chociaż powietrze dziwnie pachniało.

– Świeżo – wyjaśnił jej Jack. – Widzisz? – Wskazał z dumą na łódź. – To moja.

– Ta? – Podniecona Lisa pokazała smukły, śnieżnobiały pałac na wodzie.

– Nie, ta.

– Och. – Dopiero wtedy Lisa zauważyła sfatygowaną łódkę obok. Myślała, że to pień drzewa, przygnany wiatrem. – Cudowna! – wykrztusiła.

Jemu się podobała, więc czemu nie poudawać? Cholera, pomyślała, naprawdę go lubię.

Kiedy byli już w połowie przystani, deszcz zaczął delikatnie kropić. Lisa ubrała się tak, żeby być przygotowana na rozmaite ewentualności, lecz deszcz do nich nie należał. Na jej nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

– Masz, włóż. – Jack ściągnął z siebie krótką skórzaną kurtkę.

– Nie mogę. – Jasne, że mogła (i chciała), ale co szkodziło go pokokietować?

– Możesz. – Już przykrywał jej ramiona kurtką, czuła żar jego ciała. Wsunęła ręce w jeszcze ciepłe rękawy, mankiety zasłoniły jej dłonie, ramiona utonęły w materiale. Kurtka była o wiele za duża i sprawiało jej to przyjemność.

– Lepiej wracajmy – powiedział, a kiedy deszcz rozpadał się na dobre, zaczęli biec. Trzymali się za ręce, jakby była to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. – Nigdy już tu ze mną nie przyjdiesz – wykrztusił, gdy biegli.

– Masz rację. – Uśmiechnęła się do niego szeroko, rozkoszując się ciepłem jego dłoni i dotykiem dużych palców.

Kiedy dotarli do auta, Jack był przemoczony do suchej nitki. Jego czarne włosy, przyklejone do czaszki, lśniły, przemoczona koszula przywarła mu do ciała, przeświecały przez nią włosy na piersi. Lisa też była całkiem mokra.

– Chryste! – Z rozłoszczonym uśmiechem popatrzył na siebie.

– Otwieraj samochód! – zawołała Lisa, nie tracąc dobrego humoru.

Stanąła po stronie pasażera i czekała, aż Jack wsunie klucz do zamka, ale w tej samej chwili popatrzyła na niego...

Potem, kiedy się nad tym zastanawiała, nie była pewna, które z nich zrobiło pierwszy krok. On? Ona? Wiedziała jedynie, że nagle rzucili się sobie

w ramiona, a ona dotykała jego muskularnego torsu, mokrych ud. Twarz Jacka była zroszona kroplami wody, włosy pozlepiały się w drobne strączki, z których woda kapała mu do oczu. I wtedy dotknął ustami jej ust.

Lisa była świadoma wielu rzeczy: słonego zapachu chłostanego deszczem morza, ciepła ust Jacka i niepokoju w majtkach. Bardzo zmysłowe. Czowała się jak w reklamie Calvina Kleina.

Pocałunek nie trwał zbyt długo, skończył się, zanim na dobre się rozkręcił. Liczy się jakość, a nie ilość. Łagodnie odrywając wargi od spragnionych ust Lisy, Jack ostrożnie pomógł jej wsiąść do auta.

– No już, wchodź – wyszeptał.

Pojechali z powrotem do miasta i poszli do kawiarni, gdzie Lisa wysuszyła włosy pod suszarką do rąk w łazience, następnie poprawiła makijaż i z szerokim uśmiechem na twarzy wróciła do baru. Nad kieliszkiem wina i kuflem piwa rozmawiali cicho i poufale, a głównie obgadywali ludzi z pracy.

– Powiedz, Marcus Valentine chodzi z naszą własną Ashling? – spytał Jack.

– Uhm. A co powiesz na Kelvina i Trix?

– Nie mów mi, że są parą. – Jack wydawał się wstrząśnięty tą myślą. – Wydawało mi się, że ona chodzi z... Jak ona go nazywa – patroszonym rybakiem.

– Tak, ale mam wrażenie, że prędzej czy później Trix i Kelvin zblizną się do siebie.

– Ale chyba się nienawidzą? Och, rozumiem. – Jack pokiwał głową. – To jedni z tych.

– Mówisz tak, jakbyś tego nie aprobował. – Lisa była bardzo ciekawa.

Jack był wyraźnie zakłopotany.

– Dla każdego coś miłego. Ale... – Pomyślał o swoich publicznych awanturach z Mai i tym razem naprawdę się zawstydził. – Szczerze mówiąc, nie przepadam za rutynowymi wrzaskami w związku. Chociaż pewnie trudno ci w to uwierzyć.

– Dlaczego więc ty i Mai...? Jack poruszył się niespokojnie.

– Sam nie wiem. Chyba z przyzwyczajenia. Na początku to było zabawne i raczej nie potrafiliśmy się inaczej porozumiewać. Tak czy siak... – Nie chciał się wdawać w szczegóły, bo nadal czuł, że jest winien pewną lojalność Mai. Uśmiechnął się do Lisy. – Jeszcze drinka?

– Nie, chyba nie...

Kiedy jednak miała położyć dłoń na jego udzie i spytać: „Wpadniesz na kawę?”, Jack powiedział:

– No dobrze, odwiozę cię do domu.

Wiedziała, że miał na myśli dokładnie to. Nieważne, pomyślała optymistycznie. Lubił ją. Na pewno mu się podobała, przecież ją pocałował. Nie mógł być miłszy. I odegnała z głowy ten okropny cienki głosik, który powtarzał: „Mógł być miłszy, mógł cię przelecieć”.

Clodagh z rozmarzeniem krążyła po kuchni, myśląc o dzisiejszym seksie. Był niesamowity, najlepszy...

Kiedy włożyła cukier do mikrofalówki i mleko do pralki, Dylan tylko na nią patrzył. I się dziwił. Przychodziły mu do głowy okropne myśli. Niewiarygodne.

– Nie chcę kolacji. – Craig z całej siły trzasnął łyżką o blat. – Chcę słodyczy!

– Słodyczy – zanuciła Clodagh, po czym poszperała w szufladzie i wyciągnęła paczkę maltesersów. – Bardzo proszę.

Wydawało się, że porusza się w rytm słyszanej tylko przez siebie muzyki.

– Ja też chcę słodczy – burknęła Molly.

– Ja też chcę słodczy – zaśpiewała Clodagh i wyjęła następną paczkę.

Przerażony Dylan nie odrywał od niej wzroku.

Z żartobliwym ukłonem rozdarła torbę Molly i wyjęła jeden cukierek.

– Dla ciebie? – Uśmiechnęła się do Molly. – Nie, dla mnie. – Ignorując hałaśliwe protesty Molly, trzymała maltesersa między wydętymi wargami i delikatnie go ssała, a potem wciągnęła do buzi i przez chwilę przesuwała językiem w sposób, który sprawiał jej ogromną przyjemność.

– Clodagh? – Głos Dylana się załamał.

– Uhm?

– Clodagh?

Otrząsnęła się błyskawicznie i gwałtownie rozgryzła maltesersa.

– Co?

– Wszystko w porządku?

– Jasne.

– Wydajesz się rozkojarzona.

– Naprawdę?

– O czym myślałaś? – Nie mógł nie zapytać.

– Myślałam o tym, jak bardzo cię kocham – odparła błyskawicznie.

– Naprawdę? – spytał ostrożnie. Był rozdarty. Podejrzewał, że nie powinien jej wierzyć, ale tak bardzo tego pragnął...

– Tak naprawdę bardzo, bardzo cię kocham. – Zmusiła się do tego, by go objąć.

– Słowo honoru? – Udało mu się pochwycić jej spojrzenie.

– Słowo honoru. – Patrzyła na niego spokojnie.

Przyszła sierpień, napięcie rosło. Nadal mieli luki w pierwszym numerze, wysiłki, by je wypełnić, spełzały na niczym. Trzeba było odwołać wywiad z Benem Affleckiem, bo miał zatrucie pokarmowe, recenzja sklepu z butami odpadła, bo sklep nieoczekiwanie się zwinął, artykuł o uprawiających seks zakonnicych został uznany za zbyt ryzykowny.

Zwłaszcza jeden dzień był tak frustrująco najeżony trudnościami, że Ashling i Mercedes się popłakały. Nawet oczy Trix niepokojąco lśniły (potem wypadła z redakcji do pobliskiego sklepu, gdzie ukradła kolczyki i wróciła w znacznie lepszym humorze).

Na dodatek wszystkim ciążyło, że nie mogli poświęcić pierwszemu numerowi całego czasu i uwagi. Pracowali już nad numerem październikowym i listopadowym. I nagle, w środku tego całego zamieszania, Lisa zwołała redakcyjne zebranie w sprawie numeru grudniowego.

Jednakże mimo ich gorzkiego oporu, nie był to dowód na jej chorobliwy pracoholizm. Premierowe pokazy grudniowych filmów urządzano w sierpniu. Jeśli w mieście była właśnie gwiazda, należało przeprowadzić z nią wywiad natychmiast, a nie za parę tygodni, kiedy sytuacja w „Irlandce” się uspokoi, ale gwiazda zdąży wyjechać do innego kraju.

No i pozostawało jeszcze przyjęcie inauguracyjne, na którego punkcie Lisa dostała obsesji.

– Musi coś deklarować, odbić się szerokim echem. Chcę, żeby ci, którzy nie dostali zaproszenia, płakali. Chcę mieć spektakularną listę gości, fantastyczne podarunki, genialne drinki i świetne jedzenie. Pomyślmy. – Zabębniła palcami o stół. – Co podamy do jedzenia?

– Może sushi? – zasugerowała Trix sarkastycznie.

– Znakomicie. – Oczy Lisy zaślniły. – Naturalnie, i co jeszcze? Ashling została obarczona przygotowaniem listy tysiąca wpływowych osobistości Irlandii.

– Nie jestem pewna, czy w Irlandii znajdzie się aż tysiąc wpływowych osobistości – oświadczyła Ashling z powątpiewaniem. – A poza tym chcesz ich wszystkich obdarować? Skąd weźmiemy na to pieniądze?

– Znajdziemy sponsora, najlepiej firmę kosmetyczną – warknęła Lisa.

Miała jeszcze gorszy humor niż zwykle. Trzy dni po tym, gdy Jack ją cmoknął, wyjechał do Nowego Orleanu na międzynarodową konferencję Randolph Communications. Na dziesięć dni! Przepraszał, że wyjeżdża w tak napiętym czasie, ale Lisę bardziej wkurzało, że jego nieobecność spowolni rozwój ich romansu.

– Zerknijcie na to zaproszenie. – Lisa rzuciła Ashling i Mercedes czystą srebrną wizytówkę.

– Eee... urocza – powiedziała Ashling.

– Byłoby fajnie, gdyby znalazł się tu jakiś tekst – prychnęła Mercedes.

– Jest tekst. – Lisa westchnęła z irytacją.

– No to może powinien być widoczny gołym okiem?

Ashling i Mercedes wyginały i obracały wizytówkę, aż światło padło na nią pod pewnym szczególnym kątem, i wtedy ukazały się słowa – także srebrne, maleńkie i stłoczone w rogu.

– To ich zaintryguje – oświadczyła ponuro Lisa.

Ashling była zmartwiona. Wszystko było trochę przekombinowane. Gdyby znalazła takie zaproszenie w skrzynce, wyrzuciłaby je do śmieci.

Lisa poleciała na jeden dzień do Londynu na imprezę z miksologiem, by omówić drinki.

– Kim jest miksolog? – spytała Ashling

– To barman – odparła Mercedes. – Akurat ich w Irlandii nigdy nie zabraknie.

Mercedes wydawało się, że podsłuchiwała, jak Lisa umawia się na wstrzyknięcie botoksu w Londynie i tak naprawdę właśnie po to tam jedzie. Faktycznie, gdy Lisa wróciła następnego dnia, jej czoło wydawało się tak sztywne i nieruchome, jakby zakuto je w pancierz ochronny. Przywiozła jednak wyszukaną listę modniastych drinków. Gości miał powitać koktajl z szampana, potem cytrynowe martini, potem cosmopolitan, manhattan, rum go-go i na końcu espresso w wódką.

– A tak wreszcie mamy prezent – oświadczyła Lisa ze złością. Czy tylko ona tutaj naprawdę pracowała? – Przy wyjściu każdy z gości otrzyma flakon wody nijakiej.

– Jakiej? – Ashling znieruchomiała ze zdumienia. Jeśli to miał być dowcip, to Lisa się nie wysiliła.

– Nijakiej. Wody nijakiej.

– Zamierzasz obdarować tysiąc grubych ryb Irlandii czymś takim? – Nie miała siły wybuchnąć śmiechem. – To będzie spore zdziwienie. Skąd weźmiesz tyle wody nijakiej? Czy musimy już teraz przystąpić do zbierania produktu wyjściowego?

Lisa otworzyła szeroko usta i patrzyła na Ashling.

– Przecież to jasne, że całość dostarczy producent. Nie sądzisz chyba, że same za to zapłacimy.

Ashling z miejsca wyobraziła sobie pracowników, rozlewających do flakonów kranówę, aby spełnić niecodzienną zachciankę Lisy.

– To miło z ich strony. – O co chodziło Lisie?

– Flakony mają pojemność tylko pięćdziesięciu mililitrów. – Lisa mówiła tak, jakby się urwała z choinki. – Ale wyglądają na duże, prawda? – Podniosła flakonik z wodą toaletową Issey Miyake.

– Ach – westchnęła ze zrozumieniem Ashling. – Masz na myśli wodę Miyake.

– No przecież. A ty co rozumiałaś?

Chyba muszę odpocząć, uświadomiła sobie Ashling. Zadzwoiła do Marcusa.

– Witaj, nieznajoma – powiedział na powitanie.

– E... hm... ha, ha, ha. Spotkamy się na lunchu?

– Masz chwilkę? To mi pochlebia.

– Wpół do pierwszej w Neary's. – Miała już dość tych komentarzy.

– Zaraz opowiem ci coś niesamowitego. – Ashling już miała zrelacjonować historię z wodą nijaką, kiedy Marcus oznajmił:

– Chwileczkę, to ja jestem komikiem, prawda? Oniemiała Ashling patrzyła na niego.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. – Nagle spokorniał. – Boże, przepraszam.

– To dlatego, że tak ciężko pracuję, tak? – Postanowiła chwycić byka za rogi. Ostatnio za dużo było sprzeczek, wynikających z tego, że czuł się ignorowany. – Marcus, jeśli to jakaś pocięcha, jesteś jedyną osobą, z którą się spotykam. Od wielu tygodni nie widziałam się z Clodagh, Joy ani Tedem, od

wieków nie byłam na lekcji salsy. Ale za dwa tygodnie wystartujemy i wszystko wróci do normalności.

– Dobrze – powiedział cicho.

– Przyjdź dziś wieczorem – dodała. – Proszę. Za kilka dni wyjeżdżasz do Edynburga i nie zobaczymy się przez cały tydzień. Obiecuję, że nie zasnę.

– Kiedyś będziesz musiała. – Uśmiechnął się niemrawo.

– Nie zasnę, dopóki, hm... Dopóki nie będzie trzeba – zakończyła. Zanedbywała go. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio uprawiali seks. Chyba z tydzień temu, czyli dawno. Nie mogła nic na to poradzić: była okropnie zestresowana i zmęczona. Szczerze mówiąc, z ulgą myślała o wyjeździe Marcusa.

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona, nie chcę cię narażać na stres. – W jego oczach była troska.

– Nie jestem zbyt zmęczona. – Mogła poświęcić jedną noc, prawda?

Byle do trzydziestego pierwszego. Potem wszystko wróci do normalności.

Zapłakana i podminowana Clodagh popatrzyła na stół kuchenny. Nie zostało już nic do prasowania. Uprasowała wszystko: podkoszulki Dylana, jego koszule, majtki, nawet skarpetki.

Poczucie winy, okropne, niszczące poczucie winy. Nie mogła na siebie patrzeć, miała ochotę rozdrapać sobie skórę z nienawiści do samej siebie.

Wszystko im wynagrodzi. Będzie najlepszą, najbardziej oddaną żoną i matką. Craig i Molly będą zjadali wszystko, co dostaną na talerzach. Jęknęła cicho – co z niej była za matka? Dawała im herbatniki na życzenie, pozwalała im siedzieć do późna w nocy. Dość tego. Teraz będzie surowa. Wręcz niebezpieczna. I jeszcze biedny Dylan. Taki oddany, ciężko pracujący Dylan,

wcale na to nie zasłużył. Zdrada, przerażające okrucieństwo, zimny koniec miłości. Odkąd wdała się w ten romans, nie była w stanie znieść dotyku Dylana.

Romans. Oddech uwiązał jej w gardle – miała romans. Aż się jej zakręciło w głowie od tej myśli. A jeśli zostanie przyłapana? A jeśli Dylan się dowie? Jej serce niemal stanęło na tę myśl. Musiała z tym skończyć. Natychmiast.

Nienawidziła siebie, nienawidziła tego, co robi, i gdyby opamiętała się teraz, zanim ktokolwiek się dowiedział, mogłaby wszystko odkręcić, tak jakby tego nigdy nie było. Napędzana tą myślą, sięgnęła po słuchawkę.

– To ja.

– Cześć, ja.

– Chcę z tym skończyć.

– Znowu? – Westchnął.

– Naprawdę. Więcej się nie zobaczymy. Nie dzwoń do mnie, nie wpadaj.

Kocham moje dzieci i męża.

– Dobrze – powiedział po dłuższej chwili.

– Dobrze?

– Dobrze, rozumiem. Do widzenia.

– Do widzenia?

– A co mam powiedzieć?

Trzasnęła słuchawką. Poczula się nieoczekiwanie wykiwana. A gdzie nagroda za szlachetny uczynek? Zamiast zadowolenia, czuła rozczarowanie i pustkę – i złość. Nieszczególnie się zmartwił. A podobno za nią szalał. Skurwysyn.

Wcześniej nosiła się z myślą, że zaceruje skarpetki Dylana, w kolejnej rozpaczliwej próbie zademonstrowania swojej miłości do niego. Kiedy jednak

bez entuzjazmu powlokła się do kuchni, wszystkie jej gospodarne postanowienia wyparowały. Pieprzyć to, pomyślała. Niech sobie kupi nowe skarpetki.

Niemal wbrew swojej woli pobiegła do przedpokoju, chwyciła za telefon i wcisnęła przycisk „redial”.

– Tak?

– Przyjedź. – Jej głos był płaczliwy i pełen złości. – Mamy czas do czwartej.

– Już jadę.

Ashling wyszła z redakcji tuż przed wpół do dziewiątej. Było jej niedobrze ze zmęczenia, nie mogła nawet znieść myśli o dziesięćminutowym spacerze do domu, więc zamówiła taksówkę. Zgarbiona na kanapie z tyłu, sprawdziła wiadomości na komórce. Była tylko jedna, od Marcusa. Nie mógł dziś przyjść, chodziło o jakiś występ. I Bogu dzięki, pomyślała. Teraz mogła zadzwonić do Clodagh, a potem wreszcie się położyć. Za dwa tygodnie, kiedy będzie już po wszystkim...

Wysiadając z taksówki, wpadła na Boo, który miał podbite oko.

– Co się stało?

– Sobotni wieczór, w sam raz na małą bójkę – wyjaśnił. – Parę dni temu jakiś pijak miał ochotę komuś przylać. Ot, blaski życia na ulicy.

– To okropne! – I dodała, zanim zdążyła pomyśleć: – Przepraszam, że pytam, ale dlaczego jesteś, hm... bezdomny?

– Z wyboru, naturalnie – odparł z kamienną twarzą. – Na żebrach zarabiam dwie stówy dziennie, zresztą, jak wszyscy bezdomni, nie czytałaś o tym w gazecie?

– Naprawdę?

– Nie. – Prychnął sarkastycznie. – Mam szczęście, jeśli zarobię dwie stówy pensów. Normalka. Nie ma pracy bez meldunku, nie ma meldunku bez pracy.

Ashling już o tym słyszała, ale dotąd nie wierzyła, że takie rzeczy naprawdę się dzieją.

– Ale nie masz rodziny, która... hm... mogłaby ci pomóc? Rodziców?

– I tak, i nie. – Zaśmiał się cicho i wyjaśnił: – Moja biedna mama nie cieszy się najlepszym zdrowiem. Psychicznym. A tatuś zabawił się w niewidzialnego człowieka, kiedy miałem pięć lat. Wychowałem się w rodzinach zastępczych.

– O Boże. – Ashling gorzko żałowała, że w ogóle rozpoczęła tę dyskusję.

– Tak, jestem chodzącym banałem – oświadczył Boo ze smutkiem. – To bardzo żenujące. I nie mogłem się odnaleźć w rodzinach zastępczych, bo bardzo chciałem być z mamą. Udało mi się zakończyć edukację bez zdania choćby jednego egzaminu. Zapewne nawet gdybym miał meldunek, nie znalazłbym pracy.

– Dlaczego władze miasta się tobą nie zaopiekują?

– Kobiety i dzieci mają pierwszeństwo. Gdybym zdołał zająć w ciąży, moje szanse zapewne by wzrosły. Jednak bezdzietni mężczyźni powinni sami zadbać o siebie, są ostatni w hierarchii ważności.

– A noclegownie? – Ashling słyszała kiedyś, że istnieje coś takiego.

– Brak miejsca. W tym mieście jest więcej bezdomnych, niż można by pomyśleć.

– Okropne to wszystko.

– Przykro mi, Ashling. Zepsułem ci dzień, co?

– Nie – westchnęła. – I tak był kiepski.

– Hej, skończyłem *Dni zbrodni* – zawołał za nią Boo. – Ci seryjni mordercy wiedzą jak okaleczać ludzi. I przeczytałem już do połowy *Załatwione!* Na jednej stronie naliczyłem trzynaście razy słowo „dymanie”.

– Coś podobnego. – Nie miała siły wysłuchiwać jego recenzji.

Z trudem weszła po schodach, naląła sobie kieliszek wina i wysłuchiwała automatycznej sekretarki. Po długiej nieobecności Cormac znów się aktywował. Cebulki hiacyntów miały się pojawić w przyszłym tygodniu, ale na tulipany przyjdzie poczekać.

Potem zadzwoniła do Clodagh. Nie rozmawiała z nią od paru tygodni, a dokładnie od swojego wyjazdu do Cork.

– Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam – tłumaczyła się. – Pewnie nie będę się z tobą mogła spotkać przed tym pieprzonym przyjęciem. Siedzę w redakcji do dziewiątej i jestem tak zmęczona, że ledwie pamiętam, jak się nazywam.

– Nie ma sprawy. I tak wyjeżdżam.

– Na wakacje?

– Nie, sama, na kilka dni. Do sanatorium w Wicklow... Bo jestem zmęczona i przepracowana – dokończyła Clodagh wrogo.

Nagle Ashling z przerażającą jasnością przypomniała sobie troskę Dylana o Clodagh i rozmowę z początku lata. Naszło ją bardzo, bardzo złe przeczucie, odniosła wrażenie, że nadciąga katastrofa. Clodagh miała kłopoty i znalazła się na brzegiem przepaści. Ashling ogarnęło poczucie winy i strach.

– Clodagh, coś się dzieje, prawda? Bardzo, bardzo mi przykro, że cię nie wspierałam. Pozwól sobie pomóc, pozwól, dobrze jest pogadać o tych sprawach.

Clodagh zaczęła cicho płakać. Tym razem Ashling przestraszyła się na dobre. Naprawdę działo się coś złego.

– Powiedz mi – powtórzyła.

– Nie mogę – chlipnęła Clodagh. – Jestem okropna.

– Nieprawda, nie jesteś, jesteś fantastyczna.

– Nie, ty nie wiesz. Jestem bardzo zła, nie masz pojęcia jak, a ty jesteś taka dobra... – Płakała tak głośno, że nie można było zrozumieć, o czym mówi.

– Przyjadę do ciebie – zaproponowała natychmiast Ashling.

– Nie, proszę cię, nie przyjeżdżaj. – Clodagh zaszlochala jeszcze kilka razy, pociągnęła nosem i oznajmiła: – Już dobrze. Nic mi nie jest. Serio.

– Wiem, że jest inaczej. – Ashling czuła, że Clodagh ją zbywa.

– Naprawdę – upierała się Clodagh.

Gdy Ashling odłożyła słuchawkę, zaczęła się trząść. Ted. Pieprzony Ted. Miała przeczucie... Drżącymi palcami wykręciła jego numer.

– Rzadko cię ostatnio widuję – oświadczyła oskarżycielsko.

– A czyja to wina? – Wydawał się urażony. A może próbował się bronić.

– No tak, przepraszam, mam mnóstwo pracy. Może pójdziemy się urządzić?

– Super! Dziś?

– Eee... może w przyszłym tygodniu?

– Nie, nie mogę.

– Dlaczego nie?

Nie mów tego, nie mów tego...

– Wyjeżdżam na parę dni.

Dobry Boże. Poczwała się tak, jakby ktoś przyłożył jej pięścią w brzuch.

– Z kim?

– Z nikim. Jadę na festiwal w Edynburgu, będę występował.
– Czyżby?
– Owszem. – Linia telefoniczna aż ociekała wrogością.
– No to powodzenia na wycieczce do Edynburga z nikim – oświadczyła Ashling sarkastycznie i odłożyła słuchawkę. Postanowiła poprosić Marcusa, żeby zawiadomił ją jeśli spotka tam Teda i Clodagh albo raczej, jeśli nie spotka Teda.

51

W ciągu najeżonych problemami, histerycznych dni i bezsennych nocy, nadszedł trzydziesty pierwszy sierpnia, dzień debiutu „Irlandki”. O wiele za wcześnie.

Ashling obudził znajomy ból, niczym szpila wbijająca się w jej ucho. Powinna była to przewidzieć. Jej niskiej jakości ucho zawsze wiedziało, kiedy zaatakować w najmniej odpowiednim momencie – pierwszy egzamin matury, pierwszy dzień w nowej pracy. Dzisiaj, w „tym najważniejszym dniu twojej pracy”, jak powtarzała Lisa, także jej nie zawiodło. Chyba byłaby rozczarowana, gdyby stało się inaczej.

Chyba, ale niekoniecznie, pomyślała ponuro, łykając cztery paracetamole i wpychając sobie kłęb waty w ucho. To wszystko spieprzyło. Nie mogła umyć tłustych włosów z obawy, że naleje sobie wody do ucha, musiała iść do lekarza przed pracą, a potem spróbować upchnąć wizytę u fryzjera w przerwie obiadowej, którą planowała wcześniej wykorzystać na pracę.

Ubłagała recepcjonistkę doktora McDevitta, żeby ją wcześniej przyjął, po czym ubłagała doktora, żeby dał jej jakieś przyzwoite środki przeciwbólowe.

– Zanim antybiotyki zaczną działać, minie parę dni – mówiła. – Nie mogę myśleć przez ten ból.

– W ogóle nie powinna pani myśleć – ofuknął ją. – Powinna pani leżeć w łóżku.

Chciałoby się! Po zrealizowaniu recepty musiała popędzić na przedpremierowy pokaz filmu, gdzie wszyscy, których spotkała, prowadzili rozmowy z jej tłustymi włosami. Film trwał bite trzy godziny, podczas których kręciła się niespokojnie, myśląc o tym, ile pracy mogłaby w tym czasie wykonać. A kiedyś uważała, że takie bywanie jest wspaniałe!

Gdy tylko pojawiły się końcowe napisy, chwyciła materiały prasowe i wybiegła z sali. Dziesięć minut później wbiegła do niemal pustej redakcji „Irlandki”, potykając się o sandały na imprezę i wpadając na sukienki zwisające z drzwi i szafek. Dzwonił telefon Lisy, ale zanim Ashling dobiegła do aparatu, osoba po drugiej stronie zrezygnowała. Po chwili Ashling rzuciła się do własnego telefonu, by po paru minutach się przekonać, że nie ma mowy o wizycie u fryzjera w czwartek w porze lunchu. Nawet kiedy zadzwoniła do salonów, które miały dług wdzięczności wobec „Irlandki”.

– Pilna sprawa? – usłyszała w pierwszym. – Tak, wiemy o dzisiejszym wieczorze. Lisa tu jest.

I to był koniec rozmowy. Lisa załatwiła sobie najdroższą usługę za friko. Telefony do innych fryzjerów pomogły ustalić Ashling, że Mercedes, Trix, Dervla, nawet pani Morley i Ciasteczkowy Potwór Shauna wykorzystały sytuację, żeby wcisnąć się między innych klientów.

Ale ze mnie pieprzona idiotka, pomyślała.

Nie miała jednak czasu na wściekanie się na siebie – powoli zaczęła wpadać w panikę. Jej włosy kapały od tłuszczu. Musiała je umyć w pracy. Na

szczęście redakcja była zawałona produktami do włosów – nawet znalazło się coś tak prozaicznego jak szampon. Ashling potrzebowała jednak pomocy, a jedyną osobą w okolicy był Bernard, ubrany na dzisiejszy wieczór w najpiękniejszą kamizelę w romby.

– Bernard, czy będziesz moim kochanym asystentem i pomożesz mi umyć włosy?

Wydawał się przerażony.

– Mam infekcję ucha – wyjaśniła cierpliwie. – Muszę mieć pewność, że woda mi się do niego nie dostanie.

Bernard rozpaczliwie wiercił się na krześle.

– Niech ci pomoże jedna z dziewczyn.

– Rozejrzyj się, nikogo to nie ma. Za niecałą godzinę mam wywiad z Niamh Cusack, muszę umyć włosy.

– A kiedy wrócisz?

– Z wywiadu muszę iść prosto do hotelu i pomóc w przygotowaniach. Proszę cię, Bernard!

– Nie – jęknął. – Nie mogę, to nie byłoby właściwe. Chryste! Niech to szlag trafi! Ale można się było tego spodziewać.

Bernard miał czterdzieści pięć lat i nadal mieszkał z matką.

– A poza tym muszę iść do towarzystwa kredytowego – skłamał i uciekł.

Ashling zgarbiła się przy biurku, czując łzy pod powiekami. Bolało ją ucho, była wyczerpana, musiała iść na przyjęcie z przyklepanymi, brudnymi włosami, podczas gdy wszyscy inni będą wyglądali fantastycznie. Przyłożyła wygiętą rękę do bolącego ucha, a kilka próbnych łez spłynęło jej po twarzy.

– Co się dzieje?

Podskoczyła. Jack Devine stał obok i wpatrywał się w nią niemal jak ktoś, kogo to obchodzi.

– Nic – wymamrotała.

– Co się dzieje?

– Dzisiejsze przyjęcie – wyznała niechętnie. – Mam brudne włosy, za żadne skarby nie mogę się dostać do fryzjera, a sama włosów nie umyję, bo mam zapalenie ucha, i nikt mi nie pomoże.

– Jak to nikt? Bernard? To dlatego wybiegał stąd w takim pośpiechu? Niemal mnie przewrócił, kiedy wychodził z windy.

– Poszedł do towarzystwa kredytowego.

– Nieprawda. Chodzi tam w piątki. Jezu, naprawdę musiałaś go przerazić. Jack nieźle się uśmieł, podczas gdy Ashling patrzyła na niego ponuro. Po chwili położył stosik dokumentów i zatarł ręce.

– No już, do roboty!

– Co do roboty?

– Idziemy do łazienki, umyjemy ci włosy. Popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Jesteś zajęty – napadła na niego. Zawsze był zajęty.

– Mycie włosów długo nie potrwa. Chodź!

– Do której łazienki? – wykrztusiła w końcu.

– Męś... – zaczął, po czym przerwał. Patrzyli na siebie z napięciem. – Ale...

– Nie do męskiej – powiedziała najbardziej stanowczym tonem, na jaki było ją stać.

– Ale...

– Nie. – Nie dość, że Jack Devine miał jej myć włosy, to jeszcze musiałyby się gapić na rząd pisuarów. – Mowy nie ma.

– No dobrze – westchnął, pokonany.

– Tu jest inaczej niż u nas. – Jack zatrzymał się na progu i patrzył na poczciwą łazienkę jak na coś niezwykłego, wręcz groźnego.

– No chodź – prychnęła, usiłując ukryć zakłopotanie. Wzięła gumowy prysznic, darmowy podarunek od firmy produkującej szampony, i usiłowała przymocować go do kranu. Składał się jednak w harmonijkę i skręcał. – Co za gówno. – Zacisnęła szczękę. Czy mogło ją spotkać jeszcze coś gorszego?

– Daj to. – Pochylił się nad nią, a ona zeszła mu z drogi. Jednym ruchem przymocował prysznic do kranu.

– Dzięki – mruknęła.

– A teraz co? – Patrzył, jak Ashling wkłada ręce pod wodę i reguluje temperaturę.

Pochyliła głowę i wsadziła ją do porcelanowej miski.

– Zmocz mi włosy. I uważaj na ucho. – Jezu, na co jej to było? Niepewnie ujął prysznic i eksperymentalnie polał jej głowę. Brązowe włosy Ashling natychmiast zmieniły barwę na połyskliwą czerń.

– Musisz zmoczyć całe! – zawołała stłumionym głosem.

– Wiem! – Poczowała, że zaczął od lewego ucha – zdrowego – unosząc jej włosy, dzieląc je na pasma, polewając wodą i przekładając wzdłuż krawędzi czoła i z powrotem na szyję. Łaskotało, wcale nie nieprzyjemnie.

Pochylił się, żeby zmoczyć wszystko, dotknął jej pleców, a jego udo znalazło się tuż przy jej boku. W tym samym momencie, kiedy poczuła od niego żar, uświadomiła sobie, że drzwi są zamknięte. Byli sami. Zaczęła się pocić.

Kiedy jednak strużka wody popłynęła ku jej prawemu uchu, przestraszyła się.

– Uważaj!

– Przepraszam. – Jack był rozczarowany. Myślał, że świetnie sobie radzi, jak na mężczyznę, który dotąd mył wyłącznie własne włosy.

– Przepraszam – miała przytłumiony głos. – Ale jeśli dostanie się tam woda, pęknie bębenek. Zdarzyło się to już dwukrotnie.

– Rozumiem. – Delikatnie ścisnął mokre strąki palcami, żeby usunąć wodę z zagrożonego obszaru. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że z tyłu jej ucha znajduje się dziwnie poruszający fragment skóry. Była to wąska, delikatna kreska, za którą wyrastał żywiołowy gąszcz włosów. Wyglądało to tak żałośnie, słodko i niewytłumaczalnie dzielnie. I ten wielki, idiotyczny kawał waty wystający jej z ucha... Przełknął ślinę.

– Szampon – oświadczyła. – Nanieś trochę na włosy, potem rozmasuj.

– Ashling, wiem, jak się używa szamponu.

– Och. No jasne.

Powoli zaczął zataczać kółka na jej czaszce, rozprowadzając szampon. Było to nieoczekiwane przyjemne. Ashling zamknęła oczy i oddała się temu uczuciu. Ostatni wyczerpujący miesiąc, koszmarna ilość pracy odeszły w zapomnienie.

– Jak sobie radzę? – spytał.

– Nieźle.

– Zawsze chciałem mieć zręczne ręce – powiedział. W jego głosie zabrzmiała tęsknota.

– Nie mógłbyś być fryzjerem – wymamrotała. Nie chciało jej się mówić, tak dobrze się czuła. – Jesteś za mało zniewieściały.

Czaszka łaskotała ją z rozkoszy, kiedy dotykał jej mocnymi, zdecydowanymi dłońmi. Ashling była cholernie spóźniona na wywiad z Niamh Cusack i szczerze mówiąc, miała to gdzieś. Dreszcze przeszywały jej czaszkę, napięcie zeszło z jej zestresowanego ciała, a jedynym dźwiękiem w tym pogrążonym w półmroku pokoju był oddech Jacka. Pochylona nad umywalką, sennie poddawała się jego ciepłu. Rozkosz... Ale wtedy, kiedy nagle poczuła dziwną tęsknotę, przestraszyła się. To nie było zwykle mycie włosów. Wiedziała to. On też musiał to wiedzieć. To było o wiele za intymne.

Do tego dochodziło coś jeszcze. Coś twardego w okolicy jej wątroby, mniej więcej tam, gdzie znajdowało się krocze Jacka Devine'a. A może się jej tylko wydawało?

– Teraz spłucz – powiedziała cienkim głosem. – I nałóż trochę odżywki, byle szybko, spóźnię się.

To był Jack Devine. Szef jej szefowej. Nie wiedziała, co się dzieje, ale cokolwiek to było, było zbyt dziwaczne.

W chwili gdy skończył, wycisnęła wodę z włosów i zobaczyła, że Jack podchodzi do niej z ręcznikiem.

– Sama wysuszę, dzięki. – Brakowało jej tchu.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Natychmiast opuściła wzrok, by nie patrzeć w jego oczy. Była zawstydzona, zakłopotana... Tak jak zawsze w jego obecności, ale dziesięć razy bardziej.

– Dziękuję – wykrztusiła. – Bardzo mi pomogłeś.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się, a wtedy nastrój całkiem się zmienił, do tego stopnia, że zastanawiała się później, czy przypadkiem nie wyobraziła sobie tego iskrzenia między nimi. – Nie jestem takim strasznym ogrem, jak uważacie.

- Nie, my...
- Jestem zwykłym facetem z trudną pracą.
- Eee... no tak.
- O ile się założymy, że Trix zauważy, że stąd wychodzę? Minęła dłuższa chwila, nim Ashling odpowiedziała:
 - O dychę.

52

Kiedy Jack dotarł do hotelu Park Herbert, przyjęcie trwało w najlepsze. Hotel był zatłoczony, na stołach leżały egzemplarze „Irlandki” w grubych, błyszczących stosach, a dziewczęta stworzyły niezwykle sprawny system obsługi oczekiwanych grubych ryb.

Pierwszym portem pośrednim była Lisa. Odstawiona i lśniąca, chyba nigdy w życiu nie wyglądała lepiej. Potem była Ashling, zakłopotana w sukience i na wysokim obcasie, sprawdzała zaproszenia na liście. Mercedes, smukła jak strzała w czarnej, obcisłej sukni, rozdawała nowo przybyłym plakietki, a Trix, niemal goła, wskazywała gościom szatnię. Piękni, młodzi ludzie krążyli z tacami pełnymi wyglądających na wyrefinowane koktajli – nigdzie nie było ani śladu parasolek.

- Pani naczelnia. – Jack zatrzymał się przed Lisą.
- Hej, to ja się witam z gośćmi. – Uśmiechnęła się do niego.
- No to przywitaj się ze mną.

Pocałowała go w policzek i z udawaną afektacją wykrzyknęła:

- Skarbie, cudownie cię widzieć! A właściwie jak masz na imię?

Jack roześmiał się i odszedł do Ashling, która popatrzyła na niego z nad wydruku.

– O, cześć! – powiedziała, nagle niespokojna. – Devine, Jack. Nie ma cię na mojej liście. Czy jesteś wpływowy?

– Nie. – Popatrzył na jej długą, czarną prostą sukienkę. – Dobrze wyglądasz.

Tak naprawdę jednak chciał powiedzieć, że wyglądała inaczej.

– W zasadzie nie noszę sukienek – oświadczyła. – I już poszło mi oczko w rajstopach.

– Jak tam włosy?

– Sam oceń. – Pomachała głową.

Na innych kobietach rozkołysany paż wyglądałby elegancko i kocio; na niej prezentował się z prostotą, która lekko chwyciła go za serce.

– A ucho? – zapytała radośnie, po czym uniosła koktajl z szampanem. – Zdrówko! Nic mnie nie boli. A teraz już idź, proszę.

*

Lisa przez cały wieczór wysłuchiwała gratulacji. Przyjęcie okazało się sukcesem: przyszli wszyscy. Po dokładnym badaniu doszukai się tylko stu czternastu wpływowych osób w Irlandii. Ale najwyraźniej wszystkie się stawiły. Po pomieszczeniu krążyły pochwały i słowa uznania. Było cudownie.

I mimo katastrof aż do samego dnia wydruku, „Irlandka” okazała się niezwykłym sukcesem. Jej przebojowość było widać dosłownie na każdej stronie. W ostatnim momencie Lisa zdołała załatwić list od sławy. Nowy boysband, Laddz, zdołał się przebić, a Shane Dockery, najważniejszy piosenkarz, nerwowy dzieciak, którego Lisa poznała w Monsoon wiele miesięcy wcześniej, zmienił się w autentycznego idola, na którego widok nastolatki traciły głowy.

Shane pamiętał Lisę. Jak mógłby zapomnieć jedyną osobę, która była dla niego miłą podczas tych pierwszy trudnych miesięcy? Postanowił, że jeśli tylko uda mu się ukryć choć na moment przed nastoletnimi fankami, chętnie zajmie się pisaniem felietonu. Wszyscy zgodzili się, że w jego artykule jest niezwykła świeżość i entuzjazm, na jakie nie byłoby stać starszych rockerów.

Lisa nie przestawała się szeroko uśmiechać. Kto by pomyślał cztery miesiące wcześniej, że jej się uda? I że będzie się z tym tak dobrze czuła? Nawet reklamodawcy się znaleźli – dzięki „bezdolnym” zdjęciom sukienek Friedy Kiely. Rzecznicy prasowi wszystkich wielkich domów mody uświadomili sobie, że „Irlandka” to nie prowincjonalna darmowa gazetka, ale pismo, z którym trzeba się liczyć. Nie tylko zamówili kosztowne ogłoszenia, ale również poprosili wprost o to, żeby w następnych numerach zaprezentować ich kolekcję.

– Cześć, Lisa.

Lisa popatrzyła na Kathy, swoją sąsiadkę, która stała z tacą sushi.

– O, cześć, Kathy.

– Dzięki, że mnie tu zatrudniłaś.

– Nie ma za co.

– Problem w tym, że ludzie wciąż pytają mnie o kielbaski. Lisa parsknęła śmiechem.

– Chyba pomylili przyjęcia.

– Sama spróbowałam tego sushi – wyznała Kathy. – Wiesz, nie jest najgorsze.

Obok przemknął Marcus Valentine. Nie wyglądał najlepiej. Lisa automatycznie obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. Za nim przydreptał

Jasper Ffrench – wyglądał jeszcze gorzej. Potem podszedł Calvin Carter, który przyleciał tu specjalnie z Nowego Jorku.

Calvin ciągle wyciągał dłoń do energicznych powitań i zwracał się do wszystkich po imieniu.

– Cudownie, Liso. – Popatrzył na przystojny tłum. – Cudownie. No dobra, przemawiamy.

Wspiał się na małe podium i zaczął od irlandzkiej frazy, którą zapisała mu fonetycznie Ashling.

– Kade Mila Falczy – ryknął, i najwyraźniej poszło mu bardzo dobrze, wnioskując z wesołości, jaką wywołał. Chociaż Calvin zawsze miał problemy z rozróżnieniem, czy ludzie śmieją się z nim czy z niego.

Następnie wygłosił mowę o Dublinie, o czasopismach i o tym, jaka wspaniała jest „Irlandka”.

– A kobieta, dzięki której to wszystko było możliwe... – Wyciągnął rękę, by wskazać Lisę. – Panie i panowie, naczelna nad naczelnymi, Lisa Edwards!

Gdy wokół rozległy się huczne, pijackie oklaski, Lisa weszła na podium.

– Klaszcz – syknęła Ashling do Mercedes. – Bo cię zwolni.

Mercedes zaśmiała się ponuro i nadal stała ze skrzyżowanymi rękoma. Ashling zerknęła na nią niespokojnie, ale nie mogła dłużej zwlekać, obowiązki ją wzywały. Była też zalana w trupa – z powodu wyczerpania, środków przeciwbólowych i alkoholu, naturalnie – i miała nadzieję, że zdoła się utrzymać na nogach wystarczająco długo, by wnieść kwiaty po kilku schodkach.

Gdy Lisa przemawiała, jej spojrzenie nie opuszczało Jacka, czy też, jak go w duchu nazywała, Wisienki na Dzisiejszym Torcie. Ze skrzyżowanymi rękami opierał się o ścianę, a jego uśmiech wyrażał ciepło i uznanie.

To jeszcze bardziej poprawiło jej humor. Dzisiejszy wieczór należał do niej. Odkąd Jack wrócił z Nowego Orleanu, byli zajęci i ledwie miała czas poflirtować. Teraz jednak mogli spocząć na laurach, a ona zamierzała dopilnować, by Jack dotrzymał jej towarzystwa. Popatrzyła na gości z nieprzeniknionym uśmiechem. Gdzie Ashling, do cholery? O, tu. Lisa skinęła głową – czas na bukiet.

Po mowach przyjęcie nabrało rozpędu. Calvin wydawał się zaniepokojony – w Nowym Jorku tyle nie pili. I gdzie zniknął Jack?

Jack, zmęczony ściskaniem dłoni, znalazł spokojny zakątek i tam się schronił. Na stole leżało kilka zapomnianych kawałków sush– ktoś najwyraźniej brzydził się je zjeść.

Nagle, burząc jego spokój, pobliskie drzwi wahadłowe otworzyły się gwałtownie, i wypadła z nich Ashling, tańcząc w rytm muzyki, z papierosem i kieliszkiem w dłoni. Była zdumiewająco dobrą tancerką, każda część jej ciała podrygiwała jak worek ze szczeniętami. Pewnie dlatego, że była bardzo, bardzo zalana.

Podeszła do Jacka, odstawiła torebkę ze zdumiewającą siłą, po czym nagle zauważyła coś na swoim kolanie.

– Uwaga, oczko! – oświadczyła. – Podaj mi torebkę.

Z papierosem w ustach i zmrużonymi oczami wyciągnęła z torby lakier do włosów. Szybko i sprawnie napsikała na rajstopy, od łydki po udo.

Jack patrzył tylko, zafascynowany.

– O co chodzi z tym lakierem?

– Dzięki temu oczko dalej nie pójdzie. – Jej wargi wykonywały dziwne, robaczkowe ruchy, gdy jednocześnie mówiła i przytrzymała papierosa w kąciku ust. O dziwo, wzbudziło to podziw Jacka.

Kiedy przyglądał się, jak Ashling wkłada pojemnik z lakierem do torby, nagle nabrał pewności, że mógłby jej zawierzyć swój los.

Krzyknęła raptem, jakby przyszedł jej do głowy świetny pomysł, znów zaczęła szperać w torebce i, skrecając się ze śmiechu, wyciągnęła flakon perfum. Rechocząc, napsikała sobie na nadgarstek, a potem podstawiła go pod nos Jackowi.

– Wiesz co? Strasznie nijakie perfumy. – Wybuchnęła donośnym śmiechem, demonstrując, że uważa ten żart za nieprawdopodobnie zabawny. Jack jej zawtórował, choć nie zrozumiał, w czym rzecz.

Zademonstrowała mu perfumy.

– Patrz: Issey Miyake. To dzisiejszy upominek dla wszystkich. Szkoda, że będzie rozdawany dopiero na sam koniec, bo moglibyśmy chodzić i mówić do wszystkich: „Co to za nijakie perfumy?” – Nagle coś zauważyła. – Obgryzasz paznokcie. – Uniosła jego dłoń i dokładnie się jej przyjrzała.

– Uhm – przyznał.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Chciał jej podać jakiś powód, ale nie mógł.

– Za bardzo się przejmujesz. – Z wątpliwym współczuciem poklepała go po palcach. – Hej, masz papierosy? – Popatrzyła na niego wyczekująco. – Jasper French ukradł moje.

– Myślałem, że nosisz zapasową paczkę – chciał to powiedzieć żartobliwym tonem, ale miał dziwnie zdrętwiałe usta, jakby był u dentysty.

– Miałam, ale też mi ją ukradł.

Zauważył, że po drugiej stronie sali Lisa patrzy na niego i wznosi kieliszek. Wszystko w niej było zaproszeniem. Kiedy szukał papierosów, czuł się zamroczony, nie mógł jasno myśleć. Lisa była piękna. Bystra i elegancka,

podziwiał ją za wizję i energię. Co więcej, naprawdę ją lubił. Na pewno – w końcu ją pocałował. Chociaż nie bardzo wiedział, jak do tego doszło

Lisa wiązała z nim konkretne plany, ale nagle, z zimną pewnością uświadomił sobie, że się do nich nie dostosuje. Dlaczego nie? Bo Lisa była mężatką? Bo pracowali razem? Bo nie mógł zapomnieć o Mai? A może nie mógł zapomnieć o Dee? Jednak nie było to żaden z tych powodów. Chodziło o Ashling. O kobietę znaną niegdyś jako Panna Złota Rączka.

Co się na Boga z nim działo? Czy to zmęczenie po podróży? Ale przecież wrócił dwanaście dni wcześniej, więc to chyba odpadało. Cóż, pozostawał tylko jeden wniosek. Jedyny i nieuchronny. Przechodził załamanie nerwowe.

53

Po przebudzeniu Ashling czuła się tak, jakby przejechał ją tir. Bolało ją ucho, kości, była zmęczona, ale co z tego? Wczorajszy wieczór nadzwyczajnie się udał. Przyjęcie nie tylko było sukcesem, przy okazji dobrze się na nim bawiła.

Przez chwilę nie wiedziała, czy jest w łóżku sama czy z Marcusem.

Potem przypomniała sobie, że wieczorem Marcus gdzieś się zawieruszył i że sama wróciła do domu. Nieważne. Teraz, kiedy pismo wystartowało, życie wróci do normalności.

Powlokła się na sofę, gdzie paliła papierosy i oglądała poranną telewizję. Czuła, że ma obolały mózg. Była koszmarnie spóźniona do pracy, ale to jej zwiślało. Mieli niepisane przyzwolenie na przyjście o dowolnej porze. W końcu niechętnie wzięła prysznic, uczesała się i o jedenastej wyszła na ulicę. Padało, niskie, wrześniowe chmury wisiały nad miastem, światło było szarzielone. Kilka metrów od drzwi, na mokrym chodniku, siedział Boo. Skulił się w sobie,

mokre włosy przylepiły mu się do czaszki, krople deszczu spływały po jego twarzy. Jednak gdy Ashling podeszła bliżej, ujrzała ze ściśniętym sercem, że twarz Boo nie jest mokra od deszczu. Płakał.

– Boo, co się dzieje? Czy stało się coś złego?

Popatrzył na nią. Miał otwarte, wykrzywione usta.

– Spójrz na mnie. – Zakrył oczy jedną ręką, drugą wskazał siebie, swoje mokre, brudne ubranie, brak schronienia nad głową. – Kurwa, to takie poniżające. – Zadrzał.

Ashling zamarła. Boo był zwykle taki radosny.

– Jestem głodny, zmarznięty, przemoczony, brudny, znudzony, samotny i przestraszony! – Zaszlochał. – Mam dość policji, zaczepek pijanych osiłków, dość traktowania mnie jak gówno. Po drugiej stronie ulicy nawet nie chcą mi sprzedać herbaty. Na wynos.

Ashling nigdy nie sądziła, że Boo lubi swoją bezdomność, ale nie miała pojęcia, że nienawidzi jej aż do tego stopnia.

– Tyle muszę znosić. Ludzie powtarzają, że jestem leniwym sukinsynem, że powinienem znaleźć sobie pracę. Kurwa, bardzo bym chciał. Nienawidzę żebraniny, to takie poniżające.

– Czy coś się stało? – spytała Ashling. – Skąd ten wybuch?

– Nic się nie stało – odparł ponuro. – Mam kiepski dzień.

Kiedy Ashling zastanawiała się, co robić, deszcz spływał z jej parasola i spadał dużymi kroplami na tył marynarki. Nagle poczuła przyływ frustracji. Nie była odpowiedzialna za Boo. Płaciła podatki, to rząd miał obowiązek zająć się takimi ludźmi. Może powinna go wpuścić na klatkę swojego domu? Nie mogła jednak tego zrobić: postąpiła tak latem, podczas szalejącej burzy i niektórzy lokatorzy mieli pretensje. Czy powinna go wpuścić do mieszkania?

Naprawdę go lubiła, lecz mimo sympatii czuła wewnętrzny sprzeciw. Ale był taki nieszczęśliwy.

W końcu się poddała.

– Chodź do mnie. Weź prysznic, zjedz coś. A ubrania wrzuć do pralki.

Miała nadzieję, że Boo odmówi i że będzie mogła odejść z czystym sumieniem, ale popatrzył na nią z łzawą wdzięcznością.

– Dzięki – wymamrotał, po czym znowu wybuchnął płaczem. – Nie wejdzie mi to w krew – dodał już na schodach.

Gdy tylko ujrzała go na tle swojego schludnego mieszkania, uświadomiła sobie, jaki jest brudny. Jego wysmarowane dżinsy zwisały żałośnie z chudych bioder, blada, pryszczata twarz była wypačkana, a kostki brudne.

– Śmierdę – przyznał ze wstydem. – Przepraszam.

Coś w niej pękło. Poczowała żal, wściekłość.

– Ręczniki. – Zaciskając zęby, podała mu stos ręczników. – Szampon, zapasowa szczoteczka do zębów. Tu jest proszek do prania, pralka. Tu masz czajnik, herbatę, kawę. Jeśli znajdziesz w lodówce coś jadalnego, jest twoje. – Wręczyła mu pięć funtów. – Muszę iść do roboty, Boo. Zobaczymy się później.

– Nigdy ci tego nie zapomnę.

Zamknęła drzwi, zostawiając go w przedpokoju, gdzie stał w mokrych dżinsach przypominających spodnie Charliego Chaplina, i z wielkim stosem olśniewająco białych i mięciutkich jak kaczuszka ręczników.

Kiedy Ashling zjawiała się w biurze, Jack Devine powiedział:

– Ktoś na ciebie czeka.

Wskazał na mężczyznę, który siedział przy jej biurku i wyglądał, jakby właśnie otrzymał potężny cios.

W chwili, gdy ujrzała Dylana, domyśliła się, że stało się coś strasznego. Naprawdę potwornego. Jego rysy były tak zmienione od szoku, że niemal go nie rozpoznała, a przecież znali się od jedenastu lat. Wydawał się wypłowiały, jego skóra, włosy i oczy pozbawione były życia. Wbił w nią oszołomiony, pełen bólu wzrok i oświadczył głośno, tak by wszyscy słyszeli:

– Clodagh ma romans.

Nagle Ashling uświadomiła sobie, że to prawda. Wierzyła mu. Jak strasznie ludzie traktują tych, których kochają, przyszło jej do głowy.

Była zobowiązana przejść przez wszystkie etapy. Za żadne skarby nie mogła powiedzieć do Dylana: „Szczerze mówiąc, też sobie pomyślałam, że ma kogoś na boku”. Musiała udawać, że istnieje możliwość pomyłki.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała więc.

– Przyłapałem ich.

– Kiedy? Gdzie?

– Dziś rano wróciłem do domu o dziesiątej. Martwiłem się o nią – burknął.

Raczej ją podejrzewał. Ale Ashling rozumiała.

– Przyłapałem ich w łóżku. – Nagle głos Dylana zmienił się w sopran i po raz drugi tego ranka Ashling patrzyła, jak dorosły mężczyzna szłocha niczym dziecko. – I wiem, kto to jest – przyznał. – Ty też go znasz.

Przerażenie i świadomość prawdy połączyły się w jedność. Ashling wiedziała, co zaraz powie Dylan.

– To ten pierdzielony komik.

Wiem.

– Ten twój kumpel.

Ted!

– Ten kutas Marcus. – Dylan przełknął ślinę. – Jak mu tam, kurwa.
Valentine czy jakoś – Marcus Valentine.

– Nie, chodzi ci o Teda, tego z ciemnym włosami.

– Nie, chodzi mi o tego patyczaka, Marcusa Valentine'a.

Nagle koszmar Ashling skręcił w całkiem innym kierunku.

– To nie jest mój kumpel – usłyszała z oddali swój głos. – To mój chłopak.

Kilka osób, które były w redakcji – Jack, pani Morley, Bernard – zamarło. Słysząc było tylko szloch Dylana.

– No, to nic dziwnego – powiedział głucho. – Nie pierwszy raz ukradła ci chłopaka.

Patrzył na nią długo, uważnie i zdecydowanie.

– Powinienem być zostać z tobą, Ashling... Pójdę już. – Podniósł dużą, podróżną torbę.

– Co to? – wymamrotała.

– Ubrania, rzeczy.

– Odszedłeś od niej?

– Tak, kurwa.

– Ale dokąd pójdziesz?

– Na początek do matki.

Tępo patrzyła, jak odchodził.

Nagle poczuła na ramieniu ciężar. Ręki. Ręki Jacka Devine'a.

– Chodź do mojego gabinetu.

Lisa przebudziła się, przygnębiona rozczarowaniem poprzedniego wieczoru. Cała kosmiczna radość wyparowała. Tak, czasopismo odniosło

sukces, tak, przyjęcie nadzwyczajnie się udało, ale to był tylko odprysk tego, co dla niej istotne. O co chodziło?

Rozczarowanie było podszyte potężnym zawodem, a to przez Jacka. Nie wątpiła, że po przyjęciu pójdą do niej. Czowała, że na to zasłużyła, miał być nagrodą za ciężką pracę i sukces.

Mimo że nie widzieli się od jego powrotu z Nowego Orleanu, była pewna, że mocą niepisanej umowy poczekają do inauguracji „Irlandki”, jednak kiedy wczoraj udała się po odbiór nagrody, okazało się, że Jack zniknął.

W połowie dnia, z nosem zwieszonym na kwintę, zjawiała się w pracy. Poszła prosto do gabinetu Jacka, częściowo po to, żeby przeanalizować inaugurację pisma, częściowo po to, żeby sprawdzić wibracje. Otworzyła drzwi.

I ujrzała coś niesamowitego. Nagle wszystko było jasne. Oszołomiona Lisa znieruchomiała.

Nie chodziło o to, że Ashling i Jack siedzieli sami w jego gabinecie, nie chodziło o to, że Jack tulił do siebie Ashling jak najcenniejszą na świecie porcelanową laleczkę. Chodziło o jego wyraz twarzy. Lisa nigdy w życiu nie widziała takiej czułości.

Wycofała się, a niedowierzanie sprawiło, że otoczenie wyglądało jak ze snu.

Trix sięgnęła po kartkę.

– Dzwonił...

– Nie teraz.

Kilka minut później z gabinetu Jacka wyłoniła się poszarzała Ashling, unikając wzroku kolegów, i wyszła z redakcji. Potem gabinet opuścił zmęczony Jack.

– Lisa! – wykrzyknął. – Ashling przeżyła ciężki szok, odesłałem ją do domu.

Odezwanie się do niego wymagało od mej sporego wysiłku.

– A co jej jest?

– Eee... odkryła, że jej chłopak ma romans z jej najlepszą przyjaciółką.

– Co? Marcus Valentine i ta Clodagh?

– Tak.

Lisa miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem.

– Możesz przyjść do mojego gabinetu? – spytał Jack. – Muszę z tobą o czymś pogadać.

Czyżby zamierzał przeprosić? Wytłumaczyć jej, że tylko pocieszał Ashling, a tak naprawdę zależy mu na Lisie? Ale on chciał rozmawiać wyłącznie o pracy.

– Na początek chciałem ci pogratulować wczorajszego przyjęcia i pierwszego numeru. To, co osiągnęłaś, znacznie przewyższa nasze wszystkie oczekiwania i cały zarząd pragnie ci pogratulować.

Lisa skinęła głową, świadoma, że coś utraciła. Cała ich swoboda zniknęła, usuwała się im spod stóp. Jack był widocznie zakłopotany w jej towarzystwie.

– Przykro mi, że muszę to robić, kiedy powinnaś się cieszyć swoim sukcesem – ciągnął. – Ale mam złe wieści.

Kochasz Ashling?

– Mercedes złożyła dzisiaj wymówienie.

– Och! Dlaczego?

– Wyjeżdża z Irlandii.

Suka, pomyślała z zawiścią Lisa. Nawet nie starczyło jej przyzwoitości, by przyznać, że rezygnuje, bo Lisa to opętana na punkcie władzy tyranka, dla której nie da się pracować.

– Dostała pracę w Nowym Jorku – wyjaśnił Jack. – Najwyraźniej przeniesiono tam jej męża.

– W Nowym Jorku? – Lisa przypomniała sobie czerwcowy wyjazd Mercedes. Nagle przyszła jej do głowy potworna myśl. – Ale ta nowa praca to nie... nie... w „Manhattanie”?

– Nie wiem, w którym czasopiśmie, nic nie powiedziała.

– Gdzie ona jest? – Lisa nagle wpadła w złość.

– Nie ma jej. Miała tydzień zaległego urlopu. Wzięła więc go w ramach okresu wypowiedzenia.

Lisa ukryła twarz w dłoniach.

– Pozwolisz, że pójde do domu.

Zamówiła taksówkę, a piętnaście minut później, nadal czując się jak we śnie, trafiła do domu. Przekręciła klucz w drzwiach i weszła do środka. W przedpokoju leżała duża, beżowa koperta. Lisa zdjęła buty, podniosła ją z roztargnieniem, a następnie rozerwała. Rozwinęła sztywny papier, rzucając torebkę na blat kuchennego blatu. Dopiero potem skoncentrowała się na kartkach.

Wystarczył jej jeden rzut oka. Z niedowierzaniem osunęła się na podłogę, jakby otrzymała cios w brzuch.

Był to pozew rozwodowy.

Clodagh otworzyła drzwi wejściowe i cofnęła się o krok, słysząc:

– Ty suko!

– Ashling?

– Nie spodziewałaś się mnie?

Rzeczywiście. Mogła myśleć tylko o Dylanie, o tym, że się dowiedział i ją zostawił. Gdzieś z tyłu jej głowy kołatała się myśl, że będzie musiała pogadać z Ashling, ale chwilowo nie była w stanie się na tym skoncentrować.

– No, najlepsza przyjaciółko. – Ashling wepchnęła się do kuchni. – Czy w ogóle o mnie pomyślałaś, kiedy pieprzyłaś się z moim facetem?

Clodagh była rozdarta. Jak miała wytłumaczyć to poczucie winy, te męki?

– Myślałam o tobie, Ashling – odparła pokornie. – Myślałam, było mi naprawdę ciężko. Mogłoby się wydawać, że tylko bohaterowie telenowel mieszej romanse. Zwykli ludzie też, tak się po prostu dzieje.

– Ale ja? Jak mogłaś mi to zrobić?

– Nie wiem. Nie spotykaliście się zbyt długo, przecież nie był twoim mężem, a ja czułam się taka nieszczęśliwa, w pułapce i myślałam, że oszaleję...

– Nie próbuj wzbudzać mojej litości. Kurwa, masz wszystko – przerwała jej Ashling z wściekłością. – Po co go sobie wzięłaś? Masz wszystko.

Ale Clodagh odpowiedziała tylko:

– Czasem wszystko nie wystarczy.

– Kiedy to się zaczęło?

– Kiedy byłaś w Cork – oświadczyła Clodagh sztywno. – Dał mi kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Zwoń moi. – Zdumienie na twarzy Clodagh sprawiło przyjemność Ashling. – Ma je większość Dublina. To po co wyszedł po mnie na stację?

Clodagh lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Pewnie czuł się winny.

– Co potem?

– Wpadł tutaj w poniedziałek, po tamtym weekendzie. Nic się nie wydarzyło. Wypił herbatę, a przed wyjściem umył filiżankę. To drobiazg, ale...

– Powiedział: „Mamusia dobrze mnie wychowała” – wtrąciła Ashling. – Jasne, mnie to też oczarowało.

– On mnie kocha – oznajmiła wrogo Clodagh.

Pewnie tak, uświadomiła sobie Ashling. Ból przeszył jej pancerz gniewu.

– I co się potem stało?

– Zaprosił mnie na kawę...

– A potem?

– A potem... Przyszedł tu następnego dnia.

– I wtedy już nie tylko umył filiżankę? – Tej rozmowy nie ma, tylko mi się wydaje.

Clodagh pokiwała głową, unikając kontaktu wzrokowego.

– Pojechałaś z nim do Edynburga?

Clodagh ponownie pokiwała głową.

– Nie sądziłam, że jest w twoim typie. – Ashling zdawała sobie sprawę, że jej twarz jest wykrzywiona i oszpecona bólem. Jak bardzo pragnęła pełnej godności, dystygowanej miny.

– Ja też nie sądziłam – przyznała Clodagh. – Ale od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy widziałam, jak występuje, naprawdę mi się spodobał. Wcale nie chciałam, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– A co z Dylanem?

– Nie wiem, po prostu nie wiem... Posłuchaj, zdradziłam cię, naszą przyjaźń i to na pewno bardziej boli niż koniec tego... hm... romansu.

– Mylisz się – odparła Ashling. – O wiele bardziej żałuję, że straciłam chłopaka.

Clodagh popatrzyła na bladą, rozzłoszczoną twarz Ashling.

– Nigdy cię takiej nie widziałam – przyznała niepewnie.

– Jakiej? Złej? No, za długo z tym zwlekałam.

– Jak to?

– Już to kiedyś zrobiłaś – odparła Ashling cicho. – Dylan był moim chłopakiem.

– No tak, ale... zakochał się we mnie.

– Odbiłaś mi go.

– No to dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? – spytała Clodagh z nagłą goryczą. – Wiecznie robisz z siebie ofiarę.

– Czyli to moja wina? – Ashling była nieprzyjemna. – Wyjaśnijmy sobie jedno. Wybaczyłam ci Dylana. Tego ci nigdy nie wybaczę.

54

Cholera, pomyślała. Załamalam się nerwowo.

Popatrzyła na łóżko. Jej stanowczo domagające się prysznicia ciało leżało na stanowczo domagającej się prania pościeli. Chusteczki, wilgotne i pogniecione, zaśmiecały koldrę. W szufladach leżał nietknięty arsenał czekoladek i łapał kurz. Na podłodze walały się czasopisma, których nie była w stanie przeczytać. Telewizor w kącie nieubłaganie przekazywał poranny program wprost do jej łóżka. Tak, był to typowy obraz załamania nerwowego.

Jednak coś się nie zgadzało. Co?

– Zawsze myślałam... – bąknęła. – No, zawsze sądziłam... I nagle już wiedziała. – Zawsze myślałam, że będzie fajniej...

Clodagh pomyślała, że się rozpada, z pewnością tak było. Musiała się jednak ubrać i odebrać Molly z przedszkola. Po powrocie znów rzuciła się na łóżko i próbowała zacząć od punktu, w którym skończyła, ale Molly domagała się klusek z mikrofalówki. Clodagh podniosła się z rezygnacją.

I tak jej się nie podobało – co zresztą było dla niej wielką niespodzianką. W dzieciństwie patrzyła, jak matka Ashling właściwie nie wychodzi z łóżka, i wydawało jej się to fantastycznie dekadentkie. Jednak w praktyce bezradne leżenie w pościeli, kiedy czuje się wyłącznie nienawiść do siebie i zamęt, nie było nawet w połowie tak zabawne, jak przypuszczała.

Od dziesiątej rano – tak, to się zdarzyło tego ranka – jej całe życie przestało wydawać się realne. Od chwili, gdy usłyszała klucz Dylana w zamku, wiedziała. Wiedziała, że zaraz się zacznie.

Przestała gwałtownie rzucać się pod Marcusem i przyłożyła dłoń do ucha, żeby lepiej słyszeć.

– Cicho!

Zsunął się z niej w jednym płynnym ruchu: znieruchomieli i z wybałuszonymi oczyma słuchali, jak Dylan wchodzi po schodach.

Mogła spokojnie wyskoczyć z łóżka, owinać się szlafrokiem i ukryć Marcusa w garderobie. Marcus rzeczywiście usiłował się schować, ale mocno złapała go za przegub. Potem z przerażającym spokojem czekała na scenę, która miała odmienić całe jej życie.

Przez ostatnie pięć tygodni w bezsenne noce zastanawiała się, do czego doprowadzi ten romans. Z jednej strony chciała zerwać z Marcusem i wieść normalne życie z Dylaniem, z drugiej wyobrażała sobie sytuację, w której

magicznie zabraknie Dylana, a ona nie będzie musiała mu mówić, że wszystko skończone.

Kiedy jednak słyszała odgłos zbliżających się kroków, uświadomiła sobie, że decyzja już zapadła. Nagle wcale nie była taka pewna, że jest na nią gotowa.

Drzwi sypialni się otworzyły, i choć wiedziała, że to Dylan, jego obecność sprawiała, iż Clodagh popadła w odrętwienie.

Jego twarz. Wyraz jego twarzy był znacznie straszniejszy, niż to sobie wcześniej wyobrażała. Niemal zdumiało ją natężenie bólu. A głos, którym przemówił, wcale nie należał do Dylana. Był w nim przydech, jakby ktoś uderzył go w żołądek.

– Rzykując, że zabrzmiało to jak słowa piosenki... – Z żalosną godnością walczył o oddech. – Od jak dawna to trwa?

– Dylan...

– Jak dawno?

– Miesiąc.

Dylan odwrócił się do Marcusa, który przyciskał prześcieradło do piersi.

– Mógłbyś wyjść? Chcę porozmawiać z żoną.

Zasłaniając wstydliwie genitalia, Marcus wycofał się tyłem z łóżka, złapał jakieś ubrania i wymamrotał do Clodagh:

– Później zadzwonię.

Dylan patrzył za nim, a następnie spojrzał na Clodagh.

– Dlaczego? – spytał cicho.

W tym jednym jedynym słowie zawarte było sto tysięcy innych pytań. Z trudem szukała odpowiedzi.

– Naprawdę nie wiem.

– Proszę, powiedz dlaczego. Powiedz mi, co jest źle. Możemy to naprawić, zrobię, co się da.

Co miała odpowiedzieć? Nagle, z nieuchronną pewnością wiedziała już, że nie chce, żeby Dylan cokolwiek naprawiał. Mimo to była mu winna uczciwą odpowiedź.

– Chyba czułam się samotna.

– Samotna? Jak to?

– Nie wiem, nie potrafię tego opisać. Ale byłam samotna i znudzona.

– Znudzona? Mną?

Zawahała się. Nie mogła być aż tak okrutna.

– Wszystkim.

– Chcesz to naprawiać?

– Nie wiem.

Patrzył na nią długo, z bólem w oczach.

– Czyli nie. Czy kochasz tego... go? Bezradnie skinęła głową.

– Chyba tak.

– W porządku.

– W porządku?

Jednak Dylan nie odpowiedział. Wstał, ściągnął z szafy dużą torbę, rzucił ją na łóżko, po czym zaczął do niej ciskać bieliznę i koszule z najrozmaitszych szuflad. Nie była przygotowana na przeżycie takiego szoku.

– Ale... – zaczęła, rzucając spojrzenia na boki, patrząc na jego krawaty, przybory do golenia, skarpety. Wszystko działo się błyskawicznie.

Nagle torba była już pełna, Dylan zapiął ją, hałaśliwie zgrzytając suwakiem.

– Po resztę wrócę później.

Wypadł z pokoju, a po pełnej wahania sekundzie Clodagh otuliła się szlafrokiem i zbiegła po schodach.

– Dylan, nadal cię kocham – powiedziała błagalnie..

– No to dlaczego to wszystko? – Wskazał głową piętro.

– Nadal cię kocham – powtórzyła przytłumionym głosem – ale...

– Nie jesteś już we mnie zakochana? – dokończył szorstko.

Zawahała się. Musiała jednak być uczciwa.

– Chyba tak. Zakrył twarz.

– Wrócę wieczorem, żeby wytłumaczyć sytuację moim dzieciom.

Na razie możesz tu mieszkać.

– Na razie?

– Dom trzeba będzie sprzedać.

– Jak to?

– Nie stać mnie na spłacanie hipoteki za dom i mieszkanie. A jeśli myślisz, że tu zostaniesz, a ja będę mieszkał w jakiejś śmierdzącej norze w Rathmines, to się grubo mylisz.

I już go nie było.

Aż zakręciło się jej w głowie od szoku, od szybkości, z jaką się to wszystko rozegrało. Fantazjowała, że Dylan usunie się z jej życia, ale teraz, gdy faktycznie tak się stało, okazało się, że to bardzo ohydne. Jedenaście lat wymazane w pół godziny, do tego Dylan tak cierpiał. I jeszcze ten tekst o sprzedaży domu! Owszem, szalała za Marcusem, ale to nie było takie proste.

Zbyt oszołomiona, by się rozplakać, zbyt przestraszona, by żałować, długo siedziała w kuchni. Dzwonek do drzwi wejściowych sprowadził ją na powrót do rzeczywistości. To mógł być Marcus.

Ale nie. To była Ashling.

Clodagh się jej nie spodziewała. Na pewno nie była gotowa na konfrontację. I nietypowa, pełna złości wrogość Ashling dopełniła obrazu zniszczenia. Clodagh zawsze była otoczona miłością, a tu nagle wszyscy jej nienawidzili, ona sama również. Była pariaską, szują, złamała wszystkie zasady i nikt nie zamierzał jej tego wybaczać.

Po wyjściu Ashling Clodagh wybuchnęła płaczem. Na powrót weszła do łóżka, do pościeli pachnącej przerwany seksem. Nigdy nie wyprała tyle pościeli, ile przez ostatnie pięć tygodni. Dziś nie musiała, nie było już potrzeby się ukrywać.

Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Marcusa, aby mógł jej powtórzyć, że nie zrobili nic złego. Że szaleli za sobą, że nic nie mogli na to poradzić, że połączyło ich szlachetne uczucie. Ale nie było go w pracy, komórki też nie odbierał, więc sama musiała radzić sobie z cierpieniem.

To nie moja wina, powtarzała raz za razem, niczym mantrę. Nie mogła nic na to poradzić. Ale dostrzegała już swoje okrucieństwo, zupełnie jakby zaglądała w uchylone wrota piekieł. To, co zrobiła Dylanowi, było niewybaczalne. Niewiarygodne. Drżącą ręką chwyciła najbliższe czasopismo i usiłowała zatonać w lekturze artykułu o zdobieniu ścian szablonem. Jednak rana znów się otworzyła – tym razem bardziej. Clodagh zrozumiała, że kopnęła w dupę nie tylko Dylana. Także swoje dzieci. I Ashling.

Jej serce biło coraz szybciej, spoconą dłonią naciskała guziki na pilocie, aż trafiła na Jerry'ego Springera. Nie potrafiła jednak uciec od siebie – zazwyczaj ludzie, których zapraszał, przypominali postaci z kreskówki z idiotycznie zaplątanym życiem osobistym, ale dzisiaj czuła się taka sama jak oni wszyscy.

Przełączyła na *Esmeraldę*, potem na *Home and Away*, ale nic nie pomagało. Drżała z powodu szoku i niedowierzania, że tak się potoczyło, że spowodowała takie zniszczenie. Potem przypomiwała sobie, że musi odebrać Molly z przedszkola i ogarnął ją przerażający paraliż. Nie mogła wyjść. Naprawdę nie mogła. To było niewykonalne.

Nie mogła być sama ani z nikim innym i przez jeden straszny moment miała wrażenie, że się rozpada. Ta trudna do ogarnięcia myśl utkwiała w jej umyśle, ale w końcu potem Clodagh wygramoliła się z łóżka. Rozpadanie się było jeszcze bardziej nieprzyjemne niż konfrontacja ze światem.

Marcus zadzwonił po południu i – mimo wszystko – każda komórka jej ciała zaczęła śpiewać na dźwięk jego głosu. Szalała za nim, tak jak już od lat nie szalała za Dylanem. Jeśli w ogóle kiedykolwiek szalała za Dylanem. Miłość zwycięży wszystko.

– Jak się masz? – spytał ją zatroskanym tonem,.

– Do dupy! – Roześmiała się przez łzy. – Dylan się wyniósł, wszyscy mnie nienawidzą, katastrofa.

– Będzie dobrze – uspokajał ją.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Dzwoniłam wcześniej, ale nie odbierałeś.

– Staram się nie rzucać w oczy.

– Ashling wie. Dylan jej powiedział.

– Tak właśnie myślałem.

– Porozmawiasz z nią?

– To chyba nie ma sensu – odparł, usiłując ukryć wstyd. – Chcę być z tobą. Czy mogę jej powiedzieć cokolwiek, czego sama już nie wie?

Marcus przez ostatnie pięć tygodni usprawiedliwiał swój związek z Clodagh wmawianiem sobie, że Ashling go zaniedbuje. Szczerze mówiąc, sprawa przedstawiała się bardziej skomplikowanie. Nie mógł uwierzyć, że tak mu się poszczęściło z Clodagh. Była taka piękna, zdecydowanie wolał ją od Ashling. Jednak bardzo lubił Ashling i źle się czuł przez swoje paskudne zachowanie. Nie umiał jednak stawić czoła własnej decyzji o nawiązaniu romansu w rozmowie z Ashling.

Lepiej było skoncentrować się na pozytywnych sprawach.

– Zobaczymy się? – spytał głosem niskim z pożądania.

– Dylan przyjdzie po pracy. Porozmawiać z dziećmi. Boże, trudno w to uwierzyć...

– A kiedy już sobie pójdzie? Mógłbym zostać na noc. W końcu teraz nie musimy się już niczego obawiać, prawda?

Poczula ukłucie piersi.

– Zadzwoń do ciebie po jego wyjściu.

– Zadzwoń do domu. Trzy razy, potem odłóż słuchawkę i znowu zadzwoń. Dzięki temu rozpoznam, że to ty.

Dylan przyszedł po pracy. Był zmieniony. Już nie tak wyraźnie cierpiący, tylko zły.

– Chciałaś zostać przyłapana, prawda?

– Nie!

A może chciała?

– Tak, chciałaś. Zachowywałaś się naprawdę dziwacznie.

Przyszło jej do głowy, że naprawdę tak było.

– Czy moje dzieci widziały cię w łóżku z tym fiutem?

– Nie, jasne, że nie!

– No i dobrze. Jeśli chcesz mieć z nimi kontakt.

– Jak to?

– Zamierzam walczyć o opiekę, nie masz szans. Zważywszy na okoliczności – dodał niemiło.

Jego słowa i nieprzyjemny wyraz twarzy nagle uświadomiły Clodagh, jak poważna jest ta sytuacja. Nie знаła Dylana od tej strony.

– Jezu Chryste, Dylan! – krzyknęła. – Dlaczego jesteś takim... – Ledwie się powstrzymała od nazwania go sukinsynem. W końcu w takiej sytuacji mógł nim być.

Wydawał się rozbawiony jej frustracją – jeśli to było możliwe, żeby ktoś jednocześnie się śmiał i okazywał rozpacz.

Przypomniała sobie, że Dylan to biznesmen. I to zdolny biznesmen. Twardziel. Może nie zamierzał się poddać i udawać, że nie istnieje, tylko dlatego, że tego od niego chciała. Zawsze traktował ją z miłością i czułością, więc ciężko jej było pogodzić się z tą nagłą zmianą, nawet jeśli sama ją spowodowała.

– Będę walczył o opiekę – dodał.

– OK – powiedziała pokornie. Ale mimo łagodnej minki Clodagh, w jej głowie kołatała się myśl: „W życiu nie dostanie moich dzieci”.

– A teraz z nimi porozmawiam. – Dylan wszedł do pokoju, w którym Craig i Molly oglądali telewizję. Bez pudła wyczuli, że coś jest nie tak, bo przez całe popołudnie zachowywali się nietypowo cicho.

– Powiedziałem im – rzekł zimno Dylan po wyjściu z pokoju. – Na jakiś czas wyjeżdżam. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć, jak sobie z tym poradzić na dłuższą metę. – Potarł dłonią usta i nagle wyglądał na bardzo, bardzo wyczerpanego.

Jednak współczucie Clodagh zniknęło w jednej chwili, gdy dodał:

– Mógłbym im powiedzieć, że ich matka to niewierna dziwka, która wszystko zniszczyła, ale podobno to przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Dobrze, idę. Jestem u rodziców, zadzwoń...

– Dobrze...

– ...gdyby coś się stało moim dzieciom.

Patrzyła, jak je ściska. Miał zamknięte oczy. To było potworne. Wczoraj o tej samej porze nie mogło być zwyczajniej. Na kolację zrobiła chińskie danie, Craig wszystko wypłuł na talerz, ona oglądała *Coronation Street*, potem męczyła Dylana, żeby wymienił żarówkę, Molly wysmarowała ściany sypialni masłem fistaszkowym. Z obecnej perspektywy był to niemal złoty wiek, nieskażony przez ból czy zmartwienia. Kto by pomyślał, że ich życie zostanie tak szybko wywrócone do góry nogami, że będzie pełne goryczy?

– Cześć. – Dylan zamknął za sobą drzwi. Patrzyła wcześniej, jak pakuje torbę, jak mówi, że odchodzi, ale nie była sobie w stanie tego wyobrazić, dopóki się to nie stało.

To się nie dzieje, pomyślała, stając w przedpokoju. To się nie dzieje.

Odwróciła się i ujrzała, że Craig i Molly patrzą na nią w milczeniu. Zawstydzona, opuściła wzrok i sięgnęła po telefon.

Słuchała, jak dzwoni telefon Marcusa, a potem włącza się sekretarka. Gdzie on był? Potem przypomniała sobie, że prosił, by zadzwoniła, odłożyła słuchawkę i zadzwoniła ponownie. Zrobiła to niechętnie – przez to czuła się jak jakiś wyrzutek.

Za drugim razem Marcus odebrał natychmiast. Jej ból zelżał, zastąpiło go dziwnie optymistyczne, oszałamiające uczucie.

– Dylan poszedł? – spytał Marcus.

– Tak...

– Dobrze, już jadę.

– Nie, czekaj!

– Co? – W jego głosie nagle pojawiła się wrogość.

– Bardzo chcę cię zobaczyć – wyjaśniła. – Ale nie dziś. Jest zbyt wcześnie. Nie chcę mieszać dzieciom w głowach. Widzisz, Dylan wygaduje rozmaite okropne rzeczy, na przykład, że odbierze mi opiekę nad dziećmi.

Zapadła cisza, po czym Marcus zapytał:

– Nie chcesz się ze mną spotkać?

– Marcus, dałabym wszystko, żebyśmy się spotkali, ale lepiej odłóżmy to do jutrzejszego wieczoru. Na pewno żałujesz, że wdałeś się w to wszystko. – Z niewesołym uśmiechem pociągnęła nosem.

– Nie wygłupiaj się. – Wiedziała, że to powie.

– Wpadnij jutro wieczorem – zaprosiła go nieśmiało. – Chciałabym, żebyś poznał dwie osoby.

Następnego wieczoru Marcus zjawił się z Barbie dla Molly i wielką, czerwoną ciężarówką dla Craiga. Mimo tych prezentów dzieci powitały go podejrzliwie. Czują, że ich świat wywrócił się do góry nogami, a przybycie nowej osoby jeszcze bardziej je zaniepokoiło. Walcząc z ich niechęcią, Marcus cierpliwie bawił się z obojgiem, przykładowo czesał włosy Barbie i jeździł ciężarówką po dywanie. Dopiero po godzinie poświęceń i torbie chrupków Molly i Craig wyraźnie się odprężyli.

Clodagh, pełna nadziei, ledwie odważała się oddychać. Może wszystko będzie dobrze. Może wszystko się ułoży. Przyszłość zawirowała jej przed oczyma. Może Marcus się tu wprowadzi, będzie spłacał hipotekę, a ona

przejmie opiekę nad dziećmi, Dylan zostanie zdemaskowany jako pedofil albo handlarz narkotyków i wszyscy go znienawidzą, a jej przebaczą...

Craig i Molly na chwilę zajęli się swoimi sprawami. Marcus to wykorzystał i delikatnie dotknął Clodagh.

– Jak się masz? – spytał cicho. – Pozbierałaś się?

– Wszyscy nas nienawidzą. – Zaśmiała się, ale łzy stanęły jej w oczach. – Ale przynajmniej mamy siebie.

– Zgadza się. Kiedy będę cię mógł zaciągnąć do łóżka? – zamruczał, wsuwając dłoń pod jej podkoszulek i obejmując pierś, tę dalej od dzieci. Uszczypnął brodawkę, a usta Clodagh zdrętwiały z rozkoszy.

– Maaamoooo! – ryknął Craig, wstał i usiłował odepchnąć Marcusa od matki. Wymachiwał dziko nową, czerwoną ciężarówką i zdołał trafić gościa w okolice lewego jądra. Nie na tyle blisko, by wyrzucić krzywdę, ale dość, by Marcus poczuł mdłości.

– Skarbie, musisz nauczyć się dzielić – powiedziała łagodnie Clodagh.

– Nie chcę.

Zapadła niezręczna cisza.

– Marcus, właściwie mówiłam do Craiga.

56

Lisa kuciała na podłodze, ściskając w dłoni pozew rozwodowy. Fala depresji napływała i się oddalała, napływała i się oddalała, aż po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Dublina całkiem ją pochłonęła.

Jestem nikim, doszła do wniosku Lisa. Jestem wielkim, wstrętnym nikim. Już po moim małżeństwie.

O dziwo, nie sądziła, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Teraz widziała to z przerażającą jasnością. Dlatego nigdy nie zatrudniła adwokata. Przez całe zerwanie z Oliverem zachowywała się całkiem nietypowo: zawsze przecież była taka aktywna i dynamiczna. Wszystko potrafiła załatwić, i to szybko. Ale z jakiegoś powodu tego jednak nie załatwiła.

No to chyba jednak powinna sobie znaleźć adwokata.

Jeśli nawet to wcześniej wypierała, to Oliver też, przekonywała samą siebie, byleby tylko nie czuć się tak głupio. Zostawił ją w styczniu, ale ciągle płacił swoją część za hipotekę. Nie tak się zachowuje człowiek, który chce zerwać więź na dobre.

W lustrze zerknęła na siebie, w całym tym patosie, kucającą na podłodze. Głupio się czuła, więc z trudem wstała – i natychmiast straciła parę. Zdołała dotrzeć do sypialni, paść na łóżko i nakryć się kołdrą.

Sposób, w jaki kołdra się uniosła i miękko ją otuliła, uwolnił jej ukryte emocje, i Lisa zaczęła płakać nad swoją stratą, porażką – a taki – z litości nad sobą. Miała prawo sobie współczuć, psiakrew. Zdarzyło się jej tyle parszywych rzeczy. Odrzucenie przez Jacka – choć nieporównywalne z bólem spowodowanym utratą Olivera – też zrobiło swoje. A jeśli Mercedes dostała pracę w „Manhattanie”, to... to... No niby co? Dokładnie nic. Lisa nigdy wcześniej nie była aż tak świadoma własnej bezsilności. I chociaż zmuszała Trix do tysięcy telefonów do sklepu, drewniana roleta jeszcze nie była gotowa. Pewnie nigdy nie będzie.

To przelało czarę goryczy. Pochlipywanie się nasilało, aż w końcu Lisa ryczała jak małe dziecko.

...w zdrowiu i chorobie...

.. .Ashling przeżyła szok...

...Możesz pocałować pannę młodą...

...dostała pracę w Nowym Jorku...

...fabryka latem jest nieczynna...

Wyjąc, wyciągnęła rękę i złapała pudełko chusteczek.

Mijały godziny, światło za oknami jej sypialni poróżnowiało. Pokój spowija granatowa ciemność, potem czerń przetykana fioletem świateł miasta. Lisa wciąż jeszcze od czasu do czasu chlipała, kiedy pojawiła się perłowa szarość poranka. Następnie zniknęła, zastąpiona przez ciężki błękit wrześnieowego nieba. Zza okna dobiegały hałasy, zaczynał się dzień, ale Lisa postanowiła nie ruszać się z miejsca, za nic.

W pewnym momencie, być może po południu, w jej otoczoną wata rzeczywistość wdarł się intruz. Rozległ się hałas w przedpokoju, kroki, a potem Lisa podskoczyła, kiedy Kathy wetknęła w drzwi rozczochraną głowę z włosami w kolorze pszenicy.

– Co ty tu robisz? – Lisa spojrzała na nią spuchniętymi oczyma.

– Jest sobota – wyjaśniła Kathy. – Zawsze sprzątam u ciebie w sobotę.

Zmięte chustki na kołdrze, oczywisty znak wielkiego przygnębienia, i fakt, że Lisa leży w ubraniu w łóżku, bardzo zaniepokoiły Kathy.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Kathy w ogóle nie uwierzyła. Nagle Lisie przyszło coś do głowy.

– Jestem chora, złapałam grypę.

Kathy natychmiast zaczęła emanować współczuciem.

– Chcesz wybąbelkowane 7 UP, Lemsip, whisky na ostro? Lisa tylko pokręciła przecząco głową i ponownie wbiła wzrok w przestrzeń. Oddawała się temu z wielkim zapamiętaniem.

Kathy zastanawiała się, czy to faktycznie grypa. Nie doszły jej słuchy, żeby ktokolwiek na nią zachorował. Ale nic dziwnego, że Lisa coś złapała, żyła w takim brudzie. Kathy rozpoczęła sprzątanie od kuchni, wycierając wszystkie lepkie powierzchnie – jak Lisie udawało się tak świnić? – po czym wzięła do ręki jakiś dokument, żeby go odłożyć. Naturalnie rzuciła na niego okiem, w końcu nie była święta – nagle wszystko nabrało sensu. Grypa? Lisa nie miała żadnej grypy. Grypa byłaby znacznie przyjemniejsza.

Niesprecyzowany czas później Kathy wróciła do sypialni.

– Tu też posprzątam.

– Nie, proszę, nie.

– Ale pościel jest uświniona, Liso.

– Nieważne.

Kathy wyszła, po chwili Lisa usłyszała trzaśnięcie drzwiami. I dobrze, znowu była sama.

Jednak kilka minut później drzwi frontowe znów się otworzyły. Kathy, z plastikową torbą, ponownie weszła do sypialni.

– Fajki, słodycze, zdrapka i program telewizyjny. Jeśli chcesz czegoś więcej ze sklepu, daj znać. Jak mnie nie będzie, pójdzie Francine, za friko.

Francine zazwyczaj żądała funta za każde zakupy dla Lisy.

– Idę do pracy – dodała Kathy. – Zrobić ci herbaty?

Lisa pokręciła głową. Kathy i tak zaparzyła herbatę.

– Dobra, słodka herbatka – powiedziała znacząco, stawiając filiżankę obok Lisy.

Lisa zorientowała się, że patrzy na trampki Kathy. Były zniszczone, z szarobiałego plastiku i popękane na zgięciach. Szybko złapała chusteczkę i przycisnęła ją do oczu.

Kiedy Ashling oświadczyła, że nigdy nie wybaczy Clodagh, wyszła, pałając słusznym gniewem. Kolej na Marcusa.

Z zaciętym wyrazem twarzy szła szybko, niemal biegła, do centrum i biura Marcusa. Przez tłumy na Leeson Street przeciskał się w odwrotnym kierunku jakiś mężczyzna, też z zawrotną szybkością. Wpadł na nią i uderzył ją mocno w ramię. Już zniknął, kiedy jakby w zwolnionym tempie Ashling cofnęła się chwiejnie, cały czas odczuwając siłę ciosu. Nagle jej gniew pękł jak szklana bombka, stał się całkiem bezużyteczny. Uderzył ją hałas miasta. Wyły klaksony, patrzyły na nią zacięte, wykrzywione twarze. Raptem nigdzie nie było bezpiecznie.

Jej ciało pulsowało w rytmie strachu, kompletnie zapomniała o konfrontacji z Marcusem. Nie mogła się konfrontować z pierwotniakiem.

I po co tak się rozgniewała? Gniew nigdy do niej nie pasował. Minęło zaledwie dwadzieścia minut od starcia z Clodagh, a Ashling już nie mogła uwierzyć, że powiedziała to wszystko, co powiedziała.

Pospieszyła do domu, usiłując się nie rozpaść na kawałki. Świat zmienił się w obraz Hieronima Boscha: brudne dzieci śpiewały nieznane sobie piosenki, pary darły się na siebie za to, że nie wypełniają własnej pustki; bezzębna alkoholiczka wykrzykiwała jakieś bzdury pod adresem niewidzialnych wrogów; bezdomni wystawali w progach domów, szepcząc coś w rozpaczy.

Bezdomni!

Błagam, niech Boo już nie będzie, błagam, niech mnie nie obrobi ze wszystkiego.

Tak naprawdę nie wierzyła, że mógłby to zrobić, ale w takim dniu była gotowa na każdą ewentualność.

Nie obrobił jej. Mieszkanie wyglądało mniej więcej tak samo jak w chwili, gdy z niego wychodziła, tyle że na stole leżała kartka z podziękowaniami. Ashling położyła się na łóżku. Postanowiła trochę odpocząć, żeby poradzić sobie z szokiem.

Nadal tam leżała, gdy w piątkowy wieczór Joy wpuściła się za pomocą zapasowego klucza Ashling. Wpadła do pokoju ze zmartwioną miną.

– Dzwoniłam do pracy, rozmawiałam z boskim Jackiem. Powiedział mi, co się stało. Tak mi przykro. – Joy przytuliła do siebie Ashling, która leżała nieruchomo, niczym zrolowany dywan.

Pół godziny później do sypialni ostrożnie wszedł Ted. Nie rozmawiali z Ashling od ponad trzech tygodniach, odkąd wypytywała go o wyprawę do Edynburga.

– Ted, tak mi przykro – powiedziała Ashling ze znużeniem. – Myślałam, że masz romans z Clodagh.

– Naprawdę? – Na jego ponurej twarzy pojawił się zachwyt. Ted pośpiesznie przybrał pełną powagi minę. – Przyniosłem ci chusteczki. Napisano na nich „fajna laska”.

– Połóż je tutaj. Obok chusteczek od Joy.

Słyszając chrobotanie klucza w zaniku, Lisa na wpół podniosła się z łóżka. To jednak nie była Kathy, lecz Francine.

– Cześć. – Wtoczyła swoje pulchne ciało do sypialni. – Mama mówi, że mam ci dotrzymać towarzystwa.

– Nie chcę towarzystwa. – Lisa ledwie uniosła głowę z poduszki.

– Mogę zmierzyć? – Francine wpatrywała się w różowe boa.

– Nie.

Dziewczynka udrapowała boa na żółtym podkoszulku i legginsach w kwiaty i zaczęła podziwiać się w tremo.

– Nie powinnaś być w szkole?

– Nie – prychnęła Francine. – Jest niedziela.

O kurde, pomyślała Lisa z obojętnym zdumieniem. Straciłam rachubę dni.

– Chociaż gdyby nie była niedziela, to gdybym nie chciała iść do szkoły, też bym nie poszła – pochwaliła się mała.

– Ale wtedy nie zdobyłabyś wykształcenia i nie mogłabyś znaleźć dobrej pracy. – Lisa miała gdzieś wykształcenie Francine, chciała ją tylko zdenerwować, żeby sobie poszła.

– Nie potrzeba mi wykształcenia. Zamierzam śpiewać w girls–bandzie, a tata mówi, że te dziewczyny są głupie jak gówno. Ej, pokazać ci mój układ taneczny?

– Nie. Spadaj i zostaw mnie w spokoju.

– Masz wieżę? – Francine bez zmruczenia oka ignorowała protesty Lisy. – Nie? No dobra, będę nucić. Wyobraź sobie, że stoję w środku, po obu moich stronach są po dwie dziewczyny. Uważaj. – Francine pośpiesznie zwinęła podkoszulek w coś w rodzaju topu, odsłaniając dziecięcą, zaokrąglony brzusek.

– Co to za złoty znaczek na twoim brzuchu? – zapytała Lisa, mimo wszystko zainteresowana.

– Mój kolczyk – burknęła Francine.

– Nieprawda.

– Musiałam go narysować – westchnęła Francine. – Mama mówi, że sprawię sobie prawdziwy, kiedy będę miała trzynaście lat. Chociaż na pewno

nie dożyję – zakończyła ponuro. Zebrała siły. – Dwa, trzy cztery. – Stuknęła nogą w podłogę, złapała rytm i przystąpiła do prezentacji układu. Prawym łokciem dwukrotnie trzepnęła się w bok jak skrzydłem, potem to samo zrobiła z lewym. Dwa razy energicznie podskoczyła na prawej nodze, dwa razy na lewej. Potem mocno klepnęła się w pulchną pupę i obróciła plecami do Lisy. Cały czas nucąc, zakołysała biodrami i powoli kucnęła. Tancerka egzotyczna nie zrobiłaby tego bardziej dosadnie. Wyprostowała się i przyciężkavo obróciła z powrotem. Jej twarz zdradzała najwyższe skupienie. – Teraz najlepszy kawałek – zapowiedziała. – Shimmy! – Z tym okrzykiem rozpostarła ręce i zatrzęsała ramionami oraz piersiami. – Tara! – Zakończyła nieudaną próbą rozciągnięcia nóg w szpagacie.

– Zadziwiające – przyznała Lisa. Nie minęła się z prawdą.

– Dzięki. – Francine brakowało tchu, porumieniała z zadowolenia. – Oczywiście będę również śpiewała. Jako frontmenka. Za to dostaje się więcej kasy. I będę pisała teksty. To też dodatkowa forsa.

Lisa pokiwała głową w uznaniu jej przedsiębiorczości.

– I zajmę się dystrybucją– oświadczyła Francine. – Na tym się zbija najwięcej kasy. – Popatrzyła przenikliwie na Lisę. – Jak tam twoja grypa? Lepiej?

– Nie. Idź sobie.

– Będziesz jadła tego kitkata?

– Nie.

– Mogę?

Dopiero kiedy Lisa nie zwlekła się z łóżka w poniedziałek, uświadomiła sobie, że traci grunt pod nogami. Poza wcześniejszym wyjściem z redakcji w piątek, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio nie poszła do pracy. Czy

w ogóle kiedykolwiek? Chodziła tam mimo bólów miesięczkowych, kataru, kaca, brudnych włosów. Chodziła podczas wakacji. Chodziła nawet, kiedy mąż ją zostawił. No to co się działo teraz?

I dlaczego to wcale nie było przyjemne?

Zawsze obsesyjnie kontrolowała swoje życie, nie potrafiła zrozumieć tych, którzy się załamywali, których odprowadzano, szlochających, od biurek i którzy nigdy nie wracali. Mimo to perwersyjnie interesowało ją, jak to jest tracić grunt pod nogami. Podejrzewała, że musi być to na swój sposób krzepiące. Czy człowiek, który był całkowicie niezdolny do żadnego ruchu, który nie miał wyjścia, lecz musiał przystać na to, by rządzili inni, nie był wyzwolony?

Najwyraźniej nie. Nie była zdolna do normalnego funkcjonowania i cholernie jej się to nie podobało.

Powinna iść do pracy. Potrzebowali jej tam. Personel „Irlandki” był zbyt nieliczny, by pozwalać sobie na nieobecność, zwłaszcza że Mercedes odeszła, a Ashling też się do niczego nie nadawała. Ale Lisy to nie obchodziło. Nic a nic. Miała zbyt ciężkie ciało i zbyt zmęczony umysł.

W końcu zdała sobie sprawę, że musi się wysikać. Walczyła z tym, udawała, że wcale tak nie jest, ale czuła się tak fatalnie, że w końcu musiała iść do łazienki. Gdy w drodze powrotnej mijała kuchnię, ujrzała pozew rozwodowy na blacie. Nie patrzyła na niego od piątku, nie chciała go nigdy więcej widzieć, ale było jasne, że będzie musiała.

Wzięła go ze sobą do łóżka i zmusiła się do czytania. Powinna nienawidzić Olivera. Miał, kurwa, tupet, żeby się z nią rozwodzić. Ale czego się miała spodziewać? Ich małżeństwo było już przeszłością, „ostatecznie się

rozpadło", żeby użyć bardziej technicznego sformułowania., i szczerze mówiąc, rzeczywiście tak było.

Język pozwu okazał się sztywny i niezrozumiały. Znowu uświadomiła sobie, jak bardzo potrzeba jej adwokata, jak koszmarnie straciła grunt pod nogami. Przejrzała sztywne kartki, próbując zrozumieć, i pierwszą rzeczą, jaka miała sens, było żądanie przez Olivera rozvodu z powodu „nieracjonalnego zachowania” Lisy. Te słowa boleśnie ją dotknęły. Nienawidziła, kiedy ktoś oskarżał ją, że robi coś nie tak. Rozpad małżeństwa nie był jej winą. Pragnęli czego innego. Pieprzony sukinsyn. Sama mogłaby go oskarżyć o nieracjonalne zachowanie, gdyby się tylko dobrze zastanowiła. Chciał, żeby była biedna, ciężarna i ograniczyła się do zmywania garów – to dopiero było nieracjonalne.

Gniew jednak ostygł, kiedy przypomniała sobie, że oskarżenie o nieracjonalne zachowanie to zwykła formalność. Wyjaśnił jej to wszystko, gdy przyjechał do Dublina – musieli mieć powód, żeby iść do sądu, równie dobrze ona mogła pozwać jego.

Przeczytała pięć przykładów. Uprzedzał ją, że musi je przytoczyć. Praca przez dziewięć weekendów z rzędu. Nieobecność na przyjęciu z okazji trzydziestej rocznicy ślubu jego rodziców ze względu na zobowiązania zawodowe. Odwołanie w ostatniej chwili wakacji na St. Lucia ze względu na pracę. Udawanie, że chce zajść w ciążę. Zbyt wielka liczba ubrań. Każdy przykład był jak cios nożem, poza oskarżeniem o zbyt wiele ciuchów. Uznała, że po prostu skończyły mu się prawdziwe powody... Mieli podzielić między sobą koszty rozvodu i żadne nie będzie domagało się alimentów.

Najwyraźniej musiała podpisać coś o nazwie „Potwierdzenie doręczenia” i odesłać adwokatowi Olivera. Nic jednak nie podpisała. Nie tylko dlatego, że

nie miała siły sięgnąć po długopis. Jej instynkt samozachowawczy był bardzo silny.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. O dziwo, zaśmiała się bezgłośnie. Sama myśl o tym, że miałyby wyjść z łóżka, aby otworzyć, była nieprawdopodobna, aż śmieszna. Znowu pukanie. W ogóle się tym nie przejęła. Nie było możliwości, żeby otworzyła. Głosy na zewnątrz. I znowu – tym razem dudnienie. Potem skrzypnięcie, ktoś uniósł klapkę na listy.

– Lisa? – spytał jakiś głos. Ledwie to zauważyła.

– Lisa? – usłyszała ponownie. Zignorowanie go nie było problemem.

– Liiiiisaaaaa! – ryknął głos. Uświadomiła sobie, że go zna. To był Beck. Tak naprawdę miał na imię inaczej, ale był jednym z małych fanów Manchester United, mieszkających na tej ulicy. Tym chłopcem o bardzo donośnym głosie. – Wiem, że tu jesteś. Ja też wagaruję. Tu leży wielki bukiet kwiatów, chcesz?

– Nie – odparła cicho.

– Co?

– Nie.

– Nie słyszę. Powiedziałaś „tak”?

Lisa ze złością zwlekła się z łóżka. Kurwa mać! Całe życie była taka silna. Nigdy nie załamywało jej napięcie przedmiesiączkowe, stres, nic. A kiedy jeden jedyny raz postanowiła mieć załamanie nerwowe, wszyscy jej przeszkadzali. Gwałtownie otworzyła drzwi wejściowe i wydarła się do Becka:

– Powiedziałam „nie”!

– Proszę bardzo. – Wcisnął jej wielki, opakowany w celofan bukiet i przemknął obok niej do mieszkania. – Szybko, zanim mnie ktoś zobaczy. Powinienem być w szkole.

Lisa wpatrywała się w kwiaty. To były porządne kwiaty. Nie goździki ani żadne tanie gówny, ale mnóstwo dziwacznych roślinek – fioletowy oset, orchidee, które wyglądały, jakby zerwano je na innej planecie. Od kogo były? Nagle jej ręce zaczęły drżeć, gdy otwierała kopertę. Czyżby od Olivera? Były od Jacka.

Na bileciku napisał tylko: „Naszym zdaniem jesteś wspaniała. Prosimy, wróć do pracy”. Jednak Lisa domyśliła się, że to przeprosiny. Jack wiedział, że miała w stosunku do niego plany, ale nie był zainteresowany. Wiedział, że ona wie. A ona wiedziała, że on wie, że ona wie, ale nagle to wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Chociaż przystojny i nieźle zbudowany, Jack doprowadzałby ją do szaleństwa. Nie interesowały go rzeczy, które dla niej były zasadnicze. Tylko zabawiała się fantazjowaniem o nim – tak naprawdę przygnębiła ją utrata Olivera.

Beck domagał się jej uwagi.

– Chcę cię o coś spytać.

– Co? – wydusiła z siebie.

– Pomożesz mi to położyć na włosach? – Wyciągnął ze spodni od dresu pudełko blond farby do włosów.

– No nie mów, chcesz śpiewać w boysbandzie – powiedziała Lisa.

Beck zmarł, szukając odpowiednich słów. W końcu je znalazł.

– Odpierdziel się, co? – wykrzyknął. – Zamierzam być skrzydłowym Man U.

– I po to ci blond pasemka?

– Phi – prychnął, zniesmaczony jej głupotą. – Jasne.

– Nie teraz, Beck, mam grypę.

– Nieprawda. – Już szedł do łazienki i odwrócił się, żeby mrugnąć do niej konspiracyjnie. – Ale jeśli nie doniesiesz na mnie, ja nie doniosę na ciebie.

Oparła się o ścianę, przez chwilę zastanawiając się, czy nie zacząć wrzeszczeć, ale w końcu z pokorą zaakceptowała swój los.

Godzinę później Beck wyszedł z włosami przetykanymi blondem.

– Dzięki, Lisa, jesteś ekstra!

Po jego wyjściu siedziała przy blacie kuchennym i paliła. Była zmarznięta i chciała coś na siebie włożyć, ale za każdym razem, kiedy kończyła papierosa, sięgała po następnego.

W cichym pokoju zadzwonił telefon, a jej serce niemal wyskoczyło z piersi – najwyraźniej nerwy miała w strzępach. Włączyła się sekretarka: właściwie nie selekcjonowała telefonów, tylko je wszystkie odrzucała. Jednakże każda komórka jej ciała stanęła na baczność, kiedy głos Olivera wypełnił pokój.

– Mała, to ja. To znaczy Oliver. Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie w sprawie...

Natychmiast chwyciła słuchawkę.

– To ja. Jestem.

– Cześć – powiedział ciepło. – Tak właśnie myślałem. Dzwoniłem do pracy, ale powiedzieli mi, że jesteś w domu. Dostałaś, hm...?

– Tak.

– Dzwoniłem w czwartek i piątek do twojej pracy, żeby ci powiedzieć, że pozew jest w drodze, ale nie mogłem cię zastać. Zostawiłem wiadomość twojej asystentce, żebyś oddzwoniła, nie powiedziała ci?

– Nie. – A może tak. Niejasno kołatało się jej po głowie, że w piątkowy poniedziałek Trix usiłowała przekazać jej jakąś wiadomość.

– Zadzwońlibym w weekend, ale pracowałem. Kretańska sesja w Glasgow z walniętymi modelkami. Dniem i nocą.

– W porządku.

– A więc... hm... chociaż oboje wiedzieliśmy, że tak musi być, nie jest zbyt przyjemnie co?

– Nie – wykrztusiła.

– Jedno z nas musiało to zrobić. – Wydawał się bardzo zakłopotany. – Szczerze mówiąc, mała, myślałem, że to będziesz ty. Zastanawiałem się, dlaczego tak zwlekasz.

– Byłam zajęta. – Przełknęła ślinę. – Nowy magazyn i tak dalej.

– No tak! Ale czułem się jak szmaciarz, kiedy wymieniałem te pięć powodów. Nie lubię źle mówić o tobie, wiesz o tym, co? No tak początkowo byłem wkurzony, ale już nie, rozumiesz? Takie są przecież zasady. Nie jesteśmy w separacji od dwóch lat i nie rozstaliśmy się z powodu zdrady, więc musiałem dać sądowi jakieś powody.

Lisa nie była jeszcze gotowa, by coś powiedzieć. Czekwała na przypływ łez, które zbierały się gdzieś głęboko w niej. Gdyby otworzyła usta, z pewnością wydostałyby się na zewnątrz.

– Lisa – naciskał. Wydawał się przejęty.

– Ja... – zdołała powiedzieć tylko tyle. – Hej – szepnął.

– To takie smutne. – Jej głos drżał.

– Wiem, wiem. Mnie to mówisz? – Po krótkiej przerwie Oliver najwyraźniej zaczął myśleć na głos. – A może bym cię odwiedził? Posortowalibyśmy to i tak dalej.

– Zwariowałeś.

– Nie zwariowałem. Popatrz na to z innej strony: Oboje zaoszczędzimy kupę forsy na adwokatach, jeśli ustalimy w cztery oczy takie sprawy jak podział mieszkania. Masz jakieś pojęcie, ile kosztuje każdy list mojego adwokata do twojego? Dużo, Liso, uwierz mi. No, mała – kuśił. – Załatwimy to po przyjacielsku. *Mano a mano*. – Kiedy milczała, dodał: – *Hombre a hombre*.

Leciuteńko rozbawiona, zdołała powiedzieć:

– Dobrze.

– Tak? Poważnie? Kiedy?

– W weekend?

– Nie będziesz pracowała?

– Nie.

– No, no, no – oświadczył tonem, który nie do końca był zrozumiały.

Nagle się rozpromienił: – Spróbuję zabukować samolot na sobotę i wszystko załatwimy.

– Wyjdę po ciebie na lotnisko.

Tylko jedna noc, obiecała sobie. Jedna noc blisko niego i potem z tym skończy.

Odłożyła słuchawkę, niepewna, co robić dalej. Mogła wrócić do łóżka, ale zamiast tego, pod wpływem kaprysu, postanowiła zadzwonić do Jacka.

– Dziękuję za kwiaty.

– Nie ma o czym mówić. Miały ci powiedzieć, że my... ja... mam dla ciebie wielki szacunek i że...

– Jack, przeprosiny przyjęte – przerwała mu.

– Eee... o czym ty... – Nagle Jack westchnął i urwał.

– OK, dziękuję.

– No to co tam u was? – Niemal udało się jej powiedzieć to tak, jakby była zainteresowana.

– Mnóstwo dobrych rzeczy – odparł znacznie pogodniejszym tonem. – Musimy zrobić dodruk. Nie wiem, czy je widziałaś, ale zdjęcia z imprezy wydrukowało pięć gazet, proszono, żebyś w tym tygodniu wystąpiła w publicznym radiu. Mamy cztery dobrowolne kandydatki na miejsce Mercedes. Dublin to małe miasto. I już wiem, do jakiego czasopisma się przeniosła. To nie „Manhattan”, to tygodnik dla nastolatków o nazwie „Lanie Wody”.

Być może była to perspektywa wizyty Olivera, być może były to dobre wieści związane z „Irlandką”, z pewnością były to nowiny dotyczące Mercedes, ale coś się zmieniło. Kiedy Jack zapytał: „Jest szansa, że wrócisz do pracy?”, mogła odpowiedzieć:

– Chyba tak.

– Świetnie – odetchnął. – To oznacza, że nie muszę już pisać artykułu o kosmetykach dla mężczyzn.

– ???

– Trix mnie zmusiła – wyjaśnił. – Nie było ciebie ani Ashling, Mercedes odeszła, więc Trix jest w tej chwili najważniejsza w redakcji. Woda sodowa uderzyła jej do głowy. Ciągle gada o tym, że pošle Bernarda na czyszczenie cery, bo chce sprawdzić, czy zdoła go doprowadzić do płaczu.

– Będę za godzinę.

W drodze do łazienki na jakże niezbędny prysznic Lisa minęła sypialnię i była zaszokowana jej stanem. Co sobie myślała? Przecież nie była z tych, którzy tracą grunt pod nogami. Inni może tak, Bóg z nimi. Ale nie Lisa – nie dało się zaprzeczyć, że zawsze umiała sobie poradzić. Nie znaczyło to, że nie czuła się okropnie i beznadziejnie. Jasne, że tak. Ale załamanie nerwowe było

jak barwione kontaktowe soczewki – innym ludziom pasowały, jej zdecydowanie nie.

57

Ashling poruszyła się w łóżku i znalazła pod sobą telefon. Spała z nim od czterech dni. Po raz milionowy wystukała numer Marcusa. Sekretarka automatyczna. Potem numer do pracy. Poczta głosowa. W końcu zadzwoniła na komórkę.

– Nadal ani słowa? – spytała Joy ze współczuciem, moszcząc się wraz z Tedem na nieświeżym łóżku Ashling.

– Nie. Boże, tak bym chciała, żeby odebrał. Żeby odpowiedział na kilka pytań.

– Śmierdzący tchórz. Idź do niego do pracy. Przeszkadzaj mu na występach. To byłoby niezłe – oświadczyła Joy gniewie. – Pod pozorami dowcipkowania mogłabyś go załatwić. Wrzaśnij, że jest beznadziejny i że ma...

– Naprawdę małego – skończyła za nią znużona Ashling.

– Naprawdę piegowatego, to chciałam powiedzieć – odparła Joy. – Ale mały też może być.

– Nie. Mowy nie ma. O jednym ani o drugim.

– Dobra, zapomnij. Ale dlaczego do niego nie pójdziesz? Jeśli chcesz go z powrotem, powinnaś o niego walczyć.

– Nie wiem, czy chcę. Tak czy inaczej, nie mam szans. Nie w rywalizacji z Clodagh.

– Aż taka piękna to ona nie jest – oświadczyła Joy.

Automatycznie obie popatrzyły na Teda, który się zarumienił.

– Nie jest – skłamał kompletnie bez przekonania.

– Widzisz? – warknęła Ashling do Joy. – On też uważa, że mam rację.

W niezręcznej ciszy, która zapadła po tych słowach, Ashling obojętnie rozejrzała się po pokoju. Tkwiała w nim od piątkowego popołudnia. Był poniedziałkowy wieczór, a ona wychodziła z łóżka tylko do ubikacji. Pierwotnie zamierzała się wyspać, żeby jakoś poradzić sobie z szokiem, a następnie znaleźć Marcusa i sprawdzić, czy da się cokolwiek uratować. Jednakże nie udało się jej wyjść z łóżka. Podobało się jej tutaj, uznała, że tu zostanie.

Jej puste spojrzenie spoczęło na stosiku chustek do nosa. Nieużywanych. Dlaczego nie płakała? Zważywszy na dręczący ją smutek, powinna nieustannie szlochać. Ale miała całkowicie suche oczy. Nawet nie zbierało się jej na płacz – żadnego drżenia głosu, ściskania w gardle, żadnej opuchlizny na twarzy.

Co nie znaczyło, że była odrętwiała. Chciałaby.

Mówiła powoli, bardziej do siebie niż do dwójki gości.

– Przez cały czas się zastanawiam, co zrobiłam nie tak, ale uważam, że to nie moja wina. Zawsze wysłuchiwałam jego nowych dowcipów. Chodziłam na wszystkie występy. Prawie na wszystkie. – Nie poszła jeden jedyny raz, a on poderwał jej najlepszą przyjaciółkę. –

Dziesięć razy dziennie potakiwałam, że jest najlepszy, a wszyscy inni komicy są do dupy.

– Ja też? – spytał Ted niepewnie. – Uważał, że jestem do dupy?

– Nie – skłamała Ashling.

Tego pierwszego wieczoru, kiedy poznała Marcusa, bardzo podniecał się Tedem, ale teraz uświadomiła sobie, że działo się tak dlatego, iż nie traktował go poważnie. Kiedy stało się jasne, że Ted zgromadził niewielką, lecz oddaną grupkę fanów, Marcus zaczął go subtelnie deprecjonować. Był dość

inteligentny, by wiedzieć, że Ashling nie pozwoli na żadne zniewagi z grubej rury, zadowalał się więc uwagami w stylu: „Dobrze, że mamy Teda Mullinsa. W naszym fachu przyda się jakiś zawodnik wagi piórkowej”. Kiedy Ashling zorientowała się, że Marcus tak naprawdę pomniejsza umiejętności Teda, była już zbyt zaangażowana w rolę pocieszycielki, żeby się sprzeciwić.

– Najważniejszy był Marcus Valentine – zauważyła Joy. – To chyba strasznie egoistyczny gnojek.

– Niezupełnie. Ja lubiłam mu pomagać. Byliśmy sobie bliscy, byliśmy kumplami. – Dlatego to tak bolało. Poznał kogoś, kogo polubił bardziej, w końcu nic nowego.

– Wyczułaś, że coś jest nie tak? – zapytała Joy. – Czy zachowywał się inaczej?

W świetle ostatnich rewelacji taki powrót do przeszłości był bolesny, ale Ashling musiała przyznać:

– Przez ostatnie tygodnie, kiedy tak ciężko pracowałam, był drażliwy. Myślałam, że mu mnie brakuje, wyobrażasz sobie?

– Czy... hm... – Joy bez przekonania usiłowała zadać to pytanie w delikatny sposób, ale doszła do wniosku, że to na nic. – Czy pukanie było takie jak zawsze?

Ted zakrył uszy rękoma.

– Nie – westchnęła Ashling. – Znacznie rzadsze. Też myślałam, że to moja wina. Ale uprawialiśmy seks od mojego powrotu z Cork. Czyli przez jakiś czas posuwał nas obie. Dlaczego Clodagh się na to zgodziła? – zapytała na głos, jakby rozważała postępowanie bohaterki telenoweli.

– Może nie wiedziała – podsunęła jej Joy. – Mógł ją okłamać. Albo wykorzystał cię, żeby skłonić ją do opuszczenia Dylana. – Zbyt późno

zorientowała się, jak okrutne są jej słowa. – Przepraszam – szepnęła pokornie.
– Nie pomyślałam... Co z tą Clodagh? Gdybym miała wybór między Marcusem a Dylanem, kogo bym wybrała jak myślisz? O Jezu. Przepraszam raz jeszcze. Słuchaj, zjesz chipsa?

Ashling pokręciła głową.

– A cokolwiek? Czekoladę? Prażoną kukurydzą? Cokolwiek?– Joy zaprezentowała przekrój smakołyków z szuflad Ashling.

– Nie, i przestań je już przynosić.

– Wstaniesz kiedyś?

– Nie – odparła Ashling. – Czuję się taka... upokorzona.

– Nie dawaj im tej satysfakcji – oświadczyła Joy.

– Mam wrażenie, że wszyscy mnie nienawidzą.

– Co? Nie zrobiłaś nic złego!

– Czuję, że cały świat obrócił się przeciwko mnie, że nigdzie nie jest bezpiecznie. Jestem bardzo smutna – dokończyła.

– Jasne, że jesteś smutna.

– Nie, jestem smutna z niewłaściwych powodów. Ciągłe myślę o Boo i o tym, jakie to przygnębiające. I o innych bezdomnych, że są zmarznięci i głodni. Ta utrata godności, to tak odczuwacza...

Urwała. Wyraz twarzy Joy i Teda mówił: „Całkiem jej odbiło”. Pewnie uznali, że szok ją rozstroił. Jak mogła przejmować się bezdomnymi, ludźmi, których w ogóle nie znała, mając życie osobiste w rozsypce? Nie zrozumieliby. Zrozumieć ją mogła tylko jedna osoba.

Gdyby nie była taka otepiała, przeżyłaby wstrząs. Tak czuła się moja matka. A po chwili dokonała jeszcze bardziej szokującego odkrycia. Psiakrew, mam załamanie nerwowe.

Kwiaty kwiatami, ale kiedy Lisa przyszła do pracy i ujrzała Jacka, poczuła nagły gniew z powodu odrzucenia.

– Jak się masz? – Patrzył na nią ostrożnie.

– Dobrze – odparła z rozdrażnieniem.

– Brakowało nam ciebie. – W jego spojrzeniu była sympatia, ale nie litość. Jej gniew wyparował. Zachowywała się dziecinnie.

– Chcesz zobaczyć mój artykuł o pielęgnacji męskiej skóry? – Wyjął wydruk, w którym napisał, że kosmetyki Avedy są „fajne”, że Kiehl jest „fajny”, podobnie jak Issey Miyake.

Lisa odłożyła kartkę na biurko.

– Na razie nie rzucaj dotychczasowej pracy – powiedziała, mrużąc oko.

Musieli naprawdę spanikować, skoro człowiek pokroju Jacka usiłował napisać artykuł.

– Ashling nadal nie ma? – Nie potrafiła ukryć samozadowolenia. W końcu ona się rozwodziła, a jednak przyszła do pracy.

Dopiero po powrocie zorientowała się, jakie zamieszanie narobiło czasopismo. Wszystkie jej wysiłki zaczęły przynosić owoce. Kiedy leżała w łóżku, przekonana, że jest nieudacznikiem wszech czasów, stała się kimś w rodzaju gwiazdy – tylko w Irlandii, rzecz jasna, ale jednak.

Dostała już propozycję pracy od jednego z rywalizujących z „Irlandką” czasopisma, dzwoniło także kilku dziennikarzy. Niektórzy chcieli napisać o niej prawdziwy artykuł, ale większość była bardziej zainteresowana wykorzystaniem jej w jednorazowych tekstach, takich jak: „moje ulubione wakacje” albo „moja idealna randka”.

Ogarnęło ją przyjemne ciepłko, ale ważniejszy od wszystkich zawodowych sukcesów był nadchodzący weekend z Oliverem. Musiała

wyglądać oszalamiająco – zorganizować sobie wspaniałe ciuchy i zrobić włosy. No i paznokcie. I nogi. Rzecz jasna, nic nie będzie jadła, tak żeby przy nim jeść normalnie...

– Dzwoni „Sunday Times”. – Trix pomachała słuchawką do Lisy. – Chcą wiedzieć, jakiego koloru majtki nosisz.

– Białe – odparła Lisa z roztargnieniem, a Kelvin prawie eksplodował.

– Żartowałam – westchnęła Trix. – Chcą spytać, jak dbasz o włosy...

Lisa jednak nie słuchała. Właśnie połączyła się z londyńskim biurem prasowym DKNY.

– Chcemy zrobić rozkładówkę do wydania świątecznego, ale ubrania mają się zjawić do piątku.

– Liso, możemy pogadać o następczyni Mercedes? – spytał Jack.

Mercedes, która odeszła w najbardziej gorącym okresie, znów wywołała jej złość, musiała się jej pozbyć pracą.

– Trix, dzwoń do Ghosta, Fendi, Prady, Paula Smitha i Gucciego!

Powiedz, że poświęcimy im parę stron w wydaniu grudniowym, ale tylko jeśli wyślą nam ciuchy do piątku. Idziemy. – Zagoniła Jacka do jego gabinetu.

– Ona coś knuje – zauważyła Trix w przestrzeń. Tęskniła za Ashling i Mercedes, kiepsko było siedzieć samotnie i nie mieć z kim żartować.

Jack i Lisa popatrzyli na cztery dobrowolne podania na stanowisko redaktorki działu mody i postanowili spotkać się ze wszystkimi kandydatkami.

– Jeśli będą do niczego, zamieścimy ogłoszenie – zdecydowała Lisa. – Mogę cię o coś spytać? Jak się znajduje adwokata?

Jack zastanawiał się przez chwilę.

– Mamy podpisaną umowę z biurem obsługi prawnej. Może tam się zgłosisz? Jeśli nie będą mogli załatwić twojej... hm... sprawy, na pewno ci kogoś polecą.

– Dzięki.

– Chętnie ci pomogę.

Lisa popatrzyła na niego podejrzliwie. Nie mogła tego dłużej ukrywać. Lubiła go. Cały czas traktował ją ciepło i przyjaźnie, od dnia, w którym rozplakała się w jego gabinecie z powodu pokazów. Nie jego wina, że ona postanowiła nadinterpretować jego zachowanie.

We wtorek po południu zadzwonił telefon Ashling. Błyskawicznie chwyciła słuchawkę. Niech to będzie Marcus, pomodliła się w duchu. Błagam, niech to będzie Marcus.

Jej serce jednak ścisnęło się w piersi, gdy usłyszała damski głos. Głos matki.

– Ashling, skarbie, zastanawialiśmy się, jak tam inauguracja. Dzwoniłam do ciebie do pracy, powiedzieli, że cię nie ma. Co się stało, zachorowałaś?

– Nie.

– No to co?

– Mam... – Ashling zastanawiała się nad wypowiedzeniem zakazanego słowa, po czym machnęła ręką, jednocześnie czując ulgę i strach. – Mam depresję.

Monica natychmiast zrozumiała, że nie jest to przypadek w stylu:

„Mam depresję, bo wczoraj zapomniałam nagrać *Przyjaciół*”. Ashling zawsze się pilnowała, by za nic w świecie nie użyć słowa „depresja”! w odniesieniu do siebie. Sprawa była poważna. Historia lubi się powtarzać.

– Mój chłopak zdradził mnie z Clodagh – wyjaśniła Ashling słabym głosem.

– Clodagh Nugent? – W głosie Moniki zabrzmiała furia.

– Od ponad dziesięciu lat Clodagh Kelly. Ale nie tylko o to chodzi.

– Bardzo źle z tobą? – spytała Monica niespokojnie.

– Leżę w łóżku. Piąty dzień. Nie planuję natychmiastowego wstania.

– Jesz?

– Nie.

– Myjesz się?

– Nie.

– Masz myśli samobójcze?

– Jeszcze nie. – Super, czyli ma na co czekać.

– Jutro rano wsiądę w pociąg i przez jakiś czas się tobą zajmę. Monica czekała, aż Ashling każe się jej odpieprzyć, jak zawsze.

– Dobrze – usłyszała jednak w odpowiedzi.

Strach ścisnął ją za serce. Ashling naprawdę musiała być w bardzo złym stanie.

– Nic się nie martw, kochanie, pomogę ci. Nie dopuszczę do tego, żebyś przechodziła przez to, przez co ja przeszłam – oświadczyła z pasją. – Dzisiaj sytuacja jest inna.

– To już nie jest piętno – zauważyła Ashling znieruchomiałymi ustami.

– Mają lepsze leki – oznajmiła Monica.

We wtorkowy wieczór Joy i Ted usiłowali skusić Ashling świeżą dostawą czekoladek i czasopism, kiedy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy zamarli.

Po raz pierwszym od wielu dni nieruchoma twarz Ashling się ożywiła.

– To może być Marcus!

– Pójdę i powiem, żeby spierdalał. – Joy już biegła do drzwi.

– Nie – powiedziała Ashling z naciskiem. – Nie. Chcę z nim porozmawiać.

Joy wróciła po kilku sekundach.

– To nie Marcus – syknęła.

Ashling natychmiast wycofała się w stupor.

– To boski Jack.

Ta dziwaczna wizyta wyrwała Ashling z otępienia. Czego chciał? Przyszedł ją zwolnić za nieobecność w pracy?

– Umyj się, na litość boską! – prychnęła Joy. – Śmierdzisz.

– Nie mogę – odparła Ashling ciężko. Tak ciężko, że Joy zrozumiała, iż tylko traci czas. Uparła się jednak, żeby Ashling włożyła czystą piżamę, uczesała włosy i umyła zęby. Potem Joy wzięła do ręki dwa flakony perfum.

– Happy czy Miyake? Happy – zdecydowała. – Wypróbujemy siłę sugestii. – Napsikała na Ashling Happy, po czym pchnęła ją jak nakręcaną zabawkę, w kierunku salonu. – No już.

Jack siedział na niebieskiej sofie, ręce zwisały mu z kolan. Wyglądał bardzo dziwacznie. Ta myśl przebiła się przez kokon odrętwienia, który otaczał Ashling. Jack należał do innego świata, świata pracy, a jednak był właśnie tutaj, przez co jej mieszkanie wydawało się jeszcze mniejsze niż zwykle.

Jego ciemny garnitur, potargane włosy i przekrzywiony krawat nadawały mu wygląd stroskanego i zmieszanego człowieka. Stała w progu, patrząc, jak telepatycznie wymieniał myśli z jej klonowymi panelami. Po chwili przekrzywił głowę, zobaczył Ashling i się uśmiechnął.

Kiedy wstał, światło w pokoju się zmieniło.

– Cześć – powiedziała Ashling. – Przepraszam, że wczoraj i dziś nie przyszedłam do pracy.

– Wpadłem, żeby sprawdzić, jak się masz, a nie, żeby cię zagnać do roboty.

Wtedy Ashling sobie przypomniała. Jack był nieoczekiwanie łagodny i miły po tym, jak Dylan wyjawiał przerażające wieści.

– Spróbuję przyjść jutro – oświadczyła. Było to równie prawdopodobne jak to, że wejdzie na Kilimandżaro.

– Może weź tydzień urlopu – zaproponował. – Postaraj się wrócić w poniedziałek.

– No dobrze. Dzięki. – Ulga, że nie musi stawiać czoła światu, była tak wielka, iż Ashling nawet nie usiłowała się sprzeciwić. – Moja matka przyjedzie na parę dni. Jeśli cokolwiek ma mnie zmobilizować do powrotu do pracy, to właśnie ta wizyta.

– Tak? – W jego uśmiechu było współczucie. – Kiedyś mi o tym opowiesz.

– Tak. – Teraz była tak wyczerpana, że nie odpowiedziałaby nawet na pytanie o godzinę.

– Jak się czujesz?

Zawahała się. W sumie nie był to temat do rozmowy z szefem, ale chrzanić to, co za różnica? Czy cokolwiek miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Jest mi bardzo smutno.

– Nic dziwnego. Koniec związku, utrata przyjaciela.

– Ale to coś więcej. – Usiłowała nadać sens obezwładniającemu ją smutkowi. – Mój smutek dotyczy całego świata.

Uważnie patrzyła na Jacka. Czy uznał ją za wariatkę?

– Mów – zachęcił ją łagodnie.

– Widzę same smutne rzeczy. Wszędzie. Jesteśmy tacy poranieni, cała ludzka rasa.

– Weltschmerz – oświadczył.

– Na zdrowie – oświadczyła z roztargnieniem.

– Nie. – Zaśmiał się cicho. – Weltschmerz. To niemieckie słowo oznaczające „smutek z powodu świata”.

– Jest na to słowo?

Wiedziała, że nie ją pierwszą to dotknęło. Wiedziała, że spotkało to także jej matkę. Ale skoro wymyślono na to uczucie specjalne słowo, wiele innych osób też musiało czuć podobnie. Była to znaczna pociecha. Jack zaszeleścił białą, papierową torbą.

– Coś ci przyniosłem.

– Co? Chusteczki? Mogłabym otworzyć sklep. Czy winogrona? Nie jestem chora. Tylko... tylko... upokorzona.

– Nie, to... cóż, właściwie to sushi.

Znieruchomiała, urażona.

– Jaja sobie robisz?

– Nie! Po prostu wydawałaś się zainteresowana, kiedy zamówiliśmy to do redakcji. – Ashling nadal milczała, więc dodał: – Myślałem, że to ci sprawi przyjemność. Nie ma tu nic ekstremalnego, nawet surowej ryby. To w zasadzie wegetariańskie – ogórek, awokado, odrobina kraba. Taki zestaw sushi dla początkujących. Mógłbym cię przez to przeprowadzić.

Na widok podejrzliwej miny Ashling natychmiast się wycofał.

– No nic, dobrze, zostawiam ci. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.
Do zobaczenia w poniedziałek.

Kiedy wyszedł, do salonu wpadli Ted i Joy.

– Co jest w tej torbie?

– Sushi.

– Sushi? Dziwaczny prezent.

Ostrożnie okrążyli białą torbę, jakby była radioaktywna.

– Zerkniemy? – zapytał w końcu Ted.

Na „jak chcecie” Ashling wysunęli czarne lakierowane pudełko i patrzyli zafascynowani na małe ryżowe wałeczki ustawione w schludnych rzędach.

– Nie wiedziałam, że to tak wygląda – zauważyła Joy.

– A te inne to co? – Ted dotknął srebrnej saszetki.

– Sos sojowy – powiedziała bez cienia zainteresowania Ashling.

– A to? – Zdjął wieczko z małego kubeczka ze styropianu.

– Marynowany imbir.

– A to? – Wskazał kupkę zielonego kitu.

– Zapomniałam, jak to się nazywa, ale jest bardzo ostre – wyjaśniła ponuro.

Po pewnym czasie spędzonym na dokładnym badaniu, Ted postanowił chwycić byka za rogi.

– Zamierzam spróbować.

Ashling wzruszyła ramionami.

– To wygląda na ogórek. – Wrzucił sushi do ust. – A teraz oczyszcze podniebienie odrobiną imbiru, później...

– Nie tak to się robi – oświadczyła Ashling z irytacją.

– No to pokaż mi jak.

Ciche pukanie w okno sprawiło, że Clodagh zerwała się na równe nogi. Ogarnęła ją fala szczęścia. Był tu. Pobiegnęła do drzwi wejściowych i ostrożnie je otworzyła.

– Wrona kracze o zmierzchu – powiedział Marcus z mocnym rosyjskim akcentem.

– Ciii. – Przyłożyła palec do ust w przesadzonym geście, ale oboje pękali ze śmiechu i zadowolenia.

– Śpią? – wyszeptał Marcus.

– Śpią,

– Alleluja! – Niemal zapomniał o potrzebie zachowania ciszy. – Teraz mogę się do ciebie dobrać.

Wszedł do przedpokoju, chwycił Clodagh, a kiedy oboje chichotali i objali się o wieszaki, zaczął ją rozbierać.

– Chodź do salonu – poprosiła.

– Chcę zrobić to tutaj – oświadczył z błyskiem oku. – Na kaloszach i tornistrach.

– Pech, bo nie możesz! – Dostała spazmów ze śmiechu na widok jego udawanej obrażonej miny. – Wyglądasz jak Craig.

Mocniej wysunął dolną wargę, a ona zaśmiała się jeszcze głośniej.

– Ale poważnie, co będzie, jeśli jedno z nich wstanie z łóżka i zobaczy nas w uścisku na podłodze w przedpokoju? No już, leć do salonu.

Posłusznie podniósł koszulę i poszedł za Clodagh.

– Całe to przekradanie się przypomina mi okres dorastania. Całkiem seksowne.

Dylan przeraził Clodagh groźbami o odebraniu opieki, postanowiła zatem, że Molly i Craig nigdy nie zobaczą jej w łóżku z Marcusem. Jednak w tym tygodniu Marcus był zavalony pracą, więc seks za dnia odpadał. Mogli na niego liczyć, tylko gdy dzieci spały, czyli mniej więcej przez dwadzieścia minut dziennie.

Na sofie zdarli z siebie ubrania i po krótkiej chwili patrzenia sobie w oczy, Clodagh westchnęła:

– Tak się cieszę, że cię widzę.

Pięć dni od odejścia Dylana było dziwnym, koszmarnym okresem w jej życiu. Rozdzierało ją poczucie winy, zwłaszcza że dzieci nie przestawały pytać, kiedy tatuś wróci do domu. Czuła się coraz bardziej odizolowana: nawet jej matka była na nią wściekła. Poza tym Clodagh miała wrażenie, że coraz bardziej traci nad wszystkim kontrolę – przerażał ją rozmiar zniszczeń, których dokonała.

Koszmar mijał tylko przy Marcusie. Był brylantem w jej przywalonym śmieciami życiu. Przeczytała to zdanie w powieści, w której kobieta otwiera sklep z używanymi ciuchami znanych projektantów, i nie mogła go zapomnieć.

– Nie tak, jak ja się cieszę. – Marcus przyjrzał się jej nagiemu ciału, po czym wsunął pod nią dłonie i przekreślił Clodagh na brzuch. Zanim w nią wszedł, niemal nabożnie odczekał chwilę. Już od tygodnia nie uprawiali seksu. W sobotnie popołudnie nie było na to szans. Po tym, jak Craig walnął Marcusa czerwoną ciężarówką, nie pozwalał zbliżyć mu się do Clodagh nawet na metr.

– No już – ponagliła go Clodagh stłumionym głosem.

Marcus doprowadził się do erekcji ręką, by wejść w Clodagh. Uwielbiał pierwsze pchnięcie. Nie zdarzało się, by mieli dla siebie dużo czasu, dlatego ich seks przepelniała gwałtowność. Na dobry początek lubił wbić się aż po

samą nasadę, pokonać symboliczny opór i dotrzeć do oszałamiającej rozkoszy. Jeśli udawało mu się wywołać u Clodagh przytłumione westchnienie, świadczące zarazem o przyjemności i o bólu, odczuwał dodatkowe podniecenie.

Tym razem jego długie, doskonałe pchnięcie zostało zakłócone w połowie, kiedy Clodagh stężała i uniosła nieco głowę.

– Pst! – syknęła i wbiła wzrok w sufit. – Chyba słyszałam... Nie. – Odprężyła się ponownie. – Wydawało mi się.

Za drugim razem wszystko przebiegło bez zakłóceń, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś mu odebrano. Po krótkim, pełnym furii dymaniu zrobili to jeszcze raz, mniej gwałtownie, a ona była na górze.

Ociekając potem, położyła się obok niego.

– Naprawdę mnie uszczęśliwiasz – szepnęła.

– Ty mnie też – odparł. – Ale wiesz, co uszczęśliwiłoby mnie jeszcze bardziej? Gdybyśmy poszli na górę do łóżka. Ta sofa daje się we znaki mojemu kręgosłupowi.

– Nie powinniśmy. A jeśli cię zobaczą?

– Przecież możesz zamknąć drzwi od sypialni. No chodź. – Uśmiechnął się do niej. – Jeszcze z tobą nie skończyłem.

– Tak, ale... No, dobra, ale nie możesz zostać na noc. W porządku?

– W porządku.

Doktor McDevitt poczuł się zaniepokojony widokiem kobiety, która wmaszerowała do jego gabinetu i stanowczo zaczęła się domagać prozacu.

– Nie wyjdziemy bez tego.

– Pani... – Zerknął w listę pacjentów. – A, Kennedy. Nie mogę tak rozdawać recept...

– Proszę mi mówić Monica, i to nie jest dla mnie, tylko dla mojej córki. –
Monica wskazała ręką Ashling.

– O, Ashling, w ogóle pani nie zauważyłem. Co słyhać? – Lubił
Ashling.

Poruszyła się niespokojnie i wsparta na ramieniu matki, wyznała w
końcu:

– Okropnie się czuję.

– Jej chłopak opuścił ją dla jej najlepszej przyjaciółki – sprecyzowała
Monica, gdy stało się jasne, że Ashling nie zamierza zgłębiać tego tematu.

Doktor McDevitt westchnął. Zdrada chłopaka, no cóż, takie jest życie,
prawda? Ale ludzie żądali prozacu na wszystko – kiedy zgubili kolczyk, kiedy
ukłękli na klocku Lego.

– Nie chodzi tylko o chłopaka – dodała Monica. – Ona ma problemy
rodzinne.

Doktor McDevitt jakoś w to nie wątpił. Może jednym z problemów była
dominująca matka?

– Przez piętnaście lat cierpiałam na depresję. Byłam kilka razy w
szpitalu...

– Nie ma się czym chwalić – mruknął.

– ...Ashling zachowuje się dokładnie tak samo jak ja. Leży w łóżku nie
chce jeść, ma obsesję na punkcie bezdomnych.

Doktor McDevitt się ożywił. To już brzmiało lepiej.

– Jaką obsesję na punkcie bezdomnych?

Kolejne szturchnięcie i syk: „powiedz mu” sprawiły, że Ashling uniosła
bladą, nieruchomą twarz i wybełkotała:

– Znam jednego bezdomnego. Zawsze się o niego martwiłam, ale teraz smutno mi z powodu wszystkich. Nawet tych, których nie znam.

To wystarczyło, by przekonać doktora McDevitta.

– Dlaczego się tak czuję? – zastanawiała się na głos Ashling. – Czy zaczynam wariować?

– Nie, ale... hm... depresja to dziwna choroba – oświadczył. Innymi słowy, nie miał zielonego pojęcia. – Moim zdaniem, z wyznania pani mamy można wywnioskować, że mogła pani odziedziczyć skłonność do depresji. Trauma wywołana utratą kochanego chłopaka, dała temu impuls. – Wypisał jej receptę na najniższą dawkę. – Pod warunkiem, że pójdzie pani również na terapię. – Dopisał coś na karteczce.

Cenił terapię. Jeśli ludzie chcieli być szczęśliwi, powinni włożyć w to choć odrobinę wysiłku.

Przed gabinetem Ashling zapytała:

– Mogę już iść do domu?

Monica zdołała wywabić ją do lekarza tylko dlatego, że zamówiła taksówkę.

– Chodźmy do apteki, a potem wrócimy.

Ashling ponuro pozwoliła, by Monika wzięła ją pod rękę. Wciąż była zmuszana do robienia rzeczy, których nie chciała robić, ale czuła się zbyt oszołomiona, aby zaprotestować. Problem polegał na tym, że Monica postawiła sobie za cel uszczęśliwienie Ashling i była rozradowana, że wreszcie może wynagrodzić córce wiele lat oczywistego zaniedbywania.

Był wczesnojesienny poranek i kiedy tak spacerowały w łagodnym świetle słońca, Ashling wsparła się na łokciu matki, miękkim pod grubą warstwą ubrań.

Po wizycie w aptece Ashling uświadomiła sobie, że idzie przez Stephen's Green, gdzie została zmuszona do siedzenia na ławce i obserwowania jeziora w promieniach zachodzącego słońca. Ptaki bawiły się na wodzie, a Ashling zastanawiała się, kiedy wreszcie będzie mogła iść do domu.

– Wkrótce – obiecała jej Monica.

– Wkrótce? To dobrze. – I powróciła do oglądania ptaków. – Kaczki – zauważyła przygnębionym tonem.

– Zgadza się! Kaczki! – Monica była tak podniecona, jakby Ashling miała dwa i pół roku. – Przygotowują się do odlotu na południe, na zimę... Tam, gdzie jest cieplej – dodała.

– Wiem.

– Pakują bikini i olejek do opalania.

Cisza.

– Zamawiają czeki podróżne – ciągnęła Monica.

Ashling nadal patrzyła prosto przed siebie.

– Malują sobie paznokcie u nóg – zasugerowała Monica. – Kupują okulary przeciwsłoneczne i słomkowe kapelusze.

Okulary słoneczne przesądziły sprawę. Obraz kaczki w okularach w stylu mafioso był na tyle komiczny, aby na twarzy Ashling pojawił się cień uśmiechu. Dopiero wtedy wolno jej było wrócić do domu.

W sobotni poranek, kiedy Liam podjechał po Lisę, by zawieźć ją na lotnisko, nie krył podziwu.

– Boże Wszechmogący, Liso – oświadczył po ojcowsku. – Wyglądasz fantastycznie.

Sramtastycznie.

– I tak powinno być, Liam. Przygotowywałam się od siódmej.

Musiała przyznać, że bardzo się postarała. Wszystko było idealne: włosy, skóra, brwi, paznokcie. I strój. W środę i czwartek kurierzy dostarczyli jej najlepsze ubrania na tej planecie, a ona wybrała na dzisiaj niektóre z nich.

Podczas jazdy Lisa wyjaśniła Liamowi, co się dzieje, i skutecznie go przygnębiła.

– Rozwód – wymamrotał. – Twój facet musiał oszaleć. I oślepnąć.

Żeby podjechać jak najbliżej, Liam zaparkował w miejscu, które było nie tylko nielegalne, ale i niebezpieczne.

– Będę tu na ciebie czekał.

Lisie zabrakło tchu, zanim jeszcze wbiegła na salę przylotów. Chociaż na tablicy napisano, że samolot Olivera już wylądował, nigdzie go nie widziała, więc wbiła wzrok w podwójne szklane drzwi i czekała. Jej serce waliło jak młotem, a język kleił się do wyschniętego podniebienia. Czekwała długo. Ludzie regularnie wylewali się przez drzwi, wpadając z zakłopotaniem na tych, którzy ich oczekiwali, ale nadal nie było Olivera. Po pewnym czasie zadzwoniła do domu sprawdzić, czy nie zostawił informacji o opóźnieniu, ale nic tam nie było.

Nabrała już przekonania, że nie przyleciał, kiedy w końcu zobaczyła, jak Oliver z gracją zmierza ku szklanym drzwiom. Zakręciło się jej w głowie, ziemia lekko się zakołysała. Był ubrany na czarno. Miał długą marynarkę z czarnej skóry na czarnym golfie oraz wąskie, czarne spodnie. Na jej widok uśmiechnął się swoim kilometrowym uśmiechem. Jedyne dzieło człowieka widoczne w kosmosie, mawiała do niego w innym życiu.

Ruszyła przed siebie.

– Już straciłam nadzieję.

– Przepraszam, mała. – Jego usta wykrzywiły się, odsłaniając szokująco białe zęby. – Ale zatrzymali mnie na kontroli paszportowej. Jediną osobą z całego samolotu byłem ja. – Położył rękę na biodrze i oznajmił z fałszywym zainteresowaniem. – Ciekawe dlaczego.

– Sukinsyny!

– Tak, jakoś nie mogę ich przekonać, że jestem obywatelem Wielkiej Brytanii. Mimo że mam brytyjski paszport.

Cmoknęła z przejęciem.

– Jesteś przygnębiony?

– Nie, przywykłem. To samo zdarzyło się poprzednim razem. Świetnie wyglądasz, mała.

– Ty też.

Kathy właśnie kończyła sprzątanie, kiedy Liam wyrzucił ich przed domem. Kathy usiłowała się dyskretnie wymknąć, ale Lisa ją zatrzymała.

– Oliver, to Kathy, mieszka na tej ulicy. Kathy, to Oliver, mój mąż... kumpel.

– Witaj – powiedziała Kathy, zastanawiając się, co to takiego mążkumpel. Pewnie kolega gej.

Po wyjściu Kathy poczuli wyjątkowo miłe, superjowialne zakłopotanie – chociaż byli do siebie bardzo przyjaźnie usposobieni, nie ulegało wątpliwości, że sytuacja była dziwna i nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Oliver z przesadnym entuzjazmem podziwiał dom, a Lisa snuła dalekosiężne plany ze szczególnym uwzględnieniem drewnianej rolety.

W końcu oboje się uspokoili i zaczęli zachowywać całkiem normalnie.

– Powinniśmy zabrać się do roboty, mała. – Oliver wyjął coś z torby. Przez króciutką chwilę sądziła, że ma prezent dla niej, po czym uświadomiła

sobie, że to pudełko pełne dokumentów: aktów notarialnych, wyciągów z kont, kart kredytowych, papiery związane z hipoteką. Włożył okulary w srebrnych oprawkach i choć wyglądał słodko profesjonalnie, jej nerwowe, pensjonarskie oczekiwanie nagle zniknęło. Co ona sobie myślała? To nie była randka, tylko spotkanie w sprawie rozwodu.

Samopoczucie Lisy nagle sięgnęło dna. Ociężała usiadła przy kuchennym stole i zagłębiła się w ich dawne życie finansowe, aby przywrócić mu status całkowicie przynależny osobom niezamężnym. Był to delikatny i skomplikowany proces, przypominający rozdzielanie bliźniaków syjamskich.

Próbowali odtworzyć operacje bankowe sprzed pięciu lat, aby wyliczyć rozmaite płatności, jakie ponosili w związku z mieszkaniem. Poza depozytami, polisami ubezpieczeniowymi oraz opłatami na prawników, różnice w wysokości wydatków często były niejasne.

Parę razy zrobiło się nieprzyjemnie, jak zawsze przy rozliczeniach. Lisa upierała się, że zapłaciła wszystkie stawki za adwokata, ale Oliver był pewien, że i on miał swój wkład.

– Popatrz. – Poszperał i znalazł niepodważalną fakturę od adwokata. Rachunek na pięćset dwanaście funtów i szesnaście pensów. – A tu – dźgnął palcem swój wyciąg z konta – czek na pięćset dwanaście funtów szesnaście pensów, zrealizowany trzy tygodnie później. Przypadek? Wątpię.

– Pokaż! – Przyjrzała się obu. – Przepraszam. Zadzwoił dzwonek, do domu weszła Francine.

– Czeeeeeeść, Lisa. Cześć. – Skinęła głową Oliverowi, o dziwo, onieśmielona. Popatrzyła na Lisę. – Robimy dziś pizamowe przyjęcie. Ja, Chloe, Trudie i Phoebe. Przyjdziesz?

– Dziękuję, ale mam inne plany.

– OK. A nie masz może jakichś maseczek, które mogłybyśmy zużyć?

Lisa ukryła irytację.

– Przepraszam, Oliver, poczekaj sekundę. Chodź do sypialni, Francine.

– Dobrej zabawy! – wykrzyknął Oliver, kiedy Francine wychodziła z reklamówką pełną maseczek, lakierów do paznokci, peelingów i innych rzeczy niezbędnych na piżamowym przyjęciu.

Lisa skrzywiła się z irytacją.

– Wpadła tylko po to, żeby sobie ciebie obejrzyć.

Wrócili do sprawdzania rachunków i do wspomnień.

– Co, u diabła, kupiliśmy za taką cenę w Aero?

– Nasze łóżko – odparł krótko.

Zapadła cisza, gęsta od niewyrażonych uczuć.

– Czek dla Discovery Travel? – zapytała później Lisa.

– Cypr.

To jedno słowo poruszyło w niej masę emocji. Upał, kończyny splątane w popołudniowym słońcu rzucającym dziwne cienie na ich pościel: była tak bardzo zakochana podczas tych ich pierwszych „małżeńskich” wakacji, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że mogłaby żyć bez Olivera.

A teraz siedzieli nad czekiem, przygotowując się do rozvodu. Czy życie nie było dziwne?

Parę godzin później dzwonek odezwał się ponownie. Tym razem był to Beck.

– Lisa, może wyjdiesz? Kopiemy sobie piłkę.

– Jestem zajęta, Beck.

– Cześć. – Beck usiłował nonszalancko skinąć głową Oliverowi, ale nie umiał ukryć podziwu. – A ty?

– On też jest zajęty. – Lisa wkurzała się coraz bardziej. Traktowali Olivera jak jakiegoś dziwołaga.

– Właściwie... – Oliver odłożył długopis i zdjął okulary. – Przyda mi się przerwa. To mnie męczy. Pół godzinki? – Z gracją podniósł się z krzesła. Lisa patrzyła na jego muskularną sylwetkę.

– Idziesz, Lisa?

– Mogę iść.

– Na początku oszukiwała – wyznał Beck Oliverowi. – Ale teraz już nie.

– Gra z wami w piłkę? – Oliver wydawał się zdumiony.

– Jasne. – Teraz to Beck się zdumiał. – Nie jest zła. Jak na dziewczynę.

Oliver szeroko otworzył usta.

– Zmieniłaś się – powiedział, niemal oskarżycielsko.

– Nieprawda – odparła bezbarwnie.

Trzydziestominutowa przerwa, spędzona na ganiu za piłką i przepychankach, okazała się dobrym pomysłem. Brakowało im tchu i sił, kiedy wrócili do kuchennego stołu zarzuconego dokumentami.

– A tak. – Oliver się skrzywił. – Zapomniałem.

– Hej, darujmy to sobie dzisiaj.

– Raczej nie, mała. Sporo roboty przed nami.

Zabolało ją to, ale się maskowała. Zadzwoiła po dwie pizze i przystąpili do pracy. Zakończyli tuż przed północą.

– Ile mamy na to wszystko czasu?

– Gdy tylko ustalimy podział finansów, pójdziemy do sądu, warunkowy wyrok rozwodowy przyjdzie dwa, trzy miesiące później. Rozwód uzyskamy sześć tygodni po nim.

– O, szybko. – Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Po tym dniu czuła się wyczerpana, przygnębiona i smutna. Bolał ją kark, bolało ją serce, było już późno i nie chciała uprawiać seksu. On też nie. Oboje byli zbyt przygnębieni.

Oliver rozebrał się bezmyślnie, pozostawiając ubranie na podłodze, po czym wszedł do łóżka Lisy, jakby to robił miliony razy. Wyciągnął ku niej rękę, a ona się przytuliła. Przyjęli swoją zwyczajową pozycję do spania – na łyżeczki, jej plecy przywarły do jego torsu, wsunęła stopy między jego uda. Było to bardziej intymne i czułe niż seks. W ciemności zapłakała. Słyszał ją, ale nie potrafił znaleźć w sobie nic, co mogłoby ją pocieszyć.

Następnego dnia znów zajęli miejsca przy stole i pracowali do trzeciej, kiedy to nadszedł czas, by Oliver zaczął się zbierać. Pojechała z nim taksówką na lotnisko, a kiedy wróciła do pustego domu, niebezpiecznie wabiło ją łóżko. Była taka przygnębiona. Jednak oparła się pokusie, by do niego wpełznąć i na nowo wyłączyć się z życia. Musiało toczyć się dalej.

59

W poniedziałkowy poranek Monica odprowadziła Ashling do pracy.

– Grzeczna dziewczynka, idź już.

Było całkiem jak pierwszego dnia szkoły. Ashling minęła drzwi wejściowe, po czym odwróciła głowę do matki, a Monica machnęła ręką, nakazując, aby szła przed siebie. Ashling niechętnie powlekła się do windy.

Kiedy zajęła miejsce przy biurku, wszyscy dziwnie na nią patrzyli, a potem zrobili się upokarzająco mili.

– Chcesz herbaty? – spytała Trix niezręcznie.

– Trix, przerażasz mnie – odparła Ashling, po czym wbiła spojrzenie w rzeczy na swoim biurku. Kiedy potem uniosła wzrok, Trix kiwała głową i szeptała do pani Morley: „Nie chce herbaty”.

Do redakcji wpadł Jack z grubym plikiem dokumentów pod pachą. Wydawał się zestresowany i rozzłoszczony, ale na widok Ashling zatrzymał się i wyraźnie rozpogodził.

– Jak się masz? – spytał łagodnie.

– Przynajmniej wstałam z łóżka – odparła, jednak jej nieruchoma, jakby stężała w gipsie twarz świadczyła o tym, że nie jest szczególnie wesoła. – Tamtego dnia, kiedy do mnie przyszedłeś... Dziękuję ci za sushi, byłam trochę, hm, rozdrażniona.

– Nie ma sprawy. Jak tam Weltschmerz?

– Żyje i ma się dobrze.

Pokiwał głową, milcząc ze współczuciem, ale bezradnie.

– Lepiej wróć do pracy – powiedziała.

– A ten twój smutek? – spytał Jack powoli. – Czy jest niesprecyzowany, czy też przybrał jakąś konkretną formę?

Ashling zastanawiała się przez chwilę.

– Przybrał konkretną formę. Znam pewnego bezdomnego, Boo, tego ze zdjęć, pamiętasz? Przez niego bezdomność stała się dla mnie realna i to rozdziera mi serce.

– Wiesz, moglibyśmy dać mu jakąś pracę – z zadumą zauważył Jack po chwili milczenia. – Niech zacznie od czegoś prostego, od posady gońca w stacji telewizyjnej.

– Nie możesz dać pracy komuś, kogo nie znasz.

– Ale ja znam Boo.

– Jak to?

– Pewnego dnia spotkałem go na ulicy. Rozpoznałem go ze zdjęć, pogadaliśmy sobie. Chciałem mu podziękować, te zdjęcia sprawiły, że ludzie zupełnie inaczej postrzegają „Irlandkę”. Wydał mi się bardzo bystry.

– O, to prawda, wszystko go interesu... Czekał no, mówisz poważnie?

– Jasne. A czemu nie? W końcu coś mu zawdzięczamy. Patrz, ile reklam zebraliśmy dzięki tym zdjęciom.

Przez chwilę Ashling czuła się nieco lepiej, ale moment później znów zniknęła w czarnej dziurze.

– A co z resztą bezdomnych? Z tymi, którzy nie trafili do pisma?

Jack zaśmiał się ze smutkiem.

– Wszystkim nie mogę dać pracy.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do redakcji wszedł elegancko ubrany mężczyzna.

– Witam, tandeciarze! – oświadczył.

– Kto to? – Ashling popatrzyła na jego włosy z pasemkami, szyte na miarę, karmazynowe spodnie, siatkowy podkoszulek i króciutką skórzaną kurteczkę, którą właśnie zdejmował.

– Robbie, nasz nowy pracownik. Zastąpił Mercedes – wyjaśnił Jack. – Zaczął w czwartek. Robbie! Chodź, poznasz Ashling.

Robbie w afektowanym zdumieniu przycisnął dłoń do niemal nagiej klatki piersiowej.

– Kto? *Moi?*

– To chyba gej – syknął Kelvin.

– No, nie mów, Sherlocku – zauważyła Trix z pełnym pogardy sarkazmem.

Robbie uroczyście uścisnął Ashling, po czym z jękiem rzucił się na jej torebkę.

– Jakież to w stylu Gucciego! Chyba mam ochotę zapomnieć się w modzie!

Ashling nawet popracowała – co ją zdumiało. Tak naprawdę jej praca nie była zbyt wymagająca. No i miesięczny felieton Marcusa Valentine'a nie pojawił się na jej biurku do redakcji ani do korekty.

Pod koniec dnia matka odebrała ją z pracy, a po przyjsciu do domu pozwoliła jej pójść prosto do łóżka.

We wtorkowy poranek, po popychaniu, szturchaniu i matczynych zachętach Ashling zdołała wstać i pójść do pracy. Tak samo w środę. I w czwartek.

W piątek Monica wróciła do Cork.

– Czas na mnie. Twój ojciec pewnie puścił dom z dymem pod moją nieobecność. Bierz tabletki – nieważne, że kręci ci się od nich w głowie i chce ci się wymiotować – potem idź na terapię. Wszystko będzie dobrze.

– OK. – Ashling poszła do pracy i miała wrażenie, że całkiem dobrze sobie radzi – aż do wczesnego popołudnia, kiedy to do redakcji wmaszerował Dylan. Natychmiast poczuła przyływ mdłości. Miał informacje. Informacje, których była spragniona, ale które bez wątpienia przyniosą jej ból.

– Wybierzesz się ze mną na lunch?

Jego przyjscie wywołało dreszcz zebranych w redakcji. Ci, którzy nie wiedzieli, jak wygląda Marcus Valentine, szeptem pytali tych, którzy wiedzieli, czy to on? Czyżby mieli być świadkami romantycznego, namiętnego pojednania? Byli ogromnie rozczarowani, gdy ci, którzy wiedzieli, odszeptali: „Nie, to mąż tej przyjaciółki”.

Kiedy Ashling brała torebkę, Dylan i Lisa wymienili spojrzenia pełne zainteresowania jednej pięknej osoby drugą.

Dylan wyglądał inaczej. Zawsze był przystojny, chociaż odrobinę mdły. Teraz jednak aż biła od niego męskość i zmęczony magnetyzm. Objął Ashling w pasie i poprowadził ją do wyjścia, a oczy całej redakcji wpatrywały się w plecy dwójki rogaczy.

Poszli do pobliskiego pubu i zajęli miejsce przy stoliku na rogu. Ashling zamówiła tylko dietetyczną colę, a Dylan kufel piwa.

– Klin. – Westchnął ciężko – Po ostrym picu wczoraj.

– Ciągłe mieszkasz u matki? – spytała.

– Tak. – Pełen gorczy śmieszek.

To oznaczało, że Clodagh i Marcus nadal są razem. Czyli nie było to chwilowe szaleństwo. Poczula, że zbiera się jej na mdłości.

– Co się dzieje?

– Niewiele, poza ustaleniem, że będę widywał dzieci co weekend i zostawał na noc w soboty. – Z miną pełną wstydu wyznał: – Powiedziałem Clodagh, że poczekam, aż jej przejdzie. Chociaż wyznała mi, że kocha tego kutasa. Bóg wie dlaczego. – Po chwili zorientował się, co powiedział. – Przepraszam.

– OK.

– Jak sobie radzisz? – Tym razem skupił uwagę na niej i na chwilę stał się dawnym dobrym Dylanem.

Zawahała się. Co miała odpowiedzieć? Nienawidzę świata, nienawidzę żyć, biorę środki antydepresyjne, moja matka musi rano wyciskać mi pastę na szczoteczkę do zębów, a teraz, kiedy wróciła do Cork, nie wiem, jak zdołam umyć zęby?

– Dobrze – odparła.

Nie wydawał się przekonany.

– Poważnie – dodała. – No, opowiedz mi jeszcze, co się dzieje. Dylan westchnął ze smutkiem.

– Najbardziej martwię się o dzieci. Nic nie rozumieją, straszne. Ale są zbyt małe na to wszystko. Poza tym nie powinienem nastawiać ich przeciwko matce, nawet jeśli ją nienawidzę.

– Nie nienawidzisz jej.

– O, wierz mi Ashling, że nienawidzę.

Ashling uznała, że ta buńczuczność jest żalosna. Nienawidził Clodagh, bo ogromnie ją kochał.

– Być może to wszystko minie – powiedziała Ashling, nie tylko ze względu na Dylana, ale i na siebie.

– Tak. Poczekamy, zobaczymy. Rozmawiałaś z którymś z nich?

– Widziałam się z Clodagh dwa tygodnie temu, w tamten... tamten piątek. Ale nie mogłam skontaktować się z... – Zawahała się. Nawet wypowiedzenie jego imienia sprawiało jej ból. – Z Marcusem. Dzwoniłam do niego, przestał odbierać telefon.

– Zadzwoń do nich do domu.

– Nie.

– I dobrze. Zachowaj godność.

Ashling poruszyła się niespokojnie. Nie chodziło o to. Po prostu nie miała siły.

Po powrocie do Londynu Oliver nie zadzwonił do Lisy, ona do niego również nie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Oboje musieli czekać na

zatwierdzenie ich sytuacji majątkowej przez prawników, a potem po kilku miesiącach mogli liczyć na warunkowy wyrok rozwodowy.

Lisa przebrnęła przez ten tydzień, ale chociaż jako tako funkcjonowała, nie czuła się dobrze. Zdołała przygotować numer październikowy, ale przypominało to wtaczanie kuli z kleju na wzgórze. Zwłaszcza z Ashling snującą się jak zombie.

Przynajmniej Robbie był niezły. Miał mnóstwo dziwacznych pomysłów do następnych numerów. Wiele z nich szło zbyt daleko, ale przynajmniej jeden – na sesje mody w stylu sadomaso – był genialny.

Kiedy wszystko trafiło do drukarni w piątkowy wieczór, kilka osób zaprosiło ją na drinka po pracy. Trix, Robbie i nawet Jack zasugerowali, żeby uczcić „zamknięcie października”. Ale ona miała ich wszystkich dosyć i poszła prosto do domu.

Gdy tylko się w nim znalazła, do drzwi natychmiast zapukała Kathy. Ostatnio często się tu kręciła. A jeśli nie ona, to Francine albo jakieś inne osoby z tej ulicy.

– Przyjdź do nas wieczorem na kolację – zaprosiła ją Kathy. Lisa niemal parsknęła śmiechem, ale Kathy dodała:

– Mamy na kolację piezzonego kurczaka.

I nagle Lisa się zgodziła. Czemu nie, pomyślała, próbując usprawiedliwić przed sobą tę decyzję. Mogła rozpocząć dietę Scarsdale, od lat jej nie stosowała, a piezony kurczak znakomicie do niej pasował.

Dziesięć minut później weszła do kuchni Kathy, gdzie natychmiast uderzyła ją para, hałas telewizora i odgłosy walk dzieci. Kathy wydawała się kompletnie zmordowana.

– Jesteśmy prawie gotowi. Zamieszaj sos, bezużyteczny dupku – to do Johna, jej dobrodusznego, tępawego męża. – Napijesz się, Lisa?

Lisa już miała poprosić o kieliszek białego wina, gdy Kathy dodała:

– Ribena? Herbata? Mleko?

– E... może mleko.

– Nalej Lisie mleka. – Kathy lekko trąciła nogą Jessikę, która kotłowała się na podłodze z Francine. – W czystej szklance. Wszyscy do stołu.

Lisa zauważyła, że dostała mniej więcej trzy razy większą porcję niż pozostali. Kathy położyła na jej talerzu co najmniej cztery smażone ziemniaki, zanim Lisa zdążyła poinformować ją, że ich nie jada. Usiłowała udawać, że ich tam nie ma, ale wyglądały i pachniały tak smakowicie... Walczyła ze sobą, po czym się poddała, i po raz pierwszy od dziesięciu lat kawałek pieczonego ziemniaka trafił do jej ust. Jutro zacznę dietę, pomyślała.

– Przestań kopać nogę stołu! – ryknęła Kathy na Lauren, swoją najmłodszą córkę. Lauren skrzywiła się, przestała i zaczęła od początku mniej więcej trzy sekundy później.

– Dźgasz mnie łokciem – poskarżyła się Francine do Lisy.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Francine nagle spokorniała. – Powinnaś powiedzieć, że przynajmniej nie mlaszczesz przy jedzeniu.

– Rozumiem.

– I że nie jesteś ohydny grubasem – podpowiedziała jej usłużnie Jessica.

– Albo że przynajmniej nie pierdzę – powiedziała Lisa.

– Właśnie!

Stłoczona przy niewielkim kuchennym stole, z telewizorem ryczącym za plecami, patrząc na wąsy z mleka u wszystkich biesiadników, u niej pewnie też, Lisa doświadczyła déjà vu. Czego? Co to jej przypominało? Nagle z przerażeniem sobie uświadomiła. Było tu zupełnie jak w jej własnym domu w Hemel Hempstead. Ciasnota, hałas, dobrotliwie docinki, wszystko było takie same. Jak, na Boga, do tego wróciła?

– Nic ci nie jest, Lisa? – zapytała Kathy.

Lisa pokręciła głową, ale walczyła z pokusą, by zerwać się z krzesła i uciec do swojego domu. Była dziewczyną z rodziny robotniczej i przez całe życie próbowała zostać kimś innym. Mimo lat spędzonych na kieracie w koncernie medialnym, podlizywania się, upokarzania, ciągłego napięcia, braku odpoczynku, nieuchronnie powróciła do miejsca, z którego zaczynała. To jej odebrało mowę.

Nigdy właściwie nie zastanawiała się, co poświęca, uciekając ze swojego środowiska. Zawsze wydawało się, że było warto. Jednakże siedząc w kuchni Kathy, nie widziała żadnych dowodów wspaniałego życia, jakie sobie stworzyła. Zamiast tego uderzyło ją to, co straciła; przyjaciół, rodzinę, a co najgorsze, Olivera – i to na próżno.

60

Nadeszła północ, Jack Devine był wyczerpany i przygnębiony. Od kilku godzin bezskutecznie przemierzał ulice Dublina w poszukiwaniu Boo. Czuł się jak wyjątkowo kiepski tajniak. Poza zaglądaniem w bramy domów nieopodal mieszkania Ashling nie bardzo wiedział, gdzie szukać. Gdzie najchętniej spotykali się bezdomni?

Mieszkańcy ulicy, których pytał o Boo, zaprzeczali, że w ogóle go znają. Może faktycznie tak było, ale Jack podejrzewał, że w ten sposób go chronią.

Czy powinien rzucić im dziesiątaka, dmuchnąć dymem w oczy i powiedzieć: „Może to odświeży ci pamięć?” Przecież tak się załatwiało sprawy w książkach Raymonda Chandlera.

Klnąc na swój brak ulicznego sprytu, nadal szedł przed siebie. Zszedł z głównych ulic, teraz zawędrował w ciemne alejki, do zatoczek przeładunkowych... Może to on? Jakies chude jak patyki kończyny kuliły się pod płaszczem na pogniecionym kartonowym pudle.

– Przepraszam. – Jack przykucnął obok. Popatrzyła na niego chuda, drobna, bardzo młoda twarz. Wroga i przestraszona. To nie był Boo. – Przepraszam. – Jack natychmiast się wycofał. – Przepraszam, że przeszkadzam.

Wrócił na główną drogę i poczuł, że brak mu już energii. Miał dość, jak na jedną noc, postanowił spróbować jutro. Idąc do samochodu, nagle usłyszał okrzyk:

– Jack! Tutaj!

I tam, na schodku przed zakładem fryzjerskim, Czytając książkę, siedział nikt inny tylko Boo.

– Idziesz się zalać? – spytał i zaprezentował swój radosny, szczerbaty uśmiech.

– E... nie. – Jack był oszołomiony, że to Boo znalazł jego. – Szukam cię już od dwóch godzin.

– A więc to byłeś ty. – Wcześniej JohnJohn ostrzegał go, że wypytuje o niego jakiś facet. Podejrzywał, że to glina w cywilu, no bo kto, ale pewien nie był.

– To byłem ja. – Jack ukucnął obok Boo i nagle, jakby przekroczywszy niewidzialną linię, poczuł smród, który uderzył go z siłą młota górniczego. Z ogromnym wysiłkiem zachował ten sam wyraz twarzy.

– O co chodzi? – Boo był podejrzliwy. Polubił Jacka, gdy rozmawiali o tamtej sesji fotograficznej, ale ludzie zwykle nie szukali Boo, jeśli nie miał on jakichś kłopotów.

Przyzwyczajając się do smrodu, Jack szukał właściwych słów. Nie chciał wypaść protekcyjnie, zależało mu, żeby Boo ocalił w tej sytuacji resztki godności.

– Mam problem – zaczął.

Mięsień po mięśniu, twarz Boo stawała się coraz bardziej wroga.

– Zwolnił się etat w stacji telewizyjnej, w której pracuję, i szukam odpowiedniej osoby. Znajoma poleciła mi ciebie.

– O co ci chodzi? – Boo podejrzliwie zmrużył oczy.

– Chciałbym dać ci pracę. Jeśli cię to interesuje – dodał pośpiesznie.

Na twarzy Boo malowało się całkowite niezrozumienie. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie doświadczył.

– Dlaczego? – wydukał w końcu. Ludzie, którzy byli dla niego mili, należeli do rzadkości i nie był skłonny im ufać.

– Ashling uznała, że dobrze byś się nadał, a ja cenię sobie jej zdanie.

– Ashling... – Jeśli miała z tym coś wspólnego, może jednak nikt go nie nabierał. Ale czy to możliwe?

– Jaja sobie robisz, tak? – spytał nieprzyjemnie.

– Nie. Naprawdę nie. Może wpadniesz do nas do telewizji, a wtedy mi uwierzysz.

– Wpuściecie mnie?

Gdy Jack to usłyszał, ścisnęło mu się serce.

– Jasne, że cię wpuścimy. Niby jak miałbyś pracować?

Właśnie w tej chwili Boo postąpił wbrew swym naturalnym instyngtom i postanowił zaufać Jackowi.

– Ale dlaczego...? – Jego oczy zalśniły i wydawał się tak młody, wyglądał niemal jak dziecko. Jack czuł, że również na jego twarz wypełzają emocje. – Nigdy dotąd nie miałem pracy. – Boo przełknął ślinę.

– No to chyba nadszedł czas, żebyś zaczął?

– Nie mogę przez całe życie być obibokiem!

– No nie. – Jack nie bardzo wiedział, czy ma się roześmiać.

– Rozchmurz się. – Boo posłał mu łzawy uśmiech. – Mam pisać tylko recenzje książek czy przydam się do czegoś jeszcze?

– Eeee... – Jack był całkowicie zaskoczony. – Powiedziałbym, że do czegoś jeszcze.

Następnego dnia w pracy Jack przekazał te nowiny Ashling jak cenny prezent.

– Znalazłem Boo i zaproponowałem mu pracę w telewizji. Wydawał się chętny.

– Świetnie! – Jej entuzjastyczny głos nie pasował do nieruchomej twarzy.

– Nie ma ubrań, powiedziałem, żeby wpadł i spotkał się z Kelvinem. W „Dziale mody” jest mnóstwo męskich ciuchów, których nikt nie chce, może sobie coś wybrać.

Ashling zeszywniała. Nie uroniła żadnej łzy, ale to niemal rozpuściło lód w jej duszy.

– Bardzo miło z twojej strony – powiedziała do swojej klatki piersiowej.

– Problem w tym – w głosie Jacka zabrzmiało zakłopotanie – że początkowo Boo sądził, że ma recenzować książki do „Irlandki”. Czemu tak pomyślał?

Uniosła głowę i ramiona.

– Nie powiem ci, nawet jak mnie przyprzesz do muru, bo nie wiem. – Nagle pożałowała, że wypowiedziała te słowa. Na ich dźwięk coś przeleciało przez twarz Jacka Devine'a, coś, co sprawiło, że jej ramiona zastygły, zanim zdążyła nimi wzruszyć. Cokolwiek to było, poczuła się żywa. I przestraszona. – Recenzje? – Usiłowała się skupić, i nagle sobie przypomniała. – Dawałam mu egzemplarze próbne książek, których nikt nie chciał – wyjaśniła pośpiesznie. – A on zawsze opowiadał mi, co o nich myśli.

– Rozumiem. Tak czy owak, zaczyna w telewizji od poniedziałku. Recenzje książek do „Irlandki” to działka Lisy. Ale zawsze możemy ją zapytać – zakończył radośnie.

Zalana łzami Clodagh otworzyła drzwi wejściowe.

– Co się stało? – jęknął Marcus.

– Chodzi o Dylana. Co za skurwysyn.

– A co zrobił? – Marcus zaprowadził ją do kuchni, a na jego twarzy malowała się furia.

– Och, zasłużyłam na to. – Clodagh usiadła przy stole i otarła oczy chusteczką. – Nie mówię, że nie. Ale tak mi trudno. Za każdym razem, kiedy się widzimy, ma dla mnie coraz gorsze wieści i przez to strasznie się czuję.

– Co zrobił? – spytał ponownie Marcus.

– Zmusił mnie, żebym oddała wszystkie karty kredytowe. Zamknął nasze wspólne konto i daje mi miesięczne alimenty. Zgadnij ile?

Szlochając, wymieniła sumę tak niską, że Marcus wykrzyknął:

– Alimenty? To się powinno nazywać niedalimenty! Nagrodziła go niepewnym uśmiechem.

– Byłam niegrzeczną dziewczynką, czego mogę się spodziewać.

– Przecież ma obowiązek się tobą zajmować, jesteś jego żoną! – Stanowczość w głosie Marcusa nie znajdowała odzwierciedlenia w jego zachowaniu. Grzebał w pojemnikach na parapecie.

– Ale on tak chyba nie uważa... – Urwała. – Co ty robisz?

– Szukam długopisu.

– Proszę. – Znalazła jeden w pudełku Craiga. – Co robisz.

– Tylko... – Nagryzmolił coś na kartce. – Coś. Chodźmy do łóżka – wyszeptał w jej szyję.

– Myślałam, że nigdy nie poprosisz. – Obdarzyła go mniej łzawym uśmiechem i zaprowadziła go do pokoju gościnnego. Marcus jednak przystanął i nie chciał tam wejść. Nie czuł już dreszczyku emocji związanego z uprawianiem nastoletniego seksu.

– Chodźmy na górę.

– Nie możemy.

– Jak długo będziemy się bawić w filmy przygodowe? No, Clodagh – kusił ją. – To tylko dzieci. Nie rozumieją.

– Ty draniu. – Zachichotała. – Ale nie rób hałasu.

– Wobec tego ty nie bądź tak cholernie seksowna.

– Postaram się.

Seks był fantastyczny, jak zawsze. Zdołała się zatracić, zapomnieć o wstydzie i obecnym ubóstwie przy każdym pchnięciu, którym raczył ją Marcus. Nagle rytm się zmienił.

– Szybciej – syknęła.

Ale on jeszcze bardziej zwolnił, aż w końcu znieruchomiał.

– Co się stało?

– Clooooooodaaagh. – W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. Wpatrywał się gdzieś w bok, a ona pośpiesznie wydostała się spod niego. Zapomniałam zamknąć drzwi, pomyślała.

Była jednocześnie zaszokowana i dziwnie spokojna, widząc Craiga w drzwiach. Wpatrywał się w Marcusa.

– Tatuś? – spytał z nieprawdopodobnym zdumieniem.

– Mamo, mówi Lisa.

– Cześć, skarbie – odezwała się ciepło Pauline. – Cudownie cię słyszeć.

– Ciebie też. – Lisa ze ściśniętym gardłem usłyszała prawdziwe uczucie w głosie matki. – Pomyślałam sobie, że odwiedzę was w przyszły weekend. Jeśli wam pasuje – dodała pośpiesznie.

– No jak to? Przecież to dla nas ważniejsze niż cokolwiek innego. Bardzo chcielibyśmy cię zobaczyć.

Kiedy Lisa wyszła w piątek z domu Kathy, czuła się zraniona, naga i bezbronna, jakby wszystko, co się na nią składało, zniknęło. I nagle, znienacka zatęskniła za mamą.

Było to całkiem nieoczekiwane, podobnie jak to, co przyszło później – gdy oswoiła się z tą myślą, wcale nie wydawała się jej taka straszna. Można wyrwać dziewczynę z komunalnego bloku, ale nie da się wyrwać komunalnego bloku z dziewczyny, roześmiała się smutno. Nie była to szczególnie pogodna myśl, ale i nie taka znowu przerażająca.

Później naszło ją pragnienie ucieczki. Minęło jednak i zamiast tego postanowiła powrócić do źródeł.

– Tak bardzo się cieszę, że się zobaczymy, Liso. To mnie bardzo podniosło na duchu. – Pauline była tak zachwycona, że Lisa zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliła sobie zakłopotania rodziców w jej towarzystwie. Może tylko się jej to wydawało?

Dni Ashling mijaly jeden po drugim. Świat nadal był pogorzeliiskiem, a kiedy budziła się każdego ranka, czuła się tak, jakby poprzedniego wieczoru ciężko piła. Nawet po tych nocach, kiedy nie piła. Jednakże po kilku tygodniach uświadomiła sobie, że drobiazgi takie jak mycie zębów i prysznic nie wydają się jej już takie uciążliwe.

– To środki antydepresyjne zaczęły działać – powiedziała Monica podczas jednej z wielu rozmów telefonicznych. – Te selektywne inhibitory wychwyty zwrotnego serotoniny to dar od Boga. Są znacznie lepsze niż staroświeckie trójpierścieniowe coś tam.

Ashling była zdumiona. Nie sądziła, że antydepresanty zadziałają. W końcu jej matka nie wydobrzała. Przynajmniej przez wiele lat.

Poza utrzymywaniem czystości mogła też pracować, pod warunkiem, że nie obarczano jej niczym zbyt skomplikowanym. Zawsze ją krępowała jej własna sumienność, ale teraz niejasno uznawała, że to zapewne jej jedyny ratunek.

– Są już listopadowe horoskopy. – Trix pomachała gazetą. – Zbierzcie się, to je przeczytam na głos.

Cała redakcja znieruchomiała. Każdy pretekst był dobry, żeby oderwać się od pracy. Nawet Jack przestał pracować, choć wiedział, że powinien

surowo skarcić pracowników. Postanowił, że zrobi to, jak tylko odczytają horoskop dla Wagi.

- Przeczytaj Skorpiona – poprosiła Ashling.
- Przecież jesteś spod Ryb.
- Przeczytaj Skropiona. A potem Koziorożca.

Clodagh była spod Skorpiona, a Marcus spod Koziorożca i Ashling koniecznie chciała wiedzieć, jak im się będzie układało w listopadzie.

Jack Devine podchwycił jej spojrzenie i dziwnie na nią popatrzył z mieszaniną krytycyzmu i smutku. Wiedział, o co jej chodziło. Pośpiesznie odwróciła głowę. Mogła sobie czytać takie horoskopy, jakie się jej podobało, mogła też robić znacznie gorsze rzeczy. W końcu Joy zasugerowała, żeby rzucić klątwę na Marcusa i Clodagh.

Z horoskopów wynikało, że Clodagh i Marcus będą mieli w listopadzie wzloty i upadki. Ashling nie widziała powodu, by w to nie wierzyć.

- Spod jakiego znaku jesteś, JD? – spytała Trix.
- Dla ciebie to pan Devine... Spod Wagi – westchnął, kiedy stało się jasne, że Trix nie odpuści. – Ale nie wierzę w astrologię. Wagi nie wierzą.

Ashling uznała, że to nawet zabawne. Zerknęła spod grzywki na Jacka. On też na nią patrzył. Wymienili niemrawe uśmiešky, a Ashling szybciotko schowała się pod blatem. Po chwili wyłoniła się z torebką, ale zakłopotana, nie była pewna, co chce z niej wyjąć. Czyżby wzięła ją tylko po to, żeby przestać wpatrywać się w Jacka Devine'a? Nagle przypomniała sobie, że zbliża się pora lunchu i czas na jej spotkanie z doktorem McDevittem.

Dziesięciominutowy spacer do gabinetu przypominał przejście przez pole ostrzału snajperskiego. Bała się wyjść i natknąć na coś, co sprawi jej ból. Starła się nie odrywać spojrzenia od chodnika i nie patrzeć powyżej poziomu

kolan ludzi. To gwarantowało bezpieczne przejście, do chwili, gdy bośniacki uchodźca usiłował jej sprzedać egzemplarz „Big Issues”. Natychmiast dopadło ją poczucie beznadziei.

A czekało ją coś jeszcze gorszego – doktor McDevitt we własnej osobie.

– Jak sobie pani radzi na prozacu? – zapytał.

– Dobrze. – Z nikłym uśmiechem dodała: – Panie doktorze, przepisze mi pan więcej?

– A skutki uboczne?

– Mdłości i dreszcze.

– Utrata apetytu?

– Już wcześniej go straciłam.

– Wie pani, że nie powinna mieszać tego lekarstwa z alkoholem?

– Hm... tak. – Prośenie jej o to, by nie piła, było przesadą.

– Jak tam terapia?

– Hm... nie byłam.

– Przecież dałem pani numer telefonu.

– Wiem, ale nie zadzwoniłam. Jestem zbyt przygnębiona.

– To do roboty! – Wydawał się rozzłoszczony, podniósł słuchawkę, zadzwonił w jedno miejsce, potem w inne. Nakrył słuchawkę dłonią i spytał: – O której pani kończy pracę we wtorek?

– Zależy...

– O piątej? – przerwał z irytacją. – O szóstej?

– O szóstej. – Jeśli będzie miała szczęście. Odłożył słuchawkę i wręczył jej kartkę.

– Co tydzień we wtorek, o szóstej. Jeśli pani nie pójdzie, koniec Z prozakiem.

Sukinsyn, pomyślała.

Wracając bez życia przez Tempie Bar, usłyszała okrzyk:

– Hej, Ashling!

Młody, niesłychanie modnie ubrany mężczyzna w groteskowych butach włókł się w jej kierunku. Dopiero po chwili rozpoznała w nim Boo. Miał lśniące włosy, zarumienioną twarz, i – całkiem nieoczekiwanie dla siebie – Ashling się roześmiała.

– Coś takiego – mruknęła z zadowoleniem.

– Idę do pracy, mam zmianę od drugiej do dziesiątej. – Natychmiast dostał ataku śmiechu. – Możesz uwierzyć, że powiedziałem coś takiego? – Po czym zaczął jej wylewnie, bez tchu dziękować. – W telewizji wszystko idzie świetnie. Dali mi nawet zaliczkę z góry, żebym mógł zamieszkać w hostelu.

– A praca nie jest zbyt trudna? – Ashling trochę się obawiała, że po życiu bez żadnych ograniczeń Boo nie zdoła się przystosować do zdyscyplinowanego, odpowiedzialnego świata pracy.

– Bycie gościem? – prychnął Boo. – Pestka! Nawet w tych butach.

– Fakt, niezłe – zauważyła Ashling, patrząc na jego obcisłą kurtkę, jaskrawą koszulę i bardzo dziwaczne buty. Wyglądał jak ze *Star Treka*, ale do kwadratu.

– Wyglądam jak kutas. – Boo znowu zaczął się śmiać. – Najgorsze są buty. Kelvin z twojej redakcji dał mi wszystkie beznadziejne rzeczy, których nikt nie chciał. Przynajmniej są czyste. Kiedy mi zapłacą, kupię sobie normalne ubrania. Czekać no! Jeszcze raz to powtórzę. – Oblizawszy usta, powtórzył nabożnie: – Kiedy mi zapłacą.

Jego radość była zaraźliwa.

– Ogromnie się cieszę, że wszystko ci się udało – powiedziała szczerze Ashling.

– A dzięki komu? Tylko tobie. – Boo uśmiechnął się do niej, prezentując szczerbate uzębienie. Niestety, Kelvin nie zaopatrzył go w nowy ząb. – I dzięki Jackowi. Jest świetny.

Na twarzy Boo malowało się wyczekiwanie.

– Świetny – potwierdziła. Ale była zdumiona. Właściwie odkąd Jack Devine zrobił się taki miły?

– Słyszałaś, że myślałem, iż będę recenzował książki? – wykrzyknął Boo.

– Eeee...

– Wszystko popieprzyłem. A teraz w ogóle nie chcę już recenzować książek.

– Hm...

– Chcę być operatorem. Albo dźwiękowcem. Albo prezenterem wiadomości!

W redakcji Ashling musiała zebrać się na odwagę i poprosić Lisę o pozwolenie na wcześniejsze wyjścia we wtorki.

– Lekarz nie da mi już prozacu, jeśli nie pójdę na terapię. Lisa była wyraźnie zirytowana.

– Muszę to uzgodnić z Jackiem, i lepiej przychodź wcześniej, żeby nadrobić stracony czas.

Ale po chwili złość jej minęła. Ashling była naprawdę przyzwoitą dziewczyną.

Lisa mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Przynajmniej ja nie muszę chodzić na terapię, pomyślała z zadowoleniem. Ani brać prozacu.

W pewien sobotni wieczór, mniej więcej miesiąc po tym, jak wszystko się rozpadło, Ted miał występ. Marcus również.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe, ale nie pójdę cię wspierać – oświadczyła Ashling z przyciężkową wesołością.

– Nie ma problemu, nie przejmuj się, nikt tego od ciebie nie oczekuje.

– Ale w końcu będziesz musiała znowu zacząć wychodzić – oświadczyła Joy.

Ashling zadrżała na samą myśl.

– Nie ma nieznajomych, tylko przyjaciele, których jeszcze nie zdążyłaś poznać – kusił Ted.

– Nie ma nieznajomych, tylko byli faceci, których jeszcze nie zdążyłam poznać – sprostowała Ashling ponuro.

Nie opuszczało jej napięcie, dopóki w niedzielne popołudnie nie spotkała Teda. Bardzo starała się nie zadawać tego pytania, ale w końcu była zmuszona się poddać.

– Ted, bardzo cię przepraszam, ale czy on tam był?

Kiedy Ted skinął głową, odezwała się jeszcze bardziej przygnębionym głosem:

– Pytał o mnie?

– Nie rozmawiałem z nim – odparł pośpiesznie Ted. Dlaczego miał wrażenie, że stąpa po polu minowym?

Ashling była zirytowana. Ted powinien był porozmawiać z Marcusem, żeby Marcus mógł o nią zapytać. Chociaż gdyby Ted z nim rozmawiał, czułaby się zdradzona.

– A ona przyszła? – wypytywała go dalej jeszcze cichszym głosem.

Z dziwnym poczuciem winy Ted pokiwał głową.

Ashling popadła w ponure milczenie. Choć miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, czuła, że Clodagh pojawi się na występie, gdyż Dylan spędzał sobotę z dziećmi, dzięki czemu Clodagh miała całonocną opiekunkę. Ashling przekleła swoją dobrą pamięć, dzięki której miała w głowie wszystkie szczegóły dotyczące parki gołąbków, zdradzone jej przez Dylana. Lepiej by było, gdyby nic nie wiedziała. Jednakże nie mogła się temu oprzeć, przypominało to rozdrapywanie rany.

W tej ciszy wyobraziła sobie Clodagh wpatrującą się miłośnie w Marcusa i Marcusa wpatzonego miłośnie w Clodagh. Milczenie trwało tak długo, aż Ted zaczął sobie wyobrażać, że jest już bezpieczny i więcej pytań nie będzie. Powolotku zaczynał się odprężyć – zbyt wcześnie, niestety!

– Czy wyglądali tak, jakby za sobą szaleli? – spytała Ashling ze ściśniętym gardłem.

– Nie, wcale nie – prychnął. Postanowił nie wspominać, że na początku występu Marcus powiedział: „To dla Clodagh”.

Po przyłapaniu ich przez Craiga w łóżku Marcus przekonał Clodagh, że jak szaleć, to na całego. Teraz zostawał niemal każdego nocy, a sprawy ułożyły się lepiej, niż oczekiwali. Dzieci najwyraźniej zaakceptowały Marcusa i czasem – na przykład teraz – Clodagh czuła, że wszystko będzie dobrze.

Właśnie zebrali się przy stole w kuchni. Molly rysowała kwiatki (na blacie), Craig przy pomocy Clodagh odrabiał lekcje, a Marcus ćwiczył występ. Atmosfera była przesiąknięta jednością i dobrą wolą.

– Hej, Clodagh, mogę ci przeczytać ten monolog? – spytał Marcus.

– Daj mi dziesięć minut. Skończę najpierw lekcje Craiga.

Jakiś czas później, kiedy Clodagh demonstrowała po raz setny, jak się pisze duże Q, Marcu znów zapytał:

– Mogę ci teraz przeczytać, Clodagh?

– Jeszcze dziesięć minut, skarbie, i już się tobą zajmuję.

Nagle drzwi od kuchni trzasnęły, Clodagh podniosła głowę. Co się stało?

Szybki ogląd kuchni uświadomił jej, że Marcus sobie poszedł.

Było wpół do ósmej w czwartek, koniec listopada. W redakcji pozostali jedynie Ashling i Jack. Jack zgasił światło, zamknął drzwi gabinetu i przystanął obok biurka Ashling.

– Jak sobie radzisz? – spytał z wahaniem.

– Świetnie. Właśnie kończę artykuł o prostytutkach.

– Nie, chodziło mi o... ogólną sytuację. Z terapią i tak dalej. Pomaga ci?

– Nie wiem. Może.

– Moja matka powtarza, że czas leczy rany – zapewnił ją. – Pamiętam, jak miałem złamane serce. Czuję, że nigdy się nie pozbieram...

– Miałeś złamane serce? – przerwała mu Ashling.

– Pewnie myślałaś, że w ogóle nie mam serca.

– Nie, ale...

– No już, przyznaj się, tak właśnie myślałaś.

– Nieprawda. – Ale musiała odwrócić wzrok, bo na jej ustach błąkał się uśmiech. – Czy to z powodu Mai? – spytała ostrożnie.

– Kobiety przed Mai. Dee. Byliśmy razem przez długi czas, a ona mnie opuściła. W końcu jakoś dałem sobie z tym radę. Ty też sobie dasz.

– Tak, ale Jennifer, terapeutka, twierdzi, że w moim wypadku nie chodzi tylko o złamane serce.

– A więc o co? – spytał tak łagodnie i miło, że ze zdumieniem zdała sobie sprawę, iż opowiada mu o depresji swojej matki i o sposobach, za pomocą których ona usiłowała sobie z nią poradzić.

– Panna Złota Rączka – zakończyła.

Jack wydawał się wstrząśnięty.

– Przepraszam – powiedział szybko. – Przepraszam, że kiedykolwiek.

– Nie ma sprawy. W końcu miałeś rację.

– Czyżby? Naprawdę? Dlatego nosisz tyle rzeczy w torbie, dlatego jesteś taka usłużna?

– Jennifer najwyraźniej tak myśli.

– A ty co myślisz?

– Chyba muszę się z nią zgodzić. – Westchnęła.

Nie dodała, że zdaniem Jennifer właśnie dlatego Ashling zawsze wybierała mężczyzn, którym mogła organizować życie. Ashling najpierw gniewnie się tego wyparła, ale potem zgodziła się z terapeutką; była bardzo przydatna większości swoich chłopaków, jeszcze nad długo przed słodkim głupkiem Phelimem, aż do komika Marcusa, i sprawiało jej to przyjemność.

– A co ta Jennifer mówi o twoim Weltschmerz?

– Mówi, że jestem w lepszym stanie niż dawniej, chociaż ja tego nie widzę. I mówi, że czasem będzie mnie dopadał w przyszłości, ale mogę go utrzymać w ryzach. Na przykład pracować jako wolontariuszka, pomagając wszystkim innym Boo. Takim, którzy nie mieli tyle szczęścia i nie trafili na Jacka Devine'a – dodała żartobliwie.

– Kurczę – mruknął Jack i zerknął wstydliwie na Ashling. Po czym zapatrzyli się na siebie.

Dobry humor nagle prysnął, a na ich ustach pozostały resztki zadowolonych uśmieszków. Jack pierwszy odzyskał równowagę.

– Jezu, Ashling – odezwał się ze sztuczną bez troską. – Ale się wzruszyłem. Boo świetnie sobie radzi w pracy.

– To bardzo miło, że się tym zająłeś. – Uświadomiła sobie, że przez te ostatnie miesiące była tak przyćpana, że nigdy mu właściwie nie podziękowała.

– Nawet o tym nie mów! – Groziło im niebezpieczeństwo, że znowu zaczną się w siebie wpatrywać. W takich sytuacjach najlepiej jest zacząć mówić o pogodzie. – Strasznie leje. Podrzucić cię do domu?

Położył dłonie na blacie biurka, a ona nagle przypomniała sobie, jak mył jej włosy. Jego dotyk na jej skórze, cudowne dreszcze, które ją przeszywały, twarde, ciepłe ciało przyciśnięte do jej ciała... Mmmmmm.

– Eee... nie. – Szybko zebrała się w sobie. – Muszę to skończyć.

– Chodzisz jeszcze na lekcje salsy? – zapytał ku jej zdumieniu.

Pokręciła przecząco głową. Już nie miała na to ochoty.

– Może znów zacznę chodzić, kiedy sprawy...

– Pokażesz mi kiedyś podstawowe kroki?

Szczerze mówiąc, nie umiała sobie wyobrazić nic bardziej nieprawdopodobnego.

– Zrobimy sobie wieczór sushi i salsy – zażartowała.

– Trzymam cię za słowo.

– A co tam u Mai? – zapytała, gdy zaczął się zbierać do wyjścia.

– Wszystko w porządku, od czasu do czasu się widzimy.

– Pozdrów ją ode mnie. Bardzo mi się spodobała.

– Pozdrowię. Teraz chodzi z projektantem ogrodów.

– O imieniu Cormac? – rzuciła Ashling.

Na twarzy Jacka malował się podziw oraz przerażenie.

– Skąd wiesz?

Telefon Lisy zadzwonił w środku nocy. Zerwała się z bijącym sercem. Czy coś się stało mamie albo tacie? Zanim jednak dotarła do aparatu, włączyła się automatyczna sekretarka i ktoś zaczął nagrywać wiadomość.

Oliver. Mówił nawet głośniejszym głosem niż zwykle.

– Bardzo przepraszam, Liso Edwards – oznajmił ostrym głosem. – Ale naprawdę się zmieniłaś.

Podniosła słuchawkę.

– Co?

– Ty też witaj. Tamtego dnia w Dublinie, kiedy grałaś piłkę z dziećmi, powiedziałem, że się zmieniłaś, a ty zaprzeczyłaś. Okłamałaś mnie, mała.

– Oliver, jest za dwadzieścia piąta. Rano.

– Wiedziałem, że coś tu nie gra, i nie dawało mi to spokoju. Dopiero teraz zaskoczyło. Jesteś inna, mała. Nie pracujesz tak ciężko, byłaś taka miła dla dzieci – po co się upierasz, że to nieprawda?

Wiedziała po co, wiedziała to już tamtego dnia, ale czy powinna mu to mówić? A dlaczego nie, co za różnica?

– Bo jest za późno... Żeby nas ocalić – uściśliła, kiedy milczał. – Lepiej utrzymywać, że nadal jestem taką samą kontrolującą otoczenie babą jak kiedyś, nie?

Oliver przetrwał tę dziwną logikę. – Czy to twoja ostateczna odpowiedź?

– Tak.

– W porządku, mała. Twoja sprawa.

Ted i Joy byli w wypożyczalni wideo.

– *Przypadkowa dziewczyna?* – zaproponował Ted.

– Nie, tam chyba ktoś ma romans?

– A może *Mój chłopak się żeni*?

– Sam tytuł zwiastuje kłopoty – zauważyła Joy.

W końcu zdecydowali się na *Pulp Fiction*.

– Świetny wybór. – Joy była zadowolona. – Nie! Zły wybór. Bardzo zły.

Ktoś jest niewierny! Uma Thurman!

– Masz absolutną rację – powiedział Ted drżącym głosem. Mało brakowało. – Może pożyczymy *Teletubisie* i będziemy bezpieczni?

– Nie, tego nam trzeba. – Joy wykrzyknęła z zadowolenia i chwyciła *Egzorcystę*. – To nikogo nie przygnębi.

– Dobrze – oświadczył Ted. – Nie mógłbym znieść powtórki tego, co się zdarzyło ostatnim razem.

Mądra po szkodzie Joy musiała przyznać, że zmuszanie przyjaciółki do oglądania *Skazy* było poważnym błędem. Choć minęły już dwa miesiące, odkąd Ashling dowiedziała się o zdradzie Clodagh i Marcusa, nadal nie mogła patrzeć na romansujących ludzi.

W mieszkaniu Ashling cała trójka zasiadła przed telewizorem, otoczona butelkami wina, korkociągami, torbami z popcornem i olbrzymimi kawałkami czekolady. Ku uldze wszystkich, Ashling całkiem się wciągnęła w akcję – dopóki nie zadzwonił dzwonek u drzwi. Na jej twarzy mimowolnie pojawiła się nadzieja, że to mocno spóźniony Marcus.

– Ja otworzę. – Pozbierała się i poszła do drzwi.

Ku jej zdumieniu, do mieszkania wszedł Dylan. Przez ostatnie miesiące chodziła z nim na lunch mniej więcej raz w tygodniu, ale przyszedł do niej po raz pierwszy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci niezapowiedziana wizyta.

– Uśmiechnął się, ale jego głośny ton i leniwe spojrzenie uświadomiły jej, że jest pijany. – Cześć, śliczna dziewczynko. – Poglaskał jej włosy, pozostawiając smugę ciepła od czubka jej głowy do karku.

– Przyjemnie – zagruchał.

– Dziękuję. Chodź, są Joy i Ted.

Nalał sobie kieliszek wina, a Ashling patrzyła, jak bez najmniejszego wysiłku oczarował Joy. Jego zmęczenie i potarganie nie ujmowało mu uroku.

Po prostu był inny.

Kiedy film dobiegł końca, Dylan zaczął skakać po kanałach, aż znalazł coś, co mu przypadło do gustu.

– Świetnie! *Casablanca*.

– Nie będę oglądała żadnych romantycznych gówien – oświadczyła Ashling twardo, a Dylan wybuchnął śmiechem.

– Słodka jesteś – oświadczył ciepło.

– Ale i tak nie będę tego oglądała.

– Słodka – powtórzył.

Zawsze prawił jej komplementy, ale Ashling miała świadomość, że dziś atmosfera jest nieco bardziej napięta.

– I tak tego nie obejrzę.

– To ja trzymam pilota!

– Już nie, koleś!

W ferworze walki o pilota przewrócili butelkę czerwonego wina.

– Przepraszam. Pójdę po ścierkę – powiedział Dylan. Kiedy jednak dotarł do kuchni, zawołał: – Nie widzę ścierek.

– W łazience mam stare ręczniki. – Ashling wyszła z pokoju i właśnie przeszukiwała szufladę, kiedy głos z tyłu sprawił, że aż podskoczyła. Poruszona, odwróciła się.

– Ashling – powiedział Dylan.

– Co? – Ale i tak wiedziała, co się święci. Wyraz jego oczu, ton głosu, ta bliskość aż ociekała seksem.

– Słodka Ashling – niemal wyszeptał. – Powinienem być zostać z tobą. – Nie traktował jej dobrodusznie jak przez te ostatnie jedenaście lat. Dotknął palcem jej policzka.

Mogę go mieć, uświadomiła sobie. Po jedenastu latach wreszcie może być mój.

Czemu nie? Przy nim czuła się piękna, nawet wtedy, gdy poślubił jej niegdyś najlepszą przyjaciółkę. Uważała też, że jest wspaniały. Zawsze ją ciekawił, zawsze się zastanawiała, jak by to było się z nim kochać. Miała w sobie głód, rozbudzony przed laty i nigdy niezaspokojony.

Przez jej głowę przeleciało kilka scenariuszy. Miała wydepilowane nogi. Była szczupła jak marzenie. Przydałoby się jej trochę uczucia. I seks też by nie zaszkodził.

Ale nagle uznała, że nic jej to nie obchodzi.

– Idź sprzątać. – Wepchnęła mu ręcznik do ręki.

W jego oczach pod miękkimi blond włosami pojawiło się zdumienie, ale posłusznie posprzątał, a potem usiadł obok Joy i opowiadał jej, co się zaraz wydarzy w filmie.

– Zamknij się – chichotała, a po skończeniu filmu odwróciła się do Dylana i oznajmiła: – Idę do siebie, do łóżka. Możesz do mnie dołączyć.

Jego orzechowe oczy zaślniły, a potem z nieco wymuszonym uśmiechem wstał.

– Z rozkoszą – oświadczył.

Ted i Ashling patrzyli na nich ze zdumieniem. Ashling myślała nawet, że to dowcip. Kiedy jednak nie wrócili po paru minutach, uświadomiła sobie, że bynajmniej.

Następnego ranka Ashling zadzwoniła do Joy z pracy.

– Spałaś z Dylanem? – Myślała, że pyta cicho, ale wszyscy w redakcji natychmiast podnieśli głowy.

– Żebyś wiedziała.

– To znaczy uprawiałaś z nim seks?

– No jasne!

Ashling przełknęła ślinę.

– I jak było?

– Genialnie. Jest wspaniały. Nienawidzi kobiet, nie ma możliwości, żeby do mnie zadzwonił... – Joy nagle umilkła z przerażeniem. – Jezus Maria, nie masz nic przeciwko temu, prawda? Nawet nie przyszło mi do głowy... Myślałam, że szalałaś na punkcie Marcusa, a ja nienawidzę Clodagh...

– Nie mam nic przeciwko – przerwała jej Ashling.

– Na pewno?

Na pewno? zastanawiała się redakcja.

– Tak mi się wydaje.

Na początku grudnia znalazł się kupiec na londyńskie mieszkanie Lisy i Olivera. Jako że kupował wraz z wyposażeniem, Lisa musiała zabrać swoje rzeczy.

Oliver wyjechał na sesję, kiedy się na to zdecydowała. Mogła na niego poczekać, ale celowo wołała uniknąć jego obecności. Musiała o nim zapomnieć.

Przyglądanie się okrucinom życia było bolesnym procesem. Na szczęście z Hemel Hempstead przybyli rodzice, by jej pomóc. Szczerze mówiąc, niewiele z nich było pożytku, ale dzięki ich życzliwości poczuła się lepiej. Kiedy skończyli, wepchnęli Lisę wraz z jej dobytkiem do swojego dwudziestoletniego rovera i pojechali do Hemel. Tego wieczoru w ramach prezentu zarezerwowali stół w lokalnym Harvesterze. W zasadzie Lisa wolałaby odgryźć sobie łeb, niż tam iść, ale z drugiej strony, nie miała nic przeciwko temu.

Kiedy Ashling dotarła do pubu, Ted już na nią czekał.

– Cześć – powiedział. – Był tam. Ona też. Nie wyglądali, jakby za sobą szaleli.

Poprzedniego wieczoru występował, a ponieważ Ashling zawsze pytała o Marcusa i Clodagh, usiłował pomóc zachować jej godność i pierwszy opisywał sytuację.

– Opowiadał dowcipy o dzieciach. Chyba posuwa Clodagh wyłącznie dla nowych pomysłów – oświadczył pewnie.

Było to takie patentowane kłamstwo, że Ashling szczerze się wzruszyła.

– No i do tego – ciągnął Ted, bo wyglądało na to, że jego słowa sprawiają Ashling przyjemność – jeśli czytać między wierszami, można się domyślić, że Dylan właściwie nie daje Clodagh żadnych pieniędzy, bo Marcus powiedział

dowcip o swojej dziewczynie... Przepraszam. – Urwał, a Ashling się skrzywiła.
– O byłym mężu swojej dziewczyny, który daje jej tak niskie alimenty, że właściwie są to niedalimenty.

W tym momencie pojawiła się Joy.

– O czym gadamy?

– O wczorajszym występie Marcusa.

– Co za palant. – Joy wydeła wargi, po czym zrobiła głupkowaty wyraz twarzy. – „Chciałbym zadedykować swój występ Craigowi i Molly”. Fiut!

Twarz Ashling przybrała jasnozielony kolor.

– Zadedykował swój występ jej dzieciom?

Zmieszana Joy popatrzyła na Teda.

– Myślałam, że to jej powiedziałaś... Kurwa! Zawsze się bez sensu wpieprzam.

Ashling poczuła się upokorzona równie mocno jak na samym początku.

– Szczęśliwa rodzina – zauważyła, starając się mówić z ironią w głosie.

– To nie przetrwa – powiedziała Joy z uporem.

– Nie, zostaną ze sobą – upierała się Ashling. – Mężczyźni nie rzucają Clodagh.

Nagle Joy zadała jej dziwne pytanie:

– Tęsknisz za Marcusem?

Ashling się zamyśliła. Czuła wiele emocji, wszystkie nieprzyjemne, ale wśród nich nie było tęsknoty za Marcusem. Gniew, owszem. I smutek, i upokorzenie, pustka. Jednak nie tęskniła za nim, za jego towarzystwem, za fizyczną obecnością, tak jak kiedyś.

– Jasne, że mi zależy na twoich dzieciach – upierał się Marcus. – Przecież zadedykowałem im swój wczorajszy występ!

- No to dlaczego nie przeczytasz Molly bajeczki przed snem?
- Bo jestem zajęty. Pracuję na dwa etaty.
- Ale ja padam z nóg. Nie daję sobie rady sama z dwójką dzieci.
- Przecież mówiłaś, że Dylana i tak nigdy nie było, że zawsze pracował.
- Nie zawsze – powiedziała z nadąsaną miną. – Często tu był.

Wyciągnęła do Marcusa ilustrowane wydanie *Czerwonego Kapturka*, ale on go nie wziął.

– Wybacz, ale muszę poświęcić trochę czasu swojej książce. Patrzyła na niego długo i twardo.

- Przez ciebie rozpadło się moje małżeństwo.
- A przez ciebie mój związek z Ashling. Jesteśmy kwita.

Clodagh była wściekła. Wcale nie wierzyła, że Marcus aż do tego stopnia lubił Ashling, ale skoro on się przy tym upierał, co mogła zrobić?

62

Nagle, niespodziewanie jak co roku, przyszła Gwiazdka. Wszyscy bez wyjątku upijali się przez cały miesiąc, a dwudziestego trzeciego grudnia redakcja „Irlandki” zamknęła się na jedenaście dni. „Urlop okolicznościowy”, jak to nazwał Kelvin.

Phelim wrócił do domu z Australii i lekko się zdziwił, kiedy Ashling nie poszła z nim do łóżka. Na szczęście, dobrze to przyjął, więc i tak podarował jej didgeridoo, które jej kupił. Ashling na święta pojechała do rodziców – co też warte było wzmianki, gdyż przez ostatnie pięć lat spędzała Gwiazdkę z rodziną Phelima. Brat Ashling, Owen, przyleciał do domu znad Amazonki i szalenie rozradował matkę, bo nie miał przekłutej i rozepchniętej dolnej wargi. Siostra Ashling, Janet, przyleciała z Kalifornii. Była wyższa, szczuplejsza i bardziej ja-

snowłosa niż we wspomnieniach Ashling. Jadła dużo świeżych owoców i nie chciała chodzić na spacer.

Clodagh spędziła Gwiazdkę samotnie. Dylan zabrał dzieci do swoich rodziców, a ona zbojkotowała swoich, bo nie chcieli, żeby towarzyszył jej Marcus. W ostatniej chwili Marcus zdecydował się odwiedzić swoich rodziców.

Lisa pojechała do Hemel, była wdzięczna mamie i tacie za zamieszanie, jakie wokół niej robili. Podpisała i wysłała papiery rozwodowe na parę tygodni przed Gwiazdką i nagle poczuła się idiotycznie słaba. Teraz należało czekać na warunkowy wyrok rozwodowy.

Wieczorem po powrocie z Cork Ashling odkryła, że ma nowego sąsiada. Chudy, młody blondyn kulił się w jej drzwiach, ściskając kanapkę i puszkę budweisera.

– Cześć – przywitała go. – Mam na imię Ashling.

– George. – Spozrzegł jej spojrzenie, skierowane na piwo. – Jest sylwester – oświadczył napastliwie. – Mam ochotę na drinka, jak wszyscy.

– Nie przeszkadza mi to – powiedziała cicho.

– To, że wylądowałem na ulicy, nie znaczy, że jestem alkoholikiem – wyjaśnił, nieco łagodniej. – Piję towarzysko.

Dała mu funta i weszła do domu, czując, że lada chwila dopadnie ją depresja. Bezdromność była niczym potwór o wielu głowach – odetni jedną, na jej miejscu wyrosną dwie następne. Boo był ustawiony, miał pracę, mieszkanie, a nawet dziewczynę, ale należał do nielicznych, którym dopisało szczęście: był inteligentny, dość przystojny i na tyle młody, by się przystosować do głównego nurtu życia. Tylu innych nie miało nic i nigdy nic

nie będzie miało – tym dołożyło życie, które najpierw wyгнаło ich na ulicę, a potem swoje zrobił głód, rozpacz, strach, nuda i nienawiść otoczenia.

Usłyszała dzwonek. Był to Ted, który z dumą patrzył na drobną, ładną dziewczynę u swego boku.

– Wróciłaś – oznajmił, po czym objął dziewczynę. – To Sinead. Sinead wyciągnęła maleńką rączkę.

– Miło mi cię poznać – powiedziała nieco sztywno.

– Wejdźcie. – Ashling była zdumiona. Sinead nie wyglądała jak typowa grupie.

Ted wszedł, po czym wygładził poduszki na sofie, zanim z powagą poprosił Sinead, żeby usiadła.

Usadowiła się na sofie, ze złączonymi kostkami i kolanami, po czym z wdziękiem zgodziła się wypić kieliszek wina. Ted przez cały czas patrzył na Sinead jak rozmarzony jastrząb.

– Hm... poznałaś Teda na występie? – Ashling usiłowała prowadzić rozmowę, szukając na podłodze korkociągu. Była pewna, że tam go zostawiła wieczorem przed wyjazdem do Cork...

– Na występie? – Sinead powiedziała to tak, jakby nigdy w życiu nie słyszała takiego słowa.

– Na występie w klubie

– O nie! – Zaśmiała się dźwięcznie.

– Nigdy nie była na moim występie i nie chce. – Ted popatrzył na nią z pełną dumy sympatią.

Okazało się, że Sinead i Ted razem pracowali w Ministerstwie Rolnictwa. Na przyjęciu gwiazdkowym, kiedy radośnie tańczyli do *Rock Around the Clock*, ich oczy się spotkały i wybuchła miłość.

Ashling przyszło nagle do głowy, że pojawienie się Sinead zwiastuje koniec kariery scenicznej Teda. Ale w końcu został komikiem tylko po to, żeby znaleźć sobie dziewczynę, więc pewnie szczególnie się nie zmartwi. Tak czy owak, nie wydawał się przygnębiony.

– Dziś? Znowu dziś wychodzisz? – spytała Clodagh. – Przecież wychodziłeś wczoraj i przedwczoraj, i jeszcze w środę.

– Muszę trzymać rękę na pulsie i obserwować nowych komików – wyjaśnił jej cierpliwie. – Chodzi o moją karierę, muszę iść.

– Co jest dla ciebie ważniejsze? Ja czy twoja kariera?

– I ty, i kariera.

Zła odpowiedź.

– Dziś nie znajdę opiekunki do dzieci, za mało czasu.

– OK.

Clodagh myślała, że jest po sprawie. Aż do dziewiątej, kiedy Marcus wstał.

– Idę – oznajmił. – Późno się skończy, więc pójdę prosto do domu, zamiast tutaj.

– Idziesz? – Clodagh była zdumiona.

– Przecież mówiłem, że idę.

– Nie. Powiedziałaś „OK”, kiedy mówiłam, że nie znajdę opiekunki.

Myślałam, że nie zamierzasz iść beze mnie.

– Nie, chciałem ci powiedzieć, że idę bez ciebie.

– Ashling, muszę ci coś powiedzieć – oznajmił Ted.

– Co? – Był mroźny styczniowy wieczór, Ted i Joy zjawili się jak jego wysłannicy, ze śniegiem na kołnierzach.

- Lepiej usiądź – poradziła Joy.
- Siedzę. – Ashling poklepała sofę.
- To dobrze. Sam nie wiem, czy się zmartwisz czy nie – powiedział Ted.
- Co?
- Zastanawialiśmy się, czy ci to powiedzieć.
- Gadaj!
- Znasz niejakiego Marcusa Valentine'a?
- Chyba o nim słyszałam. Kurde, Ted, błagam.
- Przepraszam. Widziałem go. W pubie. Z dziewczyną. Nie była nią

Clodagh.

Zapadła cisza.

– No to co? – zapytała Ashling. – Wolno mu przebywać w towarzystwie innych kobiet.

– Rozumiem. Rozumiem. Ale czy wolno mu wpychać im język do gardeł?

Na twarzy Ashling pojawiła się dziwna mina. Szok – i coś jeszcze. Joy zerknęła na nią z niepokojem.

– Znasz tę dziewczynę – dodał Ted. – To Suzie. Rozmawiałem z nią na przyjęciu w Rathmines, a potem wyszedłem z tobą. Pamiętasz?

Ashling pokiwała głową. Pamiętała ładną, drobną, rudowłosą dziewczynę. Ted nazwał ją fanką komików.

– Eee... popytałem tu i ówdzie – wyznał Ted.

– I?

– Zdaje się, że wtyka jej nie tylko język, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– O mój Boże.

– Jak na takiego piegowatego wała, to ma powodzenie u dziewczyn – zauważyła Joy sucho.

– O mój Boże – powtórzyła Ashling.

– Ale tylko nie mięknij i nie zaczynaj żałować Clodagh – przeraziła się Joy. – Błagam, nie biegnij tam, żeby ją potrzymać za rękę.

– Nie gadaj bzdur – odparła Ashling. – Jestem kurewsko zachwycona.

– Przyjdę po swoje rzeczy – powiedział Marcus.

– Będą gotowe – zapewniła go Clodagh żarliwie.

Prychając, krążyła po domu i wrzucała jego osobiste rzeczy do czarnego worka na śmieci. Nie mogła uwierzyć, że wszystko tak szybko się rozpadło. W kilka tygodni przeszli od fascynacji do niemal nienawiści; wpadli w wir wzajemnej niechęci, kiedy w związku przestał się liczyć tylko seks i zaczęło się prawdziwe życie.

Myślała, że go kocha, tak jednak nie było. Okazał się nudnym sukinsynem. Najnudniejszym z nudnych sukinsynów. Ciągłe tylko chciał gadać o swoich występach i o tym, że inni komicy nie są tak dobrzy jak on.

I domagał się mnóstwa uwagi. Czuła do niego wstręt, obrażał się za każdym razem, kiedy zajmowała się Craigiem i Molly. Czasem odnosiła wrażenie, że ma trójkę dzieci.

Nie mówiąc już o tej jego cholernej powieści. Co za śmieć! Niewiarygodnie przygnębiający śmieć. Marcus bardzo źle przyjmował krytykę, nawet konstruktywne wskazówki. Clodagh powiedziała tylko, że może kobieta z powieści powinna założyć firmę, zacząć piec ciastka albo lepić garnki, a on się wściekł.

Ostatnio chciał wychodzić każdego wieczoru. Po prostu nie przyjmował do wiadomości, że ona nie może wciąż zostawiać dwójki dzieci. Ciężko było znaleźć opiekunkę. Jeszcze trudniej było znaleźć pieniądze na nią, Dylan niewiele jej dawał. Najważniejsze jednak, że Clodagh wcale nie chciała wychodzić każdego wieczoru. Kiedy była z dala od Craiga i Molly, tęskniła za nimi.

Siedzenie w domu było przyjemne. Nie ma nic złego w tym, że ogląda się *Coronation Street* przy lampce wina.

No i seks. Ona już nie chciała uprawiać go trzy razy dziennie. Nikt nie powinien tego od niej oczekiwać. Nie uprawia się seksu tak często, kiedy mija pierwsze zauroczenie. Marcus jednak nalegał, a to było wyczerpujące.

Ale to wszystko było bułką z masłem w porównaniu z nowiną, którą ją zaskoczył – że poznał inną kobietę.

Kipiała od gniewu i głębokiego upokorzenia. Zwłaszcza że gdzieś z tyłu jej głowy zawsze kołatała się myśl, że to ona robi mu łaskę, że dzień, w którym uciekła od ogłupiającego małżeństwa i padła mu w ramiona, był najszczęśliwszym dniem jego życia. Bardzo ją irytowało, że została porzucona. Nie zdarzyło się to od czasów, kiedy Amerykanin Greg przestał się nią interesować na miesiąc przed powrotem do Stanów.

Właśnie wrzucała do worka majtki, kiedy rozległ się dzwonek. Podeszła do drzwi, otworzyła je szeroko i cisnęła workiem na śmieci w Marcusa.

– Masz.

– Jest tu moja powieść?

– A tak, *Czarny Pies*, arcydzieło, jest. Worek na śmieci to dla tego najodpowiedniejsze miejsce – dodała półgłosem, który wcale półgłosem nie był.

Jego wściekła mina świadczyła o tym, że świetnie słyszał i zamierzał się jej odplącić.

– Przy okazji – rzucił przez ramię, odwróciwszy się, by odejść. – Ma dwadzieścia dwa lata i żadnych dzieci. – Towarzyszyło temu wymowne mrugnięcie. Marcus dobrze wiedział, że Clodagh wstydzi się swoich rozstępów.

Zabolało. Wpadła do domu. W końcu pierwsza fala wściekłości minęła, a Clodagh usiłowała myśleć pozytywnie. Przynajmniej pozbyła się Marcusa, jego dowcipów, powieści i humorów – a to już coś.

A potem uświadomiła sobie, że ma kłopoty. Ani męża, ani chłopaka. Kurwa.

Fan club Jacka Devine'a zebrał się w komplecie. Robbie, Ciasteczkowy Potwór i pani Morley postanowili prześcigać się w demonstrowaniu entuzjazmu dla Jacka.

Jack niedawno przeszedł przez redakcję jakby schludniejszy niż zwykle. Co, jak zauważyła Trix, nie było takie trudne.

– Zastanawiam się – myślała często na głos – czy kiedykolwiek ktoś zaczepił go na ulicy, wręczył mu dziesięć pensów i poradził, żeby kupił sobie herbatę.

Dziś rano jednak Jack był odstawiony, miał wyprasowany garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Nawet jego zmierzwione włosy nie prezentowały się najgorzej – czasem przychodził do pracy tylko z przyczesanymi bokami, a z tyłu miał wszystko potargane.

Bez wątpienia był wypucowany, kiedy jednak zatrzymał się przy pani Morley, żeby sprawdzić wiadomości, jego koszula rozchyliła się na piersi, tam gdzie brakowało guzika.

To jeszcze bardziej rozgorączkowało fan club.

– Udęczonego mężczyzna, który mógłby ocalić świat, ale który potrzebuje dobrej kobiety u swego boku – oświadczyła Ciasteczkowy Potwór Shauna. Znow była na etapie czytania harlequinów.

– Tak, jakiejś elegantki w stylu vintage – oświadczył Robbie.

– O tak – przytaknęła pani Morley, która nie miała pojęcia, o czym mowa.

– Wystarczy na niego spojrzeć, a człowiek już ma ochotę go przelecieć – powiedział Robbie.

– Ashling?

Nagle zewsząd rozległy się szepty: „Nie pytaj jej!”

Było już jednak za późno. Posłuszna Ashling zaczęła sobie wyobrażać przelatywanie Jacka Devine'a i przez jej oblicze przemknęło kilka emocji. Wszystkie jeszcze bardziej zaniepokoiły przerażonych kolegów.

– Została paskudnie skrzywdzona – syknęła pani Morley. – Chyba ma dość mężczyzn.

– Nie powinienem był się tak zapędzać! – wykrzyknął Robbie. – Czuję, że zbliża się moment na wzięcie valium.

Każdy pretekst był dobry. Robbie bez przerwy brał valium, benzodiazepiny i betablokery na swoje „nerwy”.

– Chce pani? – spytał panią Morley. – Ja już wzięłem trzy. Jej oczy rozblęły.

– Chyba mi nie zaszkodzi.

Przez resztę dnia snuła się jak zombie, wpadała na biurka, myliła klawisze na klawiaturze, podczas gdy Robbie, wysoce uodporniony, zachowywał się tak jak zawsze.

Tymczasem Ashling była niemal równie oszołomiona jak pani Morley. Pytanie Robbiego nią wstrząsnęło, nie mogła przestać myśleć o Jacku. Jej serce napuchło jak balon, gdy myślała o jego drażliwości, a potem uprzejmości, o jego pogniecionych garniturach i bystrym umyśle, o jego nieustępliwości w interesach i miękkim sercu, o jego ważnej pracy i brakującym guziku.

Umył jej włosy, chociaż nie miał czasu. Potraktował Boo, ludzkiego śmiecia, jak człowieka, którym Boo przecież był. Nie chciał zwolnić Ciasteczkowego Potwora Shauny, chociaż niechęć dodała zero do wykroju w „Gaelickich Robótkach” i ludzie porobili szale chrzestne długości sześciu metrów zamiast jednego.

Robbie ma rację, uświadomiła sobie. Wystarczy, że spojrzę na Jacka Devine'a, a już mam ochotę go przelecieć.

– Ashling! – prychnęła Lisa z irytacją. – Po raz piąty ci mówię, że ten wstęp jest cholernie długi. Co się z tobą dzieje? Też łyknęłaś valium?

Obie automatycznie popatrzyły na panią Morley, która, skulona na krześle, z rozmarzeniem malowała sobie paznokcie korektorem.

– Nie.

Lisa westchnęła. Powinna być bardziej uprzejma. Ashling nie zachowywała się w ten sposób od wieków, od pierwszych tygodni, gdy rzucił ją Marcus. Może właśnie dowiedziała się czegoś nowego i bardzo nieprzyjemnego – na przykład, że Clodagh jest w ciąży.

– Coś z Marcusem i twoją koleżanką?

Ashling z dużym wysiłkiem skoncentrowała się na czymś innym niż Jack Devine.

– Szczerze mówiąc, owszem. Marcus puka inną.

– To chyba nie zaskoczenie – oświadczyła Lisa z pogardą – Znasz ten typ faceta.

Przy Lisie Ashling czuła się czasem bardzo niezręczna.

– Jaki typ?

– No wiesz – facet nie jest zły, ale niepewny. Uzależnił się od tego, żeby go kochano, ale wygląda raczej przeciętnie. – Cholera, naprawdę była delikatna. – Nagle zaczyna się podobać kobietom, bo jest sławny, więc zachowuje się jak dziecko pozostawione samopas w cukierni.

Jednakże te słowa rozsądku nie wyrwały Ashling z marazmu. Przeciwnie, właściwie odniosły odwrotny efekt. Jeszcze bardziej oddaliła się od rzeczywistości i wymamrotała poruszonym tonem:

– O mój Boże. – Nagle jej twarz się rozpozodziła. – Odkrycia są jak autobusy, prawda? – westchnęła ze zdumieniem. – Nic przez bardzo długi czas, a potem kilka jednocześnie.

Lisa wydała z siebie przytłumiony okrzyk, po czym gdzieś poszła.

Tymczasem Ashling wierciła się niespokojnie, aż nadszedł czas na wyjście z pracy i spotkanie z Joy. Bardzo chciała podzielić się swoimi wnikliwymi przemyśleniami, a przynajmniej jednym. Drugie będzie musiało poczekać, dopóki sama go nie przetrawi.

W chwili gdy Joy pojawiła się w barze na Morrison, została zalana potokiem słów Ashling.

– ...Nawet gdyby Marcus nie poznał Clodagh, prędzej czy później zrobiłby skok w bok, bo jest zbyt niepewny i zaborczy, a ja powinnam była widzieć znaki.

– Och. A były? – Joy ściągała płaszcz i robiła, co mogła, żeby odzyskać równowagę.

– Wiedziałam przecież, że dał karteczkę ze „Zwoń moi” innej dziewczynie. Powiedz mi, jaki facet rozdaje wszem wobec swój numer telefonu? Jeśli jest tobą zainteresowany, prosi cię o numer, prawda? Zamiast zbierać... zbierać... wypadło mi to słowo... informacje zwrotne, rozdając numer i sprawdzając, kto połknął haczyk.

– Coś poza tym?

– Tak. Dwa razy dałam mu swój numer, za pierwszym razem nie zadzwonił. Teraz to dla mnie jasne, że w coś grał. Pewnie sprawdzał, czy spodobał mi się na tyle, żebym dała mu numer. Tak naprawdę nie był zainteresowany mną, tylko tym, co o nim myślę. Dopiero kiedy poszłam na jego występ, postanowił do mnie zadzwonić. No a kiedy nie poszłam z nim do łóżka na pierwszej randce, to się nadał. Jak małe dziecko! I te wszystkie teksty: „Jestem najlepszy? Kto jest najśmieszniejszy?” I wiesz co jeszcze, Joy? Ja też nie jestem bez grzechu. Zaczęłam się z nim umawiać częściowo dlatego, że jest sławny. Obróciło się to przeciwko mnie, mogę winić tylko siebie.

– Ale mówisz tak, jakby to była prawdziwa katastrofa – zaprotestowała Joy. – Przecież dobrze się dogadywaliście. Wiem, że go lubiłaś, a ty wiesz, że on lubił cię.

– Lubił – przyznała Ashling. – Ale jeszcze bardziej lubił siebie. A ja lubiłam go częściowo ze złych powodów. Clodagh powiedziała, że jestem ofiarą – wyznała cicho.

– Suka!

– Nie, jestem ofiarą. Albo raczej byłam – poprawiła się. – Już nie jestem.

– Ale to, że wszystko przez niepewność Marcusa, nie znaczy, że znów zaprzyjaźnisz się z Clodagh? – spytała niespokojnie Joy. – Nadal jej nienawidzisz, prawda?

Ashling ogarnęło dojmujące poczucie straty. Po krótkiej chwili wzruszyła ramionami.

– Jasne.

63

W walentynki do sieni Lisy wpadła przez klapkę na listy imponująca koperta. Pocztówka? Od kogo? Serce Lisy waliło jak młotem z podniecenia, kiedy otwierała kopertę, a potem zamarło... Och.

Przysłano jej informację o wydaniu warunkowego wyroku rozwodowego.

Chciała wybuchnąć śmiechem, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Była zaskoczona tempem procedury rozwodowej. Sąd wydał wyrok w nieco ponad dwa miesiące, a ona spodziewała się, że jej prawnik otrzyma decyzję po co najmniej trzech miesiącach.

W panice uświadomiła sobie jasno, że ona i Oliver znaleźli się na ostatniej prostej. Droga była wolna, a na mecie Lisa widziała koniec małżeństwa i pędziła tam na złamanie karku.

Jeszcze tylko półtora miesiąca – zostanie wydany ostateczny wyrok.

Wtedy poczuje się lepiej. To się wreszcie skończy.

Tego wieczoru umówiła się z Dylanem. Zapraszał ją już od dwóch miesięcy, za każdym razem, kiedy wpadał po Ashling. Uznała, że to jej nieco poprawi humor. Zwłaszcza że Oliver nie odezwał się ani słowem.

Dylan przyjechał po nią po pracy i zawiózł ją do pubu w Dublin Mountains. Światła miasta błyszczały pod nimi niczym klejnoty. Przyznała mu najwyższą notę za wybór miejsca. Dostał też siedem punktów na dziesięć za ładne włosy i osiem za urodę. Od strony technicznej był uroczy i obsypywał ją komplementami, więc za to też zgarnął siedem albo i osiem punktów. Nie

mogła się jednak do niego przekonać, był zbyt elegancki i twardy, pod gładkimi słówkami dostrzegła głęboki cynizm, przy którym jej cynizm był śmiechu wart.

A może źródło problemu tkwiło w niej. Nie mogła otrząsnąć się z poczucia straty, które położyło się cieniem na całym tym dniu.

Dużo piła, ale nie była w stanie się upić, a całe spotkanie, zamiast poprawić jej humor, tylko wpędziło ją w depresję. Gdy Dylan wyraźnie dał do zrozumienia, że chce się z nią przespać, poczuła się jeszcze gorzej. Wymamrotała coś na temat tego, że „nie jest taką dziewczyną”.

– Czyżby? – Dylan wykrzywił usta w sposób, który sugerował jednocześnie żal i pogardę. Nagle zapragnęła znaleźć się w domu.

W milczeniu odwiózł ją z powrotem do miasta, zbyt szybko biorąc zakręty na wąskich, górskich drogach.

Przed domem podziękowała mu uprzejmie, ale jak najszybciej uciekła z jego auta. W ciszy swojej kuchni zjadła orzech włoski (właśnie była na diecie „W”, więc miała czyste sumienie) i zastanawiała się, do czego zmierza świat, skoro seks na jedną noc nie wydaje się już pociągający?

Clodagh założyła nogę na nogę i z niepokojem kołysała palcem. Dylan zabrał dzieci na popołudnie i mógł wrócić dosłownie w każdej chwili. Chociaż jeszcze tego nie wiedział, mieli przeprowadzić rozmowę.

Za każdym razem, gdy się spotykali, odnosili się do siebie cywilizowanie, ale niemiło. Dylan był zgorzkniały, ona wroga, lecz teraz wszystko miało się zmienić.

Jak mogła kiedykolwiek przypuszczać, że będzie jej dobrze z Marcusem? Dylan był wspaniały: cierpliwy, miły, hojny, oddany, pracowity, znacznie

bardziej atrakcyjny. Chciała powrotu starego życia. Naturalnie spodziewała się pewnej dozy rozgoryczenia i oporu ze strony Dylana, więc była gotowa się pokajać, żeby go odzyskać.

Szczebiot dziecięcych głosów przy drzwiach wejściowych uświadomił jej, że wrócili. Pospieszyła, by ich wpuścić, i uśmiechnęła się do Dylana, co nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zmusiła się, by mówić lekkim tonem.

Kiedy wzruszył ramionami, co zapewne miało oznaczać zgodę, posadziła Craiga i Molly przed telewizorem, włączyła film na wideo, zamknęła drzwi i poszła do kuchni, gdzie czekał na nią Dylan.

Przełknęła ślinę.

– Dylan, te ostatnie miesiące... Myliłam się, bardzo mi przykro. Nadal cię kocham i bardzo bym chciała... – Jej głos się załamał. – Bardzo bym chciała, żebyś wrócił do domu.

Patrzyła na jego twarz, w oczekiwaniu złotego światełka szczęścia, które ją rozjaśni i zmyje z niej połyskliwą skorupę, obecną tam od początku całej sprawy. Dylan wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Wiem, że powrót do normalności trochę potrwa i jeszcze długo mi nie zaufasz, ale możemy przecież iść na terapię małżeńską – oświadczyła. – Chyba oszalałam, tak cię traktując, ale przecież znowu wszystko może być dobrze... Prawda? – zapytała, kiedy nie odpowiedział.

W końcu się odezwał i wypowiedział tylko jedno słowo.

– Nie.

– Co...?

– Nie, nie wrócę. . Tego nie przewidziała. W żadnym ze swoich scenariuszy.

– Ale dlaczego? – Tak naprawdę mu nie uwierzyła.

– Bo nie chcę.

– Ale przecież byłeś załamany tym, co... hm... zrobiłam.

– Tak, myślałem, że umrę – przytaknął z namysłem. – Ale chyba mi przeszło, bo teraz, kiedy o tym myślę, wcale nie chcę być twoim mężem.

Zaczęła się trząść. To się nie działo naprawdę.

– A dzieci?

Tu go miała.

– Kocham moje dzieci.

No i dobra.

– Ale nie wrócę do ciebie tylko z ich powodu. Nie mogę.

Przegrywała. Okazało się, że jej cała rzekoma przewaga była zaledwie fasadą. A potem przyszło jej do głowy coś tak nieprawdopodobnego, że niemal się roześmiała na samą myśl.

– Chyba... nie... poznałeś innej?

Roześmiał się nieprzyjemnie. To ja to zrobiłam, pomyślała ze wstydem. To przeze mnie jest taki.

– Poznałem mnóstwo innych – odparł.

– To znaczy... chcesz powiedzieć... że spałeś z innymi kobietami?

– Nieszczególnie dużo spaliśmy.

Żołądek się jej skurczył, czuła się zdradzona, zazdrosna, oszukana. A jego znaczący, pewny siebie ton obudził w niej okropne podejrzenia.

– Czy znam którąś z nich?

– Tak. – Jego uśmiech był okrutny.

Znowu poczuła skurcz żołądka.

– Kto to?

– Nie zadaje się takiego pytania dżentelmenowi – odparł z pogardą.

– Mówiłeś, że na mnie zaczekasz – powiedziała cicho.

– Czyżby? No to kłamałem.

Lisa zaczęła rozmyślać o przyszłości, kiedy najgroźniejsi konkurenci Randolph Media zaproponowali jej pracę. Podczas dziesięciu miesięcy w „Irlandce” doprowadziła pismo do punktu, który chciała osiągnąć. Pismo miało dostatecznie duży nakład i godziwe dochody z reklam. Nadszedł czas rozstania.

Wiedziała już, że wróci do Londynu. To było jej miasto, chciała mieszkać blisko mamy i taty. Kiedy jednak rozważyła wszystkie opcje, uznała, że nie jest pewna, czy ma ochotę nadal być naczelną pisma dla pań. Wyścig szczurów, poniżanie innych, zgarnianie nagród za cudze osiągnięcia – to wszystko nie wydawało się już tak atrakcyjne jak niegdyś. Zaciekle rywalizacja czasopism również straciła swój blask. Nie interesowała jej już krwawa i brutalna wojna między pracownikami jednego tytułu. Niegdyś podniecało ją takie współzawodnictwo, wręcz czerpała z niego energię. Te czasy już minęły, uświadomiła sobie w panice. Czyżby stała się mięczakiem, frajerką, oferumą? Nie czuła się słaba. Nie chciała robić pewnych rzeczy, lecz nie oznaczało to, że zmiękła. Po prostu się zmieniła.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, że mimo wszystko nie zmieniła się całkowicie. Nadal uwielbiała płytkość pisemek dla pań. Ubrania, makijaż, porady damsko-męskie. Zatem oczywistym krokiem naprzód w jej karierze powinno być poszukanie pracy konsultantki.

Ashling uświadomiła sobie, że dzieje się coś dziwnego. Początkowo tego nie widziała, sądziła, że to incydent. A po nim znowu incydent. I jeszcze jeden. Kiedy jednak seria incydentów przestaje być serią incydentów i staje się zwyczajem?

Bała się, że doszukuje się w tym czegoś, czego tam nie ma, bo tak bardzo chciała, żeby to coś znaczyło. Chodziło o Jacka Devine'a. Zabrał ją na drinka, żeby uczcić odstawienie przez nią prozacu. Tydzień później, kiedy stało się jasne, że Ashling nie zwariuje, znowu zabrał ją na drinka, żeby to uczcić. Następnie zaprosił ją na drinka i na pizzę, żeby uczcić fakt, że zaczęła chodzić na lekcje salsy. Potem zabrał ją na kolację w Cookes, żeby uczcić przeprowadzkę Boo do pierwszego mieszkania. Kiedy jednak Ashling zasugerowała, że chyba Boo powinien iść z nimi, Jack nie wydawał się przekonany.

– Jutro wieczorem idę z nim i z paroma chłopakami ze stacji na drinka – wyjaśnił.

A teraz znów pojawił się przy jej biurku i zasugerował, żeby gdzieś poszli.

– Co tym razem uczcimy? – spytała nieufnie.

Przez chwilę milczał.

– Eee... czwartek?

– Dobrze – odparła. Bo faktycznie był czwartek. Była jednak zmieszana. Czemu traktował ją tak miło? Nadal jej żałował? Ale przecież to wszystko należało do przeszłości. Wszystkie inne powody jego zainteresowania wydawały się absurdalne.

Dopiero Lisa ją oświeciła.

– A więc w końcu ty i Jack się spotykacie? – spytała najbardziej beztruskim tonem, jakim mogła. Nadal nie była szczególnie zadowolona, że ją zlekceważył, nie pasowało jej to i zapewne nigdy nie miało pasować.

– Słucham?

– Ty i Jack. Podoba ci się, prawda? Naprawdę podoba.

Zamiast odpowiedzieć, Ashling oblała się krwistoczerwonym rumieńcem.

– A ty jemu – zauważyła Lisa.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nieprawda.

– Ashling, nie bądź taka naiwna – warknęła Lisa.

Ashling popatrzyła na nią z niepokojem i po chwili milczenia odparła cicho:

– Dobra, nie będę.

Tego wieczoru w restauracji Ashling usiłowała stawić czoło sytuacji. Nie chciała, ale doszła do wniosku, że powinna. Zebrała się na odwagę i zapaliła papierosa, a Jack patrzył na nią, jakby zrobiła coś niezwykłego.

Przestań tak na mnie patrzeć. Nie mogę jasno myśleć.

– Jack, mogę cię o coś spytać? Wyszliśmy razem,jemy kolację. Czy to...

– Znieruchomiała. Może nie powinna tego mówić, może się myli?

– Czy to... – powtórzył, najwyraźniej skłonny udzielić odpowiedzi.

Odetchnęła ciężko. A, co tam, cholera jasna.

– Czy to randka?

Patrzył na nią uważnie.

– A chciałabyś?

Udała namysł.

– Tak.

– Wobec tego to randka.

Oboje zaczęli rozglądać się po restauracji.

– Chciałabyś iść na następną? – spytał Jack przesadnie obojętnym tonem.

– Tak.

– W sobotę wieczorem?

Rany. Pierwsze wyjście nie w powszedni dzień. Dokonali przełomu.

– Tak.

Raz jeszcze ich spojrzenia zaczęły krążyć po sali Patrzyli na wszystko z wyjątkiem siebie.

Ashling ponownie usłyszała swój głos.

– Jack, mogłabym wiedzieć, dlaczego chcesz ze mną iść na... no wiesz?

Spojrzała na niego, a on w tej samej chwili zerknął na nią i ich wzrok się skrzyżował. Zabrakło jej tchu i poczuła silny dreszcz podniecenia, jakby tysiące drobnych rybek zaczęło podgryzać jej skórę od wewnątrz.

– Dlatego, Ashling – zaczął Jack cicho – że pokrzyżowałaś mi plany podboju świata.

Co to miało oznaczać?

– Nie mogę myśleć o niczym poza tobą – wyjaśnił rzeczowym tonem. – To ma wpływ na wszystko.

Coraz bardziej huczało jej w głowie. Ashling nie mogła się odezwać, nie mogła znaleźć ani jednej odpowiedniej sylaby. Podejrzewała, że ją lubił, ale teraz, kiedy to powiedział...

– Powiedz coś – odezwał się niespokojnie.

– Od jak dawna to trwa? – wymamrotała.

Mówię jak doktor McDevitt, uświadomiła sobie.

– Od wieków – westchnął. – Od tamtego przyjęcia.

– Aż tak długo?

– Tak. – Znowu westchnął.

– Ale to wiele miesięcy!

– Sześć.

– I przez cały ten czas... – Rozmyślała o ostatnim półroczu, o tym, jak jej życie zupełnie się zmieniło. Czy mówił prawdę? Przecież sam powiedział, ale bała się mu uwierzyć. Jeszcze się bała.

– Nic dziwnego, że byłeś dla mnie taki miły – wykrztusiła.

– I tak byłbym dla ciebie miły.

– Na pewno?

– Jasne. – Uśmiechnął się, zawstydzony. – No, może. Chyba tak. A ty?

– Co ja?

– Co ty... hm... czujesz?

Słowa nadal nie chciały nadejść, aż w końcu zdołała wykrztusić:

– Czuję, że w sobotni wieczór idę z tobą na randkę.

– OK. – Pokiwał głową, czytając między wierszami. – Może wpadniesz do mnie? Mówiłaś, że nauczysz mnie tańczyć.

Nigdy tego nie mówiła, ale postanowiła nie zaprzeczać.

– I nadal uważam, że polubisz sushi, jeśli tylko mi zaufasz – dodał ze smutkiem.

– Ufam ci.

Następnego dnia, kiedy Lisa wręczyła wymówienie i oznajmiła, że w ciągu miesiąca zamierza wrócić do Londynu, Jack przynajmniej wykazał dość przyzwoitości, by powiedzieć:

– Mamy szczęście, że byłeś z nami tak długo.

Ale był dość bystry, by zdawać sobie sprawę, że nie uważa, iż podziękowania należały się tylko jej.

– Możecie zastąpić mnie Trix – zasugerowała niewinnie.

– Zastanowimy się nad... Ha, ha, niezły dowcip! – Zaśmiał się nerwowo.

64

W domu w ponurym, wychodzącym na morze zakątku Ringsend mężczyzna i kobieta przywitani się nerwowo. Przez niezastłonięte okna nieruchome, czarne morze patrzyło, jak mężczyzna wprowadza kobietę do pokoju, który sprzątał przez kilka godzin. Morze od dawna znało Jacka Devine'a i nigdy nie widziało, żeby aż tak się miotał. Uwaga, chyba nawet wyprasował flanelową koszulę i włożył całe dżinsy.

Kobieta siedziała na niedawno odkurzonej kanapie i dotykała ręką włosów, które zostały specjalnie wymodelowane. Poprawiła się lekko, czując sztywną koronkę i bawełnę swojej nowej bielizny.

– Głodna? – Jack wręczył jej kieliszek wina.

– Umieram z głodu – skłamała.

Na małym stoliczku Jack porozkładał pałeczki, sos sojowy, imbir i inne akcesoria do sushi, po czym mozolnie przygotował maleńkie ryżowe paczuszki dla Ashling.

– Nie ma tu nic strasznego – oznajmił. – To sushi dla...

– Początkujących, wiem. – Była szczerze wzruszona, tak jak nie mogłaby się wzruszyć w ostatnich miesiącach, kiedy jej dusza przestała normalnie funkcjonować.

– Może na początku nie będę jadła wasabi? Zachowam ostrożność – zasugerowała.

– Dobrze. – Ujrzała na jego twarzy cień rozczarowania i to ją zasmuciło. Tak się starał.

– Zaryzykuję – oświadczyła. – Najlepiej chyba jeść wszystko razem, prawda? Różne smaki wzajemnie się uzupełniają.

– Tylko jeśli masz pewność – powiedział. – Nie chciałbym cię wystraszyć.

Ostrożnie położył cienki, przezroczysty plasterek imbiru dokładnie pośrodku płatu wodorostu. Pałeczkami poprawił nierówne brzegi, a ona ponownie się zdumiała, że Jack zadaje sobie dla niej tyle trudu.

– Gotowa? – podsunął jej sushi.

Przez chwilę czuła panikę. Nie była pewna, czy jest gotowa. Czując się tak, jakby otwierała nie tylko usta, pozwoliła, by położył jej maleńkie zawiniątko na języku.

596

Niespokojnie obserwował jej reakcję.

– Smaczne – powiedziała w końcu z uśmiechem. – Trochę przerażające, ale smaczne.

Trochę jak ty sam.

Spróbowała sushi ogórkowe, sushi z tofu, z krabem i awokado. po czym postanowiła zaryzykować i zjeść sushi łososiowe.

– Jesteś fantastyczna – entuzjazmował się Jack, jakby zrobiła coś wartego uwagi, na przykład prawo jazdy. – Jesteś wspaniała. Kiedy będziesz gotowa na salsę...

O nie.

– Trochę mi będzie trudno pokazać ci kroki – oznajmiła szybko. – To przecież mężczyzna powinien prowadzić.

– Spróbuj – poprosił.

– Ale...

– To tylko sugestia.

– Nie mamy odpowiedniej muzyki.

– A czego nam trzeba? Kubańskich kawałków?

– Taaaak – odparła powoli, uświadomiwszy sobie swój błąd. Pomyślała, że to niemożliwe, aby miał tak mało znaną muzykę, ale zapomniała, że Jack jest mężczyzną.

Musiała jakoś przez to przejść.

– Dobrze, muzyka nieważna. To, co masz, powinno wystarczyć. Musimy oboje wstać.

Zerwał się na równe nogi, Ashling poczuła lekkie przerażenie, kiedy tak się nad nią pochylał.

– Stajemy naprzeciwko siebie. i stanęli, tyle że w odległości jakichś trzech metrów. – Może trochę bliżej – zaproponowała Ashling.

Zrobił krok do przodu, ona też. W końcu stanęła przed nim, nie chciała podchodzić zbyt blisko.

– Ty mnie obejmujesz. Jeśli chcesz – dodała pośpiesznie.

Położył dłoń na jej krzyżu, a ona przez chwilę się wahała, zanim opuściła rękę na ramię Jacka. Czuła ciepło jego ciała, przenikające przez materiał koszuli.

– A ta ręka? – Pomachał wolną dłonią.

– Tą musisz trzymać moją rękę.

– Racja. – Był tak rzeczowy, że kiedy jego duża, sucha dłoń chwyciła jej rękę, Ashling postanowiła się odprężyć. Uczyła go tańczyć. Nie było nic złego w tym, że się w ten sposób dotykali.

– Kiedy ja cofam nogę, ty wystawiasz, rozumiesz?

– Pokaż mi.

– OK. – Cofnęła nogę, a on jednocześnie wysunął swoją.

– A teraz w drugą stronę – poleciała. – Ty cofnij nogę, ja wystawię. I jeszcze raz.

Przećwiczyli to jeszcze parę razy, zwiększając szybkość i precyzję, aż w połowie ruchu Jack znieruchomiał, Ashling zaś nie, i nagle odkryła, że przyciska udo do jego uda. Zamarła, ale nie cofnęła nogi. Stali całkiem nieruchomo. Miała oczy na wysokości jego brody i pomyślała z roztargnieniem, że powinien się ogolić. W takich chwilach należało myśleć o najzwyklejszych rzeczach. Gdzieś w zakamarkach jej umysłu krążyły całkiem inne myśli.

– Ashling, mogłabyś na mnie popatrzeć? – W głosie Jacka brzmiała udreka.

Nie mogę.

Ale nagle mogła. Uniosła twarz. Jego oczy błyszczały, gdy ich usta zetknęły się w pocałunku. Czekali na to wiele miesięcy. Ashling poczuła, że coś się w niej otwiera; zwykle to uczucie dojrzewało stopniowo, lecz teraz przybyło z nagłym przyływem pożądania.

Dotknął jej twarzy i całowali się tak mocno, że w końcu zaczęło im to sprawiać ból. Wyglodniali i zdesperowani, nie mogli się sobą nasycić.

– Wybacz – szepnął Jack.

– W porządku – mruknęła.

Ich pocałunki stopniowo się uspokoiły, stały bardziej senne i łagodne, aż wreszcie jego usta niczym pióra muskały ją, kiedy wessały się w jej obolałe wargi. Muzyka wciąż sączyła się z głośników, czuli, że oboje powoli się obracają.

Morze zajrzało do środka i pomyślało – powolny taniec w jego dużym pokoju, teraz już nic mnie nie zaskoczy.

Ashling wsunęła dłonie pod koszulę Jacka i pogłaskała cudownie nieznany kształt jego pleców. Ich ciała się stykały, jego ręce na jej pośladkach przyciskały ją jeszcze mocniej. Była rozmarzona, rozplýwała się w zachwycie. Nie miała pojęcia, ile czasu spędzili w takiej pozycji. Mogło to być dziesięć minut, choć równie dobrze dwie godziny. Lecz nagle Ashling ściągnęła z Jacka koszulę. Wiązało się to z rozpięciem tylko jednego guzika.

– Ty bezwstydnico – powiedział. – Stawiam twoją bluzkę i przebijam o twoją parę butów.

– Zgoda. – Jej serce waliło jak młotem. – Co to dokładnie znaczy? Mam ściągnąć buty?

– I bluzkę. Widzę, że nie grywasz w pokera, muszę nauczyć cię zasad. Wyskakuj z koszuli. – Już pomagał jej ściągnąć ubranie. – Teraz ty mówisz: „przebijam o twoje dzinsy”.

– Przebijam o twoje dzinsy. – Nerwowo przełknęła ślinę, kiedy Jack powoli rozpinał guziki w rozporku. Drżały jej ręce, więc odczekała krótką chwilę, zanim rozpięła swoje czarne spodnie i wydostała się z nich.

– Skarpetki! – zakomenderował, lecz jego żartobliwy ton nie znajdował odzwierciedlenia w oczach. Ashling miała ściśnięte gardło, była oszołomiona i obolała z pożądania, kiedy stali przed sobą: Jack w białych majtkach od

Calvina, Ashling w nowych, zabudowanych majtkach z wysokim paskiem („efekt talii”).

– Rozumiesz zasady? – spytał niskim głosem Jack.

Powoli skinęła głową, rozkoszując się widokiem jego idealnych nóg, pięknie wyrzeźbionych rąk, czarnych włosów na klatce piersiowej, sięgających brzucha.

– Tak sędę. A kto ma asa w rękawie?

– Ty?

Zdumiała się, słysząc własny śmiech. Z talią czy bez niej, czuła się bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek wcześniej bez ubrania.

Wyciągnęła rękę i dotknęła grubej kolumny, która przeżyła się pod białą bawełną; dreszcz przebiegł po całym jego ciele. Wsunęła palec za gumkę majtek i pociągnęła. Było absolutnie jasne, czego pragnie.

Opuścił dłonie i uwolnił się od niepotrzebnego elementu garderoby. Ujrzała jego czarne włosy łonowe i zaciśniętą w dłoni erekcję. Ashling była oszołomiona erotyzmem emanującym z tego widoku.

Na górze, w świeżo wypranej pościeli, Jack powoli zdjął z niej bieliznę. Muskał ciało Ashling delikatnymi, powolnymi ruchami; niewiele brakowało, a zaczęłaby krzyczeć. Wreszcie ostatnia przeszkoda zniknęła.

– Na pewno chcesz to zrobić? – spytał niespokojnie Jack.

– A jak myślisz? – Uśmiechnęła się do niego leniwie.

– Może się mścisz.

– Nie mszczę się – odparła łagodnie. – Słowo.

Nagle zamarł.

– Nie robisz tego, bo się założyłaś?

Zaśmiała się głośno, autentycznie rozbawiona.

– Nie? Właśnie wyobraziłem sobie, jak Trix przyjmuje zakłady w związku z nami.

Położyli się obok siebie, a każdy dotyk, każdy gest był dociekliwy i delikatny.

Potem leżeli razem, splątani, bliscy sobie. Nagle Ashling ogarnęła niepewność. A jeśli zmienił zdanie? A jeśli teraz, kiedy się z nią przespał, spróbuje ją splawić?

– Ashling, nigdy w życiu nie przytrafiło mi się nic równie miłego – powiedział łagodnie Jack.

Wszystkie jej lęki zniknęły.

– Naturalnie, pozostaje pytanie – ciągnął w ciemności – czy rankiem będziesz mnie szanowała.

– Nic się nie martw – odparła sennie. – I tak cię nigdy nie szanowałam.

Uszczypnął ją.

– Jasne, że rankiem będę cię szanowała – zapewniła go. – Może się zdarzyć, że po południu zacznę cię lekceważyć, ale rano gwarantuję szacunek.

65

W pierwszy poniedziałek kwietnia, na tydzień przed powrotem do Londynu, Lisa otrzymała zawiadomienie o ostatecznym orzeczeniu sądu. Zanim otworzyła kopertę, wiedziała, co w niej znajdzie – i choć było to niemądre, wydawało się jej, że czuje emanujący ze środka niemiły zapach.

Intuicja nakazywała jej pozbyć się tego, wepchnąć przesyłkę pod książkę telefoniczną i udawać, że nigdy nie istniała. Potem, z westchnieniem, szybko rozdarła kopertę. W życiu musiała załatwiać wiele nieprzyjemnych rzeczy.

Gdyby nie stawiała im czoła, niczego by nie osiągnęła. Trzeba było jednak robić to szybko, tak jak odrywa się plaster.

Miała zdumiewająco klarowny umysł. Widziała, jak drżą jej palce, gdy przerzucała strony, potem patrzyła, jak zdania uciekają sprzed jej oczu, zbyt szybko, by zdołała je odczytać. Kiedy słowa zwolniły i w końcu znieruchomiały, zmusiła się do tego, by uważnie przestudiować czarne litery na białych stronicach. Po kolei, aż ujawniła się przed nią treść zawiadomienia, które znała – było już po wszystkim. Żadnego życia ni to w małżeństwie, ni to poza nim, wszystko zostało schludnie posprzątane. Koniec. Fin. Już po wszystkim, panowie.

Z przerażającą jasnością uświadomiła sobie, że nie zaczęła skakać po przedpokoju i cieszyć się z odzyskanej wolności. Za to podskoczyła się temperatura – czyżby się pocila? – i Lisa wcale nie czuła się radosna i wyzwolona.

Przez cały proces rozwodowy miała nadzieję, że w następnej części postępowania poczuje się magicznie uzdrowiona. Teraz jednak dotarli do końca i szczęście jakoś do niej nie powróciło. Jeśli już, to chyba czuła się gorzej niż zwykle.

Może smutek związany z rozwodem nie znika, uświadomiła sobie. Może trzeba go przyjąć, nauczyć się z nim żyć – wydawało się to taką harową, że natychmiast zapragnęła wrócić do łóżka.

Fifi wydała przyjęcie, gdy uprawomocnił się jej rozwód, dlaczego więc Lisa nie czuła się tak samo? Musiała niechętnie przyznać, że działa się tak dlatego, że nie nienawidziła Olivera. Wstyd, pomyślała. Nie brakowało jej powodów do goryczy.

Odłożyła dokument i zaczęła na siłę szukać powodów do nadziei. Wszystko będzie dobrze. Pewnego dnia. Londyn był doskonałym miejscem. Pozna tam innego mężczyznę. Nawet jeśli czasem przygnębiało ją, że ci inni mężczyźni są beznadziejni. W porównaniu, dodała w myślach. Byłoby wskazane, żeby przestała traktować Olivera jak wzorzec.

Po powrocie do Londynu zrobi wszystko, żeby go unikać. Ich ścieżki mogły się czasem przeciąć ze względu na pracę, wtedy będą odnosili się do siebie z uprzejmym uśmiechem. Aż któregoś dnia będą mogli spotkać się, pracować i nie myśleć o tym, co mogło być, jak inaczej mogliby żyć. Czas minie i nagle, pewnego dnia, nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Przegrałam, przyznała w przypiływie szczerości. Przegrałam z własnej winy. Nie zdołam tego naprawić, nie zdołam zlikwidować i będę musiała z tym żyć przez resztę moich dni.

Zawsze była sumą swoich triumfów. Jeden sukces piętrzył się na innym i wszystkie razem tworzyły Lisę. Skąd więc się wzięła ta porażka? Skądś się wziąć musiała. Lisa pojęła, że ludzkie życie to ciąg doświadczeń, a porażki mają takie samo znaczenie jak sukcesy.

Przyznawała jednak, że ból ją zmienił. Ten ból, który tak długo nie ustępuje, sprawił, że stałam się miłszym człowiekiem. Nawet jeśli tego nie chciałam, pomyślała z przekąsem. Nawet jeśli uważałam, że to gorsze od śmierci, jestem delikatniejsza, miłsza, lepsza.

I cieszę się, że byłam żoną Olivera, dodała buntowniczo. Przykro mi, jestem smutna i wkurzona, że wszystko schrzaniłam, ale wyciągnęłam z tego wnioski i dopilnuję, żeby to się nigdy nie powtórzyło.

Więcej nie mogła zrobić.

Westchnęła ciężko, podniosła torbę, potem wyszła do pracy, jak człowiek ocalały.

Kiedy dotarła do redakcji, wszystko wrzało od przygotowań do pożegnalnego przyjęcia na cześć Lisy, w piątek. Była to niemal równie skomplikowana operacja jak przyjęcie inauguracyjne. Lisa planowała opuścić Dublin w blasku chwały. Już powiedziała Trix, że czyni ją osobiście odpowiedzialną za prezent pożegnalny i jeśli kupią jej kupon do Nexta, okaleczy ją.

– Lisa. – Trix wyciągnęła słuchawkę. – To Tomsey z działu zasłon w Hensards. W końcu twoja drewniana roleta jest gotowa.

Pod koniec pracy tego dnia Lisa dopadła Ashling w windzie. Bardzo chciała coś jej wyjaśnić.

– Musisz wiedzieć, że zaproponowałam twoją kandydaturę na stanowisko naczelnej i chwaliłam cię przed zarządem — podkreśliła z naciskiem. – Bardzo mi przykro, że nie dostałaś tej posady.

– Nieważne, i tak nie chciałam być naczelną – odparła Ashling. – Jestem z gatunku wice. Tak naprawdę jesteśmy nie mniej ważni niż przywódcy.

Lisę rozbawiło to beztroskie opanowanie.

– Dziewczyna, którą wybrali, wydaje się w porządku. Mogło być gorzej, mogli wybrać Trix!

Lisa nie miała wątpliwości, że pewnego dnia Trix pokieruje pismem – i to tak bezlitośnie, że w porównaniu z nią Lisa będzie się wydawała Matką Teresą. Jednak w tym momencie Trix miała inne rzeczy na głowie. Wypaproszony rybak musiał spadać, ustąpił miejsca Kelvinowi, gdyż właśnie rozpoczął się płomienny biurowy romans. Oczywiście, była to tajemnica.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Lisa gwałtownie trąciła Ashling w bok i syknęła:

– No no, popatrz, kto przyszedł.

Była to – aż trudno uwierzyć – Clodagh. Wydawała się niezwykle zdenerwowana.

– Czego chce? – spytała Lisa agresywnie. – Będzie próbowała odbić ci Jacka! Krówsko! Mam jej powiedzieć, że jej mąż usiłował mnie wydymać?

– To bardzo miło z twojej strony. – Ashling słyszała swój głos z wielkiej odległości. – Ale nie ma potrzeby, dzięki.

– Na pewno? No to do zobaczenia jutro.

Kiedy Lisa wyszła, Clodagh zrobiła krok do przodu.

– Powiedz, że mam spadać, jeśli chcesz, ale zastanawiałam się, czy mogłybyśmy pogadać.

Ashling była tak zaszokowana, że aż bezradna. Dopiero po chwili znalazła właściwe słowa.

– Pójdziemy do pubu obok.

Znalazły miejsce i zamówiły drinki, przez cały ten czas Ashling nie mogła przestać się gapić na Clodagh. Wyglądała dobrze, znacznie krócej obcięła włosy i bardzo jej to pasowało.

– Przyszłam przeprosić – powiedziała Clodagh z zakłopotaniem. – Bardzo dorosłam w ciągu ostatnich miesięcy. Teraz jestem innym człowiekiem.

Ashling sztywno skinęła głową.

– Widzę, jaka byłam samolubna i skoncentrowana na sobie, jak okrutna – wybuchnęła Clodagh. – Moją karą jest to, że muszę żyć wśród zniszczeń, które

spowodowałam. Nienawidzisz mnie i nie wiem, czy się jeszcze widzisz z Dylanem, ale jest w rozsypce. Taki zły i... zgorzkniały.

Ashling przytaknęła w duchu. Ostatnio bardzo nie lubiła przebywać w jego towarzystwie.

– Wiedziałaś, że poprosiłam go, żeby wrócił, ale odmówił?

Ashling skinęła głową. Dylan niemal ogłosił to w telewizji publicznej.

– Dobrze mi tak, co? – Clodagh uśmiechnęła się z trudem.

Ashling milczała.

– Sprzedaliśmy dom w Donnybrook, ja i dzieci mieszkamy w Greystones. Strasznie daleko, ale na więcej nie było mnie stać. Jestem teraz samotną matką, Dylan doszedł do wniosku, że nie poradzi sobie z opieką nad dziećmi. Dostałam nauczkę...

– Po co było to wszystko? – przerwała nagle Ashling.

Clodagh skrzywiła się niespokojnie, słysząc gniew w głosie byłej przyjaciółki.

– Sama często zadaję sobie to pytanie.

– I? Jakież wnioski? Kiepskie dni w małżeństwie? Wszystkich to spotyka, wiesz?

Clodagh nerwowo przełknęła ślinę.

– Nie sędzę, żeby chodziło tylko o to. W ogóle nie powinnam była wychodzić za Dylana. Pewnie trudno w to uwierzyć, ale chyba nigdy mi się nie podobał. Po prostu uważałam, że właśnie takich mężczyzn powinno się poślubiać – był przystojny, uroczy, miał dobrą pracę, był odpowiedzialny... – Popatrzyła niespokojnie na Ashling, której chmurna mina niespecjalnie zachęcała do zwierzeń. – Byłam samolubną dwudziestolatką i nie miałam o niczym pojęcia. – Clodagh tak bardzo chciała być zrozumiana.

– A Marcus?

– Brakowało mi rozrywek i podniety.

– Trzeba było zacząć skakać na bungee.

– Albo uprawiać rafting. – Clodagh pokiwała głową. Ashling się jednak nie roześmiała, choć Clodagh była pewna, że ją rozbawi. – Byłam niespełniona i sfrustrowana – próbowała. – Czasem czułam, że zwyczajnie się duszę.

– Mnóstwo matek jest sfrustrowanych i znudzonych – warknęła Ashling.

– Mnóstwo ludzi. Ale nie mieszkają romansów. Zwłaszcza nie z chłopakiem przyjaciółki.

– Wiem, wiem, wiem! Teraz to widzę, ale wtedy w ogóle o tym nie myślałam. Przepraszam, uważałam, że wszystko mi się należy, bo jestem taka nieszczęśliwa.

– Ale dlaczego Marcus? Dlaczego mój chłopak?

Clodagh poczerwieniała i popatrzyła na swoje kolana. Bardzo ryzykowała, mówiąc to, co za chwilę zamierzała powiedzieć.

– Pewnie każdy by się nadał.

– Ale wybrałaś mojego chłopaka. Bo w ogóle nie miałaś dla mnie szacunku.

Zawstydzona Clodagh wyznała:

– Miałam go za mało. I za to się nienawidzę. W ostatnich miesiącach czułam się winna, czułam się z tego powodu potwornie. Oddałabym lewy cycek za to, żebyś mi przebaczyła.

Po długiej, pełnej napięcia ciszy Ashling westchnęła ciężko.

– Wybaczam ci. Kim jestem, żeby cię osądzać? Sama nie prowadziłam się jak anioł. I, jak to słusznie zauważyłaś, robiłam z siebie ofiarę.

– Och, przepraszam.

– Nie musisz, miałaś rację.

Twarz Clodagh się rozjaśniła.

– Czy to znaczy, że znowu będziemy przyjaciółkami?

Zapadła cisza, Ashling głęboko się zastanawiała. Clodagh była jej przyjaciółką przez całe życie, odkąd skończyły pięć lat. Były najlepszymi przyjaciółkami. Miały za sobą wspólne dzieciństwo, dorastanie i wczesną dorosłość. Miały wspólne sekrety i nikt nie znał jej tak dobrze jak Clodagh. Taka przyjaźń to rzadkość. Ale...

– Nie. – Ashling przerwała pełną napięcia ciszę. – Przebaczam ci, ale już ci nie ufam. Utrata chłopaka na rzecz przyjaciółki to pech, ale dwóch chłopaków to już nieostrożność.

– Zmieniłam się. Naprawdę.

– Nieważne – powiedziała Ashling ze smutkiem.

– Ale... – zaprotestowała Clodagh.

– Nie!

Clodagh uświadomiła sobie, że to bezcelowe.

– W porządku – wyszeptała. – Lepiej już pójdę. Naprawdę bardzo mi przykro. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że... Do widzenia.

Po wyjściu odkryła, że cała się trzęsie. Nie poszło tak, jak miała nadzieję. Ostatnie miesiące naprawdę okazały się koszmarne dla Clodagh. Była zaszokowana i faktycznie zdumiona tym, jak przygnębiające jest jej życie. Nie tylko ze względu na nowy, smutny status samotnej matki, ale i na uświadomienie sobie prawdy na temat własnej tożsamości.

Skrucha była dla niej czymś nowym i sądziła, że jeśli wyjaśni innym, iż doskonale rozumie własny egoizm, i podkreśli, jak bardzo jej przykro, wszyscy jej wybaczą, a znowu będzie pięknie. Nie doceniła jednak Ashling i nauczyła

się czegoś nowego: to, że człowiek żałuje, nie oznacza, że inni są gotowi mu wybaczyć. I nawet wybaczenie nie oznacza lepszego samopoczucia.

Smutna i samotna, nadal przygnębiona dziełem zniszczenia w swoim wykonaniu, zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła naprawić to, co popsuła. Czy kiedykolwiek będzie normalnie?

Kiedy mijala Hogan's, grupka chłopców zauważyła ją, zaczęła gwizdać i wykrzykiwać komplementy pod jej adresem. Początkowo ich ignorowała, potem, dla kaprysu, odrzuciwszy włosy, obdarzyła ich olśniewającym uśmiechem, który wywołał dziki entuzjizm chłopców. Od razu zrobiło się jej lżej na duszy.

Hej, jakoś to będzie.

Tymczasem Lisa, zostawiwszy Ashling i Clodagh w budynku, zmusiła się do spaceru do domu. Zaczęła chodzić pieszo, żeby nie utyć od wszystkich kolacji, do których jedzenia zmuszała ją Kathy. Spacerując, usiłowała za wszelką cenę powściągnąć smutek. Jestem wspaniała. Mam wspaniałych rodziców. Mam wspaniałą pracę jako konsultantka. Mam wspaniałe buty.

Skreśliła w swoją ulicę i ujrzała, że pod drzwiami siedzi jeden z sąsiadów i na nią czeka. Pomyślała ironicznie, że dziwne, iż nie wziął sobie klucza od Kathy i nie wszedł do środka.

Będzie za nimi tęskniła po powrocie do Londynu. Chociaż Francine powtarzała, że niepotrzebnie, bo Lisa będzie miała tylu gości, że nawet nie odczuje zmiany miejsca.

Ale kto siedział na schodku? Francine? Beck? Nie, nie był tej płci co Francine i był zbyt duży na Becka, i... Lisa niemal się potknęła, gdy uświadomiła sobie, że kolor też się nie zgadza. To był Oliver.

– Co ty tu robisz? – wykrzyknęła ze zdumieniem.

– Przyjechałem się z tobą zobaczyć – odkrzyknął.

Dotarła do drzwi, a on wstał z szerokim, olśniewającym uśmiechem.

– Przyjechałem, żeby znów cię zdobyć, mała.

– Po co? – Włożyła klucz w zamek, Oliver wszedł za nią do holu. Lisa była zdumiona – i dziwnie niechętna. Przez cały dzień przekonywała się, żeby „iść przed siebie”, a on wszystko zepsuł.

– Bo jesteś najlepsza – odparł wprost. I znowu obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

Rzuciła klucze na blat kuchennego stołu.

– Trochę za późno, cholera – warknęła. – Właśnie się rozwiedliśmy.

– Wiesz, parszywie się z tym czuję – mruknął, zamyślony. – Nie uwierzyłybyś, jak mi to namieszało w głowie. A zresztą, nic nam nie zabrania znowu się pobrać. – Wyszczrzył zęby. – Poważnie – dodał, kiedy rzuciła mu rozwścieczone spojrzenie.

Znów spojrzała na niego ze złością, ale jej myśli niebezpiecznie wymknęły się spod kontroli. Pomysł ponownego wyjścia za Olivera był idiotyczny, ale miał swój urok. Niezwykły urok – przez nanosekundę, a potem znowu spoważniała.

– Zapomniałeś już, jaka jestem straszna – oparła szybko. – Przez cały czas się kłóciliśmy i było nieprzyjemnie. Nienawidziłeś mnie i mojej pracy.

– Zgadza się – przytaknął. – Ale to nie tylko twoja wina. Ja też byłem upierdliwy. Kiedy zmieniałaś zdanie na temat dziecka, powinienem był cię wysłuchać. Usiłowałaś ze mną rozmawiać, mała, ale nie chciałem o niczym słyszeć. Dlatego odkrycie, że bierzesz pigułkę, tak mną wstrząsnęło. Gdybym słuchał... I nie jesteś już taka twarda jak kiedyś. Przepraszam – dodał szybko, kiedy się najeżyła. – Ale naprawdę nie jesteś.

– I to dobrze?

– Jasne.

Na widok jej sceptycznej miny dodał cicho:

– Lisa, rozstaliśmy się już ponad rok temu i wcale nie jest mi dobrze. Nie spotkałem nikogo, kto dorastałby ci do pięt.

Miał pytający wyraz twarzy, czekał na jakąś zachętę lub czułe słowo Lisy, ona jednak milczała. Cała pogoda ducha, z jaką Oliver się tu zjawił, zniknęła, pozostał niepokój.

– Chyba że kogoś poznałaś. Spłynę, jeśli tak – dodał wspaniałomyślnie. – I zapomnę o zdobywaniu cię.

Jej twarz była nieodgadniona. Lisa patrzyła na Olivera i zastanawiała się, czy obdarzyć go tajemniczym uśmiechem, co położyłoby kres tej niebezpiecznej, idiotycznej sytuacji. Nagle zdecydowała jednak, że tego nie zrobi. Nigdy nie grała z nim w żadne gierki, czemu miałby zaczynać teraz?

– Nie, nie mam nikogo.

– Jasne. – Powoli, ostrożnie pokiwał głową. – No to mogę przestać wypruwać sobie flaki. – Po chwili nerwowego milczenia dodał: – Nadal cię kocham. Teraz, skoro jesteśmy starsi i mądrzejsi – niepewny śmieszek – myślę, że może nam wyjść.

– Naprawdę? – zadała to pytanie zimnym tonem.

– Tak – odparł dzielnie. – Jeśli byłabyś zainteresowana, mógłbym się przenieść do Dublina.

– Nie musiałbyś, wracam do Londynu pod koniec tygodnia – wymamrotała.

– Wobec tego, Liso – zaczął Oliver ze śmiertelnie poważną miną – jedyne pytanie brzmi: czy jesteś zainteresowana?

Zapadła długa, pełna napięcia cisza. W końcu Lisa przemówiła.

– Chyba tak. – Nagle poczuła się bardzo zawstydzona. .

– Na pewno?

– Tak. – Zachichotała nerwowo.

– Mała! – wykrzyknął z udawaną wściekłością. – To dlaczego tak mnie dręczysz, aż cały się spociłem?

– Bałam się – przyznała z zakłopotaniem. – Cały czas się boję.

– Czego?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba nadziei. Nie chciałam mieć nadziei, na wypadek gdyby ci odbiło. Musiałam być pewna, że ty jesteś pewien, zanim odważyłam się o tym pomyśleć. Bo chodzi o to, że cię kocham – wyznała z nieoczekiwaną odwagą.

– Nie musisz się bać – obiecał jej.

– Skąd ta mądrość? – wymamrotała.

Zaśmiał się długo i głośno, prawdziwym oliverowym śmiechem, i nagle jej myśli zaczęły przypominać wypuszczone z klatki psy gończe. Po prostu pobiegły przed siebie.

Ależ miała szczęście. Uświadomiła sobie pełnię fantastycznego zrzędzenia losu i radość dodała jej skrzydeł. Pomyślała, że nie każdy ma taką szansę i ten jeden jedyny raz doceniła obecną chwilę.

Tym razem zrobię to inaczej, obiecała sobie w duchu. Oboje zrobimy. A do tego pozostawała jeszcze wisienka na torcie: jeśli Burton i Taylor mogli dwa razy brać ślub z tą samą osobą, ona też mogła. Nie była w stanie powstrzymać rozpędzonych myśli, już planowała drugie wesele, cudownie ekstrawaganckie. Tym razem nie będzie żadnego wymykania się do Vegas.

Zrobią to jak należy. Mama będzie zachwycona. Sprowadzą „Hello!”, żeby sfotografowało uroczystość i...

– Spokojnie, tygrysico! – wykrzyknął Oliver, jakby czytał w jej myślach.

EPILOG

Jack i Ashling spacerowali po molo. Był majowy wieczór, jeszcze nie zapadł zmierzch. Przytuleni, szli bez celu przed siebie.

– Chcesz toffi? – zaproponowała Ashling.

– A już myślałem, że nie mogłoby być milej – odparł.

Ashling po omacku pogrzebała w torbie.

– Gdzie one są? – Wyciągnęła listek środków przeciwbólowych i butelkę remedium, zanim znalazła toffi.

– Nadal trzymasz wszystkie te rzeczy? – W głosie Jacka słychać było smutek. – Plastry i tak dalej?

– To już chyba nawyk. – Po raz pierwszy jednak poczuła się trochę głupio, że nosi ze sobą tak wiele rzeczy mających zapobiegać katastrofom...

– Nigdy nie pomyślałaś, żeby to wszystko wyrzucić? Nie potrzebujesz już ich. Wszystko się zmieniło.

Ashling długo na niego patrzyła. Miał rację, wszystko się zmieniło.

– OK, pozbędę się tego, jak wrócimy do domu.

– Dlaczego nie teraz? No już, wrzuć torbę do morza.

– Wrzucić torbę do morza? Tak, już lecę.

– Naprawdę. Wywal to wszystko.

– Zwariowałaś? A moje karty kredytowe? A sama torebka?

– Wyjmij karty, a torebkę kupię ci nową, słowo.

– O mój Boże, ty mówisz poważnie. – Ashling popatrzyła na niego z mieszaniną strachu i podniecenia. Dziwnie kusił ją ten pomysł, choć na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze.

– Wywal to – powtórzył z ożywieniem na twarzy.

– Nie mogę.

– Możesz.

Mogła?

– Gdyby to była moja torebka ze skóry pytona, nawet bym się nad tym nie zastanawiała – odparła.

– Ale to stara, brzydka torebka – upierał się Jack. – I rączka się rozpada. Kupię ci nową. No już.

Symbolizm tego gestu był osobliwie atrakcyjny. Ale z kolei, jak mogłaby wyrzucić torebkę pełną potrzebnych jej rzeczy? Tylko czy naprawdę były jej potrzebne? Może nie... Nagle wizja się wyostrzyła, stała się możliwa, prawdopodobna, wykonalna.

– No dobrze, wyrzucę! Wyrzucę! Trzymaj. – Z okrzykiem radości machnęła torebką na głowę. Raz. Drugi. A potem, z przerażeniem i satysfakcją, po prosta ją puściła. Torebka pogodnie pofrunęła w górę, ku ciemniejszemu niebu; niewielki, ale wypełniony po brzegi zapas agrafek, plastrów i długopisów. I z gracją opadła, a na dole, z najcichszym z możliwych plusków, powitało ją morze.